



*Juliette Benzoni*

---



*Katarzyna*

---

*Tom III*

---

---

## *Część pierwsza*

---

# *Sinobrody*

---



### *Rozdział pierwszy*

## *La Hire*

---

**K**atarzyna otworzyła oczy. Pod jej uchylone powieki wtargnął promień słońca. Pospiesznie je przymknęła i pomrukując z zadowolenia, otuliła się ciasniej derką. Było jej ciepło i dobrze, miała jeszcze trochę czasu na drzemkę. Zanim jednak znowu zapadła w sen, instynktownie wyciągnęła rękę, by dotknąć Arnolda, który powinien spać obok niej. Gdy jej ręka natrafiła na pustkę, otworzyła oczy i usiadła.

Barka nadal była zakotwiczona tam, gdzie Arnold ją ukrył, gdy jaśniejszy pas nieba na wschodzie zapowiedział jutrzeńkę. Łódź tkwiła

między trzcinami, w wąskiej zatoczce, nad którą olchy i wierzby utworzyły zieloną kolebkę, przywiązana liną do szarawego pnia starego, przygarbionego drzewa. Była to znakomita kryjówka, niewidoczna ani od strony rzeki, ani od wsi. Poprzez smukłe bladozielone trzciny Katarzyna mogła dostrzec pobłyskującą w słońcu wodę. Arnold jednak zniknął z pokładu...

Katarzyny nie poruszyło to zbytnio. Po trudach nocy i krótkim odpoczynku, jaki potem nastąpił, Montsalvy odczuwać musiał potrzebę rozprostowania kości. Pomału umysł młodej kobiety otrząsał się z mgieł nocnego snu i odtworzył precyzyjnie ostatnie wydarzenia. Gdy patrzyło się na słońce, na niebo, trudno było uwierzyć, że jest wojna i giną ludzie. A jednak to było wczoraj... 31 maja 1431 roku na stosie ułożonym na placu Vieux-Marche w Rouen spalono Joannę d'Arc, która przypłaciła życiem swoje przywiązanie do króla i ojczyzny. Jeszcze wczoraj z wysokości Wielkiego Mostu kaci Rouen zrzucili Arnolda i Katarzynę zaszytych razem w skórzanym worku. Śmierć zaglądała im w oczy, ale dzielny Jan Son, mistrz wolnomularzy, uratował im życie i dał tę barkę, by mogli dopłynąć do Louviers i odnaleźć oddziały francuskie.

Katarzyna znajdowała się na pokładzie łodzi, nieopodal wioski zajętej przez Anglików, co było godnym zwieńczeniem niesłychanie burzliwej egzystencji. Na próżno szukała w najgłębszych zakamarkach pamięci jakiegoś spokojnego okresu życia, od kiedy w wieku lat trzynastu w czasie buntu Caboches'a musiała uciekać ze zbuntowanego Paryża do Dijon, do wujka Mateusza. Ale w królestwie pozostającym w stanie wojny nawet poddani zamożnego księcia Burgundii nie mieli spokoju. Później nastąpiło jej pożałowania godne małżeństwo z wielkim skarbnikiem Filipa Dobrego, małżeństwo narzucone przez księcia, który w ten sposób miał

zamiar zrobić z niej swoją kochankę. Gdy Katarzyna myślała o swym małżonku, Garinie de Brazeyu, którego straszliwe kalectwo wykorzystał Filip, często odczuwała żal. Była dlań cierpieniem, nieustającą torturą i skoro ostatecznie szaleństwo doprowadziło Garina do zbrodni, za którą skazano go na śmierć, któż mógłby go za to potępić? Jedyńm winowajcą w tej smutnej historii był los. A także bezgraniczna, nieprzewyciężona miłość, która od pierwszego wejrzenia związała ją z Arnoldem de Montsalvym, kapitanem Karola VII i wrogiem księcia Burgundii. Tak wiele ich dzieliło: wojna, honor, urodzenie i nawet więzy krwi... Ale teraz kręte ścieżki się wyprostowały, droga ku szczęściu rozpościerała się przed nimi szeroko...

Gdy wstała, zauważyła swoją suknię i koszulę przerzucone przez burłę łodzi. Uprzytomniła sobie wówczas, że odziana była jedynie w derkę, i się roześmiała. Przypomniła sobie ich nocne przybycie i zarumieniła się na to wspomnienie. Nigdy by nie przypuszczała, że po przeżyciach minionego dnia, po wyczerpującym całonocnym wiosłowaniu Arnold mógłby pragnąć czegoś prócz wypoczynku. A jednak tak właśnie było. Zaledwie zakotwiczył barcę, przysunął się do Katarzyny i otaczając ją ramieniem, pociągnął w głąb łodzi.

- Odkąd wrzucono nas do tej podłej dziury, marzę o chwili takiej jak ta - wyszeptał na poły poważnie, na poły kpiąco - a nawet jeszcze wcześniej!

- Czyja to wina? Nie powiedziałabym nie, gdybyś na strychu Sona raczył mnie naprawdę potraktować jak swoją żonę. Zresztą...

Arnold swymi pocałunkami nie pozwolił jej dokończyć zdania. Potem starali się tylko odnaleźć pełnię miłosnego szczęścia zaznanego już

dawniej. Tym razem nie było nienawiści, nie było nieufności. Nic, poza ogromną miłością, która nareszcie odważyła się przemówić...

Gdy Katarzyna usypiała w ramionach Arnolda, czuła, że ogarnia ją głębokie i rozkoszne znużenie. Nigdy nawet nie marzyła o tak cudownych przeżyciach, a rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania.

Słońce łagodnie przygrzewało przez gałęzie olch, zatem Katarzyna nie mogła oprzeć się pokusie zanurzenia się w wodzie, zanim zaczęła się ubierać. Woda była chłodna, więc zrazu przeszył ją dreszcz, ale już wkrótce z przyjemnością pluskała się w lśniących falach. Przestraszony zakroniec wodny poszukał schronienia w trzinach.

Nagle Katarzynę uderzyła głęboka cisza panująca dokoła. Nie było słycać niczego, oprócz lekkiego szmeru wody. Zdawało się, że pobliska wieś zamarła. Ni śpiewu ptaka, ni szczekania psa, ni bicia dzwonów. Lekko zaniepokojona, pospiesznie wyszła z wody. Włożyła koszulę i suknię, związała sznurówki niecierpliwą ręką. Następnie zawołała:

- Arnoldzie!... Arnoldzie, gdzie jesteś?

Nie było odpowiedzi. Katarzyna znieruchomiała, nasłuchiwała z natężeniem, wyczekując szelestu kroków za ścianą drzew... Ale nikt nie nadchodził, tylko przestraszył ją jakiś ptak, który raptem zerwał się do lotu. Nieprzyjemny lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy machinalnym ruchem zaczęła zwijać wilgotne włosy, by upiąć je w koronę wokół głowy. Gdzie podział się Arnold?

Katarzyna rozsunęła gałęzie krzaków i wyszła na pole lub raczej na coś, co nim kiedyś było, bowiem ugnieciona, zdeptana i zmarniała trawa nosiła ślady niedawnego przejazdu machin oblężniczych. A jednak zobaczyła dym spokojnie unoszący się z komina domku położonego pod lasem... W oddali widać było dzwonnice i masywne przęsła Pont-de-

l'Arche, który mijali ubiegłej nocy. Wyjawszy te punkty, na których zatrzymywał się wzrok, wokół rozciągał się pejzaż ponury i, mimo panującej wiosny, dziwnie pusty i wyludniony... Nigdzie ani śladu człowieka.

Pracująca szybko wyobraźnia Katarzyny podsunęła jej myśl, że Arnold mógł wybrać się do tego oddalonego gospodarstwa, by coś zdobyć - choć właściwie dzięki Janowi Sonowi mieli jeszcze wszystko, czego im było trzeba - albo zorientować się, czy na wsi jest bezpiecznie. Postanowiła też się tam udać, jako że nie widziała nikogo, kto by się zbliżał.

Wróciła na łódź i roztropnie zabrała stamtąd woreczek ze złotem, który Jan Son im wręczył, tłumacząc się, dlaczego nie przyniósł klejnotów Katarzyny.

- Pomyślałem, że bezpieczniej będzie was tym nie obarczać. Brat Stefan Chariot przyniesie je wam przy najbliższej okazji do królowej Jolanty.

Było to mądre posunięcie, zatem Katarzyna podziękowała dzielnemu murarzowi za jego przenikliwość. Wiedziała, że jej klejnoty tak długo pozostaną bezpieczne, jak długo przechowywane będą w domostwie Sonów.

Przed wyruszeniem w drogę Katarzyna poczuła głód. Wzięła kawałek chleba i trochę sera, ukryła złoto w fałdach sukni i poszła. Domek nie był daleko. Jeśli Arnold wróci w czasie jej nieobecności, z pewnością trochę zaczeka. Idąc, spożywała z apetytem skromny prowiant i myślała o tym, że niewielkie ma szansę, by spotkać Arnolda na tej małej fermie. Może jednak, widząc dym unoszący się z komina, zapragnął przynieść swej towarzysze nieco ciepłej zupy? Musiałby zaczekać przy piecu, aż strawa się ugotuje...

Gdy Katarzyna stanęła na wprost wejścia do domostwa, zobaczyła ze zdziwieniem, iż brama wisi w powietrzu, uczepiona jednym tylko końcem. I tu również panowała cisza. Ogarnięta złym przecuciem, zwolniła kroku. Ostrożnie zbliżyła się do rozwartych drzwi i weszła do mieszkania. Widok, który ukazał się jej oczom, wyrwał jej z gardła okrzyk przerażenia. Przywarła do ściany z sercem bijącym jak oszalałe. W domu były zwłoki dwóch osób - mężczyzny i kobiety.

Nogi mężczyzny, przywiązane do drewnianej ławy, spoczywały jeszcze w kominku, gdy tymczasem ogień kończył swe dzieło. To właśnie stąd unosił się ów pióropusz dymu. Twarz mężczyzny była wykrzywiona w odrażającym grymasie. Olbrzymia plama krwi na piersi świadczyła o tym, że mężczyzna został zasztyletowany na zakończenie zadanych mu tortur. Kobieta wyglądała jeszcze straszniej. Leżała na stole z surowego drewna, jej ciało było zupełnie obnażone, a wszystkie członki rozciągnięte. Ramiona i nogi przywiązane do nóg stołu skąpane były we krwi. Musiała zostać zgwałcona, i to wielokrotnie, a następnie rozpruto jej brzuch. Wnętrznosci wylewały się z ziejącego otworu...

Przejęta zgrozą Katarzyna wypadła na zewnątrz, oparła się o ścianę domku i zwymiotowała wszystko, co przed chwilą przełknęła... Potem ogarnęła ją panika. Potykając się o nierówną powierzchnię pola, puściła się biegiem, wołając Arnolda ze wszystkich sił zwielokrotnionych jeszcze strachem... Wpadła do łodzi jak do ostatecznego schronienia, skuliła się w dziecinnym odruchu w najciemniejszym zakamarku, drżąc, iż zaraz zobaczy tych łotrów, którzy zameczyli nieszczęsnych wieśniaków. Po chwili uspokoiła się. Otaczająca cisza sprawiła, że serce, niespokojnie tłukące się w piersi, uciszyło się. Mogła więc zastanowić się nad zagadką, w której obliczu stanęła: gdzie się podział Arnold?

Myśl, że mógłby ją porzucić, nie przyszła jej nawet do głowy. Nawet gdyby chciał pozbyć się Katarzyny, nie uczyniłby tego w taki sposób, na wiejskim pustkowiu, gdzie narażona była na wszelkie niebezpieczeństwa. Poczekaliby, aż znajdzie się ona w bezpiecznym miejscu. Zresztą miniona noc czyniła takie wyjście niemożliwym. Arnold ją kochał. Katarzyna była tego pewna... Pomyślała, że może wpadł w ręce tych samych opryszków, którzy zaatakowali wieśniaków, i że również padł ich ofiarą. Uspokoila się jednak, przypomniała sobie bowiem, że w domku znajdowały się tylko dwa trupy... Może musiał uciekać przed nimi i dlatego nie wracał do łodzi, by nie odkryto Katarzyny... Ale wszystkie te pytania pozostały bez odpowiedzi...

Zbita z tropu, trwała dłuższy czas w całkowitym otępieniu na dnie łodzi, mając nadzieję, że Arnold zaraz wróci, nie wiedząc, co robić dalej. Jednak godziny mijały, Arnold nie wracał, a ciszę przerywały jedynie krzyki ptaków i pluskanie ryb. Młoda kobieta bała się do tego stopnia, że nie potrafiła ruszyć się z miejsca...

Jednakże gdy miało się ku zmierzchowi, gdy niebo poczerwieniało, a słońce przestało przypiekać, Katarzyna otrząsnęła się nieco z odrętwienia. Dłuższe oczekiwanie nie miało sensu. Już to, że straciła tyle godzin, było szaleństwem. Nie mogła się zdecydować na opuszczenie jedyne miejsce, w którym Arnold mógł ją odnaleźć. Mimo to doszła do wniosku, że musi dotrzeć do Louviers, gdzie miała nadzieję go spotkać. La Hire, jeśli tam jeszcze był, a nic nie wskazywało na to, by go tam nie było, mógłby zapewne skierować ją do Arnolda. Czyż La Hire, wraz z Xaintrilles'em, nie był najlepszym, najbardziej zaufanym przyjacielem Arnolda, jego towarzyszem broni? Od dawna trzej kapitanowie walczyli ramię w ramię przeciwko Anglikom i z ich sprzymierzeńcem Burgundczykiem od dawna



łączyła ich nierozzerwalna więź, która powstaje w trudnych chwilach, w czasie pełnych chwały wypraw, w obliczu wspólnego zagrożenia. Z nich trzech La Hire był najstarszy, o wiele starszy od pozostałych dwóch, ale gdyby byli w jednakowym wieku, ich przyjaźń nie byłaby tak nierozzerwalna. Ponieważ La Hire sprawował władzę w Louviers, właśnie tutaj Arnold szukałby pomocy w razie potrzeby.

Ożywiona tą myślą Katarzyna wstała, łapczywie zjadła spory kawał chleba i resztę sera, wypila nieco wody zaczerpniętej z rzeki i natychmiast poczuła się lepiej. Ponieważ cała jej waleczność powróciła, postanowiła od razu ruszyć w drogę. Noc chroniła lepiej przed niebezpiecznymi spotkaniami niż jasne światło dnia, a jej umysł pracował na tyle sprawnie, że mogła łatwo znaleźć drogę. Arnold pokazał jej o świcie, w którą stronę trzeba by iść, żeby dotrzeć do Louviers; powiedział, że to tylko dwie i pół mili stąd. Zabrała worek ze złotem i tyle zapasów, by nie być przeciążona, owinięła się w płaszcz, który przyniósł jej Jan Son, i opuściła łódź.

Przez jakiś czas szła wzdłuż rzeki, w cieniu olch, a potem - gdy zobaczyła, że rzeka skręca na wschód - stanowczo obrała kierunek na południe. Szła energicznym krokiem poprzez pola, obchodząc z daleka ponury dom, z którego komina nadal unosił się dym, i starała się nie myśleć o Arnoldzie. Zanadto potrzebowała mobilizacji całej odwagi, by mogła poddać się niepokoju, jakim przepełniało ją jego zniknięcie.

Kilka godzin później, całkowicie wyczerpana, ale pełna nadziei, dotarła w okolice Louviers. Było zbyt wcześnie, żeby wejść do miasta, zatem w oczekiwaniu na otwarcie bramy położyła się na skarpie i spała, owinięta w płaszcz, aż obudził ją śpiew skowronka.

Gdy Katarzyna podeszła do ufortyfikowanych wrót miasta, instynktownie poszukała wzrokiem flagi na najwyższej wieżyczce i

odetchnęła z ulgą. Wokół potężnej, spiczastej wieży powiewał miękko czarny proporzec ze srebrnym liściem winorośli, a żołnierze bynajmniej nie byli odziani w zielone angielskie opończe. La Hire jeszcze sprawował władzę!...

Katarzyna uniosła radośnie obydwoma rękami spódnicę, weszła do czarnego tunelu, potrafiła jednego z łuczników, który mruknął coś, ale dał jej spokój, uśmiechnąwszy się i wzruszywszy ramionami. Zaczęła biec jak szalona wąską uliczką, która wiła się niczym wąż wśród niekształtnych domów.

Dalej, na lewo, wznosił się stary, ponury dom templariuszy, w którym zamieszkiwał obecny pan miasta. Katarzyna przeleciała jak wicher obok strażników, tak zdumionych, że nie zdążyli nawet skrzyżować halabard.

- Hej tam, kobieto!... Stój!... Słyszysz? Chodź tutaj!

Ale Katarzyna nie słuchała. Wbiegła na dziedziniec właśnie w chwili, gdy La Hire statecznym krokiem kierował się w stronę swego konia, którego poił masztalerz. Wydawało się, że kapitan jest w złym humorze. Idąc, zginał nogi, by sprawdzić, czy nagołenniki i nakolanniki są dopasowane. Katarzyna rzuciła się nań z okrzykiem radości i z takim impetem, że mało nie powaliła go na ziemię. Rozgniewał się natychmiast i nie poznawszy jej, odepchnął tak, że upadła na piach.

- Do diabła z tą wszeteczną! Oszalałaś, dziewczyno! Hej, wy tam! Wypędzić mi ją zaraz!...

Katarzyna siedziała na ziemi i śmiała się niepowstrzymanie, zadowolona, że udało się jej znaleźć popędliwego kapitana.

- Źle pan przyjmuje przyjaciół, panie de Vignolles. Nie poznajesz mnie?

Na dźwięk jej głosu odwrócił się, z uniesioną nogą, miał bowiem dosiąść konia, i przyjrzał się jej. Na jego pokiereszowanym obliczu odmalowało się głębokie zdumienie.

- Ty?... Ty tutaj? Żyjesz, pani? A Joanna... a Montsalvy?

Podbiegł do niej, pomógł jej wstać z ziemi, potrząsnął nią jak jabłonią, rozgorączkowany z radości i gniewu zarazem. Gniew był jego normalnym stanem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę La Hire dusił się z wściekłości, trzął się z oburzenia, dygotał ze złości. Jego głos zagłuszał pomruki katapulty, od jego furii drżały mury miasta. Był huraganem, burzą, brutalną siłą w najczystszej postaci, ale dla tych, których kochał, straszny La Hire miał duszę dziecka. Już bulgotała w nim żółć, gdyż Katarzyna nie odpowiadała dość wyczerpująco na jego pytania. Ale młoda kobieta poczuła się bezsilna, jak wypchana trocinami lalka, gdyż dwa słowa wypowiedziane przez kapitana przeszły ją na wskroś bólem:

- A Montsalvy?...

Tak więc i on nie wiedział, gdzie się podział Arnold... Fala rozpaczy rozlała się po ciele Katarzyny, wezbrała aż do gardła i niemal ją zadławiła. La Hire wrzeszczał, nie panując już nad sobą:

- Wielki Boże!... Czy odpowiesz na moje pytanie? Widzisz przecież, że szlag mnie zaraz trafi...

Ale to jej serce odmówiło posłuszeństwa. Z okrzykiem boleści padła na stalową zbroję kapitana i zaczęła tak szlochać, że kapitan ogłupiał. La Hire, zbity z pantafelku, nie wiedział, co począć z tą kobietą tonącą we łzach. Zaczęto się im przyglądać, a niektórzy ledwie skrywali uśmiech. La Hire pocieszający kobietę, to dopiero heca!

Rezygnując z rozmowy przy wszystkich, kapitan objął Katarzynę ramieniem i poprowadził w stronę domu. Zanim jednak przestąpili próg, rzucił:

- Hej, Ferranti Idź no do klasztoru bernardynek i powiedz furtiance, żeby przysłała do mnie kobietę o imieniu Sara...

Jeden z sierżantów odłączył się od kompanii już ustawionej w należyty porządku i zniknął pod łukiem sklepienia tunelu. Tymczasem La Hire zamknął za nimi odrzwia wybijane gwoździami i poprowadził Katarzynę do ławy pełnej poduszek, gdzie usiadła.

- Każę przynieść coś do zjedzenia - powiedział z niezwykłą u niego łagodnością. - Wydaje mi się, że zgłodniałaś. Ale mów, na miłość boską, mów! Co się stało? Co się wydarzyło? Opowiadano tu, że Joanna została skazana na dożywotnie więzienie, że...

Katarzyna z trudem zapanowała nad sobą, otarła oczy rękawem i nie patrząc na La Hire'a, wyszeptała:

- Joanna nie żyje! Przedwczoraj Anglicy ją spalili, a jej prochy wrzucili do Sekwany... Na chwilę przedtem, zanim nas zrzuciono z mostu, Arnolda i mnie, zaszytych w skórzanym worku!

Smągła twarz La Hire'a raptownie zzieleniała aż do krótko ostrzyżonej, siwej strzechy włosów.

- Spalona!... Jak czarownica! Nędznicy! I Arnold na dnie rzeki...

- Nie, przecież uratowaliśmy się, jak widzisz, panie...

W kilku słowach Katarzyna opowiedziała o ostatnich dniach w Rouen, próbie uratowania Joanny, ich aresztowaniu i uwięzieniu w zamku, wreszcie o egzekucji i o tym, jak odważny Jan Son wyrwał ich śmierci. Opowiedziała także o ucieczce nocą na pokładzie barki, o swoim przebudzeniu i o niewytłumaczalnym zniknięciu Arnolda.

- Nigdzie nie natrafiłam nawet na jego ślad, w tym spustoszonej domku także nie. Tak jakby nagle rozpląnął się w powietrzu.

- Tacy jak Montsalvy nie rozpląwają się w powietrzu, jak zwyczajny dym - mruknął La Hire. - Gdyby nie żył, znalazłabyś jego zwłoki... a zresztą on żyje. Czuję to - zakończył, waląc się w piersi swą potężną pięścią w żelaznej rękawicy.

- Dlaczego? - spytała Katarzyna z lekką złościwością w głosie. - Nie sądziłam, że jesteś tak wrażliwy, wielmożny panie.

- Arnold jest moim towarzyszem broni - odparł nie bez dumy kapitan. - Gdyby nie było go pomiędzy żywymi, powiedziałby mi to mój głos wewnętrzny. Tak samo z Xaintrilles'em. Montsalvy żyje, mógłbym przysiąc.

- Chcesz, panie, powiedzieć w takim razie, że mnie porzucił? Że odszedł z własnej woli?

Ale cierpliwość La Hire'a już się wyczerpała. Jego twarz pokryła się purpurą, a porywczy charakter wziął w końcu górę.

- Czyś oszalała? Kto ci powiedział, że on cię porzucił? To prawdziwy rycerz, ty ograniczona gąsko! Nie porzuciłby nigdy kobiety wśród wsi spustoszonych i stratowanych przez wroga. Coś mu się przydarzyło, jestem tego pewien! Chodzi o to, by dowiedzieć się co. To właśnie zamierzam zrobić - natychmiast. Co zaś, pani, ciebie się tyczy, to zamiast sterczeć tu jak kołek...

Niedbały i chłodny głos dochodzący z głębi komnaty przerwał wściekłe diatryby kapitana.

- Czyżby zapomniał pan, że mówi do damy, panie de Vignolles? Doprawdy, cóż to za język!

Nowo przybyły wyglądał nieco dziwnie, nie tyle z powodu okazałości niezwykłego jak na wojenne okoliczności stroju, ile z racji twarzy. Krótka broda, tak czarna, że niemal granatowa, okalała ciasno twarz o rysach szlachetnych, ale bladej, prawie woskowej skórze, twarz, która byłaby piękna, gdyby nie okrutna fałdka w kąciku zmysłowych ust i chłodny błysk smolistych oczu. Jego oczy były zawsze nieruchome, co nadawało im niepokojący wyraz, i Katarzyna zadrżała pod ciężarem tego spojrzenia. Natychmiast rozpoznała przybysza. Był to ten człowiek, który w Orleanie próbował w nocy wejść przez okno i z którym Arnold walczył. Odpowiedziała skinieniem głowy na głęboki ukłon, jaki jej złożył. Długie mankiety jego kaftana z fioletowego jedwabiu haftowanego złotem pokryły się pyłem podłogi.

- Pan de Vignolles ma wszelkie powody, by tak przemawiać - rzekła łagodnie. - Nie wyglądam jak dama, proszę tylko popatrzeć. Raczej jak wieśniaczka czy uciekinierka.

Przybycie Gilles'a de Rais'go ostudziło gniew La Hire'a.

- Uniosłem się - mruknął pod nosem. - Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani obrazić. Po prostu kocham Montsalvy'ego, jakby był moim synem.

- A więc - wykrzyknęła namiętnie Katarzyna - proszę mi pomóc go odnaleźć. Proszę wysłać kogoś na poszukiwania, może trzeba go ratować...

- Co stało się z walecznym Montsalvym? - spytał niedbale Gilles de Rais, nie spuszczając z oczu Katarzyny, która zaczynała się czuć nieswojo pod jego spojrzeniem.

La Hire musiał zatem wprowadzić dostojnego gościa w dramat z Rouen i powiadomić o zniknięciu Arnolda. Tak jak to przed chwilą czyniła Katarzyna, opowiedział o procesie Joanny d'Arc, jej skazaniu pod

zarzutom czarów przez trybunał kościelny biskupa Cauchona zaprzędanego hrabiemu Warwickowi i kardynałowi Winchesteru, wreszcie o jej śmierci na stosie. La Hire był dużo starszy od Gilles'a de Rais'go, ale, przede wszystkim, czuł doń nieprzewycięzoną niechęć. Instynktownie wystrzegał się tego kuzyna obłudnego La Tremoille'a, któremu nie mógł wybaczyć bierności, pozornie niewytłumaczalnej, z jaką Karol VII pozwolił umrzeć Dziewicy Orleańskiej. Kapitan wiązał to ze złymi radami i zawiścią La Tremoille'a, i w tym przypadku się nie mylił.

- Tak więc Joanna nie żyje! - rzekł ponuro Gilles de Rais. - Ta, którą uważaliśmy za anioła, była dziewczyną jak inne! Spalono ją jak czarownicę i zapewne była czarownicą! Czy Bóg nas nie przeklnie za to, że szliśmy za tą fałszywą pasterką?...

W miarę jak przemawiał, osłupiała Katarzyna obserwowała jego zmieniającą się twarz, jak stopniowo wypełza na nią strach, zabobonny i rozmiękczający lęk, bliźniaczo przypominający ten, który wyczytała z twarzy Filipa Burgundzkiego, przed Compiegne, gdy prosiła go, by uwolnił Joannę. Lęk przed potępieniem, odwieczna obawa przed szatanem i czarownikiem, jego sługą! Wielki pan i nieustraszony wojownik zniknął w oczach, a pozostał jedynie nagi człowiek wydany na pastwę zadawnionego strachu, lęk przed tym, co niezrozumiałe, zrodzone z leśnej gleby druidów w stałym zagrożeniu barbarzyńskimi krwawymi bóstwami.

Mimo to La Hire przysłuchiwał się z przymrużonymi oczami i narastającą furią temu, co mówił Gilles de Rais. Zanim Katarzyna zdążyła się odezwać, wybuchnął gniewem:

- Joanna czarownicą? Komu jeszcze, poza tym nicponiem La Tremoille'em, ma pan zamiar to wmówić? Czy jest pan tak marnym

chrześcijaninem, że wystarczy panu nieprzyjacielski osąd jakiegoś zgniłego biskupa, aby zmienił pan zdanie?

- Ludzie Kościoła nie mogą się mylić - odpowiedział nikłym głosem Rais.

- To pan tak uważa! W każdym razie niech pan zapamięta jedno, panie marszałku: niech pan nigdy nie powtarza, słyszy pan, nigdy, tego, co pan powiedział. W przeciwnym razie, przysięgam przed Bogiem, ja, La Hire, wcisnę panu z powrotem te słowa do gardła tym oto przedmiotem.

I La Hire, oszalały z gniewu, wyciągnął miecz. Katarzyna dostrzegła, jak oczy de Rais'go nabiegły krwią.

Zawsze odczuwała w jego obecności instynktowną obawę, ale tym razem obrzydzenie wzięło górę. To, co śmiał powiedzieć o Joannie, wzburzyło ją tak samo, jak łatwość, z jaką stanął po stronie trybunału kościelnego. Jak Gilles de Rais mógł zapomnieć o braterstwie broni i walkach staczanych po stronie Dziewicy? Sięgnął drżącą ręką do pasa, do którego przytroczony był sztylet, a jego nozdrza zbieleły z gniewu. Zazgrzytał zębami.

- Czy to wyzwanie? Nie przyjmuję go od nikogo! Nie pytam o zdanie.

Powoli, nie spuszczać go z oka, La Hire schował swój miecz do pochwy i wzruszył potężnymi ramionami.

- Nie! To tylko zwykłe ostrzeżenie, które, jeśli pan zechce, może przekazać pańskiemu kuzynowi La Tremoille'owi. On zawsze pragnął śmierci Dziewicy Orleańskiej. Dla mnie, jak i dla wielu innych, Joannę zesłał Bóg! Spodobało mu się skazać ją, jak niegdyś Syna, na męki. Pan Jezus przybył, by zbawić ludzi, ale ludzie go nie rozpoznali... tak jak teraz nie rozpoznali Dziewicy! A ja wierzę, tak, ja w nią wierzę! - Na porytej



zmarszczkami twarzy wojownika odmalował się gorący zapach, a jego spojrzenie błądziło, jakby szukając w świetle słonecznym odbłasku białej zbroi. Ale trwało to tylko chwilę. W następnej sekundzie La Hire uderzył pięścią w stół i dokończył zdanie: - I wszystkim zabraniam twierdzić, że jest inaczej!

Być może Gilles de Rais miał zamiar coś odpowiedzieć, ale drzwi do komnaty uderzyły z suchym trzaskiem o ścianę, pchnięte silną dłonią. Sara, z rozwianym włosiem, wpadła jak burza, za nią zdyszany żołnierz, i to płacząc, to się śmiejąc, rzuciła się w otwarte ramiona Katarzyny.

- Moja malutka... moja malutka! To ty... To naprawdę ty! Wróciłaś?

Oczy Cyganki, towarzyszki Katarzyny, błyszczały jak gwiazdy, po jej policzkach spływały grube łzy, gdy przyciskała z całej siły młodą kobietę do swej obfitej piersi, pokrywając jej twarz pocałunkami. Przerywała jedynie po to, by na nią popatrzeć i upewnić się, że to ona. Wzruszona Katarzyna płakała razem z nią i było niemożliwe zrozumieć coś ze słów wypowiedzianych przez obie kobiety. W każdym razie La Hire nawet tego nie próbował. Jego stentorowy głos rozległ się tak donośnie, że podskoczyły.

- Dość tych czułości! Będziecie miały na to jeszcze dużo czasu! Idź do klasztoru ze swoją służącą, Katarzyno! Ja mam coś lepszego do roboty.

Katarzyna natychmiast oderwała się od Sary z błyskiem nadziei w oku.

- Pójdiesz, panie, szukać Arnolda?

- Oczywiście. Proszę mi wytłumaczyć, gdzie się znajduje ta ferma, w której pobliżu się zatrzymaliście... i módl się do Boga, abym coś znalazł. Bo jeśli nic nie znajdę... to lepiej się pomodlić za tych, co wpadną w moje ręce!

Katarzyna wyjaśniła wszystko najlepiej, jak umiała, starając się wyszukać w pamięci jak najwięcej szczegółów, które mogły być pomocne kapitanowi.

Gdy skończyła, powiedział krótko: „Dziękuję”, wziął hełm i jednym ruchem dłoni wcisnął go na głowę, naciągnął rękawice i tak żwawo, jak gdyby jego żelazna zbroja była jedwabną szatą, wyszedł na podwórko, hałasując jak dzwon katedralny. Katarzyna usłyszała jego wrzask:

- Hej, wy tam, na koń!

Zagrała trąbka. W kilka chwil później z grzmiącym echem opuścił bramę domostwa szwadron ciężkiej kawalerii, który pogalopował w stronę wrót miasta.

Gdy znów zapanowała cisza, Gilles de Rais, który dotąd stał nieruchomo, zbliżył się do Katarzyny i uklonił się przed nią:

- Czy mogę odprowadzić piękną panią do klasztoru? Potrząsnęła głową i wzięła pod ramię Sarę.

- Dzięki ci, panie, ale wolę pójść tylko z Sarą. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

Nadszedł wieczór, a La Hire nie wracał. Nękana niepokojem Katarzyna trwała w bezruchu godzinami na szczycie dzwonnicy zakonu bernardynek, wypatrując oczy dopóty, dopóki na niebie było jeszcze trochę światła. Śledziła, czy nie widać kurzu wznoszonego końskimi kopytami.

- Nie wrócą tej nocy - rzekła do niej Sara, kiedy zaskrzypiały masywne wrota miasta zamykane na wezwanie halabardników. - Lepiej połóż się spać. Jesteś zmęczona...

Młoda kobieta spojrzała na służącą wzrokiem somnambuliczki.

- Choć jestem zmęczona, nie mogłabym usnąć, więc po co mam się kłaść?

- Po co? - rozgniewała się Sara. - Ależ po to, by wypocząć. Idź przynajmniej poleżeć. Wiesz dobrze, że jeśli pan La Hire wróci dziś w nocy, usłyszysz trąbkę, bo będzie chciał, by otwarto bramy miasta. A poza tym, natychmiast da ci znać. No i ja będę czuwać. Zrób mi tę przyjemność. Idź, pośpij trochę...

Żeby więc zrobić Sarze przyjemność, Katarzyna rzuciła ostatnie spojrzenie na pejzaż spalonej wsi, która okryła swe rany ciemnym płaszczem nocy, i dała się zaprowadzić do celi będącej jej schronieniem jeszcze przed ową szaloną wyprawą do Rouen.

Sara rozebrała ją, ułożyła i okryła jak małe dziecko, złożyła ubranie, które Katarzyna zrzuciła z siebie, nałożyła biały czepek na drewniany stojak służący do tego celu i zapowiedziała burkliwie:

- Przed adoracją przyszedł pan de Rais, by dowiedzieć się o twoje zdrowie. Matka Maria Beatrycze dała mi o tym znać, a ja powiedziałam, że śpisz. Świątobliwa ksieni nie może kłamać, ale ja mogę... nie lubię tego człowieka!

- Dobrze uczyniłaś!

Sara złożyła pełen uwielbienia pocałunek na czole Katarzyny i wycofała się na palcach, zamykając za sobą drzwi. Katarzyna została sama w wąskim pokoiku, na którego ścianach migotał niepewnie cień płomienia padający od świecznika. Cała zamieniła się w słuch, starając się wydobyć z panującej na zewnątrz ciszy daleki hałas galopujących koni. Z czasem potrzeby wyczerpanego ciała wzięły górę nad niepokojem, troskami i po długich godzinach czuwania, w chwili gdy zakonnice opuszczały swe twarde posłania, by udać się do kaplicy na jutrznię, Katarzyna usnęła.

Jednakże sen nie przyniósł jej ukojenia. We śnie podświadomość przywołała na nowo godziny przerażenia i radości, które były jej udziałem w ostatnich dniach. Jak w przerażającym kalejdoskopie ujrzała odrażające więzienie, z którego widać było buchające olbrzymie płomienie stosu. Potem zobaczyła skórzany wór, jeszcze otwarty, do którego chcieli ją wrzucić czarno odziani ludzie. Była sama. Postać Arnolda mignęła na chwilę, by rozpląnąć się w cieniu mimo jej krzyków, mimo wysiłków, jakie czyniła, by go zatrzymać, by go uścisnąć... Ręce katów dosięgły ją i we śnie próbowała krzyczeć, by wezwać tego, który się od niej oddalał. Miała jednak związane ręce, a przemożna siła zginała ją ku ziemi, w stronę otwartego worka, który stawał się coraz większy, tak że osiągał rozmiary lepkiego tunelu, do którego wpadała. Chciała zawołać, ale jej głos był jedynie słabym tchnieniem, niemal śmiesznym, a całe ciało sparaliżował strach. Czowała, że ktoś wrzuca ją w olbrzymią przepaść, i nagle obudziła się z głośnym krzykiem, zlaną potem. Sara w nocnej koszuli i z lichtarzem w ręku pochyliła się nad nią i potrzęsała jej ramieniem.

- Śniło ci się coś... Miałaś zły sen... Słyszałam twój krzyk...

- Tak... Och, Saro! To było straszne, ja...

- Nie, nie mów nic! Nie trzeba, żeby twoje słowa powtarzały to, co cię przestraszyło. Uśniesz zaraz znowu, a ja zostanę przy tobie. Złe sny już nie powrócą.

- Na to potrzeba, żeby wrócił Arnold - rzekła Katarzyna bliska płaczu. - Jeśli nie wróci, złe sny już nigdy mnie nie opuszczą.

Reszta nocy upłynęła bez zakłóceń. Nastał nowy dzień, ale La Hire i jego ludzie nie wrócili do Louviers. Katarzynę dręczył niepokój, a jej nadzieje malały w miarę upływu godzin.

- Gdyby znalazł Arnolda, wróciłby już.

- To nie jest takie pewne - odparła Sara, by ją uspokoić. - Jego wyprawa mogła zaprowadzić go dalej, niż zamierzał.

Nawet uspokajające słowa Sary nie mogły oderwać Katarzyny od wieży. Być może spędziłaby w niej kolejną noc, gdyby tym razem w porze, w której słońce zachodzi za skłębioną zielenią pól, na drodze prowadzącej od zachodu nie pojawił się obłok kurzu. Wkrótce dały się zauważyć płowe refleksy ostatnich promieni światła odbijających się od broni. Kiedy Katarzyna mogła już rozróżnić czarny proporzec ze srebrną winoroślą, puściła się pędem ze schodów.

- Już są! Wracają! - krzyczała, nie dbając o świątobliwość miejsca, w którym przebywała.

Jak pocisk przeleciała przed nosem osłupiałej matki Marii Beatrycze, potrąciła furtiankę i znalazła się na dworze, ciągnąc za sobą Sarę. Przebiegła uliczkę prowadzącą do bram miasta, podkasawszy spódnicę, by biec szybciej.

Dotarła do wrót strażniczych w tej samej chwili, gdy rumak La Hire'a przejeżdżał pod podniesioną kratą, i rzuciła się prawie pod końskie kopyta.

- No i co? Znalazłeś go, panie?

Kapitan z wielkim trudem przytrzymał konia, by nie poturbował Katarzyny, i straszliwie zaklął. Spod uniesionego hełmu spozierała czarna od pyłu, zatroskana twarz.

- Nie - rzucił surowo. - Nie ma go tu z nami.

Gdy jednak zobaczył, że Katarzyna pobladła, zawstydzil się swej brutalności, zeskoczył z siodła i podbiegł do niej w samą porę, by podtrzymać osłabłą kobietę.

- Cóż to znowu, nie będziesz mi chyba tak omdlewać w ramionach! Nie znalazłem go, ale wiem, że żyje. To już coś, prawda? No, chodźmy stąd, nie będę się przecież tłumaczyć tutaj.

Żyje! To słowo przywróciło Katarzynę do życia skuteczniej niż klepięcie w policzek. Spojrzała na La Hire'a z nadzieją w oczach i dała się poprowadzić do domu przyklasztornego. Za nimi ciągnął się sznur zmęczonych, brudnych żołnierzy. Całe to towarzystwo zagłębiło się w czarnej bramie i wypełniło dziedziniec. Dopiero gdy żołnierze zsiadli z koni, Katarzyna zauważyła, że prowadzili więźnia.

Zbite stado koni zasłaniało dotychczas ten widok. A przecież był to olbrzymi mężczyzna, typowy Normandczyk o jasnych, prawie rudych włosach, mocny niczym machina obłącznicza, w którym, w niemal nienaruszonej postaci, skupiało się dziedzictwo wikingów. Jego ręce, związane grubymi sznurami, którymi przytroczony był do siodła sierzanta Ferranta, były masywne i szorstkie, pokryte kędzierzawymi włoskami barwiącymi je na złocisto, mimo to wyglądały na zręczne i wiele potrafiące.

Licha opończa z poszarpanego płótna pokrywała z trudem tors godny niedźwiedzia i ramiona wołu, nad którymi osadzona była twarz ceglastej barwy o rozmytych rysach, ale wyrazistym wejrzeniu. To spojrzenie jasnoszarych oczu, wymykające się spod krzaczastych brwi, przypominało żywe źródło tryskające wśród gęstwiny traw.

Jeniec nie był bynajmniej przejęty swoją sytuacją. Spoglądał na rzeczy i ludzi wzrokiem spokojnym i dobrodusznym, bardziej zdziwionym niż przestraszonym, w którym zapaliło się ciepłe światło, gdy spojrzał na Katarzynę.

- Kto to? - zapytała młoda kobieta, gdy tymczasem uzbrojeni ludzie popychali spętanego mężczyznę w kierunku dużej komnaty.

- A bo ja wiem? - odparł La Hire, wzruszając ramionami. - Znaleźliśmy go ogłuszonego w piwnicy tego twojego domeczku. Miał pod pachą beczułkę gorzałki. Pewnie to jakiś angielski opryszek! Odkąd powróciliśmy na tereny normandzkie, Godonowie mają coraz większe kłopoty ze ściąganiem od chłopów należności, więc nadrabiają to tak, jak potrafią.

W odpowiedzi rozległ się głos mężczyzny tak potężny, że zniweczył spokój panujący w komnacie i rozbrzmiał donośnie, niczym pod sklepieniem katedry.

- Nie jestem Anglikiem, lecz dobrym Normandczykiem, wiernym poddanym króla Karola.

- Hm! - mruknął La Hire. - Mówisz naszym językiem, a to już coś. Jak się nazywasz?

- Walter! Drwał Walter, ale nazywają mnie Walter Malencontre\*.

- A czemuż to?

Człowiek z lasu zaśmiał się szorstko.

*\* Malencontre (franc.) - złe spotkanie.*

- Bo kiedy mam w ręku porządną siekierkę, której nie daliście mi zabrać, nie jest dobrze spotkać się ze mną w lesie. Nie chwałę się zbytnio, ale mogę wystarczyć za dziesięciu, panie kapitanie.

- Wytłumacz się. Co robiłeś w tym domu? Kto cię ogłuszył?

- Ja sam! Nie pozwalaliście mi dotąd mówić. Teraz chcę powiedzieć, co wiem... bo pan jest kapitanem króla. Wziąłem pana za włóczęgę. Dlatego miałem się na baczności.

La Hire wzruszył ramionami, ale nie mógł opanować skrzywienia ust. Był trochę włóczęgą, zwłaszcza gdy nie było wojny. Trzeba wykonywać swój fach, jeśli jest się do tego stworzonym! Nastroje La Hire'a nie interesowały jednak Katarzyny, która aż drżała z niecierpliwości. Sama zaatakowała jeńca.

- Co pan robił w tym domu? Czy pan wie, co się tam stało?

- Tak - odparł mężczyzna ponuro. Spojrzał żywo na Katarzynę, a potem ciągnął dalej: - Magloire i Guillemette, nieszczęśnicy mieszkający w tej chacie, byli moimi kuzynami. Przychodziłem do nich czasami, kiedy w lesie robiło się zbyt głodno. Byli dobrzy i uczynni i nigdy żaden biedak nie odszedł od nich z pustymi rękami. Nocowałem u nich, gdy nad ranem przyszedł jakiś mężczyzna. Był źle odziany, ale wyglądał na rycerza. Podał Guillemette złotą monetę i zapytał, czy nie ma odrobiny mleka. To angielskie złoto wydało się jej dziwne, więc zaczęła go wypytywać, ale przybysz nie chciał nic mówić. Powiedział tylko, że jest nietutejszy, że pracował w Rouen i wraca w swoje strony. Coś takiego było w jego głosie, że człowiek mu wierzył. A jednak ta instynktowna wyższość, jaką okazywał, była dziwaczna. Guillemette dała się przekonać. Złoto to rzecz tak rzadka! Miała właśnie iść do obory po mleko, kiedy weszli... tamci... cuchnący... krwiożercze wilki! Ponieważ rozmawialiśmy, nie usłyszeliśmy, że się zbliżają.

- Kim byli? Znałeś ich?



Pomimo że La Hire był silny, nie był w stanie stawić czoła więźniowi ze związanymi rękoma. Jednym raptownym ruchem Walter Malencontre odrzucił go od siebie.

- Oczywiście, że ich znam! Widziałem ich porzecz. Należy do Richarda Venablesa, angielskiego oprawcy, ścierwa gorszego niż jego pan, szatan. Ma kryjówkę w kredowych jaskiniach Orival i starych ruinach Roberta Diabła. O, nie był to przyjemny widok... Biedna Guillemette! Biedny Magloire!

- Patrzyłeś, jak podrzynają im gardła, i nie ruszyłeś się z miejsca?

- Coś podobnego - warknął ze złym błyskiem w oczach. - Trzeba było to zobaczyć, a potem dopiero mi ubliżać. Venables miał o czterech ludzi mniej tylko dzięki mnie jednemu. Na wpół mnie ogłuszyli, związali... udawałem martwego, tak było lepiej, nie na wiele bym się przydał. Umiem to dobrze robić. Ale co przeżyłem, nie możecie sobie wyobrazić. Związany sznurkiem jak kielbasa, oczy zamknięte, jednak wszystko widziałem... i wszystko słyszałem. To było jeszcze gorsze! Och, człowiek od złotej monety też zrobił dobrą robotę. Złapał ławę i walił w nich po kolei. Ale i tak go dostali. Znalazł się związany na ziemi obok mnie, zemdłony, z guzem na czole, który rósł w oczach i czerniał. To było dobre w gruncie rzeczy... Nie słyszał, jak mała Guillemette i biedny Magloire wyli... Myślałem, że oszaleję, więc dziękowałem Bogu, kiedy umilkli, bo zrozumiałem, że już nie żyją.

Ucichł na chwilę, wzruszył ramionami, jak gdyby chciał wytrzeć pot z twarzy. Katarzyna bez słowa podeszła doń i otarła nieszczęśnikowi twarz, on zaś spojrział na nią wzrokiem pełnym niewymownej wdzięczności.

- Dzięki, piękna pani!

- Proszę - przerwała mu Katarzyna, cofając się - proszę mówić dalej!  
Co stało się z panem Montsalvym? To znaczy: z tym, którego nazywacie  
człowiekiem ze sztuką złota?

- Ach, wiedziałem, że to był wielki pan! - zakrzyknął triumfalnie  
Walter. - Zresztą Venables też to poznał od razu. Kiedy... wszystko było  
skończone, usłyszałem, jak rozkazał dwóm swoim ludziom zabrać go, by  
spróbować wycisnąć zeń okup.

- Jak to się stało, że ciebie zostawili w spokoju? - rzucił La Hire  
szydlerczo. - Taki chłop jak ty wart jest sporo złota.

- Powiedziałem już, że brali mnie za martwego. Na odchodnym  
podpalili wiązkę słomy pod stołem, myśląc, że wszystko pójdzie z dymem,  
razem ze mną, ale jak tylko zniknęli, spaliłem sznury, którymi byłem  
związany, ugasiłem pożar... a potem uciekłem.

- Uciekłeś? - zdziwiła się Katarzyna. - Dlaczego? Znow zwrócił ku  
niej oczy lśniące od łez.

- Proszę mnie zrozumieć, pani! Lubiłem ich obydwoje... i patrzeć na  
nich, jak tak leżą... nie mogłem tego wytrzymać. Popędziłem prosto przed  
siebie aż do zagajnika, rękami zatykałem uszy, bo mi się ciągle zdawało,  
że słyszę ich przedśmiertne krzyki. Cały dzień leżałem pod gałęziami,  
płakałem i drżałem na całym ciele... Ale potem się zawstydzilem...  
Wróciłem tam, bo miałem jeszcze coś do zrobienia. Biedaki! Mieli prawo  
po tych mękach spocząć w poświęconej ziemi. No więc najlepiej, jak tylko  
umiałem, owinąłem ich w prześcieradła i kiedy noc zapadła, wziąłem ich  
na swoje ramiona i poszedłem pochować tam, gdzie spoczywają zmarli,  
przy kaplicy wiejskiej.

- ...i wróciłeś, żeby zobaczyć, czy opryski Venablesa czegoś nie  
zostawiły - rzucił La Hire sarkastycznie.

Malencontre zwrócił ku niemu oblicze tak skurczone z wściekłości, że prawie fioletowe.

- Kapitan królewski powinien rozumieć pewne rzeczy! Tak, wróciłem, bo wiedziałem, gdzie Magloire chowa beczułkę z gorzalką, i chciałem się upić, rozumie pan? Upić się na umór, żeby już nie słyszeć krzyków Guillemette... i właśnie dlatego walnąłem się o belkę!

Zapadła cisza. La Hire, z rękami na plecach, krążył po niskiej komnacie, a jego buty stukały o kamienną posadzkę. Przez cały ten czas Katarzyna patrzyła uważnie na dziwnego drwala. Odczuwała do tego człowieka, który opowiadał o Arnoldzie, instynktowną sympatię. Raptem La Hire zatrzymał się przed Walterem.

- Jesteś pewien, że wszystko opowiedziałeś... i że to była prawda? Twoja historia wydaje mi się podejrzana. Mam wielką chęć wziąć cię na męki.

Drwal wzruszył potężnymi ramionami i roześmiał mu się prosto w nos.

- Jeśli to cię, panie, bawi, nie krępuj się. Ale chciałbym rzec, że kat, który zmusiłby Waltera Malencontre'a, by powiedział coś innego niż najprawdziwszą prawdę, jeszcze nie przyszedł na świat!

Nie można było bezkarnie sztydzić z La Hire'a. Kapitan spurpurowiał i ryknął:

- Przeklęty łajdaku! Zobaczymy, czy będziesz się jeszcze ze mnie śmiał, gdy zawiśniesz na sznurku. Powiesić go!

- Nie! - Katarzyna instynktownie rzuciła się, zasłaniając związanego mężczyznę, rozpostarłszy szeroko ramiona. Powtórzyła podniesionym głosem: - Nie, panie... Byłoby to niepotrzebne okrucieństwo. Co do mnie, wierzę w to, co on mówi. Dlaczego zresztą miałby kłamać? Nie uczynił

nic, czym zasłużyłby na szubienicę, a może być nam bardzo potrzebny!  
Czyż nie powiedziałaś dopiero co, że wart jest tyle złota, ile sam waży?

- Nie lubię, gdy ktoś ze mnie kpi.

- On nie kpił z ciebie. Błagam cię, panie La Hire, w imię przyjaźni, jaką żywisz dla Arnolda, nie zabijaj tego człowieka. Zostaw go... proszę.

La Hire, podobnie jak inni, nie miał tyle siły, by móc się oprzeć prośbie Katarzyny. Rzucił jej żywe spojrzenie, potem spojrzał na więźnia wzrokiem pełnym urazy i wreszcie, wzruszając ramionami, wyszedł z komnaty wielkimi krokami, krzyząc:

- Zróbcie z nim, co chcecie, powodzenia. Należy do was.

Kilka chwil później uwolniony z więzów wielki drwal pokornie padł na kolana przed Katarzyną.

- Pani... zawdzięczam ci życie. Zrób z nim, co chcesz, ale pozwól, abym mógł ci służyć. Nawet tak piękna dama potrzebuje wiernego psa.

Tej nocy Katarzyna spała lepiej. Była spokojniejsza o Arnolda, wiedziała, że nawet jeśli jego obecny los jest nie do pozazdroszczenia, to jego życiu nie powinno nic zagrażać tak długo, jak długo bandyta, który go więził, miał nadzieję wydobyć coś z niego. A nadto La Hire postanowił wyruszyć o świcie z częścią wojsk z Louviers, aby wykurzyć lisa z jamy i zabrać mu jeńca. Do kogóż mogłaby mieć większe zaufanie i komu miałyby powierzyć życie Arnolda, jak nie popędliwemu kapitanowi?

Zanim poszła spać, oddała Waltera pod opiekę klasztornemu ogrodnikowi, wywołując tym kwaśne uwagi ze strony Sary:

- I co my poczniemy z tym wielkim dzikusiem? - zrzędziła dzielna kobieta. - Trochę za wielki na pazia, trochę zbyt cuchnący jak na lokaja,

zbyt nieokrzesany, by służyć prawdziwej damie, i w ogóle zbyt kłopotliwy!

- Ale stanowi dobrą ochronę i mam przecucie, że będziemy go potrzebować. A co do dzikusów... po raz pierwszy, odkąd cię znam, słyszę, że wypowiadasz to słowo z naganą w głosie. Czy to oznacza, że zapierasz się swego pochodzenia, Saro?

- Nie zapieram się go wcale, ale mam prawo nie skakać z radości na myśl, że będziemy mieć tego draba na karku.

- W dzisiejszych czasach taki człowiek jak on może być użyteczny - powiedziała Katarzyna tonem tak stanowczym, że Sara już nie nalegała i zadowolona się pomrukiem:

- W końcu, co mnie to obchodzi!

Noc zatem była spokojna, ale od pierwszych promieni jutrzeńki w małej twierdzy zaczął się niecodzienny ruch. Szmery, odgłosy bieganiny i krzyki zakłóciły spokój klasztorny, w chwili gdy długi, biały sznur zakonnic opuszczał kaplicę, by podążać do refektarza.

Katarzyna i Sara, obie w woalkach i z książeczkami do nabożeństwa w rękach, szły za matką przełożoną. Nigdy Katarzyna nie była bardziej roztargniona w czasie mszy. Od Ewangelii, gdy dały się słyszeć pierwsze hałasy, cały jej umysł był zaprzątnięty tym, co działo się na zewnątrz, i z największym trudem zmusiła się do pozostania na miejscu. Myśli kłębiły się jej w głowie. Zadawała sobie pytanie, czy La Hire nie wyprawił się w nocy na Venablesa... Może to on wraca i z jego przyczyny jest cały ten zgiełk!... A może przywiózł Arnolda? *Ite, missa est\** zabrzmiało dla niej jak znak wyzwolenia i z ulgą opuściła kaplicę, ubolewając nad ceremonialnością procesji, która zmierzała w stronę refektarza.

*\* Ite, missa est (łac.) - Idźcie, msza jest skończona.*

Czy zakonnice były tak dalece oderwane od świata, że nie interesowały się tym, co się działo poza murami klasztoru? A jednak, posuwając się wzdłuż galeryjek wyznaczonych wąskimi kamiennymi kolumnkami, matka Maria Beatrycze nastawiała uszu. Wokół cichej wysępki opactwa hałas przybierał na sile. Można było rozróżnić teraz okrzyki: Na mury! Do broni!

Ksieni odwróciła się w stronę przeoryszy.

- Matko Agnieszko od Aniołów, proszę iść do furty i zobaczyć, skąd dochodzi ten zgiełk. Jestem pewna, że zostaniemy zaatakowane...

Zakonnica ukloniła się i pobiegła w drugi koniec ogrodu. Ale nie zdążyła dobiec do furty. Furtianka nadbiegała z przeciwnej strony alejkami prowadzącymi pomiędzy kępami bukszpanów i ziół. Była purpurowa z emocji, a jej kornet przekrzywił się na bok.

- Matko przełożona, przybył pan de Vignolles - rzekła szybko, ukloniwszy się przelotnie. - Powiada, że Anglicy nadciągają i że pragnie pilnie pomówić z panią de Brazey.

Matka Maria Beatrycze zmarszczyła brwi. Nie przepadała za zbyt częstymi odwiedzinami żołnierzy w klasztorze, wprowadzały one bowiem gorączkową atmosferę niedającą się pogodzić z potrzebą modlitewnego skupienia.

Katarzyna chciała się wtrącić, biec w stronę gościa, ale matka przełożona stanowczym gestem zatrzymała ją i odsunęła poza siebie.

- Czy pan de Vignolles nie może zostawić nas w spokoju przynajmniej w niedzielę? - rzekła z niezadowoleniem. - Tutaj jest klasztor, a nie sala bankietowa zamku feudalnego. Wydawałoby się...

Nie było jej dane mówić dłużej. Dał się słyszeć szybki krok oraz twardy i donośny głos La Hire'a. Zakonnice rozpierzchły się na wszystkie

strony, wydając spłoszone okrzyki. Kapitan sunął prosto do matki przełożonej, której twarz stała się fioletowa.

- Matko przełożona, nie mam dużo czasu na dysputy, a jeszcze mniej na wymianę uprzejmości. Wróg się zbliża. Jeśli nie słyszy pani hałasu, jaki czynią mieszkańcy miasta biegnący ku umocnieniom, to chyba dlatego, że mury klasztoru są grube, albo też jest pani przygłucha. Muszę mówić natychmiast z panią de Brazey. Zechce pani uprzedzić ją i powiedzieć jej służącej, żeby przygotowała bagaże swojej pani. Musi ona opuścić miasto przed upływem kwadransa! Czekam!

Matka Maria Beatrycze zapewne podjęłaby dalszą dyskusję, ale w tej samej chwili Katarzyna, niezdolna już panować nad sobą, wślizgnęła się pomiędzy nią i kapitana.

- Oto jestem, wielmożny panie! Niech pan nie krzyczy tak głośno. Chcę, by pan wiedział, że nie wyjadę stąd, dopóki nie odnajdę Arnolda.

- Ależ, pani - uniósł się bezzwłocznie La Hire. - Masz szansę nie odnaleźć go nigdy i dokonać żywota tutaj. Proszę mnie usłuchać, bo nie mam czasu do stracenia! Muszę bronić tego miasta i nie mogę spierać się godzinami, by panią przekonywać. Rozpoznałem porporzec wodza, który zbliża się do miasta. To John Fitz - Allan Maltravers, hrabia Arundel, srogi żołnierz, proszę mi wierzyć, i bynajmniej nie jestem pewien, czy go zwyciężę. Mam mało wojsk, on zaś, jak się zdaje, ma ich wiele i gdybyś, pani, wspięła się na mury, zobaczyłabyś na horyzoncie czarny dym. To płonie most de l'Arche. Może będziemy musieli ewakuować się z Louviers, zostawiając je na pastwę zwycięzcy...

- Jak pan śmie mówić coś takiego? - wykrzyknęła Katarzyna, chwyciwszy ramię ksieni. - Porzucicie miasto? A mieszkańcy, a zakonnice?

- Tak się dzieje, kiedy jest wojna, córko - rzekła łagodnie matka Maria Beatrycze. - My, oblubienice pańskie, nie obawiamy się Anglików, którzy - tak jak my - są chrześcijanami. Poddanie miasta pomoże zapewne uniknąć najgorszego. Anglikom brak pieniędzy i żywności. Nie mogą sobie pozwolić na luksus obrócenia nas w perzynę!

- Nie krępowali się jednak w wypadku mostu de l'Arche?

- Dość tych dyskusji! - uciał La Hire niecierpliwie. - Pani, Katarzyno, wyjedźcie, nie jestem bowiem w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa i byłabyś mi, pani, ciężarem... Jestem żołnierzem, a nie damą do towarzystwa.

Katarzynę ogarnęły zarazem gniew i lęk.

- Doprawdy? Pan jesteś żołnierzem i chcesz wysłać mnie w drogę? A dokąd to, jeśli wolno zapytać? I Arnold, Arnold w rękach Venablesa, czyż zapomniał pan o nim?

- Nie zapomniałem o niczym. Z jego powodu wyzbywam się dwudziestu ludzi, co znaczy bardzo wiele, kiedy wróg nadciąga. Marszałek de Rais skorzysta z tego, że Maltravers unieruchomi pod murami znaczny kontyngent Anglików, by go wyrwać z rąk tego opryszka. Jeśli zaś o panią chodzi, pani miejsce jest u boku królowej Jolanty, której jesteś, pani, dwórką. Królowa przebywa w zamku Champtoce, u wielmożnego pana de Rais'go, gdzie odbywa ważne rozmowy z księciem Bretanii. Dołączy pani do niej w Andegawenii. Tam właśnie doprowadzi Montsalvy'ego de Rais, gdy tylko go uwolni - złotem albo bronią - od Richarda Venablesa.

Tym razem Katarzyna słuchała La Hire'a, nie przerywając mu, i pochmurniała coraz bardziej w czasie jego przemowy. Wreszcie potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale zostaję tutaj! Nie mam zaufania do pana Rais'go.



Cierpliwość La Hire'a była na wyczerpaniu. Dobiegający z zewnątrz głos trąbki dopełnił miary. Nie troszcząc się o świętość miejsca, zaczął wrzeszczeć:

- Ja też nie! Ale jest po naszej stronie, nie ma żadnego interesu w tym, by nas zdradzić; zresztą nie śmiałyby tego uczynić! Co więcej, ani pani, ani ja nie mamy wyboru. To wojna, a Montsalvy, gdyby tu był, powiedziałby to samo i pragnąłby widzieć panią w bezpiecznym miejscu.

- W bezpiecznym miejscu? Na drogach? - spytała z goryczą Katarzyna.

- Masz, pani, dobrego obrońcę. Tego drągała, którego uratowałaś od stryczka. Damy mu niezły toporek, jako że tę broń lubi najbardziej. Jedźcie i zaczekajcie na Arnolda w Champtoce. Taka jest moja wola!

- Czy to rozkaz?

La Hire zawahał się, po czym rzekł twardo:

- Tak. To rozkaz. Proszę wyruszyć za kwadrans, rzeką, zanim miasto zostanie zajęte. W przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie?

- W przeciwnym razie wyjedziecie jutro, razem z darmożjadami.

Wystarczy nam żywności tylko na dwadzieścia cztery godziny.

Skłonił się i odszedł. Znikał już pod szarawym ostrołukiem, gdy Katarzynę ogarnęła panika, jak gdyby oddalający się rycerz porzucił ją, nagą i bezbronną, na pastwę wilkom. Ale było to tylko przelotne wrażenie. Była zanadto przyzwyczajona do twardego życia, do niebezpieczeństw, do strachu, aby dalej prowadzić dyskusję. Już teraz myślała o czekającej ją drodze. Champtoce? Jaką obrać trasę, by bezpiecznie dotrzeć do tego zamku, gdzie wreszcie mogłaby znaleźć królową? U boku Jolanty nie obawiała się niczego. Mogła czekać we względnym spokoju na powrót

ukochanego mężczyzny. Jeszcze kilka dni, tylko kilka dni rozłąki! Potem wszystko pójdzie łatwo. Z pewnością mogła przystać na jeszcze tę chwilę zapłaty za swoje szczęście. Już i tak drogo ją kosztowało! Trochę mniej, trochę więcej - cóż to za różnica! Pan Jezus i Najświętsza Paniienka będą czuwać nad nią w drodze i zaprowadzą ją do bezpiecznego portu, którym była królowa Czterech Królestw\*.

Powstała. Jej głos dotarł do La Hire'a, który zmierzał prosto do drzwi. Głos jasny i stanowczy.

- Będę panu posłuszna, wielmożny panie. Za chwilę opuszczę miasto. Niech Bóg sprawi, by nie musiał pan żałować, iż mnie z niego wygnał!

- Nie wyganiam pani - zaprotestował La Hire od progu, nieco zmęczonym głosem - pragnę jedynie zapewnić pani bezpieczeństwo! A nie mógłbym tego uczynić, gdyby Anglicy dostali panią w swe ręce. I nie będę miał czego żałować. Niech Bóg nad panią czuwa, Katarzyno!

*\* Jolanta Aragońska - księżna Andegawenii, królowa Neapolu, Sycylii i Jerozolimy, teściowa Karola VII.*

## Rozdział drugi

# Wiking

---

Godzinę później niewielka barka ślizgała się po wodzie w cieniu południowych murów Louviers, unosząc Katarzynę, Sarę i ich potężnego towarzysza, Waltera Malencontre'a, który okazał się mężem opatrnościowym. Mocarny Normandczyk dzierżył długą dębową żerdź, która w jego dłoniach wyglądała jak witka leszczyny. Stojąc z tyłu, zanurzał ją w wodzie i potężnymi pchnięciami posuwał czółno do przodu. Wkrótce mury zniknęły z horyzontu, ukryte za gęstą roślinnością. Olchy o pomarszczonych liściach i czerwonych baziach oraz srebrzyste wierzby tworzyły coś na kształt tunelu nad złocisto mieniącą się wodą. Gdy wyruszyli, zapowiadał się upalny dzień, ale tutaj było niemal chłodno.

- Ach, jakbym chciała się wykąpać - szepnęła Katarzyna, zanurzając rękę w wodzie.

- Dobry pomysł! - sarknęła Sara, która na łodzi nie odezwała się nawet słowem. - Anglikom pozostałoby tylko cię wyłowić.

- Nie przyjdą tu - stwierdził Walter. - Tu są bagna! To niebezpieczne. Można ugrzęznąć.

Sara nie raczyła odpowiedzieć olbrzymowi, ale Katarzyna się do niego uśmiechnęła. Coraz bardziej gratulowała sobie uratowania mu życia. Walter należał do tych, którzy nie dziwią się niczemu i zachowują się

zawsze powściągliwie - w uczynkach i w słowach. Kiedy przyszli po niego do ogrodnika klasztornego i oznajmili mu, że trzeba jechać, nie powiedział nic. Wyciągnął tylko rękę po siekiere, którą jeden z żołnierzy mu przyniósł, wypróbował palcem, czy jest ostra, i wetknął ją za pas.

- Jestem gotów - powiedział jedynie.

Na polecenie Katarzyny ogrodnik dał mu ubranie. W miarę przyzwoite, zamiast podartego, nienadającego się do noszenia, które miał na sobie zrazu. Krótka tunika z czarnego barchanu, obcisłe brązowe pludry wetknięte w grube buty ze skóry - wszystko to nadawało mu wygląd zamożnego wieśniaka. Najtrudniej było znaleźć dlań obuwie. Wykonał je pośpiesznie szewc z pary sandałów należących do przełożonego franciszkanów, których klasztor sąsiedował z klasztorem bernardynek. Walter jednak skrzywił się, założywszy je, i spiesznie je zdjął, gdy tylko wsiadł do barki.

Jedna rzecz Katarzynę uderzyła. Zanim opuściła klasztor, chciała pomodlić się chwilkę w kaplicy. Oczywiście Sara poszła razem z nią, ale Walter odmówił przyłączenia się do nich. Katarzyna okazała zdziwienie.

- Nie jestem chrześcijaninem! - powiedział sucho, pozornie nie zwracając uwagi na zgorzone miny otaczających go osób.

- Ale - zauważyła Katarzyna - powiedziałaś nam, że którejś nocy pochowałeś swoich przyjaciół obok kaplicy?

- Oczywiście. Mieli do tego prawo. Oni wierzyli, byli ochrzczeni, ja nie!

- Później zajmę się twoją edukacją - powiedziała na to, nie nalegając dłużej.

Teraz, gdy barka bezszelestnie ślizgała się po spokojnej rzece, Katarzyna rozmyślała o tym wszystkim, spoglądając na wielkiego

Normandczyka spod półprzymkniętych powiek. Walter budził w niej dziwne uczucia.

Uważała, że jest sympatyczny, ale nieco się go obawiała, mniej z uwagi na siłę, a raczej ze względu na jasne, acz nieprzeniknione wejrzenie. Wydawało się, że nie myśli teraz o niczym; mimo to młoda kobieta miała prawie fizyczne uczucie, że z wielkim napięciem nasłuchiwał słabnących hałasów miasta. Krzyki, zamęt czyniony przez mieszczan i prostych ludzi zamykających okiennice i biegnących w stronę murów, by zatkać spieszenie jakieś stare wyrwy, gromadzących wiązki chrustu i polana, znoszących kamienie i smołę do obrony miasta bądź wyciągających broń ze strychów, śpiewających pieśni liturgiczne mnichów od świętego Franciszka, którzy szli w procesji po ostatnie błogosławieństwo przed walką i, górujący nad wszystkim, grzmiący głos La Hire'a - wszystko to rozmywało się pomału. Zgiełk wojenny ustępował miejsca pluskowi wody uderzającej o baręk, szelestowi trawy, wśród której przebiegał uciekający królik, gwizdowi kosa na gałęzi. Katarzyna czuła, jak ogarnia ją niepostrzeżenie rosnący wokół niej spokój, piękno tego chylącego się ku zmierzchowi wiosennego dnia. Rzeka, dość szeroka w tym miejscu, przemykała pomiędzy dwoma brzegami pokrytymi krzakami jeżyn, dzikimi jabłoniąmi, wiśniami i młodziutkimi jeszcze dębami. Wszystko to wydzielało w słońcu zdrową, przyjemną woń świeżej roślinności i soczystej gleby. Gdyby każdy ruch żerdzi nie zwiększał odległości dzielącej ją od Arnolda i gdyby nie była tak znękana niepokojem i tak przywiązana do ukochanego, czerpałaby rozkosz i ukojenie z tego cichego rejsu pod zielonymi gałązkami, poprzez które przezierały wielkie połacie ciemnoniebieskiego nieba.

La Hire wytyczył Katarzynie i jej towarzyszącej drogę, którą mieli się udać. Była najeżona niebezpieczeństwami, bowiem kraina, którą mieli

przebyć, w znacznej mierze znajdowała się w rękach Anglików. Trzeba było płynąć w górę rzeki Eure aż do Chartres.

Wielkie miasto Notre Dame, tłumnie odwiedzane przez pielgrzymów mimo wojny, a może i z jej powodu, było bezpieczną ostoją przed wyruszeniem na spustoszone, spalone i wygłodzone ziemie, które dzieliły Chartres od Orleanu. To było najtrudniejsze, najniebezpieczniejsze. Potem należało tylko skierować się na wielką drogę wodną - Loarę - I dać się unieść wielkiej rzece aż do wież Champtoce.

Loara!... Ileż wspomnień, nadziei i cierpień wywoływała w Katarzynie sama ta nazwa. Już raz, z wielkim trudem i w wielkim nieszczęściu, szeroka wstęga wody przyprowadziła ją do Arnolda i znów trzeba się do niej zwrócić, by zechciała ich połączyć. Oczywiście Katarzynie nie uśmiechała się myśl, że miałyby być gościem niepokojącego pana de Rais'go. Ale czy mogłoby jej zagrażać niebezpieczeństwo lub zdrada u boku królowej Jolanty? Nie. Należało zmierzać prosto drogą i skrócić ją o tyle, o ile było to możliwe. To już ostatnia próba! Później nic nie rozdzieli jej z Arnoldem. Wkrótce zostanie jego żoną... Jego żoną! Samo to słowo wywoływało w niej dreszcz szczęścia...

Ta myśl rozpaliała jej serce płomieniem i sprawiła, że życie nabrało dla niej innych barw. Uśmiechnęła się do pokrytych świeżą zielenią brzegów, do Sary, która spojrzała na nią ze zdziwieniem, wreszcie posłała uśmiech Walterowi.

- Jaki piękny dzień - rzekła niemal radośnie. Olbrzymi Normandczyk nie uśmiechnął się jednak.

Przyglądał się ze ściągniętymi brwiami jakiemuś odległemu punktowi w górze rzeki.

- Nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca - wymamrotał pod nosem. - Miecza, który zadał cios, i ko...

- Czemu nie kończysz? - zapytała Katarzyna. - Co chciałeś rzec: kobiety?

- W istocie, pani. Ale koniec tego starego przysłowia duńskiego nie spodobałby się pani. A ponadto, nie pora teraz na rozmowy.

Katarzyna odwróciła się w kierunku, który wskazywała jego wyciągnięta ręka, i stłumiła okrzyk... W tej samej chwili rozległy się krzyki. Z zarośli wynurzyły się kobiety i puściły biegiem. Były to, ukryte dotąd za wysokimi trawami, praczki, które teraz uciekały przed niewidocznym wrogiem. Ich suknie z niebieskiego płótna, uniesione aż do pasa, ukazywały zaróżowione od zimnej wody nogi. W ferworze ucieczki rozwiały im się włosy, które wystawały spod białych czepków i opadały na ramiona.

- Czemu one biegną? - spytała Katarzyna.

Nikt jej nie odpowiedział. Za praczkami, na zakręcie leśnej ścieżki, ukazali się czterej żołnierze w zielonych opończach. Najwidoczniej je gonili. Walter nagłym ruchem zawrócił łódkę, która zagłębiła się w mule i trzcinach.

- Anglicy! - szepnął, a jego ręka opadła na ramię Katarzyny, zmuszając ją, by położyła się na dnie barki. - Proszę się schować... I ty też - rzucił gniewnie do Sary, która udawała, że go nie słyszy. - Nie jesteś, pani, aż taka stara, by nie być w niebezpieczeństwie...

Nie dodał już nic więcej. Sara burczała, ale ułożyła się obok Katarzyny. Jednakowoż Normandczyk, zamiast przyłączyć się do nich, przesadził burtę i padł na wodę bez najmniejszego pluśnięcia, tak miękko,

jak nurkująca wydra. Sara uniosła głowę, zobaczyła go zanurzonego w wodzie po pas, z siekierą w ręku.

- Coś podobnego! Dokąd idziesz?

- Zobaczę, czy mogę coś zrobić dla tych kobiet. Są Normandkami, tak jak ja.

- Taaa! - odparła Cyganka. - I myślisz, że zostaniemy tu obie w tej norze? Płyn, a ja za tobą!

Potężna kobieta wyprostowała się, chwyciwszy żerdź, zanurzyła ją w wodzie i jednym silnym pchnięciem wydobyła łódkę z mułu. Walter nie upierał się przy swoim. Zaczął płynąć, jako że dno nie pozwalało na maszerowanie, i skierował się szybko w stronę zatoczki, z której dochodziły teraz ostre krzyki i przekleństwa. Olbrzym płynął jak ryba. Jego potężne ciało pruć wodę pewnie i szybko. Sarze trudno było dotrzymać mu kroku. Klęcząc, z podaną do przodu głową, Katarzyna przyglądała się z zaciekawieniem. Pobyt w Rouen oswoił ją z mundurami angielskimi, nawet nie odczuwała lęku. Po prostu chciała zobaczyć, co przedsięwzięmie jej dziwna straż osobista.

Wkrótce ukazała się ich oczom zatoczka, zakątek ciemnozielonej wody ocieniony wielkimi sosnami, których gałęzie wznosiły się, proste i czarne, ponad rzeką. Sara ukryła barcę w kępie nenufarów, skąd można było patrzeć, nie będąc widzianym. Czterej mężczyźni usiłowali obalić na ziemię dwie dziewczyny, które krzyczały przerażone. Jedna z nich, już unieruchomiona, wrzeszczała przygnieciona ciałem potężnego, rudego łucznika, który przyciskał jej brutalnie twarz ręką, równocześnie zrywając z niej suknię. Pozostali zajęci byli przywiązywaniem rąk jej towarzyszki do dwóch sosnowych pieńków i rechotali tak głośno, że niemal zagłuszyli krzyki swej ofiary.



Katarzyna zobaczyła, jak Walter wychodzi na brzeg, powolutku wyprostowując się jeszcze w wodzie, tak by nie zwrócić na siebie uwagi. Jego ręka opadła do pasa, złapała siekiere szybko i gwałtownie, z gardła wydobył się prawdziwy ryk. Siekiera poszybowała ze złowrogim świstem i zakotwiczyła się dokładnie pomiędzy ramionami rudego łucznika. Jęk bólu mężczyzny i krzyk Waltera sprawiły, że trzej pozostali odwrócili się, ale olbrzym stanął już na niskiej trawie nadbrzeża i szybkim ruchem wydobył sztylet ukryty za pazuchą, czekając na cios. Wyciągnęli miecze i drobnymi krokami posuwali się ku samotnemu Walterowi, który liczył najwyraźniej, że poradzi sobie z nimi bez trudu. Zwrócony tyłem do rzeki, sprawiał wrażenie dzika stojącego przed myśliwymi. Zgodnym ruchem żołnierze skoczyli na Waltera z uniesioną bronią, a Sara ponownie ujęła żerdź.

- Jeśli przegra, uciekniemy tak szybko, jak tylko się da - szepnęła.

- Nie przegra - odpowiedziała Katarzyna. - Siedź spokojnie i patrz!

W istocie, potężny Normandczyk, niczym wół opędzający się od much, pozbywał się przeciwników z szybkością, która graniczyła z cudem. Unieszkodliwił jednego, przyciągając go raptownie do siebie i korzystając z zaskoczenia obu pozostałych, szybko go zasztyletował i cisnął nim niczym kłodą pod ich nogi. Upadli na ziemię. Walter nie tracił ani chwili. Szybki jak błyskawica skoczył na jednego z żołnierzy. I znów sztylet zatopił się w krtani.

Wokół Normandczyka leżały trzy trupy. Wysoki łucznik dogorywał. Ogromna czerwona plama rozlewała się na jego zielonej tunice. Jednak dziewczyna, którą trzymał, już nie krzyczała. Ręce Anglika, konwulsyjnie zaciskające się na jej szyi, udusiły ją. Druga natomiast żyła. Wciąż jeszcze przywiązana, czekała spokojnie na uwolnienie z więzów. Katarzyna

usłyszała, że dziewczyna coś mówi, ale nie zrozumiała sensu słów. Suknia na niej była tak sponiewierana, że wisiała wokół bioder w strzępach. Tylko włosy barwy dojrzałej pszenicy pokrywały jej ramiona i pełną szyję, ale wydawało się, że nie dba o swoją nagość. Zdumiona Katarzyna zobaczyła, że dziewczyna podeszła do Normandczyka i przyłgnęła do niego tak, że ich usta się zetknęły.

- Och! - rzekła Sara osłupiała. - Tego już za wiele!

- Czemu? - zapytała Katarzyna. - Każdy dziękuje tak, jak może.

- Oczywiście, ale popatrz na nich... popatrz na tę dziewczynę: dalibóg, ona mu się oddaje!

Była to prawda. Katarzyna mimo woli zmarszczyła brwi. Blondynka była piękna; jej różowe ciało miało w sobie czystość i gładkość marmuru, a widząc, jak ręce mężczyzny otaczają biodra dziewczyny, Katarzyna poczuła ucisk w gardle. Jednak zganiła siebie samą za ten odruch. Olbrzym odsunął po prostu tę, którą uratował, złożył przelotny pocałunek na czubku jej nosa i nie oglądając się, wskoczył do rzeki. Katarzyna usłyszała wołanie opuszczonej kobiety, dostrzegła niedorzeczny ruch jej ramion, jak gdyby próbowała zatrzymać przy sobie odpływającego mężczyznę. Po chwili ramiona jej opadły i dziewczyna zniknęła za drzewami.

- Ruszajmy! - rzekła Sara, pchnąwszy łódkę w nurt rzeki.

Walter pojawił się na pokładzie wilgotny i zadyszany. Rzucił w stronę Katarzyny uśmiech, który odsłonił jego białe zęby.

- Już po wszystkim. Możemy odpływać.

Ale Sarę świerzbil język. Nie mogła się powstrzymać, by nie powiedzieć tego, co chciała.

- Brawo - rzekła ironicznie. - Czemu to nie wzięłeś daru, jaki ci ofiarowano?

Mężczyzna patrzył wciąż na Katarzynę i to jej właśnie, choć o nic nie pytała, odpowiedział:

- Żebyście nie musiały, panie, czekać.

- A gdyby nie to? - spytała młoda kobieta.

- Gdyby nie to... czemu nie? Trzeba brać to, co życie ofiarowuje, jeśli nam coś ofiarowuje.

- Cudownie! - krzyknęła urażona Sara. - Myślę, że te cztery trupy nie zawadzałyby ci w niczym.

Tym razem Walter Malencontre raczył się zwrócić bezpośrednio do niej. Spojrzał na Sarę poważnie i twardo.

- Miłość jest siostrą śmierci. W tych okrutnych czasach to jedyne rzeczy, które się liczą naprawdę.

Objął ponownie kierowanie i łódź znowu ślizgała się pod zielonym dachem z drzew. Jakiś czas płynęli w milczeniu. Przytulone do siebie kobiety wydawały się zatopione w myślach. Ale Katarzyna chciała jeszcze coś wiedzieć. Odwróciła się.

- Przed chwilą - rzekła - gdy Anglicy rzucili się na ciebie, krzyknąłeś... coś w rodzaju wezwania, imienia!

- Tak było. Starzy wojownicy, którzy przybyli z Północy łabędzim szlakiem, a których krew płynie w moich żyłach, wydawali ten okrzyk, gdy zaczynała się walka.

- A przecież nie jesteś rycerzem i nawet nie żołnierzem - zauważyła młoda kobieta z bezwiednym lekceważeniem, które nie uszło uwagi drwała.

- Czy moja krew jest z tego powodu mniej czysta? Nie wszyscy synowie starożytnych królów morza mieszkają w pałacach i wiem o niejednym szlachcicu, którego przodkowie jęczeli pod knutami wikingów.

Ja wywodzę się od wielkiego wodza imieniem Żelaznoboki - dodał, waląc się kułakiem w pierś, która zahuczała jak bęben - I mam prawo wzywać Odyna w godzinie bitewnej!

- Odyna?

- Boga wojny! Mówiłem, że nie jestem chrześcijaninem. Dla podkreślenia, że nie ma już ochoty mówić o tym, wielki Normandczyk zaczął nucić pod nosem. Katarzyna odwróciła się, jej wzrok napotkał spojrzenie Sary. Nie zamieniły ani słowa, ale w ciemnych oczach przyjaciółki młoda kobieta nie wyczytała tym razem gniewu czy oburzenia. Raczej zdziwienie i pewnego rodzaju podziw.

Nad ich głowami przeleciał, pokrzykując, zimorodek, który zanurzył się w słoneczną plamę na wodzie. Łódka wciąż spokojnie płynęła.

Kiedy zapadł zmierzch, Walter zaczął się rozglądać za jakimś kątkiem, w którym można by spędzić noc. Wrażenia całego dnia zbiły z nóg obie kobiety, on również czuł ogarniające go zmęczenie. Wreszcie odkrył niedużą łachę nie - opodal starego młyna, pokrytą prawie bez reszty prawdziwą gęstwą roślin.

- Tutaj - rzekł - będziemy bezpieczni.

Nikt nie odpowiedział, tak wydawało się oczywiste, że to on objął przywództwo. Mimo to, odkąd zaczęło się ściemniać, humor Sary też najwyraźniej posepniał. Przez ostatnią godzinę patrzyła nieruchomo na dziób barki i nie odzywała się ani słowem. Gdy tylko dotarli na miejsce i Walter zostawił je na brzegu, by udać się na krótki rekonesans wokół zrujnowanego młyna, Katarzyna zwróciła się do Cyganki:

- Co ci jest? Czemu masz taką minę?

- Jestem niespokojna - odparła Sara - a teraz, gdy zapada noc, mój brak spokoju jest bliski strachu.

- Ale dlaczego? Czego się obawiasz? Z takim mężczyzną jak Walter nie zagraża nam nic, jestem pewna.

Sara wzruszyła nerwowo ramionami i przysiadła na piasku obok Katarzyny przytrzymującej fałdy spódnicy wokół kolan.

- Właśnie jego się boję.

Katarzyna drgnęła i spojrzała na przyjaciółkę w osłupieniu.

- Chyba oszalałaś?

- Tak sądzisz? - odparła Sara z hamowaną wściekłością. - Co wiesz o tym człowieku, o jego przeszłości? Tylko to, co sam ci powiedział i w co uwierzyłaś jak w Boga. A jeśli to nieprawda? Różne rzeczy się opowiada, aby ocalić własną skórę. Może to on zamęczył tych biednych wieśniaków po to, by ich okraść.

- Nie wierzę w to! - krzyknęła gwałtownie Katarzyna.

- Trochę ciszej, dobrze? On może za chwilę wrócić i nie trzeba go denerwować. Nie jesteśmy bogate, ale ta odrobina złota i parę łachów to majątek dla takiego człowieka. Jesteśmy zdane na niego. Może skorzysta z osłony nocy, okraść nas, zabić... albo jeszcze coś gorszego!

- Gorszego? - Katarzyna zrobiła wielkie oczy. - Nie wiem, co mogłoby nas spotkać gorszego od śmierci.

- Mnie nic, ale ciebie... Nie zwróciłaś uwagi, jak ten dzikus na ciebie patrzy. Ja to zauważyłam i wyraz jego twarzy wcale mnie nie uspokoił. Nigdy nie widziałam tak jawnego pożądania.

Katarzyna poczuła, że się czerwieni. Może dlatego, że miała mgliste poczucie winy. W istocie przyłapała parę spojrzeń Waltera, ale uparła się, by uważać je za pozbawione znaczenia. Jej duma buntowała się na myśl o tym, że taki prostak jak Walter mógł widzieć w niej zwyczajną kobietę.

Teraz w jej głosie brzmiał hamowany gniew, ale był on raczej skierowany do niej samej niż do Sary.

- A nawet jeżeli tak, to potrafię się obronić, Saro, nie jestem już dzieckiem.

- Czasami zastanawiam się, czy to prawda.

Sara miała ostatnie słowo. Odgłos ciężkich kroków łamiących gałęzie kazał obu kobietom zamilknąć. Wracał Walter. Wydawało się, że nie zauważył ich zmieszanych min i odszedł nieco dalej, by wyciągnąć się na piachu.

- Wszędzie spokój - rzekł - ale mimo to będę czuwał przez część nocy. Ciebie, czarna kobieto, obudzę, abyś mnie zastąpiła na jakieś dwie, trzy godziny przed świtem...

„Czarna kobieta” zachnęła się, ale nos Katarzyny zadygotał od hamowanego śmiechu, więc zmeła w ustach gorzkie słowa. W końcu, nie tak dawno temu, dla nędzarskiego kręgu króla żebraków, ponurego przywódcy paryskich dzielnic złodziei, była Czarną Sarą. Walter miał rację.

W milczeniu spożyli nieco chleba i sera, które dostali od zakonnic z Louviers, następnie kobiety wyciągnęły się na piasku owinięte w płaszcze. Tymczasem Walter odszedł, by usiąść nieco dalej, na dużym kamieniu. Ze swego miejsca Katarzyna mogła widzieć jego skuloną postać odcinającą się od ciemnobłękitnego nieba, przypominającą zamyślonego lwa. Tkwił nieruchomo niczym pień, mimo to młoda kobieta widziała, jak jego ciało przebiega dreszcz. Przypomniawszy sobie popołudniową walkę, była skłonna przyznać Sarze rację, iż tak silny mężczyzna może być niebezpieczny. Jednak pomału uspokoiła się. Normandczyk nucił półgłosem. Język, w jakim śpiewał, był dla Katarzyny nieznanym i nie

rozumiała z niego nic, ale z pieśni była jakaś dzika i szorstka wielkość, a jej zwrotki kończyły się jak gdyby skargą.

Była tak oczarowana dziwną melodią, że niemiły krzyk nocnego ptaka, który zabrzmiał jej nad głową, nie przerwał zasłuchania. Zresztą pomału sen zaciążył na jej powiekach. Ukołysana monotonną pieśnią olbrzyma, dołączyła do śpiącej Sary, której lęk nie przeszkadzał w donośnym chrapaniu. Noc upłynęła spokojnie...

Rano, kiedy mieli wyruszyć w drogę, a Sara kąpała się jeszcze w rzece, Katarzyna zbliżyła się do Waltera.

- Słyszałam wczoraj wieczorem, jak śpiewałeś, ale nie zrozumiałam ani jednego słowa.

- To język starych Normanów, nie mogłaś go, pani, rozumieć. Nazywano tę pieśń „Sagą Haralda Walecznego”.

- A o czym to było?

Walter odwrócił się, by odwiązać sznur od pnia, i nie patrząc na Katarzynę, odparł:

- Mówi ona: Urodziłem się w górskiej krainie, w której świszczą łuki; moje okręty są postrachem ludzi, rozbiłem ich kile o szczyty ukrytych skał podwodnych, daleko od najdalszego domostwa ludzkiego; ryłem szerokie wąwozy w morzach... a mimo to dziewczyna z Rosji mną wzgardziła.

Kiedy powolny głos Normandczyka zamilkł, Katarzyna nie odezwała się ani słowem. Otuliła się płaszczem i z pałającymi policzkami usiadła w łódce. Stanowczo będzie musiała uważniej obserwować Waltera!

Po czterech dniach podróży pewnego wieczoru, gdy słońce układało się na spoczynek do wyściełanego złotem łoża, zza horyzontu wytrysnęły

czarnymi strzałami wieże Chartres. Eure unosiła łódkę nurtem coraz węższym, coraz bardziej niebieskim i białym, kipiąc od gęstej roślinności, która - niczym futro podbite brunatnym aksamitem - pokrywała ogromną, spaloną słońcem równinę. Wielka droga wodna stała się wąskim szlaczkiem, podróż dobiegała końca. Niezbyt uciążliwa, należy to podkreślić. Kobiety były mało utrudzone, nikt też nie był głodny. Straszliwa siekiera Malencontre'a umiała dosięgnąć zwierzyny, leśnik znał żywot lasów i pól jak mało kto.

Pod brązowymi murami starego miasta Carnutów Eure rozdzielała się na kilka odgałęzień, z których jedno przepływało między bastionami przez łuk mocno okratowany, by zasilić garbarnie i młyny, drugie wypełniało szeroką fosę okalającą miasto. Walter wyciągnął łódkę na suchy grunt brudnej zatoczki, nieopodal jednej z wielkich wież broniących bramy Drouaise.

- Spróbuję ją sprzedać lub wymienić na mulicę - powiedział, gdy kobiety wysiadały z łódki.

Katarzyna uniosła głowę, przysłaniając ręką oczy przed ostrym słońcem, by przyjrzeć się błyszczącym, stożkowatym dachom pokrytym łupkiem oraz przyczepionemu do muru - nad kratą ze starego dębu - złocistemu posążkowi Najświętszej Panny z Dzieciątkiem w ramionach. A jeszcze wyżej, na murach, łopotał czerwony sztandar, na którym widniały angielskie lwy. Katarzyna ruchem głowy wskazała mężczyźnie purpurowy materiał.

- Co robimy? Miasto jest w rękach Anglików, ale musimy coś zjeść, odpocząć trochę i kupić siodła. Wiem, że źle wyglądamy i w dodatku nie mamy glejtu.



Potężny Normandczyk nie słuchał. Ze zmarszczonymi brwiami koloru słomy i przymrużonymi oczami przyglądał się uważnie murowi. Z minuty na minutę poważniał coraz bardziej i to tak, że aż przstraszyło to młodą kobietę. Od początku podróży nauczyła się szanować jego osąd i siłę, zręczność i szybkość podejmowania decyzji. Przywiązała się do tego dziwnego chłopaka, ale nie przestawała bacznie go śledzić.

- Co się stało? - zapytała, instynktownie przyciszając głos.

- Nic nie widać, ale zastanawia ta dziwna cisza, te puste mury, ta brama bez straży. Można by rzec, że miasto jest wyludnione. Proszę popatrzeć!

Wyciągnął rękę w stronę szczytu pagórka, w kierunku cudownej, czystej, kamiennej bryły katedry o bliźniaczych wieżach, przy których skulił się, niczym wielki pies, kwadratowy donżon starego zamku hrabiowskiego. Między zniszczonymi filarami szczytu czarna flaga poruszała się ponuro na drzewcach.

- Ktoś umarł - powiedziała Sara, która przyłączyła się do nich. - Ktoś znamienity.

Walter nie odpowiedział. Szedł już wielkimi krokami w stronę zwodzonego mostu. Obie kobiety ruszyły za nim. Dotarli do mostu, przeszli przezeń i ujrzeli, że prosto przed nimi ciągnie się stara uliczka Porte-Drouaise, której nierówna nawierzchnia prowadziła do pałacu biskupiego.

Żelazne szyldy pomalowane były żywymi kolorami, małe drewniane domki pochyliły się, jakby ukłękły pod ciężarem dużych brązowych dachów, ale wszędzie było pusto - rozpaczliwie i niepokojąco pusto.

Trójka podróżnych posuwała się teraz wolniej. Ta pozbawiona życia ulica wywierała na nich - mimo woli - zatrważające wrażenie, więc stąpali niemal na palcach. Bramy domów były zamknięte, wszystkie żaluzje opuszczone, żaden ludzki kształt nie ukazywał się ich oczom. Nawet obie oberże sprawiały wrażenie opuszczonych. W połowie zbiegającej w dół drogi, obok omszałej studni o brzegach zaokrąglających się pod trzema łukami z kutego żelaza, roztaczał się szerszy widok: dwie zabite gwoździami bramy. Spojrzawszy na to, Sara i Walter zbledli, a Katarzyna przyglądała się im, nic nie rozumiejąc.

Nagle ciszę zaludniły głosy. Ze wzgóрка uświęconego pielgrzymkami odbywającymi się tu już od tysiąclecia rozbrzmiała pieśń kościelna śpiewana głosami szorstkimi, niskimi. Zapewne byli to mnisi, którzy szli w procesji, bowiem pieśń się przybliżała. Katarzyna rozpoznała ją pierwsza.

- To *Dies irae*\* - powiedziała zamierającym głosem.

- Chodźmy dalej - rzekł Walter przez zaciśnięte zęby. - Musimy się dowiedzieć, co to znaczy!

Nieco wyżej ulica zakrecała przy szyldzie ozdobionym trzema strzemionami i kółkiem ostrogi, wskazującymi na warsztat masztalerza. Z tego miejsca rozciągał się widok aż do pałacu biskupiego, przed którym działo się coś niezwykłego. Kilku żołnierzy w zbrojach i hełmach, wyposażonych w długie piki, rozniecało stos, z którego unosił się gęsty, czarny dym. Żołnierze ci mieli dolną część twarzy zasłoniętą chustami. Obok czuwał nad ich pracą dziwny osobnik ubrany w skórę i w masce z długim, ostrym, jakby ptasim dziobem.

*\* Dies irae (łac.) dzień gniewu - początek napisanej na przełomie XII i XIII w. prawdopodobnie przez Tomasza z Celano rymowanej sekwencji, która śpiewana jest w liturgii Kościoła rzymskokatolickiego w mszach żałobnych.*

Człowiek ów, który był po prostu lekarzem, trzymał w jednej ręce leszczynową witkę, a w drugiej płócienny worek. Wyciągał z niego duże garści zielonkawego proszku i rzucał w płomień. Ostry, aromatyczny zapach palonego proszku tłumił potworny smród stosu, w którym płonęło kilka trupów. Na placu leżały jeszcze inne ciała, czekające na swoją kolej. Skuci, przebrani za żołnierzy więźniowie oraz rozpustnicy w łachmanach przynosili je i rzucali w płomień. Stos był zapewne rozpalony niedawno i wypluwał gęste, czarne, odrażające kłęby.

Widok ten sprawił, że trojgu przybyszom włosy zjeżyły się na głowie. Zrozumieli, czemu miasto było opustoszałe, dlaczego na murach nie zauważyli nikogo, dlaczego bramy nie były strzeżone i dlaczego czarna flaga unosiła się nad pałacem dawnych hrabiów Chartres - miasto ogarnęła najgorsza plaga. Na jego ulicach panowała czarna śmierć. W Chartres panoszyła się dzuma!

Z pobliskiej świątyni, przekształconej w lazaret, wychodziła następna grupa, ciągnąc na hakach ciała rozdęte i poczerniałe od straszliwej choroby. Widok ten odebrał Katarzynie resztki odwagi. Panika ścisnęła jej żołądek, ale sprężyła do biegu nogi. Obróciwszy się na pięcie, zaczęła uciekać z okrzykiem przerażenia w stronę bramy Drouaise, uniósłszy suknię obydwoma rękami. Ścigał ją własny strach, który pchał ją do przodu głuchą i ślepą na wszystko, opanowaną myślą, by uciec z tego miejsca, spomiędzy tych murów, w których uwięziona była śmiertelna

choroba. Wyjść stąd, wyjść jak najszybciej, znaleźć się na zielonej trawie obok czystej wody, zobaczyć nieprzesłonięte czarną chmurą dymu słońce! Za nią Sara i Walter robili, co mogli, by dotrzymać jej kroku, potykając się, jak i ona, o kamienie brukowe wygładzone przez wodę.

Ale złociste światło, które przed chwilą przenikało przez zbrązowiały ze starości kamienny łuk, znikło. Zamiast niego, przesłaniając wolną przestrzeń, pojawiło się szerokie drewno uniesionego mostu. Oszalały bieg Katarzyny zakończył się przed opuszczoną kratą. Kobieta schwyciła ją w dygocące dłonie i przycisnęła do niej zalaną łzami twarz.

- Brama! - szlochała. - Zamknęli bramę!

Słyszając jej krzyk, żołnierz o niewidocznej twarzy wyszedł z budki strażniczej i podszedł do Katarzyny, by oderwać ją od kraty.

- Nie wolno wychodzić! Rozkaz namiestnika! Nikomu nie wolno! Rozkaz biskupa także pana Jana de Fetigny'ego.

Wysławiał się wolno, szukając słów, speszony swoim akcentem rodem z drugiej strony kanału La Manche. Zdesperowana Katarzyna próbowała mimo to potrząsnąć drewnianą kratą, kalecząc sobie o nią ręce.

- Ale ja chcę wyjść! Mówię przecież, że chcę wyjść! Nie chcę tu zostać... Nie chcę!

- A jednak musi pani - rzekł spokojnie żołnierz. - Namiestnik powiedział: nikt nie może, pod karą szubienicy!

Walter i Sara dołączyli do Katarzyny. Cyganka łagodnie odsunęła Katarzynę i objęła ją ramieniem. Olbrzym zastanawiał się, głaszcząc podbródek okolony rudawym gęstym zarostem, który nie widział brzytwy od czasu pobytu u klasztornego ogrodnika.

- Co zrobimy? - spytała Sara.

- Będziemy szukać sposobu, by się stąd wydostać - odparł, wzruszając ramionami. - Nie mam ochoty czekać, aż czarna śmierć zamieni mnie w gnijącego trupa, który zostanie wrzucony do ognia. A wy?

- Co za pytanie? - rzekła Sara, rzucając mu nieprzyjazne spojrzenie. - Ale jak stąd wyjść?

- Trzeba pomyśleć - odparł Walter, poprawiając na ramieniu węzełek, w którym mieściła się znaczna część dobytku obu kobiet.

Sara niosła mniejszą paczkę z bielizną. Złoto spoczywało zaszyte w plecionej kieszonce po wewnętrznej stronie koszuli Katarzyny. Wolną ręką olbrzym ujął ramię Katarzyny, aby pomóc jej w marszu.

- Proszę nie płakać i iść ze mną, pani Katarzyno! Znajdę na pewno jakąś szczelinę w murach, by mogła pani opuścić miasto. Ale na razie trzeba nam jedzenia, bo nie da się długo wytrzymać na naszych zapasach. Trzeba też odpocząć w nocy. W tym czasie obejrzę fortyfikacje.

Młoda kobieta dała się poprowadzić, nie stawiając już oporu. Wszyscy troje wspięli się ulicą pod górę, gdzie gryzący dym gęstniał coraz bardziej. Wkrótce ponownie spotkali zamaskowanego lekarza, który dalej wykonywał swoją ponurą powinność. Dostrzegłszy, że się zbliżają, zaprotestował:

- Idźcie stąd! Co robicie na ulicy? Wracajcie!

- Dokąd? - spytał Walter. - Nie jesteśmy stąd. Weszliśmy właśnie do miasta, żeby znaleźć coś do jedzenia, a teraz bramy miasta są zamknięte, nikt nie może stąd wyjść.

Spod maski doszedł do nich przytłumiony, ale zagniewany głos mnicha-lekarza:

- Nie możecie tutaj zostać. Wskażę wam schronienie. Tutaj znajdujemy się na skraju klasztoru Notre Dame. Ta brama prowadzi do

domków kanoników - rzekł, wskazując na ostrołuk z kamienia, który rozpiął się nad uliczką. - Powyżej, po prawej ręce, zobaczycie długi dom z kamiennymi balustradami i łupkowym dachem. To Loens.

- La Grange-aux-Dimes - uciał Walter.

- Jesteś Normandczykiem, przyjacielu. To słowo nadeszło zza morza razem z okrętami wikingów.

- Jestem Normandczykiem - przytaknął ten drugi z dumą. - Mówię jeszcze językiem przodków.

- To dobrze. A teraz idźcie do Loens! Biedacy z całego miasta, którym nie wolno teraz szukać pożywienia na polach, ani chodzić do zabarykadowanych zamożnych domów, zbierają się tam, a mnisi od Świętego Piotra przynoszą im coś do zjedzenia. Niestety, niewiele, bowiem zapasy są skromne. Spichlerz jest pusty. Ale powiedzcie bratu Hieronimowi, który zarządza rozdzielaniem pożywienia, że przysłała was brat Tomasz. Kiedy zjecie, dołączcie do tych, którzy w katedrze modlą się w dzień i w nocy do naszego Zbawiciela, by odwrócił od nas straszliwą plagę.

Trójka podróżnych w milczeniu udała się w drogę, którą im wskazano. Katarzyna czuła pustkę w głowie i kompletny brak sił. To miasto wydawało się jej olbrzymią pułapką, która się nad nią zatrzasnęła. Oparta o ramię Sary, posuwała się, szurając nogami, raptem niepomierne zmęczona.

- Kiedy coś przegryziecie, będzie lepiej! - mruknął Walter. - Zauważyłem, że przy wielkich przeciwnościach losu trzeba jeść. To dodaje otuchy!

Znaleźli bez trudu La Grange-aux-Dimes. Było tam mnóstwo ludzi. Nędzni, starzy ludkowie tłoczyli się wokół białej sukienki wysokiego,

chudego mnicha, który rozdawał chleb. Mdłe światło łuczywa tańczyło na jego tonsurze i na płaskiej, pergaminowej twarzy ascety. Walter utorował sobie drogę do niego, pozostawiwszy obie kobiety przy drzwiach.

- Przyszyła nas brat Tomasz - rzekł. - Jest nas troje, byliśmy tu przejazdem, ale miasto zamknęło bramy. Jesteśmy głodni.

Mnich wyjął z koszyczka trzy kawałki czarnego chleba i podał je Normandczykowi.

- Jedzcie! - rzekł. Następnie uniósł dzban z wodą, nalał do dzbanuszka i podał Walterowi, mówiąc: - Pijcie!

Potem odwrócił się ku innym, którzy błagali go o jedzenie.

Troje uciekinierów usiadło wprost na klepisku, by się posilić. Katarzyna pochłoneła swój chleb łapczywie, wypła spory łyk czystej wody i poczuła się lepiej. Nie odczuwała już pustki w żołądku ani burczenia. Siły jej wracały, ożywiając każdą tkankę zdrowego, młodego ciała. Siedząca obok niej Sara już drzemała. Zjadła za szybko, jak ktoś mocno wygłodniały, i w odrętwieniu pozwoliła głowie opaść na piersi. Natomiast Walter, który rozsiadł się nieco dalej, obok jakiegoś chudego osobnika w czerwonych wypłowiałych łachmanach, jadł metodycznie, powoli, jak człowiek, dla którego liczy się każdy kęs. Od czasu do czasu zamieniał parę słów z sąsiadem.

Ze swego miejsca Katarzyna mogła słyszeć wszystko, co mówili. Gigantyczny Normandczyk najwyraźniej fascynował mężczyznę w czerwieni, który patrzył nań z nieukrywanym podziwem. Początkowo Walter odpowiadał od niechcienia na jego pytania, ale nagle mężczyzna rzekł:

- Nigdy cię nie widziałem w tym mieście. Skąd pochodzisz? Ja jestem z Chazay. To wioska niedaleko stąd.

Na te słowa Walter jak gdyby porzucił nonszalancję. Spojrzał na swego towarzysza z nagłym zainteresowaniem:

- Z Chazay? Koło Saint-Aubin-des-Bois?

- Znasz te strony?

- Ja nie. Ale w Normandii znałem jedną dziewczynę. Pochodziła z twoich stron. Anglicy ją schwytali, gdy weszli do wioski, bo była ładna. Od tamtej pory wędrowała z łotrzykami, ale się bała, tak się strasznie bała, że aż od tego zwariowała. Chciała tu wrócić, chwyciła się tej myśli. Pewnej nocy próbowała uciec. Chciała uciec do lasu, ale łucznik strzelił do niej. Znalazłem ją o świcie, u stóp wielkiego dębu, ze strzałą w ramieniu. Oczywiście zabrałem ją do chaty i próbowałem wyleczyć, ale było już za późno. Umarła na moich rękach następnej nocy. Nazywała się Colombe... Biedaczka! Przez cały dzień, gdy umierała, aż do zmroku opowiadała mi o Chazay. Kilka domów, wielkie rozpostarte niebo - mówiła - I nic dokoła, nic, tylko wielka, niekończąca się równina.

- A teraz jest już tylko równina i szeroko rozpostarte niebo - szepnął z goryczą mężczyzna w czerwieni. - Jeszcze poczerniałe mury. Anglicy spalili tę małą wioseczkę, która odważyła się być wierna królowi Karolowi i twierdziła, że Dziewica Joanna była świętą. Moi rodzice zginęli w czasie pożaru, ale wiem, że wioska się odrodzi, i pewnego dnia tam powrócę.

Katarzyna przysłuchiwała się z rosnącą ciekawością. Odkąd wyjechali z Louviers, zastanawiała się wiele razy nad kolejami losu Waltera. Niewielki epizod, który właśnie opowiedział, odsłonił nieco tajemnicę, jaką okryta była ta dziwna osoba, i sprawił, że Katarzyna poczuła jeszcze mocniej instynktowną dlań sympatię. Odgadywała w nim wrodzoną szlachetność, prawdziwą szczodrobliwą. Dowiódł tego, spiesząc z pomocą praczkom, a teraz łatwo mogła sobie wyobrazić, jak



pielegnuje umierającą dziewczynę, by osłodzić jej ostatnie chwile. Sara mogła mówić, co jej się podobało; oczywiście, że Walter był dziwny, ale zarazem ujmujący.

Doskwierał coraz większy upał, w miarę jak słońce zbliżało się do zenitu. Mimo grubych murów arkad w Loens było duszno. Wszystkie te poruszające się ciała wzbijały kurz, złocisto pobłyskujący w promieniach słonecznych, ale duszący. Wydzielały również odór brudu, potu i nieczystości, ale strach był silniejszy niż odraza i smród. Zapewne uważali, że poza tym azylem, w którym poruszali się służebnicy Pana, czyha na nich śmierć kryjąca się w każdej z uliczek rozpalonych od słońca.

Mimo iż Katarzyna także obawiała się dżumy, poczuła w końcu, że odór rozgrzanych ciał staje się nie do wytrzymania. Uniosła się ze swego miejsca. Uważny wzrok Waltera zatrzymał ją w chwili, gdy miała przekroczyć próg. Uśmiechnęła się.

- Duszę się - szepnęła. - Wyjdę trochę odetchnąć.

Uspokojony, powrócił do rozmowy z chudym mężczyzną. Sara spała głębokim snem, od czasu do czasu odganiając odruchowo muchę, która uparła się przesiadywać na jej nosie.

Na zewnątrz niby płaszcz otoczył Katarzynę ciężki upał, jeszcze cięższy niż w klasztorze. Spadł prosto z nieba rozżarzoną falą, ale tutaj było przynajmniej trochę powietrza i nie czuło się tego potwornego smrodu.

Katarzyna przeszła się uliczką, nie wychodząc z cienia rzucanego przez okapy dachów, po czym usiadła w siodle leżącym przy zamkniętych drzwiach sklepu sukiennika i kilka razy głęboko odetchnęła. Występ potężnego dachu stanowił osłonę przed światłem padającym z prawie białego nieba. Pewnie zdrzemnęłaby się, przytulona do gorących kamieni

mur, gdyby coś nie przyciągnęło jej uwagi. Nie opodal, na zakręcie ulicy, o kilka kroków od niej, jakiś mężczyzna dawał jej znaki.

Wyprostowała się, wyciągnęła szyję i się rozejrzała. Mężczyzna nadal gestykulował... Najwyraźniej zwracał się do niej. Stał na rogu uliczki pod posążkiem Najświętszej Panienki. Katarzyna wskazała pytająco na siebie. Mężczyzna energicznie przytaknął. Zaintrygowana, wstała i podeszła do nieznanego. Był to niewielki człeczyna o skrzywionym obliczu i poszarpanej odzieży, w dodatku przeraźliwie brudny. Wykrzywił się w uśmiechu, gdy młoda kobieta zbliżyła się do niego.

- To o mnie chodzi? - spytała. - Czego ode mnie chcesz? -

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

- Słyszałem, jak pani rozmawiała przed chwilą z bratem Tomaszem.

Wiem, że chcecie wyjść z miasta. Myślę, że mógłbym wam pomóc.

- To niebezpieczne. Czemu chcesz to zrobić?

- Może dacie parę groszy mnie, biednemu? Dwa lata będzie, jak ostatni raz widziałem pieniądza.

- A więc proszę tu poczekać. Powiem moim towarzyszom.

Ale mężczyzna przytrzymał ją za ramię.

- Nie. Nadstawiam karku, pokazując to miejsce. Wskażę tylko, co trzeba zrobić, i dopiero wtedy możesz, pani, pójść po swoich współtowarzyszy. Zresztą lepiej zaczekać do zmierzchu!

Katarzyna zawahała się. Myśl o oddaleniu się od Waltera i Sary była jej niemiła, ale - z drugiej strony - ten człowiek miał rację. Więcej osób mogłoby zwrócić uwagę pozostałych. Wreszcie, jeżeli była jakaś szansa ucieczki, byłoby szaleństwem nie wykorzystać jej. Obejrząwszy się za siebie, rzekła:

- Czy to daleko?

- Nie... Bardzo blisko. Mur jest niedaleko stąd. Pójdźmy!

Ujął rękę Katarzyny w swoje czarne pazury i pociągnął za sobą. Zbyt spieszo jej było ruszyć w dalszą drogę, więc poszła. Skręcił w uliczkę tak wąską, że mogła się w niej zmieścić tylko jedna osoba. Była to ślepa uliczka zakończona bezkształtnymi ruderami, za którymi wznosił się szary mur otaczający miasto od północy. Przewodnik Katarzyny szedł prosto w kierunku ruder, ale gdy się schylił, by wejść przez niskie drzwiczki, instynktownie się zawahał. Spojrzał na nią zmrużonymi oczami i znów się dziwnie uśmiechnął.

- Gdyby przejście było na środku ulicy, żołnierze dawno by je zatkali. Proszę iść za mną! Trzeba przejść tutaj...

Katarzyna pomyślała, że zapewne jest to jakaś piwnica znajdująca się pod murem i wychodząca na pola.

Zdecydowała się wejść. Gdy schyliła głowę, zagłębiła się w lepką i czarną dziurę, która niezbyt zasługiwała na miano korytarza. Wydawało się, że prowadzi ona w głąb ziemi, ale na końcu młoda kobieta zauważyła drzwi z luźno skleconych desek. Mężczyzna je pchnął, ciągnąc Katarzynę za sobą z nagłą siłą. Gdy drzwi za nimi trzasnęły, mężczyzna krzyknął triumfalnie:

- Dotrzymałem słowa, stary! Popatrz, kogo ci przyprowadziłem.

Gdy Katarzyna przyjrzała się miejscu, w którym się znalazła, ogarnął ją strach. Jej przewodnik przywiódł ją do piwnicy, nieco oświetlonej słońcem wpadającym przez małe okienko. Było w niej około dwudziestu ludzi w łachmanach - jedni leżeli, inni siedzieli. Przerażona kobieta usłyszała ohydny rechot, radosne porykiwania i zobaczyła zwrócone w jej stronę twarze wilków w ludzkiej skórze, o połyskujących oczach. Na

chwilę gniew na samą siebie, że dała się zaciągnąć w pułapkę, wziął górę nad lękiem. Odwróciła się do człowieka, który ją oszukał.

- Co to jest? Gdzie mnie przyprowadziłeś?

Ten się zaśmiał. Nie puścił jej ręki; trzymał ją z siłą zdumiewającą u tak wątłego człowieczka.

- Do dzielnych chłopaków, którzy nie dotykali kobiet od bardzo dawna. Wyciągnięto nas z więzienia do palenia zwłok i dano nam tę piwnicę dla odpoczynku w czasie upału. Dostaliśmy wino i chleb, ale nie mamy kobiet! Te, które moglibyśmy mieć, nie żyją albo są chore, chyba że się pochowały.

Zbliżył się do nich jakiś potwór o pooranej twarzy, kołysząc się na kulawych nogach. Inni się podnieśli i otoczyli ich kołem.

- Jest piękna - zaskrzeczał ohydny głosem. - Gdzie ją znalazłeś, Kuno? Wiesz, co nam grozi, gdy weźmiemy kobietę z miasta?

- Ona nie jest z miasta. Dopiero przyjechała, kiedy namiestnik kazał zamknąć bramy. Nic nam nie grozi. Dlatego ją sobie upatrzyłem koło stosu. Czatowałem na nią w Loens. I popatrz, jaka ładna dziewczucha!

- Królewski kąsek! - Przytaknął chromy. - Zasłużyłeś na mięso, Kuno...

Katarzyna chciała się cofnąć, gdy czarna ręka kulawego ujęła ją za podbródek. Potknęła się o kolejnych dwóch bandytów, którzy stali za nią. W sekundę zrozumiała wszystko: wpadła w ręce opryszków, tych okropnych ludzi, których dopiero co widziała na placu, gdy hakami ciągnęli trupy w stronę stosu. Zwierzęcy strach opanował ją raptownie, pozbawiając w jednej chwili sił. Nogi pod nią drżały. Miała wrażenie, że wokół niej zaciska się piekielny krąg. Słyszała urywane oddechy tych

mężczyzn o plugawych obliczach, z których wyczytać mogła szokującą pożądlivość.

Ręka kulawego zatrzymała się na jej policzku, a niewidzialne ręce unieruchomiły jej ramiona. Jeden z mężczyzn podszedł tak blisko, że uderzył ją w nozdrza zgniły odór jego ciała. Dygotała z wściekłości, wstydu i obrzydzenia, a on tymczasem rozpinał jej suknię przy kołnierzu i rozsuwał sznurówki. Opryszki patrzyły wytrzeszczonymi oczami, z zapałym tchem, niczym wierni przed odprawiającym jakiś niecodzienny obrzęd kapłanem. A kiedy w mdłym świetle piwnicy ukazały się krągłe ramiona i jędrna pierś młodej kobiety, kiedy zajaśniała łagodnym blaskiem jej aksamitna skóra, był to jakby sygnał. Wszyscy naraz na nią ruszyli. Ogarnięta potworną odrazą Katarzyna poczuła, że mnóstwo dłoni odziera ją z resztek ubrania i przesuwa się po jej ciele. Potykali się o siebie nawzajem, każdy chciał dotknąć jej pierwszy. Głos kulawego zaskrzypiał:

- Po kolei! Starczy dla każdego. Ale ja tu jestem wodzem, więc ja będę pierwszy. Przytrzymajcie ją!

W mgnieniu oka Katarzynę rozciągnięto na ziemi, a raczej na legowisku ze zgniłej słomy. Trzymano ją za nadgarstki i nogi w kostkach. Przerazenie na sekundę odebrało jej mowę, ale raptem, w jednej chwili, odzyskała siły i głos. Wijąc się i wyrywając, krzyczała:

- Nie macie prawa... Zostawcie mnie! Ratus...

Brutalna dłoń zacisnęła się na jej ustach, lecz Katarzyna z całej siły ją ukąsiła. Mężczyzna zaklął i wymierzył jej policzek tak silny, że o mało nie straciła przytomności, zanim jednak zdołał na nowo zatkać jej usta, wrzasnęła co tchu w piersi. Ręka znów przygniotła jej twarz. Dusila się pod tą brudną dłonią, pragnąc nade wszystko stracić przytomność. Pełna zgrozy zmuszona była znosić obmacywanie kulawego i wysłuchiwać

komentarzy jego kompanów. Po jej policzkach toczyły się gorące łzy. Myśl, że zostanie zgwałcona przez te potwory, była nie do zniesienia.

Naraz doznała takiego uczucia, jak gdyby znalazła się w samym środku nawałnicy. Piekielny krąg rozprysnął się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, dookoła niej poruszały się jakieś mgliste kształty. Słysząc było okrzyki bólu, jęki i coś, co grzmiało jak piorun. Nad głową Katarzyny zahuczał głos:

- Łajdaki! Zaraz wam przejdzie ochota na wszystko!

Katarzyna była w takim stanie, że niezbyt ją zdziwił widok Waltera. Spadł niczym blok skalny na złoczyńców i przystąpił od razu do dzieła. Jego potężne pięści olbrzyma uderzały bez wytchnienia, miażdżąc twarze, wybijając zęby, rozplaszczając jednym rzutem ciała o mury. Katarzynie, która spoczywała na ziemi bezsilna jak nowo narodzone dziecko, skojarzył się ze zniwiarzem na polu. Zdała sobie również sprawę z obecności drugiej, czerwono odzianej postaci, która stojąc przy drzwiach, łapała metodycznie jedną po drugiej ofiary Normandczyka i ciskała je na zewnątrz. Wkrótce Walter miał już tylko jednego przeciwnika - kuternogę. Był to mężczyzna może mniej silny, ale z całą pewnością bardzo zawzięty. Próbował rzucić się Normandczykowi do twarzy, by wyłupić mu oczy, ale olbrzym uniósł nogę. Poszła do przodu jak katapulta, dosięgła samego środka twarzy kulawego z taką mocą, że słysząc było trzask pękających kości. Opryszek, ze zmiażdżonym obliczem, runął w kąt i nie ruszył się już więcej. Był martwy.

Rozglądając się, Katarzyna zobaczyła, że w piwnicy został tylko Walter. Wówczas uświadomiła sobie swoją nagość. Zaczęła szukać ubrań. Zobaczywszy je, chciała wstać, ale Normandczyk już ukląkł obok niej. Jego pierś poruszała się gwałtownie nie tylko ze zmęczenia. Jasne oczy

pożerały ciało młodej kobiety z takim pożądaniem, że znów powrócił jej strach. Obrońca Katarzyny patrzył na nią w podobny sposób, jak przed chwilą czyniły to owe bestie ludzkie, które stąd przegnał. Wyciągnęła ku niemu rękę, którą go odpychała, ale było to tak, jakby usiłowała popchnąć skałę. Nagle jego oczy nabrały takiego wyrazu, że znowu ogarnęła Katarzynę rozpacz. Ostrzeżenia Sary przypomniały się jej teraz z całą ostrością. Nie знаła tego człowieka wcale, a teraz była w jego mocy. Za chwilę zaspokoi żądzę, która tak wyraziście malowała się na jego obliczu, a jej obrona na nic się nie zda w obliczu takiej siły. Ponadto była zbyt zmęczona, by walczyć. Jęknęła cicho i opadła na ziemię, czekając, co będzie dalej.

Dotyk ręki na biodrze obudził w niej znowu instynkt obronny. Była to ręka nieśmiała, niepewna, zaskakująco delikatna mimo swych chropowatości i Katarzyna poczuła, jak budzi się w niej dziwne uczucie. Mimo to jęknęła głosem, który jej samej wydał się obcy.

- Nie! Proszę cię, Walterze! Nie...

Ręka natychmiast się wycofała. Ramionami Normandczyka wstrząsnął dreszcz. Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na Katarzynę oczami, które pomалу przytomniały. Dostrzegła w nich przelotny żal, ale on już pochylił się do samej ziemi, ujął w dłonie bosc stopy kobiety i ucałował je z czcią.

- Przepraszam! - szepnął.

W następnej chwili stał już wyprostowany.

- Podam ci ubranie, pani - powiedział najnaturalniej w świecie. - Poczekamy na zewnątrz, aż będziesz gotowa.

Rzucił jej odzież i wyszedł, nie odwracając się. Dołączył do czerwonej postaci, która znów się pojawiła.

- Chodź! - rzekł. - Zostawmy ją.

W mgnieniu oka Katarzyna była gotowa. Wyszła do stojących na zewnątrz mężczyzn i od razu rozpoznała w towarzyszu Waltera mężczyznę z Loens w czerwonych łachmanach. Pod ich wzrokiem poczuła się speszona.

- Potrzebuję trochę wody - wyszeptała. - Czuję się taka brudna, taka zbrukana.

Odpowiedział jej mężczyzna ubrany na czerwono. Zaczął się śmiać. Był to śmiech trochę niezręczny, ale nie niemiły.

- Wody, moja piękna pani, będziesz miała za chwilę więcej, niż potrzebujesz. A ponadto to, co ci się przytrafiło, może się zdarzyć każdej ładnej kobiecie w naszych przyjemnych czasach. Najważniejsze, że przybyliśmy na czas.

- Jak mnie odnaleźliście?

- To dzięki niemu - odezwał się Walter. - Kiedy się nie zjawiałaś, pani, zaczął coś podejrzewać. Wydaje się, że taka sama historia przytrafiła się tydzień temu pewnej pasterce...

- Zdawało mi się, że rozpoznałem Kunę - przerwał mu mężczyzna w czerwonym ubraniu. - Nie pierwszy to jego

wyczyn. Opryszki w tych czasach nędzy robią, co im się podoba. A potem usłyszeliśmy pani krzyk.

Nowy przyjaciel Waltera miał taką minę, jakby nie przywiązywał wagi ani do tego, co mówi, ani do tego, co się zdarzyło. Wyrwał z nierównego muru kwiat goździka i żuł go w roztargnieniu.

- Co teraz zrobimy? - spytała Katarzyna.

- Obudzimy Sarę - odpowiedział Walter. - A potem obie pójdziecie do katedry, poczekać, aż zapadnie noc.



- A ty?

- Ja? Przede wszystkim nic po mnie w kościele, poza tym pójde z Anzelmem Argotierem zobaczyć, czy da się wyjść z tego przeklętego miasta.

- Ach tak? - rzekła Katarzyna z goryczą. - On także zna wyjście, a przynajmniej tak mówi?...

Anzelm nie przejął się napastliwym tonem młodej kobiety.

Uśmiechnął się do niej bardzo uprzejmie i skłonił się z wdziękiem pazia.

- Tak - powiedział przyjaźnie. - Tylko że ja mówię prawdę!

Z tego popołudnia spędzonego pod szlachetnymi łukami katedry Katarzyna zachować miała wspomnienie żywe, acz nieco przymglone, jak sen o świtaniu. Wstrząs, jakiego doznała na skutek ostatnich przeżyć, uczynił ją bardziej drażliwą, bardziej podatną na uderzający kontrast między szarością nędznego tłumu zgromadzonego u stóp wielkiej ambony a triumfalnym blaskiem witraży, przez które słoneczne promienie przeświecały niebieskim i purpurowym światłem. Znajdowało się tu mnóstwo ludzi wznoszących nieprzerwane błagania, proszących niebiosa, by zechciały ich oszczędzić i obdarzyć łaską zagrożone miasto. Niektórzy z nich, może lepiej zabezpieczeni przed plagą, obozowali w katedrze, tak jak to czyniono w czasach wielkich pielgrzymek. Mogło się tak dzieć, ponieważ w katedrze, odmiennie niż w innych kościołach, nie było grobowców. Poświęcona wniebowzięciu Najjaśniejszej Panny, chroniąca przed śmiercią, nie mogła być zbrukana obecnością zwłok.

Po okropnej historii w piwnicy złoczyńców Katarzyna znalazła słodycz w kontemplacji tego piękna. Długo modliła się, stojąc, następnie usiadła w kąci, oczekując zapadnięcia nocy i błagając Boga, aby jak najszybciej zwrócił jej ukochanego Arnolda. Z zabarykadowanej krypty, w

której tłoczyli się wokół cudownej studni chorzy, dochodziły jęki i skargi, a mimo to młoda kobieta, zmęczona emocjami, zapadła w końcu w sen. Śniło się jej, że była sama na pustej, skąpanej w słońcu drodze, czerwonej jak rozgrzane żelazo. Katarzyna biegła nią do utraty tchu, bowiem daleko przed nią kroczył Arnold. Był w swojej czarnej zbroi i maszerował krokiem wolnym i miarowym. Aby go dogonić, Katarzyna biegła, biegła, ale na próżno, gdyż droga wciąż się wydłużała, podczas gdy postać Arnolda malała. Próbowwała krzyknąć, ale nie mogła.

Obudziła się i skoczyła na równe nogi, widząc, że jest już noc. Przed ołtarzem płonęły setki świec, spowijając go złocistym blaskiem. Wysoko, na chórze, niskie głosy śpiewały Miserere. Tłum podjął chóralny śpiew. Sara - modląca się obok Katarzyny - spojrzała na nią. Jej oczy utkwione gdzieś dalej nagle rozbłysły. Podniosła się z miejsca.

- Chodź - rzekła. - Czekają na nas.

Przed kościołem podeszły do Waltera i Anzelma. Błękitne niebo spochmurniało o zmroku, zasnuwając się ciężkimi chmurami zwiastującymi burzę. Poza murami katedry panował nieznośny upał. Do tego dołączał się ciężki zapach dymu. Niemal wszędzie dokoła palono aromatyczne zioła, a nawet trociczki - równocześnie ze zwłokami. Całe miasto wypełniał zapach kadzidła i śmierci, ale otulała je, niczym śmiertelny całun, cisza tak głęboka, że Katarzyna pod jej wrażeniem bała się mówić podniesionym głosem. Szepnęła więc:

- Dokąd idziemy?

- Do dzielnicy garbarzy - odpowiedział Walter tym samym tonem. - Naszą jedyną szansą jest przejście przez kratę zamykającą rzekę. Anzelm i ja widzieliśmy, że nie jest strzeżona.

Wyszli z bladego cienia rzucanego przez katedrę i podążyli labiryntem krętych uliczek. Czasami, przechodząc obok jakichś drzwi, słyszeli strzępki modlitwy czy łkanie.

Wkrótce znaleźli się nad rzeką, wzdłuż której ciągnęły się garbarnie i warsztaty foluszników\*. Anzelm, który kroczył na czele, nadstawiając ucha, zatrzymał się obok niewielkiego mostu w kształcie oślego grzbietu i wskazał nieco dalej wąską bramę w murze, oczywiście starannie zamkniętą.

*\* Folusznik - rzemieślnik trudniący się folowaniem (pilśnieniem) tkanin.*

- To jest tajemne przejście Tire-Veau! - szepnął. - Krata jest poniżej. Rzeczywiście, odnoga rzeki przepływała pod nim przez grube kraty, by dotrzeć do fosy.

- Musimy zejść do wody - rzekł Walter. - Otworzę kratę, abyśmy mogli przejść. Na szczęście nie ma straży. Mury są w tym miejscu zbyt wysokie.

Anzelm wyjął coś ze swych łańchmanów i podał mu.

- Oto pilnik. A teraz życzę powodzenia. Niech Bóg was strzeże!

- Nie idziesz z nami? - zdziwiła się Katarzyna. Odgadła raczej, niż dostrzegła uśmiech dziwnego człowieka.

- Nie, piękna pani, chociaż bardzo bym tego chciał. Ale mam tu swoje sprawy.

- A... dzuma?

- Och, dzuma przeminie! I mam nadzieję, że będę należał do tych, którzy przeżyją.

Jeszcze tylko pochylił się w głębokim ukłonie i oddalił uliczką wielkimi, cichymi krokami.

Walter już był w wodzie i Katarzyna słyszała lekki zgrzyt pilnika atakującego kratę. Wydawała się olbrzymia, a Walter, przyczepiony do niej, z powodu głębokiej wody pracował w bardzo trudnych warunkach. Robił to wszystko jednak z zimną wściekłością.

Katarzyna nie opowiedziała Sarze o swej popołudniowej przygodzie. Odczuwała wstyd, jakby zrobiła coś złego, a ponadto za nic na świecie nie wtajemniczyłaby jej w to, co zaszło między nią a Normandczykiem. Sara zaczęłaby lamentować, przysięgać, że tego właśnie się spodziewała i że Katarzyna miała ogromne szczęście, iż jednak ją uszanował. Mimo wszystko młoda kobieta wychodziła z tych przygód jak gdyby podniesiona na duchu i uspokojona. Miała teraz pewność, że Walter ją kocha. Przekonała się również, jaką ma nad nim władzę i ta scena między nimi była ich tajemnicą. Nigdy nikomu o tym nie opowie! Być może dlatego, że przez sekundę odczuwała przelotną pokusę, by poddać się namiętności, którą w nim odgadywała.

Po godzinie zdyszany i mokry Walter wyszedł na brzeg. Przecięta i połamana krata pozwoli im przejść na drugą stronę. Ogarnął wzrokiem niewielkie nabrzeże, wciąż całkowicie wyludnione, i powrócił do obu kobiet.

- Umiecie pływać?

Obie potakująco skinęły głowami, choć wiele lat upłynęło, odkąd ostatni raz oddawały się temu sportowi. Zresztą było zbyt gorąco, aby myśleć o takiej kąpieli miała być niemiła. Podejmując szybką decyzję, Katarzyna ściągnęła suknię.

- Co robisz? - szepnęła zgorszona Sara. - Nie masz chyba zamiaru...

- Rozebrać się? Tak. Zrobię węzełek z ubrania i przepłynę, trzymając je na głowie. To jedyny sposób, aby go nie zamoczyć.

- A... A ten człowiek? - dodała Cyganka, niespokojnie zerkając w stronę Waltera, który już wszedł do wody.

Katarzyna wzruszyła ramionami.

- Ma coś lepszego do roboty, niż patrzeć na mnie! - odparła. - Powinnaś zrobić tak jak ja.

- Ja? Wolę umrzeć...

I Sara z godnością zanurzyła się w ubraniu. Chwilę potem Katarzyna też już płynęła. Jej ciało rozbłysło na chwilę nagością; związała ubranie i umocowała je na głowie sznurówkami sukni. Chłód wody był dla niej rozkoszą. Wyciągnęła się w niej radośnie i przyplynęła do kraty, przy której czekał Walter. Szczupłe ciało młodej kobiety bez trudu prześlizgnęło się przez szczelinę między prętami. W wodzie wyglądało jak jasna, niewyraźna, ale pełna uroku plama, a mętna fala pokrywała je tylko powierzchnie; by nie ulec jego urokowi, Walter płynął z zamkniętymi oczami. Otworzył je dopiero wtedy, gdy lekki szelest rozsuwanych trzcin uświadomił mu, że młoda kobieta schroniła się już przed niedyskretnymi spojrzeniami.

# Zamek Sinobrodego

---

Tydzień później, nieco przed zachodem słońca, Katarzyna, Sara i Walter Malencontre przybyli w pobliże zamku Champtoce i zatrzymali się na chwilę, by podziwiać widok. A najpotężniejsza forteca Andegawenii warta była podziwu. Jedenaście okazałych wież, nad którymi łopotała długa chorągiew koloru złotego, ozdobiona czarnym krzyżem i kwiatami lilii, mury obronne z granitu odbijające się w zielonkawej wodzie spokojnego stawu i w oddali ciemnozielony pas lasu. W pewnej odległości rozsiadło się miasteczko z domami o błękitnych i rudych dachach. Nie wzbudzało ono w Katarzynie zaufania, raczej lęk. Wokół wysmukłej dzwonnicy miasteczkowego kościoła leżało Champtoce, jakby chciało się obronić przed przytłaczającym cieniem zamku. Katarzyna czuła, że z milczących i czarnych wieżyczek odcinających się od ciemnobłękitnego nieba bije smutek i jakiś nieokreślony, złowrogi nastrój. Ogarnęła ją nagła chęć ucieczki, a Sara zapewne także odczuła swoimi wyostrzonymi zmysłami grozę.

- Chodźmy stąd! - szepnęła, jak gdyby jej własny głos ją przerażał.

- Nie - rzekła Katarzyna łagodnie, choć stanowczo. - To tutaj mam odnaleźć Arnolda, muszę zostać.

- Widzisz przecież, że nie ma tu królowej Jolanty. Gdyby była, jej chorągiew zawieszono by nad zamkiem, a nie widzę żadnych proporców królewskich - upierała się przy swoim Sara.

- A jednak - wtrącił Walter - widzę tu kwiat lilii.

Katarzyna, która z przejęciem wpatrywała się w zamek, kiwnęła głową.

- Kiedy król Karol mianował pana de Rais'go marszałkiem, udzielił mu zezwolenia na ozdobienie herbu kwiatem lilii. Te drugie sztandary muszą należeć do pana de Gaona, jego dziadka. W każdym razie, czy królowa jest w Champtoce, czy też nie, musimy tam wejść.

To mówiąc, młoda kobieta stanowczo skierowała mulicę w stronę pękatego barbakanu, który bronił wielkiego mostu twierdzy. Pozostali, chcąc nie chcąc, musieli podążyć za nią. Zwierzęta były - podobnie jak znaczna część bagaży dźwiganych przez juczną mulicę - darem pana Jakuba Bouchera, bogatego mieszczanina z Orleanu, u którego Joanna d'Arc mieszkała i gdzie Katarzyna także gościła. On i jego bliscy żywili dla młodej kobiety prawdziwą i szczerą przyjaźń.

Gdy po wyczerpującej drodze przez równinę Beauce, spustoszoną i spaloną przez wojska, Katarzyna i jej towarzysze podróży dotarli do Orleanu, byli wycieńczeni i wynędzniali do tego stopnia, że mieli ochotę jak zwierzęta położyć się na skraju drogi i czekać na śmierć. Jeszcze tylko Walter znalazł w sobie tyle siły, że niósł Katarzynę, która już nie była w stanie iść. Sara wlokła się jak mogła, wczepiona jedną ręką w pas olbrzyma. Rodzina Boucherów przyjęła ich z otwartymi ramionami, z ową piękną i szczodrobliwą gościnnością, która niegdyś była cnotą dobrze urodzonych. Panie Matylda, matka Jakuba, i Małgorzata, jego żona, były

szczęśliwe, że znów widzą młodą kobietę, ale Matylda nie mogła powstrzymać się od uwagi:

- Droga hrabino, nigdy nie widziałam jeszcze damy, która by prowadziła taki żywot. Czy pani aż tak kocha wędrówki?

- Po prostu kocham pewnego mężczyznę - uśmiechnęła się młoda kobieta, jak gdyby nie zauważyła skamieniałej raptem twarzy Waltera.

Troje podróżnych zatrzymało się na dwa dni w tym gościnnym domostwie. Wieczory spędzano na niekończących się rozmowach o Joannie. Katarzyna opowiedziała o jej procesie, męczeństwie i chwale unoszącej się znad krwawego płomienia stosu, rozpalającego się nadto od słońca i wznoszącego się ku górze. I wszyscy, państwo i służba, skupieni wokół kominka płakali szczerze, słuchając tej bolesnej opowieści. Orleańczycy z kolei opowiedzieli potężnemu Normandczykowi o cudownym wyzwoleniu, dniach walk, przerażeniu Anglików i wielkości Dziewicy Orleańskiej odzianej w srebrną zbroję. Leśny człowiek słuchał uważnie, otwierając szeroko oczy, wbrew woli zadziwiał się i zachwycając tą historią krwi, chwały i miłości, w której jego dziki umysł odnajdywał echa starych sag północnych, tętent koni amazonek galopujących w stronę obłoków z przyczepionym do siodła w kolorze morskim łupem - martwymi wojownikami, którzy zginęli w walce.

Jednak gdy Katarzyna powiedziała, iż pragnie udać się do Champtoce, zapanowała cisza. Po modlitwie, kiedy służba wycofała się do swych pomieszczeń, pani Matylda zwróciła się do Katarzyny:

- Moja kochana, nie należy tam się udawać. Miejsce to okryte jest złą sławą, a baron de Rais nie jest mężczyzną, którego powinna odwiedzać kobieta piękna i bogata. A jeszcze mniej - jego dziadka, tego starego łotra. Czy wiesz, pani, że Gilles de Rais nakłonił Katarzynę de Thouars, by z nim



uciekła i poślubiła go, a następnie przejął jej ogromny majątek? Po tym wszystkim porwał swą teściową, panią Beatrycze de Montjean, zagroził jej, że rzuci ją w worku do Loary, by tym sposobem zmusić ją do odstąpienia na jego rzecz dwóch zamków: Tiffauges i Pouzauges. Wszyscy w naszej okolicy wiedzą o tym.

- Jednakowoż królowa się tam udała.

- Nieco do tego zmuszona i nakłoniona. Ci ludzie nie zawahali się zatrzymać jej orszaku i znęcać się nad jej poddanymi. Proszę mi wierzyć, droga przyjaciółko, oni nie obawiają się ani Boga, ani diabła.

Słyszając to, Katarzyna uśmiechnęła się do starej przyjaciółki, objęła ją za szyję i ucałowała serdecznie.

- Pani Matyldo, nie jestem już młodką, a tym bardziej bogatą. Cały mój majątek zawarty jest w tym woreczku przytroczonym do spódnicy, bowiem klejnoty moje pozostały w Rouen pod opieką Jana Sona, do chwili gdy Stefan będzie miał sposobność mi je przywieźć. Nie będę zbyt ciekawym łupem dla panów rozbójników... i wierzę na słowo jego wysokości de Rais'owi. Przysiągł, że wyrwie Arnolda Montsalvy'ego z rąk Richarda Venablesa. Idę o zakład, że dokona tego.

Na to Jakub Boucher westchnął, zmarszczywszy czoło.

- On jest kuzynem La Tremoille'a, który całkowicie zawładnął naszym królem i wszystko sobie podporządkował, jeśli prawdą jest to, co o nim mówią.

- Ale przede wszystkim jest kapitanem królewskim - upierała się przy swoim Katarzyna - a ja nie mam wyboru, jeśli chcę połączyć się z panem Montsalvym.

Rodzina Boucherów pojęła, że nic nie powstrzyma Katarzyny i że uda się ona do niebezpiecznego Andegaweńczyka. Nie nalegali już dłużej,

a w chwili pożegnania pani Matyllda ucałowała Katarzynę, założyła jej na szyję piękny złoty medalion z wizerunkiem patronki, a w rękę wsunęła mały relikwiarzyk, w którym spoczywał odłamek kości świętego Jakuba. Katarzyna o mało się nie uśmiechnęła w owej chwili, upominki te bowiem przywiodły jej na myśl wiele wspomnień. Przypomniła sobie nędzną rudere Barnaby w złodziejskiej dzielnicy Paryża, a także Muszelnika z wielkim nosem, długimi nogami i zręcznymi palcami, na które padały odblaski z ogniska. Ileż to razy patrzyła okragłymi oczami na to, jak zamyka się podobne szczątki do takich samych pudełek? Rozbrzmiewał jeszcze w jej uszach szydarczy głos Machefera, króla żebraków, który mawiał:

- Zważywszy, ile razy wkładano go do pudełka, ten twój święty Jakub musiałby być wielki jak słoń Karola Wielkiego.

Może i ten relikwiarz wyszedł ze zmyślnych rąk Barnaby, a w tym przypadku jego świętość była bardziej niż wątpliwa, niemniej jednak drogi był sercu Katarzyny. Te kilka uncji złocistej miedzi stanowiło jak gdyby pomost między dniem dzisiejszym a dawnymi czasami. Były niczym przyjacielską ręką wyciągniętą z grobu i ponad minionymi latami...

Ściskając pudełeczko, ucałowała Matyldę ze łzami w oczach.

Katarzyna rozmyślała o tym wszystkim, zbliżając się do odrażającego, a zarazem wspaniałego zamku. Jej ręka, obciążona płową rękawiczką z zamszu, instynktownie poszukała na gorsie nieznacznej wypukłości, która wskazywała miejsce relikwiarzyka, zacisnęła się na nim chwilę, jakby prosiła cienie Barnaby o dodanie jej odwagi. Jednak gdy miała skierować się do barbakanu, wyszła zeń grupa żołnierzy, ciągnąc w pyle długie piki i nogi w butach z grubej skóry. Ciągnęli także mężczyznę w łachmanach ze związanymi z tyłu rękoma, mrużącemu oczy od

zachodzącego słońca. Inny mężczyzna w obszernej szacie z czarnego sukna, zebranej w pas, do którego przytroczony był kałamarz, pocił się w ciężkim kapturze z tego samego materiału, idąc za nimi ze zwojem pergaminu w ręce zapieczętowanym na czerwono.

Grupa skierowała się na drogę, która wiodła brzegiem stawu i ginęła pod zwieszającymi się gałęziami. Rozumiejąc, że więzień prowadzony jest na śmierć, obie kobiety jednocześnie się przeżegnały, a Katarzyna zadrżała, bowiem skazaniec - mijając ją - zatrzymał na niej swój wzrok. Wyczytała w nim straszliwy lęk i nieludzkie cierpienie.

- Nie ma nawet najmniejszego mnicha, który by towarzyszył temu człowiekowi w jego ostatnich chwilach - wymamrotała Sara. - Do jakich to bezbożników trafiliśmy?

Katarzyna zacisnęła mocniej rękę na piersi i ogarnęła ją nieprzeparta pokusa, by zawrócić. Czyż nie lepiej byłoby zatrzymać się w jakiejś oberży lub nawet u któregoś z mieszkańców wioski, i tam czekać na powrót Gilles'a de Rais'go? Natychmiast jednak przyszło jej na myśl, że jeżeli jakieś wiadomości nadejdą do zamku, ona niczego się nie dowie. Pomyślała także, iż Grilles de Rais zapewne jeszcze nie wrócił i było rzeczą niegodną obawiać się starca. Być może Arnold tu nie przyjedzie, lecz da jej znać, gdzie ma go szukać.

W tej właśnie chwili rozległa się nad jej głową trąbka strażnika, a szorstki głos zapytał:

- Czego chcecie, cudzoziemcy, i dlaczego przybywacie do tego zamku? - Nie dopuszczając Katarzyny do głosu, Walter zatrzymał swoją mulicę, stanął w strzemionach i przyłożywszy dłonie do ust, krzyknął:

- Szlachetnie urodzona, potężna pani - ta rytualna formułka kazała Katarzynie uśmiechnąć się w duchu, potęgą jej bowiem była już tylko

wspomnieniem - Katarzyna de Brazey, zaproszona przez pana de Rais'go, prosi o otwarcie bram. Uprzedź, przyjacielu, swego pana, a pospiesz się. Nie przywykliśmy czekać.

Sara, ujęta tym tonem, spojrzała w osłupieniu na olbrzyma. Widać tak było pisane, żeby ten chłopak zdumiewał ją zawsze. Skąd, tak nagle, nabrał manier, których nie powstydziliby się nawet prawdziwy herold? Ale ten ton pełen wyższości okazał się skuteczny. Hełm żołnierza zniknął z blanki pokrytej wysokim spiczastym dachem wieży. Podczas gdy oddalił się on z rozkazem, biegnąc zapewne z wszystkich sił, mały oddział przeszedł przez barbakan i dotarł do mostu stałego, nad wodami stawu wypełnionego zielonymi trzcinami i rzeżuchą wodną. Przed nimi, zaczepiony o wysokie, czarne mury, widniał most zwodzony, prezentujący swoje potężne, dębowe bale i żelazne okucia. Nad ich głowami wznosiły się na zawrotną wysokość mury, poznaczone tu i ówdzie niewielkimi otworami strzelniczymi umieszczonymi tak wysoko, że niewidoczna stawała się szorstkość kamieni, które nikły w cieniu palisady. Pod machikułami duże, czarne zacieki dawały świadectwo niegdysiejszym oblężeniom i zaciekłym obronom. Champtoce podobne było do zaskorupiałych w żelaznych zbrojach starych wojowników, których nic nie mogło pokonać ani przygiąć do ziemi, którzy potrafili umierać na stojąco, wspierając się jedynie na swej dumie i poczuciu niezniszczalności.

Z wieżyczki strażnika przeciągle zabrzmiała trąbka. Słońce znikło, a po pociemniałym niebie przelatywały stadami kruki. Uroczyście, powoli, z apokaliptycznym hałasem, wielki most zwodzony się opuścił...

Niewiarygodny przepych wielkiej komnaty Champtoce wywarł na Katarzynie wrażenie, choć była przyzwyczajona do świetności Brugii i

Dijon, do połączenia bogactwa i elegancji pałacu w Bourges czy zamku Mehun-sur-Yevre, gdzie król Karol lubił trzymać swój dwór. W szafkach i kredensach piętrzyło się bogactwo masywnych półmisek, posążków pokrytych cennym szkliwem, a na stole nakrytym błękitnym aksamitem znajdowała się cudowna szachownica z zielonego kryształu i złota, która oczekiwała na graczy. Co do paradnej ławy, to była ona udrapowana złotem i błyszczała w promieniach miliona długich świec z czerwonego wosku jak kapa biskupia.

Wszedłszy do komnaty, pomyślała, że ta olśniewająca, błękitna, czerwona i złota sala była trochę zbyt ostentacyjna. Przypominała jej obłąkańcze szaty Jerzego de La Tremoille'a, który nie czuł się ubrany, jeśli nie połyskiwał złotem. Podobnie jej oczy, zrazu oślepięne, miały trudności z rozróżnieniem wśród całego tego przepychu dwóch postaci nieskończenie bardziej prostych: starszego wielmoży, całego w czerni, i młodej kobiety odzianej w jasnoszare szaty. Pierwsza z tych osób właśnie wstawała z fotela, by podejść do niej.

- Witaj w naszym domu, szlachetna pani! Jestem Jan de Craon, zarządzam tu wszystkim pod nieobecność mojego wnuka, Gilles'a de Rais'go. Minęło kilka dni od przybycia posłańca zapowiadającego pani wizytę. Martwiliśmy się już o panią.

- Podróż była wyczerpująca i straciłam dużo czasu. Ale serdecznie dziękuję panu za troskliwość.

Nie przerywając wypowiedzi, spoglądała cały czas na młodą kobietę, ku której obracał się pan de Craon.

- To moja wnuczka, która - tak jak i ty, pani - ma na imię Katarzyna. Pochodzi ze szlachetnie urodzonej rodziny de Thouars i jest żoną Gilles'a.

Obie młode kobiety wymieniły ceremonialny rewerans\*, obserwując się nawzajem spod skromnie spuszczonej powiek.

*\* Rewerans - głębokie dygnięcie z ukłonem.*

Pani de Rais mogła mieć dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat i byłaby ładna, gdyby nie malujący się w jej łagodnych, brązowych oczach stały niepokój - podobny do tego, jaki widuje się u ściganych saren. Była wysoka i gibka, ale niemal chuda, a jej twarz miała wyblakłe kolory starego obrazu. Mała główka okolona koroną splecionych jasnoblonde warkoczy poruszała się z wielkim wdziękiem na długiej, giętkiej szyi. Jej arystokratyczny wygląd przypominał Katarzynie jej siostrę, Luizę, benedyktynekę z klasztoru w Tart w Burgundii. Luiza jednak nigdy nie miała tego zrezygnowanego wyrazu twarzy, tej smutnej łagodności, która sprawiała wrażenie lękliwej. W porównaniu z nią Katarzyna czuła się dziwnie mocna i energiczna, choć tamta Katarzyna była od niej wyższa. Ogarnęło ją pragnienie, by bronić tej melancholijnej młodej kobiety.

Łagodny głos kasztelanki przerwał jej ciche obserwacje. Spostrzegła, że Katarzyna de Rais uśmiecha się do niej i szczerze odwzajemniła jej uśmiech. Ta młoda kobieta wydawała się bardzo miła, nieskończenie miłsza od starca, który je obserwował. Wyglądał na takiego, jakim go opisywano: na starego okrutnika. Wysoki, prosty i suchy jak zimowe, stare drzewo. Najbardziej charakterystyczny w jego obliczu, poza władczyimi, czarnymi oczami, był orli nos, za wielki do tej chudej twarzy, pochłaniający jakby cały jej obszar. W kącikach ust starca czaiła się sarkastyczna fałdka, a jego spojrzenie ukryte było w głębi oczodołów otoczonych sztywnym, szarym włosem. Katarzyna nie musiała bynajmniej

przypominać sobie ostrzeżeń brata Tomasza czy Matyldy Boucher, by odczuwać, że każdy, kto się z nim zetknie, musi wobec niego żywić nieufność.

Pani de Rais łagodnym głosem zaproponowała, że zaprowadzi Katarzynę do jej pokoju.

- Dobrze czynisz, córko - odparł Craon i dodał, zwróciwszy się do Katarzyny: - Moja żona jest na polowaniu. To zajęcie, którego mogę jej tylko zazdrościć, gdyż dla mnie jest zakazane z uwagi na sztywną nogę.

Zanim Katarzyna opuściła komnatę, zadała pytanie, które cisnęło się jej na usta:

- Jaśnie wielmożny pan Gilles dał mi do zrozumienia, że spotkam tu królową Jolantę, której jestem damą dworu. Czy już jej nie ma?

Młodej kobiecie wydawało się, że Katarzyna de Rais zaczerwieniła się i odwróciła wzrok, ale starszy pan pospieszył z odpowiedzią.

- Królowa opuściła nas kilka dni temu. Negocjacje, jakie prowadziła tu z księciem Bretanii, zostały szczęśliwie zakończone, więc pani Jolanta znajduje się teraz w Amboise, gdzie przygotowuje się do wesela najmłodszej córki, która poślubia spadkobiercę Bretańczyka.

- W takim razie - rzekła Katarzyna - nie jest rzeczą konieczną, bym narzuciła panu swoją obecność dłużej niż jedną noc. Jutro wyruszę w drogę, by dołączyć do mojej królowej.

Przez oczy Craona przebiegła błyskawica, ale jego wyschłe usta rozchyliły się w uśmiechu - niemal miłym.

- Cóż za pośpiech! Pani obecność zabawi moją wnuczkę, która czuje się tu osamotniona pod nieobecność męża!

Czy nie wyświadczy nam pani tej łaski i nie pozostanie kilka dni?

Katarzyna, niepewna, zawahała się. Było jej trudno odmówić, nie będąc przy tym niegrzeczną. Tymczasem za nic na świecie nie chciałyby obrazić marszałka de Rais'go, od którego zależało odzyskanie Arnolda. Schyliła się w ukłonie.

- Wielkie dzięki za miłe przyjęcie i zaproszenie, panie. Zatrzymam się zatem, bardzo chętnie, kilka dni.

Gdy Katarzyna wychodziła z olśniewającej komnaty, doznała uczucia, że zanurza się w ciemny tunel. Tymczasem przed nią znajdowały się piękne, kręcone schody prowadzące na piętro pokryte freskami przedstawiającymi sceny z Księgi Wyjścia, oświetlone tu i ówdzie trójramiennymi pochodniami oprawionymi w brąz z wytłoczonym herbem. Jej oczy jednak zmęczyły się już tym blaskiem. Przed nią, na kamiennych schodach, wytartych od tysiąca stóp, które po nich przeszły, falował łagodnie aksamitny, szary tren pani de Rais. Młoda kobieta, zapewne onieśmielona, nie odezwała się ani słowem. Wchodziła na górę powoli, z pochyloną głową na długiej, białej szyi, a obie ręce przytrzymywały ciężką spódnicę. Katarzyna poczuła się nagle speszona i również milczała. Jedna za drugą wchodziły na wyższe piętro, skąd prowadziła galeria. Kasztelanka weszła na nią, pchnęła niskie drzwi, głęboko ukryte pod łukiem większych, i zatrzymała się przy framudze.

- Oto twój pokój, pani - rzekła. - Służąca czeka w środku na rozkazy.

Łagodne światło świec umieszczonych w wysokim kandelabrze z żelaza docierało aż na środek korytarza. Zanim Katarzyna weszła w drzwi, które przed nią otwarto, zatrzymała się przed panią domu.

- Proszę wybaczyć moją ciekawość, pani Katarzyno - rzekła łagodnie - ale czemu jesteś, pani, tak smutna? Jesteś młoda, piękna, bogata, szlachetnie urodzona, małżonek twój jest czarujący i sławny, i...



Żona Gilles'a uniosła raptownie powieki, patrząc prosto w twarz nowo przybyłej.

- Mój małżonek? - odezwała się głucho. - Czy jesteś, pani, pewna, że mam męża? Może pani odpoczywać do kolacji. Gong będzie za jakąś godzinę.

Katarzyna weszła do pokoju, nie nalegając dłużej na odpowiedź, pani domu zamknęła cichutko drzwi i zniknęła.

Młoda kobieta przeszła się po pokoju, rozglądając się dokoła. Była to piękna komnata, obita wzorzystymi tkaninami, dwuokienna. We wnęce znajdował się kominek z kolumnkami i stożkowatym okapem ozdobionym malowanymi tarczami herbowymi i trofeami myśliwskimi, było tu też ogromne łoże z baldachimem z ciemnozielonego aksamitu, krzesło z wysokim oparciem, wielka, dębowa szafa, dwa zydle, na których spoczywały poduszki z zielonego aksamitu i miedziany kufer, na którym ustawiono rzędem misy i dzbany ze srebra - oto całe umeblowanie pokoju. U wezłowania łoża otwarły się małe drzwiczki i Katarzyna ujrzała w nich żwawą sylwetkę Sary. Miała jeszcze na sobie podróżny płaszcz, a jej smagła skóra, której żaden specyfik nie mógł rozjaśnić, była teraz prawie tak biała jak gieźło.

- Czy pozostajemy tutaj? - spytała, zanim Katarzyna zdołała otworzyć usta. - Powiedziano mi, że królowa jest w Amboise.

- Wiem o tym - odparła Katarzyna, rozsznurowując obszerny płaszcz. - Chciałam wyruszyć w drogę jutro, ale nasi gospodarze nalegali, abyśmy pozostali kilka dni. Odmowa byłaby grubiaństwem.

- Kilka dni? - spytała Sara podejrzliwie. - To znaczy ile?

- Nie wiem dokładnie; cztery, może pięć, najwyżej tydzień.

Twarz Sary bynajmniej się nie rozjaśniła, wprost przeciwnie.

Pokręciła głową.

- Lepiej byłoby wyjechać natychmiast! Ten dom nie wygląda dobrze.

Dzieją się tu dziwne rzeczy.

- Masz doprawdy zbyt bujną wyobraźnię - westchnęła Katarzyna, rozplatając warkocze. - Lepiej pomogłabyś mi się pozbyć tego kurzu.

Zaledwie skończyła zdanie, raptownie otworzyły się drzwi. Do komnaty wpadł Walter. Był blady, a jego potargana odzież świadczyła o niedawno stoczonej walce. Nie pozwolił im nawet dojść do głosu.

- Pani Katarzyno! Musimy uciekać! I to natychmiast, jeśli tylko jest to w pani mocy. Ten zamek nie jest schronieniem, ale więzieniem.

Katarzyna poczuła, że blednie. Uniosła się, odpychając łagodnie Sarę, która z wrażenia upuściła trzymany w rękach grzebień.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Czy postradałeś zmysły?

- Chciałbym, aby tak było w istocie - rzekł z goryczą olbrzym. -

Niestety, pomyłka jest niemożliwa. Nie wiem, czy przyjęto cię z należnym szacunkiem, pani, ale ze mną żołnierze nie robili ceregieli. Kiedy spytałem o drogę do stajni, bym mógł zaprowadzić nasze mulice, jeden sierżant, uzbrojony po zęby, wyjął mi z rąk wodze i powiedział, że to nie jest już moja sprawa, bo teraz należą one do ich pana. Oczywiście zaprotestowałem. Wtedy sierżant wzruszył ramionami i rzekł: „Jesteś naiwny, człowieku, jeśli wyobrażasz sobie, że twoja kochanka będzie mogła opuścić Champtoce, zanim pan Gilles jej na to pozwoli. Mamy w tej sprawie rozkazy i radzę ci, żebyś stał się taki malutki, jak tylko potrafisz, bo będziesz miał kłopoty”. W tym momencie, wyznaję to, pani Katarzyno, poniosła mnie złość. Złapałem tego człowieka za gardło! Nadeszli żołnierze i uwolnili go z moich rąk. Mogłem się wycofać, ale...

W tej właśnie chwili do pokoju Katarzyny wbiegł cały oddział żołnierzy. W mgnieniu oka Walter, mimo swej siły, został obezwładniony, i to tym łatwiej, że wymierzono weń trzy łuki, a dłuższy opór z jego strony oznaczałby parę strzał tkwiących w ciele. Ten widok rozwścieczył Katarzynę. Podeszła do oficera, który dowodził grupą, i przez zaciśnięte zęby rozkazała:

- Proszę puścić tego człowieka i wyjść stąd! Macie czelność...

- Przykro mi, pani - rzekł oficer, unosząc z galanterią dłoń do hełmu - ale pani służący uderzył sierżanta, więc należy do nas. Muszę zaprowadzić go do więzienia.

- Jeśli go uderzył, to zrobił dobrze! Na Boga! Wydaje mi się, że dziwnie tu pojmujecie gościnność! Jak to? Zabieracie nam muły, ponieważ moim sługą i jeszcze chcielibyście, aby pozwolił wam na to? Puśćcie go, powiadam!

- Przykro mi, pani, ale mam taki rozkaz. Ten człowiek musi zostać uwięziony... Jestem tylko posłuszny poleceniom.

- I miał pan polecenie zatrzymania moich ludzi? - zapytała Katarzyna z goryczą. - A dlaczego w takim razie nie mnie? Dlaczego mnie nikt nie wtrąca do więzienia, przecież - jak mi się wydaje - nie będzie mi wolno zbyt szybko stąd wyjechać?

- Proszę spytać pana de Craona, szlachetna pani...

Oficer sztywno się uklonił, dał znak swoim ludziom, by zabrali więźnia, i wyszedł. Walter odwrócił się na progu:

- Nie kłopotz się o mnie, pani, i pamiętaj o mojej radzie: trzeba uciekać, kiedy tylko się da!

Katarzyna i Sara, skamieniałe, spoglądały za nim. Drzwi się zamknęły. Pociemniałe z gniewu oczy Katarzyny zwróciły się ku Sarze i spotkały z jej oczami.

- I to jest człowiek, którego radziłaś mi się wystrzegać! - powiedziała z goryczą. - Czy mogę jeszcze powątpiewać w jego lojalność?

- Przyznaję, że postąpił jak wierny sługa... nieważne, jakie uczucia nim powodowały - rzekła Sara, która trzymała się swoich poglądów. - Ale co teraz zrobisz?

- Przysięgam ci, że nie będę czekać ani chwili dłużej i dowiem się, co mnie jeszcze czeka w tym domu.

Gorączkowo, dygocącymi dłońmi, usiłowała zapleść ponownie warkocze, które dopiero rozpuściła, ale nie wychodziło jej to. Drżała z gniewu.

- Ja to zrobię! - przerwała jej Sara, zabierając się do czesania. - A ty zmienisz suknię. Musisz się prezentować jak najbardziej godnie... a nie jak jakaś Cyganicha!

Katarzyna nie miała bynajmniej ochoty do śmiechu. Usiadła sztywno, by Sara mogła upiąć kunsztowne uczesanie i strzepnąć z niej pył podróży. Przez cały czas smukłe palce Katarzyny splatały się i rozplatały na kolanach.

Kiedy zabrzmiał gong, Katarzyna była gotowa. Sara odziała ją w suknię z aksamitu, przybraną dwiema falbanami z koronki. Wyglądała pięknie i prawie dostojnie. Wymknęła się ze zręcznych rąk Sary i skierowała w stronę drzwi z taką determinacją, że Cyganka nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Wyglądasz jak mały kogucik, który ma stoczyć walkę - rzuciła.

- A ty - skarciła ją młoda kobieta - jesteś w takim dobrym położeniu, że możesz sobie pozwolić na żarty...

Wejście Katarzyny do wielkiej komnaty, gdzie nakryto do kolacji, przerwało opowiadanie myśliwskie, które na intencję Jana de Craona i Katarzyny de Rais upiększała, energicznie gestykulując, wysoka, chuda kobieta o siwiejących włosach, potężnym nosie, uderzająco podobna do starszego pana. Odziana w podbitą złotem satynową suknię koloru zwiędłych liści, której rękawy ciągnęły się po ziemi, naśladowała lot myśliwskiego sokoła, a gdy zauważyła wchodzącą Katarzynę, zamarła z rozpostartymi rękami.

- Dobry wieczór, moja droga! Jak to dobrze, że pani nas odwiedziła!  
- rzuciła przyjaźnie, po czym w najlepsze wróciła do swego opowiadania o polowaniu, które przyniosło w rezultacie dwie czaple i dwa zające. Wreszcie zakończyła, mówiąc: - A wszystko po to, by wam powiedzieć, że po takim dniu umieram z głodu. Siadajmy do stołu!

- Chwileczkę! - ucięła smutno Katarzyna. - Zanim usiądziemy do stołu, pragnę się dowiedzieć, gdzie mam usiąść: czy przy stole gospodarzy, czy też przy stole więziennym?

Nieustraszonym myśliwym była ni mniej, ni więcej tylko Anna de Sille, babka Katarzyny de Rais, z którą Jan de Craon ożenił się rok po ślubie Gilles'a. Spojrzała teraz na młodą kobietę z niekłamanym zdumieniem, z lekka zabarwionym podziwem.

- Do pioruna! - rzekła.

Stary Craon zmarszczył jednak brew, a jego dolna warga zwiśla w złowróbnym grymasie.

- Więziennym? - spytał. - Skąd, u diabła, przyszło to pani do głowy?

Przemawiał tonem suchym i z niezbyt zachęcającą miną, ale Katarzyna była zbyt zagniewana, by dać się zbić z tropu. Chłodno zmierzyła wzrokiem gospodarza.

- Przyszło mi to do głowy dlatego, że zaledwie w godzinę po moim przybyciu zaaresztowano na moich oczach mego giermka, gwałcąc w ten sposób święte prawo gościnności.

- Ten człowiek uderzył strażnika. Wydaje mi się, że jest to postęp, który zasługuje na karę.

- Sama bym ją wymierzyła, gdyby nie to, że jego czyn spowodowany był dziwnymi słowami. Przeszkadzono mu zająć się naszymi mulicami pod pretekstem, że teraz są już pańską własnością i że skądinąd nie będą mi już potrzebne, zostaną bowiem tu znacznie dłużej, niż zamierzałam. Każdy sługa, jeśli jest choć trochę oddany swej pani, wzburzyłby się, słysząc takie domniemanie, i jeśli chce pan wiedzieć, jakie jest moje zdanie w tej materii, to pański sierżant nie został przykładowo ukarany...

Jan de Craon wzruszył ramionami.

- Żołnierze nie zawsze są zbyt mądrzy - rzekł ponuro. - Nie należy przywiązywać wagi do tego, co mówią.

- W takim razie istnieje dobry sposób na to, byś mógł mnie przekonać o swej dobrej woli. Każ uwolnić mego giermka i przygotować moje muły; wówczas przeproszę za wszystko, co powiedziałam... i wyruszę w drogę dziś wieczór wraz ze służącymi.

- Nie!

Słowo przecięło napiętą ciszę, jaka zapanowała po ostatnich słowach Katarzyny, która czuła, że obie kobiety wstrzymały oddech, a ich niespokojne oczy biegały od niej do starszego pana i z powrotem. Jej krtań

zacisnęła się z wrażenia. Z trudem przełknęła ślinę, ale nie drgnęła. Nawet udało się jej pogardliwie uśmiechnąć.

- Tak pan powiada? Ma pan doprawdy dziwny sposób pojmowania gościnności! A więc jestem uwięziona!

Lekko utykając, Jan de Craon podszedł do młodej kobiety, która wciąż stała wyprostowana w swej czarnej sukni. Kiedy przemówił, jego głos był już znacznie łagodniejszy.

- Proszę mnie zrozumieć, wielmożna pani Katarzyno, musimy mówić jasno i dokładnie. Ten zamek należy do mego wnuka. Jest on jego panem, jak również wszystkich tych, którzy mieszkają w tych murach... nawet moim, i jego wola, wyłącznie ona, jest tutaj prawem. Dostałem co do pani jasne rozkazy: pod żadnym pozorem nie powinna pani opuścić Champtoce przed jego powrotem. Nie, proszę mnie nie pytać dlaczego, bo nie wiem! Wszystko, co jest mi wiadome, to to, że Gilles spodziewa się panią zastać tutaj po swym powrocie z wojny, a ja nie sprawię mu zawodu. Proszę się uspokoić. Nie będzie pani zapewne zmuszona długo czekać. Walki toczące się obecnie na północ od Paryża są zbyt zaciekle, by nie ustanowiono przerwania ognia na czas zimy. Anglicy bardziej niż my potrzebują wytchnienia. Gilles wróci niebawem. I... czyż nie ma on tu przyprowadzić kogoś szczególnie drogiego pani sercu?

Oblicze Katarzyny ogarnęła z nagłą falą gorąca. Jej gniew wywołany niesprawiedliwym uwięzieniem Waltera sprawił, że na chwilę zapomniała o Arnoldzie i miała do siebie żal o to uchybienie. Jednocześnie sama myśl o człowieku, którego kochała, nieco ją odprężyła. Było prawdą, że Arnold miał przybyć prosto tutaj, i serce jej zabiło żywiej na myśl o tym, że znów go zobaczy, usłyszy jego głos. Jeśli stąd odjedzie, spotkanie to nastąpi o tyle później, ile czasu będzie potrzebował na to, by ją dogonić.

Nie była świadoma tego, że Jan de Craon czyta myśli z jej twarzy. Kiedy uniosła ku niemu oczy, podał jej rękę ze staromodną galanterią.

- Widzi więc pani, że trzeba być rozsądną. Pozwoli pani? Ona jednakże nie oparła się na rękę, którą jej ofiarowano.

- Dobrze - rzekła wreszcie z trudem. - Pozostanę. Ale, przynajmniej, każ, panie, zwrócić mi Waltera.

Mimo że wypowiedziana łagodnie, odmowa de Craona była stanowcza.

- Nie wolno mi, pani! Prawa rządzące tym zamkiem są surowe i zasadnicze. Ktokolwiek uderzy strażnika, musi być sądzony... sprawiedliwie sądzony, proszę być o to spokojna! Kiedy Gilles jest w domu, co tydzień wymierza sprawiedliwość, i tylko on może wydać osąd w sprawie swoich żołnierzy. Mogę jedynie obiecać, że Walter nie będzie maltretowany, otrzyma należyty wikt i stosowną celę. Dla niego również czas oczekiwania będzie krótki.

Nic nie można było tu dodać. Katarzyna pojęła to od razu. Czowała się pokonana, ale postanowiła, że pozornie to zaakceptuje, choć wszystko się w niej burzyło. Uniósłszy z gracją długie fałdy aksamitnej sukni, skierowała się w stronę nakrytego stołu, przechodząc dumna i wyprostowana przed Craonem, który opuścił wreszcie rękę.

Weszli giermkowie niosący misy z wodą i ręczniki z białego lnu. Biesiadnicy w milczeniu zajęli miejsca po jednej tylko stronie długiego stołu i oddali się rytualnym ablucjom. Następnie wszedł kapelan, który wymamrotał krótką modlitwę, po czym pojawiły się pierwsze dania. Anna jadła łapczywie, jak ktoś, kogo wygłodził pobyt na świeżym powietrzu, ale od czasu do czasu spoglądała na Katarzynę wzrokiem ciekawym, acz nie pozbawionym sympatii. Musiała lubić ludzi o zdecydowanym charakterze.



Młoda kobieta natomiast za ledwie dotykała dań, które jej kolejno podawano. Siedziała wyprostowana na krześle, z oczami utkwionymi w dal, machinalnie kręcąc w palcach kulkę z chleba, próbując całą siłą woli zwalczyć podstępnie zakradający się do jej serca niepokój. Czepiała się gorączkowo myśli o Arnoldzie. Arnold i jego siła, Arnold i jego niepokonana odwaga, Arnold - najlepszy miecz Francji obok wielkiego hetmana de Richemonta, Arnold... i jego nieznośny charakter, jego donośny śmiech, jego nienaruszalna duma, ale także szalone pocałunki, czułe dłonie i namiętne słowa, które tak umiał jej szeptać. Wiedziała, jak ją obronić, chronić - gdyby tu był. Nawet najmocniejsze mury nie zdołałyby jej powstrzymać, gdyby on był przy niej. Kto śmiałyby się przeciwstawić Montsalvy'emu?

Anna de Craon przeciągała się i ziewała bez skrępowania.

- No cóż, ja idę spać. Chcę o świcie wyruszyć na dzika. Bartłomiej widział z drugiej strony Rosne jego ślady.

Starsza pani zwilżyła ręce wodą ze złotej miski, którą podał jej paź, wytarła je w czerwony ręcznik, a następnie - nie troszcząc się już o przymusowego gościa - ujęła pod ramię małżonka i skierowała się ku drzwiom. Wnuczka poszła w jej ślady, a Katarzyna podążyła za nimi. Gdy opuściły oświetloną okolicę stołu, idąc obok siebie, Katarzyna poczuła, że jakaś ręka dotyka jej ręki i wsuwa jej w dłoń ciasno zwinięty bilecik. Serce jej drgnęło, ogarnęła ją raptowna radość i szybko zacisnęła dłoń na bilecie. Na progu komnaty wszyscy wymienili ceremonialne ukłony i życzenia dobrej nocy. Następnie uczestnicy tego dziwnego obiadu, poprzedzani przez giermków oświetlających drogę, udali się do swych pokojów.

Gdy tylko Katarzyna zamknęła za sobą drzwi sypialni, podbiegła do kandelabru, w którym płonęły nowe świece, rozwinęła bilecik i nachyliła

się, by go przeczytać. Treść była krótka, bez podpisu, ale Katarzyna i tak wiedziała, od kogo pochodziła.

*Proszę przybyć jutro do kaplicy w porze tercji. Jest Pani w niebezpieczeństwie. Proszę spalić list po przeczytaniu.*

Po plecach kobiety spłynął zimny pot. Miała silne poczucie zagrożenia i raptem wszystko dokoła wydało jej się wrogie. Przerażone spojrzenie skierowało się bezwiednie na ściany pokoju i aż podskoczyła z wrażenia. W pełgających płomieniach świec postacie z tkaniny pokrywającej ścianę ożyły. Cała ściana jak gdyby się poruszała od uzbrojonych żołnierzy, od wzniesionych mieczy, pod których ciosem padały dzieci w powijakach. U stóp zabójców klęczały kobiety, wyciągając w ich stronę błagalne ramiona. Jedna z nich, z szyją rozplataną mieczem, padała do tyłu z wywróconymi białkami oczu. Dokoła wszędzie była krew i usta otwarte w niemym krzyku, i Katarzyna miała wrażenie, że słyszy ten krzyk! Cała ściana ożyła!

Sara, która spała na podnóżku koło łoża, obudziła się w jednej chwili i przeraziła na widok bladej twarzy Katarzyny, jej drżących ust, zeszywniałej postaci i obłąkanego wzroku. Zawołała:

- Boże! Co ci jest?

Katarzyna zadrżała. Jej wzrok oderwał się od sceny zabójstwa, by spocząć na Sarze. Podała jej bilecik, który dotąd ścisnęła w dłoni.

- Masz, czytaj! - powiedziała posepnie. - To ty miałaś rację. Nie powinniśmy byli nigdy tu przyjeżdżać. Obawiam się, że jesteśmy w straszliwej pułapce.

Cyganka czytała starannie, sylabizując półgłosem każde słowo, następnie zwróciła skrawek pergaminu Katarzynie, która rzekła:

- Może wydostaniemy się z niej łatwiej, niż przypuszczasz. Jeśli się nie mylę, ktoś pragnie nam pomóc.

- Kto to jest?

- Pani de Rais. Jest nieśmiała, cicha i wydaje się, że sterroryzowana. Ale trudno zgadnąć, co myśli naprawdę. Gdybym tylko wiedziała, czego ona się tak boi...

Zalękniony głos, który dochodził jakby z głębi kominka, sprawił, że obie kobiety odwróciły się.

- Ona się boi swojego męża, tak jak wszyscy w tym domu. Boi się pana Gilles'a.

Młodziutka dziewczyna, drobna i zarumieniona, odziana w strój służącej, wyszła z cienia padającego od muru. Jej czepek z trudem utrzymywał się na obfitych ciemnoblonde włosach, w palcach miała błękitny fartuszek. Katarzyna dostrzegła, że oczy jej są pełne łez... Nagle, zanim mogła zapobiec temu gestowi, młoda służąca padła do jej nóg i otoczyła je ramionami.

- Pani, wybacz mi... ale ja się tak boję, od tylu dni już się boję! Ukryłam się tutaj, by błagać cię, pani, abyś zabrała mnie ze sobą. Bo przecież odjeżdżasz stąd, nieprawdaż? Przecież nie zostaniecie w tym strasznym zamku?

- Chciałabym bardzo stąd wyjechać - rzekła Katarzyna, próbując oderwać ręce małej od swoich stóp - ale obawiam się, że jestem uwięziona. No wstań, podnieś się! Czego się tak boisz, przecież nie ma wielmożnego pana Gilles'a.

- Nie ma go teraz, ale wróci! Pani nie wie, jaki to człowiek z tego pana Sinobrodego! To istny potwór!

- Pan Sinobrody? - przerwała jej Sara. - Co za dziwne miano!

- Ale do niego pasuje! - powiedziała dziewczyna, wciąż klęcząc. - My, tutejsi, którzy mieszkamy na jego ziemiach, nazywamy go tak, kiedy żołnierze nas nie słyszą. Jest twardy, okrutny i fałszywy... Bierze to, co mu się podoba, nie troszcząc się o cierpienia, jakie powoduje.

Katarzyna łagodnie, lecz stanowczo podniosła służącą i posadziła ją na kuferku. Usiadła obok niej.

- Jak się nazywasz? Jak się tu dostałaś?

- Nazywam się Guillemette, pani, pochodzę z Villemoisan, dużej wsi na północ od zamku. Ludzie pana Gilles'a porwali mnie w zeszłym roku i przywieźli tutaj razem z dwiema innymi dziewczętami z wioski. Miałyśmy usługiwać pani de Rais, ale szybko zrozumiałam, że mamy służyć jej małżonkowi. Wrócił do zamku na kilka dni. Żaneta i Denise, moje towarzyszki, umarły wkrótce po naszym przybyciu...

- Ale... dlaczego? - spytała Katarzyna, instynktownie ścisząc głos.

- Pan Gilles i jego ludzie zabawiali się z nimi. Żanetę znaleziono uduszoną, leżącą na słomie w stajni, a Denise... pewnego ranka praczki znalazły ją u stóp fortu z połamanymi kośćmi.

- A ty? Jak ci się udało?

Guillemette uśmiechnęła się drżącymi ustami i rozplakała.

- Uznali, że jestem za chuda... no i pan wyjechał, nie miał już czasu. Ale obiecał, że się mną zajmie po powrocie. Widzi pani, że trzeba mnie stąd zabrać... Jeśli zostanę tutaj, ja też umrę. A tak chciałabym wrócić do swojej wioski! Błagam panią, jeśli uciekacie, pozwólcie mi iść z wami. Jesteście moją jedyną szansą...

- Ależ, moje biedactwo, ja sama nie jestem pewna, czy dam radę uciec. Jestem uwięziona tak jak i ty...

- Wiem o tym. Ale jednak ma pani jakąś szansę... w tym bileciku, który pani przeczytała!

Katarzyna wstała i przeszła się po pokoju, zwijając i rozwijając w palcach kawałek pergaminu. Jej twarz była posępna, ale w głębi duszy słyszała zew nadziei. Pani de Rais musiała znać dobrze cały zamek i wiedziała zapewne, jak można doń wejść albo go opuścić. Były tu z pewnością jakieś piwnice, ukryte przejścia... Podeszła znów do Guillemette i położyła jej rękę na ramieniu.

- Posłuchaj - rzekła łagodnie - obiecuję, że cię zabiorę, jeśli znajdę jakiś sposób, żeby uciec. Przyjdź jutro, w połowie dnia. Powiem ci, jeśli coś będzie postanowione... ale nie możesz mieć wielkiej nadziei, wiesz o tym?

Twarz młodzianki służącej rozjaśniła się. Jej oczy obeschły, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uśmiechnęła się promiennie do Katarzyny, następnie skłoniwszy się, przycisnęła usta do ręki młodej kobiety.

- Dziękuję, o, dziękuję, szlachetna pani! Całe życie będę cię błogosławić i modlić się za ciebie! Będę ci służyć, jeśli zechcesz, pójdę wszędzie jak pies za tobą, pani, jeśli taka będzie twoja wola.

- Moją wolą jest w tej chwili - ucięła Katarzyna z uśmiechem - abyś się uspokoiła i zaraz stąd wyszła! Ktoś mógłby cię szukać...

Guillemette, szybciutko się ukłoniwszy, umknęła już z pokoju lekka jak ptaszek. Kobiety spojrzały po sobie. Katarzyna wolnym ruchem wyciągnęła bilecik od pani de Rais w stronę płomienia świecy. Sara wzruszyła ramionami.

- Co zrobisz z tą zaleknioną dziewczynką?

- Skąd mam to wiedzieć? Dałam jej nadzieję, więc się trochę uspokoiła. Może jutro odpowiem na twoje pytanie. Chodź, pomożesz mi się rozebrać. Spróbujmy usnąć.

Katarzyna przystąpiła w milczeniu do wieczornej toalety, zamykając się ze swymi myślami, podobnie jak Sara. Wprawne ręce Cyganki rozczesywały srebrnym grzebieniem jej długie, złociste pukle. Sara uwielbiała włosy Katarzyny. Pielęgnowała je ruchami łagodnymi, niemal modlitewnymi. Była dumna z jej pięknych włosów o wiele bardziej niż ich właścicielka, która czasem uważała, że zbyt dużo czasu zabiera czesanie.

- Pani o Złotym Runie... - wyszeptała Sara. - Twoje włosy są co dzień piękniejsze! Wielmożny pan Filip zapewne pomyślałby to samo, co ja.

- Wypowiadasz imię, którego nie chcę już więcej słyszeć - ucięła sucho Katarzyna. - Książę Burgundii jest dla mnie tylko księciem Burgundii - jest moim wrogiem! I nie chcę nosić imienia Złotego Runa, z którego on jest taki dumny...

Urwała raptownie. Na zewnątrz dał się słyszeć potworny wrzask, prawdziwy okrzyk przedśmiertny. Obie pobladłe kobiety popatrzyły na siebie skamieniałe.

- Co to takiego? - szepnęła Katarzyna zdławionym głosem. - Idź, zobacz...

Sara wzięła lichtarz i podbiegła z nim do drzwi, po czym wyszła na korytarz. Na zewnątrz słychać było głosy, wezwania, krótkie rozkazy i tupot ciężkich butów. Katarzyna z bijącym z przestachu sercem siedziała przygwożdżona do zydła, wsłuchując się pilnie w te odgłosy. Po kilku chwilach wróciła Sara. Była biała jak płótno, wyglądała tak, jakby miała

zemdleć. Oparła się o framugę drzwi i zachwiała, jakby miała upaść. Jej wargi się poruszały, ale nie wychodził z nich żaden dźwięk.

Młoda kobieta skoczyła w jej stronę, objęła ją i powoli podprowadziła do zydła, z którego wstała. Następnie napełniła wodą kielich, zaczerpnąwszy z cynowego dzbanka ustawionego obok misy. Zęby Cyganki dzwoniły, a jej oczy niemal wychodziły z orbit. W kącikach jej ust zarysowały się głębokie, zielonkawe zmarszczki. Wypiła kilka łyków wody, zadrżała...

- Mój Boże! - szepnęła Katarzyna. - Nie strasz mnie! Co widziałas? Co się zdarzyło? Ten krzyk...

- Guillemette! - wybełkotała Sara. - Znalaziono jej zmasakrowane ciało na dziedzińcu. Ona... spadła z zewnętrznej galerii!

Cynowe naczynie wysunęło się z rąk Katarzyny i potoczyło aż do kominka.

Jakieś poruszenie w zamku wyrwało Katarzynę z gorączkowego snu, w który zapadła nad ranem. Przez wiele godzin leżała przytulona do Sary w wielkim łożu, nie mając odwagi odetchnąć i nasłuchując najmniejszego choćby hałasu na zewnątrz. Jej nerwy były tak napięte, że zwyczajny rechot żab w pobliskim stawie sprawiał, iż cierpła na niej skóra! Nigdy w życiu tak się nie bała! W końcu jednak zmęczenie wzięło górę nad przerażeniem.

Ponieważ hałas na dziedzińcu stale się wzmaczał, Katarzyna zeskoczyła z łoża, przekraczając Sarę, która spała, rozciągnięta w poprzek. Boso podbiegła do okna. Jak wszystkie okna części mieszkalnej wychodziło ono na paradny dziedziniec. Katarzyna otworzyła okiennice, mrużąc oczy przed światłem, pchnęła jeden z czterech witrażyków

ozdobionych herbem i wychyliła się. Rycerze, muły i chmara służby otaczali wielką lektykę, w której sadowiła się imponujących rozmiarów piastunka w szkarłatnej sukni oraz białym czepku i takim samym fartuchu z mniej więcej półtoraroczną dziewczynką w ramionach. Parę chwil później pojawiła się Katarzyna de Rais. Była w tej samej szarej sukni co wczoraj, na którą narzuciła dobrany szary płaszcz. Na głowie miała podwójny wałeczek z błękitnego aksamitu, z lekką woalką. Miała zaczerwienione oczy i ściągnięte rysy twarzy.

Nie spojrzawszy nawet na okna zamku, zasiadła w lektyce, którą lokaj natychmiast zamknął. W tej samej chwili orszak ruszył. Ze swego miejsca Katarzyna patrzyła ze ściśniętym sercem, jak grupa przeszła pod niskim sklepieniem łączącym dziedziniec paradny z dziedzińcem folwarcznym.

Kilka chwil później wszystko zniknęło. Tylko trzech służący zamiatali posadzkę.

Katarzyna powoli zamknęła okno. Wracając do łóżka, zobaczyła, że Sara nie śpi i przygląda się jej wsparta na łokciu.

- Co to było? - spytała, tłumiąc ziewnięcie. Młoda kobieta opadła ciężko na łożo.

- To odjechała nasza ostatnia nadzieja! Pani de Rais opuściła zamek z ludźmi pod bronią i bagażami. Ale z całą pewnością nie wyjeżdżała z własnej woli!



## *Rozdział czwarty*

# *Niebo się chmurzy*

---

Nadeszły żniwa, a Katarzyna nadal jeszcze szukała sposobu, by opuścić Champtoce przed powrotem Gilles'a de Rais'go. Z biegiem czasu przyzwyczajała się do myśli, że konfrontacja jest nieunikniona.

Żaden posłaniec nie przeszedł mostem zwodzonym od jej przybycia, gubiła się więc tylko w domysłach. Czy Gilles mógł odbić Arnolda de Montsalvy'ego z rąk Richarda Venablesa, a może kapitan wciąż był więźniem Anglika? Sara uważała, że jeśli walki nadal trwały, to Arnold nie wróci do Katarzyny przed zawieszeniem broni, którego się spodziewano. Mimo wielkiej miłości, jaką żywił dla niej, miał wojnę i poczucie obowiązku we krwi, nie mógł więc postąpić inaczej, jak zająć swe miejsce wśród kapitanów Karola VII.

- W każdym razie, kiedy pan de Rais powróci, dowiesz się od niego, czego masz się trzymać - mówiła Cyganka, chcąc uspokoić Katarzynę, której lęk wzrastał z dnia na dzień po tym, co się zdarzyło w ostatnich dniach lipca, w niedzielę, podczas dożynek.

W tym dniu świętowano koniec żniw i tradycyjnie orszak wieśniaków przybył do zamku, niosąc Javelo, ostatni snop, przyozdobiony wstęgami i kwiatami, by ofiarować go kasztelance. Katarzyna de Rais przebywała w swoich dobrach w Pouzauges, zatem wieniec przyjmowała

nieustraszona Anna de Sille i wydawała tradycyjny posiłek na dziedzińcu folwarcznym. Na tę okoliczność zaprosiła Katarzynę, by przewodziła wraz z nią tej wiejskiej uroczystości.

- Trzeba nam nieco rozrywek - rzekła do niej - a ponieważ mój szlachetny małżonek nie pozwala pani czerpać przyjemności z polowania, proszę, skorzystaj choćby z tej, jaka nadarza się na terenie zamku.

Mimo swego niezbyt kobiecego sposobu bycia Anna de Craon nie była w gruncie rzeczy zła. Za nic na świecie nie przeciwstawiłaby się swemu groźnemu małżonkowi, nawet nie przyszłoby jej to do głowy, ale blade policzki Katarzyny, jej oczy, otoczone od paru dni fioletową obwódką, niepokoiły ją. Ona sama zbyt lubiła szalone przejażdżki na świeżym powietrzu o każdej porze, by nie współczuć młodej kobiecie, zmuszonej siedzieć w zamknięciu w murach fortecy. Gdy wracała ze swych stałych polowań niezbyt wyczerpana, również robiła, co mogła, by rozerwać swego przymusowego gościa.

- Nie mam serca do zabaw, pani - odparła Katarzyna. Ale kasztelanka nie chciała o niczym słyszeć.

- Na Boga, moja kochana, trzeba się otrząsnąć! Przecież nie spędzi pani całego życia w tym starym zamczysku. Nie wiem, czego od pani chce Gilles, ale on sam jest zbyt zajęty, by jeszcze troszczyć się o kobietę... choćby była nie wiem jak piękna. Chodźmy zjeść, pośpiewać i potańczyć z naszymi wieśniakami. Ci junacy ryczą jak bawoły i myślą, że wyśpiewują melodie, ale tańczą z dużą pewnością siebie i piją na umór.

Pod pewnymi względami Anna przypominała Katarzynie jej starą przyjaciółkę Ermengardę de Chateauvillain - ta sama męcząca energia, ta sama nieprzejednana władczość, także żelazne zdrowie i chęć do życia.

Od czasu dziwnej śmierci Guillemette, młodej służącej, nie zdarzyło się w zamku nic niepokojącego, nic, co zakłóciłoby codzienne życie.

Ale w chwili gdy Katarzyna wkraczała na ogromny dziedziniec folwarczny otoczony pierwszym pasem muru, gdzie ustawiono długie stoły na krzyżakach nakryte białymi obrusami i ozdobione polnym kwieciem, gdzie świnie oraz barany piekły się w ognisku z gałęzi, musiała nagle wczepić się w ramię Sary. Czy spowodował to zapach obficie przyprawionego mięsa, czy beczek z winem i jabłecznikiem, które otwierali szafarze, czy może powiew z pobliskich obór, stajni i zagród? Nagle wszystko zaczęło wokół niej wirować, ziemia wymykała się jej spod stóp, a jej ciałem wstrząsnęły mdłości. Pobladła na twarzy, a potem zzieleniała... Sara krzyknęła:

- Co ci jest, Katarzyno? Słabo jej, na pomoc!

Anna de Craon, która szła przed nimi wraz z dwórkami, natychmiast się cofnęła, by pomóc Sarze, i krzyknęła, obejmując Katarzynę w pasie.

- Trzeba ją ułożyć... o tak, na tej ławie. Pani Alienor, proszę przynieść zimnej wody, Mario, niech pani biegnie do zamku. Proszę kazać przynieść nosze. Szybciej, biegiem, wy niezguły!

Obie dwórki popędziły, by wykonać rozkazy kasztelanki. Ona sama zaś pochyliła się nad wyciągniętą na trawie Katarzyną i przyglądała się bacznie jej woskowej twarzy. Raptem wbiła władcze spojrzenie w Sarę.

- Czemu nie powiedziałyście mi, że ona jest w ciąży?

- W ciąży? - powtórzyła osłupiała Sara. - Ale ja nie...

Sara w istocie nie wiedziała, co wydarzyło się podczas nocy spędzonej w barce.

- Z kim? - spytała Anna, śmiejąc się. - To chciałaś powiedzieć? Na ten temat, moja droga, twoja pani może coś więcej powiedzieć. I nie patrz

na mnie takimi okrągłymi oczami. Oto wraca Alienor, nie trzeba, by słyszała. To największa gaduła w całej okolicy! Nawet dlatego ją trzymam - dodała starsza pani ze śmiechem. - Ona mnie bawi!

Katarzyna pomału dochodziła do siebie pod orzeźwiającyymi kompresami z zimnej wody, które pani de Craon przykładła jej do czoła. Oddychała swobodniej, mdłości ustępowały, ale czuła się dziwnie słaba.

Nagle zrozumiała, co jej się przytrafiło. Zaczerwieniła się i przestraszyła. Być osłabioną fizycznie wówczas, gdy potrzebuje całych sił - to ją zaniepokoiło, ale tylko na chwilę. Po chwili ogarnęła ją radość, gdy uprzytomniła sobie, że dziecko, które nosiła, było również dzieckiem Arnolda. Syn Arnolda! Bo przecież to mógł być tylko syn, tak piękny i taki waleczny jak ojciec. I może o takim samym trudnym charakterze. Ta myśl ją rozbawiła. A więc ten poryw miłości na dnie barki, w której znaleźli schronienie po tym, jak uniknęli śmierci, ta pierwsza chwila prawdziwej wolności i szczęścia bez granic miała trwać dalej...? Nic bardziej cudownego nie mogło się jej przytrafić, bo połączyła się mocniej z tym, którego tak namiętnie kochała - dziecko! Na chwilę myśl jej pomknęła ku dziecku, które straciła, małemu Filipowi, który umarł daleko od niej, w ramionach Ermengardy de Chateauvillain. Długo potem dręczyły ją wyrzuty sumienia. Zarzucała sobie, że nie dość nad nim czuwała, że zaniedbała go dla wystawnej egzystencji, podczas gdy on znalazł u Ermengardy tyle miłości, ile potrzebował. I zapytywała siebie samą, jak mogła pozostawać tak długo z dala od niego. Pewnie dlatego, że nie żywiła prawdziwej miłości dla jego ojca... Mały Filip miał w swoich żyłach krew królów Francji. To dla niej zbyt imponujące, zbyt godne i rozumiała teraz, że dla niej to dziecko było przede wszystkim synem księcia Burgundii.

Ale ten, który miał teraz przyjść na świat, który już dokonał przewrotu w jej ciele, żądał swojego udziału w jej życiu, będzie naprawdę ciałem z jej ciała i ucieleśnioną miłością. Przypomniało jej się coś, co powiedział mauretański lekarz Abu-al-Khayr, gdy oczekiwała narodzin małego Filipa:

„Teraz, kiedy idziemy świetlistą drogą nakreśloną przez dziecko, każda inna droga jest drogą nocy...”.

- Jaki szczęśliwy byłby Arnold, gdyby wiedział - szepnęła do siebie Katarzyna, cała odmieniona radością.

- Pod warunkiem że udałoby się nam mu to powiedzieć - mruknęła Sara, która wszystko usłyszała.

Katarzyna nie chciała jednak przyćmiewać tego, co było teraz jej małym szczęściem. Cały dzień i całą noc, w rytmie wioli i bębenków odmierzających taneczne rytmy poczciwym wieśniakom z Champtoce, pieściła swe marzenia pod opieką Sary - powściągliwej i zarazem uważnej.

Przez cały sierpień Katarzyna była tak chora, że setki razy czuła, jak umiera. Cały czas wstrząsały nią mdłości. Jej zbuntowany żołądek nie tolerował żadnego pożywienia, a niepohamowane wymioty systematycznie pozbawiały ją sił. Potworny upał, przenikający nawet przez grube mury Champtoce, który zapalał we wsi snopy słomy, powalał bydło na polach i wysuszał źródła, dopełnił miary. Całymi dniami bezlitosne słońce połyskiwało na białym niebie. Studnie się wyczerpywały, a woda pitna stała się tak drogocenna jak złoto. Nawet Loara wyschła na znacznej długości, ukazując piaszczyste dno, tak jak znoszony materiał ukazuje swoją osnowę. Jednak Katarzyna się nie uskarżała. Mimo że była złożona niemocą, znosiła ją po stoicku, była ona bowiem spowodowana tym, że nosiła dziecko Arnolda. Jedynie wtedy, gdy czuła się zbyt wyczerpana,

obawiała się, że sprawy przybiorą zły obrót i że straci błogosławiony ciężar, który nosiła w łonie.

Całymi dniami pozostawała w łóżku przykryta jedynie cieniutkim prześcieradłem, za zamkniętymi okiennicami, które otwierano dopiero wówczas, gdy słońce zachodziło. Sara dotrzymywała jej towarzystwa, a często przychodziła również pani de Craon, której kanikuła przeszkodziła w przejażdżkach. Pocieszała się ona przy Katarzynie, spędzając w jej pokoju całe godziny na opowiadaniu o swoich wyczynach z ubiegłych lat. Tylko Jan de Craon nigdy nie przestąpił progu pokoju. Co rano, z poprawną grzecznością, zapytywał przez pazia o zdrowie uwięzionej, nie rozluźniając jednak nad nią kontroli. Na podstawie opowiadań kasztelanki Katarzyna coraz lepiej poznawała mentalność starszego pana, dającą się ująć w niewielu słowach: wyłączna, namiętna i ślepa miłość do wnuka Gilles'a. Dla de Craona był on uosobieniem jego rodu, jego bóstwem; aby przydać mu potęgę i chwały, gotów był popełnić wszelkie możliwe zbrodnie.

- Gilles był jeszcze dzieckiem - opowiadała Anna - kiedy mój małżonek zachęcał go do zabijania, pustoszenia i palenia własnych wiosek, by pokazać, jak daleko może sięgać jego władza. Kazał przynosić mu przed oblicze skrzynie złota, mówiąc, że to jego majątek, że może z tym robić, co mu się żywnie podoba, że złoto jest najwyższą potęgą, kluczem do wszelkich uciech.

- Nietrudno zgadnąć, jaka może być mentalność marszałka - odpowiadała na to Katarzyna. - Kocha tylko siebie samego, nieprawdaż?

- Tak jest, i często ubolewałam nad tym, ale najbardziej wtedy, gdy porwał Katarzynę, moją wnuczkę. Przeczuwałam, że będzie nieszczęśliwa.

Dlatego zgodziłam się poślubić starszego pana de Craona... Do końca mych dni będę chronić Katarzynę.

- Mimo to nie przyszłoby pani do głowy zbuntować się przeciwko decyzjom małżonka?

- Nie. On jest po prostu moim mężem. On jest tu panem, a ja muszę być mu posłuszna.

W ustach tej wyniosłej kobiety słowa te zabrzmiały dziwnie, ale Katarzyna była zbyt słaba, by dłużej się tym zdumiewać.

Najbardziej brakowało jej Waltera. Wiedziała, że więziono go w wieży od wschodu i że cierpliwie, a raczej filozoficznie, znosił swój ciężki los. Celę miał czystą, względnie przyzwoitą i było w niej chłodniej niż w innych częściach zamku. Żywiono go przyzwoicie i był świadom tego, że wszystko zależało od tajemniczego układu między Katarzyną i Gilles'em de Rais'em. Powiedział sobie tylko, że nie podda się łatwo, jeśli kiedykolwiek ktoś od niego tego zażąda. Na razie ciążył mu jedynie brak działania, a jego oprawcy dokładnie oglądali co rano celę, by się upewnić, czy nie zaczął rozbierać zamku kamień po kamieniu. Owe wizyty były zresztą dziełem plutonu złożonego z dziesięciu ludzi, takim respektem przejmowała strażników siła olbrzymiego Waltera. Był to zresztą obrządek, który nieodmiennie przyprawiał więźnia o wybuch radości i obserwował go, śmiejąc się do rozpuku. Oczywiście Walter nie lękał się bynajmniej o swój los. Chmurzył się tylko na myśl o stanie Katarzyny. Ma się rozumieć, to Anna de Craon opowiedziała o wszystkim młodemu mężczyźnie.

Gdy nadeszły pierwsze dni września i upał wreszcie zelżał, złe samopoczucie Katarzyny ustąpiło równie nagle, jak się zaczęło. Mogła jeść, nie żądając natychmiast miednicy, i stopniowo stawała się coraz

mocniejsza. Tego ranka, gdy wszystkich obudził szum pierwszego deszczu, udało jej się wstać, ubrać i podejść do zwierciadła. Ujrzała w nim odbicie wychudłej, niemal tragicznej twarzy, w której ogromne oczy świeciły blaskiem mocniejszym niż kiedykolwiek.

- Tylko to już ci zostało, oczy! - burczała Sara, sznurując suknię Katarzyny. - Musisz koniecznie przytyć, bo inaczej dziecko będzie chude jak nieszczęście. Nikt by nie powiedział, że jesteś w ciąży. Masz nadal kibić młodej dziewczyny.

- Bądź spokojna, nie na długo. Czuję się jeszcze tylko trochę słaba. Ach, jaki ten deszcz jest przyjemny!

Dobroczynny deszcz, który zaczął padać po duszących upałach, miał okazać się uporczywy. Całymi dniami wilgotna zasłona spowijała okolicę, rozdymając wskrzeszone strumyki, pokrywając zielenią wyrudziałe pola, przekształcając w rzekę błota pył z okolicznych dróg. Ale prawdziwa ulewa była tego wieczoru, gdy strażnik jak szalony zaczął dąć w róg, obwieszczając wszem wobec, że Gilles de Rais zbliża się do zamku swoich przodków.

Na ten zew serce Katarzyny podskoczyło w piersi. Mimo że zapadł zmierzch i z nieba lały się potoki deszczu, otuliła się obszerną peleryną i wybiegła na galerię. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wybudzony z monotonnego odrętwienia zamek wrzał. Żołnierze ciągnący za sobą broń, odświętnie ubrane służące, lokaje biegający po pokojach z paczkami nowych świec zapelniali wszystkie pomieszczenia i biegali w różne strony. Nikt nie zajmował się Katarzyną, która zresztą mogła poruszać się tam, gdzie chciała, ale tylko wewnątrz murów zamkowych.



Na wieży obserwacyjnej wiatr łopotał chorągwiemi. Wślizgnął się pod płaszcz Katarzyny, gdy tylko wyszła na wąskie schodki. Z wyjątkiem strażnika pochylonego nad blanką, nie było nikogo.

- Czy są jeszcze daleko? - spytała.

Żołnierz podskoczył, nie usłyszał bowiem, jak nadchodziła. Z jego hełmu spływały strumienie deszczu, pod którym czały się oczy i obfity wąs. Zasalutował niedbale wilgotną rękawicą, a następnie wyciągnął ramię w stronę rzeki.

- Proszę, niech pani sama zobaczy!

Katarzyna pochyliła się nad parapetem, między dwiema strzelnicami. Na drodze rzeczywiście widać było czoło potężnego oddziału. Najpierw dostrzegła tylko niewyraźne cienie, które splątane były z cieniami zapadającej nocy i mgłą unoszącą się znad rzeki, a także czarnymi smugami drzew. Następnie rozróżniła ciężkie, przesiąknięte wodą sztandary i głowy piechurów, koni i jeźdźców. Na chwilę zew trąbki zapanował nad pluskiem kropli deszczu uderzających w kałuże i stożkowate dachy. Całym swoim jestestwem wyciągnięta w stronę zbliżających się żołnierzy, Katarzyna próbowała na próżno wypatrzeć wśród hełmów czarny herb w kształcie sępa - herb i emblemat Arnolda... Ale noc zapadła szybko i, jak gdyby po to, by odpowiedzieć na jej niepokoje, kruk wzbił się ponad drzewo i wydał nieprzyjemny odgłos.

- Pani - wyszeptał żołnierz. - Nie wychylaj się tak! Stąd łatwo wypaść.

Posłała mu uspokajający uśmiech, ale się nie wyprostowała. Wokół niej płaszcz łopotał na wietrze niczym przemoczony żagiel. Wkrótce dał się słyszeć tętent koni, dźwięk trąbek stawał się coraz donośniejszy, a postacie ludzkie coraz wyraźniejsze. Katarzyna odniosła wrażenie, że

wyczerpani żołnierze w ostatnim wysiłku wypięli swe torsy, a ich zgięte pod ciężarem żelaznej zbroi plecy dumnie się wyprostowały - jakby chcieli uczynić bardziej uroczystym swoje wkroczenie na teren zamku

- A oto wielmożny pan Gilles! - zakrzyknął za nią strażnik. - Widzi pani? Można poznać jego fioletowy kaftan. Dosiada swego czarnego rumaka - Dziadka do Orzechów.

W głosie żołnierza brzmiała duma. W tej samej chwili zwodzony most opadł z wielkim hałasem, wyzwalaając grupę żołnierzy i służących, którzy z okrzykami radości i pochodniami biegli w stronę przybyłych. Wewnętrzny dziedziniec zamku przypominał olbrzymią studnię ognia, którego blask rozpraszał noc i deszcz. Strażnik w końcu przycupnął obok Katarzyny z oczami błyszczącymi z entuzjazmu.

- O, teraz będą dobre czasy, gdy przybył wielmożny pan Gilles! Jest twardy, ale szczodroblivy i lubi wesołe życie!

Ze słów żołnierza przebijał żal do starszego pana de Craona, ale Katarzyna nie zwróciła na to uwagi. Nadal wpatrywała się w cienie. Krople wody zalewały jej oczy, przesłaniając widok równie skutecznie, jak uczyniłyby to łzy.

- Pan widzisz wyraźnie - rzekła. - Czy możesz rozróżnić tych, którzy otaczają twego pana?

- Oczywiście - odparł dumnie strażnik. - Widzę pana Gilles'a de Sillego, kuzyna naszego pana, i pana de Martignego. Oto brat naszego pana, Rene de la Suze, a to jest wielmożny pan de Briqueville...

- Czy nie widzisz pana w czarnej zbroi, z krogulcem na czubie hełmu?

Mężczyzna wpatrzył się w zbliżającą się grupę, następnie potrząsnął głową.

- Nie, pani... Nie widzę nikogo takiego! Zresztą teraz są już tak blisko, że możesz i ty rozróżnić...

Rzeczywiście, teraz widziała już wyraźnie. Mimo deszczu Gilles de Rais galopował z arogancją na czele kawalerii, wymachując fioletowym, zupełnie przemoczonym, pióropuszem na hełmie. Za nim podążała grupa wielmożów, oświetlonych pełgającymi płomieniami pochodni trzymanyh przez wieśniaków i służących. Okrzyki radości mieszały się z zapachem wilgotnej ziemi, nie odnajdywały jednak echa w sercu Katarzyny.

Opadła na szorstki kamień, osłabła, nagle, ogarnięta gorzką boleścią. Między tymi ludźmi nie było Arnolda.

Uświadomiła sobie, że do ostatniej chwili i wbrew obawom, iż zobaczy ukochanego w rękach de Rais'go, serce jej przepelniała nadzieja, że ujrzy jego z lekka szyderczy uśmiech, jego zmrużone oczy, kiedy spoglądał na nią, a zwłaszcza - że będzie już bezpieczna w jego ramionach... Strażnik zaniepokoił się jej bladością.

- Pani - szepnął - deszcz pada coraz mocniej i jesteś przemoczona. Drżysz. Trzeba wracać.

Podał jej niepewną dłoń, aby pomóc jej dojść do schodów. Spojrzała na niego z wahaniem, blado się uśmiechając, i wstała.

- Dziękuję... masz pan rację, wrócę. Tak naprawdę... nie mam tu już co robić!

Zawahała się pod mocniejszym podmuchem wiatru. Strażnik musiał podtrzymać ją cały czas w drodze do schodów. Krzyki radości rozpierały cały zamek, wytryskiwały z murów, budząc w Katarzynie złość i smutek zarazem. Nie zostanie ani chwili dłużej u tego człowieka, który nadużył jej wiary. Będzie nalegać, by zwrócił jej Waltera, otworzył przed

nią drzwi tego przeklętego zamku i wreszcie ją wypuścił. I choćby miała wrócić do Normandii, choćby sama miała stawić czoło Richardowi Venablesowi, a wreszcie, choćby miała przepłynąć morze i szukać Arnolda u Anglików, była gotowa to uczynić... W miarę jak rosła jej determinacja, krok stawał się coraz prężniejszy, znów była odważna i waleczna. Ostatnie schody pokonała niemal biegiem.

Wróciwszy do swego pokoju, Katarzyna zastała Sarę zmagającą się z nieznanym paziem, którego wilgotna odzież świadczyła o tym, iż dopiero przybył. Na widok Katarzyny zwrócił się ku niej i wykonał ukłon zbyt sztywny, by mógł być wyrazem szacunku.

- Jestem Poitou, paź wielmożnego pana Gilles'a. Przysłał mnie, abym ci przekazał, pani, że pragnie cię niezwłocznie widzieć.

Katarzyna zmarszczyła brwi. Chłopiec miał jakieś czternaście lat i był wielkiej urody: ciemnowłosy, o delikatnych rysach i zwinnym, gibkim ciele. Najwyraźniej był tego nazbyt świadom. Jego zuchwała postawa nie spodobała się młodej kobiecie. Przeszła przed nim, podała swój wilgotny płaszcz Sarze i nie patrząc na niego, zauważyła niedbale:

- Nie wiem, gdzie odebrałeś wychowanie, mój chłopcze, ale zważywszy na wysoką rangę marszałka de Rais'go, mniemałam, że jego ludzie mają staranniejsze maniery. Zarówno na dworze króla Karola, jak i księcia Filipa Burgundzkiego paziowie byli układni.

Matowe policzki chłopca pokryły się purpurą. Błysk gniewu zaświecił w jego czarnych oczach. Nie przywykł zapewne do takiego lekceważącego traktowania, ale Katarzyna wpiła weń swe fioletowe spojrzenie, więc spuścił głowę. Widziała, że zacisnął pięści, jednak powoli ugiął kolano.

- Wielmożny pan Gilles - podjął na nowo - prosi wielmożną panią Katarzynę de Brazey, aby raczyła przybyć na spotkanie z nim przed festynem, który ma się odbyć w paradnej sali.

Katarzyna zmierzyła chłopca od stóp do głów. Uśmiechnęła się przekornie, a następnie oświadczyła sucho:

- To brzmi lepiej! Dziękuję za posłuszeństwo. Natomiast jeśli chodzi o sprawę, z którą przybyłeś, to nie ma mowy, bym udała się do twego pana. Jak również o tym, bym wzięła udział w festynie. Idź i powiedz Gilles'owi de Rais'mu, że pani de Brazey oczekuje wyjaśnień, które jest jej winien.

Tym razem Poitou uniósł głowę i spojrział na nią z nieskrywanym zdumieniem.

- Żebym poszedł... - zaczął.

- Tak - ucięła Katarzyna - I to w tej chwili! Oczekuję twego pana. Sądzę, że najwyższy czas, by on także mnie poznał.

Paź wyprostował się i wyszedł, nie mówiąc już nic. Spojrzenie Katarzyny skrzyżowało się ze wzrokiem Sary.

- Pozyskałaś sobie wroga - zauważyła Cyganka. - Ten chłopiec jest przepełniony pychą. Musi być ulubieńcem swego pana.

- Cóż z tego? Nie mam zamiaru oszczędzać tu nikogo. Gilles de Rais nie dotrzymał słowa. Nie ma z nim Arnolda.

- Wobec tego masz rację. Jest ci winien wyjaśnienia... Czy myślisz, że tu przybędzie?

- Tak - rzekła Katarzyna. - Tak sądzą.

W istocie, w kwadrans później Sara otwierała drzwi Gilles'owi de Rais'mu.

W tak krótkim czasie, jaki minął od ich spotkania, zmienił się znacznie. Nosił teraz długą opończę z ciemnoniebieskiego aksamitu, której dół i szerokie poszarpane mankiety zamiatały ziemię. Wyhaftowane złotem, srebrem i jedwabiem znaki zodiaku stanowiły ozdobę tej szaty i nadawały posepnemu wielmoży wygląd nekromanty\*.

*\* Nekromanta - z grec. nekros - martwy; uczestnik praktyk magicznych; przyzywa duchy zmarłych lub demony, np. w celu poznania przyszłości.*

Ogromny rubin połyskiwał krwawym ogniem na palcu wskazującym lewej ręki. Był okazały i majestatyczny zarazem, ale Katarzyna postanowiła nie poddać się temu wrażeniu. Siedziała wyprostowana na jedynym krześle z oparciem, jakie znajdowało się w pokoju - co skazywało gościa na zajęcie zydła - ubrana była z rozmyślną surowością w czarny aksamit. Woalka z czarnego muślinu umocowana do włosów uczesanych w koronę podkreślała żalobę jej toalety, nie gasząc mimo wszystko świetlistego blasku złocistych warkoczy. Sara stała obok niej z rękami skrzyżowanymi na brzuchu i spuszczonej oczami, nieco z tyłu, niczym dyskretna dama do towarzystwa z dobrego domu.

Zdziwiony wyniosłą postawą młodej kobiety, Gilles de Rais uklonił się nisko, ukazując olśniewająco białe zęby.

- Prosiła pani, abym przybył, piękna Katarzyno? Jestem na pani rozkazy.

Lekceważąc i ukłon, i uprzejme słowa, zaatakowała bezzwłocznie.

- Gdzie jest Arnold de Montsalvy?

- Cóż za dziwne powitanie! Nawet nie uśmiechnie się pani do mnie, nie powie mi nic miłego? Droga pani, czemu to ostre spojrzenie, te zaciśnięte usta z okazji przybycia najbardziej oddanego sługi?

- Odpowiedz najpierw na me pytanie, a wówczas cię, panie, powitam! Czemuż to nie widzę tutaj tego, którego zobowiązał się pan uwolnić i przyprowadzić do mnie?

- Uwolniłem Arnolda de Montsalvy'ego. Już nie jest w rękach Richarda Venablesa.

Katarzyna poczuła nagle ulgę. Chwała Bogu, nie był już w mocy Anglików! Ale zaraz znów pojawił się niepokój.

- Gdzież więc on jest?

- W bezpiecznym miejscu... Czy mogę usiąść? Ta długa jazda w deszczu wyczerpała mnie.

Mówiąc to, przysunął jeden z zydli do krzesła Katarzyny i rozsiadł się na nim, starannie rozkładając ciężkie fałdy swego stroju. Sprawiał wrażenie swobodnego, a uśmiech niczym maska przyklejony miał do oblicza. Czarne, głęboko osadzone oczy były jednakowoż chłodne i bacznie spoglądały.

- Co nazywa pan bezpiecznym miejscem? U naszego pana, króla?

Gilles de Rais potrząsnął przecząco głową, a jego uśmiech stał się jeszcze wyraźniejszy, zabarwiając się w dodatku ironią, która nie uszła uwagi młodej kobiety.

- Nazywam bezpiecznym miejscem zamek Sully-sur-Loire, do którego miałem zaszczyt go odprowadzić i w którym obecnie przebywa.

Mimo że Katarzyna panowała nad sobą, nie była w stanie ukryć zdumienia.

- U La Tremoille'a? Ale dlaczego? Co on tam robi?

Gilles de Rais wyprostował długie nogi i wyciągnął ręce do ognia, ręce białe i niemal po kobiecemu delikatne, co Katarzyna zauważyła mimo woli. Musiał o nie bardzo dbać...

Oświadczył z westchnieniem bardzo łagodnie, nie patrząc na swoją rozmówczynię:

- Co tam robi? Nie umiem pani powiedzieć... To, co zazwyczaj robią więźniowie polityczni!

Słowa te uderzyły Katarzynę niczym grom z jasnego nieba. Skoczyła na równe nogi, ściskając mocno rękami poręcz krzesła. Poczzerwieniała aż po korzonki włosów, jej oczy ciskały błyskawice. Ogarnęło ją pragnienie, by zabić tego nonszalanckiego mężczyznę, który - widziała to teraz jasno - od dziesięciu minut bawił się nią niczym kot myszą.

- Więzień polityczny? Najwierniejszy z kapitanów królewskich? Co to za bajki? Czy uważa mnie pan za głupią? Dostyc tych wykrętów, wielmożny panie, rozmówmy się jasno, bardzo proszę, bowiem w rzeczywistości, myślę, natrzasa się pan ze mnie. Dałeś mi pan słowo i ufałam w nie, mimo gwałtu, jaki zadano mi w tym domu. To nie do Sully miał pan zaprowadzić Arnolda, ale tutaj, wie pan o tym dobrze!

Gilles westchnął znowu, głęboko znudzony. On również powstał, co sprawiło, że mógł teraz górować nad Katarzyną o całą głowę.

- To już nie te czasy, co w Louviers, moja droga. I wydaje mi się, że nie jest pani zorientowana w aktualnej polityce... Tak jak ja nie byłem w niej zorientowany w Louviers. Skończyły się czasy bezpłodnych marzeń, iluzji i bredni, a nadeszły czasy ludzi rozsądnych! Mój kuzyn La Tremoille jest obecnie jedynym uprawnionym wyrazicielem słów króla. I postanowił... odsunąć tych wszystkich, którzy mogliby zbyt zakłócić jego politykę i powrócić do mętnych poglądów tej nieszczęsnej



dziewczyny, spalonej na rozkaz Świętego Oficjum. Nadeszła pora, by władzę objęli znowu ci, którzy z urodzenia są predestynowani do jej sprawowania, a nie, by rządziła jakaś oszalała pasterka!

Katarzyna, wyprowadzona z równowagi, krzyknęła:

- To znaczy, że pański kuzyn La Tremoille oczyszcza teren, aby spokojnie obrastać w piórka, że nasz nieszczęsny król bardziej jeszcze ulega jego wpływom i że ten tłusty sprzedawczyk dobiera się teraz do wszystkich wiernych zwolenników Joanny... tej biednej dziewczyny, której jeszcze niespełna rok temu służył pan na kolanach, panie marszałku!

Mimo gniewu, jaki nią zawładnął, myślała szybko i obserwowała przeciwnika. Widziała, że zbladł, kiedy wymówiła nazwisko La Tremoille'a. Doszła zatem do wniosku, że strzał był celny. Pochłonięta swoją miłością, nie dbała o politykę i reperkusje, jakie dla dworu i dla króla mogła mieć śmierć Joanny. Już od bardzo dawna Jerzy de La Tremoille wraz ze swą kliką walczył z wysłanniczką Boga. Joanna przeszkadzała drapieżnym i chciwym wielmożom, którzy chcieli się wzbogacić za wszelką cenę. Podstępnie zwalczali młodą dziewczynę, nie uczynili nic, by przywrócić jej wolność, a teraz, gdy jej zabrakło, ci pozbawieni skrupułów ludzie zapanowali nad słabym Karolem VII, który był jedynie igraszką w rękach de La Tremoille'a. Tłusty szambelan znał nadto dobrze słabości swego pana - gdy dostarczyć mu rozrywki i kobiet, można z nim zrobić wszystko, co się chce...

Gilles nie odpowiedział. Ponieważ jego czarne oczy śledziły Katarzynę, dorzuciła sucho:

- W każdym razie, chciałabym wiedzieć, o co La Tremoille mógł oskarżyć Arnolda, który jest ucieleśnieniem prawości i lojalności!

- Ach! Miłość jest piękna i zazdroścę Montsalvy'emu, że wzbudził w pani takie uczucie! To zaślepia! Moja droga, pani ukochany postawił siebie poza prawem, wchodząc do Rouen bez zezwolenia króla, który w swej mądrości uznał za właściwe zostawić słynną Dziewicę jej losowi. Próba uwolnienia jej oznaczałaby zatem wystąpienie przeciw woli króla.

- Ja również próbowałam ją uwolnić.

- Więc pani także jest poza prawem, droga Katarzyno, i powierzono panią mej opiece, podobnie jak Arnold de Montsalvy został powierzony La Tremoille'owi. Nie ma pani prawa opuścić mej posiadłości... Jeśli nie podporządkuje się pani temu, znajdzie się bardzo prędko na dnie jakiegoś ciemnego lochu - rzekł marszałek, uśmiechając się mile.

Na tę wieść Katarzyna się zachwiała, ale duma kazała jej utrzymać się na nogach niemal wbrew jej samej. Odepchnęła rękę Sary, która spieszyła z pomocą. Udało się jej nawet uśmiechnąć z niewypowiedzianą pogardą,

- Cudownie! Ja, głupia, brałam pana za szlachcica, wierzyłam słowu marszałka Francji! A pan jesteś zerem, niczym - tylko nędznym sługą La Tremoille'a, gotowego sprzedać swych przyjaciół temu, kto da więcej. Zapomina pan tylko o tym, że inni znają prawdę o Arnoldzie i o mnie. La Hire...

- La Hire jest uwięziony w Louviers, które znowu jest w rękach Anglików, a pani przyjaciel Xaintrilles także został pojmany nad Oise. Proszę nie mówić mi już o konetablu de Richemencie, którego król oddał i który ryzykuje głową, jeśli odważy się pojawić na dworze królewskim. Co do królowej Jolanty, tej wścibskiej teściowej Jego Wysokości, która wtrącała się do królewskich rządów, król dał do zrozumienia, po weselu jej

córki, że jest pilnie potrzebna w swym majątku w Prowansji. Teraz powinna już być gdzieś w okolicy Taraskonu... To daleko!

Tym razem Katarzyna oniemiała. Poczowała, że kręci jej się w głowie na myśl o tym, jaką przyszłość zgotował jej z całą perfidią Gilles. Rozumiała teraz doskonale manipulacje La Tremoille'a. Umiejętnie sterując, omotał króla tak, że ten oddalił swych najwierniejszych poddanych, najbardziej pewnych obrońców królestwa przed zakusami Anglików: konetabla de Richemonta i królową Jolantę, matkę swej żony. Biedny Karol VII, niepomny przysług, wpadł, zapewne radośnie, w pułapkę łatwego życia i wątpliwych rozkoszy.

- A zatem - rzekła z boleścią w głosie - przelana krew nie jest ważna! Prawdziwym królem Francji jest La Tremoille, a pana nie mierzi służenie mu, pana, w którego żyłach płynie książęca krew?

- La Tremoille jest moim kuzynem, piękna pani, a stosowny pakt łączy mnie z nim na dobre i złe. Ale złe nam nie zagraża.

- A więc przekaz mnie, panie, w jego ręce, tak jak uczyniłeś to z Arnoldem. Byliśmy połączeni w Rouen, powinieneś nas również połączyć karą, na którą według ciebie zasługujemy. Prowadź mnie do Sully...

Gilles de Rais wybuchnął śmiechem tak gwałtownym i okrutnym, jakim właśnie muszą się śmiać wilki, jeśli w ogóle to czynią - pomyślała z trwogą Katarzyna.

- Służę memu kuzynowi, ale również dbam o własne korzyści, moja droga. Może później każę zawieźć panią do Sully, pod warunkiem że otrzymam od pani to, czego chcę.

- Czego pan chce?

- Dwóch rzeczy, które są nieocenione dla mężczyzny uwielbiającego jak ja obiekty nieskazitelnie piękne: przede wszystkim pragnę ciebie,

pani... a następnie pewnego czarnego diamentu, z którego posiadania stałaś się niemal tak sławna jak z powodu swoich wspaniałych włosów...

Oto więc miałyby być powód tych wykrętnych korowodów? Tego chciał Gilles de Rais? Wściekłość, nienawiść i obrzydzenie zawładnęły Katarzyną bez reszty, chroniąc ją zarazem przed smutkiem i łzami. Roześmiała mu się prosto w nos.

- Jesteś pan szalony! Nie mogę dostarczyć panu, marszałku, żadnej z tych dwóch rzeczy. Diament nie znajduje się bowiem w moim posiadaniu, a moja osoba też już do mnie nie należy: spodziewam się dziecka...

Na twarzy de Rais'go odmalowało się rozczarowanie. Podeszedł trzy kroki w stronę Katarzyny, wziął ją za nadgarstek i odsunął leciutko, by oszacować jej sylwetkę i nieco pogrubiałą kibić.

- Do diaska, to prawda! - rzekł drżącym głosem. Ogromnym wysiłkiem woli zapanował jednak nad sobą ponownie i uśmiechnął się. - No cóż, mogę poczekać - zarówno na kobietę, jak i na jej diament! Wiem, że już nie masz, pani, tego niezwykłego klejnotu, ale wciąż jest on pani własnością. A gdy tylko będziesz mogła porozumieć się z pewnym posłańcem... mnichem, który może tak łatwo wchodzić pomiędzy naszych wrogów, a zwłaszcza do pocziwego miasta Rouen... prawda?

A więc wiedział wszystko! Katarzyna była w jego rękach, bezsilna niczym pisklę świeżo wyklute z jaja. Ale jej własna sytuacja niepokoiła ją mniej niż los Arnolda, bezbronny w ręku najgorszego wroga. Co zrobi z nim La Tremoille w swym zamku otoczonym wodami Loary? Odarta z odwagi, opadła na krzesło, walcząc ze zbliżającym się omdleniem. Chciała umrzeć, natychmiast, przestać raz na zawsze walczyć z wiatrakami. Kiedy docierała do szczytu, mniemając, że na drugim zboczach droga będzie

łatwiejsza, spostrzegała inną górę, wyższą, bardziej stromą. I zapewne tak będzie zawsze, dokąd tylko nie zabraknie jej sił...

- I po co to wszystko? - zapytała siebie samą, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos. - To się na nic nie zda! Na pewno Arnold już nie żyje...

- Gdyby nie ten drogi La Tremoille - odpowiedział Gilles z dezynwolturą - tak na pewno by się stało. Ale nasz Arnold ma tyle wdzięku! A moja piękna kuzynka Katarzyna zawsze miała do niego słabość. Proszę, nie niepokój się, moja piękna, pani La Tremoille czuwa nad nim z taką samą... a może nawet większą troskliwością niż ty! Wiesz przecież, że zawsze miała względy dla Montsalvy'ego!

Ta ostatnia złośliwość i to, co pod nią się kryło, dopełniły miary. Katarzyna z okrzykiem bólu osunęła się w ramiona Sary i zaczęła szlochać, zraniona do głębi. Widok jej cierpień przerwał pełne rezerwy milczenie Sary.

- Idź stąd, panie! - powiedziała szorstko. - Już dosyć zła uczyniłeś.

Wzruszył ramionami i skierował się w stronę drzwi, następnie, odwróciwszy się, rzucił Sarze:

- Zła? Też coś! Wystarczy spojrzeć na sprawy tak, jak one wyglądają. W końcu nic nie zmusza pani Katarzyny do opuszczenia tego domu, gdzie będzie zawsze traktowana godziwie... To znaczy tak, jak królowa! Nie widzę w tym nic tragicznego. Poradź jej, moja kochana, że jako kobieta inteligentna powinna krakać tak jak wrony, pomiędzy które weszła. Gra jest skończona... wygrana. Nic nie może już zagrozić potędze mojego kuzyna... ani mojej!

- Nic?

Sara raptownie wypuściła z rąk Katarzynę, która o mało nie padła na ziemię. Cyganka zbladła, a jej oczy rozszerzyły się i znieruchomiały. Wyciągnęła ramię i skierowała się ku marszałkowi sztywnym krokiem, niczym lunatyczka. Ów zmarszczył brew i zaczął się cofać... Katarzyna przestała płakać i wstrzymała oddech. Głos Cyganki stał się donośniejszy i bezbarwny:

- Twoja potęga jest jak kolos na glinianych nogach... Wokół ciebie wszędzie widać krew, która cię pochłonie i zatopi... Słysząc okrzyki bólu i mściwości, w górę wyciągają się ręce, które domagają się sprawiedliwości. I sprawiedliwość będzie wymierzona... nadejdzie taki czas... Widzę ogromne miasto nad morzem... ogromny tłum... potrójną szubienicę! Słyszę bicie dzwonów i modlitwy... Będziesz powieszony, Gilles'ie de Rais... a ogień pochłonie twoje ciało!

Głos jasnowidzącej zamilkł.

De Rais wydał okrzyk przerażenia i uciekł.

Całą noc w zamku rozbrzmiewały echem odgłosy uczty i balu. W paradnej komnacie Gilles, jego rodzina i kapitanowie biesiadowali, a w pomieszczeniach kuchennych, pokojach służby i przybudówkach żołnierze zabawiali się ze służącymi. Krzyki, śmiechy i pijackie pieśni przedzierały się przez grube mury Champtoce, wypełniały dziedzińce i schody, docierając do pokoju, w którym Katarzyna - z suchymi oczami i ściśniętym sercem - szukała nadaremnie sposobu, w jaki mogłaby wyrwać się ze swego więzienia.

- Czemu cię nie usłuchałam? - powtarzała nieustannie Sarze. - Czemu wpadłam w tę pułapkę? Powinnam była uciekać do Bourges, za wszelką cenę zobaczyć się z królową...

- Nie zauważyłaś zastawionych sideł. Wszystko było dobrze zaplanowane. Pierwszy lepszy strażnik by cię zatrzymał i wrzucił do fosy.

- Czy jest mi lepiej w murach tego zamku? Zostałam uwięziona, całkowicie uwięziona. Nawet moje ociężałe ciało jest mi więzieniem. Co mam zrobić, jak stąd wyjść?

- Uspokój się - szeptała Sara, głaszcząc łagodnie jej rozplecione włosy. - Uspokój się, zaklinam cię. Bóg ześle ci pomoc, jestem tego pewna. Musisz mieć nadzieję, modlić się... i czekać na sprzyjające okoliczności. Pierwszą rzeczą, jaką masz do zrobienia, jest wyjście stąd. A potem...

- A potem pędzić Arnoldowi na odsiecz i...

- Masz na myśli Sully? Ryzykować, że znajdziesz się w rękach de La Tremoille'a dla samej tylko przyjemności, że będziesz w tym samym miejscu co Arnold? Chyba nie! Tak, musisz znaleźć kryjówkę, a następnie tego, który będzie umiał cię obronić i przekonać króla... nawet jeśli trzeba będzie uciekać aż do Prowansji, aby prosić o sprawiedliwość królową Jolantę. Spróbuj odpocząć, moja milutka, sen przynosi umysłowi jasność. Jestem tutaj, obok ciebie. We dwie damy radę stąd wyjść...

Ukołyszana głosem starej przyjaciółki, Katarzyna stopniowo uspokajała się i nabierała odwagi.

O świcie żelazna pięść wstrząsnęła drzwiami. Jak w złym śnie Katarzyna ujrzała dwóch żołnierzy, którzy wtargnęli do pokoju. Jej krzyk pozostał bez echa. Ledwo zdążyła zaprotestować, wyrwano z jej ramion Sarę, którą próbowała przytrzymać jeszcze na korytarzu...

- Jaśnie pan Gilles wydał rozkaz uwięzienia tej czarownicy! - wykrzyknął sierżant, zatrzasnąwszy za sobą ciężkie dębowe drzwi.

Wówczas Katarzyna zrozumiała, że została sama, opuszczona przez wszystkich i przez niebiosa także. Zaszlochała i zrozpaczona opadła na poduszki.

## *Rozdział piąty*

# *Drogi Pana*

---

Był to przelotny atak rozpaczy, Katarzyna poddała mu się tylko dlatego, że ta pełna niepokoju noc sprawiła, iż znalazła się na samym dnie. Jej instynkt walki był jednak zbyt zakorzeniony, by nie miała znów podnieść głowy i rzucić się całym jestestwem w wir walki. Gniewne myśli kłębiły się w jej głowie, rozgrzewając wyczerpane mięśnie i krew zastygłą w żyłach nie gorzej niż postawienie baniek. Wyskoczyła z łóżka niczym uciekinier, pospiesznie się umyła, zwilżając jedynie opuchniętą od łez twarz i namydlając ręce. Natomiast długo się czesała, szczotkując do połysku włosy, głównie w tym celu, by dać rysom twarzy czas na przybranie normalnego wyglądu. Katarzyna wiedziała od dawna, że uroda była jej najlepszą bronią i że jeśli chciała wygrać nową bitwę, nie mogła stanąć do niej z miną ofiary. Instynkt podpowiadał jej, że w obliczu takiego człowieka jak Gilles de Rais słabość była najgorszym mankamentem!



Odświeżona i uczesana uperfumowała się lekko, przyoblekła suknię z brązowego aksamitu, podbitą białym atłasem i obramowaną wąskim pasem z gronostajów. Zrezygnowała ze zbyt uroczystego przyozdobienia głowy, zadowolając się białym woalem. Założyła rękawiczki, wzięła szalik i na początek udała się do kaplicy, gdzie o tej porze kapelan zamkowy miał zwyczaj odprawiania porannego nabożeństwa dla służby. Wydawało się jej rzeczą nieodzowną polecić duszę Bogu, tak czuła się samotna i słaba.

Uczta miała swoje następstwa także tutaj. Poza kapelanem i ministrantem w małej kaplicy nie było nikogo i Katarzyna doznała uczucia, że ma teraz Boga tylko dla siebie.

Była to maleńka, ale przepiękna kapliczka. Zamiłowanie, jakie Gilles de Rais żywił do doskonałości, sprawiło, że była skończonym arcydziełem, błękitną szkatułką, w której wnętrzu krył się misternej roboty ołtarz i olbrzymi krucyfiks z ciężkiego złota na hebanowym krzyżu. Katarzyna nigdy nie widziała podobnego cudu. Błękitne były sklepienia andegaweńskie, których kasetony połyskiwały od złota, oraz witraże z lekką domieszką szarości podkreślającą jeszcze ich kolor, błękitne były poduszki na ławach, a także puszyste kobierce, które nadawały kaplicy charakter nieco zbyt luksusowy i zbyt zmysłowy. Była ona jakby hymnem na cześć potęgi Gilles'a, a nie na chwałę bożą. Miał tu przybywać, by pomarzyć o tym wspaniałym niebie, w którym - jak zawsze - zajmowałyby najważniejsze miejsce i panowały nad klęczącym u jego stóp tłumem.

Na razie umysł Katarzyny niezdolny był do sztuki krasomówczej. Z przymkniętymi oczami i złożonymi rękami modliła się z całego serca o siłę i odwagę. Przystąpiła z żarliwością do komunii i przez dłuższy czas błagała Matkę Bożą o łaskę dla tych wszystkich, których kochała i którzy,

tak jak ona, byli w niebezpieczeństwie. Wreszcie, nieco ukojona, wyszła z kaplicy, w chwili gdy zaspany strażnik zdecydował się zatrzeć na otwarcie wrót. Był jasny ranek, a jutrzienka rzucała różowe światło na kałuże wody na dziedzińcu. Chłopcy kuchenni, ziewając od ucha do ucha, wynosili z kuchni misy i odpadki. Zamek przygotowywał się do wyrzucenia ze swego wnętrza pozostałości wielkiego żarcia z poprzedniego wieczoru i rozpoczęcia nowego dnia.

Katarzynie przemknęło przez myśl, że o tej porze Gilles pewnie śpi, ale mimo to skierowała się zdecydowanym krokiem w stronę jego apartamentów. Rychło się przekonała, że było to przedsięwzięcie trudne. Na każdym stopniu schodów ktoś leżał. Zwinięci w kłębek lub wyciągnięci na całą długość żołnierze drzemali w tym miejscu, w którym alkohol ściał ich z nóg; niektórzy przyciskali do piersi beczułkę lub puchar. Katarzyna natykała się co chwila na kałuże wina, z których unosił się taki fetor, że musiała sięgnąć po wonną saszetkę i przytknąć ją do nosa. Wszyscy przerażliwie chrapali, nieodparcie przywodząc na myśl olbrzymie rozstrojone organy, na których grał obłąkany organista. Między mężczyznami spoczywało też kilka kobiet, śpiących z szeroko otwartymi ustami i włosami zlepionymi winem. Światło zabarwiało na fioletowo rumiane gęby parobków, a chłód poranka pokrył siną bladością skórę dziewcząt. Niektóre instynktownie szukały przez sen ubrań, by się okryć. Katarzyna z obrzydzeniem przeskakiwała przez te ciała, niezbyt dbając o to, gdzie stawia nogę.

W paradnej komnacie panował taki sam nieład, a może nawet większy, z powodu rozwleczonych wszędzie resztek uczy. Kilku wielmożów spało w tych samych fotelach, w których ucztowało. Katarzyna wyminęła ich i przeszła do drugiego skrzydła. Wreszcie dotarła do drzwi

sypialni Gilles'a. Znała ją, gdyż starsza pani de Craon oprowadziła ją kiedyś po całym zamku. Po obu stronach drzwi dopalały się pochodnie. Na progu ktoś leżał. Światło przesączało się przez witraż na twarz śpiącego i młoda kobieta rozpoznała w nim pazia Poitou. Nogą poruszyła ciałem chłopca, dopóki nie obudził się z przekleństwem na ustach.

- Kto tu?

Poznał Katarzynę i w jednej chwili zerwał się na nogi. On również musiał za dużo wypić. Podpuchnięta twarz była koloru szarego, oczy podkrążone, a w kącikach ust rysowały się zmarszczki znamionujące zmęczenie.

- Czego chcesz, pani? - zapytał zachrypniętym głosem.

- Zobaczyć się z twoim panem. I to natychmiast! Poitou wzruszył ramionami i jął niezręcznie zapinać kaftan, który trzymał się tylko na pasku.

- Wielmożny pan śpi teraz i obawiam się, że nie będzie mógł pani wysłuchać.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że jest zbyt pijany, aby zrozumieć to, co mam mu do powiedzenia, nie wierzę w to. Nie był pijany godzinę temu, kiedy kazał zaarrestować moją służącą. Chcę, aby się wytłumaczył. Idź no zaraz po niego!

Chłopiec potrząsnął głową, a jego twarz spochmurniała.

- Pani, nie chciałbym cię obrazić i błagam, zechciej mi uwierzyć. Każdy, kto śmiałby wejść do pokoju, ryzykuje życiem.

- Cóż mi po twoim życiu? Chcę go zobaczyć, powiadam! - krzyknęła zirytowana Katarzyna.

- Nie chodzi o moje życie, pani, ale o twoje. Oczywiście zabije mnie, jeśli wejde... ale następny cios będzie dla pani.

Mimo determinacji Katarzyna się zawahała. Poitou był szczery i najwidoczniej znał swego pana. Dodał jeszcze błagalnym szeptem:

- Proszę mi wierzyć, pani Katarzyno, ja wcale nie żartuję. Lepiej będzie odłożyć to na później. Powiem, że pani była i chciała z nim mówić, ale, na litość, niech pani stąd odejdzie, błagam! O tej porze jaśnie pan jest po prostu bestią spuszczoną z łańcucha. On nie ma...

Nie skończył, ponieważ drzwi się otworzyły i stanął w nich Gilles de Rais we własnej osobie.

Katarzyna, której prawdopodobnie udzielił się strach pazia, cofnęła się nieco. Gilles de Rais miał na sobie tylko czerwone pludry, związane w tali. Jego szeroki tors, pokryty czarnymi, kędzierzawymi włosami, był nagi. Pod smagłą skórą poruszały się potężne mięśnie. Wygląd i silny zapach jego ciała rzeczywiście przywodziły na myśl bestię, o której mówił Poitou, natomiast czerwone światło przesączające się przez witraż podkreślało demoniczny wyraz twarzy Gilles'a. Oczy nabiegłe krwią w jednej chwili rozpoznały Katarzynę. Szturchańcem odepchnął pazia, który chciał coś powiedzieć, i chwycił ją mocno za ramię.

- Chodź - rzekł.

Ciągnięta przezeń Katarzyna przekroczyła próg pokoju i od razu poczuła lęk. Okiennice były zamknięte, zasłony zaciągnięte, więc panował tu prawie zupełny mrok. Tylko migająca lampka oliwna stojąca na skrzyni rozpraszała nieco ciemności. Było potwornie gorąco, a odór wina i potu na nowo ją odurzył. Próbowwała uwolnić ramię, ale Gilles trzymał mocno.

- Proszę mnie puścić! - krzyknęła głosem zduszonym przez strach.

Wydawało się, że nie słyszy. Zaciągnął ją aż do wielkiego rozścielonego łoża, z którego zwieszały się prześcieradła. W czerwonym świetle lampy Katarzyna dostrzegła poruszający się pomiędzy poduszkami

ludzki kształt. Ramię Gilles'a zanurzyło się gdzieś w tej okolicy i wydobyło spod kołder jęczącą dziewczynę, przyodzianą jedynie we własne, długie, czarne włosy.

- Idź stąd! - powiedział tym samym bezbarwnym i nieobecnym tonem. Dziewczyna wybełkotała coś. Osłupiała Katarzyna zobaczyła, że to ciało podlotka pokryte było dziwnymi ciemnymi śladami... dostrzegła też nieludzkie przerażenie dziewczyny. Musiała mieć nie więcej niż piętnaście lat. Próbowwała ukryć się za jedną z kolumnienek łóżka. Katarzynie zrobiło się słabo na ten widok. Gilles chwycił bicz na psy, który leżał na schodkach łóżka, i smagnął młodziutką dziewczynę trzy razy.

- Powiedziałem, idź stąd! - warknął.

Dziewczynka zawyła, ale pobiegła chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Osłupienie Katarzyny przerodziło się w strach. Zrozumiała, że Poitou bynajmniej nie przesadzał i że o tej porze pan na Champtoce nie miał w sobie nic z człowieka. Zrobiła krok do wyjścia, ale potworna ręka znowu opadła na jej ramię.

- Ty nie - mruknął. - Ty zostaniesz tutaj!

Odrzucił bat i bez dalszych wyjaśnień wziął ją w ramiona.

Katarzynie zaparło dech, miała wrażenie, że się dusi. Przygniatał jej ciało do twardej, włochatej piersi. To było tak, jakby znalazła się w łapach jednego z tych niedźwiedzi, które widziała w Hesdin, w menażerii Filipa Burgundzkiego. Tego jednak czuć było potem i winem. Katarzyna, bliska torsji, broniła się, waląc go pięściami i odpychając z całej siły. Nie było to jednak łatwe. Alkohol zwielokrotnił jego siły, które i tak były znaczne. W chwili gdy poczuła wilgotne usta na szyi, straciła równowagę. Podniósł ją z ziemi po to, by cisnąć ją na łóżko. Pojękiwał coś nad jej uchem, ale nic z

tego nie rozumiała. Aby mu się wymknąć, trzeba było obmyślić jakąś sztuczkę...

Katarzyna przestała raptem się bronić, dała się ułożyć na łóżku, ale gdy tylko jej plecy zetknęły się z materacem, skorzystała z tego, że Gilles stracił na moment równowagę i przeturlała się przez łóżko, by znaleźć się w mgnieniu oka w zagłębieniu między łóżkiem a ścianą. Natychmiast łóżko jęknęło pod ciężarem Gilles'a, który sądził, że rzucił się na Katarzynę. Przekonawszy się, że jest tam tylko puste miejsce, zawył z wściekłości, a ona podbiegła już do okna, rozsunęła firanki i otworzyła okiennice. Potok światła zalał pokój i na chwilę oślepił mężczyznę na łóżku.

Gilles skoczył na równe nogi i ku przerażeniu Katarzyny wyciągnął sztylet. Jego wykrzywiona wściekłością twarz miała znamiona szaleństwa. Katarzyna myślała, że światłość dnia go otrzeźwi, że rozpraszając mrok, przepędzi również demony, ale zrozumiała, że były to płonne nadzieje. Rozbudziła tylko najgorsze instynkty Gilles'a. Zgrzytając zębami, posuwał się ku niej z rozplómiętym okiem. Przerażona zaczęła rozglądać się za jakąś bronią, za czymś, co mogłoby służyć do obrony, wyczytała bowiem w jego oczach śmierć... Zauważyła, że na skrzyni, obok dzbanka, stoi miseczka słonej wody. To była jedyna szansa Katarzyny.

Szybko schowała się za wysokim oparciem krzesła i z całej siły rzuciła naczyniem w głowę Gilles'a. Srebrna miska była ciężka, brzęknęła donośnie w zetknięciu z podłogą, a mężczyzna zachłystując się tym nieoczekiwanym prysznicem, padł na ziemię na wpół oślepiiony. Katarzyna nie zwlekając, rzuciła się do drzwi, otworzyła je i wybiegła na zewnątrz. Na korytarzu wpadła na Poitou.

- Miałeś rację. On jest szalony! - szepnęła wciąż jeszcze przerażona.

- Szalony nie, ale dziwny! Proszę wrócić do siebie, a ja spróbuję go uspokoić. Ale, na Boga, ma pani szczęście. Nie przypuszczałem, że może pani wyjść żywa z tej opresji!

W czasie ponurych godzin, jakie potem nastąpiły, Katarzyna mało nie oszalała. Wydawało się jej, że pułapka zatrzaskuje się nad nią ostatecznie: cóż mogła zdziałać jej odwaga i zdrowy rozsądek wobec takiej istoty jak Gilles? Natrafiła na najgorszą przeszkodę, szaleństwo, i była przerażona tym posepnym nieznanym, jakim okazał się Gilles.

Gdy około południa Anna de Craon wkroczyła do jej pokoju, Katarzyna niemal poczuła ulgę. Wszyscy mieszkańcy tego przeklętego zamku wydawali się jej tak niepokojący, iż starsza pani jawiła się jako nieprawdopodobnie normalna i sympatyczna. A jednak ona też była zaniepokojona.

- Czemu pani to zrobiła? Czemu poszła pani do Gilles'a, moje nieszczęsne dziecko? Czy nie wie pani, że nikt, nawet dziadek, nie ma prawa przekroczyć progu jego apartamentów, gdy on wypoczywa?

- Skądże mogłabym to wiedzieć? - zbuntowała się Katarzyna. - I jak mogłam przypuszczać, że ten człowiek jest właściwie nienormalny?

- On nie jest nienormalny, przynajmniej ja tak uważam. Tylko że czarne godziny nocne wyzwalają w nim jakieś złe, niepoddające się kontroli siły. Dziewczęta, które do siebie zaciągają, czy też paziowie zanoszą się go boją, by się skarżyć. Widzi pani, nie jest dobrze zgłębić zanoszą naturę ludzką, nawet członków własnej rodziny.

- A... jego żona?

Stara kasztelanka wzruszyła ramionami.

- Od chwili, gdy urodziła się mała Maria, Gilles nigdy nie przekroczył progu jej sypialni. Kiedy jest w zamku, spędza noce ze swymi

stałymi kompanami: Sillem, Briqueville'em i z tym przeklętym paziem, którego obdarza przywilejami i prezentami. Moja wnuczka i dziecko czują się dobrze w Pouzauges, dokąd je wysłaliśmy. Ale nie mówmy o tym! Przyszłam panią błagać o przybycie na kolację. Gilles tego żąda!

- Nie muszę mu być posłuszna! Nie pójdę! Chcę jedynie, żeby uwolnił moich służących. O to właśnie przyszłam prosić go dziś rano.

- I osiągnęła pani tylko tyle, że wpadł w jeszcze większą wściekłość. Nie kłamie, Katarzyno, zawdzięcza pani życie memu mężowi. I zaklinam panią, niech pani przybędzie na wieczerzę. Niech pani nie doprowadza go do ostateczności... zwłaszcza jeśli zależy pani na życiu służących!

Katarzyna nagle załamała się pod ciężarem smutku, opadła na łóżko i uniosła na panią de Craon oczy pełne łez.

- Czy nie może pani pojąć, jaką czuję doń odrazę, pani, która wydajesz się tak dobra i przenikliwa. Jestem tu zatrzymana wbrew własnej woli, uwięziona za urojone zbrodnie, oddzielono mnie od tych, którzy są mi wierni, i, na dodatek, muszę jeszcze uśmiechać się do mego prześladowcy. Czy nie żąda pani zbyt wiele?

Dziwna łagodność pojawiła się na ostrej twarzy starszej pani. Nachyliła się i raptem ucałowała Katarzynę.

- Droga przyjaciółko, w czasie mojego długiego żywota nauczyłam się, że dzisiejsze kobiety, niezależnie od pozycji, muszą walczyć przez całe życie. A także, iż mężczyzna - bardziej niż wojna, dzuma, śmierć czy utrata majątku - jest ich największym wrogiem! Walczy się taką bronią, jaką się ma. Czasem lepiej jest ukryć wściekłość na dnie serca, niż przeciwstawić się burzy, jeśli nie chce się zostać złamaną! Proszę mi wierzyć i przybyć na kolację! Niech się pani postara wyglądać tak pięknie, jak tylko pani umie!



- Nie mam wcale ochoty, by Gilles mniemał, że pragnę mu się podobać - zbuntowała się Katarzyna.

- Nie o to chodzi. Piękno ma nad Gilles'em dziwną władzę. Żywi dla niego taką cześć, że można powiedzieć bez zbytniej przesady, iż robi to na nim wielkie wrażenie. A przynajmniej wtedy, gdy jest na czczo! Znam go dobrze. Proszę posłuchać mej rady. Przyślę pani pokojówki.

Kiedy zabrzmiał gong, a służba wniosła do dużej sali miski z pachnącą wodą, którą biesiadnicy mieli zwilżyć palce przed zajęciem miejsc przy stole, Katarzyna ukazała się na progu. Ukazała się - to był właściwy zwrot, bowiem nigdy jeszcze nie była taka blada... ani tak piękna! Jej uroda miała w sobie coś tragicznego, a zarazem ujmującego. Purpurowy aksamit sukni uwydatniał jej ramiona i szyję, której blasku nie przyćmiewał żaden klejnot. Za nią sphywał czerwony obłok długiego muślinowego woalu. Wyglądała jak płomień, ale w pociągłej, nieruchomej twarzy tylko ogromne oczy i miękkie usta pozwalały domyślać się życia. Powitała ją cisza, a ona sunęła powoli między podwójnym szpalerem lokajów w liberiach. Było tak, jakby wszystkich obecnych unieruchomił jakiś czar.

Pierwszy otrząsnął się Gilles de Rais. Opuściwszy podium, na którym stał jego fotel, zbliżył się ku niej spiesznymi, wielkimi krokami i nie mówiąc ani słowa, podał jej zaciśniętą dłoń, aby mogła oprzeć na niej własną. Ramię w ramię przeszli przez komnatę do stołu, przy którym zajął już miejsce Jan de Craon, jego żona i kapitanowie. Gilles podprowadził Katarzynę do miejsca sąsiadującego z własnym fotelem i skłoniwszy się jej, oświadczył krótko:

- Wygląda pani pięknie! Dziękuję za przybycie... i proszę o wybaczenie porannego incydentu.

- Już nawet nie pamiętałam o nim, panie - wyszeptała Katarzyna.

W czasie całego posiłku nie zamienili ani słowa więcej. Od czasu do czasu Katarzyna czuła na sobie spojrzenie Gilles'a, ale nie podnosiła oczu znad talerza, chyba po to, żeby odpowiedzieć coś starszemu panu de Craon, który czynił najwyraźniej wysiłki, by podtrzymać bardziej niż wątłą konwersację. Katarzyna zaledwie tknęła rybę i dziczyznę, ale pan de Rais nie tracił czasu i pożerał z wilczym apetytem kawały pasztetu, całe kurczęta i udziec sarni. Popijał to wszystko wielkimi łykami wina z Andegawenii, którym stojący za nim podczaszy napełniał stale jego kielich. Stopniowo wino robiło swoje i jego twarz poczerwieniała. Kiedy przyniesiono miseczki z konfiturami, zwrócił się raptownie w stronę Katarzyny:

- Poitou powiedział mi, że chciała pani ze mną mówić dziś rano.

Czego pani sobie życzyła?

Teraz młoda kobieta odwróciła się, by spojrzeć mu prosto w twarz. Nadeszła właściwa chwila, więc odchrząknęła. Spojrzała prosto w ciemne oczy Gilles'a.

- Dziś rano o świcie, gwałcąc wszelkie prawa, kazał pan porwać z mego pokoju Sarę, mą służącą. Co mówię! Więcej niż służącą! Ona mnie wychowała i uważam ją za najwierniejszą moją przyjaciółkę. Po mojej matce ona jest najdroższą mi istotą na świecie.

Na wspomnienie Sary jej głos lekko zadrżał, ale przemogła się i ciągnęła dalej, ścisnąwszy splecione palce, by opanować emocje.

- Co więcej, mój giermek, Walter Malencontre, został uwięziony w wieczór naszego przybycia. Odmawiano mi zwrócenia go, tłumacząc, że

decyzja należy do pana. A więc do wielmożnego pana - ten zwrot przeszedł jej z trudnością przez usta - zwracam się z prośbą, by oddano mi moich służących.

Ciemna dłoń Gilles'a uderzyła w stół, tak że podskoczyła zastawa.

- Pani giermek wtrącił się do nie swoich spraw. Zranił jednego z moich ludzi i powinien być zostać powieszony już dawno. A jednak, by się pani przypodobać, powziąłem postanowienie, by dać mu szansę. Niech zachowa swój nędzny żywot i powiesi się gdzie indziej.

- Szansę? Jaka?

- Jutro zostanie wyprowadzony poza teren zamku. Pozwolimy mu oddalić się, następnie udam się wraz z moimi ludźmi i psami w pościg. Jeśli go złapiemy, zostanie powieszony. Jeśli nam ucieknie, będzie mógł, oczywiście, iść sobie, gdzie mu się żywnie podoba.

Katarzyna wstała tak gwałtownie, że krzesło z wysokim oparciem, na którym siedziała, zachwiało się i upadło z hałasem na ziemię. Pobladła spojrzała na Gilles'a płonącym wzrokiem.

- Polowanie na człowieka, czyż nie tak? Wyrafinowana rozrywka dla jaśnie pana, który się nudzi! Takie wydaje pan wyroki na moją prośbę? Tak respektuje pan zasady sprawiedliwości senioralnej, zgodnie z którymi moi ludzie zależni są wyłącznie ode mnie?

- Pani jest w mojej władzy. Jestem na tyle dobry, że daję choćby i tę szansę. Przypominam pani, że mógłbym powiesić tego pani zucha... a panią po prostu oddać w ręce ludzi króla.

- Chciał pan powiedzieć - ludzi wielmożnego pana de La Tremoille'a! Nie obawiam się niczego ze strony ludzi króla Karola.

Teraz podniósł się Gilles. Jego twarz wykrzywiła się z wściekłości, a ręka szukała na stole noża.

- Zapewne zmieni pani niedługo zdanie, moja piękna! Jeśli chodzi o mnie, to decyzja moja jest ostateczna. Walter jutro będzie grał o życie z moimi ogarami. Jeśli pani się nie zgadza, każę go powiesić dziś wieczorem. Co zaś się tyczy tej pani czarownicy, to może ona podziękować szatanowi, jej panu, że muszę się od niej dowiedzieć pewnych rzeczy. Gdyby nie to, już stałaby przywiązana do jakiegoś słupa, a wokół niej zgromadzono by chrust. Potrzebuję jej, więc ją trzymam! Później postanowię o jej losie.

Katarzyna zmierzyła wzrokiem de Rais'go blada ze złości, z zaciśniętymi zębami. Jej głos zabrzmiał niesłychanie twardo:

- I pan ośmielasz się nosić złote ostrogi rycerza? I pan ośmielasz się mienić marszałkiem Francji, nosić w herbie kwiat lilii? Ależ ostatni z pańskich lokajów jest bardziej lojalny i ma więcej honoru niż pan! Niech pan wiesz, pali moich ludzi, niech pan każe i mnie zabić po tym, jak oddał pan w ręce La Tremoille'a pańskiego towarzysza broni, Arnolda de Montsalvy'ego! W moich ostatnich słowach wezwę niebo na świadka, że Gilles de Rais jest zdrajcą i wiarołomcą!

Zapadła straszliwa cisza, nawet lokaje wstrzymali oddech. I pośród tej wielkiej ciszy Katarzyna schwyciła złoty kielich Gilles'a napełniony winem i cisnęła mu go w twarz.

- Pij, panie marszałku, to krew słabych!

Nie dbając o zgorzone szmery wywołane jej gestem, odwróciła się plecami i z głową uniesioną wyszła z sali, a za nią powiewał czerwony welon, niczym proporzec bitewny na wicherze. Gilles de Rais powoli otarł z twarzy i sonej brody czerwone krople.

Gdy tylko Katarzyna znalazła się za drzwiami, zatrzymała się na chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Takie gwałtowne ruchy były szkodliwe

w jej stanie. Dusiła się w swej sukni. Gdy się nieco uspokoiła, ruszyła w stronę sypialni. Zaczęła już wchodzić na schody, gdy usłyszała za sobą odgłos kroków. Oparła się z krzykiem przerażenia o ścianę. Zobaczyła wykrzywioną z wściekłości twarz de Rais'go, który chwycił ją za gardło tak brutalnie, że nie mogła powstrzymać się od jęku. Jego twarde palce zadawały jej ból... Zapewne zauważył to, ścisnął ją bowiem jeszcze mocniej.

- Proszę mnie posłuchać! Niech pani nigdy więcej nie powtarza tego, co pani zrobiła, jeśli ceni pani własne życie. Kiedy ktoś znieważa mnie publicznie, nie jestem panem samego siebie. Jeszcze jeden taki gest i uduszę panią.

Dziwna rzecz, poczuła, że się już nie boi. Był mimo to okropny w tym paroksyzmie wściekłości, który zniekształcał rysy jego twarzy. Licząc się z tym, że ją zabije, odpowiedziała spokojnym głosem:

- Gdyby pan wiedział, do jakiego stopnia jest mi to obojętne...

- Co takiego?

- Ależ tak, jest mi wszystko jedno, panie Gilles. Proszę tylko pomyśleć. Być może Arnold już nie żyje, jutro zapewne Waltera rozszarpia pańskie psy, następnie, jak sędzę, przyjdzie kolej na moją Sarę. Jakże więc miałyby mi zależeć na własnym życiu? Niech mnie pan zabije, wielmożny panie, niech mnie pan zabije natychmiast, jeśli serce panu tak każe. Odda mi pan wielką przysługę...

Nie były to ciche słowa, ale całkowita prawda; tak oczywista, że rozproszyła wściekłość Gilles'a. Stopniowo jego twarz odprężała się pod zrezygnowanym wzrokiem Katarzyny. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Opuścił ręce, odwrócił się i potrząsnąwszy głową, zszedł na dół.

Katarzyna, cały czas przyklejona do muru, nie poruszyła się. Kiedy ucichły kroki Gilles'a w głębi zamku, odetchnęła głęboko i masując dłonią obolałą szyję, znów zaczęła schodzić.

Kiedy ponownie zawitał świt, Katarzyna nie miała żadnej trudności z wstaniem z łóżka, nie zmrużyła bowiem oka przez całą noc. Wiedziała, że z nastaniem dnia rozpocznie się polowanie, chciała więc dostać się na wieżę strażniczą, by jak najpilniej śledzić tragiczny wyścig. Ogień w kominku był zgaszony, toteż Katarzyna drżała z zimna. Na dziedzińcu krzątano się spiesźnie.

Owinęła się w duży płaszcz z kapturem, zapinany przy szyi srebrną agrafką w kształcie liścia bluszczu.

Miała już wychodzić, gdy jej uwagę przyciągnęło coś białego pod drzwiami. Był to zwinięty skrawek cienkiego pergaminu, na którym ktoś nakreślił kilka słów. Światło było tak skąpe i szare, że musiała podejść do okna, by odszyfrować tekst. Było to tylko siedem słów i jeden inicjał:

*Zrobię, co będę mogła. Proszę się modlić!*

A niepokój Katarzyny przygasł nieco, nie czuła już w piersi takiego ucisku. Jeśli stara kasztelanka była po jej stronie, to może Walter miał jakąś szansę ujść z życiem z tej potwornej przygody. I nagle podjęła decyzję: będzie brała udział w tym polowaniu, choćby miała postradać życie!

Zerwała z siebie płaszcz i pospiesznie wdziała suknię z grubej wełny, pończochy i buty z grubej skóry. Upięła warkocze nad uszami, narzuciła pelerynkę z kapturem, który ciasno okalał jej twarz, i na to wszystko włożyła swój szeroki płaszcz. Nie zapomniała o relikwiarzyku świętego Jakuba, który wsunęła za dekolt, mówiący nader dziwną modlitwę:

- Jeśli jesteś naprawdę świętym Jakubem, pomóż mi, bo jesteś wszechpotężny, a jeśli to ty, Barnabo, sporządziłeś ten relikwiarz, to ciebie proszę o ratunek dla kogoś, kogo kochałbyś jak brata. On też jest moim przyjacielem! Uratuj go!

Wybiegła na dziedziniec zamkowy dokładnie w chwili, gdy żołnierze wyprowadzali więźnia. Walter był brudny, pokryty brunatnym błotem, jego twarz okolona była potężną, rudawą brodą. Drżał z zimna, miał na sobie bowiem tylko płudry i koszulę wiążaną na piersi, ale wydawało się, że jest w nie najgorszym stanie. Ciągnąc łańcuchy przykute do rąk i stóp, zatrzymał się na progu więzienia, by napełnić płuca świeżym powietrzem.

- Na Odyna! Jak dobrze tutaj!

Uderzenie drewnianą lancą w plecy przerwało jego słowa, ale mimo bólu uśmiechnął się, gdyż zauważył Katarzynę. Chciała podejść do niego, ale sierżant zagroził jej drogę.

- Jaśnie pan Gilles zakazuje rozmawiać z więźniem.

- Kpię sobie z rozkazów jaśnie pana Gilles'a.

- Niech się pani nie obawia - krzyknął Walter, w zamian za co otrzymał nowy cios lancą - jeszcze nie zamienili mnie w pokarm dla psów!

Z psiarni i stajni lokajcykowie wyprowadzali konie i związaną po dwa prawdziwą sforę olbrzymich brytanów, wyjących jak demony i próbujących się zerwać ze smyczy. Były to potężne psy o rozrośniętych mięśniach, prawdziwe bestie, które szczyrzyły lśniące, białe zęby.

- Nie jadły od wczorajszego ranka - oznajmił za plecami Katarzyny zimny głos Gilles'a. - To doda im wigoru w pościgu!

Uśmiechnięty, odziany w czarny zamsz, stał na progu wieżyczki przy schodach i zakładał spokojnie rękawiczki, przyglądając się psom. Za nim szła pani de Craon, ubrana jak zwykle na zielono, oraz starszy pan, który -

oparty na laseczce - obserwował wyruszających. Postarzał się ostatnio bardzo i przygarbił.

- Wypuścić człowieka! - krzyknął Gilles.

Natychmiast zdjęto Walterowi łańcuchy, on zaś rozprostował swe długie członki z widocznym zadowoleniem. Uzbrojeni ludzie pchnęli go szpicami pik na zwodzony most. Uczynił pożegnalny gest w stronę Katarzyny i pobiegł na otwartą przestrzeń, a Gilles krzyczał:

- Dajemy ci pół godziny, chamie! Spróbuj się z tym uporać! - Następnie, zwracając się do Katarzyny, dodał tonem konwersacji salonowej: - Widzi pani, jak psy niecierpliwie ciągną smycz? Kazałem starannie natrzeć dziś rano pani przyjaciela krwią dzika zabitego już jakiś czas temu. Śmierdzi jak ścierwo, więc psy łatwiej znajdą jego ślad.

- Jeśli zna się na polowaniu - obruszyła się stara Anna, wruszając ramionami - umknie panu, mój zięciu! Pańskie psy są dobre i zajadłe w ataku, ale nie są niezawodne.

- A co pani powie o tamtym? To najnowszy dar od mego kuzyna La Tremoille'a.

Oczy Katarzyny stały się z przerażenia jeszcze większe niż zwykle. Olbrzymi psiarczyk, cały owinięty w grubą skórę, wychodził z głębokiej jamy. Na łańcuchu ciągnął długi, giętki kształt, którego żółto-czarna sierść spływała aż do ziemi. Był to wspaniały lampart, który rzucał swymi skośnymi ślepiami groźne spojrzenia niczym zielone ogniki. Na jego widok służące wcisnęły się w kąt, gdacząc jak przestraszone kury. Ale zwierzę wzgardziło nimi, podobnie jak psami, które - ujrawszy pięknego kota - zawarczały gniewnie. Lampart popatrzył na nie, mrużąc oczy i ukazując ostre kły, a potem spokojnie ułożył się na ziemi.



- Co pani na to? - spytał Gilles, który obserwował Katarzynę. - Czy sądzi pani, że człowiek, nawet bardzo sprawny, może umknąć takiej bestii?

Zmusiła się, by unieść głowę i wyzywająco spojrzała mu w oczy:

- Proszę kazać przyprowadzić mi konia! Chcę uczestniczyć w tym polowaniu!

Drgnął. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej prośby.

- Co to ma znaczyć? Czy chce pani przy okazji uciec?

- I zostawić Sarę w pańskich rękach? Mało mnie pan zna - rzekła, niedbale wzruszając ramionami.

- A więc, czy mam przypomnieć, że jesteś pani brzemienna od pięciu miesięcy?

- Kobiety z mojej sfery dosiadają koni aż do rozwiązania!

- A jeśli - oczy Gilles'a stały się tak malutkie jak lśniące, czarne szparki - straci pani dziecko? Cenne dziecko ukochanego Montsalvy'ego?

- Zdaży mi zrobić następne! - rzuciła Katarzyna.

W jej brutalnie bezwstydnej odpowiedzi było tyle godności, że Gilles de Rais odwrócił głowę i skinął na Sillego.

- Konia dla pani Katarzyny. Raczej mierzyna\*. Daj jej Morganę. W ten sposób będę pewny, że mnie nie opuści. Morgana trzyma się Dziadka do Orzechów jak cień!

*\* Mierzyn - niski, wytrzymały koń używany w zaprzęgach artyleryjskich.*

Mała, biała klacz o śnieżnym, opadającym aż do ziemi ogonie stanęła obok wielkiego czarnego rumaka należącego do Gilles'a. Ów podał Katarzynie rękę, by pomóc jej usadowić się w siodle, następnie dosiadł

swojego konia. Inni uczynili to wcześniej. Katarzyna zauważyła dziwne zachowanie Anny de Craon. Sprawiała wrażenie obojętnej na wszystkie te szczegóły i trzymała się raczej na uboczu. Muskała w roztargnieniu szyję swego konia, który tańczył niecierpliwie w miejscu. Nie spojrzała nawet przelotnie na Katarzynę i zdawała się nie zauważać jej obecności. Z wyciągniętą szyją i nieruchomym spojrzeniem spoglądała na wrota rozwierające się na wiejskie przestworza. Katarzyna na próżno starała się ściągnąć wzrokiem jej spojrzenie. Pragnęła znaleźć w kimś oparcie, ale trzeba było jeszcze czekać. Gilles, z oczami wbitymi w tarczę zegara słonecznego na wieży północnej, śledził upływ czasu. Za nim, ustawieni w jeden szereg i odziani w skórę pod krótkimi płaszczkami ozdobionymi jego herbem, kapitanowie czekali karnie, jak przystało na doborowy oddział.

Nagle Gilles uniósł do góry dłoń w rękawiczce.

- Minęło pół godziny. Ruszamy!

Konie i jeźdźcy drgnęli. Psy, niemal ciągnące swych opiekunów, którym ledwo sił starczało, by je utrzymać na smyczy, ruszyły jako pierwsze. Rozległo się ich donośne szczekanie. Za nimi ruszyła na swym koniu pani de Craon.

- Mojej szlachetnej teściowej obojętna jest zwierzyna - Ironizował na użytek Katarzyny Gilles. - Ważne, aby było polowanie! Może pani być pewna, że osaczy pani Normandczyka jak odyńca.

Wielki, czarny koń i mała, biała klaczka przeszły obok siebie przez zwodzony most.

Wychodząc z zamku, Katarzyna spostrzegła, że droga prowadząca do wioski i nad Loarę była zagrodzona szpalerem żołnierzy. Zapewne obawiano się, że znękana „zwierzyna” będzie próbowała rzucić się do

rzeki, by spróbować ją przepłynąć i stworzyć w ten sposób między sobą a prześladowcami nieprzekraczalną barierę. Mężczyźni dobrani byli z uwagi na wzrost. Stali na rozstawionych nogach, nieruchomo spoglądając spod żelaznych hełmów na piaszczyste wysepki na wodzie, za którymi tajemniczo rysowały się kontury wież Montjan i maszty statków płynących z Nantes.

- Nie pozostawia pan niczego przypadkowi - rzekła Katarzyna przez zaciśnięte zęby.

- Nie chcę, aby polowanie spełzło na niczym - odparł Gilles z miłym uśmiechem.

Psy dobiegły już na brzeg stawu. Ślady stóp, mocno zarysowane na błotnistym podłożu, prowadziły do lasu. Las! To jego królestwo, przecież był drwalem ogromnych połąci leśnych Normandii! Mimo niedawnego deszczu trawa była pożółkła, tylko miejscami zachowując swą zielenią. Za stawem migotał rudy las, niczym ogromna płowo-złocista sierść, która zaczynała już opadać na ziemię. Wysoko na niebie migały stada ptaków wędrownych, zmierzających na południe. Katarzyna pozazdrościła im swobody i tego cudownego daru - że mogły oderwać się od ziemi i wyruszyć na poszukiwanie słońca i ciepła... Bardziej niż zwykle uświadamiała sobie swoją niemoc oraz niebezpieczeństwa czyhające na Waltera.

Psy węszyły w błocie i jak dobre ogary biegły za tropem z nosem przy ziemi. Lampart był o wiele bardziej leniwy. Wydawało się, że wielka bestia odbywa jakąś nudną przechadzkę, jej obojętny wzrok lekceważył wyjąca sforę brytanów, które stanowiły jak gdyby bezładną straż przednią jakiegoś flegmatycznie usposobionego księcia. Drzewa nie dawały już takiego cienia, bowiem zrzuciły część listowia. Czasem psy zatrzymywały

się, węsząc wiatr. Wówczas któryś z psiarczyków chwycił trąbkę i wznosił ku niebu ochryple wezwanie, po czym kawalkada ruszała dalej.

- Spuścić psy ze smyczy! - krzyknął Gilles. Uwolnione zwierzęta popędziły niczym kule armatnie.

Konie puściły się galopem. Katarzyna widziała przed sobą podskakujący zad Dziadka do Orzechów i jego tańczący ogon. Klaczka dreptała za nim jak cień. Trochę bardziej na przodzie widać było fruującego między rudymi gałęziami zielony woal Anny de Craon. Katarzyna już dawno nie uczestniczyła w polowaniu, ale instynktownie przemieniła się, z pomocą galopującego konia, w doskonałą amazonkę. Filip Burgundzki był wymagający w kwestii jazdy konnej i wielbił polowania, tak jak wszyscy Walezjusze. Pod jego to kierunkiem Katarzyna nauczyła się wszystkich subtelności łowieckich, które można było wydobyć z konia. Żadna kobieta i niewielu mężczyzn umiało tak elegancko wsiadać na wierzchowca jak ona. Książę Filip, w czasie ich związku, był z tego niezmiernie dumny. Teraz jednak uważała, aby nie pokazać swemu prześladowcy wszystkiego, co umie, ograniczając się do mało błyskotliwej jazdy. Była zadowolona, że może zapoznać się z jego koniem. Oczywiście, Morgana żywiła zdecydowaną słabość do dużego czarnego ogiera, ale była nieduża, zatem nie zdołała się oprzeć energicznej ręce zdecydowanego jeźdźca.

Gdyby życie Waltera nie wisiało na włosku, Katarzyna z pewnością czerpałaby wielką rozkosz z przejażdżki w ten chłodny poranek.

Szczekanie psów i zew trąbek napępiały las wesołym zgiełkiem.

Na małej polance, gdzie stał potężny dąb, sfora zawahała się na chwilę. Jeden z brytanów zaczął węszyć pod wielkimi poskręcanyimi gałęziami, następnie pobiegł na prawo, gdzie wiatr potrząsał koroną

olbrzymiego drzewa. Wszystkie pozostałe psy pobiegły za nim, zanurzając się w gęstwinę leśną. Gilles zarechotał.

- Nie wymknie się im! Niedługo już znajdziemy tego nicponia, trzęsącego się ze strachu w jakimś kątku, przyciśniętego przez psy. Mam nadzieję, że zostawią parę strzępków...

W tej samej chwili las wypełnił potworny ryk, płosząc ptaki, które zerwały się do lotu. Katarzynę przeszył zimny dreszcz. Lampart warknął i gwałtownie wyrwał się z ręki opiekuna. Katarzyna dostrzegła żółto-czarną błyskawicę pędzącą przez poszycie leśne w kierunku przeciwnym niż psy. Anna de Craon, zrazu zdziwiona, zatrzymała się, Gilles de Rais, Zakławszy szpetnie, uczynił to samo. Oczy Katarzyny spotkały się z oczami starszej pani. Ta ostatnia wykonała ruch, który w mgnieniu oka został zrozumiany. Katarzyna pospiesznie wyszarpnęła z gorsetu agrafkę i wbiła ją w zad Dziadka do Orzechów. Koń zarżał z bólu, po czym ruszył dzikim pędem za psami. Katarzyna z całych sił zmusiła małą klaczkę do pozostania na miejscu. Anna de Craon w jednej chwili była tuż przy niej.

- Szybko! Trzeba pędzić za lampartem... Nie wzięłam pod uwagę tej przeklętej bestii!

Galopując śladami lamparta, Katarzyna spytała:

- Cóż takiego pani zrobiła?

- Jeden z moich służących czekał tu na sforę z młodym, dwuletnim dzikiem, złapanym dwa dni temu. Kazałam zanieść twojemu wieśniakowi wiadomość, że ma przybiec tutaj, a potem wspiąć się na dąb, w którego gałęziach mógłby się ukryć, a następnie oddalić, nie pozostawiając śladów na ziemi. Ale ten przeklęty kocur przechytrzył nas, nie dał się wyprowadzić w pole. Pobiegł właściwym tropem. Trzeba go złapać, zanim znajdzie człowieka.

Głos Katarzyny rwał się od szalonego pędu poprzez mchy i krzaki. Jednak udało się jej krzyknąć:

- A Gilles i inni?

- Będą galopować przez dłuższy czas po śladach dzika - odparła Anna - dopiero potem zauważą swój błąd. Daje nam to trochę czasu.

- A jak... zamierza pani przeszkodzić lampartowi w ataku?

- O tak!

I Anna de Craon odczepiła od łąku siodła oszczep z żelaznym ostrzem. Drzewa skrzypiące gałęziami tworzyły Złocistorudy szpaler. Oba konie pędziły z pianą na pyskach poprzez ten tunel z drzew, szeleszczący rozgniatanymi liśćmi. Anna i Katarzyna słyszały przed sobą porykiwanie bestii.

Nagle konie i amazonki znalazły się na polance pokrytej mchem i otoczonej tak ciasno drzewami, że tworzyły istny mur. Polanka zakończona była skalistym zakątkiem. Błade promienie słoneczne przenikały przez listowie, osuszając żdźbła trawy, wilgotne jeszcze od rosy. Było to miejsce spokojne i urokliwe, ale Katarzyna odczuła jedynie przerażenie i niepokój. W oddali Walter i lampart stali naprzeciwko siebie...

Wielki Normandczyk, oparty o zielonkawę skałki, stał w skupieniu na rozstawionych nogach, z rozwartymi dłońmi, gotowymi do schwytania zwierza. Pochylony do przodu, z klatką piersiową unoszącą się szybko po wyczerpującym biegu, dyszał, wpatrując się w bestię i śledząc najmniejsze jej drgnięcie. Zwierz czaił się w listowiu z rozdziawioną paszczą, ukazując potworne, białe kły, a na ziemi widoczne były jego potężne pazury. Porykiwał z rzadka i wpatrywał się w bezbronnoego mężczyznę zielonymi oczami połyskującymi z wściekłości.

Z oszczepem w dłoni Anna chciała spiąć ostrogą konia, który drżał ze strachu. Już unosiła obcas, gdy Walter ryknął:

- Nie ruszać się!

W tejże chwili bestia runęła naprzód. Długie, giętkie ciało lamparta uniosło się w powietrze, by spaść na Waltera. Zwierzę i mężczyzna potoczyli się w mech. Normandczykowi udało się złapać obydwoma rękami szyję zwierza i napinając z wysiłku mięśnie, tak że aż dygotały, utrzymywał rozdziawiony pysk w pewnej odległości od swej twarzy. Krzywił się z bólu, gdyż pazury lamparta poorały mu ramiona i próbowały na nowo go dosięgnąć. Pomruki wściekłej bestii mieszały się ze świszczącym oddechem mężczyzny. Trochę dalej obie kobiety, skamieniałe ze strachu, utrzymywały w miejscu swe wierzchowce.

- Boże! - Katarzyna modliła się półgłosem. - Mój Boże!

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. W obliczu takiego niebezpieczeństwa tylko Bóg wszechmogący mógł pomóc... Ramiona Waltera wyglądały jak dwie masywne kolumny, wszystkie mięśnie miał napięte, błękitne żyły poskręcane były jak sznurki - w ten sposób Walter utrzymywał zwierzę nad sobą. Mocnym pchnięciem udało mu się odwrócić sytuację, leżał już na lamparcie, który dosięgnął go jeszcze parę razy pazurami. Zwierzę dyszało, próbując ze wszystkich sił uwolnić szyję z morderczego uścisku. Odór krwi wprawiał je we wściekłość, ale Walter trzymał się dobrze. Jego olbrzymie ręce ścisnęły mocno, starając się nie ześlizgnąć po futrze zwierzęcia...

Twarz potężnego Normandczyka była szkarłatna, wykrzywiona niczym jakaś potworna maska. Z jego poszarpanej piersi płynęła krew, ale nie słyhać było żadnej skargi. Nagle dał się słyszeć trzask, a w ślad za nim żalosny ryk. Walter wstał, chwiejąc się na nogach. U jego stóp

nieruchomo spoczywał czarno-żółty kocur z przetraconym grzbietem. Wielkie cętkowane ciało wyprostowało się, łapy opadły bezsilnie. Z piersi obu kobiet wyrwało się westchnienie ulgi. Anna de Craon zaśmiała się nerwowo.

- Na rany Chrystusa! Mój chłopcze, mógłbyś być wielkim łowczym! Jak się czujesz?

Zeskoczyła z konia, rzuciła wodze Katarzynie i podbiegła do Waltera. Teraz Katarzyna zsunęła się na ziemię i dołączyła do nich. Podczas gdy starsza pani oglądała zranione ramiona leśnika, on spoglądał na Katarzynę i szeptał niepomiernie zdumiony:

- Pani płacze, pani płacze... przeze mnie?

- Tak bardzo się lękałam, mój przyjacielu! - rzekła młoda kobieta, usiłując dzielnie się uśmiechnąć. - Nigdy nie uwierzyłabym, że mógłbyś sobie poradzić z taką bestią!

- Ba! Jeśli pominąć pazury, to nie jest to zwierzę silniejsze od odyńca. Często zdarzało mi się walczyć gołymi rękami z dzikiem.

Katarzyna wydobyła chusteczkę do nosa i jąka delikatnie usuwać krew i obmywać rany wodą ze źródelka, które płynęło między skałami.

- Co z nim zrobimy? - skierowała pytanie do Anny, która poświęciła swoją woalkę i chusteczkę, by sporządzić opatrunek. - On nie jest bynajmniej uratowany! Słyszysz pani?

Rzeczywiście, z głębi lasu dochodziły coraz bliższe odgłosy polowania. Forsyie dęli w trąbki co sił w płucach.

- Chyba się zbliżają! - rzekła Anna, nasłuchując. - Nie mamy ani chwili do stracenia. Niech pan siada za mną, przyjacielu. Klaczka pani Katarzyny jest za delikatna, by unieść pański ciężar... Na siodła, szybko! Twoje przygody nie są jeszcze zakończone, ale przynajmniej spróbujemy



wyrwać cię z psich łap. W tym stanie nie będziesz mógł stawić czoła rozszalałej sforze.

Katarzyna dosiadła ponownie konia, Anna znów wspięła się na swoją kasztankę, a za nią wskoczył na koński zad Walter.

- Jedźmy! - rzuciła wesoło starsza pani. - Katarzyno, proszę trzymać się jak najbliżej mnie.

Mimo podwójnego ciężaru na grzbiecie kasztanka pędziła lekko jak piórko. Mała biała klaczka posłusznie sunęła za nią. Morgana nie stawiała już oporu Katarzynie. Poczwała władcą rękę, więc się nie buntowała. Cwałowali w szalonym pędzie. Minęli strumyk jasny jak kryształ, o bursztynowych refleksach w słońcu, a czerwonobrazowych w cieniu. Dalej napotkali wysokie skały, ale konie pokonały je z łatwością.

- Na kamieniu nie ma śladów - krzyknęła Anna. - Nie ściskaj mnie tak, przyjacielu, dusisz mnie. Nie jestem lampartem!

Rzeczywiście, Walter objął w pasie nieustraszoną amazonkę, nie miarkując się wcale. Była czerwona jak burak. Katarzyna usłyszała jej mamrotanie:

- Diabelnie dawno nikt nie szczypał mnie w pasie!

Jeźdźcy nie zwalniali pędu. Odgłosy polowania rozmywały się w oddali i wkrótce pomiędzy drzewami ukazała się szeroka, połyskliwa jak rtęć woda. Oba rumaki wypadły z lasu z parującymi chrapami.

- To tylko mały dopływ Loary - rzekła Anna. - Musimy przezeń przejść. Nie jest głęboki.

Popędziła swego konia do wody, przeszła przez nią łatwo i wyjechała na wielką łąkę, na której pasły się barany. Czarna sylwetka starego pastucha w opończy rysowała się na tle chmurzącego się nieba. Wreszcie dotarli do rzeki. Rozciągała się przed nimi szeroka, żółta i

spieniona, poszerzona po ostatnich deszczach. Na drugim brzegu widać było domki, zamek i niewielki port z okrętami stłoczonymi niby jaja wokół kwoki. Anna de Craon zatrzymała konia na brzegu rzeki i wskazała biczem wioskę.

- To jest Montjan, własność mojej córki Beatrycze, matki pani de Rais. Nigdy nie mogła pochwalić się swym zięciem. Ludzie Gilles'a nie zapuszczają się na te ziemie, odkąd próbował wydrzeć je z rąk Beatrycze, grożąc jej, że utopi ją w Loarze. Umiesz pływać, chłopcze?

- Jak ryba, szlachetna pani! Co by był ze mnie za Normandczyk, gdybym nie umiał pływać.

- Może i tak, ale straciłeś dużo krwi. Będziesz miał siłę? Loara jest trudna w tym miejscu. Niestety, tylko w ten sposób możesz się uratować.

- Będę miał siłę - odparł Normandczyk, wpatrzony w Katarzynę, która się doń uśmiechała. - A gdy będę już w Montjan, co mam zrobić?

- Idź do zamku. Powiedz seneszalowi\* Martinowi Berlotowi, że to ja ciebie przysyłam, i czekaj.

*\* Seneszal - urzędnik dworski, zarządca dworu i dóbr królewskich.*

- A czy nie mogę prosić o pomoc dla pani Katarzyny? Anna de Craon wzruszyła ramionami.

- W Montjan nie ma nawet dziesięciu żołnierzy, na sam dźwięk imienia Gilles'a chowają się w mysie dziury. Będzie aż nadto, jeśli Berlot przyjmie cię bez problemów. W razie oporu powiedz mu, że każe go powiesić przy pierwszej nadarzającej się okazji, wtedy zmięknie. Jeśli zaś chodzi o resztę, lepiej poczekać, aż twojej pani uda się wyrwać z pułapki,

w którą wpadła. Chyba że - dodała z wyższością - wolisz wracać do siebie...

- Moje miejsce jest tam, gdzie jest pani Katarzyna - oświadczył Walter z dumą, która równoważyła dumę Anny.

Uśmiechnęła się.

- Uparciuch z ciebie, co? Nie na darmo jesteś Normandczykiem, przyjacielu! A teraz zwijaj się szybko, musimy wracać.

W odpowiedzi Walter padł na ziemię i zwrócił się do Katarzyny, która ze łzami w oczach spoglądała na niego z wysokości swego siodła.

- Pani - rzekł gorąco - zawsze będę twym sługą i będę czekał na ciebie tak długo, jak będziesz chciała. Uważaj na siebie, pani.

- I ty także! - odparła młoda kobieta ze wzruszeniem.

- Nie chciałabym cię utracić, Walterze.

Spontanicznie podała mu dłoń, do której niezgrabnie przycisnął usta. Następnie, nie odwracając się, pobiegł na brzeg i zanurzył się w rzece. Obie kobiety widziały, jak popłynął, szerokimi ruchami rozcinając wodę. Jego potężne ramiona uderzały w żółtawe fale jak kowal w kowadło. Walter, pozostawiając za sobą pienisty rów, skierował się ku środkowi rzeki. Katarzyna przeżegnała się powoli.

- Niech Bóg ma go w swej opiece - wyszeptała - chociaż on w niego nie wierzy.

Anna de Craon zaśmiała się krótko. Jej żywe oczy zatrzymały się, rozbawione, na młodej kobiecie.

- Chciałabym wiedzieć, moja kochana, skąd bierze pani swoich służących. Ma pani tylko dwoje, ale jacy dziwni! Cyganka i nordycki poganin. Do diabła!

- Och! - rzekła Katarzyna z melancholijnym uśmiechem. - Miałam jeszcze lepszego: mauretańskiego lekarza... to był wspaniały człowiek!

Wkrótce mgła pokrywająca wąskim pasem rzekę pochłonęła dużą, jasną głowę Normandczyka.

- Czas wracać - rzekła Anna de Craon. - Proszę pomyśleć, jak długo musimy jeszcze jechać. Trzeba znaleźć pozostałych, zanim wyjdą z lasu.

Spięte ostrogami konie popędziły przez łąkę. Wiatr przyginał ku ziemi trawy. Stary pasterz, nieruchomy niczym posążek z brązu, popatrzył na mijające go amazonki. Słońce na moment oświetliło czerwonawą koronę okazałego buku. Anna odwróciła się z uśmiechem do Katarzyny.

- Jestem głodna! - rzekła. - No i spieszno mi zobaczyć minę Gilles'a!

Nie odpowiadając, Katarzyna odwzajemniła uśmiech. Poczowała, że spadł jej z piersi ogromny ciężar. Na lewo od niej krzyk dzikiej kaczki zabrzmiał jak zwycięska fanfara. Walter był poza zasięgiem de Rais'go. Została jeszcze Sara i ona sama. Ale czy ten pierwszy sukces nie dodawał otuchy? Odszukała na piersi mały relikwiarzyk i ścisnęła go łagodnie.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję ci, Barnabo...

# Listopadowa noc

---

Kobiety nadłożyły sporo drogi, by zmylić resztę towarzystwa co do kierunku, z którego przybywały. Następnie dołączyły do myśliwych na tej polance, na której Walter stoczył z lampartem bohaterską walkę. Trafiły na straszną scenę. Gilles de Rais stał obok nieżywego zwierzęcia i smagał batem psy. Był oszalały z gniewu, a przerażone zwierzęta siadały na zadach, pojękując cicho pod ostrymi razami bicia. Wokół stali kompani de Rais'go, którzy nieruchomo jak posągi na koniach przypatrywali się w milczeniu całemu zajściu. Gdy Gilles zobaczył kobiety, odwrócił się i gwałtownie je zaatakował.

- Skąd się tu wzięłyście? Gdzie się podziewałyście? Czy jesteście takie niezdarne jak te kundle?

Anna de Craon uniosła lekceważąco brew i wzruszyła ramionami, głaszcząc jednocześnie mokrą od potu szyję konia, by go uspokoić.

- Co do nieudolności, to mniemam, panie, że nie ustępuje nam pan bynajmniej pod tym względem. Widziałam, jak pański koń złapał wędzidło w pysk i pogalopował w ślad za psami. Mój wolał lamparta, a klacz pani Katarzyny poszła za moją.

Gilles zmrużył oczy, zbliżył się do Katarzyny i położył dłoń na szyi Morgany.

- Nie znajdujesz, pani, dziwnym, że Morgana poszła za Korrigan, a nie za Dziadkiem do Orzechów? Czy też to ja nie doceniłem pani umiejętności jeździeckich?

- Nie odpowiadam za kaprysy klaczy - odparła niedbale Katarzyna. - Morgana poszła za tym, za kim chciała pójść, a ja z konieczności musiałam pójść z Morganą. Nie widziałam nawet, jak pan wyruszał. Myślałam, że jedzie pan za nami. Ale konie były jak oszalałe i cwałowały śladem lamparta.

- Którego na ogół bardzo się boją. Zdziwiasz mnie, pani. Chciałbym zapytać, czy znalazłyście panie uciekiniera?

Głos Gilles'a stał się dziwnie łagodny i niezwykle kontrastował z zakrwawionym batem, który jeszcze ścisnął w zaciśniętej dłoni.

Jego babka pospieszyła z odpowiedzią.

- Dotarliśmy tu, gdzie i pan - rzekła z niejaką wyższością. - Kiedy wydostałyśmy się na tę polankę, znalazłyśmy martwą, ale jeszcze ciepłą bestię. Nie było nawet śladu więźnia, oprócz tych, które wskazywały na stoczoną przezeń zwycięską walkę. Ponadto można by sądzić, że rozplynął się w powietrzu. Objechałyśmy całą okolicę i przez dłuższy czas jechałyśmy wzdłuż rzeki, ale nic nie znalazłyśmy.

- Pani nie, a ona? - zaskrzypiał Gilles, utkwivszy drżący palec w Katarzynie.

Anna de Craon nie drgnęła.

- Pani Katarzyna nie odstępowała mnie - rzekła spokojnie. - Musiałam jej pilnować, bo przecież ty, panie, gdzieś zniknąłeś. Co się naprawdę stało?

Gilles wzruszył gniewnie ramionami i cisnął bicz lokajowi.

- Te durne psy, diabli wiedzą dlaczego, dały się oszukać i zapuściły się aż do opactwa! Teraz są zmęczone, a mój lampart nie żyje! Będziesz musiała zapłacić i za tę śmierć, piękna Katarzyno. Zwierzyna myśliwska nie ma ceny.

- Kiedy już pozbawi mnie pan wszystkiego, co posiadam - odparła Katarzyna sucho - nie wiem, co potem jeszcze będzie pan mi mógł zabrać... oprócz skóry!

Starła się nie patrzeć w te niebezpieczne oczy, które śledziły ją z okrutnym błyskiem, i nie stracić kontenansu. Usiłowała zwłaszcza ukryć swą radość z tego, iż przyjaciel jej umknął niebezpieczeństwu, w rzece bowiem nic mu nie zagrażało. Zwyciężył ją, tak jak zwyciężył zwierzę, była tego pewna.

- Kto wie? - wyszeptał łagodnie Gilles. - Pomyślę o tym. Może wygrałaś, pani, tę partię, ale nie wszystko będzie według twojej woli. Mam jeszcze twoją czarownicę i jeśli nie będzie robiła tego, czego od niej chcę, zapłaci za dwoje. Hej, Poitou, mój koń!

Paź ze spuszczonej oczami przyprowadził Dziadka do Orzechów, wytartego starannie przez jednego ze służących. Czarny ogier jeszcze lśnił od potu i rozglądał się przerażonym wzrokiem. Gilles siadł ciężko w siodle, dźgnął konia ostrogami i zagłębił się w las, nie troszcząc się już o pozostałych myśliwych. Anna de Craon zbliżyła Korrigana do Morgany, którą Katarzyna łagodnie pieściła.

- Musisz się, pani, dobrze pilnować - szepnęła, nie poruszając wargami, jako że Roger de Briquerville trzymał się blisko niej. - Tej nocy proszę zamknąć drzwi na zamek i nie otwierać nikomu.

- Dlaczego?

- Dlatego, że tej nocy diabeł będzie w Champtoce panem. Gilles poniósł porażkę, więc musi ją sobie odbić...

Przez trzy dni Katarzyna była zamknięta w swoim pokoju i nie wychodziła ani na chwilę. Gilles de Rais przekazał jej wiadomość, że nie życzy sobie jej obecności. Nie wiedziała nawet, że Annę de Craon zmogła jakaś złośliwa gorączka. Dziwna rzecz, w tym czasie zamek wydawał się pogrążony we śnie. Wokoło panowała głęboka cisza. Nie opuszczano nawet zwodzonego mostu, a służcy chodzili na paluszkach. Katarzyna zapytała służącą, która przynosiła jej posiłki, co się dzieje.

- Nie mogę tego wiedzieć, szlachetna pani. Jaśnie pan Gilles zamknął się w swoich apartamentach z najbliższymi i nie wolno, pod karą śmierci, mu przeszkadzać...

Dziewczyna, młodziutka Bretonka, okrągłutka i różowa, nie śmiała głośniej się odezwać. Wyglądało na to, że lęka się, by echo jej słów nie przeniknęło przez ściany i nie dotarło do uszu pana.

- A pani Anna? - spytała Katarzyna. - Jak ona się miewa?

- Nie wiem. Ona też jest zamknięta u siebie i tylko pani Alienor, jej dama do towarzystwa, może wchodzić do jej sypialni. Proszę mi wybaczyć, wielmożna pani, ale muszę już iść...

Młodej służącej spieszo było uciekać, więc Katarzyna nie śmiała jej już zadać żadnego pytania. Niepokoił ją los Sary i rozpaczała, że nic o niej nie wie. Ale jak się dowiedzieć, gdy drzwi są zabarykadowane, a stukot kroków żołnierza przypominał jej od czasu do czasu, że jest strzeżona.

Wieczorem czwartego dnia jednakowoż zazgrzytał zamek i wszedł ktoś inny, nie pokojowa. Był to Gilles de Silić, kuzyn pana de Rais'go i jego zły duch. Będąc rówieśnikiem Gilles'a, bynajmniej go nie



przypominał. Przysadzisty, krępy, o masywnych ramionach i wklęsłym brzuchu, miał twarz koloru ceglatego ozdobioną płaskim nosem i bladoniebieskimi oczami, zdumiewająco chłodnymi i pozbawionymi wyrazu. Fioletowe pludry oraz krwistoczerwony kaftan z wyhaftowanym złotym lwem stanowiły całą jego odzież. Był to strój niezbyt elegancki, ale za to u pasa widać było okazały sztylet. Z rękami wetkniętymi za tenże pas, na szeroko rozstawionych nogach zatrzymał się na chwilę w progu. Głowę nosił wysoko, z arogancją. Potem, jako że młoda kobieta odwróciła się do niego plecami, zaczął się śmiać.

- Mam pani coś do pokazania - rzekł po chwili. - Niech pani rzuci okiem na dziedziniec...

Ponieważ noc już zapadła jakiś czas temu, Katarzyna miała zamknięte wewnętrzne okiennice. Był to dzień Wszystkich Świętych - taki smutny! Mgły przenikały do pokoju długimi pasmami; gdy tylko otwierało się okno, czuć było wilgocia i zgniłą trawą. Katarzyna powoli podeszła do okna, otworzyła okiennice. Płomienie pochodni, które poruszały się w dole, tańczyły na jej twarzy, przenikając do pokoju przez ukośne romby z ołowiu.

Otworzyła okno i popatrzyła w dół. Na dziedzińcu krzątali się parobcy niosący polana i chrust, następnie układali je wokół czarnego drewnianego słupa, z którego zwieszały się łańcuchy. Z okrzykiem zgrozy Katarzyna cofnęła się od okna, blada jak płótno. Jej spłoszony wzrok spotkał się z kpiącym spojrzeniem de Sillego.

- No cóż! Gilles postanowił, że jutro, w Dzień Zaduszny, będzie o jednego zmarłego więcej i że pani czarownica odfrunie jak dymek...

- To niemożliwe! - szepnęła Katarzyna raczej do siebie samej niż do niemilego gościa. - To niemożliwe! Nie wolno mu tak postąpić!

- Nie będzie się tym krepował! - odparł jej rozmówca, śmiejąc się rubasznie. - Zachowała się niemądrze ta pani czarownica. Tak, moja kochana. Gdyby miała więcej sprytu, nie skończyłaby tak marnie. No, ale będzie pani miała choć tyle pociechy, że może uczestniczyć w tym wszystkim...

Wziął ze stołu, na którym stygła zaledwie tknięta przez Katarzynę kolacja, kuropatwę i ugryzł tak, jak się gryzie jabłko. Nalał sobie szklaneczkę wina, wypił je duszkiem i wytarł usta aksamitnym mankietem, a następnie skierował się ku drzwiom.

- Przyjemnych snów, piękna pani! Szkoda, że kuzyn zabronił pani dotykać ze względu na jej stan! Lubiłbym dłużej nieco przebywać w pani towarzystwie.

Z głową zwróconą do okna, skąd dochodziły posępne odgłosy, Katarzyna trwała nieruchomo, dopóki nie usłyszała, że drzwi się zamknęły. Dopiero wtedy ugięły się pod nią nogi, padła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

- Sara! - szlochała cichutko. - Moja biedna Sara!

Hałasy na dziedzińcu ucichły, zniknęły płomienie pochodni, nawet świeczka zgasła w lichtarzyku z czarnego żelaza, a Katarzyna dalej trwała w prostracji. Przygnieciona bólem, modliła się i płakała na przemian, nie wiedząc, do kogo się zwrócić, kogo błagać o ratunek. Wydawało się jej, że jest na dnie głębokiej studni o śliskich ścianach, po których nie można się wspiąć. Studnia pomału nappełniała się wodą i kobieta wiedziała, że w pewnej chwili woda ją zaleje, ale nie umiała tego uniknąć...

Chłodny, wilgotny powiew z otwartego okna rozproszył jej rozpacz. Czuła się, jakby była otulona lodowatą kapą, a ponadto w pokoju zrobiło się prawie ciemno. Z trudem wstała, zapaliła od gasnącej świecy nową, a

potem zamknęła okno. Ogień na kominku także dogasał. Wzięła kilka polan z zagłębienia przy ognisku, umieściła je w żarze i skórzanym mieszkiem rozdmuchała płomień. Były to proste gesty, nieważne i dobrze znane, ale przywodziły jej na myśl szczęśliwe dni, które przeżyła w domu przy Pont-au-Change czy u wujka Mateusza w sklepie z tkaninami przy ulicy Griffon w Dijon, zanim kaprys księcia wyrwał ją ze skromnego stanu, by uczynić z niej wielką panią. Siedząc na kamieniach kominka, z rękami splecionymi wokół kolan, patrzyła, jak płomienie palą się coraz żywiej i otulają jej ciało łagodnym ciepłem.

Nagle przymknęła oczy. Ten wesoły ogień budził koszmary! Straszliwy ogień... pożerający, który jutro ogarnie Sarę, by ją wrzucić wyjąca i zmalretowaną w przepaść nicości. A ona, Katarzyna, była tutaj, bezsilna i uwięziona, zmuszona poddać się bezlitosnemu losowi.

Wtem otworzyła oczy, równie nagle, jak je zamknęła, bezgranicznie zdumiona. Żwawym ruchem położyła ręce na brzuchu, coś się w nim bowiem poruszyło. Dziecko! Syn Arnolda po raz pierwszy dowiedział swojego istnienia! Fala czulej szczęśliwości ogarnęła ją całą i dodała jej nieco otuchy. Czy to możliwe, aby jej maleństwo przyszło na świat w tym przeklętym zamku? By dała mu życie nieszczęsna więźniarka? Po tamtej stronie rzeki Normandczyk Walter spoglądał pewnie na mgły, zastanawiając się nad tym, co działo się po stronie Champtoce. Musiała spróbować coś zrobić, pójść do Gilles'a jeszcze raz i błagać go, za wszelką cenę wyjednać łaskę dla Sary.

W nagłym impulsive podbiegła do drzwi. Należało najpierw zwrócić się do strażnika, by pozwolił jej wyjść albo sam zgodził się pójść po de Rais'go... albo przynajmniej Sillego. Chwyciła klamkę, aby nią potrząsnąć. Ku jej wielkiemu zdumieniu drzwi bezszelestnie otworzyły się same. Na

zewnątrz korytarz pogrążony był w ciemnościach, panowała zupełna cisza. W zamku wszyscy chyba spali.

Katarzyna nie mogła w żaden sposób dowiedzieć się, która jest godzina. Piasek przesypał się już dawno, a ona nie odwróciła klepsydry. Jedyne zegary znajdowały się w paradnej komnacie. W kaplicy dzwon chyba zadzwonił, ale pogrążona w rozpaczy nie usłyszała go. Mimo to była zdecydowana spróbować szczęścia za wszelką cenę! Dziękowała w duchu niebiosom, że Sille zapomniał zamknąć jej więzienie. Wróciła do pokoju, otuliła się peleryną i wzięła lichtarzyk.

Jej wyolbrzymiony cień zarysował się na ścianie korytarza. W ciszy głośnie echem rozległy się jej kroki, których nawet nie próbowała stłumić. Spokojna i silna powziętą decyzją skierowała się ku schodom. Miała przejść przez pół zamku, by dotrzeć do apartamentu Gilles'a, ale coś jej mówiło, że nie napotka żadnej przeszkody. Wokoło panowała głęboka noc i w tym skrzydle zamku nie powinno być nikogo. Dochodząc do galerii, objęła wzrokiem znaczną część wielkiego dziedzińca. Nie dostrzegła nigdzie światła, tylko pod sklepieniem, z którego opuszczona była krata, migotały czerwone, nędzne błyski pochodni przypominające błędny ogień.

Przebiegła przez galerię, wielką komnatę, wbiegła na kręte schody, które prowadziły do Gilles'a, nie napotkawszy żywego ducha. Czasami jednak zza jakichś drzwi dobiegało chrapanie, które odbierało tajemniczość tej nocnej atmosfery. W miarę jednak, jak wspinała się po schodach, coraz wyraźniej słyszała jakieś dziwne hałasy, zduszone nieco grubością muru. Były to odgłosy ludzkie, lecz trudne do rozróżnienia: może śmiechy... a może jęki?

W wieżyczce paliły się jeszcze niewidoczne z zewnątrz światła. Katarzyna postawiła lichtarzyk na stopniu i weszła wyżej. Kiedy miała już wejść na korytarz prowadzący do Gilles'a, z ciemności wyłoniła się ciemna postać. Katarzyna rzuciła się do tyłu ze zduszonym okrzykiem, ale nie była w stanie się ukryć. Przed nią stał stary Jan de Craon. Widząc, jak mruga oczami na widok światła, pomyślała, że przypomina bardziej jeszcze niż zazwyczaj spłoszoną sowę. Nie mogła sobie jednak wytłumaczyć przyczyny jego przerażenia... Spojrzał na nią bez zdziwienia, jak gdyby jej obecność w tym miejscu i o tej godzinie była całkowicie naturalna. Oparł się o ścianę, oddychając z trudem. Zobaczyła, że sięgnął ręką do kołnierzyka, by rozluźnić jego ucisk. Wyglądało na to, że się dusi. Zamknął oczy.

- Wielmożny panie, czy jesteś cierpiący?

Grube powieki zatrzepotały. Ośłupiała bezgranicznie Katarzyna zobaczyła łzę spływającą wzdłuż jego orlego nosa. W twardym zazwyczaj spojrzeniu Jana de Craona była rozpacz i jakieś niemal dziecinne zagubienie. Pochyliła się ku niemu i dotknęła jego ramienia:

- Czy mogę panu pomóc?

Głos Katarzyny wreszcie przedarł się przez na wpół hipnotyczny stan starszego pana. Spojrzał na nią i jego oczy zabłyśły nieco żywiej.

- Chodźmy stąd! - szepnął. - Nie trzeba tu przebywać!

- Ale ja muszę zostać. Chcę zobaczyć pańskiego wnuka i...

- Zobaczyć Gilles'a! Zobaczyć tego... Nie, nie, chodźmy, jest pani w niebezpieczeństwie...

Jego sucha dłoń złapała ramię Katarzyny, ciągnąc ją za sobą zdecydowanie. Lecz nagle puścił ją, oparł głowę o ścianę i zaczął

wymiotować. Pomarszczona twarz przybrała zielonkawy kolor, co Katarzynę przeraziło.

- Panie, jesteś chory, bardzo chory. Proszę pozwolić mi zawołać kogoś.

- Przede wszystkim... niech pani nic nie robi! Dziękuję za współczucie, lecz chodźmy... chodźmy stąd!

Jego głos był jedynie tchnieniem i załamywał się, ale Jan de Craon wziął się w garść i schodził dalej. Gdy znaleźli się piętro niżej, stanął, spojrzał w górę, jak gdyby obawiał się zobaczyć jakąś straszną postać, następnie przeniósł niepewne spojrzenie na dygocącą kobietę.

- Pani Katarzyno - szepnął - proszę nie zadawać mi żadnych pytań. Przypadek... a także ciekawość przywiodły mnie tu, by zgłębić tajniki nocy mojego... Gilles'a. To potworna tajemnica. W jednej chwili runęło wszystko, co było moim życiem, w co wierzyłem. Nie pozostaje mi już nic innego, jak modlić się do Boga, aby zechciał mnie przyjąć do siebie jak najszybciej. Jestem... - Przerwał na chwilę, by złapać oddech. Dokończył z bezgranicznym smutkiem: - Jestem teraz starym człowiekiem, a moje życie nie zawsze było przykładne, o nie. Mimo to... nie sądziłem, że zasłużyłem na to. Ta...

Jego koścista twarz nagle spurpurowiała z tłumionego gniewu. Katarzyna pokiwała głową i rzekła łagodnie:

- Panie... nie chcę zgłębiać tajemnic pana bliskich. Muszę jednak wziąć w obronę ludzkie życie. Jutro o świcie...

- Co takiego? - spytał Craon z roztargnieniem. - Ach! Pani służąca!

- Tak, proszę pana...

Oparła się o ścianę, jakby ją nagle opuściły siły, a jej oczy wypełniły się łzami.

- By ją ratować, poszłabym nawet do szatana - wybełkotała.

- Gilles jest gorszy od szatana!

Jego wzrok przesunął się z blednącej twarzy Katarzyny na jej zniekształconą talię i wpatrzył się w nią, jak gdyby odkrył nagle stan młodej kobiety. W jego oczach dostrzegła to samo przerażenie, co przed chwilą.

- To prawda - rzekł - będzie pani matką... Nosi pani dziecko w swym łonie! Dziecko... Mój Boże! - Nagle wczepił się w jej ramiona, przysunął wykrzywioną łekiem twarz do jej oblicza i szepnął: - Pani Katarzyno... Nie powinna pani zostać w tym zamku. To przeklęte miejsce. Musi pani odjechać stąd... szybko, jeszcze dziś w nocy!

Poruszona, popatrzyła nań w osłupieniu:

- Jak miałabym to zrobić? Jestem uwięziona...

- Nie, ja pomogę pani uciec... natychmiast! Żebym chociaż panią uratował... żebym miał przynajmniej ten jeden dobry uczynek.

- Nie odjadę bez Sary...

- Proszę przygotować się do drogi. Pójdę jej poszukać. Niech pani działa szybko, zejdzie na dół i czeka przy drzwiach.

Już postawił stopę na dolnym stopniu, by zejść do piwnicy, kiedy Katarzyna go zatrzymała.

- A pan Gilles? - zapytała. - Co on powie? Czy nie obawia się pan...

Nagle stary Craon znów stał się tym wyniosłym i bezwzględny panem, jakiego dotąd znała.

- Nie! - uciał. - Nawet jeśli pan de Rais upadł bardzo nisko, to ja jestem jego dziadkiem! Nie odważy się! Niech się pani pospieszy! O świcie musi pani już być w bezpiecznym miejscu.

Katarzyna nie kazała sobie tego dwa razy powtarzać. Zapominając o zmęczeniu i strachu, uniosła lekko suknię i pobiegła do swego pokoju, modląc się po cichu, aby jej nadzieje nie okazały się płonne i żeby nic nie wpłynęło na zmianę decyzji starszego pana. Związała pospiesznie tobolek ze swych najcenniejszych rzeczy i ubrań Sary, zabrała złoto, które jeszcze pozostało w kieszonce przyszytej do koszuli, otuliła się ciasno płaszczem, wzięła do ręki palto Sary i przerzuciwszy węzełek przez ramię, nie oglądając się za siebie, wyszła z tego pokoju, w którym spędziła tyle trudnych godzin. Od dawna już nie czuła się taka lekka!

Kiedy dotarła do drzwi wyjściowych, zobaczyła, że Craon wychodzi ze skrzydła więziennego. Za nim sunął jakiś chwiejny kształt. W świetle pochodni, którą trzymał w rękę, Katarzyna poznała Sarę, chociaż zeszczupiała i była potwornie blada. Podbiegła do niej z szeroko otwartymi ramionami.

- Saro... moja dobra Saro! Wreszcie cię widzę!

Cyganka przytuliła się do niej i zaszlochała. Katarzyna widziała po raz pierwszy płaczącą Sarę i doszła do wniosku, że nerwy nieszczęsnej kobiety musiały przejść trudną próbę.

- To już skończone - szeptała czule. - Już nikt nie zrobi ci nic złego...

Jan de Craon niespokojnie wpatrywał się w głąb dziedzińca.

- Nie pora teraz na rozmowy. Chodźcie. Trzeba jeszcze przejść przez dziedziniec folwarczny i wyprowadzić konie ze stajni. Spieszcie się. Otworzę mniejsze drzwi.

Wyciągnął klucz z olbrzymiego pęku przytroczonego do paska i włożył go do zamka ukrytego przejścia, które wychodziło na pierwszy wał muru obronnego.

- A... strażnicy? - szepnęła Katarzyna.



- Jeśli będziecie iść tuż za mną, nie zauważą was. Zgaszę pochodnię. Musimy przedsięwziąć pewne środki ostrożności, żeby nikogo nie obudzić. Nic was nie zbawi, jeśli Gilles się obudzi!

Zapanowały całkowite ciemności. Zniknęły potężne zarysy dziedzińca i ponury stos, teraz już niedorzeczny, ale przyspieszający kroki kobiet. Jednakowoż drzwi się nie otworzyły. Katarzyna usłyszała, że Jan de Craon oddycha szybko i ciężko. Zaniepokoiła się.

- Czemu pan nie otwiera? - spytała.

- Bo się zastanawiam. Muszę zmienić pierwotny plan. Pilnujący stajni zauważą was. Proszę uważnie mnie posłuchać. Otworzę, a wy wyjdziecie same. Dziedziniec folwarczny oświetlony jest tylko w okolicy stajni i posterunku straży. Ale to niewiele. Pójdziecie wzdłuż muru aż do umocnień przy tajemnym przejściu. Tam zaczekacie na mnie. Pójdę jawnie do stajni, wyprowadzę dwa konie, tłumacząc, że idę do opactwa. Czasami udaję się do proboszcza, by zapolować o świtaniu na czaple. To jedyne dostępne mi polowanie. Co więcej, często wychodzę w nocy. Jestem znany z tego, że cierpię na bezsenność i lubię błądzić nad brzegami Loary. Wy wysuniecie się w tym samym czasie, co konie. Nikt was nie zauważy. Wskoczycie na konie i przejedziecie przez most. Z drugiej strony będzie czekał przewodnik. W Montjan będziecie bezpieczne, pod warunkiem że nie będziecie się zatrzymywać.

- Ale straż na moście nie pozwoli nam przejechać.

- Ależ tak, jeśli pokażecie im to.

Mówiąc to, zdjął z palca pierścień. Katarzyna zauważyła, że, jak każdy pan, nosił swoją pieczęć wyrytą na oczku sygnetu, ale nie był to zawsze ten sam pierścień. Miał ich kilka: z krwawnikiem, sardonyksem,

agatem, onyksenem czy grawerowanym złotem. Cała jego kokieteria polegała na tym, by je zmieniać. Poczwała, jak wciska jej pierścień do ręki.

- Proszę go zatrzymać. To i tak zbyt małe odszkodowanie za wszystko, co pani wycierpiała pod moim dachem. Szanuję panią, pani Katarzyno. Jest pani nie tylko piękna, ale odważna, szlachetna i prawa. Zrozumiałem to zbyt późno, bo inaczej nie byłbym posłuszny Gilles'owi. Czy zechce mi pani przebaczyć? Ta noc jest dla mnie początkiem okresu pokuty i żalu za popełnione uczynki. Bóg ukarał mnie srodze. Obawiam się, że zostało mi niewiele czasu na to, by odwrócić ode mnie Jego gniew.

- Ale - wyszeptała Sara - jak wrócisz, wielmożny panie? Ludzie zdziwią się, że jesteś tak szybko z powrotem i bez koni.

- Niedaleko stąd jest przejście podziemne łączące piwnice zamkowe z wsią. Wrócę tym przejściem.

- Dlaczego w takim razie - rzekła Katarzyna - nie miałybyśmy przejść tamtędy? To byłoby prostsze...

- Może, ale nie użyję go z dwóch powodów: pierwszy jest taki, że potrzebujecie wierzchowców, a żaden koń nie przejdzie pod ziemią. Po drugie, proszę się nie obrażać, ale nie wolno mi zdradzać obcym tajemnic obronnych, stanowiących o bezpieczeństwie wewnątrz zamku. Teraz już ani słowa więcej, otwieram drzwi... Kiedy będziecie nieco dalej, na dziedzińcu, zapalę znów pochodnię.

Małe drzwiczki otworzyły się, lekko skrzypiąc, odcinając się na jaśniejszym paśmie nieba niskim ostrołukiem.

- Tędy! - szepnął de Craon. - Idźcie wzdłuż muru, po lewej stronie.

Obie kobiety, podtrzymując się nawzajem, pochyliły głowy, by przejść przez drzwi. Katarzyna trzymała Sarę w pasie, a wolną ręką macała mury. Nie było to łatwe, dźwigała bowiem jeszcze swój węzełek. Kamień

pod jej dłonią był zimny i wilgotny. Zachwiała się na nierównym podłożu, ale oczy stopniowo przyzwyczały się do ciemności.

Po kilku minutach pod kamiennym łukiem, spod którego wyszły, zapłonęło czerwone światło pochodni. Jan de Craon uniósł ją dość wysoko, tak że jego twarz można było łatwo rozpoznać. Stanowczym krokiem szedł na drugi koniec dziedzińca.

- A oto zakręt - szepnęła Katarzyna, czując pod ręką obniżenie. Zresztą nad nią sufit przejścia rzucał mocniejszy cień. Dały się słyszeć wolne kroki żołnierza, a serce Katarzyny zaczęło bić niespokojnie. Wstrzymała oddech i przeraziła się, gdyż poczuła, że Sara zwiśla mocniej na jej ramieniu. Nieszczęsna kobieta była zapewne skrajnie wyczerpana. Uderzenia podkutych butów ucichły. Mężczyzna zatrzymał się. Katarzyna usłyszała jego kaszel. Po chwili poszedł dalej, a ona ośmieliła się zadać pytanie:

- Czy jesteś chora? Wydajesz się taka słaba.

- Od wielu już nocy nie śpię z powodu szczurów i od dwóch dni nie dostałam nic do jedzenia. A poza tym...

- A poza tym co?

Katarzyna poczuła drżenie Sary. Jej szept stał się bardziej głuchy:

- Nic. Potem ci powiem... kiedy będę miała siłę. Ja też znam tajemnicę jaśnie pana de Rais'go. Nie możesz wiedzieć, jak mi spieszno, by znaleźć się jak najdalej stąd, nawet jeśli miałabym czołgać się na kolanach.

Katarzyna nic nie odpowiedziała. Cały czas śledziła posunięcia starego de Craona. Widziała, jak kazał otworzyć stajnię, wyjechał z niej na koniu, drugiego trzymając za uzdę. Teraz zbliżał się w ich kierunku, słychać było stukot kopyt po stwardniałej ziemi. Wkrótce znalazł się między nimi a budką strażniczą, z której wybiegł człowiek.

- Otwieraj! - krzyknął de Craon. - Jadę do opactwa. - Tak jest, panie!

Drzwiczki tajnego przejścia otwały się, skrzypiąc, mały most zwodzony opadł bezszelestnie. Katarzyna bez wahania pociągnęła Sarę aż pod same łby końskie, tak by strażnik nie mógł ich zauważyć od tyłu, kiedy będzie zamykał. Na szczęście było bardzo ciemno. Wkrótce przeszły przez fosę i stanęły na kładce. Jeszcze dobiegł je głos żołnierza:

- Czy jaśnie pan nie potrzebuje eskorty? Wydaje mi się, że noc jest bardzo ciemna.

- Lubię ciemne noce, powinienes o tym wiedzieć, Marcinie - odparł starszy pan.

Znad Loary zerwał się wiatr. Katarzyna pełną piersią wdychała jego powiew. Było zimniej niż w obrębie murów zamkowych, ale rozkosznie pachniało mokrymi polami i wolnością.

Biegły wiejską drogą tak długo, aż uznały, że już nie widać ich z zamku. Spokojny tętent kopyt, dobiegający zza ich pleców, dodawał im otuchy. Zatrzymały się nie opodal kościoła, za głównym łukiem, gdzie niedługo potem dołączył do nich pan de Craon. Zeskoczył na ziemię.

- Teraz trzeba się spieszyć. Ktoś mógł nas zobaczyć. Proszę, pani Katarzyno, przyprowadziłem pani Morganę. Wydaje mi się, że dobrze się pani na niej jechało... i będzie to jakby dar pożegnalny. To dobre zwierzę, solidne i pewne. A teraz w drogę i niech was Bóg błogosławi!

W niewyraźnym świetle nocy Katarzyna zaledwie odgadywała skamieniałe rysy twarzy de Craona. Jego wysoka postać górowała nad nią, a wiatr poruszał rondem jego kapelusza. Wyszepiała:

- Boję się o ciebie, panie. Kiedy on się dowie...

- Powiedziałem już, że nie mam się czego obawiać z jego strony. A ponadto... cóż z tego, jeśli nawet się do mnie dobierze. Chcę już tylko

jednego: wiecznego odpoczywania... mam nadzieję, że ono przynosi zapomnienie.

W jego głosie była taka rozpacz, że Katarzyna, zapominając o dawnych pretensjach, wyszeptała:

- Nie wiem, co się panu przydarzyło tej nocy, wielmożny panie, ale chciałabym móc coś...

- Nie! Nikt nie może nic zrobić! To, co widziałem w pokoju Gilles'a, przekracza wszelkie okropności, jakie tylko można sobie wyobrazić. Jestem starym żołnierzem, pani Katarzyno, i nigdy nie byłem zbyt wrażliwy, ale ta diaboliczna scena... ci mężczyźni rozpasani i pijani, ta orgia, której głównym obiektem... - na chwilę powstrzymał jeszcze cisnące mu się na usta słowa, jak gdyby sam się ich lękał, a potem skończył: - było dziecko... młody chłopiec, w którego krwi tarzał się Gilles, zaspokajając swe potworne żądze! Oto kim jest ten, o którym myślałem, że zrobię zeń mężczyznę, żołnierza! Oto kim jest Gilles de Rais, który miał zaszczyt wjechać na koniu do katedry w Reims, by eskortować ampułkę ze świętymi olejami! Oto kim jest mój wnuk... potworem, którego wyrzuciło piekło, skazanym na potępienie! Mój wnuk... ostatni z rodu!

Szloch, który przerwał te słowa, wstrząsnął Katarzyną. Skamieniała ze zgrozy, zastanawiała się w milczeniu nad tym, co słyszała. Czuła, że ten mężczyzna, którego jedyną prawdziwą zbrodnią było to, że tak bardzo kochał wnuka, nie podniesie się już nigdy po tym ciosie. Właśnie uniósł pięści do oczu i ocierał łzy, ale zanim zdążyła się odezwać, ciągnął dalej ochrypłym głosem:

- Rozumie pani teraz, dlaczego nie chcę, aby jakieś dziecko przyszło na świat w tym przeklętym, zbezczeszczonej domostwie! Młody Montsalvy nie powinien urodzić się na gnoju!... Proszę, niech pani teraz

jedzie, jak najszybciej... Ale niech pani przysięgnie, że nigdy nikomu nie zdradzi tego, z czego zwierzyłem się ku mojemu wstydowi.

Katarzyna ujęła pomarszczoną, wilgotną od łez rękę starca i uniosła ją do ust. Dłoń ta zadrżała, kiedy znalazła się między jej dłońmi.

- Przysięgam - powiedziała - że nikt się nigdy o tym nie dowie!

Dziękuję w imieniu swoim, Sary, a także mojego dziecka, które dzięki panu urodzi się wolne. Nie zapomnę o tym nigdy!

Przerwał jej raptownym gestem.

- Tak! Właśnie tak! Trzeba zapomnieć o nas... jak najszybciej! Nasz dom jest przeklęty i czeka go zagłada. A teraz musisz, pani, podążać drogą, która na zawsze rozchodzi się z naszą. Życzę szczęścia!

Zanim Katarzyna zdążyła odpowiedzieć, Jan de Craon rozpląnął się w mrokach nocy. Obie kobiety zadrżały, słysząc jego lekkie kroki oddalające się w stronę lasu. Obok nich konie grzebały niecierpliwie ziemię. Katarzyna zacisnęła rękę na pierścieniu, który włożyła na wskazujący palec prawej ręki, jakby chciała zaczerpnąć odwagi, by przebyć strzeżony most. Uniosła głowę ku niebu, po którym płynęły obłoki.

Posępny krzyk lelka obudził uśpione echa. Przytroczyła swój węzełek do siodła Morgany i poklepała po szyi klacz, która zarżała pod jej pieśczętą.

- Cichutko, kochana! Zaraz jedziemy... Bądź spokojna!

Dla Sary starszy pan wybrał spokojnego, mocnego konia, który łatwo mógł unieść dość okazały ciężar ciała Cyganki. Był to dzielny koń, a pozbawiony złośliwości, zwany Parobkiem. Chora noga de Craona tłumaczyła dostatecznie chłopcu stajennemu, dlaczego pan wybrał tego konia - solidnego, ale pozbawionego godności właściwej ognistym rumakom.

Katarzyna zaczynała już odczuwać zmęczenie, więc nie bez trudu udało się jej wpełznąć Sarę na konia, następnie sama wspięła się na Morganę, która była tej nocy w zdecydowanie dobrym nastroju.

- W porządku? - spytała cicho Sarę.

- W porządku - odparła Cyganka - ale spieszno mi już, żeby znaleźć się na drugim brzegu...

Powoli wyjechały z cienia panującego wokół kościoła i skierowały się w dół, ku rzece. Noc dobiegała końca i chociaż dzień jeszcze nie wstał, wkrótce miał zadzwonić dzwon kościelny, wzywający wiernych na jutrznię, która rozpoczyna Dzień Zaduszny. Oto były już przy wieży strażniczej. Katarzyna zuchwale poprowadziła Morganę tak, że dotknęła łańcucha rozpiętego na noc, i zawołała:

- Hej, straż!

Dał się słyszeć gniewny pomruk, po czym drzwi się otwarły i stanął w nich zaspany żołnierz z lichtarzem w ręku. Spojrzał na Katarzynę mrugającymi oczami.

- Otwieraj! - rozkazała. - Muszę przejechać. Rozkaz jaśnie pana Jana de Craona!

Zimno dostatecznie rozbudziło mężczyznę, który przyjrzał się Katarzynie uważnie.

- Po kiego licha jaśnie pan posyła niewiasty na drugą stronę mostu? Kim jesteś? A ta druga to kto? Ta, co jedzie z tyłu?

- To nie twoja sprawa, nicponiu! Powiedziałam otwieraj, to otwieraj! Popatrz na to, jeśli mi nie wierzysz, i wiedz, że każda chwila opóźnienia w mojej podróży odbije się na twoich plecach.

Wyniośle podniosła prawą dłoń do nosa mężczyzny, aby mógł widzieć pieczęć z sardonyksu. Ów cofnął się zmieszany, nacisnął na głowę hełm i pospieszył unieść łańcuch.

- Proszę wybaczyć, wielmożna pani, ale muszę być ostrożny. Moje stanowisko jest ważne i...

- Wiem. Dobranoc!

Przejechała, a Sara za nią. Deski mostu zadudniły od uderzeń drobnych kopyt Morgany, ale odgałęzienie Loary nie było szerokie i wkrótce galopowały radośnie po twardej ziemi. Pierś Katarzyny uniosła się w westchnieniu ulgi.

- Szybciej! Musimy jechać szybciej - rzekła, spinając klacz.

Pas ziemi między ramionami rzeki został szybko pokonany i wkrótce kobiety dotarły do promu przewoźnika, który jako jedyny zapewniał łączność z portem Montjan w miejscu, gdzie Loara była najszersza. Stojący na łące wysokiego nabrzeża domek z okrągłych bali służył za schronienie przewoźnikowi. Katarzyna skonstatowała z zadowoleniem, że duża, płaska barka była zakotwiczona z tej strony. W jednej chwili weszła do domku i obudziła przewoźnika.

- Szybko! - rzekła. - Musimy przejechać, ja i moja służąca oraz konie. Mam się zobaczyć z seneszalem Montjan, Marcinem Berlotem, i to jak najszybciej!

- Ależ, wielmożna pani... o tej porze zamek jest zamknięty. Nie wejdzie pani do Montjan.

Gdy tylko skończył zdanie, dzwon kościoła w Champtoce zaczął dzwonić. Posępne dźwięki rozbiegły się w wilgotnym nocnym powietrzu. Chwilę później dołączył dzwon z Montjan, odpowiadając zza rzeki nieco wyższym dźwiękiem. Żałobne dzwony szarpnęły i tak starganymi nerwami



Katarzyny. Omal nie krzyknęła. Bicie dzwonów oznaczało, że jest prawie piąta godzina i że w zamku de Rais'go wkrótce rozpocznie się ruch i zauważona zostanie ich ucieczka. A dopóty, dopóki nie przepłynęły Loary, można było jeszcze je dogonić. Po tej stronie rzeki, na tym skrawku ziemi były wciąż w mocy swego prześladowcy. Groźny cień stosu przesunął się przed oczami Katarzyny.

- Jest godzina piąta - rzekła. - Mieszkańcy Champtoce zaraz udadzą się do kościoła, podobnie jak ci z Montjan. Możesz nas przewieźć, dobry człowieku. Dzisiaj bramy miast otwierają się wcześniej. Jest Święto Zmarłych. A poza tym...

Poszperała w swej sakwie, wyciągnęła sztukę złota, która zamigotała w świetle oliwnej lampki płonącej wewnątrz chaty.

- Masz - dokończyła, wsuwając monetę w spracowaną dłoń. - To dla ciebie. Ale, na Boga, szybko!

Przewoźnik wiedział dobrze o istnieniu złotych monet, ale nigdy jeszcze nie widział żadnej na oczy. Taka gratka musiała złamać jego opór. Założył kaftan bez rękawów z baraniej skóry i zszedł ku promowi.

- Konie będą spokojne?

- Odpowiadam za nie... Ruszaj! - odparła Katarzyna, wpatrzona w wieżyczkę strażniczą zamku Champtoce.

Parę chwil później duża barka odpłynęła od brzegu, a Katarzyna, trzymając lejce obu koni, spoglądała na poszerzającą się wstęgę ciemnej wody między burtą a brzegiem. Rzeka była szeroka, ale dość spokojna, a przewoźnik żwawo wymachiwał długą żerdzią. Sara, u kresu sił, padła z podkurczonymi kolanami na pokład między końskimi nogami.

Ponieważ zbliżała się godzina świtania, noc zageściła kłęby mgły i wydawało się, że jest jeszcze bardziej nieprzejrzysta. Przez chwilę młoda

kobieta lękała się, że przewoźnik zboczy z drogi, ale miał za sobą długie lata praktyki i znał rzekę tak dobrze, jak własną barkę. Po chwili, która wydawała się uciekinierkom nieskończonością, z cienia wynurzyły się sylwetki okrętów, maszty pozbawione żagli, czarne marszagle\*, masywna wieża kościoła i ostre zakończenia dachów Montjan.

*\* Marszagiel, marsel - prostokątny żagiel rozpięty na marsrei, drugiej lub trzeciej od dołu rei na maszcie.*

Mały zamek o karbowanych wieżyczkach strzegł rzecznoego portu. Gdzieś w oddali zapiał kogut. Potem rozległ się plusk wody uderzającej o kamienne nabrzeże. Z mroku nocy wynurzyły się schodki obok zarzewiałego pierścienia.

- No i już jesteście na miejscu - rzekł przewoźnik.

Godzinę później Katarzyna i Walter odbywali naradę wokół zastawionego stołu w siedzibie seneszala Montjan. Wyczerpana więzieniem i niepokojem ostatnich godzin Sara usnęła na ławie przy ogniu. Od czasu do czasu lekkie chrapanie przypominało o jej obecności. Nad stołem zastawionym zimnym mięsem, chlebem i serem Walter z błyskiem radości w jasnych oczach spoglądał na Katarzynę. Zmęczenie odcisnęło twarde piętno na twarzy młodej kobiety. Duże sińce okalały jej oczy, dwie zmarszczki zarysowały się w kącikach ust, a jej blada cera miała w blasku świec woskową barwę. Na zewnątrz wstawał dzień. Od wschodu niebo było brudnoszare. Przy jedynym oknie stał, opierając się nogą o zydeł, Marcin Berlot i spoglądał na gości. Był to mężczyzna nieduży i okrągły, wyglądający na zamożnego wieśniaka. Niewiele można było wyczytać z

jego łagodnej twarzy, w której na pierwsze miejsce wybijał się nos tak rozrośnięty, że wydawał się potrójnej wielkości. Natomiast jego brązowe oczy miały żywy blask.

Seneszał niewiele mówił. Wolał się przysłuchiwać, a odkąd przybyła Katarzyna, nie wtrącał się do rozmowy. Ponieważ młoda kobieta, zapewne zmęczona, zawahała się, nie wiedząc, co robić i pragnąc najwyraźniej odpoczynku, szepnął, spojrzawszy na jaśniejące niebo:

- Gdybym był na pani miejscu, wyjechałbym stąd... i to natychmiast. Kiedy dowiedzą się, że przekroczyłyście most, a dowiedzą się tego niedługo, wyślą za wami pościg. Tu... nie da się długo stawiać oporu, jeśli pan Gilles postanowił, by schwytać panią przemocą.

- A mimo to - rzekła Katarzyna - nie przysłał po Waltera.

- Ponieważ uważa, że on nie żyje, i wciąż nie wie, że on tutaj jest.

Nikt go nie widział. Ale z panią jest inna sprawa. Straż przy moście opowie wszystko. Tym razem wielmożny pan Jan nie będzie mógł nic dla pani uczynić. Musisz uciekać, pani, póki jeszcze czas! Nie odmawiam wam schronienia, ale mam pieczę nad tą wioską i zamkiem, a brak mi sił koniecznych do przeciwstawienia się pościgowi. Musi pani być już daleko, kiedy ludzie de Rais'go przyjdą porachować się ze mną. Oczywiście, jesteście pani zmęczona, ty i ta kobieta także. To widać aż nadto, ale chodzi zaledwie o nieco więcej niż dwie mile. W górę Loary jest Chalon, ziemia należąca do królowej Andegaweńskiej.

- Królowa jest w Prowansji i nie może dla mnie nic zrobić. Pod jej nieobecność nikt mnie nie będzie chciał przyjąć w Andegawenii.

Zdruzgotana, objęła głowę rękami. Przed chwilą, przeżywając radość ucieczki, zapomniała o pogroźkach Gilles'a, ale teraz jego złowrogie słowa powracały do niej. Na ziemiach królewskich, podobnie jak na ziemiach

Jolanty, była teraz ściganą zwierzyną. Arnold szczególnie w kazamatach La Tremoille'a i wszechpotężne ramię wroga może ją dosięgnąć o każdej porze i w każdym miejscu.

- W każdym razie - ciągnął dalej Berlot, któremu coraz bardziej brakowało tchu i który coraz częściej spoglądał w stronę Loary - w Chalonne udacie się do przeora Saint-Maurille. On was przyjmie i na chwilę będziecie mogli odpocząć. Musicie chyba wiedzieć, że tereny kościelne są nietykalne.

- Kościół - wymamrotał Walter przez zęby. - Ciągłe ten Kościół!

Katarzyna, opierając się obydwoma rękami o stół, wstała z trudem. Dosłyszała nutkę przerażenia w głosie Berlota. Seneszał się bał. Myślał tylko o jednym: żeby niepożądani goście zniknęli, zanim przybędą ludzie Gilles'a.

- Dobrze - rzekła z westchnieniem. - Wyjeżdżamy. Przyjacielu Walterze, może uda ci się obudzić Sarę.

Przeszła się po pustym pokoju, spojrzała na niepokojąco szybko rozjaśniające się niebo, następnie długo się przeciągała, by rozprostować swe zmęczone członki. Mimo wszystko Walterowi nie udało się obudzić Sary, więc po prostu przerzucił ją sobie przez ramię. Zwrócił ku Berlotowi chłodne spojrzenie.

- Masz dla mnie konia? Ów się skrzywił.

- Mam tylko jednego konia - własnego. I muszę go zatrzymać... Pan Gilles będzie uważał, że to dziwne...

- Chwilami zastanawiam się - rzekł Normandczyk, wykrzywając pogardliwie wargi - czemu nie przejdiesz przez Loarę. Powiedz no mi, kogo się boisz bardziej: de Rais'go czy pani Montjan, która nienawidzi swego zięcia... a może pani de Craon?

- Diabła! - rzekł Berlot niezadowolony. - Ale będę mu wdzięczny, kiedy cię porwie.

- Amen! - rzekł Walter, który zaczynał się już wykazywać wiedzą w kwestiach kościelnych. - W drogę, pani Katarzyno! Koń Sary wydaje się tak solidny, że może unieść nas obydwójce. Zresztą w tej chwili nieszczęsna kobieta nie byłaby w stanie utrzymać się w siodle. Trzeba by uderzyć jej głową o ścianę, aby się zbudziła.

Przed bramą zamkową odnaleźli Morganę i Parobka, które były nakarmione i napojone. Mała klaczka zarżała z radości na widok swej pani i grzebnęła niecierpliwie nogą. Z wielkim staraniem Walter, po usadowieniu wciąż śpiącej Sary na grzbiecie Parobka, pomógł Katarzynie usiąść w siodle, następnie sam dosiadł wierzchowca. Parobek sprawował się dzielnie i nie drgnął nawet pod ciężarem olbrzyma.

- Myślę, że będzie dobrze - powiedział Normandczyk z zadowoleniem.

Nabrał w swą potężną pierś haust powietrza i zakrzyknął radośnie:

- Na Odyna! Cieszę się, że opuszczam te przeklęte strony.

Dokądkolwiek przyjedziemy, pani Katarzyno, nigdzie gorzej nas nie przyjmą. Naprzód!

Odpowiedział mu pełen niepokoju krzyk Berlota:

- Ludzie de Rais'go! To oni! Jedźcie... jedźcie już!

Rzeczywiście, wypełniona żołnierzami barka przewoźnika płynęła w najlepsze środkiem rzeki. Dziesięciu wojowników wolało przepłynąć rzekę wplaw i otaczało ze wszystkich stron barkę. Katarzyna, ogarnięta potwornym strachem, rozpoznała fioletową opończę pana de Rais'go... Jeśli ich widzieli, to koniec, ale zielony ze strachu seneszał wystękał:

- Zróbcie objazd tamtą uliczką. Nie zobaczą was i wyjedziecie za miasto niepostrzeżenie. Spróbuję ich zatrzymać tak długo, jak się da.

- Gdybyś się tak nie bał o swoją skórę - szydził Walter - rzekłbym, że dzielny z ciebie człowiek! Żegnaj, Marcinie! Może się jeszcze kiedyś spotkamy.

Katarzyna już dźgnęła Morganę i pocwałowała opadającą w dół uliczką. Ryzykując złamanie karku, popędziła od razu galopem. Kopyta Morgany radośnie kłaskały po ubitej ziemi, za sobą młoda kobieta słyszała ciężki galop Parobka. Wkrótce znaleźli się w zagajniku, niewidoczni z Montjan. Droga skręcała ku Loarze i biegła wzdłuż obnażonych drzew, by przejść w istne trzęsawisko. Walter dogonił Katarzynę i cwałował dalej obok niej.

- Myślałem - zagadnął, nie przestając galopować - żebyśmy może wrócili do Orleanu. Pan Jakub Boucher oczywiście przyjąłby panią. Ma pani tam porządnych przyjaciół.

- Istotnie - rzekła Katarzyna - ale skarbnik Jakub Boucher jest przede wszystkim porządnym, wiernym poddanym króla Karola. To człowiek surowy i prawy, nie oprze się rozkazowi suwerena, choćby nawet żywił dla mnie największą przyjaźń. Tymczasem, jeśli dobrze zrozumiałam, nawet gdy Jakub Boucher o tym nie wie, król to La Tremoille.

- Dokąd więc pojedziemy? Mam nadzieję, że nie myśli pani o tym, by natychmiast pędzić, w pani stanie, do Sully-sur-Loire? Powinna pani żyć, jeśli chce stawić czoło swoim wrogom.

- Nie zależy mi na tym, by ich zwyciężyć - odpowiedziała Katarzyna, zaciskając usta. - Ale jest Arnold... i jest moje dziecko. Mogłabym wrócić do Burgundii, gdzie mam przyjaciół, i gdzie byłabym względnie bezpieczna, ale oznaczałoby to rozłąkę z Arnoldem. Muszę pozostać na

ziemiach króla Karola, ryzykując, że wpadnę w ręce jego ulubieńca. Ktoś musi nas przyjąć pod swój dach, ukryć i umożliwić mi porozumienie się z tymi, którzy mogliby nam skutecznie pomóc: z towarzyszami broni pana de Montsalvy'ego, kapitanami królewskimi, którzy jak jeden mąż nienawidzą La Tremoille'a.

- A czy pani wie, gdzie szukać takiej kryjówki? Katarzyna przymknęła na chwilę oczy, jakby chciała przywołać jakąś twarz w pamięci.

- Jeśli umiem ocenić rzeczywistą wartość człowieka, to myślę, że tak. Jeśli się mylę, nie ma ani pomocy, ani ratunku dla mnie. Ale z pewnością się nie mylę.

- A więc dokąd jedziemy?

- Do Bourges. Do pana Jakuba Coeura.

Jeźdźcy wynurzyli się z lasu. Przed nimi rozciągała się szeroko pokryta trawą równina, a z jej lewej strony, w oddali, pod jednostajnie szarym niebem lśniła rzeka. Katarzyna i Walter popędzili prosto jak szaleńcy.

Katarzyna zadawała sobie nieraz pytanie, czy jej sytuacja osobista była naprawdę taka zła, jak to przedstawiał Gilles de Rais, czy też celowo używał najczarniejszych barw, by wymóc większe posłuszeństwo. Z tym ostatnim wiązała niewielkie nadzieje. Słowa Gilles'a brzmiały jak najprawdziwsza prawda. Zresztą wkrótce miała się o tym przekonać.

Aby uniknąć niespodzianek, postanowiła pospołu z Walterem, że będą jechać nocą mimo niebezpieczeństw czyhających po drodze, a w dzień się ukrywać. Za tą decyzją przemawiało kilka racji, z których najważniejszą było zabezpieczenie się przed ludźmi króla. Z kolei znacznie dłuższe noce niż dni pozwalały szybciej odbyć podróż, jako że droga do

Bourges nie była trudna, nawet po ciemku. Wystarczyło pojechać w górę Loary, następnie wzdłuż Cher, skąd już niedaleko było do ostatecznego celu ich podróży. Spędzili więc Dzień Zaduszny w Chalonne, gdzie przeor po chrześcijańsku podjął obcych, którzy poprosili o schronienie, ale opuścili Saint-Maurille w nocy. Do świtu przejechali prawie dwadzieścia mil, co dla podwójnie obciążonego Parobka było swoistym rekordem. Kiedy z porannych mgieł wynurzył się świat, dostrzegli dzwonnice, wieże i ażurowe latarnie, a także ciężkie mury i olbrzymie dachy potężnego opactwa mieszczącego się w widłach Loary i Vienne. Całość wywierała tak wielkie wrażenie, że Katarzyna wahała się podjechać bliżej. Gdy jakiś wieśniak, z motyką na ramieniu, ukazał się na ścieżce, zawołała:

- Dobry człowieku, to opactwo jest duże i piękne. A jak się nazywa?

- Wielmożna pani - rzekł wieśniak, Zdjąwszy z głowy czapkę - to królewskie opactwo de Fontevrault, którego przeoryszą jest kuzynka króla Karola, niech Bóg go zachowa!

- Dziękuję - rzekła Katarzyna, a wieśniak nałożył czapkę i oddalił się. Porozumieli się z Walterem bez słów. Oczywiście, klasztor jest miejscem schronienia, domem bożym, ale czy można bez obawy udać się do tej nabożnej fortecy, która często służyła za miejsce pobytu, nieraz przymusowego, odtrąconych królowych, niechcianych córek z dobrych rodzin czy starzejących się panien, a której przeorysze rekrutowano zawsze jeśli nie z królewskich domów, to przynajmniej książęcych? Opactwu Fontevrault podlegało pięć zakonów, w tym trzy męskie, szpital i leprozorium. Powszechnie wiedziano o wewnętrznych walkach w Fontevrault, więc Katarzyna pomyślała, że wejście do tej wspaniałej, szlachetnej pułapki byłoby wyzwaniem losu.



- Myślę - podsumowała w końcu - że musimy szukać jakiegoś szałas, aby spędzić w nim dzień.

Wspomniany szałas nietrudno było znaleźć. Spędziła w nim spokojny dzień dzięki Walterowi, któremu udało się upolować zająca i upiec go na ognisku ku wielkiemu zadowoleniu obu jego współtowarzyszek. W lesie Normandczyk czuł się jak u siebie i nie kłopotał się o nic. Wyżywienie dla koni również było zapewnione, gdyż Marcin Berlot wyposażył ich w wór siana, który Morgana, niezbyt rada, zgodziła się nieść na grzbiecie oprócz Katarzyny. Kiedy nad lasem zapadła noc, wrócili nad rzekę i z dala okrążyli zabudowania opactwa. Tym razem noc nie minęła spokojnie. Zrazu podróżni pomylili rzeki i pojechali wzdłuż Indre zamiast wzdłuż Cher. Gdy udało się im znaleźć właściwą drogę, Parobek, który ledwie już dyszał, zaczął utykać.

- Będziemy musieli zatrzymać się przy pierwszym napotkanym domu - rzekła zaniepokojona Katarzyna. - Ten koń potrzebuje pomocy.

Łatwiej jednak było to powiedzieć, niż zrobić. O świcie dotarli do dużej wsi. Zaczynali już odczuwać głód i trzeba było znaleźć coś do zjedzenia zarówno dla ludzi, jak i dla zwierząt.

- Jesteśmy daleko od Champtoce - rzekł Walter. - Może moglibyśmy zaryzykować i wejść do miasteczka, by poszukać pożywienia?

- Spróbujmy - odparła Katarzyna, która cierpiała z powodu bolesnych skurczów i pieczenia w żołądku. Jej stan dawał się mocno we znaki, toteż odczuwała przemożną potrzebę odpoczynku i spokoju. Dziecko poruszało się w jej łonie w sposób, który ją przerażał.

Ale gdy konie miały przejechać obok pierwszych domów, napiętymi nerwami młodej kobiety szarpnął dźwięk trąbki. Walter, który galopował

pierwszy, odwrócił się w siodle, odsuwając lekko Sarę, która siedziała z tyłu, otaczając go ramionami.

- Pani Katarzyno - rzekł - wszyscy mieszkańcy zgromadzili się na placu widocznym na końcu tej drogi. Słuchają herolda w błękitno-złotej kolczudze, który rozwinął jakiś pergamin.

Istotnie słychać było donośny głos męski, wyraziście i groźnie rozbrzmiewający w lodowatej ciszy poranka.

- Dobrzy ludzie! - krzyczał herold. - Z rozkazu króla Karola VII, tak mu dopomóż Bóg, czynię wiadomym wszem wobec i każdemu z osobna, że dwie przestępczynie przejeżdżają przez wasze okolice. Jedna to Katarzyna de Brazey, oskarżona o porozumiewanie się z wrogiem. Druga z nich, Cyganka, zwana Sarą, jest czarownicą skazaną na stos za rzucanie uroków i złych czarów. Obie uciekły z więzienia pana Gilles'a de Rais'go, marszałka Francji. Jedna z kobiet ma jasne włosy i jest ciężarna. Druga ma włosy bardzo ciemne. Nadto skradły konie, na których uciekły: perszerona o rudym umaszczeniu i białą klacz. Ktokolwiek wskaże ich ślad, otrzyma dwadzieścia sztuk złota. Nagroda w wysokości stu sztuk złota zostanie wypłacona przez pana de Rais'go z Champtoce lub pana de La Tremoille'a z Loches każdemu, kto dostarczy obie kobiety żywe. Ktokolwiek udzieli im pomocy lub schronienia, będzie powieszony.

Katarzyna zastygła w siodle niczym rażona piorunem. Jeszcze jej dźwięczał w uszach ostry głos herolda, mimo że ten skończył już mówić. Widziała go na końcu długiego rzędu chat, jak zwija zmęczonym ruchem pergamin i wsuwa go pod płaszcz. Zawrócił konia i skierował się na drugi koniec wsi. Wieśniacy mieli się już rozejść, kiedy Walter, szybko jak błyskawica, wyrwał lejce z rąk Katarzyny i pociągnął ją w stronę dębowego zagajnika o gęstym poszyciu, z którego dopiero co wyjechali.

Bezwładna, z oczami pełnymi łez, ogarnięta straszliwym zniechęceniem, dała się poprowadzić.

Przestępczyni! Była teraz poszukiwaną zbrodniarką, zwierzyną, którą mógł złowić pierwszy lepszy kłusownik. Kto oprze się, z miłości do niej i ze współczucia, tej złotej przynęcie, tak rzadkiej w dzisiejszych czasach powszechnej nędzy?

Kiedy ukryli się już wśród drzew, Walter zatrzymał się, zeskoczył na ziemię i podał ramię Katarzynie, by mogła się ześlizgnąć w dół. Musiał ją niemal zerwać z siodła, szłochała bowiem jak mała dziewczynka, będąc u kresu wytrzymałości nerwowej, u kresu odwagi i zmęczenia.

- Zabij mnie, Walterze - wyjąkała nerwowo. - Zabij mnie! Tak będzie dużo prościej, dużo szybciej... Słyszałeś? Będą mnie szukali po całym królestwie jak jakiejś zbrodniarki...

- I co z tego? Czego to dowodzi? - mruczał Normandczyk, kołysząc ją w ramionach jak dziecko. - Że ten Gilles de Rais zdołał uprzedzić swego kuzyna La Tremoille'a i że rozpoczęli polowanie na panią? Ale przecież to już było wiadome. Pani Katarzyno, po prostu pani już nie jest w stanie tego wytrzymać, a mowa tego gaduły przepełniła kielich goryczy. Musi pani odpocząć chwilę, a potem pomyśleć. Obawia się pani, że to oświadczenie może przeszkodzić temu, do którego jedziemy, tak że nie będzie w stanie udzielić pani pomocy?

Uniosła oczy pełne łez ku nieogolonemu podbródkowi olbrzyma.

- Ja... nie wiem! Nie sędzę, ale...

- Nie ma żadnego ale! A więc jedziemy do Bourges. Aby tylko tam dojechać. Jest jedna rzecz, o której pani nie pomyślała.

- Jaka?

- Ten przeklęty pergamin mówi o dwóch kobietach, a nie o trzech osobach. O mnie nie wspomina. A więc mam swobodę działania i to już jest dużo. Z drugiej strony, trzeba wprowadzić pewne zmiany.

Przekazał Katarzynę Sarze, która zdążyła już rozłożyć płaszcze u stóp wielkiego, pochylonego dębu. Następnie wydobył swój sztylet i zbliżył się z westchnieniem do Morgany.

- Na Boga, co chcesz zrobić? - krzyknęła raptem ożywiona Katarzyna.

- Ma się rozumieć, chcę ją zabić - odparł ponuro Walter. - Przykro mi, ale ta śliczna kobyłka mówi, kim pani jest, lepiej niż sztandary...

Z żywością, do której nie czułaby się przed chwilą zdolna, Katarzyna skoczyła na równe nogi i uwiesiła się na muskularnym ramieniu Normandczyka.

- Nie chcę! Zabraniam ci... Jeśli zabijesz to zwierzę, przyniesie to nam nieszczęście, jestem tego pewna. Woleę, żeby mnie złapano z jej powodu, niż w ten sposób uratować życie.

Morgana spojrzała na Waltera wzrokiem na poły niespokojnym, na poły wściekłym. Wreszcie zdecydowała się rozgniewać i zaczęła niebezpiecznie wierzgać. Katarzyna szybko złapała jej uzdę i łagodnie do niej przemówiła:

- Uspokój się, to nic takiego... Nie masz się czego obawiać, moja śliczna! No, bądź rozsądna...

Pomału kobyłka uspokoiła się. Wreszcie stanęła spokojnie i polizała szerokim językiem czoło Katarzyny, jakby ją przeproszając. Walter przyglądał się z niezadowoleniem całej scenie.

- Pani Katarzyno, nie jest pani rozsądna.

- Możliwe, ale ona mnie kocha. Nie chcę, żeby zabijano zwierzę, które mnie kocha. Trzeba to zrozumieć!... - krzyczała znów bliska płaczu.

- No dobrze. W takim razie proszę zostać tutaj. Jesteśmy dość daleko od wioski. Myślę, że nikt tu nie przyjdzie nas szukać. Ja w tym czasie zobaczę, co mogę zrobić.

- Zostawisz nas? - krzyknęła z lękiem Katarzyna.

- Jesteście głodne, tak czy nie? A ponadto muszę znaleźć sposób, żeby zmienić wasz wygląd, byście niczym nie ryzykując, dojechały aż do Bourges. A jak pani się czuje, pani Saro?

- A jak mam się czuć? - narzekała Cyganka. - Oczywiście bardzo dobrze, dopóki nikt nie mówi o tym, żeby mnie upiec.

- Więc proszę wziąć to! I nie wahać się użyć tego, jeśli ktoś zbyt ciekawy zbliży się za bardzo.

„To” było szerokim nożem, który zawsze spoczywał za pasem olbrzyma. Sara wzięła broń, nie wykazując poruszenia, i wetknęła ją za pasek tak spokojnie, jakby chodziło o świeżo zerwany kwiat.

- Możesz na mnie liczyć! - oznajmiła. - Nikt do nas nie podejdzie. Katarzyna usnęła jak kamień.

Kiedy się obudziła, zmierzchało już, a pochylony nad nią Walter potrząsał nią łagodnie.

- Hej! Pani Katarzyno... Niech się pani zbudzi! Już czas!

Nieopodal Sara siedziała na stercie liści i z powagą obracała zaimprovizowany rożen, na którym piekła sztukę drobiu. Ten widok, skojarzony z dobrym odpoczynkiem, wrócił Katarzynie utraconą odwagę. Siedząca przy ognisku i przyrządzająca posiłek Sara to było jedno z jej najstarszych wspomnień z lat dziecińczych, przywołujących spokojne czasy

i tajemne korzenie niezmiennego uczucia. Uniosła się szybko i uśmiechnęła do Waltera.

- Już mi lepiej! - rzekła.

- Cieszę się z tego. Teraz proszę to założyć, a potem zjemy posiłek.

Podał jej coś ciemnego i ciężkiego. Katarzyna namacała grube sukno, które rozwinęła.

- Co to takiego?

Walter zaśmiał się dziko, połyskując białymi zębami i oczami.

- Szata mnicha. Mam tu drugą dla Sary. Na szczęście spotkałem dwóch żebrzących braciszków, zanim weszli do wioski!

Katarzyna poczuła, że blednie. Walter był poganinem. Dla niego zarówno Bóg, jak i jego słudzy byli niczym. Potworna myśl przyszła jej do głowy; upuściła suknię na ziemię. Normandczyk zaczął się śmiać, podniósł okrycie i podał jej znowu.

- Proszę się uspokoić, nie zabiłem ich! Tylko trochę ich ogłuszyłem i zostawiłem w spokojnym miejscu. Na pewno nie będą się spieszyć z powrotem do klasztoru, a w żadnym razie nie wejdą do wsi.

- A to dlaczego?

- Dlatego, że nie zostawiłem im nic na grzbiecie. Są tacy goli jak rybka, gdy wyjdzie z wody - skończył Walter z taką powagą, że Katarzyna nie mogła powstrzymać śmiechu.

Nie dyskutując już więcej, przyodziała długą, grubą suknię brunatnej barwy i przepasała się sznurem. Normandczyk spoglądał na nią z aprobatą.

- Wygląda pani jak tłuściutki mniszek! - skomentował, zanim poszedł do koni.

Podczas gdy Sara i Katarzyna pożywiały się kurą, którą zapewne ukradł, Walter zabrał się do obrażonej Morgany, wykonując czynność

odwrotną do tej, którą można by nazwać toaletą. Starannie namaścił tłustym błotem z płynącego nieopodal strumyka znaczną część ciała zwierzęcia, które zresztą i tak już zatraciło swoją pierwotną biel na skutek zetknięcia z pyłem i kałużami. Mała kobyłka skamieniała ze zgrozy w obliczu takiej zniewagi i pozwalała robić ze sobą wszystko. Wkrótce przybrała wygląd dziwnego zwierzęcia pozbawionego określonej barwy, ni to żółtego, ni to brudnoszarego.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie zbyt padało i że utrzyma się to na niej do końca - rzekł Normandczyk, cofnąwszy się, by lepiej ocenić swe dzieło, tak jak czyni to malarz kontemplujący swój obraz. Rozbawiona Katarzyna pomyślała, że jej drogi przyjaciel van Eyck dokładnie tak samo wyglądał, kiedy patrzył z pochyloną głową i zmrużonymi oczami na jedną z tych cudownych Dziewic, do których tak często mu pozowała.

Uczyniwszy to, Walter pożarł resztę kurczaka, wypił łyk czystej wody i ujął Katarzynę za przegub, by pomóc jej usiąść w siodle.

- Jedźmy, ojczulku przewielebny, w drogę! - rzekł wesoło. - Sam diabeł nie rozpoznałby pani w takim przebraniu! A kiedy mówię diabeł, mam na myśli jaśnie pana de Rais'go - Sinobrodego!

Zapadał wieczór. Dotarły do nich dźwięki dzwonów na Anioł Pański. Strach, który ciążył na sercu Katarzyny i utrudniał jej oddychanie, stopniowo ustępował. Suknia mnicha potwornie cuchnęła potem i brudem, ale była tak ciepła i gruba, że musiałby spaść ulewny deszcz, żeby przez nią przeniknęła. Katarzyna przekonała się zresztą o tym, bowiem w chwili, gdy troje podróżnych wyszło z leśnej gęstwiny, kilka kropel spadło z ciemnego nieba. Spuściła na twarz kaptur. Okalał swobodnie jej głowę i twarz aż do podbródka. Podwinęła zbyt długie rękawy, które jej

przeszkadzały. Czuła się w środku tej szaty jak ślimak w skorupie, całkowicie bezpieczna, a nawet niewidzialna.

- Panie! - wyszeptała cichutko. - Wybacz Walterowi straszne świętokradztwo, jakiego się dopuścił, zabierając szaty dwóm mnichom. Pomyśl tylko, Panie, że chciał ratować nasze zagrożone życie i... nie dopuść, żeby Twoje wierne sługi zamarzyły na wsi na tym deszczu.

Po czym, z czystym sumieniem, spięła Morganę i dopędziła Waltera, który był już daleko z przodu.

RS



---

## *Część druga*

---

# *Przeklęta pieczęć*

---

### *Rozdział siódmy*

## *Kuśnierz z Bourges*

---

Ostatnie uderzenie dzwonu wzywającego na nieszpory rozległo się z romańskiej wieży kościoła Saint-Pierre-le-Guillard, a dzień niemal ustąpił zmierzchowi, kiedy Katarzyna, Sara i Walter dotarli do kresu podróży. Przed nimi, u zbiegu ulic Auron i Płatnerzy, wznosił się dom Jakuba Coeura. Był duży, składał się z trzech budynków zwieńczonych trzema spiczastymi dachami. Sklep zajmował cały parter na samym rogu ulicy, lecz jego dębowe okiennice, poczerniałe ze starości, zostały już zamknięte. Na ulicy było ciemno, palił się tylko kaganek przed posągiem świętego Ursyna.

Serce Katarzyny biło jeszcze niespokojnie po tym, jak mijali u wrót miasta strażników. Na murach łopotał sztandar króla, dowód na to, że Karol VII, a zatem i La Tremoille byli w mieście. Co więcej, Katarzyna mieszkała w Bourges na tyle długo, że mógł ją ktoś rozpoznać. Aby jednak przejść przez strumyki i błota sąsiadujące bezpośrednio ze starymi przyczółkami galloromańskimi, by mieć odwagę dojść aż do bramy Ornoise, naciągnęła mnisi kaptur na twarz tak, że w jej polu widzenia mieściły się tylko uszy Morgany. Umierała ze strachu, że wyprawa zakończy się niepowodzeniem u samego kresu. Jej dłoń konwulsyjnie zaciskała się na schowanym pod suknią relikwiarzyku świętego Jakuba... Zresztą obawy okazały się płonne: czy to zmęczenie, czy to obojętność, a może chęć dotarcia jak najszybciej do odwachu, gdzie było ciepłutko, by zapomnieć o mglistym zmierzchu, sprawiły, że żołnierze nie zwrócili uwagi na dwóch mnichów, którym towarzyszył wieśniak. Ten ostatni oświadczył, że udają się wszyscy troje do klasztoru Świętego Jakuba. W samą porę! Zaledwie bowiem przeszli przez bramę, Katarzyna i jej towarzysze usłyszeli hałas podnoszonego mostu zwodzonego. Miasto zamykało swe bramy na noc...

Na ulicy wznoszącej się ku dumnie sterczącym murom pałacu królewskiego było bardzo mało ludzi. Parę spóźnionych gospodyń domowych i dwóch czy trzech mieszczan, którzy dobijali targu na progu sklepu, nie zauważyło trojga podróżnych. Jednakowoż powodowana ostrożnością Katarzyna kazała zatrzymać konie w pewnej odległości od sklepu, wskazując go podbródkiem Walterowi:

- To tu! - rzekła.

- Ale dom jest zamknięty!

- Sklep najprawdopodobniej tak, bo jest już późno, ale na piętrze pali się światło. Jeszcze nie dzwoniło na gaszenie światła. Zresztą wydaje mi się, że spod drzwi też wemyka się jakiś promień.

Jakby na potwierdzenie jej słów drzwi się otworzyły i światło rozlało się aż na środek ulicy. Na progu ukazali się dwaj mężczyźni w długich futrzanych opończach. Jeden z nich był szczupły, drugi mały i korpulentny. Katarzyna natychmiast poznała pierwszego, którego wyrazisty profil odcinał się ostro od oświetlonego wnętrza.

- Pan Coeur! - szepnęła do Waltera. - Większy z wielkich!

Mówiąc to, zsunęła się z konia i cicho podeszła bliżej, starając się pozostać w cieniu rzucanym przez domy. Na progu gospodarz żegnał się ze swym gościem.

- A więc umówione. Każę panu zanieść jutro te dziesięć skór z popielic mongolskich, panie Lallemand. To będą już ostatnie przed dłuższą przerwą. Bóg wie, kiedy Wenecjanie pozwolą nam je przewozić!

Nieduży grubas odpowiedział coś, czego Katarzyna nie zrozumiała, dotknął czarnego kapelusza i oddalił się ulicą Płatnerzy. Wtedy Katarzyna zebrała się na odwagę i nie zastanawiając się dłużej, niemal wstrzymując oddech, rzuciła się do Jakuba Coeura. Zatrzymała go w chwili, gdy miał wejść do domu.

- Panie Jakubie - rzekła wzruszona - czy zechce pan podać wyklętej pomocną dłoń?

Mówiąc to, ściągnęła z głowy kaptur i uniosła do góry blade oblicze. Świece płonące wewnątrz sklepu rzucały refleksy na jej jasne włosy ściągnięte do tyłu. Jakub Coeur otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

- Na rany Chrystusa! Pani...

Przygryzł wargę, następnie nie tracąc ani chwili, złapał Katarzynę za ramię i rozejrzawszy się dokoła, wciągnął ją do domu.

- Proszę wejść szybko! Ale widzę jeszcze dwóch jeźdźców i dwa konie...

- To moi służący! - rzekła Katarzyna. - Czekają na mnie.

- Każę ich wpuścić na dziedziniec. Niech pani chwilę tu zostanie.

Zamknął starannie drzwi, zasunął zamki, następnie zdjął z zydła paczkę skór i podsunął go Katarzynie, by za chwilę zniknąć za bocznymi drzwiczkami.

- Niech pani zaczeka! Zaraz wracam!

Wyczerpana Katarzyna opadła na zydeł. W pomieszczeniu panowało miłe ciepło dzięki dużemu koszowi z brązu wypełnionemu rozżarzonymi węglami. Poczesne miejsce zajmowała długa lada z woskowanego drewna, okalająca ściany obstawione wyłącznie solidnymi szafami, w których piętrzyły się skóry. We wnęce znajdował się wysoki pulpit z czarnego drewna, na którym spoczywały przybory do pisania, kilka gęsich piór i pergaminowa księga. Dziwny zapach futer mieszał się z zapachem roztopionego wosku, który wydobywał się z lichtarzy. W domostwie panował głęboki spokój, tak potrzebny Katarzynie. Jej ściśnięte gardło rozluźniło się. Po raz pierwszy od bardzo dawna mogła oddychać niemal spokojnie.

Jakub Coeur wrócił i od razu podbiegi do niej, ujął jej obie ręce i skłonił ją do powstania.

- Moja biedna przyjaciółko! Jak dotarła pani aż tutaj? W mieście jest pełno szpiegów, a zdrada czai się w każdym zakątku. Ale lepiej chodźmy stąd. W moim pokoiku będzie się nam lepiej rozmawiało. Subiekci są w magazynie. Wrócą tu niebawem, aby wszystko poukładać.

Łagodnie ujął młodą kobietę pod rękę, pomógł jej wstać i przejść na tył sklepu. Była tak zmęczona, że zachwiała się i upadła w podtrzymujące ją mocne ramiona.

- Dobry z pana przyjaciel, że nie kazał mnie pan wygonić.

Spojrzała na niego szczęśliwa, że znów mogła widzieć tę twarz o wyrazistych, nieco surowych rysach, ten wydłużony nos i wąskie, ale mocno zarysowane wargi. Szerokie, wysoko sklepione czoło i brązowe oczy, szeroko otwarte i szczere, lecz władczo spoglądające znamionowały inteligencję. Zmarszczka przy ustach świadczyła o tym, że niepozbawiony był zmysłowości, co ujawniało się też w zarysie nozdrzy i w ciepłym, nieco ochrypłym brzmieniu głosu.

Mężczyzna zniknął za drzwiami i Katarzyna znowu została sama. Odchyliła zmęczoną głowę na oparcie fotela. Czuła, jak się rozluźnia, wycisza. Wreszcie dobiła do portu. Skończyły się czasy wędrówek na drogach dużych i małych, zimna, strachu, deszczu i wiatru, bezkresnych nocy podróży, kiedy nie wiedziała, czy znajdzie jakieś schronienie o świcie. Krtań zacisnęła się jej na myśl o Arnoldzie siedzącym w więzieniu, wiedziała jednak, jak niewzruszona jest jego odwaga, jego duma. Poza tym miała bezgraniczne zaufanie do tego człowieka, który tak po prostu przyjął ją w swoim domu i ofiarował schronienie.

Mistrz Jakub Coeur wrócił po dłuższej chwili, ostrożnie niosąc dymiącą filiżankę, którą podał Katarzynie. Z rozkoszą zacisnęła zmarznięte palce wokół rozgrzanego fajansu. Z naczynia wydobywał się zapach pikantny i zarazem krzepiący.

- To wino z cynamonem - rzekł kuśnierz. - Proszę to wypić, póki gorące. Potem opowie mi pani wszystko... Proszę być spokojna o służących, są w kuchni, gdzie moja stara Mahaut zajęła się nimi.

Katarzyna umoczyła usta w palącym napoju i od razu poczuła się lepiej. Jakub Coeur przyglądał się jej, wsparłszy twarz na rękach. Kiedy skończyła, odstawiła filiżankę. Policzki jej zaróżowiły się nieco i próbowała się nawet uśmiechnąć.

- Zaraz panu wszystko opowiem. To długa historia, ale czuję się dużo lepiej.

Objęła kolana rękami i zaczęła swoją opowieść. Mówiła spokojnie, a jej cichy głos był dziwnie wzruszający. Coeur słuchał, nie poruszając się i nie spuszczać oczu z opowiadającej. Jego nieco przygarbiona postać ostro odcinała się od łagodnych płomieni świec, przypominając nieruchomy drewniany posąg.

Katarzyna kończyła swą opowieść, kiedy na dole dały się słyszeć jakieś głosy, a zaraz potem - coś przypominającego huk piorunu. Ktoś ciężko wchodził po schodach. Kuśnierz wstał i odwrócił się do drzwi, uśmiechając się do Katarzyny, która już chciała naciągnąć kaptur.

- Niech się pani nie lęka! Myślę, że nadchodzi ktoś, kogo przed chwilą zaprosiłem. Do pani.

W ciemnym prostokącie drzwi pojawiła się wysoka postać mężczyzny: miał szerokie ramiona pod czarną peleryną do jazdy konnej, niedbale odrzuconą do tyłu, by uwydatnić krótki, zamszowy kaftan i pludry tego samego koloru. Nad tym wszystkim widniała twarz twarda, ale zarazem wesoła, żywe brązowe oczy i niesforny kosmyk czerwonorudych włosów.

Z okrzykiem radości Katarzyna skoczyła na równe nogi i podbiegła do nowo przybyłego. To był Xaintrilles! Rudowłosy Xaintrilles! Wierny towarzysz Joanny, najlepszy przyjaciel Arnolda!

Gdy ją poznał, wydał z siebie prawdziwy ryk. Następnie, niezbyt łagodnie unosząc ją z ziemi, ucałował Katarzynę kilkakrotnie i postawił z powrotem, nie wypuszczając jej jednakowoż z ramion. I wykrzykiwał:

- Na flaki Ojca Świętego! Skąd wyszłaś, Katarzyno? Wyglądasz jak zmokły kot, ale - do kata! Dobrze cię widzieć znowu. Co zrobiłaś z Montsalvym?

- To ty nic nie wiesz?

Ręce kapitana zacisnęły się na ramionach kobiety, a jego twarz wykrzywiła się z gniewu.

- Co mam wiedzieć? Jakie idiotyczne edykty rozpowszechniane są przez króla? Że Montsalvy przeszedł na stronę angielską? On? Uosobienie honoru i lojalności? Bohater spod Azincourt? Jeden z ludzi Joanny? Mój przyjaciel?

Najwyraźniej ten ostatni tytuł, zdaniem Xaintrailles'a, przysparzał Montsalvy'emu najwięcej chwały. Ale Katarzynie nie było do śmiechu.

- Są tacy, co w to wierzą. Wielmożny pan de Rais...

- Niech go pokręci, jego i jego przekłętą kuzyną La Tremoille'a! Z bronią w ręku zrywam te przekłete zniewagi z murów miast i wypruwam flaki wszystkim, którzy usiłują mi w tym przeszkodzić. Ci zaś, którzy próbują to czytać bez mego pozwolenia, obrywają pochwą miecza. Co za niewiarygodna głupota! Że taki człowiek jak on mógł zdradzić, skłoniony do tego przez kobietę, której nienawidzi...

- To nieprawda! On mnie kocha! - wzburzyła się Katarzyna. - Między nami nie istnieje już żadna bariera, żaden cień. Nic oprócz wielkiej miłości, a jeśli pragnie pan dowodu, to spójrz na mój brzuch!

Gwałtowność tego ataku wprawiła Xaintrailles'a w zupełne osłupienie. Szybko jednak przyszedł do siebie i wybuchnął śmiechem.

- Na rany Chrystusa! To ci dopiero dobra nowina! Mały Montsalvy! Będziemy mieli dużego chłopaka, a ja zostanę ojcem chrzestnym. Winna mi to jesteś, Katarzyno, i...

Przerwał raptem, spojrzał na Jakuba Coeura, który siedział cały czas z poważną miną, chrząknął i kontynuował:

- Ta... myśli pan, mistrzu Coeur, że nie ma teraz czasu na radość, kiedy ta nieszczęsna dziewczyna jest ścigana jak zwierzę i kiedy Arnold... no właśnie, a gdzie on się podziewa? Czy wiesz, Katarzyno? Odkąd król zapłacił za mnie okup i wyszedłem z więzienia, naprawdę przyjemnego, doprawdy, w którym trzymał mnie hrabia Arundel, rozpytuję o niego wszędzie.

- A jednak nie jest daleko stąd, przyjacielu, lecz nie uda się go panu odnaleźć. Jest więźniem La Tremoille'a w zamku Sully-sur-Loire.

- Do jas...

Xaintrailles zrobił się purpurowy z wściekłości. Zacisnął pięści i szczęki. Brązowe oczy zapłonęły z oburzenia, które nagle głośno wybuchło, zapelniając pomieszczenie stentorowym rykiem.

- Ten zdechły pies ośmielił się uwięzić Montsalvy'ego? Ośmielił się dać do zrozumienia, że zdezerterował? Śmiał...

- Śmiał w imieniu króla! - uciał chłodno Jakub Coeur. - Niech się pan uspokoi, wielmożny panie, i przypomni sobie, że jeśli pan atakuje La Tremoille'a, atakuje pan króla!

- Król nie wie o takich postępkach.

- Król nie chce o nich wiedzieć - sprostował kuśnierz. - Proszę mi wierzyć, znam go dobrze. Nasz król nienawidzi komplikacji i zmartwień. Co więcej... jest bardzo zakłopotany; jego ulubieniec daje mu odczuć, że otrzymał koronę z rąk czarownicy!



- Nie myśli pan tego serio? - krzyknęła Katarzyna.

- Oczywiście, że nie! Ale La Tremoille zrećźnie wykorzystuje sąd z Rouen.

- Sąd angielski...

- Nie... sąd kościelny! To nieskończenie bardziej kłopotliwe.

Pięść Xaintrailles'a opadła na stół, aż wszystko, co się na nim znajdowało, podskoczyło do góry.

- Co mnie to wszystko obchodzi? Arnold nie zostanie dłużej w więzieniu, dam wam na to moje słowo. Chyba że nie nazywam się już Xaintrailles. Biegnę...

Ręka Jakuba Coeura opadła na ramię porywczego Gaskończyka, powstrzymując jego zapędy.

- Dokąd biegniesz, panie? Paść do nóg króla? Straci pan i własny czas, i życie przyjaciela. Jego Wysokość zdziwi się, wezwie swego ulubieńca, który przysięgnie na wszystkie świętości, że to odrażające kłamstwo... i zanim zliczysz do trzech, ciało kapitana Montsalvy'ego rozbije się o jakąś rozpadlinę albo z kamieniem u szyi uda się na zwiedzanie dna Loary.

Jęk Katarzyny skłonił mężczyzn do oględniejszego zachowania. Xaintrailles rzucił w jej stronę niespokojne spojrzenie, które Jakub Coeur natychmiast zrozumiał.

- Proszę się nie obawiać. Pilnuję jej. Tutaj jest bezpieczna.

Z piersi kapitana wydobyło się głębokie westchnienie, które mogło wyrażać zarówno ulgę, jak i zdenerwowanie. Następnie wolno wyciągnął z zamszowej pochwy ciężki miecz, który zwiślał u jego biodra. Ostrze miecza zaśniło w płomieniu świec. Xaintrailles podstawił miecz pod nos kuśnierza.

- Niech i tak będzie! Zostaje mi zatem tylko to! Mistrzu, niech pan dobrze mu się przyjrzy - rzekł, rozchylając usta w złowróżbnym uśmiechu  
- I przypomni sobie moje słowa: jeśli nie wydostanę Montsalvy'ego całego i zdrowego z tego przeklętego zamku, podaruję temu mieczowi zgniły kałdun La Tremoille'a. Przysięgam to Bogu!

Włożył z powrotem miecz do pochwy, odwrócił się do Katarzyny i obejmując jej ramiona, ucałował ją w oba policzki.

- Módl się za mnie, piękna pani! Postaram się, by twoje dziecko miało ojca.

Przywarła doń, wspięła się na palce, by musnąć ustami ogolony policzek i odetchnąć zapachem werbeny i konia.

- Uważaj, Janie... Boję się o ciebie!

- Ba! - rzekł kapitan, któremu wrócił dobry humor na myśl o czekającej go batalii. - Mam paru dobrych kompanów, którzy chętnie mi pomogą podstawić nogę temu tłustemu prosięciu. A ponadto La Hire ma zwyczaj mawiać, że jeśli ktoś pragnie ustrzec się strachu, powinien pierwszy zadać ciosy. To właśnie mam zamiar uczynić i to zalecam ci na przyszłość. Gdyby królowa Jolanta była tutaj, pociągnąłbym cię do jej stóp, ale w pałacu jest tylko jej córka, ta nieszczęsna królowa Maria, która umie jedynie się modlić i rodzić bachory.

Śpiewając romancę, Jan Poton de Xaintrilles zbiegł ze schodów tak szybko, jak po nich wszedł. Jakub Coeur odwrócił się do Katarzyny. Stała przy oknie i patrzyła, jak na ulicy kapitan wskakuje na konia. Jej oczy połyskiwały radością, której nie zaznały już od dawna.

- Jak to dobrze - wyszeptała - mieć takich przyjaciół jak pan... i jak on! Jak to dobrze ufać komuś!

- Już czas, abyś, pani, pomyślała o udaniu się na spoczynek - rzekł łagodnie kuśnierz, biorąc ją za rękę. - Chodźmy zobaczyć, czy Bronia wróciła z kościoła.

Wydawało się, iż żona Jakuba Coeura została stworzona i wydana na świat po to, by być towarzyszką życia człowieka wartościowego, ale i o awanturniczym usposobieniu. Od dwunastu lat, od kiedy zostali małżeństwem, nie pozwoliła sobie na najmniejszą wymówkę czy choćby najdrobniejszą uwagę pod adresem męża. Podziwiała go tylko z całego serca i kochała. Katarzyna żywiła zawsze dla Broni wielką przyjaźń. Znała ją przez rok, gdy na dworze królowej Marii pełniła rolę damy dworu, i właśnie do Broni się udała, kiedy Xaintrailles przyjechał po nią, by zaprowadzić ją do Arnolda zranionego pod Compiègne. Często ze swoją przyjaciółką, Małgorzatą de Culant, spędzały popołudnie w ogrodzie pod wielką lipą w towarzystwie tej miłej i łagodnej młodej kobiety. Bronia była nieśmiałą, niską i drobną blondynką o delikatnych rysach. Miała piękne oczy koloru orzechowego, czarujący uśmiech oraz mały, nieco spiczasty nosek, który nie ujmował jej uroku. Była córką namiestnika Bourges, Lamberta de Leodeparta, mieszkającego naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy Auron. Odebrała doskonale wychowanie i umiała się dobrze ubrać. Jakub Coeur zakochał się w ślicznej sąsiadce właśnie wtedy, gdy zobaczył ją idącą na nabożeństwo w obramowanej popielicami sukni z czerwonego aksamitu i stosownym czepeczku na jasnych włosach. Natychmiast ubłagał ojca, by poprosił w jego imieniu o rękę dziewczyny. Piotr Coeur, kuśnierz pochodzący z Saint-Pourain, z pewnym wahaniem wystąpił o rękę córki tak dostojnej osobistości. Leodepart jednak był człowiekiem prostym i

rozumnym. Wyczuł, że Jakub jest niezwykłym młodzieńcem, i oddał mu córkę za żonę bez zbędnych ceregieli.

Od tej pory para małżeńska żyła szczęśliwie mimo pewnych kłopotów finansowych. Pięcioro dzieci - Piotr, Jan, Henryk, Rafał i Grzegorz - powiększyło rodzinę młodego futrzarza, który po śmierci ojca z powodzeniem prowadził interesy. Nigdy też żadna chmura nie zakłóciła szczęścia rodziny Coeurów.

Zgodnie z oczekiwaniami Jakuba, jego żona przyjęła Katarzynę bardzo uprzejmie i życzliwie. Niegdyś, na początku ich znajomości, uroda i blask pani de Brazey lekko ją niepokoiły, wiedziała bowiem, jak bardzo jej małżonek wrażliwy był na wdzięki niewieście, a ponadto zauważyła, że Jakub wpatruje się czasem w Katarzynę. Ale kiedy teraz zobaczyła, jaka jest blada i wychudzona, wyczerpana, a nadto brzemienna, stłumiła uprzedzenia i pozwoliła swemu sercu przemówić. Katarzyna kochała Arnolda tak, jak ona kochała swego męża, i to wystarczyło, by Bronia zaczęła natychmiast zachowywać się jak siostra.

Umieściła ją wraz z Sarą w pokoju na drugim piętrze, którego okno mieściło się tuż pod szczytowym oknem ostro zwieńczonego dachu domostwa i wychodziło na ogród. Pokój naprzeciwko, o takich samych rozmiarach, zajmowały dzieci gospodarzy. Był on dłuższy niż szerszy, a duże łóżko, dość obszerne, by pomieścić trzy czy cztery osoby, obite niebieską serżą, zajmowało większą jego część. Pokój spodobał się Katarzynie, był bowiem podobny do tego w domu wujka Mateusza w Dijon, w którym mieszkała z siostrą Luizą. W każdym razie znalazła w nim odpoczynek, którego tak potrzebowała. Przez dwa dni nie opuszczała łóżka, śpiąc kamiennym snem i budząc się tylko na posiłki. Była tak znużona, że zdawało jej się, iż nigdy się nie wyśpi. Nie czuła nawet, kiedy

dołączała do niej Sara i kładła się obok. Katarzyna nigdy przedtem nie odczuwała takiego zmęczenia, nawet gdy musiała dotrzeć pieszo do Orleanu. Wtedy jednak nie była w ciąży.

Rankiem trzeciego dnia obudziły ją wreszcie dziecięce głosy, które śpiewały tak blisko niej, że słowa bez trudu docierały do jej jeszcze ociężałego umysłu.

*Tak oto serce me płakało  
Z wielkiego bólu, jaki miało  
W tym miłym i samotnym kątku,  
Gdzie słodko wiatrem powiewało...*

Ta dobrze znana Katarzynie miłosna piosenka w wykonaniu delikatnych, dziecięcych głosików nabierała nowych tonów - świeżości i naiwności. Nie otwierając oczu, zanuciła dalszy ciąg:

*Tak słodko, że się nic nie czuło  
Tam, we wdzięcznym zakątku...*

- Jak dawno nie śpiewałaś? - zapytał tuż obok niej głos Sary.

Uniósłszy powieki, Katarzyna ujrzała uśmiechniętą Cyganek siedzącą na brzegu łóżka i czekającą na jej przebudzenie, tak jak czyniła to setki razy. Sara wyglądała lepiej. Nie przypominała już niedożywionego zwierzęcia, jak w Champtoce. U mistrza Jakuba jedzenie było dobre, o czym świadczyły zaokrąglone nieco policzki Sary.

- Nie wiem - odparła Katarzyna, siadając na łóżku. - Chyba od bardzo dawna. Śpiewaliśmy tę piosenkę z Małgorzatą de Culant, haftując

u boku królowej Marii podczas tych długich wieczorów. Wydaje mi się, że napisał ją pan Alan Chartier, poeta królewski. Pomóż mi się ubrać, czuję się wyjątkowo dobrze.

Rzeczywiście wydawało się, że ten długotrwały wypoczynek postawił Katarzynę na nogi. Odrzuciła kołdrę, zeskoczyła z łóżka tak żwawo, jakby miała szesnaście lat. Myjąc się, wypytywała Sarę:

- Czy są jakieś wieści o panu de Xaintrailles'ie?

- Żadnych! Wszystko, czego mistrz Coeur mógł się dowiedzieć, to to, że wyjechał z miasta przedwczoraj z grupą swoich ludzi, oznajmiając głośno, że jedzie na polowanie. Nic więcej nie wiadomo.

- Oby za sprawą niebios zdążył na czas... i oby nic się nie stało mojemu panu...

Przez chwilę przypatrywała się ze łzami w oczach swemu odbiciu w zwierciadle z wypolerowanej cyny, po czym odwróciła się do Sary.

- Skończmy już z tą toaletą. Chciałabym pójść pomodlić się do kościoła.

- W biały dzień? Nie mówisz tego poważnie. Mistrz Coeur radzi, abyś nie wychodziła, gdy jest widno. Zbyt wiele osób mogłoby cię rozpoznać.

- To prawda - rzekła Katarzyna ze smutkiem. - Zapomniałam, że nie mogę w pełni sobą dysponować.

W pokoiku obok dzieci zaintonowały następną piosenkę, jednak tym razem śpiewał z nimi niski, męski głos. Do niego przyłączył się jeszcze inny głos, przywodzący na myśl duży katedralny dzwon. Ale ten duży dzwon fałszował.

- O Boże! A to co takiego? - spytała Katarzyna.

- Walter - odparła, śmiejąc się, Sara. - Podbił serca dzieci i dołącza często do nich, kiedy przychodzi preceptor\*.

*\* Preceptor - (z łac. preceptor - uczyć, radzić), dawn. nauczyciel, wychowawca.*

- Do diabła! Preceptor? Nie posądzałabym o to naszych przyjaciół.

- Prawdę mówiąc - rzekła Sara, ujmując grzebień i przystępując do rozczesywania włosów Katarzyny - jest to dość dziwny nauczyciel.

Domator, który nigdy nie opuszcza swego pokoju i wychodzi odetchnąć świeżym powietrzem do ogrodu, kiedy zapadnie noc.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie tylko ja korzystam tu ze schronienia?

- Właśnie! Można by rzec, że mistrz Coeur obrał sobie taki cel, by zgromadzić wszystkich tych, których ściga oskarżenie La Tremoille'a. Jego dom jest nader dziwny. A więc ten preceptor jest nikim innym, tylko poetą Alanem Chartierem we własnej osobie. La Tremoille'owi nie spodobała się jego Pieśń o wyzwoleniu napisana na cześć Joanny, więc obłożył ją zakazem.

- A więc, żeby mu się nie spodobać, wystarczy wyśpiewywać pochwały na cześć Dziewicy?

- Albo należeć do grona jej wiernych. Dopóty, dopóki tłusty faworyt będzie żył albo cieszył się względami ludu, nikt z tych, którzy ją opłakują i głoszą wszem wobec, że była świętą i szlachetną dziewczyną, nie może spać spokojnie. Tylko kapitanowie się wymykają, bo mają swoje oddziały. No, a u pana de Leodeparta zobaczysz brata Jana Pasquerela, spowiednika Joanny, a także Imergueta, jej pazia, którzy ukrywają się, oczekując

nadejścia lepszych dni. Inni jeszcze przebywają na fermach, które do nich należą.

Katarzyna była zaszokowana. To, że Jakub Coeur uczynił z domostwa własnego i swego teścia ognisko oporu wobec faworyta, nie zaskoczyło jej. W przypadku człowieka o tak niezależnym umyśle było to możliwe, zdumiewała ją jednak jego zimna krew. Trzymanie wszystkich tych ludzi w Bourges, pod nosem La Tremoille'a, o dwa kroki od pałacu królewskiego, dowodziło niesłychanej odwagi. Ale, jak widać, Jakubowi Coeurowi jej nie brakowało...

W czasie gdy Katarzyna służyła u Marii Andegaweńskiej, spotkała mistrza Chartiera dwa lub trzy razy. Wówczas prawie wszędzie towarzyszył Karolowi VII jako jego nadworny sekretarz i poeta. Był to człowiek miły i dobrze wychowany, któremu życie dworskie i stanowisko przy królu przysporzyło paru sukcesów u płci pięknej i który - z tego powodu - uważał, że ma nieodparty wdzięk. Gdy zobaczył Katarzynę przy stole rodziny Coeurów, rzucił jej znaczące spojrzenie.

- Wiedziałem - rzekł - że niebiosa mnie nie opuszczą i ześlą jakąś niewiastę, bym mógł lepiej znosić wygnanie! W takiej sytuacji moje serce było puste i oczekiwało pani! Razem stworzymy sobie słodki, tajemniczy ogród, przyjemny, samotny kącik.

- A czy w waszym samotnym kątku będzie także słodki wietrzyk, messire? - zapytał cienkim głosem pięcioletni Grzegorz, najmłodsza latorośl rodziny Coeurów.

Poeta rzucił nań surowe spojrzenie spod krzaczastych, siwiejących brwi.



- To dobrze pamiętać ładne wiersze, mistrzu Grzegorzu - mruknął - ale nie jest dobrze, gdy dziecko odzywa się w obecności dorosłych.

Grzegorz poczerwieniał i pochylił się nad miską, a reszta rodziny powstrzymywała się od śmiechu. Katarzyna napotkała wesołe spojrzenie pana domu, a Bronia - zauważywszy obrażoną minę, z jaką poeta badał kolejno biesiadników - pospieszenie podsunęła mu półmisek z duszonymi karpami. Chartier był drażliwy, ale nade wszystko łakomy, a karpie rozkosznie pachniały. Nałożył sobie okazałą porcję i, jak się wydawało, odzyskał dobry humor.

- Nic pani nie je, Katarzyno? - spytała z wyrzutem Bronia. - Czy nadal jest pani cierpiąca?

- Pani Katarzyna dziwi się, że spotkało ją takie szczęście! - wtrącił poeta, porzucając natychmiast karpia. - Nie może oderwać spojrzenia od natchnionego człowieka, którego Bóg postawił na jej drodze...

Miał zamiar wygłosić dłuższe przemówienie i być może Katarzyna pozwoliłaby sobie na przyjemność odprężenia się w tej właśnie chwili, gdyby z ulicy nie dobiegły krzyki zmieszane ze szczękiem broni i tętent końskich kopyt. Jakub Coeur wstał natychmiast i pobiegł do swego pokoiku. Ten mężczyzna miał stalowe nerwy i był zawsze czujny. Katarzyna rzuciła się za nim, natomiast współczująca Bronia klepała po plecach poetę, któremu z wrażenia oś stanęła w gardle.

Z okien nad gabinetem można było objąć wzrokiem całą długość ulicy Auron. Gromadzili się na niej łucznicy, którymi dowodził oficer na koniu. Wielu z nich, ramię w ramię, z włóczniami w poprzek, zagradzało dwoma rzędami ulicę, natomiast inni wyważali drzwi domu położonego o trzy kamienice dalej. Jakub zmarszczył brwi.

- To Naudin. Zastanawiam się, czy...

Nie dokończył. Skądinąd dramat, który się rozegrał, był krótki. Po kilku minutach łucznicy, którzy uprzednio weszli do domu, wyszli zeń, popychając drzewcami lanc trzech mężczyzn, jednego starszego i dwóch młodszych. Ten, który szedł ostatni, szamotał się jak szalony, wymachując nogami, rękami i łokciami, próbując odepchnąć dwóch mężczyzn, którzy go przytrzymywali. Katarzyna przyglądała się temu zatrwożona.

- Co to ma znaczyć? - wybełkotała.

- Znaczy, że Naudin ukrywał w swym domostwie kuzyna żony, który popełnił nieostrożność, odmawiając wielkiemu szambelanowi ziemi, na którą ów miał ochotę... i że ktoś ich zadenuncjował. Co za pech! La Tremoille rabuje, kradnie, zabija, a król na to przyzwala.

Kuśnierz chwycił z wściekłością, której nie był w stanie pohamować, wazon z niebieskiej ceramiki i cisnął nim o ziemię. Wazon rozprysnął się na tysiące lazurowych kawałeczków.

- Ale nam grozi podobne niebezpieczeństwo! - rzekła Katarzyna głucho. - Któż może zaręczyć, że jutro pan nie zostanie zadenuncjowany?

- To możliwe! - odparł Coeur stanowczo. - Ale nie pozwolę się zastraszyć. Największy zarzut, jaki szambelan stawia Naudinowi, sprowadza się do tego, że popierał, kochał i podziwiał Dziewicę. Śmiał mówić głośno, że największym nieszczęściem i grzechem było tak tchórzliwe jej porzucenie. Wszyscy, którzy podobnie uważają, są w niebezpieczeństwie. Nawet taka wspaniała kobieta jak Małgorzata La Thouroulde, u której Joanna mieszkała, też nie może czuć się bezpieczna. Faworyt chce wytepić w królestwie wszystko, co bardziej lub mniej przypomina Dziewicę. Zawsze ją zwalczał, nawet po jej śmierci musi być górą! I to w takiej chwili, kiedy królestwo bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje spokoju. Pieniądzy nie ma, uprawy nie istnieją, handel zamarł.

Nie ma już wielkich jarmarków, towary omijają Francję, kierowane z Wenecji do Brugii przez Bawarię i państewka niemieckie. A ta niewielka ich ilość, która pozostała, nieubłaganie trafia wprost do skrzyń La Tremoille'a.

- Co pan wobec tego uczynił?

- Na razie nic. Pokonanie faworyta pozostawiam konetablowi de Richemontowi i królowej Jolancie, gdy już powróci. A kiedy Tremoille zostanie obalony, trzeba będzie odbudować, rozwinąć handel, bić monety. I właśnie po to wyjadę wiosną.

- Wyjedzie pan? Dokąd?

- Na Wschód - odparł kuśnierz, wpatrując się w mapę zawieszoną na ścianie. - Skończyły się burze równonocy, statek z Narbony wyruszy na swoje zwykłe opłynięcie Morza Śródziemnego. Popłynę nim i zabiorę towary, które zgromadziłem: polewane drobiazgi, delikatne tkaniny, wina, korale z Marsylii, a przywiozę jedwabie, korzenie, futra, wszystko, czego nie można teraz dostać, a także po to, by nawiązać nowe kontakty handlowe, na których król będzie mógł skorzystać. Następnie, kiedy wszystko zacznie już działać, otworzę ponownie stare kopalnie srebra, ołowiu i miedzi, niegdyś wywiercone przez Rzymian, a w późniejszych latach opuszczone. Królestwo odrodzi się bogatsze... o wiele bogatsze!

Zdumiona Katarzyna spoglądała na kupca. Zapomniał o jej obecności i z oczami wbitymi w dal przeżywał swe wspaniałe sny. Odkryła teraz, że ten mężczyzna ma w sobie coś z proroka. Przez chwilę czuła się, jakby przeniesiono ją o kilka lat wstecz, kiedy była jeszcze ze swym mężem Garinem de Brazeyem. On także, jak Jakub Coeur, wierzył w potęgę handlu ze Wschodem. Zrozumiałby, docenił i może polubił tego odważnego mieszczanina, który tak bardzo był doń podobny pod pewnymi

względami. W pokoiku zapadła cisza. Na ulicy hałasy ucichły. Tylko paru przechodniów pośpiesznie przechodziło tą niebezpieczną ulicą, rzucając lękliwe spojrzenia w stronę wyważonych drzwi Naudina. O szyby zaczęły dzwonić pierwsze krople deszczu.

- Widzi pan - rzekła Katarzyna łagodnie - że nie ma pan prawa narażać się na ryzyko, nawet niewielkie, nawet lekceważone, przechowując mnie tutaj. Pański los jest zbyt ważny. Jeśli zaczynają się donosy, to nie jest pan już bezpieczny. Czy nie mógłby pan mnie zawieźć do jakiegoś domku na odludziu, na jakąś fermę, gdzie mogłabym czekać na powrót Xaintrailles'a?

Gniew wytrącił kuśnierza z równowagi. Pochylił się ku młodej kobiecie, która usiadła na zydlu, z rękami na podołku, i ujął jej twarz w dłoń.

- W tym nieszczęsnym kraju - powiedział gorąco - istnieje niewiele rzeczy pięknych i cennych, Katarzyno. Pani należy do nich i z całego serca zazdroszczę mężczyźnie, którego pani kocha. Mogę się ubiegać jedynie o pani przyjaźń, niechże mi więc będzie wolno zasłużyć na nią, a jeśli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, to tym lepiej, ponieważ moje oddanie osiągnie wyższą cenę. Zostanie pani tutaj.

Pochylił się jeszcze mocniej i, nie mogąc się powstrzymać, dotknął wargami ust młodej kobiety. Był to jednak pocałunek lekki, łagodny i czuły, pochodzący bardziej z duszy niż z ciała. Wszelako Katarzyna zadrżała przy zetknięciu z ustami Jakuba i, zapewne nieświadomie, poczuła z tego powodu przyjemność. Ramiona kuśnierza zaczęły drżeć na jej ramionach i stały się jakby cięższe, zdradzając jego zakłopotanie. Oderwał się od niej, nie wypuszczając z objęć. - Zakazuję pani ruszać się stąd, Katarzyno. Musi pani mieć do mnie zaufanie.

- Ależ, drogi przyjacielu, mam do pana zaufanie! Wszystkie moje obawy biorą się z niebezpieczeństwa, jakie na pana sprowadzam.

- Proszę o tym nie myśleć! Będę umiał chronić przed nim swoich bliskich, i panią jednocześnie.

Palce Jakuba wbijały się w ciało Katarzyny z siłą, której sobie nie uświadamiał, tak gorąco pragnął przekazać jej swoją wiarę w siebie samego. Zapomniał zupełnie, co zdarzyło się na ulicy, i podskoczył, gdy z głębi pokoju odezwał się spokojny głos:

- Musisz zejść do sklepu, Jakubie. Pani de La Tremoille cię prosi, a wiesz, jaka jest niecierpliwa.

Obydwoje odwrócili się do drzwi, w których stała Bronia, wyprostowana i pozornie spokojna. Katarzyna poczuła, że czerwieni się mimo woli. Od jak dawna była tutaj?

Czy widziała, jak jej mąż ją całował? Nic w jej zachowaniu nie pozwalało tak sądzić i zapewne Bronia dopiero co przybyła. Mimo to Katarzyna czuła się winna i spuściła wzrok.

- Mówiłam mistrzowi Jakubowi, jak bardzo jest mi przykro, że narażam was na niebezpieczeństwo. Prosiłam go, by pozwolił mi odjechać.

Młoda kobieta weszła do pokoju i uśmiechnęła się.

- Jestem pewna, że zrobił wszystko, by panią pocieszyć. Dla nas gość jest wysłannikiem niebios i jako taki jest święty. A ponadto, dokąd mogłaby pani pójść? Chodźmy, Jakubie, ona się już niecierpliwi.

Katarzyna zadrżała na myśl o tej, która znajdowała się obecnie pod jej stopami. Pani de La Tremoille! Piękna Katarzyna de La Tremoille! Ta, w której mocy był Arnold, ta, którą zawsze odpychał i którą Katarzyna kiedyś bardzo obrażała.

Blednąc raptownie, odwróciła się do kuśnierza.

- Prędko, mistrzu Coeur, błagam pana... Nie trzeba dawać jej najmniejszego powodu do podejrzeń. Jeśli ona wie, że jestem tutaj, smutny nasz los. Nienawidzi mnie i rozpoznałaby mnie nawet w mnisim przebraniu...

- Wiem - odparł Jakub Coeur. - Już idę.

Bronia i Katarzyna zostały same. Obie milczały. Nie patrzyły na siebie, ale jakby porozumiawszy się w tej sprawie, nasłuchiwały odgłosów dochodzących z parteru. Nie musiały czekać długo. Dały się słyszeć raczej ciężkie kroki Jakuba, który schodził ze schodów, potem zaraz wysoki i przenikliwy głos kobiety. Katarzyna de La Tremoille nigdy i nigdzie nie zadała sobie trudu przyciszenia głosu. Była bardzo hałaśliwa. Bronia i Katarzyna mogły bez trudu słuchać ich rozmowy.

- Mistrzu Coeur - mówiła żona wielkiego szambelana - czemuż to nie otrzymałam jeszcze tych soboli, o które pana prosiłam? Zbliżają się chłody, a pan wie, że ja nie znoszę ordynarnych futer.

- Wydaje mi się, iż dowiodłem tego, że ja również ich nie znoszę. Co się zaś tyczy soboli, to nie dostarczyłem ich bynajmniej nie z własnej winy, ale z powodu tych nieszczęsnych czasów, w jakich żyjemy. Karawany kupieckie, które z miasta Nowogród Wielki przybywały na jarmark w Chalons, nie docierają już do naszego kraju. Dojeżdżają do Londynu bądź zatrzymują się w Wenecji.

- A więc niech pan jedzie po nie do Wenecji.

- Nie mamy już takiej możliwości, pani. Kraj jest osłabiony, nie ma okrętów, a statki, które płyną z Wenecji do Brugii, unikają naszych portów. Do Brugii udać się nie mogę, bo wie pani lepiej niż ktokolwiek inny, że książę Burgundii zabrania przejazdu ludziom króla Karola.

Westchnienie, jakie wydobyło się z piersi pani de La Tremoille, dotarło aż na górę. Katarzyna miała nerwy napięte do bólu. Słyszeć o dwa kroki stąd głos kobiety, której z całego serca nienawidziła, było dla niej ciężką próbą. Instynktownie podeszła do okna, pozwalając oczom błądzić dookoła. Tymczasem na dole pani de La Tremoille mówiła zmęczonym głosem:

- No cóż, wobec tego będę musiała zadowolić się tym, co pan ma. Niech więc pan przyniesie do pałacu swoje najpiękniejsze skóry. Albo raczej, skoro już tu jestem, proszę mi je pokazać teraz. Każe pan odnieść do mnie te, które wybiorę.

- Jak to się stało, że nie słyszeliśmy jej przyjscia? - szepnęła Katarzyna, patrząc na grupę rycerzy i dam dworu, którzy wypełniali ulicę, czyniąc taki zgiełk, jaki przed chwilą spowodowali żołnierze.

- Była pani zbyt zajęta - rzekła łagodnie Bronia, a Katarzyna nie mogła odgadnąć, czy kryła się za tym jakaś intencja. - Nie mogła pani tego słyszeć. Ale nie chciałabym, aby ta kobieta zatrzymywała się tu za długo. Ma przenikliwy wzrok i uszy, które słyszą wszystko...

- A moja obecność tutaj nie jest korzystna - rzekła Katarzyna z goryczą. - Gdyby to wiedziała...

- Nie ryzykujemy bardziej, przechowując panią, niż mistrza Chartiera - odparła żona Jakuba. - A w naszych czasach nigdy nie wiadomo, czy grozi nam denuncjacja - prawdziwa lub fałszywa. Powinna pani pójść do siebie, Katarzyno.

Potrząsnęła głową. Musiała być tutaj. O dwa kroki od swego wroga. Bliskość niebezpieczeństwa - jak zauważyła - była mniej niepokojąca niż jakieś niejasne zagrożenie. A ponadto czuła coś w rodzaju gorzkiej radości z cichego lekceważenia tej niebezpiecznej kreatury, która nie cofała się

przed niczym, by odebrać jej Arnolda. Na dole żona wielkiego szambelana kazała najwidoczniej wyciągnąć wszystko, co Jakub Coeur miał w magazynie. Słychać było głucho uderzenia paczek z futrami o kontuar, na którym je rozkładano, jak również bezbarwny głos subiekta, który objaśniał. Z czołem przyklejonym do szyby Katarzyna czekała, nie wiedząc na co. Żeby wszystko było skończone? Żeby Jakub wrócił i dodał jej otuchy swoją obecnością? Może na wszystko po trosze.

Nagle jej roztargniony wzrok znieruchomiał i stał się czujny. Nadjeżdżający od strony Auron wózek ciągnięty przez dużego, leniwego konia zatrzymał się przed domem Jakuba Coeura. Był to jeden z tych chłopskich wózków sporządzonych z nieheblowanych desek, zbitych niedbale drewnianymi kołkami. Duże koła z żelaznymi obręczami podskakiwały w koleinach powstałych po ostatnich deszczach. Wózek załadowany był bezładnie wiązkami chrustu, które wyglądały tak, jakby miały za chwilę się zsunąć. Była to zwykła zwózka, a jedyne, co zastanawiało, to woźnica. Gdy Katarzyna zobaczyła go, jak siedzi na przedniej ławeczce z rozstawionymi nogami i zwisającymi rękami, okrągłymi plecami i szerokimi ramionami pod nędzną, połataną opończą, wydał jej się znajomy. Gdzieś go widziała... Mężczyzna miał na sobie pelerynę z kapturem z grubej, czarnej wełny, który skrywał częściowo twarz zakończoną krótką brodą.

Czy to jego sposób trzymania się, czy też coś w sylwetce przykuwało uwagę Katarzyny? Mężczyzna uniósł głowę i odwrócił się w stronę drzwi sklepu. Katarzyna stłumiła okrzyk zdziwienia, przyciskając szybko rękę do ust. Wieśniakiem na wózku był Xaintrailles we własnej osobie. Podbiegła do Broni, wzięła ją za rękę i pociągnęła do okna.

- Popatrz - rzekła. - Poznajesz? Teraz Bronia zbladła.



- Boże! - jęknęła, składając ręce. - Można go poznać aż zbyt łatwo!  
Następnie, widząc, jak rzekomy wieśniak schodzi z zaim-  
prowizowanego siedziska z zamiarem wejścia do sklepu, Bronia popędziła  
jak strzała. Katarzyna usłyszała, jak zbiegała po kilka schodków naraz.  
Musiała przebiec przez sklep, gdyż prawie natychmiast Katarzyna  
zobaczyła, że jest już na ulicy. Był najwyższy czas, jako że Xaintrailles,  
nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa czyhającego nań wewnątrz,  
miał już zamiar wchodzić. Katarzyna zobaczyła, że małżonka Jakuba staje  
przed nim, unosząc wysoko głowę przyozdobioną wysokim czepcem, tak  
aby z wnętrza domu nie zauważono jego twarzy. Następnie usłyszała, jak  
Bronia krzyczy:

- Co sobie myślisz, człowieku? To nie w sklepie zrzuca się chrust,  
ale w komórce. Cofnij konia, każę otworzyć bramę na dziedziniec.

- Wybacz, pani - wybełkotał przybyły z zabawnym wiejskim  
akcentem. - Nie wiem nic. Robin, pani dzierżawca z Bois Patuyau,  
przysłała mnie, żebym ja był za niego. Kolano mu obiera i ja...

- Dobrze, już dobrze - rzekła niezadowolona Bronia. - Cofnij konia.  
Widzisz przecież, że przeszkadza.

Eskorta pani de La Tremoille, straż w niebieskim i czerwonym  
aksamicie, odsunęła się z pogardą od niby-chłopka i to zapewne uratowało  
nieostrożnego kapitana, który nie został rozpoznany. Katarzyna poczuła,  
jak pot spływa jej między łopatkami. Ręce jej zlodowaciały, a niewytłuma-  
czalna niecierpliwość wprawiła w drżenie całe ciało od stóp do głów.  
Dlaczego Xaintrailles, który mógł swobodnie poruszać się po mieście,  
wpadł na pomysł, by się przebrać i wjechać do miasta takim dziwnym  
pojazdem? Co było w drewnianym wózku?

Zaledwie młoda kobieta zadała sobie to pytanie, poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Na ulicy służąca otwierała bramę na dziedziniec i Xaintrilles, człapiąc jak prawdziwy wieśniak, zawrócił zaprzęg. Katarzyna nie mogła już dłużej się powstrzymać, uniosła poły sukni i wybiegła z pokoju gnana ciekawością. Pokonała dużą komnatę i wydostała się na drewnianą galeryjkę nad wewnętrznym dziedzińcem, na który w dokładnie tej samej chwili Xaintrilles wjeżdżał wózkiem. Zauważył młodą kobietę i uśmiechnął się do niej. Ten uśmiech przeniknął do serca Katarzyny niczym promień słońca do zimnego, zamkniętego pokoju. Kapitan nie uśmiechnąłby się w taki sposób, gdyby Montsalvy'emu przytrafiło się jakieś nieszczęście.

W głębi podwórza stara Mahaut, służąca rodziny Coeurów, przeganiała ścierką drób w stronę zagrody, a Sara pomagała Broni otworzyć drzwi stodoły. Walter i służący zamykali bramę na dziedziniec. Kiedy Katarzyna dotarła na podwórze, Xaintrilles wprowadził właśnie pojazd do stodoły. Katarzyna stanęła za nim, dołączając do Broni i Sary. Kapitan nawet na nie nie spojrział.

- Szybko! - rzucił. - Pomóżcie mi!

Brał kolejno wiązki i rzucał je byle jak z niezwykłym pośpiechem.

- Co jest w tym wózku? - spytała Katarzyna.

- Nie zadawaj głupich pytań! A co byś chciała, żeby tam było?

Teraz ona, z krzykiem, rzuciła się do chrustu. Odsłoniли skrzynkę z prześwitem, stojącą na dnie wehikułu. Katarzyna wyciągała już ręce w stronę drewnianych listewek, ale Xaintrilles odsunął ją brutalnie, niemal ciskając ją w ramiona Sary.

- Wolałbym, żeby nie zobaczyła go od razu - mruzczał. - Nie wygląda pięknie! Był już najwyższy czas...

Gołymi rękami, nie zwracając uwagi na kolące drzazgi, zrywał wierzch skrzynki. Oczom wszystkich ukazał się nieprawdopodobnie brudny, blady i chudy kształt ludzki, z czarną brodą, zamkniętymi oczami i zniszczoną twarzą. Był tak nieruchomy, że przypominał zwłoki, więc Katarzyna krzyknęła dziko, wyrwała się z ramion Broni i upadła na bezwładne ciało ze straszliwym łkaniem.

- Arnoldzie! Mój Boże! Arnoldzie... Co oni z tobą zrobili?

## Rozdział ósmy

# Widmo

Katarzyna była tak dalece przekonana, że 'obejmuje ciało pozbawione duszy, iż Xaintrailles musiał oderwać ją siłą.

- On potrzebuje natychmiastowej pomocy, Katarzyno. Proszę bez łez. Pani Broniu, czy ma pani jakiś pokój, w którym można by go położyć?

- Jest mój pokój - krzyknęła Katarzyna, wycierając oczy.

- Dobrze! Proszę zobaczyć, czy droga jest wolna. Xaintrailles objął ciało przyjaciela i unióśł je bez widocznego wysiłku.

Arnold oparł głowę na ramieniu kapitana. Wydawało się, że nic nie widzi i nic nie słyszy. Można by rzec, duży pajac, którego zerwane sznurki nie zawiadują już ruchami. Katarzyna z oczami pełnymi łez przygryzła palce.

- On umrze! - szepnęła. - On umrze!

- Mam nadzieję, że nie! - warknął Xaintrilles. - Przyjechałem najszybciej, jak tylko mogłem. Proszę otworzyć drzwi.

- Może - powiedziała Sara - lepiej byłoby poczekać, aż pani de La Tremoille opuści ten dom...

Przerwała jednak, gdyż kapitan odwrócił ku niej wściekłe oblicze.

- Nie ma ani chwili do stracenia, rozumiecie mnie? Co do tej rudej dziwki, to jeśli spotkam ją na swojej drodze, uduszę ją. Przysięgam na miecz mego ojca i honor matki! Proszę otworzyć. Powiedziałem: trzeba łóżka i lekarza.

W tej samej chwili drzwi stanęły otworem, pchnięte ręką Waltera, który swą potężną postacią zapełnił całą przestrzeń. Jego jasne oczy spoglądały to na Xaintrilles'a dźwigającego swój ciężar, to na Katarzynę we łzach, wreszcie spoczęły na kapitanie.

- Proszę mi go dać, wielmożny panie! Łatwiej mi go będzie zanieść niż panu! Mistrz Coeur przysłała mnie z wiadomością, że ta pani już poszła.

W ramionach olbrzyma, który podniósł go bez wysiłku, nieprzytomny Arnold wyglądał jak dziecko. Walter poszedł wielkimi krokami przez podwórze. Zaczął padać drobny deszcz, a ciemne niebo zapowiadało już nadchodzącą noc. Stara Mahaut i Sara pobiegły przed Walterem, aby go zaprowadzić do pokoju i przygotować łóżko. Mimo że Xaintrilles dokładał wysiłków, by ją powstrzymać, Katarzyna rzuciła się w ślad za Normandczykiem. Za plecami usłyszała, że Xaintrilles krzyczy:

- Zostań tutaj, Katarzyno, nie wchodź tam teraz!

Ale ona nie słyszała nic, oprócz tego głuchego głosu, który w jej wnętrzu mówił: „on umrze... on umrze...”. To napełniało jej uszy

straszliwym dudnieniem, jej serce zdawało się bić w tym rozpaczliwym rytmie. Dotarła bez tchu na górę i zobaczyła przed sobą szerokie plecy Waltera, który kładł Arnolda na łóżko. Chciała wejść do pokoju, ale natknęła się na Sarę, która z oczami pełnymi łez próbowała zagrozić jej drogę.

- Daj nam teraz zająć się nim, malutka - rzekła Cyganka łagodnie. -  
W twoim stanie...

- Nieważny jest mój stan - odparła Katarzyna z zaciśniętymi zębami.  
- Cóż po dziecku, jeśli Arnold umiera! On należy do mnie, rozumiesz?  
Tylko do mnie! Nikt nie ma prawa odsuwać mnie, kiedy on mnie potrzebuje...

Sara z żalem odstąpiła, przepuszczając Katarzynę. Pokiwała głową, mrużąc:

- Nie wiem, czy on cierpi. Jest nieprzytomny, mimo że otwiera oczy. Nie poznaje nikogo... można powiedzieć, że nic nie rozumie.

Zbierając się na odwagę, Katarzyna zbuntowała się przeciwko rozpacz, która w niej wzbierała. Nie może sobie pofolgować... nie teraz! Musiała być dzielna, żeby spojrzeć prawdzie w oczy i widzieć ją taką, jaka jest! Tajemny głos podpowiadał jej, że tylko za tę cenę będzie mogła uratować Arnolda! Jak zawsze, gdy musiała się wykazać zimną krwią, przycisnęła jedną rękę do drugiej i podeszła do łóżka, przy którym krzątała się stara Mahaut.

Na swej drodze znalazła Waltera. Normandczyk stał na środku pokoju i spoglądał na nią, jak się przybliżała, z dziwnym wyrazem jasnych oczu, w których widać było i gniew, i ból zarazem. Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Potrząsnął potężnymi ramionami i skierował się ku drzwiom, nie spoglądając za siebie. Katarzyna nie zwróciła na niego

uwagi. Widziała tylko Arnolda i zgarbioną postać starej Mahaut, która się nad nim pochylała.

- Słodki Jezu, w jakim on jest stanie! Biedny pan, jak on wygląda! - lamentowała niańka.

Przy pomocy Sary z wysiłkiem zdejmowała z więźnia zabłocone i cuchnące łachmany, które przywarły do jego wychudłego ciała. Można byłoby sądzić, że nieszczęśnik przebywał w rowie z gnojówką, ale zrywając z pleców i klatki piersiowej Montsalvy'ego ostatnie strzępki materiału Mahaut poczuła opór, a ponieważ brnęła mimo to dalej, na szarej od brudu skórze pojawiła się krew.

- Jest ranny! - szepnęła Katarzyna, w której aż się wszystko przewróciło.

Położyła drżącą dłoń na czole Arnolda, odrzucając mu do tyłu za długie włosy.

- W ten sposób nigdy nie dojdziemy do ładu - wymamrotała Mahaut.  
- Saro, zjedź, proszę, do kuchni i każ przynieść tu balię, tylko dużą! I kilka wiader gorącej wody. Trzeba go wykąpać.

Sara zniknęła, ale natychmiast w drzwiach pojawił się Xaintrilles, a za nim Jakub Coeur. Zatroskany Xaintrilles podszedł do łóżka i stanął za plecami Katarzyny, która także zaczęła niezwykle delikatnie zdejmować z Arnolda strzępki materiału przyklejone do ciała. Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Skąd go wyciągnąłeś, że jest w takim stanie? Z lochu?

- Prawie! Był na dnie potwornego rowu, do którego przeciekała woda z Loary. Błotnista podłoga chyba nigdy nie wysychała. Był przykuty do ziemi, na nogach i rękach miał kajdanki. Tkwił tak w całkowitej ciemności. Podawano mu pożywienie... a raczej to, co nazywano

pożywieniem, przez dziurę. Drzwi opieczetowano. Musieliśmy je wyważyć. Strażnik, który go pilnował, brutal, czarnoskóry garbus, był silny jak byk. Trzech mężczyzn nie mogło mu sprostać.

- Co z nim zrobiliście?

- Co robi się ze szczurami? Rozdeptuje się je. Zarzynałem go na miejscu i zostawiłem. Potem zabrałem Montsalvy'ego. Wyznam ci, że myślałem, iż Arnold nie żyje. Nie ruszał się, ale zauważyłem, że słabo oddycha. Dałbym wszystko, by mieć lekarza pod ręką. Jeden z moich ludzi nieco uczył się u mnichów. Dał mu trochę mleka, gorącego bulionu, ale nie mieliśmy już czasu, by dłużej się tam zatrzymać. Trzeba było działać szybko. Zawinęliśmy go w palto, najlepiej jak mogliśmy, i wziąłem go na swego konia. Trzymając go niczym dziecko, dojechałem aż do Bourges, gdzie znalazłem u dzierżawcy mistrza Jakuba ten wózek, drewno i strój. I, Bóg mi świadkiem, Katarzyno, przez całą drogę drżałem, że przywiozę ci zwłoki. La Tremoille i jego klika muszą za to zapłacić.

- Na razie - rzekła twardo Katarzyna - zarznięto mu tylko strażnika...

- Zabito dwudziestu żołnierzy i podpalono zamek! - dokończył spokojnie Xaintrailles. - Za kogo mnie bierzesz? Robimy, co możemy, czego chcesz więcej? Mimo że się spieszyłem, znalazłem czas, by podłożyć ogień.

- Wybacz, proszę! - rzekła Katarzyna, spuszczać oczy.

Dwaj służący z trudem przydźwigali balię, w której zanurzono prześcieradło, a następnie napełniono ją gorącą wodą. W tym czasie mistrz Jakub nieruchomo wpatrywał się w ocalonego Arnolda, nie odzywając się ani słowem. Jego oczy biegly od wielkiego bezwładnego ciała do czystego profilu Katarzyny, który wyraźnie rysował się na tle płomienia świec, i jej

długich rzęs rzucających łagodne cienie na policzek. Stojąca z drugiej strony łóżka Mahaut napotkała jego spojrzenie i rzekła:

- Trzeba wezwać lekarza. Im szybciej, tym lepiej.

Jakub Coeur drgnął jak człowiek, którego ktoś brutalnie obudził. Skierował się ku drzwiom.

- Pójdę po niego sam - powiedział tylko. I wyszedł, stłumiwszy westchnienie.

Odkąd wszedł do pokoju, Katarzyna ani razu nie zwróciła na niego uwagi. W swym cierpieniu zjednoczyła się z człowiekiem na wpół umarłym, który był już tylko cieniem siebie samego...

Katarzyna, Xaintrailles i Sara niesłychanie ostrożnie unieśli Arnolda z łóżka i zanurzyli w balii, do której Mahaut wlała właśnie cały flakonik olejku aromatycznego i dodała pęczek korzeni prawoślazu. Wycieńczone ciało o szarej skórze powlekającej słabe mięśnie znikło w parującej wodzie. W tej samej chwili Arnold otworzył oczy, które były dziwnie czerwone i pokryte plamami. Jego wargi poruszyły się. Wydobyły się z nich takie nieartykułowane dźwięki, że Xaintrailles zmarł.

- Na rany Chrystusa! - jęknął.

Obydwoma rękami uchwycił głowę przyjaciela, siłą otworzył mu usta, zajrzał do środka i puścił go z westchnieniem ulgi:

- Bałem się - wybełkotał - że obcięto mu język.

W odpowiedzi usłyszał pełen przerażenia jęk Katarzyny, ale młoda kobieta nie patrzyła w jego stronę. Powoli przesunęła rękę przed szeroko otwartymi oczami ukochanego, następnie podniosła na Xaintrailles'a oszalały wzrok.

- Wydaje się... że nic nie widzi! Jego oczy nie poruszają się nawet wtedy, gdy przybliżam do nich rękę.



- Wiem - rzekł ponuro kapitan. - Kilka razy doznałem tego samego wrażenia w czasie podróży. Ale... - dorzucił spieszenie, widząc, że z fiołkowych oczu młodej kobiety trysnęły łzy - nie przerażaj się, moja droga. To może brać się z tego, że jest nieprzytomny. Musimy poczekać na lekarza.

Kąpiel trwała dłuższy czas. Stopniowo woda w balii mętniała. Thuste błoto, kawałki poszarpanego materiału, robactwo - wszystko to spadało z ciała, którego skóra nareszcie zaczęła odzyskiwać ludzki kolor. Na piersi i plecach pojawiły się wyraźne długie pasma, podpuchnięte i podbiegłe krwią.

- Co z nim robili? - spytała stara Mahaut, rzucając w stronę Xaintrilles'a oskarżycielskie spojrzenie.

Odwrócił głowę i poprawił dymiącą świecę.

- Biczem! Wiele razy... - odpowiedział ochryple. - Piękna pani de La Tremoille umie się mścić, kiedy się ją lekceważy. Był traktowany gorzej niż zwierzę... i widzisz, jakie są rezultaty jego wierności!

Katarzyna zazgrzytała zębami. Wściekłym ruchem odrzuciła kosmyk włosów, który opadł na jej policzek, i spojrzała na Xaintrilles'a płonącymi oczami.

- Zapłaci mi za to! - warknęła. - Ona mi zapłaci za wszystko wcześniej czy później, za jego cierpienia, za mój ból! Zapłaci mi krwią i łzami.

Drżała jak listek, klęcząc przy balii w kałuży wody. Rękami opierała się o prześcieradło, którym wyścielono dno, aby szorstkie drewno nie raniło Arnolda. Xaintrilles łagodnie podniósł ją i na chwilę przytulił do siebie, otaczając kojącym ciepłem swoich ramion, jak gdyby chciał jej przekazać własną moc.

- Pozwól Montsalvy'emu nabrać sił - rzekł poważnie. - On zawsze umiał regulować swe rachunki, chyba wiesz coś o tym. Są takie kobiety, które pokonać musi mężczyzna!

Z twarzą w rozdartej koszuli kapitana Katarzyna pociągnęła parę razy nosem, wreszcie wykrztusiła cienkim głosikiem, który świadczył o jej zniechęceniu:

- Ale widzisz przecież, że on jest tylko cieniem siebie samego...

- Nie wierzysz w to chyba, ja też nie! Tak często widywałem Arnolda na pół martwego, podobnie jak i innych mych towarzyszy broni, że nie uwierzę w jego śmierć, chyba że będzie zimny i sztywny. A i to nie!

Właśnie ułożono osuszonego starannie Arnolda do łóżka, kiedy wrócił Jakub Coeur i zapowiedział wizytę lekarza. Walter i dwaj służący wynieśli balię wypełnioną brudną wodą.

Teraz, gdy Arnold leżał już na białych prześcieradłach, jego tragiczna chudość widoczna była jeszcze bardziej niż przedtem. W kąpielni Xaintrilles sam ogolił przyjaciela, odsłaniając wynędzniałą twarz o pooranej skórze, a cieniutka warstwa ciała ujawniała wyraźnie kości i drobne blizny - ślady dawnych ciosów miecza.

Wydawał się młodszy. Widok nieruchomo leżącego mężczyzny, kojarzącego się z kamiennym posagiem, jeszcze bardziej poruszał i rozbrajał. Katarzyna przypominała sobie przez łzy, jak został ranny w drodze do Flandrii. Tamtego wieczoru także leżał nieruchomy i pokonany, ale pełen sił, pełen mocy. Czuło się, że w tym zranionym ciele kipiało życie i że waleczny wojownik po odzyskaniu przytomności od razu stanie na nogi.

Dziś wieczór miało się wrażenie, że Arnold śpi snem, który nie ma końca... Zrozpaczona Katarzyna oddałaby wszystkie lata, które jej jeszcze zostały, by otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

Wejście nowej osoby wyrwało ją z tej bolesnej kontemplacji. Nie bez trudu, tak bowiem była pogrążona w tym rozdzierającym tete-a-tete, że wszyscy obecni dla niej zniknęli. Zaledwie uświadamiała sobie wyprostowaną postać Sary, która siedziała na brzegu łóżka, z plecami opartymi o kolumnienkę, i przyspieszony oddech Xaintrilles'a za jej plecami. Ale nowo przybyły mógł ściągnąć na siebie uwagę nawet najbardziej roztargnionej osoby. Wysoki, chudy, nieco przygarbiony, miał twarz wąską i żółtą, orli nos i małe, głęboko osadzone oczy pod czarnymi brwiami. Długie włosy - dziwnie splecione w warkoczyki - opadały mu na chude ramiona, gdzie łączyły się z czarną brodą, która zdawała się składać z hebanowych wiórów. Na czarnej, znoszonej sukni zwracała uwagę żółta łąta. Oszołomiona Katarzyna zatrzymała na niej wzrok. Przybyły uchwycił to spojrzenie i zaśmiał się sucho.

- Czy obawiasz się, pani, dzieci Izraela? Przysięgam, że nigdy nie uśmierciłem ani nie spopieliłem żadnego niemowlęcia, jeśli takie żywisz obawy...

Jakub Coeur odezwał się, zanim Katarzyna zdążyła odpowiedzieć:

- Rabin Mosze ben Jehuda jest najbardziej uczonym lekarzem w naszym mieście. Studiował na uniwersytecie w Montpellier - rzekł kuśnierz - I nikt lepiej niż on nie wyleczy mego gościa. Wzywałem go wiele razy, gdyż jest zręczny i mądry.

- Czyż w tym mieście nie ma żadnego chrześcijańskiego lekarza? - spytał, lekko się krzywiąc, Xaintrilles. - Słyszałem, że mistrz Aubert...

- Mistrz Aubert jest osłem, który zabije twego przyjaciela rychlej niż kaci La Tremoille'a. Po medycynie arabskiej nauka Hebrajczyków jest dziś najpotężniejsza. Zaczęła się rozwijać w Salerno, gdzie działał słynny Trotula.

W czasie gdy Jakub przemawiał, Mosze ben Jehuda, wzruszywszy ramionami, zbliżył się do łóżka i zmrużonymi oczami przyglądał się choremu.

- Jest nieprzytomny - szepnęła Katarzyna. - Czasami otwiera oczy, ale nie widzi nic. Bełkoce jakieś niezrozumiałe słowa i...

- Wiem! - uciął lekarz. - Mistrz Coeur wyjaśnił mi wszystko. Chcę go zbadać... Zechce się pani odsunąć.

Katarzyna cofnęła się z żalem. Ten wysoki czarny mężczyzna nachylający się nad Arnoldem wydał się jej postacią złowróżbną, bała się go. Miał taki ponury wygląd! A jednak musiała mu przyznać niezwykłą zręczność. Jego długie, giętkie palce przebiegły szybko całe ciało rannego, zatrzymując się na spuchniętych ranach po razach zadanych biczem. Niektóre z tych ran ropiały. Głuchym głosem zażądał miski z czystą wodą, następnie wina. W mgnieniu oka podano mu, o co prosił. Sara i Mahaut wisały spojrzeniem na jego ustach niemal tak jak Katarzyna.

Umył ręce, zanim dotknął twarzy Arnolda. Uniósł mu powieki i długo badał chore oczy. Wydał z siebie lekki świst.

- Czy... czy to poważna sprawa? - spytała nieśmiało Katarzyna.

- Nie umiem pani powiedzieć. Kilkakrotnie widziałem już podobne przypadki ślepoty u więźniów. To schorzenie bierze się, jak sądzę, z zepsutego pożywienia, jakim karmi się uwięzionych. Hipokrates nazywał je keratis.

- Czy... czy to znaczy, że zawsze już będzie niewidomy? - zapytał teraz Xaintrilles tak zaniepokojonym głosem, że Katarzyna instynktownie wyciągnęła doń rękę. Ale rabin Mosze potrząsnął czarnymi warkoczykami.

- Któż może to wiedzieć? Niektórzy pozostają ślepi, inni odzyskują wzrok, czasem nawet w niedługim czasie. Dzięki Najwyższemu wiem, jak należy leczyć, i mam szansę na powodzenie.

Cały czas mówiąc, zabrał się do dzieła. Obmył starannie wszystkie rany winem, następnie nasmarował je maścią sporządzoną z baraniego łożu, proszku z kadzidła i terpentyny. Wreszcie nałożył bandaż z delikatnego płótna. Na oczy chorego rabin Mosze ben Jehuda nałożył kataplazm z liści belladony i oleju palmowego, zalecając, by zmieniano okład codziennie.

- Proszę go karmić kozim mlekiem i miodem - rzekł na koniec. - Musi być zachowana nieskazitelna higiena. Jeśli będzie cierpiał, proszę mu dać kilka ziaren maku. Zostawię wszystko, co trzeba. Wreszcie, módlcie się do Pana, aby się zmiłował nad wami, tylko On bowiem może wszystko, tylko On włada życiem i śmiercią.

- Ale - rzekła Katarzyna, która zbliżyła się do Arnolda, gdy tylko lekarz odsunął się od niego, i wzięła jedną z jego rąk w swoje - będzie pan przychodził co dzień go zbadać, nieprawdaż?

Rabin Mosze uśmiechnął się z goryczą i nie odpowiedział. Zamiast niego zabrał głos zażenowany Jakub Coeur:

- Niestety, ta wizyta będzie ostatnia. Rabin Mosze wraz ze swymi współwyznawcami muszą opuścić nasze miasto dziś w nocy! Rozkaz króla jest kategoryczny: o wschodzie słońca wszyscy Żydzi muszą być poza murami miasta, pod karą śmierci. Już i tak zatrzymałem rabina Moszego, który miał właśnie wyjeżdżać!

Po tych słowach zapanowała śmiertelna cisza. Katarzyna wstała powoli i spoglądała kolejno to na Jakuba, to na lekarza.

- Ale... dlaczego wydano taki rozkaz? Odpowiedział jej jadowity głos Xaintrilles'a:

- Dlatego, że La Tremoille nigdy nie ma dosyć złota. Udało mu się wreszcie uzyskać, jak widzę, ten edykt wymierzony w Żydów. Wygania się ich, ale, oczywiście, nie wygania się ich złota. Muszą wyjechać, nie zabierając swych dóbr. Jutro kufry La Tremoille'a będą pełne! I przypuszczam, że gdy je opróżni, weźmie się za następnych, na przykład za Lombardczyków.

Ta wieść, która dotyczyła jej tylko pośrednio, była jednak dla Katarzyny ową kroplą, która przelała kielich. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Wstrząsana gwałtownym szlochem upadła u stóp łóżka, wydając nieartykułowane okrzyki. Całe jej ciało trzęsło się i skręcało, czasami sztywniejąc w czymś w rodzaju bolesnego skurczu. Sara podbiegła do niej i próbowała ją podnieść, ale na próżno. Złapała się jednej z kolumnienek łóżka i trzymała się jej kurczowo. Dał się słyszeć jej jęk:

- La Tremoille! La Tremoille! Nie chcę więcej... słyszeć tego nazwiska!... Nie chcę więcej... Nigdy... Nigdy! On nas wszystkich rozszarpie... Trzymajcie go! Trzymajcie go! Nie widzicie, jak się śmieje tam w cieniu... Zatrzymajcie...

Lekarz energicznie postawił na ziemi sakwę, którą już uprzednio wziął, i ukląkł przy młodej kobiecie. Ujął jej głowę i masował łagodnie, szepcząc po hebrajsku słowa ukojenia czy egzorcyzmy. Katarzyna zmagала się z wewnętrznym demonem, ale zaczęła się uspokajać pod giętkami

dłońmi rabina Moszego. Jej ciało rozkurczyło się, potoki łez trysnęły z oczu i niepostrzeżenie wyrównał się oddech.

- To dla niej zbyt wiele! - rzekł spokojnym głosem mistrz Jakub. - Już tyle wycierpiała z powodu tego mężczyzny.

- Niestety, nie tylko ona - rzekł ponuro Xaintrilles. - W całym królestwie ludzie cierpią i płaczą za przyczyną La Tremoille'a...

Na twarzy kuśnierza zastygł gorzki uśmiech, natomiast jego głos nabrał pogardliwej barwy:

- I kapitanowie, żołnierze tolerują to? Jak długo jeszcze, wielmożny panie, pan i panu podobni pozwalacie na wszystko temu nędznikowi?

- Tak długo, jak to będzie konieczne, mistrzu Jakubie, może pan być tego pewien! - odparł ostro kapitan. - Trzeba mieć czas na zebranie odpowiedniej liczby myśliwych, tak aby mogli zagonić dzika do legowiska. Na razie myśliwi są rozproszeni. Trzeba, żeby wrócili z czterech stron świata.

Atak Katarzyny dobiegi końca. Oparta na ramieniu Sary, wstała, nieco zawstydzona, że tak sobie pofolgowała. Mahaut chciała ją zaprowadzić do łóżka, ale odmówiła.

- Teraz już mi lepiej. Zostanę przy nim. Nie będę mogła usnąć tej nocy, czuję to. Gdyby miał...

Nie śmiała jednak do końca wyrazić swej obawy, że mogłoby jej tutaj nie być, gdyby Arnold miał zgasnąć w nocy, ale Xaintrilles zrozumiał i tak.

- Będę czuwał razem z tobą, Katarzyno. Śmierć nie odważy się wydrzeć go nam obojgu.

Całą noc Katarzyna, Sara i Xaintrilles zmieniali się u wezłowania Arnolda, nasłuchując jego oddechu, wypatrując najdrobniejszych oznak zasłabnięcia. Dwa lub trzy razy oddech rannego się zatrzymał i natychmiast stawało również na chwilę serce Katarzyny. Mimo zmęczenia spędziła wiele godzin na kolanach, modląc się gorąco, podczas gdy Sara czy Xaintrilles kolejno czuwali. Ta noc nabrała dla niej znaczenia symbolu. W rozpacz i niepokoju przekonywała siebie samą o doniosłości tych godzin, które upływały tak wolno. „Jeśli dożyje do świtu - pomyślała - będzie uratowany”. Ale czy będzie jeszcze żył, gdy słońce oświetli na nowo ziemię? Na odchodnym rabin Mosze nie ukrywał, że skrajne osłabienie Arnolda stanowi największe niebezpieczeństwo. Podał mu kilka łyżek mleka z miodem, następnie, dla zapewnienia mu spokojnego wypoczynku, napoił go naparem z maku. Katarzynę niepokoił jednak najbardziej całkowity bezruch chorego. Wydawało się, że wystarczy jakiś drobiazg, by zgasło wąż światelko jego żywota, które jeszcze się w nim tliło.

Xaintrilles również niewiele spał. Usiadł na stołku, łokcie oparł na kolanach, a ręce splótł i trwał w tej pozycji godzinami, wpatrując się w przyjaciela. Od czasu do czasu się odzywał, jak gdyby za pomocą słów mógł dodać sobie otuchy i nadziei.

- Wyjdzie z tego - mówił z przekonaniem, które czerpał z samego siebie. - Nie może być inaczej. Przypomnij sobie Compiegne, Katarzyno. Tam również uważaliśmy, że on nie żyje!

Od czasu do czasu jednak przymykał oczy i wycierał je pięściami chyba po to, by nie pozwolić wypłynąć łzom, a może i dlatego, że nie mógł już wytrzymać widoku tego bezwładnego ciała, tej twarzy z



zabandażowanymi oczami. Na zewnątrz, niczym ponury kontrapunkt, słychać było odgłos kroków wygnańców, którzy - niosąc dozwolone ilości dobytku - kierowali się w stronę Ornoise. Ilu z nich dotrze do Beaucaire czy Carpentras, miast na południu, gdzie wspólnota żydowska była potężna i tolerowana?

Koguty piały na długo przed nastaniem dnia. Dzwony klasztoru Świętego Jakuba wydzwoniły prymę. Potem, niepostrzeżenie, niebo zaczęło jaśnieć. Wreszcie od wschodu pojawiła się na horyzoncie jasna plama i coraz bardziej się powiększała, aż całkowicie wyparła noc. Na murze obronnym rozległ się dźwięk trąbki, zapowiadając otwarcie bram miasta i zmianę warty...

W tej samej chwili Arnold się poruszył.

Jego ręce namacały prześcieradło, którym był przykryty, następnie uniosły się, rozwarte, wyciągnięte przed siebie instynktownym gestem niewidomych. Katarzyna i Xaintrailles - stojący po obydwu stronach łóżka - patrzyli na to bez tchu. Młodą kobietę bolało serce, tak mocno tłukło się w jej piersi. Czy czar nie pryśnie, jeśli uczyni jakiś ruch? Ale usta Arnolda poruszyły się szybko. Wybełkotał jak ktoś głęboko uśpiony:

- Noc!... Ciągle ta noc!

Napięcie w piersi Katarzyny ustąpiło w jednej chwili. Złapała jedną z tych błędzących bezradnie rąk, przycisnęła ją do piersi i, nachylając się, zapytała łagodnie:

- Czy słyszysz mnie, Arnoldzie? To ja... Katarzyna.

- Katarzyna?

Nagle szczęki rannego zacisnęły się, wyrwał swoją rękę spomiędzy trzymających ją dłoni.

- Czego jeszcze chce pani ode mnie? - szepnął. - Jaka nową pułapkę przygotowaliście dla mnie?... Czy nie wiesz... że tracisz czas?... Nie kocham pani! Pogardzam panią! Brzydzę się panią!

Katarzyna zachwiała się, jakby opuściły ją wszystkie siły. Ale ponad łóżkiem jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Xantrilles'a i wyczytała w jego oczach cień uśmiechu.

- Bierze cię za tę drugą! - rzekł. - Milutka małżonka de La Tremoille'a także ma na imię Katarzyna, wiesz o tym dobrze. Musiała złożyć mu w więzieniu kilka wizyt. Pozwól, Katarzyno.

Teraz on nachylił się nad przyjacielem, kładąc swe potężne dłonie na jego kościstych ramionach.

- Posłuchaj mnie, Montsalvy!... Jesteś już bezpieczny. Twoje więzienie jest daleko stąd. Poznajesz mnie? Jestem Xaintrilles, twój towarzysz broni, twój przyjaciel... Słyszysz?

Ale głowa Arnolda opadła na bok, a usta nie wypowiadały już zrozumiałych dźwięków. Chwila przytomności była krótkotrwała. Ciemności ponownie ogarnęły umysł rannego. Xaintrilles wyprostował się i, uprzedzając skargę Katarzyny, spojrział na nią z nieustępliwą miną.

- On nas nie słyszy, ale to przejściowe. Niedługo odzyska zmysły. Obszedł dookoła łóżko, złapał Katarzynę za ramiona, nie chcąc widzieć łez, które toczyły się po jej policzkach.

- Zakazuję ci tracić nadzieję, słyszysz mnie, Katarzyno, Uratujemy go we dwoje albo pójdę do klasztoru! Wytrzymaj oczy, idź spać, nie możesz się już utrzymać na nogach! Ktoś cię zastąpi. Ja wracam teraz do siebie, ale wrócę tu wieczorem... Ech, ty tam!

Ten końcowy okrzyk skierowany został do Sary, która była w kuchni i teraz pojawiła się na progu z garnuszkiem mleka. Ostry ton szlachcica oburzył ją.

- Na imię mi Sara, wielmożny panie!

- Niech ci będzie, Sara! Spróbuj zająć się swoją panią! Połóż ją do łóżka, choćby siłą! A potem idź i poszukaj mi tego wielkiego nicponia, który wygląda jak wieża, i postaw go na straży przy kapitanie Montsalvym.

Z tymi energicznymi słowami Xaintrailles ucałował Katarzynę i zniknął, starając się jak najbardziej pohamować swój hałaśliwy sposób bycia. Nie wytrzymał jednak i trzasnął na odchodnym drzwiami. Sara wzruszyła ramionami i zrzędząc, podała Katarzynie filiżankę mleka.

- Co on sobie wyobraża? Nie potrzebuję, żeby mi mówił, jak mam się tobą opiekować! Ale co do reszty, to ma rację. Wielmożny pan de Montsalvy nie mógłby mieć lepszego strażnika od Waltera. Myślę, że on jeden sam powstrzymałby cały szwadron żołnierzy.

- Przypuszczasz, że mamy się tu czego obawiać?

- Zawsze jest się czego obawiać! La Tremoille będzie na pewno chciał odszukać więźnia i pomścić szkody, jakich dokonano w zamku. Pan Xaintrailles nie jest zanadto dyskretny i nie umie się przebierać. Mimo że ma na sobie łachmany i nosi brodę, z daleka można w nim poznać dowódcę. Dziwię się nawet, że żołnierze na warcie dali się nabrać. Pewnie byli pijani albo niedowidzieli!

Słysząc było, jak dom budzi się do życia. Schody skrzypiały od kroków domowników, a z kuchni dobiegał hałas przesuwanych kotłów. Wejściowe drzwi otworzyły się i zamknęły. Ktoś wyszedł. Zapewne

Bronia udawała się na mszę, Arnold leżał uśpiony w swym łóżku.

Wreszcie i Katarzyna zgodziła się zrobić to samo.

Przez pięć dni i pięć nocy Katarzyna nie opuszczała pokoju Arnolda. Kazała sobie położyć materac w kącie i spała dwie, trzy godziny, kiedy już naprawdę ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Sara trwała przy niej niemal bezustannie i co wieczór wracał też Xaintrailles - tak dyskretnie, jak tylko umiał, aby nikt nie dziwił się jego częstym wizytom u kuśnierza.

Natomiast Walter spędzał noce, leżąc w poprzek drzwi i wchodził do pokoju tylko wtedy, gdy go o to proszono. Wydawało się też, że czyni to niechętnie i nigdy nie zatrzymuje się na dłużej. Spiesznie wykonywał najdrobniejszy z rozkazów Katarzyny, ale nigdy się nie uśmiechał i prawie nigdy nie było słycać jego głosu. Sara natychmiast postawiła diagnozę:

- Jest zazdrosny!

Zazdrosny? To było możliwe! Katarzyna przez chwilę odczuła przykrość z tego powodu, ale nie była w stanie w ciągu tych pełnych niepokoju dni interesować się dłużej czymkolwiek oprócz Arnolda, więc nawet nie podchwyciła tematu. Ona i Xaintrailles wydali nieubłaganą walkę śmierci, w czym pomagały im Sara i Mahaut. Rodzina Coeurów nieskończenie taktownie nie pokazywała się na górze, tylko dwa razy dziennie zasięgała informacji. Wokół dramatu, jaki rozgrywał się w pokoju na drugim piętrze, dom prowadził swoje zwykłe życie, jednostajne i bezbarwne, chodziło bowiem o to, by nie zwracać niczyjej uwagi. Aby zwiększyć bezpieczeństwo, Jakub Coeur wysłał nawet poetę Alaina Chartiera na jedną ze swych ferm, zaczął on bowiem zalecać się do służącej, co mogło być niebezpieczne.

Gorączka utrzymywała się stale, wstrząsając wycieńczonym ciałem Arnolda, który przechodził kolejno od niemal frenetycznego delirium do całkowitego odrętwienia, od wyczerpującej walki z niewidocznymi wrogami do tragicznego znieruchomienia, kiedy to jego oddech stawał się niemal niewyczuwalny. Katarzyna ze ściśniętym sercem myślała wtedy, że nadszedł jego koniec, i tęskniła do tych chwil, gdy miotał się w gorączce. Nieustannie go pielęgnowała, co dzień zmieniając kataplazm z ziół na oczach chorego i dziękując Bogu, jeśli Arnold przyjął nieco pożywienia.

Niepokoiliła się nie tylko stanem Arnolda. Wyczyn Xaintrailles'a w zamku Sully miał oczywiście pewne reperkusje. Na szczęście dla rudowłosego kapitana La Tremoille nie wiedział, kto zabił jego ludzi i podpalił majątek, jako że Xaintrailles zatroszczył się o to, by zatrzeć ślady. Wszyscy uważali, że jakiś przywódca bandy zaskoczył obronę zamku i porwał więźnia, którego tożsamości strzegł dziwnie tym razem dyskretny szambelan.

- Nawet jeśli La Tremoille nie ma pewności, że ja jestem sprawcą - zwierzał się Xaintrailles Katarzynie - to na pewno to podejrzewa i mogę oczekiwać jakiejś pułapki. Dlatego co wieczór wychodzę z domu wyłącznie w przebraniu służącego i po krótkim pobycie u dwórki jednej z moich przyjaciółek, której mieszkanie ma zrećźnie ukryte wyjście, idę do was.

Xaintrailles czerpał niewątpliwą przyjemność z tego, że oszukuje grubego szambelana, i to właśnie niepokoiło Katarzynę. Czy jej życie i życie Arnolda nie było stawką w tej śmiertelnej partii gry w chowanego? A gdzie ukryć w razie potrzeby rannego, jeśli dom rodziny Coeurów stanie się podejrzany? W piwnicy? Gdy Arnold zaczynał majaczyć, krzyczał tak,

że trząsał się sufit i trzeba było poutykać wszystkie szczeliny w pokoju, by nie wzbudzać ciekawości przechodniów.

Ale o świcie szóstego dnia, gdy Katarzyna modliła się gorąco przed obrazem Najświętszej Panny, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach, a Xaintrilles stał w nogach łóżka, przeciągając się jak duży kocur, jakiś głos słaby, lecz wyraźny, przerwał modlitwę młodej kobiety. Kapitan zadrżał.

- Nosisz teraz brodę? Wiesz, jak okropnie z tym wyglądasz?

Z ust Katarzyny wydobył się stłumiony okrzyk. Zerwała się z klęcznika. Arnold, lekko uniesiony na przedramieniu, patrzył na przyjaciela z uśmiechem bladym, ale zdecydowanie kpiącym. Zerwał bandaż z zaczerwienionych jeszcze oczu - najwidoczniej widział. Xaintrilles wykrzywił się komicznie, a jego brązowe oczy zalśniły wesoło.

- Mam wrażenie, że postanowiłeś wrócić do świata żywych - rzekł głosem, w którym pobrzmiwały nutki z trudem powstrzymanej emocji.

- A taki mieliśmy spokój, prawda, Katarzyno?

- Katarzyno?

Ranny odwrócił głowę w tę stronę, w którą spoglądał Xaintrilles, ale młoda kobieta, śmiejąc się i łkając, padła już na kolana obok łóżka. Niezdolna wypowiedzieć choćby sylaby, chwyciła rękę Arnolda i przycisnęła ją do swego zalanego łzami policzka, pokrywając ją pocałunkami.

- Moja droga! - wybełkotał poruszony Montsalvy. - Moja słodka Katarzyna! Jakim cudem? Czy Bóg pozwolił, abym mógł cię jeszcze zobaczyć? Nie na próżno więc krzychałem do niego z głębi mego więzienia? Jesteś tutaj? To naprawdę ty? To nie sen, prawda? Jesteś tu naprawdę...

Ze straszliwym wysiłkiem próbował unieść się jeszcze, by przyciągnąć ją do siebie, a po jego wychudłej twarzy spływały grube łzy. Katarzyna nigdy nie widziała go płaczącego, jego, dumnego Montsalvy'ego. Te łzy, które świadczyły o miłości do niej, wydawały się jej sto razy cenniejsze niż najdroższe prezenty. Płakał z radości, płakał dla niej, z jej powodu! Przepojona czułością, objęła ramionami jego kościste ramiona, przyciskając drżące usta do policzka Arnolda.

- Jestem naprawdę, tak jak i ty jesteś, mój ukochany! Niebiosa jeszcze raz uczyniły dla nas cud... A teraz już nigdy nikt nas nie rozdzieli...

- Tego należałoby sobie życzyć! - mruknął Xaintrilles nieco rozzłoszczony faktem, że pozostawał na drugim planie. - Do diaska! Czy ktoś widział większą miłość z przeszkodami?

Ale na próżno się odezwał. Arnold nie słuchał. Ujął twarz Katarzyny i pokrywał ją bezładnymi pocałunkami, szepcząc słowa niedorzeczne i czułe. Jego drżące z bezrozumnej radości ręce czepiały się młodej kobiety, głaskały jej gładkie policzki, starannie ułożone warkocze, wodziły po szyi i ramionach, jak gdyby chciały zapoznać się na nowo z tym ciałem, od tak dawna upragnionym, a prawie zapomnianym. Katarzyna szczęśliwa, a zarazem zawstydzona przyjaźnie kpiącym spojrzeniem Xaintrilles'a, łagodnie się broniła.

- Jesteś jeszcze piękniejsza niż kiedyś - wyszeptał ranny ochryple.

Nagle odsunął ją od siebie.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę. Tak błagałem niebiosa, żeby mi ciebie zwróciły, zanim dokonam żywota. Wiesz, tego się najbardziej obawiałem w więzieniu, że zdechnę jak chore zwierzę i nie zobaczę przedtem twoich oczu, nie dotknę twych pięknych włosów i twego ciała...

Zmusił ją, by wstała, i przyglądał się jej chciwie, jak gdyby pragnąc raz na zawsze nasycić się tym widokiem. Gdy jednak zatrzymał wzrok na pogrubiącej talii, jego twarz pobladła jeszcze bardziej. Musiał odchrząknąć, aby z krtani wydobył się głos:

- Jesteś...

- Mój Boże, tak - uciał z szerokim uśmiechem Xaintrilles, który natychmiast się domyślił, jakie podejrzenie powziął przyjaciel. - Jeśli Bóg zechce, będziemy mieli na wiosnę małego Montsalvy'ego!

- Małego... Montsalvy'ego? Ale jak to możliwe? Katarzyna, purpurowa ze wstydu i dumy, wyjaśniła:

- Pamiętasz noc w Rouen... Na barce Jana Sona...

Twarz Arnolda ponownie się zaróżowiła, a jego czarne oczy zalśniły z radości. Gwałtownym gestem, który wyrwał jęk z jego piersi, wyciągnął do Katarzyny ramiona:

- Syn! Dasz mi syna! Moja miłości... serce moje! Nie mogłaś mi sprawić większej radości!

Była to chyba radość zbyt wielka jak na wątłe siły chorego, gdyż Katarzyna uczuła nachylając się ku niemu, że zawisł bezwładnie w jej ramionach. Po raz pierwszy w życiu Arnold de Montsalvy zemdłał z wrażenia. Katarzyna wpadła w popłoch, natomiast Xaintrilles, uniósłszy brew, przypatrywał się scenie raczej osłupiały niż niespokojny.

- Nigdy bym nie przypuszczał - rzekł - że to robi na nim takie wrażenie! Stanowczo coś się zmieniło od chwili, gdy się pogodziliście.

Katarzyna była zajęta przykładaniem zimnej wody do czoła Arnolda, dosłyszała jednak w głosie kapitana gorycz.

- Co przez to rozumiesz, Janie? Czy ta zmiana wydaje ci się niekorzystna? Obawiasz się, że miłość zmieni twego przyjaciela?



Ale Xaintrailles już się uśmiechnął. Wzruszył w odpowiedzi ramionami:

- Do diabła, nie! Nigdy niczego takiego nie pomyślałem! Może jestem tylko trochę zazdrosny o ciebie. Ale jeśli uda ci się zrobić z tego dzikusa ludzką istotę, to będzie jednak dobra robota.

Wiść o powrocie Arnolda do życia obiegła dom lotem błyskawicy. Wszyscy po kolei przychodzili przez cały dzień zobaczyć tego, którego uważano już poniekąd za widmo. Pierwsza przyszła Sara, która miała zastąpić Katarzynę u wezglowia chorego. Ze łzami w oczach ucałowała rękę Montsalvy'ego. Nie zapomniała nigdy, że z narażeniem życia wyprowadził ją niegdyś z płonącego domu w Loches. Żywiła dlań wdzięczność wiernego psa, skądinąd lekko zabarwioną zatroskaniem. Zbyt długo trwały nieporozumienia między nim a Katarzyną, aby wierna Sara nie miała obawiać się wyniosłego i trudnego usposobienia wielkiego pana, chociaż rozumiała jego chmurną dumę i swoiste poczucie honoru. Bała się go i zarazem podziwiała, a ponieważ szczęście Katarzyny było w jego rękach, ona, Sara, chciała służyć Arnoldowi i czcić go.

Następny był Jakub Coeur. Montsalvy wyraził mu głęboką wdzięczność, aczkolwiek była to wdzięczność człowieka dumnego - mężczyzny, który zna cenę ryzyka, jaką kupiec ponosił dla tych, którzy, w sumie, byli dla niego niczym. Dla Broni znalazł słowa miłe, przepelnione serdeczną wdzięcznością i wykwinną uprzejmością.

- Zawdzięczam pani więcej niż własne życie, ponieważ zaofiarowała pani schronienie i opiekę tej, która jest dla mnie droższa niż cały świat doczesny i ten, który nas przyjmie po śmierci. Dziękuję, że była pani tak dobra i gościnna dla mojej słodkiej Katarzyny - zakończył.

Nawet stara Mahaut usłyszała słowa wdzięczności i opuściła pokój ujęta urokiem tego, którego pielęgnowała, gdy był w tak ciężkim stanie. W tej defiladzie zabrakło tylko Waltera. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, ale przecucie zaprowadziło Katarzynę do nory, w której mieszkał Walter, w głębi dziedzińca nad stajniami.

Zastała go siedzącego na słomianej macie, z przygarbionymi plecami i rękami na kolanach. Obok leżał mały węzełek. Tym, co ją najbardziej uderzyło, była rozbijająca mina porzuconego, jaką przybrał olbrzym. Siedział nieruchomy i smutny niczym duże dziecko skarcone przez matkę, które nie wie, jak ma się zachować. Gdy Katarzyna podeszła, uniósł w jej stronę strapioną twarz. Mogłaby przysiąc, że płakał. Czy miała oglądać w tym samym dniu płaczących dwóch mężczyzn, których uważać mogła za najbardziej niewrażliwych? Nie chcąc pozwolić sobie na rozczulenie, spytała dość ostro:

- Dlaczego nie odpowiadasz, gdy się ciebie woła? Szukamy cię od rana. Schowałeś się?

Potrząsnął powoli dużą głową i zacisnął dłonie. To był również jej gest, bowiem w chwilach wielkiego strapienia czy gwałtownych emocji tak ścisnęła ręce, aż białły stawy.

Widok ten wywołał w Katarzynie uczucie zrozumienia bliskie czułości. Usiadła obok olbrzyma, na skraju słomianki, i wskazała palcem węzełek.

- Chciałeś wyjechać, prawda? Czy już znużyła cię służba u mnie?

- Nie, pani Katarzyno, ale nie potrzebuje mnie pani teraz, kiedy odnalazła pani swego prawdziwego obrońcę. On jest ojcem pani dziecka, nieprawdaż?

- Oczywiście! Ale nie wiem, czemu by to miało zwalniać cię ze służby u mnie. Przypomnij sobie, co powiedziałeś w Louviers: „Nawet pani zawsze potrzebuje wiernego psa”. Czyż nie tak? Nigdy cię zresztą, jeśli sobie przypominam, nie traktowałam jak psa, raczej jak przyjaciela. Swoim oddaniem skądinąd na to zasłużyłeś.

Walter opuścił głowę. Stawy jego dłoni zbieleły.

- Pamiętam to wszystko i wtedy mówiłem szczerze. Teraz też jestem szczery i moim najgorętszym pragnieniem jest nadal pani służyć, ze wszystkich sił... Tylko boję się...

Młoda kobieta skrzywiła się z nieznaczną pogardą.

- Boisz się? Co za dziwne słowa w twoich ustach! Myślałam, że potomkowie królów morza nie obawiali się niczego na tym padole płaczu?

- Ja też tak myślałem, pani Katarzyno. I nadal myślę, że nie ma takiego wroga, którego bym się obawiał. Ale... ja boję się pani. Proszę, niech mi pani pozwoli odjechać, błagam...

Coś zadrżało w sercu Katarzyny. Ona też nagle się przestraszyła, że utraci takiego obrońcę, jak Walter, do którego opieki była przyzwyczajona. Jeśli on odejdzie, nie będzie już tak jak przedtem. Trzeba, aby pozostał, zebrała zatem całą wolę, by wygrać z nim tę walkę za wszelką cenę.

- Nie - powiedziała łagodnie, lecz dobitnie. - Nie pozwolę nigdy, żebyś mnie opuścił. Możesz uciec, ponieważ nie mam tyle siły, by cię zatrzymać. Ale nie dam ci nigdy zgody. Potrzebuję cię, cokolwiek byś myślał na ten temat, i coś mi mówi, że zawsze będziesz mi niezbędny, ponieważ w całym moim bezładnym życiu nauczyłam się doceniać takie oddanie jak twoje. Powiadasz, że odnalazłam swojego naturalnego obrońcę? To prawda, w pewnym sensie. Ale on jest teraz osłabiony, niezdolny nawet do uniesienia miecza, którym niegdyś tak dobrze władał.

Jesteśmy wyklęci, prześladowani, zagrożeni ze wszystkich stron. Nie możemy zrobić nawet trzech kroków na ulicy, żebyśmy nie zostali rozpoznani i uwięzieni. Spodziewam się dziecka. Bóg jeden wie, w jakich warunkach ono przyjdzie na świat! I taką właśnie chwilę wybrałeś, by mnie opuścić? Powiadasz, że boisz się mnie? A ja jeszcze bardziej boję się tej drogi, którą przyjdzie mi przemierzać, jeśli nie będziesz u mego boku, ty, który usuwasz wszystkie przeszkody. Decyzja należy do ciebie.

Siedział dalej z uparcie opuszczoną głową. Katarzyna doznała takiego uczucia, jakby natknęła się na gładki mur, o który nie można się zaczepić.

- Powiedziałem, że się pani boję - rzekł głucho Walter - I muszę dodać, że boję się też samego siebie. Już raz... pamięta pani... o mało nie zapomniałem, kim pani jest i kim ja jestem. To wspomnienie zatruwa mi życie... bo jest zbyt słodkie, i boję się, że znowu kiedyś mogę ulec pokusie.

Katarzyna wstała i oparła ręce na ramionach olbrzyma, zmuszając go, by na nią spojrzał.

- A ja ci powiadam, że więcej ci się to nie zdarzy, że będziesz umiał wyjść naprzeciw zaufaniu... całkowitemu, jakie w tobie pokładam. Proszę cię o to... a nawet błagam, jeśli tego oczekujesz: zostań przy mnie! Nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję. Nie wiesz, jak bardzo boję się przyszłości!

Jej głos załamał się na ostatnich słowach, a łzy napłynęły jej do oczu. Tego już Walter nie mógł wytrzymać. Tak jak w dniu, gdy uratowała go od śmierci i gdy przysiągł jej wierność, ukląkł przed nią.

- Niech mi pani wybaczy. Każdy ze śmiertelników miewa chwile słabości. Zostanę.

- Dziękuję ci. A teraz chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do tego, którego byłeś gotów nienawidzić, nie znając go. On także godny jest tego, byś mu służył i...

Na progu Walter zatrzymał się jednak, choć Katarzyna ciągnęła go za rękę.

- Chciałbym, żebyśmy się zrozumieli. Ja należę do pani i do nikogo więcej. Będę służył pani... nikomu innemu. Zapewne kiedyś, a może wkrótce, zostanie pani jego żoną, ale będę służył tylko pani... aż do dnia, w którym powie mi pani, abym odszedł. Do czasu pani pojawienia się byłem człowiekiem wolnym. Mam zamiar nim pozostać dla każdego, kto nie jest panią. Ale... jeszcze pani ma czas, by pozwolić mi odejść.

Co za upór! Katarzyna omal się nie obraziła; ogarnęła ją fala gniewu. Odgadywała mgliście, że fanatyczne oddanie Waltera nie będzie się zbyt podobało Arnoldowi, że z pewnością wystąpią zadrażnienia między tymi dwoma mężczyznami, z których każdy kochał ją na swój sposób. Nie zdobyła się jednak na odrzucenie Normandczyka, który pod wieloma względami był do niej podobny. Nie miała bowiem złudzeń co do poloru arystokratycznego, który zdobyła dzięki uporowi jej nieżyjącego męża Garina de Brazeya i poprzez wymagającą miłość Filipa Burgundzkiego. Walter był jej bliższy z całą swoją dzikością, instynktem leśnego zwierzęcia, niż wielcy panowie, którzy podnieśli na wyżyny córkę Gauchera Legoixa, jubilera z Pont-au-Change, dziewczynę, która biegła niegdyś boso po nabrzeżach Sekwany.

Z westchnieniem przystała na swoją połowiczną porażkę.

- Dobrze - rzekła. - Będzie tak, jak chcesz!

Mimo to pierwsze spotkanie obu mężczyzn wypadło lepiej, niż myślała. Arnold przyjrzał się w zamyśleniu olbrzymowi wyprostowanemu

w nogach łożka. Przyzwyczajony do postawnych mężczyzn służących w wojsku, kapitan straży królewskiej musiał przyznać, że rzadko spotykał takie okazy i nie ukrywał tego.

- Jesteś stworzony, by nosić zbroję - rzekł. - Mężczyźni, którzy niegdyś wyzwali Święty Grób pod wodzą Boemunda i Tankreda, musieli być podobni do ciebie jak dwie krople wody.

- Jestem Normandczykiem! - odparł Walter nie bez dumy, jakby samo to stwierdzenie zawierało wszystko.

Dumna ta odpowiedź spodobała się Montsalvy'emu. Waleczny i dumny, lubił ludzi wyniosłych, nawet jeśli byli skromnej kondycji.

- Wiem o tym! - rzekł po prostu. Następnie, pchnięty jakimś niejasnym impulsem, którego nie umiałby wytłumaczyć - być może niewyraźnym pragnieniem przywiązania do siebie tego niezwykle człowieka - dodał: - Czy zechcesz podać mi rękę?

Katarzyna otworzyła szeroko oczy. Żeby dumny, niemal wyniosły Arnold wyciągał rękę do wieśniaka, jak do kogoś równego, było rzeczą zastanawiającą. Jak zareaguje Normandczyk?

Jego surowa twarz pokryła się intensywną czerwienią. Na chwilę zawahał się, widząc tę dłoń tak piękną, mimo że szczupłą. Miotał się między miłością do Katarzyny i pociągami, jaki odczuwał każdy człowiek godny tego imienia do kapitana Montsalvy'ego. Ludzie Arnolda uwielbiali go, chociaż bywał brutalny i często bezlitosny. I temu urokowi Normandczyk poddawał się mimo woli.

Wreszcie wyciągnął swą szeroką dłoń, dotykając ostrożnie ręki Arnolda, jak gdyby to był kruchy przedmiot; palce Montsalvy'ego zamknęły się wokół jego nadgarstka. Wówczas zwyciężony Walter

odwzajemnił przyjazny uścisk i równocześnie ugiął kolano, nie pochylając głowy.

- Dziękuję - rzekł z prostotą Arnold. - Wiem o wszystkim, co ci zawdzięczam, co zrobiłeś dla mojej żony i syna.

Spojrzenie szarych oczu skrzyżowało się ze spojrzeniem czarnych spokojnie, bez gniewnego błysku, którego tak obawiała się Katarzyna. Instynktownie złożyła dziękczynnie ręce, a jej dusza zaśpiewała z radości. Żona!... Arnold nazwał ją swoją żoną! Choć była pewna jego miłości, nigdy nie odważyła się przypisać sobie tego tytułu. Może powiedział to bez zastanowienia?... Ale ten drobny niepokój trwał krótko. Jakub Coeur wszedł właśnie do pokoju, a Arnold rzucił w jego stronę radośnie:

- Mistrzu Coeur, gdy tylko zdołam utrzymać się na nogach, by dojść do domu bożego, będziesz musiał znaleźć nam księdza. Już nadszedł czas, abyśmy się pobrali, i mam nadzieję, że uczynisz mi ten honor i zostaniesz naszym świadkiem.

Kuśnierz uśmiechnął się, ale skłonił głowę w milczeniu.

## Rozdział dziewiąty

# Ja, Arnold

---

W nocy z 27 na 28 grudnia 1431 roku grupka ludzi opuściła dom przy ulicy Auron, by udać się do pobliskiego kościoła Saint-Pierre-le-Guillard. Już dawno minęła pora zgaszenia świateł. Noc była tak czarna jak śnieg był biały, ale okrutny mróz, który panował przez trzy tygodnie, pokrywając lodem kanały miasta i usztywniając nagie gałęzie drzew, pofolgował nieco. Od Bożego Narodzenia Bourges spowite było w biel, zanurzone w ciszy, jak gdyby liczyło uderzenia swego serca i wstrzymywało oddech. Błogosławiona pora, która nastaje co roku wraz z narodzinami Dzieciątka Jezus, spowodowała, że ustały prześladowania i codzienne wizyty w domach składane przez żołnierzy La Tremoille'a. Wszystko to jednak zbyt boleśnie zaciążyło na życiu miasta, aby mogło ono zdobyć się na coś innego niż cisza i spokój w czasie najpiękniejszego ze świąt.

Katarzyna po raz pierwszy od dwóch miesięcy przekroczyła progi domu Jakuba Coeura i z rozkoszą zagłębiała obute w futrzane boty stopy w grubą warstwę śniegu. Przycisnęła mocniej do siebie ramię Arnolda, na którym się opierała.

- To raczej miasto wygląda jak panna młoda, a nie ja - szepnęła z uśmiechem.



W odpowiedzi objął swoją dłonią drobne palce, jakby umyślnie nieprzyobleczone w rękawiczki.

- Przystroiło się specjalnie dla nas - powiedział czule. - Nigdy nie widziałem go piękniejszym. Nigdy też nie kochałem cię mocniej, moja najdroższa...

Obydwoje rozkoszowali się szczęściem bycia razem, gdy tak szli przytuleni, jak zwykła para zakochanych. Dla Arnolda radość była tym większa, że wreszcie odzyskał zdrowie.

Od tego poranka, kiedy trawiąca go dotąd gorączka ustąpiła, rekonwalescencja postępowała szybko. Solidna konstytucja młodego człowieka, która już tyle razy go nie zawiodła, dokonała jeszcze jednego cudu. Był wciąż chudy, ale przynajmniej trzymał się mocno na nogach i prowadził normalne życie, choć brak ruchu i przebywanie w zamknięciu były dla niego trudną próbą.

- Doprawdy, nie jestem stworzony do życia w czterech ścianach - mówił do Katarzyny z komicznym grymasem, przemierzając pokój najpierw wzdłuż, potem wszerz, aby przyzwycząić na nowo mięśnie do normalnego funkcjonowania.

- Wkrótce wypłyniesz na szerokie wody, wiesz o tym dobrze - odpowiedziała z lekkim odcieniem żalu. - Wyjedziemy, jak tylko mistrz Coeur zareczy, że możemy to zrobić bez ryzyka.

- Bez ryzyka! To dziwne sformułowanie, jak dla mnie. Ryzyko, moja piękna pani, zawsze było częścią mego życia i...

- I brakuje ci go, wiem! - dokończyła Katarzyna z urazą.

Było jej niezmiernie trudno, i Jakubowi również, zatrzymać tego ruchliwego młodzieńca, by nie popędził prosto do pałacu królewskiego, gdy tylko odzyskał siły. Mówił wyłącznie o tym, by paść do stóp króla i

usprawiedliwić się, by rzucić wyzwanie La Tremoille'owi, spoliczkować go w czasie obrad rady królewskiej, wyzwać na sąd boży i o tym podobnych bezsensownych pomysłach, które podszeptywało mu jego poczucie honoru, przyprawiając Katarzynę o niewymowną trwogę.

Z tego powodu nie rozwodziła się zbyt nad szczegółami przymusowego pobytu w Champtoce, nad zniewagami, jakich doznała za sprawą Gilles'a de Rais'go. Przede wszystkim przysięga, jaką złożyła Janowi de Craonowi, że nie opowie nikomu o odrażających tajemnicach Gilles'a, zmuszała ją do przemilczenia najważniejszego, co więcej, w ich obecnej sytuacji było rzeczą bezużyteczną, a nawet niebezpieczną, podsycać gniew Arnolda. I tak poprzysiągł, że zapyta pana de Rais'go o przyczyny jego zachowania względem Katarzyny, ale udało jej się wytłumaczyć mu, że sprawa Gilles'a była ściśle związana ze sprawą La Tremoille'a, że jedna zależała od drugiej i że będzie czas na zajęcie się sojusznikami szambelana, gdy ten zostanie już pokonany. W tym przypadku to Xaintrailles'owi udało się przywieść wreszcie przyjaciela do rozumu.

- Twój honor może zaczekać, mój synu, a La Tremoille też nic nie straci na tym, że poczeka. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że na lisa poluje się inaczej niż na dzika czy wilka? Nie wiesz nawet, co się w tej chwili dzieje w pałacu. Nie dotrzesz nawet do szambelana, bo pierwszej cię zatrzymają, zakują w łańcuchy i wyślą do głębokiego lochu. La Tremoille zna cię od dawna i wie, że będąc na wolności, przede wszystkim zechcesz go zaatakować. Bądź pewien, że przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, a twoja chęć spotkania z królem dowodzi choroby umysłowej.

- Należę do rodu Montsalvych i moje tytuły szlacheckie dają mi prawo do rozmowy z królem, kiedy tego zapragnę. Nie muszę prosić o posłuchanie.

- Twój przyjaciel La Tremoille wie także i o tym. Ale jest on jeszcze potężniejszy, niż myślisz: czy wiesz, że w sierpniu zastawił pułapkę na konetabla de Richemonta i zatrzymał jego trzech emisariuszy: Antoniego de Vivonne'a, Andrzeja de Beaumonta i Ludwika d'Amboise'a? Dwóm pierwszym obcięto głowy, a za trzeciego żąda się okupu. Przypominam ci, że jeśli należysz do rodu Montsalvych, to Vivonne jest Mortemartem, a zatem jest równie wielkim panem jak ty. Dodam jeszcze, że Richemonta również spotkałby ten sam los, gdyby La Tremoille mógł go pojmać. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to La Tremoille dzierży władzę i nie ma zamiaru na razie jej oddać. Czerpie z tego majątek, radość i dumę, a wreszcie może zaspokoić swe pragnienie potęgi. Czy Anglicy, czy Francuzi - jemu jest wszystko jedno, byle on rządził! Wierzaj mi i siedź spokojnie. Odzyskaj siły, zaczekaj na powrót królowej Jolanty... i pozwól, aby La Tremoille popełniał głupstwo za głupstwem. On ciebie szuka; byłby aż nadto szczęśliwy, gdyby mógł cię wreszcie dostać.

Arnold zazgrzytał zębami.

- I Richemont na to pozwolił? A co król na to?

- Król jest pod kontrolą, a Richemont wycofał się, by poczekać na odpowiednią okazję i pokonać wroga. Uczyn tak jak on... i zacznij od odzyskania sił.

Katarzyna odetchnęła z ulgą, wdzięczna Xaintrailles'owi za to kazanie. Gdyby nie on, Bóg wie, do jakiego szaleństwa popchnęłaby Montsalvy'ego jego gorąca krew. Ale wreszcie zrozumiał i przestał wybierać się do pałacu...

Widok potężnych zarysów kościoła, który nagle wyrósł przed Katarzyną, przerwał bieg jej myśli. Szary kamienny płaszcz starej kaplicy przyoblókł się tej nocy dodatkowo w grubą warstwę śnieżnego puchu, pokrywając też białą czapą kwadratowy dach wieży. Czarne gałęzie drzew i pozieleniałe brzegi starej studni kryły się w cieniu potężnych murów romańskich, jakby chciały się ogrzać. Bronia Coeur opowiedziała Katarzynie legendę związaną z tym liczącym już dwieście lat kościołem: jak mulica bogatego żydowskiego kupca Zachariasza Guillarda uklękła pewnego zimowego dnia, takiego jak ten, przed Najświętszym Sakramentem niesionym przez Antoniego Padewskiego. I ani uderzenia, ani gniew starego Żyda nie mogły zmusić mulicy do powstania dopóty, dopóki nie przeszedł tamtędy mnich. Na miejscu tego cudu zbudowano kościół za złoto, które wyłożył Zachariasz, skruszony i nawrócony.

Od czasów dzieciństwa spędzonego w cieniu wież Notre Dame Katarzyna miała upodobanie do legend i niezwykłych historii. Jej ojciec, Gaucher Legoix, opowiadał je często - jednocześnie cyzelując złote i srebrne oprawy do ewangeliarzy - wyłącznie po to, by zobaczyć złociste światełka w zachwyconych oczach córki.

Dziś wieczór, przekraczając wilgotne progi kościoła, Katarzyna myślała o ojcu z bolesną melancholią. Łagodny Gaucher, który lękał się widoku krwi, został powieszony, gdyż Katarzyna ukryła w piwnicy starszego brata tego Arnolda, który za chwilę zostanie jej mężem. Nigdy jubiler z Pont-au-Change nie myślał o takiej przyszłości dla swej córeczki, o losach olśniewających i burzliwych, które przypadły jej w udziale. I zapewne dobrze się stało, pomyślała, jako że nie była zbyt pewna, czy Gaucher Legoix cieszyłby się z tego.

W kościele było ciemno, z wyjątkiem słabego światełka w kaplicy przy apsydzie. Jakub Coeur i Bronia, którzy szli na czele orszaku, skierowali się bez wahania w stronę tego światełka. Katarzyna zadrżała. Spod romańskich sklepień powiało chłodem na ramiona, jakby opadło na nie wilgotne prześcieradło. Przypomniało to jej inną kaplicę, inny zimowy dzień, dziewięć lat temu. Tego dnia miała na sobie królewskie klejnoty, bogate szaty, ale jej serce było zlodowaciałe ze strachu i rozpacz. Tego dnia również padał śnieg na miękkie pagórki równiny nad Saone, która rozciągała się tak daleko, jak okiem sięgnąć. Tego dnia z rozkazu książęcego poślubiła z beznadziejną rozpaczą, nosząc w sercu obraz kogoś innego, Garina de Brazeya, wielkiego skarbnika Burgundii. Jakże odmienny był dzień dzisiejszy!

Nie miała cudownej szaty ani drogich strojów, ani szlachetnie urodzonego towarzystwa, ani oświetlonej jasno kaplicy. Ubrana była w zwykłą suknię z zielonej wełny, obramowaną czarnym aksamitem, w której poruszała się lekko, szeroki płaszcz z kapturem, uszyty z czarnego sukna i podbity popielicami - prezent od Broni na to lodowate wesele. Wokół niej byli tylko serdeczni przyjaciele, a przede wszystkim poślubiła mężczyznę, którego wybrała spośród innych, którego kochała, wielbiła na przekór wszystkiemu, związanego z nią za cenę nadludzkich wysiłków i całkowitego wyrzeczenia się samej siebie. To jego ramię podtrzymywało ją, gdy posuwała się niepewnie po nierównych płytach posadzki kościelnej, to jego wyrazisty i dumny profil rysował się na tle czarnego kapelusza, dziś wieczór wyrażając poważną zadumę, to jego ręka, teraz spleciona z jej dłonią, będzie ją obejmować całe życie... Wreszcie to jego dziecko poruszało się w niej, niby pierwsze drgnienia świetlistej przyszłości.

W kaplicy ksiądz w białym ornacie modlił się, klęcząc. Jego tonsura połyskiwała w świetle dwóch świec płonących po obu stronach ołtarza. Obok niego mały ministrant kiwał się na kolanach, dotykając stojącej przed nim kadzielnicy. Katarzyna wzruszyła się jeszcze bardziej, gdy poznała duży nos i pocziwą twarz o mocnych rysach brata Jana Pasque-rela. Był on spowiednikiem Joanny d'Arc, którą znał lepiej niż ktokolwiek, wciąż wiernym jej pamięci, co zmuszało go do ukrywania się przed prześladowaniami ze strony La Tremoille'a. Nienawiść szambelana do Dziewicy była tak wielka, że każdy, kto ją czcił, stawał się celem jego ataków.

Gdy brat Jan usłyszał kroki, wstał, uśmiechnął się i wyciągnął do obydwójga młodych ręce.

- Niech będzie pochwalony ten, który nas tu połączył, moi przyjaciele, i który pozwolił mi być narzędziem jego woli, by przyczynić się do waszego szczęścia. Trudne czasy, w jakich żyjemy, zmuszają nas do ukrywania się, ale jestem pewien, że to nie potrwa długo i że nadejdą jasne dni.

- Gdyby to zależało ode mnie - rzekł Arnold - wróciłyby szybko. Jest nie do pomyślenia, aby jeden człowiek uzależnił tak od siebie całe królestwo, i wystarczy jeden miecz...

- Mój synu - uciał mnich - jesteś tu w domu bożym, który potępia przemoc. A nadto - dodał z uśmiechem - przypuszczam, że tej nocy wasze myśli zwrócone będą w zupełnie inną stronę niż śmierć człowieka, choćby nawet był wielkim grzesznikiem!

Przerwały mu szybkie kroki, które rozległy się bezceremonialnie w pustym kościele. W mdłym świetle świeczek ukazał się Xaintrailles, zadyszany i czerwony. Pod obszerną peleryną do konnej jazdy połyskiwała

stalowa zbroja. Brat Jan, zaledwie musnąwszy go spojrzeniem, odwrócił się do ołtarza, mówiąc:

- Módlmy się, bracia...

Katarzyna i Arnold ukłękli jednocześnie na stopniach. Jakub Coeur ulokował się za Katarzyną, Xaintrilles za Arnoldem, natomiast Bronia, opuściwszy błękitny woal, ukłękła nieco dalej. Ministrant poruszył kadzielnicą, nie było już słyhać nic oprócz szeptu księdza przywołującego parę młodych do błogosławieństwa bożego przed rozpoczęciem ceremonii zaślubin.

Była szybka i prosta. Arnold powtórzył zdecydowanym głosem pod dyktando brata Jana:

- Ja, Arnold, biorę sobie ciebie za żonę i przysięgam, że będę cię kochał i szanował w radości i smutku, w zdrowiu i chorobie, dopóki nas śmierć nie rozłączy.

Następnie przyszła kolej na kobietę:

- Ja, Katarzyna...

Ale głos załamał się jej ze wzruszenia i dokończyła sakramentalną formułę szeptem. Grube łzy spływały po jej twarzy - cena za przepelnione uczuciem serce.

Brat Jan ujął prawą rękę Katarzyny, umieścił ją w dłoni Arnolda, którego długie palce zamknęły się dookoła niej. Jego głos wzniósł się silnym wyzwaniem rzucone przeciwnikowi:

- *Ego conjungo vos in matrimonium, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.* - Z tacki podanej przez ministranta wziął złotą obrączkę i pobłogosławił ją. - Pobłogosław, Panie, tę obrączkę, którą my błogosławimy...

Następnie przekazał ją Arnoldowi. Młody człowiek wziął obrączkę, wsunął ją na serdeczny palec Katarzyny, następnie czule dotknął jej dłoni ustami. Pełne łez oczy młodej kobiety lśniły niczym ametysty w słońcu. W tym małym, ciemnym i chłodnym kościele przeżywała szczytowy moment swego życia, jego ukoronowanie. Błogosławieństwo spłynęło pomału na dwie głowy, następnie brat Jan wrócił do ołtarza, by odprawić mszę.

Uroczysty moment zakłócony został gwałtownym chlipnięciem, całkowicie niestosownym. To Xaintrailles na swój sposób okazywał wzruszenie, nad którym nie był w stanie zapanować. Arnold i Katarzyna uśmiechnęli się do siebie i trzymając się za ręce, uczestniczyli w mszy świętej. Po skończonej ceremonii nowożeńcy i świadkowie udali się za księdzem do małej zakrystii, która pachniała wypalonym kadzidłem i świeżym woskiem, aby podpisać akt ślubu. Arnold złożył podpis tak energicznie, że gęsie pióro zazgrzytało, następnie podał je Katarzynie z lekko kpiącym uśmiechem:

- Kolej na ciebie! Mam nadzieję, że wiesz, jak się teraz nazywasz?

Powoli i starannie, jak mała dziewczynka, z wysuniętym czubkiem języka, podpisała się „Katarzyna de Montsalvy” po raz pierwszy w życiu. Ogarnęła ją fala dumy, okrywając czerwienią policzki. To stare nazwisko przysięgła nosić z godnością, bez skazy, niezależnie od ceny, jaką miałyby za to zapłacić.

Świadkowie, Xaintrailles i Jakub Coeur, podpisali się poniżej, a tymczasem Bronia serdecznie całowała Katarzynę. Następny w kolejce był Xaintrailles. Wykonał przed młodą kobietą głęboki, ceremonialny ukłon.

- Pani hrabino de Montsalvy, jestem niezmiernie rad, że mogłem, choć w niewielkim stopniu, przyczynić się do waszego szczęścia, i życzę wam, by było ono tak wielkie, jak twoja uroda i... - Najwyraźniej



ceremoniał przekraczał głębokie uczucia Xaintrailles'a, przerwał bowiem w połowie piękne zdanie i ukłon, objął Katarzynę za ramiona i złożył na jej policzkach dwa głośne pocałunki. - Życzę wam wszystkiego najlepszego, droga przyjaciółko. Zapewne czekają was jeszcze różne przejścia, ale nie zapominajcie nigdy, że jestem wiernym przyjacielem was obojga!

Tu puścił Katarzynę, aby paść w ramiona Arnolda, z którym ucałowali się po bratersku.

- Niedługo się spotkamy, ale chwilowo żegnam się z tobą...

- Żegnasz się? Wyjeżdżasz?

Xaintrailles wykrzywił się okropnie, a potem uśmiechnął szyderczo.

- Tak, moje zdrowie tego wymaga. La Tremoille ma chyba jakieś konkretne podejrzenia w kwestii spustoszenia zamku. Zatem jeśli pozostanę tutaj, grozi mi, że obudzę się pewnej nocy z nożem między łopatkami. Wolę dołączyć do moich ludzi w Guise. Nikt mi nic nie będzie mógł zrobić.

- Mam wielką ochotę przyłączyć się do ciebie. Nikt nie może mi przeszkodzić, bym zajął swoje miejsce w wojsku. Żaden z moich dawnych towarzyszy broni nie wydałby ani mnie, ani mojej żony.

Katarzynie zrobiło się ciepło na sercu i czule wsunęła rękę pod ramię męża.

Xaintrailles jednak pokręcił głową, jego wzrok spochmurniał.

- Nie! Twój towarzysze broni nie zmienili się, ale złoto La Tremoille'a jest wszędzie. Chodź, zakrystia to nie jest odpowiednie miejsce do tego rodzaju zwierzeń, a mam ci coś do powiedzenia.

Na to odezwał się Jakub Coeur.

- Przygotowaliśmy w domu skromną wieczerzę. Czy nie mógłbyś, panie, spożyć jej z nami, zanim wyruszysz w drogę? To nie potrwa długo.

Kapitan zawahał się i wyraził zgodę. Brat Jan, który zdjął już ornat, powrócił do nowożeńców i złożył im życzenia, żegnając się z nimi równocześnie. Mnich również wyjeżdżał tej nocy, korzystając z zawieszenia ognia z okazji Bożego Narodzenia, by opuścić miasto, gdzie ukrywał go ojciec Broni. Miał zamiar dotrzeć do dużego opactwa w Cluny, najpotężniejszego w całym chrześcijańskim świecie, i tam czekać, aż zły duch schowa pazury.

- Codziennie będę się modlił o wasze szczęście... - rzekł do Katarzyny z ostatnim błogosławieństwem - ...a także za tę, którą wszyscy kochaliśmy, albowiem nie wątpię, iż przebywa w krainie wiecznej szczęśliwości.

Jego brunatny habit rozplątał się w ciemnościach, a ministrant pognął za nim, zapowiadając, że zaraz zamknie kościół. Chwilę później wszyscy wyszli na zaśnieżoną ulicę. Zerwał się wiatr, zdmuchując z dachów czapy śniegu. Nad niemymi domami rozległ się daleki dźwięk wioli i lutni. Xaintrilles wzruszył ramionami.

- W pałacu jest bal!... No, taki bal, jaki urządza wielki szambelan, to znaczy taki rodzaj uczyty, przy której bachanalia są rozrywką mniszki. O tej godzinie wszyscy są na pewno mocno pijani, a La Tremoille jest najmniej niebezpieczny, gdy się upije.

Godzinę później Katarzyna siedziała na czymś w rodzaju krzesła kurulnego\* w gabinecie Jakuba Coeura obok Arnolda, który przycupnął u jej stóp na aksamitnej poduszce. Obydwoje słuchali Xaintrilles'a, który opisywał im aktualną sytuację.

*\* Kurulny - odnoszący się do kurii - miejsca posiedzeń senatu lub sądu w starożytnym Rzymie.*

Kolacja weselna trwała krótko, przede wszystkim dlatego, że kapitan pragnął opuścić miasto przed świtem, a ponadto luki w zaopatrzeniu nie pozwalały na wydawanie obfitych uczt. Głód panujący na wsi, spowodowany nieustannymi zniszczeniami wojennymi, dosięgnął również bogatych miast, w których wyczerpywały się zapasy. Nawet tak zapobiegliwy człowiek jak Jakub Coeur dotknięty został obowiązującymi restrykcjami i główne danie weselne stanowiła potrawa z kapusty, bardzo pożywna, ale niezbyt wyrafinowana. Co się zaś tyczyło Katarzyny, jadła z umiarem, nadrabiając dużą ilością rodzynków, które podano na deser.

Teraz, gdy wysączono ostatnią kroplę wina z Sancerre i wzniesiono ostatni toast za szczęście państwa młodych, Xaintrilles usiłował raz jeszcze przemówić do rozsądku przyjaciela, wojenny strój kapitana bowiem podsyłał niebezpiecznie zapędy bitewne Arnolda.

- Najlepiej byłoby - powiedział Xaintrilles - abyście pozostali tutaj w ukryciu, jako że mistrz Coeur niczego tak nie pragnie, jak trzymać was u siebie. Wróci królowa Jolanta i ona będzie umiała przekonać Karola, że La Tremoille prowadzi go do zguby, sprawi, że oddadzą ci sprawiedliwość i...

- Przerwę ci od razu - uciął Montsalvy. - Nie ma mowy o tym, byśmy tu pozostali. Nie chodzi o okazanie niewdzięczności naszym przyjaciołom, chcę jedynie wyznać, jak bardzo ciąży mi bezczynność. Duszę się... Znasz mnie zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że nienawidzę tego, co nazywa się spokojem. Zaatakowano mnie, więc mam zamiar się bronić i zemścić.

- To śmieszne. Powiedziałem ci, że nie możesz nic zrobić.

- Mogę przynajmniej wrócić do siebie, do wzgórz Owernii. Mam ziemię, wieśniaków, potężną fortecę, mam miejsce, które na mnie czeka. Tam i tylko tam powinien urodzić się mój syn.

- Jesteś szalony... Ciągać po drogach brzemienną kobietę...

Katarzyna natychmiast, nie zostawiając Arnoldowi czasu na odpowiedź, objęła go za szyję.

- Jeśli on pojedzie, jadę razem z nim!

Ucałował ją łagodnie i tak ostrożnie, jakby była kruchym przedmiotem.

- Moja słodka, on ma rację, przemawiam jak egoista. Jest zima, drogi są trudne do przebycia, a nasze dziecko ma przyjść na świat dopiero za dwa miesiące. Lepiej będzie dla ciebie i dla niego zostać tutaj, w bezpiecznym miejscu, a ja pojedę...

Głos Arnolda zabarwiony był bolesnym żalem, mimo to Katarzyna odsunęła się. Na jej czole zarysowała się twarda zmarszczka.

- Taka więc jest twoja miłość? Ledwie zostaliśmy połączeni, a ty już mówisz o rozstaniu, o tym, że odjedziesz daleko ode mnie... A przecież powiedziałeś dopiero co: „Aż do śmierci...”.

- A dziecko?

- Dziecko? To twój syn! On będzie Montsalvym, mężczyzną takim jak ty, prawdziwym mężczyzną! A ja, która już jestem jego matką, mam zamiar być godna was obydwu. To ty miałeś przed chwilą rację - lepiej, żeby urodził się na wiązce słomy na ziemi swych ojców niż w łóżu miękkim, ale obcym, daleko od ciebie. Jedź, jeśli taka twoja wola, ale wiedz, że nawet jeśli mi zabronisz, pojedę za tobą, tak jak pojechałam za tobą do Rouen, jak poszłam za tobą do Sekwany i jak pójdę za tobą do grobu, jeśli tak będzie trzeba.

Przerwała, zaczerwieniona z wrażenia, nieco zadyszana. Jej piersi falowały spazmatycznie pod zieloną materią sukni, a ogromne oczy płonęły z oburzenia. Raptem Arnold zaczął się śmiać, uniósł się na jedno kolano, złapał ją za ramiona i przycisnął do siebie.

- Do diaska! Pani de Montsalvy, przemówiłaś niczym moja matka! - Następnie dodał łagodniej: - Wygrałaś, moja ukochana! Niech ci będzie - przygoda, chłód, wojna, jak Bóg da, i niech mi wybaczy, jeśli popełniam głupstwo.

Oczy Xaintrailles'a przebiegały od Arnolda do Katarzyny.

- Tak więc podjąłeś decyzję?

Arnold odwrócił się ku niemu. Z jego oblicza biła duma.

- Już jest podjęta. Ruszamy.

- Dobrze. W takim razie muszę ci wszystko powiedzieć. Wieści są złe, a ty i tak niedługo dowiedziałabyś się wszystkiego. W Owernii szykuje się coś dziwnego. La Tremoille żąda hrabstwa jako lenna...

Arnold podskoczył. Na jego czoło wypełzała powoli czerwona plama. Czarne oczy rozbłysły gniewem.

- Owernia? Jakim prawem?

- Prawem tego, który je sobie przyznaje. Przypominasz sobie, że jego pierwszą żoną była wdowa po diuku de Berry, Janina de Boulogne, spadkobierczyni Owernii. Umierając, przekazała swoje lenno siostrzeńcowi, Bertrandowi de Latourowi.

- Gadaj zdrów - mruknął Montsalvy, wzruszając ramionami. - Latour jest z mojej rodziny. Jego żona, Anna de Ventadour, jest siostrzenicą mojej matki. Jesteśmy bliskimi kuzynami.

- Doskonale! Ale La Tremoille żąda tych ziem jako spadkobierca swojej pierwszej żony. Oczywiście jest to zupełnie bezprawne, ale od kiedy on się troszczy o legalność?

- Domagać się to jedna sprawa - odparł Montsalvy - a wziąć - Inna. Co może La Tremoille? Aby przywłaszczyć sobie Owernię, trzeba oddziałów, ludzi, artylerii, a La Tremoille nie ma władzy nad armią.

Xaintrilles, który krążył po pokoju między oknem a dużym globusem, zatrzymał się obok niego, położył dłoń na kuli i nerwowym gestem wprowadził ją w ruch.

- Znałeś Rodryga de Ville-Andrada - zapytał niepokojąco łagodnie.

- Tego hiszpańskiego opryszka? Oczywiście. Służyliśmy razem pod rozkazami marszałka de Severaca. Dobry żołnierz, ale dziki jak zwierzę. Jest bardziej okrutny niż wygłodniały wilk i lubi krew, tak jak inni lubią wino.

- Lubi także złoto - przerwał mu Xaintrilles. - La Tremoille kupił jego usługi i jego ludzi za piękną sumkę. I Hiszpan wyruszył do Owernii. Już jego lejtnanci, Valette i Chapelle, dewastują Langwedocję i Gevaudan. Oni idą do góry, a Rodrygo schodzi. Zrozumiałeś?

Twarz Arnolda de Montsalvy'ego z czerwonej stała się biała. Skrzydełka nozdrzy trzepotały, a w kącikach warg zarysowały się bezlitosne zmarszczki. Powoli, wypuszczając z dłoni rękę przerażonej Katarzyny, wstał z oczami wbitymi w oczy przyjaciela. Katarzyna poczuła na sobie, fizycznie, jak jego pierś pęczniała z gniewu. Stał obok Xaintrilles'a, górując nad nim o głowę.

- Szakał z Kastylii rzuca się na moje ziemie, a ty dopiero teraz mi o tym mówisz? I ty chciałeś, żebym tu pozostał, wygrzewając się przy ognisku, podczas gdy moi może...

- Dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano. Co więcej, nawet jeślibym wiedział wcześniej, cóż by to dało, gdybym ci powiedział? Od kiedy jesteś taki silny, że możesz dosiąść konia?

Arnold cofnął się, spuścił głowę, ale jego twarz nadal była napięta. Katarzyna miała dziwne uczucie, że jakaś nieznana, złowroga siła wtargnęła do tego cichego pokoiku. Jej cień dotykał wszystkich rzeczy po

kolei, wnikał we wszystkie ciemne kąty, dotykał malowanych belek stropu. To było tak, jakby nagle rozbójnik hiszpański wszedł uzbrojony do domu, ciągnąc za sobą ogień pożarów. Poczowała, jak lodowata ręka ściska jej serce, gdy Arnold zwrócił się do Coeura.

- Mistrzu, czy może mi pan dać jakieś środki, abym mógł opuścić miasto już jutro? Nie mogę tu dłużej zostać.

- Jeśli chcesz, dam ci dziesięciu żołnierzy, którzy dołączą do ciebie za miastem, w miejscu, które mi wskażesz - rzekł Xaintrailles.

Załoczył ponownie zbroję, którą zdjął na czas wieczery, wcisnął na głowę kapelusz i owinął się płaszczem. Nadeszła chwila rozstania.

Katarzyna czuła żal, że rozłącza się z tym dobrym kompanem, zawsze tak samo braterskim na swój szorstki sposób. Powiedziała mu to wprost, z tą spontanicznością, którą zachowała jeszcze z dzieciennych lat.

- Lubię cię, Janie. Wracaj do nas szybko!

Szorstkie oblicze, pokryte piegami, wykrzywiło się w uśmiechu, za którym być może kryła się łza.

- Zobaczymy się w Montsalvy! Przyjadę do was na kolację pewnego wieczoru, kiedy nie będziecie się mnie spodziewać, i pozostanę tak długo, aż zabiję parę odyńców z Chataigneraie. Żegnajcie, przyjaciele!

Pocałował Katarzynę, uściskał Arnolda, uklonił się Broni, która podała mu pożegnalny kielich wina z korzeniami, następnie odwrócił się do Coeura, który wziął pochodnię, by oświetlić gościowi schody.

- Idę za panem, mistrzu Coeur! Jeszcze raz dziękuję za pomoc.

- Proszę, niech pan idzie, wielmożny panie. Powiem panu, gdzie przysłać jutro dziesięciu żołnierzy, tak jak pan obiecał. Wiedziałem bowiem jeszcze przed panem o tym, co pan tu mówił, i przygotowałem

wszystko, aby nasi przyjaciele mogli opuścić miasto. Spodziewałem się, że pan de Montsalvy zechce natychmiast jechać, a wraz z nim pani Katarzyna.

Na spokojnej twarzy kuśnierza nie drgnął żaden mięsień. A jednak Katarzyna miała wrażenie, że z trudem panował nad sobą. Za niewzruszonym spokojem Coeura krył się rodzaj rozpacz, z której być może nie zdawał sobie sprawy, ale tłumił ją instynktownie.

Zegar klasztoru Świętego Jakuba zadzwonił trzykrotnie, później dał się słyszeć głuchy odgłos drzwi zamykanych za Xaintrailles'em. Wreszcie zadudniły szybkie kroki, które oddalały się od domu. Katarzyna i Arnold patrzyli na siebie bez ruchu. Słuchali odgłosów odchodzącego przyjaciela tak, jakby to były uderzenia ich serc. Wówczas Bronia podała Katarzynie lichtarzyk z zapaloną przed chwilą świeczką.

- Chodźcie - rzekła - już pora spać. Jutro będzie ciężki dzień!

Spać? Katarzyna i Arnold w ogóle o tym nie myśleli. W dużej sypialni Jakuba i Broni, która na tę noc poślubną została im udostępniona, znaleźli się obok siebie, trzymając się za ręce, jak dwoje dzieci u progu przygody.

Był to przytulny pokój, z haftowanymi na czerwono i niebiesko obiciami pokrywającymi ściany, z miłym ogniem trzaskającym w kominku w kształcie stożka, z łóżem o białych prześcieradłach za jaskrawoczerwonymi zasłonami. Rozpościerał się przed nimi jak zamknięta, intymna przestrzeń, na której progu kończyła się reszta świata. Wokoło panowała czujna cisza nocy, która otuliła dom jak muszla. W tym momencie niebezpieczeństwo znikło, a pierwsze godziny życia we dwoje należały tylko do nich. Jutro wszystko zacznie się od nowa, chwilowo jednak ani zło, ani nienawiść nie mogły ich dotknąć.



Nie puszcżając ręki Katarzyny, Arnold zamknął starannie drzwi, następnie pociągnął żonę aż do łóża, na którego brzegu ją posadził, zanim jeszcze wziął ją w ramiona. Nie zamieniwszy ani słowa, zaczęli się chciwie całować. Chocż mieszkali pod jednym dachem, odkąd Xaintrilles przywiózł go umierającego, po raz pierwszy Arnold pieścił się z Katarzyną. Obydwoje zdecydowali uszanować domostwo rodziny Coeurów i czekali, aż zostaną połączeni węzłem małżeńskim. Teraz Arnold postanowił nadrobić stracony czas.

Jego usta przebiegały od skroni Katarzyny do oczu, warg, szyi. Ścisłał ją tak namiętnie, że aż zadawał jej ból, lecz nie przeszkadzało jej to. Była szczęśliwa. Od czasu do czasu Arnold szeptał jej do ucha słowa miłości.

- Moja żono! Moja Katarzyno... Moja na zawsze!

Poddawała się jego rozgorączkowanym dłoniom, które już rozplątywały wiązanie białego kołnierzyka, rozsznurowywały gorsecik sukni. Żywym ruchem zdjął muślinowy stroik z jej głowy i cisnął go na drugi koniec łóżka.

Raptem Katarzyna zesztyniała pod jego pieścötami. Dziecko poruszyło się z nieznaną dotąd gwałtownością. Arnold zauważył jej rezerwę.

- Co ci jest? - zapytał.

- Dziecko... Poruszyło się mocno! Może nie powinniśmy...

Zaczął się śmiać jak ktoś, kto czerpie siłę i radość z własnej nieposkromionej witalności. Jego białe zęby błysnęły w czerwonym cieniu zasłon.

- Jeśli ten mały łobuz nie pozwoli mi kochać się z tobą, będzie miał ze mną do czynienia. U nas dzieci nigdy nie rządziły. A ja ciebie pragnę! Za bardzo jestem wygłodniały... Za długo czekałem! Tym gorzej dla niego!

Pożądamy i czuły, przyciągał ją do siebie, przewracał na aksamitną kapę, sięgał znów do jej ust, obnażając jednocześnie piersi i ramiona. Pod jego twardymi i gorącymi wargami Katarzyna czuła, że krew zaczyna się w niej burzyć. Szał miłości ogarnął ją niczym huragan. Oddawała mu pocałunki i pieszczoty, nie odpychając go już, poddawała mu się z nowym zapalem. Pierwszy raz pieścił ją w taki sposób, z hamowaną gwałtownością, z rozmysłem, którego dotąd z jego strony nie zaznała. Przez chwilę pomyślała, że coś się w niej odmieniło, przedtem bowiem ich uściski były brutalne, kochali się z dziką namiętnością. Przypominało to wyczerpujące walki bez zwycięzcy czy zwyciężonego. W namiętności Arnolda było dawniej coś nieubłaganego i gorączkowego. Podporządkowywał ją sobie. Natomiast dziś wieczór odczuła jego uwagę, jego staranie, by dać jej rozkosz. Jego niespieszne, delikatne pieszczoty rozpalały w niej pożądanie i zdumiewały intensywnymi wrażeniami, których umiał dostarczyć Filip Burgundzki, mistrz w sztuce miłosnej.

Niecierpliwie jęknęła, kiedy opuścił ją na moment, by się rozebrać, ale po chwili znów zamruczała z rozkoszy, czując jego twardą pierś, w której mocno biło serce. Ogień z kominka odbijał się na czerwonych kotarach łoża, pełgał płową barwą na brązowych ramionach Arnolda, igrał w czarnych, sztywnych kędziorach potarganej czupryny. Pomyślała jeszcze, że tak będzie teraz zawsze, każdej nocy, którą Bóg ich obdarzy... i zapomniała o wszystkim, by poddać się palącej fali, która na nią opadła.

Ogień się dopalał i ciepły pokój skąpany był w czerwonym półmroku, w którym mieszały się zapachy palonego drewna sosnowego i bardziej cierpkie - miłości i rozgrzanych ciał. Katarzyna drzemała z głową w zagłębieniu ramienia śpiącego Arnolda. Rozkosznie unosiła się w niebycie, rozciągając leniwie swe znużone ciało w pogniecionej pościeli. Było jej ciepło, było jej dobrze i nie wiedziała, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna senne marzenie.

Na palenisku polana trzaskała jeszcze od czasu do czasu, rzucając drobne iskierki, ale wokół wielka cisza ogarniała łóżko, ochraniając je niczym kokon. Na świecie nie było już nic poza spokojnym oddechem uśpionego mężczyzny i trzepotaniem powiek zaspokojonej kobiety. Z głębokim westchnieniem Katarzyna wtuliła się jeszcze głębiej w ramię Arnolda, który wymamrotał coś przez sen. Zamknęła oczy... i prawie natychmiast je otworzyła.

Na zewnątrz dziwny hałas złamał ciszę, złowróżbny i posepny jak szelest skóry węża: charakterystyczny odgłos żelaza uderzającego o kamień.

Odsuwając ramię Arnolda, który instynktownie próbował ją zatrzymać, Katarzyna wytoczyła się z łóżka. W pokoju było chłodniej niż pod przykryciem. Zadrżała, ale podbiegła do bardzo wąskiego okna, które wychodziło na ulicę Płatnerzy. Otworzyła drewniane okiennice i wyjrzała. Ze stłumionym okrzykiem odsunęła się natychmiast: żołnierze uzbrojeni w łuki i dwusieczne topory, niosący żelazne hełmy na stalowych siatkach, zajmowali pozycje wokół domu Jakuba Coeura, zagradzając ulicę Płatnerzy i najprawdopodobniej ulicę Auron na całej szerokości. Cisza, w jakiej odbywał się ten manewr, wskazywała jasno, że żołnierze i oficer, który nimi dowodził, chcieli zaskoczyć mieszkańców domu.

Strach Katarzynę zelektryzował. Podbiegła do łoża i potrząsnęła Arnoldem.

- Szybciej! Wstawaj! Jesteśmy okrażeni!

Skoczył z prędkością, z jaką budzi się człowiek nawykły do niebezpiecznego żywota, i podbiegł do okna. Przez moment jego postać jaśniała na ciemnym tle boazerii, następnie odział płudry, buty i, nie zadając sobie trudu, by założyć koszulę, rzucił się na schody, szepnąwszy do dzwoniącej zębami Katarzyny:

- Ubieraj się! Biegnę uprzedzić Jakuba Coeura.

Strach uczynił ją niezdarną, szukała po omacku ubrania, wreszcie założyła koszulę. Kończyła ubierać się w suknię, gdy wrócił Arnold w towarzystwie kuśnierza, który zawiązywał pasek szlafroka. Tymczasem żelazna pięść oficera waliła już w drzwi wejściowe. Dał się słyszeć jego głos:

- Otwierać! W imieniu króla!

- Wielmożny pan de Xaintrilles musiał być śledzony albo rozpoznany, gdy wyszedł od nas - szepnął Jakub. - Nie ma ani chwili do stracenia. Chodźcie!

Wyciągnął ich z pokoju, podczas gdy Bronia, dygocąca w długiej koszuli, ze świecą w ręku weszła i położyła się do rozścielonego łóżka. W przejściu wymieniła z Katarzyną spojrzenia pełne niepokoju. Na zewnątrz uderzenia stawały się coraz donośniejsze.

Dotarł do nich groźny, władczy głos:

- Wyważcie drzwi, jeśli te chamy będą zwlekać z otwieraniem!

- A tam! - wymamrotał Coeur przez zęby. - Niech sobie wyważają!

Zyskamy na czasie.

Dotarli do kuchni jednocześnie ze starą Mahaut w towarzystwie Sary i Waltera. Twarz Jakuba Coeura rozjaśniła się.

- Zaprowadź ich wszystkich do tajnego pokoiku - rzekł do starej służącej. - A ja będę pertraktował z tamtymi. Dzięki Bogu polana są wygaszone.

To ostatnie zdanie, z początku niezrozumiałe, stało się dla Katarzyny jasne, gdy zobaczyła, że gospodarz wchodzi do kominka. Brązowa płyta z wytłoczonymi kwiatami lilii obróciła się jak zaczarowana, odsłaniając czarny otwór.

Mahaut zapaliła już świecę i weszła do środka. Arnold złapał Katarzynę za ramię i pociągnął za sobą.

- Chodź! Nie bój się!

Ale ona szczękała zębami, zarówno z zimna, jak i ze strachu. Wyrwana brutalnie ze słodkiego spokoju, czuła się tak, jakby przeżywała sen. Arnold szybko zdjął kaftan rozgrzany od własnego ciała i narzucił go na ramiona żony.

- Szybko! - niecierpliwił się Jakub. - Znajdziecie jakieś okrycia na dole. Tym razem to poważna sprawa!

Rzeczywiście, słyhać już było trzeszczenie drzwi wyważanych przez żołnierzy. Zaraz się przewrócą. Sara i Walter także weszli do środka. Płyta zatrzasnęła się i Katarzyna, wczepiona w ramię Arnolda, znalazła się w głębokich ciemnościach, nieco tylko rozpraszanych świecą starej Mahaut. Stopnie wycięte w kamieniu były wysokie i śliskie. Gardło drażnił mocny zapach dymu. Ale, rzecz dziwna, hałasu w głębi domu prawie nie było słyhać.

- Dokąd idziemy? - zapytał Arnold.

- Mistrz już powiedział. Do tajnego schowka. Tam przechowuje cenne towary, które chce ukryć przed chciwością ludzi wielkiego szambelana... również te, które chce zabrać w najbliższą podróż na Wschód.

- A kryjówka na dachu? - szepnęła Katarzyna.

Rzeczywiście, domostwo rodziny Coeurów, jak wszystkie domy w Bourges, było kilkakrotnie nachodzone, ale schowki umieszczone między belkami stropowymi pozwoliły ukryć podejrzanych gości.

Stara Mahaut nie odpowiedziała od razu. Ktoś dochodził do schodów i świeca zachybotała w zgęstniałym powietrzu. Mahaut zajęła się zapalaniem świecznika ustawionego na ziemi obok kamiennego słupa, krągłego i masywnego, zwieńczonego zwykłym krążkiem. Odpowiedziała, nie patrząc na Katarzynę:

- Jeśli ich podejrzania są poważne - a pan Coeur tak właśnie przypuszcza - żołnierze mogą podpalić dom. Tak właśnie zrobili niedawno u aptekarza Nobleta. Tutaj nie ryzykujemy nic, nawet jeśli dom będzie się palił.

Rzeczywiście, Katarzyna przypomniała sobie potworny pożar wzniesiony u aptekarza podejrzanego o to, że ukrywa cenne korzenie. Z trudem uratowano sąsiednie domy. O mało nie spłonęła cała dzielnica Notre-Dame-du-Four-chaud...

Młoda kobieta poczuła się niezręcznie. Jakież niebezpieczeństwa zagrażają z jej powodu dzielnym ludziom, którzy tak szlachetnie udzielili jej gościny! Zapomniała jednak na chwilę o swych obawach, rozglądając się po dziwnym miejscu. Walter podniósł lichtarz i ustawił go pośrodku długiej i wąskiej sali o niskim sklepieniu z różowawej cegły. W ścianach znajdowały się w równych odstępach podłużne nisze - puste lub

zasklepienie kamieniami - na których widniały inskrypcje i dziwne rysunki. Najczęściej powtarzał się kształt stylizowanej ryby. W głębi były niskie, wąskie drzwiczki.

Pod niskim sklepieniem rozległ się ochrypły głos Normandczyka.

- Co za dziwne miejsce! W takich niszach chowano ludzkie ciała...

- Pan powiada, że to taki cmentarz - rzekła Mahaut, spieszenie się przeżegnawszy - jeszcze z dawnych czasów... kiedy dokoła był dziki kraj.

- We Włoszech widziałam kiedyś nekropolia rzymskie - rzekła Sara.

- Wyglądały tak samo.

- Taaa! - ucięła Mahaut, która najwyraźniej nie przepadała za tym miejscem. - Chodźmy dalej. Tu jest zimno.

Za drzwiami nie było cieplej, ale dwie sale, które ciągnęły się w amfiladzie, były znacznie szersze i miały sklepienie w kształcie ostrołuku. Złożono w nich również wiele worków i zwojów owiniętych szorstkim płótnem. Zgromadzone tu towary odbierały pomieszczeniom ich tajemniczy, lekko niepokojący charakter, a pomieszane zapachy nowego płótna, korzeni i kadzidła tworzyły zaduch gorzki i natrętny.

Katarzyna - mimo narzuconego na ramiona kaftana - nadal szczękała zębami. Walter dostrzegł futra zgromadzone w kącie. Pogrzebał w nich, wyjął coś w rodzaju opończy z materii podbitej futrem z rudych lisów i podał młodej kobiecie.

- To będzie cieplejsze, a pan Arnold bez kaftana też się może zaziębić.

Katarzyna prawie całkowicie znikła pod opończą. Płaszcz był o wiele za długi i za szeroki, ale okazał się ciepły i przytulny.

Usiadła na jednym z worków u stóp kolumny. Nie zauważyła nagle spochmurniałego spojrzenia, jakim Arnold obrzucił Normandczyka, gdy

ten owijał jego żonę futrzanym płaszczem. Arnold wziął kaftan i założył go znów na siebie, ale gestem odmówił narzucenia na to futra również wziętego ze sterty.

Kłęcząc przed Katarzyną, Walter otulał jej stopy opończą.

- Tak będzie lepiej! - rzekł z zadowoleniem, wstając z klęczek.

- Cóż za zdumiewająca z ciebie pokojówka! - rzekł sarkastycznie Arnold. - Czy nabrałeś takiego zwyczaju w czasie waszej podróży do Bourges? Do czego więc służyła Sara?

Ta ostatnia ulokowała się obok Katarzyny, zwinięta w kłębek, by było jej cieplej. Niezadowolona spojrzała na Arnolda.

- Kiedy nie siedziałam w więzieniu i nie grożono mi, że zostanę spalona żywcem - zareplikowała żywo - starałam się tylko, aby nie oszalała z rozpacz.

Katarzyna śledziła ze zdziwieniem tę krótką potyczkę. Nie rozumiała napadu złego humoru Arnolda. Dla niej troska, jaką otaczał ją olbrzym, była zupełnie naturalna, ale zapragnęła zatrzeć niemiłe wrażenie. Jeśli obaj mężczyźni zaczną się kłócić, przyszłość rysowała się w dość czarnych barwach. Wyciągnęła ramię, wzięła za rękę Arnolda i przyciągnęła go do siebie.

- Chodź tu do mnie... Zimno mi bez ciebie. Uspokoił się natychmiast i przysiadł u jej stóp.

- Wybacz mi, ale wściekam się, bo jestem tu zamknięty jak szczur w klatce, podczas gdy na górze być może...

Nie dokończył zdania. Wszyscy uciekinierzy dokończyli je w duchu. Co się działo nad ich głowami? Tutaj, w tej piwnicy cichej jak grobowiec, byli zupełnie odcięci od świata. Kto mógł wiedzieć, czy dom nie płonie i czy wówczas, gdy się odwróci płytę przy kominku, nie zatnie się ona w



zgliszczach? Uratowani przed wściekłością La Tremoille'a, czy mieli dokonać żywota zamurowani żywcem w tej piwnicy? Ta potworna myśl przemknęła też przez głowę Katarzyny. Poczowała, jak krew napływa jej do serca. Pod tym niskim sklepieniem już teraz zaczynała się dusić... W tym momencie dotarł do nich taki odgłos, jakby się coś waliło - głuchy, oddalony, ale wyraźny. Stara Mahaut przeżegnała się pospiesznie.

- Słodki Jezu! Jeśli to było...

Ta sama obawa ogarnęła pozostałych towarzyszy niedoli. Siedzieli w kole, wokół światła ustawionego na ziemi, a w ich oczach, oprócz żółtego płomienia, odbijała się niewyraźna obawa. Nie mieli odwagi spoglądać na siebie, jak gdyby każdy z nich wstydził się swego strachu. Cisza stała się dławiąca i Arnold nie mógł już dłużej jej wytrzymać. Zacisnąwszy pięści, zaczął się nerwowo przechadzać, jak zwierzę zamknięte w klatce, a Katarzyna nie miała odwagi mu w tym przeszkadzać. Lepszy ten rytmiczny, choć denerwujący hałas jego kroków niż przerażająca cisza. To było wciąż życie, podobnie jak do życia można było zaliczyć spojrzenie starej Mahaut, które przenosiło się z jednej twarzy na drugą, jakby chciała wyczytać z nich pociechę. Wyciągnęła z fartucha różaniec z bukszpanu i zaczęła przesuwając koraliki wygładzone jej spękanyymi dłońmi w czasie tysięcy modlitw. Minuty upływały powoli, ciężkie, nie do wytrzymania, w miarę jak było ich coraz więcej. Katarzyna wszystkimi siłami starała się powstrzymać od krzyku.

A potem, równie nagle jak przyszedł, niepokój opuścił wszystkich zamurowanych. W kole żółtego światła pojawił się bowiem Jakub Coeur. Uśmiechnął się, ale dopiero gdy przemówił, Katarzyna nabrała pewności, że jest istotą z krwi i kości, a nie duchem.

- Wszystko skończone! - powiedział spokojnie. - Możecie iść na górę.

- Ale - rzekł Arnold - ten hałas, który słyszeliśmy? Myśleliśmy, że to dom się zawalił.

- Nie, to tylko kredens pełen cynowych talerzy został przewrócony przez sierżanta. Był przekonany, że poprzez ten kredens prowadzi jakieś tajemne przejście. Przyznaję, że ten hałas można było usłyszeć w pałacu królewskim! Chodźcie już, niedługo będzie dzień, a niebezpieczeństwo chwilowo jest zażegnane. Musimy przygotować wiele rzeczy.

- Ktoś doniósł na pana, nieprawdaż? Jakub Coeur pokiwał głową.

- Tak, Przyjaciółeczka wielmożnego pana de Xaintrailles'a jest, zdaje się, łasa na złoto, a on popełnił tę nieostrożność, że złożył jej ostatnią wizytę, zanim przybył do kościoła. Śledzono go. Udało mi się przekonać dowódcę łuczników o moich dobrych intencjach, ale nigdy nie wiadomo na jak długo. Co więcej, to nie ma znaczenia, wszystko jest już bowiem przygotowane do waszego wyjazdu.

- Kiedy jedziemy? - spytała Katarzyna.

- Zaraz.

- W biały dzień?

Kuśnierz roześmiał się.

- Pora jest obojętna. Piwnica, w której się znajdujecie, prowadzi dalej, niż się wam zdaje. Te dwie sale są połączone ze starą kaplicą templariuszy, która znajduje się za bramą Ornoise, ale to tylko znikoma część, odbudowana i wzmocniona przez templariuszy na potrzeby zakonu, z całej sieci podziemnych korytarzy zbudowanych przez Rzymian, które udało mi się odnaleźć. Niektóre korytarze, łączące stare kamieniołomy czy grobowce takie jak ten, który widzieliście, są na wpół zasypane i

niebezpieczne, z innych jednak można korzystać. Zwłaszcza z jednego z nich, który zaczyna się pod starożytnymi arenami i ciągnie się pod starą kanalizacją wodną, połączoną z akweduktem. Tędy właśnie wyjedziecie, gdyż podziemny korytarz przechodzi pod ulicą Auron i pod moim domem. Wyprowadzi was poza miasto, dość daleko, do wieży Wrzosów, starej ruiny na drodze do Dun-le-Roi. Tam również spotkacie się z ludźmi pana de Xaintrilles'a.

Wyciągnął z kurtuazją rękę, by pomóc Katarzynie wstać, ale ona, podobnie jak reszta towarzystwa, nie ruszała się z miejsca.

- Miasto zbudowane na korytarzach... Jak we śnie!

Coeur uśmiechnął się blado.

- Tam, gdzie przebywali Rzymianie, pozostały ślady, które rzeczywiście wyglądają jak senne marzenia. Nie podbija się świata, jeśli się nie ma iskry geniuszu! Ale geniusz może się przydać również skromnemu kupcowi, takiemu jak ja.

# *Fosy Ventadour*

---

Gdy Katarzyna spoglądała następnego dnia o świcie, jak Arnold wskakuje na siodło w cieniu potężnych murów wieży Wrzosów, doznała dziwnego uczucia - że oto wymyka się jej raz jeszcze. W jednej chwili, przez sam fakt ściśnięcia kolanami boków konia, Arnold zajął miejsce tego wycieńczonego skrajnie człowieka, którego przywieziono do domu Coeura. Odziany był w czarny zamsz pod lekką zbroją z błękitnej stali, którą wynalazł dlań mistrz kuśnierski. Na to narzucił szeroki płaszcz do jazdy konnej, również czarny, z odrzuconym do tyłu kapturem, odsłaniającym głowę o brązowych włosach tak krótko obciętych, by można było nałożyć hełm. Dumnie wyprostowany w strzemionach, nie miał już w sobie nic z nędznego więźnia zamku w Sully, nic z banity, zwierzęcia ściganego przez ogary jakiegoś zbrodniczego lejtnanta. Stał się podobny do tego wyniosłego mężczyzny, którego obraz zapamiętała Katarzyna. Był znowu panem de Montsalvym, a młoda kobieta, z nieco ściśniętym sercem, zastanawiała się, czy naprawdę ma się z czego cieszyć. Nigdy nie był jej tak bliski, jak w tych dniach słabości fizycznej i moralnych rozterek.

Dziesięciu żołnierzy przysłanych przez Xaintrilles'a, którzy dołączyli do nich o zmierzchu, nie pomyliło się również w ocenie wartości

tego człowieka. Natychmiast rozpoznali w nim wojownika i wodza i jakby w milczącym porozumieniu podporządkowali się jego rozkazom. A jednak gdy się spojrzało na ich wyzywające miny i liczne blizny na smagłych twarzach, nie można było mieć wątpliwości, że należą do elity wojskowej czy najgorszego gatunku starych wiarusów, co właściwie na jedno wychodziło. Nie podobały się jej też dwuznaczne spojrzenia, jakich była obiektem.

Wszyscy oni byli Gaskończykami, wszyscy też, z wyjątkiem ich wodza, gigantycznego sierżanta Escorneboeufa, byli niscy, czarniawi, nerwowi, mieli cienkie wąsiki i oczy jak węgle. Byli jednak niesamowitymi żołnierzami, stałe kontakty z ziemiami angielskiej Gujany uczyniły walkę z najeżdżcą ich chlebem powszednim od chwili, gdy tylko potrafili unieść broń. Zaraz po przybyciu do wieży Wrzosów, wraz z dodatkowymi końmi przeznaczonymi dla czworga uciekinierów, sierżant Escorneboeuf przekazał Arnoldowi zapieczętowany zwój. Okazało się, że jest to zupełnie legalny glejt, z podpisem i pieczęcią wielkiego kanclerza Francji, zalecający każdemu ułatwić podróż baronowi de Ladinhakowi, który wraz z żoną, służącymi i oddziałkiem złożonym z dziesięciu żołnierzy udawał się do Lectoure, do swego suwerena, hrabiego Jana V Armagnaca. Najwyraźniej Xaintrilles przygotował wszystko należycie i nie pozostawił nic przypadkowi. Wielka Pieczęć Francji, zwisająca z tego sfalszowanego dokumentu, oddawała zaszczyt zarówno jego oddaniu dla przyjaciół, jak też kontaktom i pomysłowości. Wzruszona Katarzyna podziękowała w myślach temu wielkiemu rudemu kpiarzowi, którego radosna szorstkość równa była poświęceniu. Zrobiło się jej niewymownie żal - Bóg jeden wie, kiedy państwo Montsalvy będą mogli znów zobaczyć swego przyjaciela!

Teraz mały oddziałek galopował spokojnie po starożytnej drodze rzymskiej, jeszcze wciąż wyraźnej, która z dawnego Avaricum\* prowadziła prosto między pagórki Owernii poprzez Berry i Limousin. Arnold był na czele.

*\* Bourges.*

Jadąc na potężnym czarnym wierzchowcu, walczył z gorącym pragnieniem, by puścić się galopem. Od tak dawna nie galopował do wtóru z wiatrem, słysząc, jak z tyłu za nim radośnie łopoczą poły jego płaszcza. Ale poważny stan żony wymagał bardziej umiarkowanego tempa, więc musiał pohamować swoją przyrodzoną żywiołowość. Jadąca za nim Katarzyna miała po obu stronach Sarę i Waltera. Z radością znów dosiadła Morgany. Radość tę zresztą mała klacz podzielała całkowicie. Z postawionymi uszami dreptała wesoło, machając tanecznie ogonem barwy śniegu. Sara jechała ponownie na Parobku. Pokażna tusza Cyganki harmonizowała doskonale ze spokojnym usposobieniem zwierzęcia. Chwilowo niewrażliwa na zimno, drzemała.

Natomiast Walter bynajmniej nie spał. Od czasu do czasu rzucał spojrzenie za siebie w kierunku wielkiego Escorneboeufa, który wraz z Gaskończykami zamykał pochód. Między obydwojma mężczyznami, zapewne równymi sobie pod względem siły, zapanowała od pierwszego wejrzenia antypatia. Wystarczyło właśnie to pierwsze spojrzenie, które złapała Katarzyna i którego sens uchwyciła natychmiast. I Normandczyk, i Gaskończyk przyzwyczajeni byli do tego, że panują nad innymi, wymuszając prestiż siłą. Zatem obaj aż płonęli z niecierpliwości, by się zmierzyć. Podzieliła się swymi obawami z mężem.

- Oni się pobiją wcześniej czy później - szeptała, spoglądając na Escorneboeufa, który wycierał nos rękawem i w zamyśleniu przypatrywał się Walterowi siodłającemu Morgane.

- Jeśli będzie to walka rycerska, obserwowanie potyczki dwóch takich olbrzymów może być zabawne, ale w zwyczajnej bójce potrafię ich rozdzielić. Dzikie bestie tresuje się batem, a ja od dawna posiadam tę sztukę.

Ta typowa dla Arnolda odpowiedź wzmogła jedynie obawy Katarzyny. Obiecała sobie zachowywać większą ostrożność, nie mogła jednak powstrzymać się od myśli, że życie byłoby nieskończenie bardziej proste, gdyby pozbawić mężczyzn tego nieumiarkowanego upodobania do zabijania się nawzajem. Instynktownie położyła rękę na brzuchu. Czy ten, który tam mieszkał, będzie miał równie wojowniczą naturę? Czy gorąca krew Montsalvych weźmie górę nad o wiele bardziej spokojnym usposobieniem jego matki i dziadka, dobrego Gauchera Legoix, który umarł powieszony, gdyż nade wszystko kochał pokój? Po raz pierwszy Katarzyna przełękała się tej żywej tajemnicy, którą nosiła w swym ciele.

Do tego niepokoju dołączył się inny, lęk przed nieznanym, otwierającym się przed nią. Co znajdzie u kresu tej drogi? Co na nią czekało w tej Owernii, o której nie miała najmniejszego nawet wyobrażenia? Góry, rzecz niesłychana dla dziewczyny z równin, którą była... nieznajome twarze, nowe domostwo, teściowa... W gruncie rzeczy najbardziej niepokojące było to ostatnie: matka Arnolda! Katarzyna niewiele o niej wiedziała poza tym, że synowie ją ubóstwiali. Niegdyś, w piwnicy domu rodziny Legoix, zanim Michał de Montsalvy został zamordowany przez paryską tłuszcę, opowiadał o swej matce uważnie słuchającej dziewczynce, którą była wówczas Katarzyna. Opisywał ją jako

wielką damę, która wcześniej owdowiała, zostając sama z dwoma małymi chłopcami, dużym domem i ziemią. Katarzyna miała wrażenie, że jeszcze słyszy głos Michała: „Moja matka zostanie sama, gdy brat także rozpocznie wojskową karierę. Będzie zapewne cierpiała z tego powodu, ale nie powie ani słowa. Jest zbyt dumna, ma zbyt wiele godności, by się skarżyć”.

Katarzyna zastanawiała się, jak ta wyniosła kasztelanka przyjmie nieznaną synową, w dodatku plebejskiego pochodzenia? A jeśli przyjdzie im żyć obok siebie, to jak to będzie wyglądać?

- O czym myślisz? - zapytał Arnold.

Nie zauważyła, jak się do niej zbliżył, tak była pogrążona w myślach.

Uśmiechnęła się, widząc jego niepokój. Zapytał jeszcze:

- Nie czujesz się dobrze? Może jesteś zmęczona?

- Nie - odparła. - Rozmyślałam tylko.

- O czym?

- O tym, co nas czeka... o twoich stronach... o twojej rodzinie.

Zęby Arnolda rozbłysły w nagłym uśmiechu. Pochyliwszy się, otoczył Katarzynę ramieniem i przycisnął usta do jej skroni.

- Możesz mi się przyznać - szepnął. - Boisz się tego wszystkiego, czyż nie?

- Trochę tak...

- Niepotrzebnie. Jeśli pokochasz Owernię, ona odda ci to zawiązką. A co do mojej matki, ponieważ to ona jest całą najbliższą rodziną, myślę, że się jej spodoba. Ona przede wszystkim ceni odwagę...

Zrównawszy krok swego konia z krokiem Morgany, która wdzięczyła się do czarnego rumaka, Arnold długo opowiadał żonie o



rodziny stronach. Stopniowo zapomniała o miękkich dolinkach ukrytych pod śniegiem, by wyobrazić sobie wysoki, wietrzny płaskowyż, zbiegający w dół skalistymi, zielonymi zboczami aż do głębokiej doliny, w której płynęła rzeka, błękitnawe góry we mgle poranka, fioletowe o zachodzie słońca, czarne skały i białe wody. Nagle zaczęło jej się spieszyć, by dotrzeć do tej dziwnej krainy, gdzie może oczekuje ją szczęście za pokrytymi dzikim winem murami starego zamku, który już nie musiał być fortecą. Zapomniała nawet o tym, że nad tą krainą zawisł złowróżbny cień hiszpańskiego opryszka. Ale Arnold nie zapomniał... Po chwili ciszy rzekł posępnym głosem:

- I wszystko to jest teraz w niebezpieczeństwie, zagrożone przez nienasyconą chciwość jakiegoś La Tremoille'a, pragnącego przywłaszczyć sobie lenno z całkowitym pogwałceniem prawa feudalnego! Czas mi się dłuży... chcę tam dojechać jak najszybciej!

Dopóty, dopóki jechali przez uprawne ziemie Berry, względnie bezpieczne dzięki stałej obecności króla, podróż przebiegała pomyślnie. Jedzenie było co prawda drogie i było go niewiele, jednak na widok złota pożyczanego szcudrobliwie przez Coeura - Arnold nie mógł wytłumaczyć mu, że to tylko dług - wiele skrzyń i kurników otwierano w oberżach, w których zatrzymywali się nasi podróżni. Niestety, sytuacja się zmieniła, gdy wjechali do surowego i dzikiego Limousin. Była to kraina bezludna o niskich pagórkach, przecinających głębokie, a zimą posępne doliny, i zamarzniętych bagnach ze sterczącymi suchymi trzcinami. Z rzadka porzucane wioski zagłębione były w krzaczastych nizinach, jak gdyby chciały się ukryć przed niebem. Wioski te były tak ubogie, że ich małe

szare kościółki pokryto jedynie strzechą. Niegdyś chłopci uprawiali tu żyto, rzepę, kapustę i nieco pszenicy, a na niżej położonych suchych terenach - winorośl. Jednak przeszło tamtędy tyle wojsk, Anglików, Armaniaków, Burgundczyków, tylu rozbójników i opryszków, sprzymierzeńców równie chciwych jak przeciwnicy, że ziemia powróciła do stanu pierwotnej dzikości. Żołnierze dokonali spustoszeń wśród bydła, którego jeszcze nie zdążyła zdziesiątkować choroba, i w czarnych kleszczach głodu ginęła powoli cała kraina.

Szczyście, jakie ogarnęło Katarzynę po wyjeździe z Bourges, na początku długiej drogi, która miała ją doprowadzić do nowego domu, gasło stopniowo, w miarę jak zagłębiali się w tę nędzną krainę. Z każdym stąpieniem Morgany rósł w jej piersi ciężar. Powoli oddziaływała na nią dławiąca cisza wyludnionych wsi, ostrych szczytów najeżonych czarnymi i niemymi fortecami. Kiedy przypadkowo zauważono jakąś ludzką istotę, uciekała ona przed tym uzbrojonym oddziałem, a gdy spojrzenie tej istoty spotykało się z jej spojrzeniem, Katarzyna nie dostrzegała w nim niczego ludzkiego. Ludzie stali się tacy jak wilki, od których gorsi, jak zauważyła, byli Gaskończycy Escorneboeufa.

Kiedy skończyły się resztki zapasów, codzienne wyżywienie stało się pod znakiem zapytania. Trzeba było szukać jedzenia po drodze, co spowolniło tempo podróży. Dni były krótkie, noce zapadały wcześnie, zmuszając ich do postojów, gdyż błota i trzęsawiska mogły stać się pułapką.

Co więcej, Katarzyna niepokoiła się o samą siebie. Podróż, powolna i trudna, męczyła ją niewyobrażalnie. Odczuwała często bóle, a w nocy, kiedy odpoczywała w ramionach Arnolda, coraz trudniej jej było zasnąć. Rosło też jej zdenerwowanie.

Pewnego wieczoru między Katarzyną a Arnoldem rozegrał się pierwszy dramat.

Na nocny wypoczynek zatrzymano się w na poły zburzonej kapliczce znajdującej się w środku gęstego lasu Chabrieres i Walter, tak jak miał to zwyczaj czynić co wieczór, zagłębił się w las z nieodłącznym toporem, by coś upolować. Gaskończycy rozpalili ognisko, przy którym usiadły Katarzyna i Sara, następnie pozostawiając trzech mężczyzn na straży, również oddalili się w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Od ubiegłego dnia spożyto jedynie papkę z kasztanów znalezionych w jakiejś opuszczonej stodole. W zagrodzie z kamieni, w której trzymano konie, Arnold usuwał kamyk z kopyta utykającego Parobka. Katarzyna grzała ręce nad ogniskiem podsycanym przez Sarę, usiłującą zapomnieć o nękającym ją głodzie.

Nagle ciszę przerwały złorzeczenia i okrzyki bólu. Dwaj Gaskończycy wyszli z gęstwiny leśnej, ciągnąc za sobą wieśniaka, który wyrwał się z wszystkich sił. Z ramienia ofiary zwisały dwa złapane w sidła zające. Mężczyzna wrzeszczał, błagał, żeby mu pozostawiono zdobycz, przysięgał, że w chacie zostawił żonę i czworo dzieci umierających z głodu, ale ci nie słuchali. Ich okrutne śmiechy zagłuszały głos nieszczęśnika. Katarzyna poderwała się i chciała podbiec do nich, ale Escorneboeuf ją wyprzedził.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Olbrzymia pięść Gaskończyka spadła jak piorun. Dał się słyszeć suchy trzask, jak gdyby ktoś zgniótł orzech, i wieśniak padł z rozplataną czaszką, bez jęku, do stóp Katarzyny. Zachwiała się, osłabła ze zgrozy, ale silny gniew utrzymał ją na nogach. Rzuciła się z wściekłością na jednego z ludzi, który, pochylony nad

trupem, zdejmował zeń zające. Ostрым ruchem wyrwała mu zwierzęta, by zaraz potem skierować swą wściekłość na mordercę.

- Ty brutalu! Jakim prawem zabiłeś tego człowieka? Kto ci wydał taki rozkaz? Zabiłeś go... zabiłeś niewinnego człowieka, który nikomu nic nie zrobił...

Oszalała z gniewu, który przynajmniej tyle sprawił, że wyzwolił ją z odrażającego strachu fizycznego, skoczyła do oczu Gaskończyka z pazurami, kiedy Arnold, który właśnie nadbiegł, złapał ją za ramiona i przytrzymał stanowczo.

- Katarzyno! Oszalałaś? Co cię napadło?

Z oczu młodej kobiety wytrysnęły palące łzy; zwróciła w stronę męża wilgotną twarz:

- Co mnie napadło? Czy ty nic nie widziałeś? Czy nie widzisz tego trupa u swoich stóp? Ten człowiek zabił nieszczęsnego wieśniaka za nic, za to tylko?

Odsunęła stopą zabite zające, tak jakby to był nieżywy wąż.

- On za dużo krzyczał! Jak rany! - przerwał im Gaskończyk. - Nie lubię, jak ktoś tak krzyczy!

- A ja - uciał łagodnie Arnold - nie lubię, jak ktoś zabija bez powodu, mój przyjacielu! Zechcesz pamiętać o tym, że masz czekać na mój rozkaz, zanim uderzysz. W przeciwnym razie nauczę cię posłuszeństwa. A teraz każ zabrać tego trupa. Dwaj twoi ludzie wykopią grób w zagrodzie. To ziemia chrześcijańska. W tym czasie Sara obedrze ze skóry i upiecze tę zwierzynę.

Mówiąc to, obejmował cały czas Katarzynę, która płakała cichutko, przytulając głowę do jego piersi, ale nagle odsunęła się i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, z których gniew szybko przegonił łzy.

- Co takiego? To ma być kara, którą wymierzyłeś temu mordercy? I to cała mowa pogrzebowa, jaką wygłaszasz nad zwłokami tego nieszczęśnika? Żeby go pochować i zakończyć sprawę?

- Co takiego mogę jeszcze zrobić? Przykro mi, że ten człowiek został zabity, ale już i tak nie żyje, więc nie pozostaje nic innego, jak go pochować. To i tak więcej, niż dostaje się innym ludziom, którzy za cały grób mają żołądek wilka albo kruka.

Może dlatego, że Escorneboeuf rzucił mu ironiczne spojrzenie, oddalając się ze zwłokami, Arnold odpowiedział z pewną surowością, która rozjuszyła Katarzynę jeszcze bardziej.

- Nigdy nie pomyliłam żołnierza z mordercą! - krzyknęła. - Ten człowiek zabił na zimno, bez powodu. Powinien być ukarany zgodnie z ludzkim prawem.

- Nie mów głupstw, Katarzyno - odparł zmęczonym tonem Arnold. - Nie mamy zbyt wielu ludzi, a Bóg jeden wie, co nas czeka w Owernii. W końcu to przecież tylko jakiś chłop.

To słowo zabolalo Katarzynę jak policzek. Poczula, że ogarnia ją głęboki smutek, ale, zbuntowana, wyprostowała się dumnie.

- Chłop? - spytała z goryczą. - To rzeczywiście niewiele... przynajmniej dla takich jak ty, bo dla takich jak ja chłop też jest człowiekiem!

- Takich jak ja? Wydaje mi się, że i ty do nich należysz...

Wzruszyła ramionami, całkowicie zniechęcona. Czyż ich wspólne życie zawsze będzie oparte na całkowitym niezrozumieniu i czy namiętna miłość, która ich łączyła, zdoła zasypać przepaść dzielącą ją, córkę złotnika z Pont-au-Change, od dziedzica Montsalvych? Czyż mogła mu

powiedzieć, że w owej chwili czuła się nieskończenie bliższa temu zamordowanemu niż temu, którego - mimo wszystko - nazwisko nosiła?

- Zastanawiam się nad tym! - mruknęła, odwracając się od niego. - Tak, naprawdę, zastanawiam się! Rób, co ci się podoba... ale ja nie będę jadła tego mięsa. Jak dla mnie, za drogo kosztowało!

Czarne oczy Arnolda cisnęły błyskawicę. Otworzył usta, by coś odpowiedzieć, może agresywnie, ale w tej samej chwili z lasu wyszedł Walter Malencontre. Przez ramiona miał przewieszzonego dzika, którego rzucił do stóp Katarzyny, ze wzrokiem wbitym w Arnolda.

- Mimo wszystko będzie pani miała smaczny posiłek, pani Katarzyno...

Obaj mężczyźni, rycerz i Normandczyk, stali chwilę twarzą w twarz, oczy czarne wpatrzone były w oczy szare. Ręka Arnolda opadła na rękojeść miecza i wycofała się. Wzruszając ramionami, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Rób, jak chcesz! - rzucił Katarzynie, zanim zniknął za kaplicą.

Popatrzyła za Arnoldem, zaniepokojona ciosem, jaki Walter zadał jego dumie, ale nie śmiała podążyć za nim. W tej chwili nie byli w stanie się porozumieć. Kiedy wrócił po dłuższej chwili, siedziała z boku otulona obszernym płaszczem i przyglądała się, jak Sara obraca nad ogniem na zaimprovizowanym rożnie udziec dzika. Podszedł do niej i ułożył się obok na ziemi z głową opartą na kolanach żony.

- Wybacz mi - wyszeptał. - Myślę, że musisz mieć cierpliwość, dużo cierpliwości, ale będę próbował zrozumieć... ciebie!

Zamiast odpowiedzi pochyliła się i przycisnęła usta do jego ciemnej czupryny. Na chwilę zapomnieli o chłdzie, o nocy, o wojnie i zaznali nieco spokoju. Łagodnie wziął ją w ramiona i odciągnął na bok, tam gdzie

nie mogły ich dosięgnąć ludzkie spojrzenia. Małżonków okrył cień kapliczki, odcinając ich od reszty świata. Arnold troskliwie otulił Katarzynę kilkoma nakryciami, następnie wyciągnął się obok niej, rozciągając nad obojgiem własny płaszcz.

- Dobrze ci? - spytał.

- Bardzo dobrze... ale, Arnoldzie, boję się. Chciałabym już być na miejscu, ze względu na dziecko. Kopie mocno, wiesz...

- Zrobimy wszystko, żeby jechać szybciej. Spróbuj usnąć, moja ukochana. Potrzeba ci spokoju i ciszy.

Ucałował namiętnie jej chłodne wargi. Wreszcie usnęła. Długo się jej przyglądał. Wzruszony, nie śmiał się poruszyć, by jej nie obudzić. Z każdym dniem była mu coraz bliższa i droższa.

Nieco dalej Gaskończycy rozsiedli się wokół drugiego ogniska, na którym piekli zające. Oni również wydawali się spokojni, gdyż dla nich życie i śmierć logicznie następowały po sobie w łańcuchu bez końca...

A kiedy następnego dnia, bladym rankiem, ruszyli w drogę przez niskopienny, nagi las poruszany ostrym wiatrem z północy, Katarzyna skonstatowała, że fizyczny wygląd Escorneboeufa uległ pewnej zmianie. Na próżno usiłował on ukryć twarz, która nosiła ślady bójk. Podbite oko, wciąż jeszcze świeże zadrapania i cała masa siniaków barwy od jasnoniebieskiej do ciemnofioletowej - wszystko to składało się na fizjonomię nader dziwną. Szukając wzroku Arnolda, zauważyła, że on również wpatrywał się w sierżanta i że w jego oku błysnęła wesołość. Uśmiechnął się czule do żony, a następnie odwrócił do Waltera. Normandczyk przymknąwszy oczy, jechał spokojnie z rękami splecionymi na brzuchu i zadowoloną miną kota, który wychłęptał miskę mleka.

Wyglądało na to, że to on był przyczyną tęczowego zabarwienia twarzy

Escorneboeufa... Ostatnie spojrzenie przekonało Katarzynę ostatecznie - to Gaskończyk zerknął złym okiem na olbrzyma. Najwyraźniej w nocy dostał nauczkę, która mu się należała i którą nieprędko zapomni. Katarzyna nie lubiła jednak, gdy miały miejsce skryte zawiści, zagrażające bezpieczeństwu grupy i mogące być źródłem poważnych konfliktów.

Granitowy płaskowyż nagle obniżył się i droga biegła teraz wzdłuż zbocza pagórka w stronę niewielkiej wioski, w której nie było widać śladów życia. Żaden komin nie dymił, nic się nie poruszało... z wyjątkiem dziwnej grupy w pobliżu stacji drogi krzyżowej. Kilku mężczyzn pochylało się nad kimś, kto poruszał się frenetycznie. Katarzyna zauważyła, że Arnold, ciągle jadący na przodzie, zatrzymał się przed zejściem i spoglądał w dół, stojąc w strzemionach. Spięła Morganę, żeby dołączyć do niego, ale on już pędził na złamanie karku po stromej drodze. Ostatnie promienie bladego słońca odbijały się na stali miecza, który Arnold wyciągnął z pochwy.

- Włóczędzy - rzucił Walter w stronę Katarzyny. - Napadli na kogoś. Pójdę mu pomóc.

- Nie, zostań tu! Nie byłby zadowolony, gdybyś go uprzedził...

Rzeczywiście, na samym dole Arnold nie dbając o przewagę, jaką dawał mu koń, zeskoczył na ziemię i z uniesionym w górę mieczem spadł na opryszków niczym piorun. Zadziałał szybko i skutecznie. Pierwszy padł bez okrzyku z przebitym gardłem, drugi wyciągnął długi nóż i stanął do walki, ale gdy zaatakował, uderzyła też lewa ręka rycerza uzbrojona w sztylet. Mężczyzna wydał straszliwy krzyk. Miecz dosięgnął trzeciego, gdy próbował ukraść konia i uciec. Dopiero wtedy Katarzyna dostrzegła



mężczyznę leżącego na schodku kapliczki. Zapewne był ranny. Arnold cisnął na ziemię swój skrwawiony miecz i ukląkł obok nieznanego.

- Szybko! - rzekła Katarzyna. - Teraz potrzebuje naszej pomocy...

Spięła obcasami Morgane, a cała grupa w ślad za nią popędziła w dół. Przed kapliczką Katarzyna i Sara zsiadły z koni i dołączyły do Arnolda.

- To pielgrzym - powiedział - I w dodatku biedny! Jak można napaść na nędzarza!

- Ba! - odezwał się za nim szydrczy głos Escorneboeufa. - Ci pielgrzymi ukrywają często pod łachmanami więcej złota, niż można by przypuszczać. Znałem takich...

- Dość! - uciął brutalnie Arnold. - Pielgrzymi to sługi boże, są uświęceni, czy raczej powinni być... Idź zobaczyć, czy można się zatrzymać w tej wiosce. Wydaje się, że jest tu pusto, ale nigdy nie wiadomo. I pamiętaj o moich rozkazach: nie napadać na nikogo!

- Tak, panie! - mruknął Gaskończyk niechętnie. - Hej, tam! Zsiadać z koni!

Podczas gdy Sara otwierała skórzany kuferek, w którym znajdowały się lekarstwa i opatrunki, Katarzyna położyła głowę rannego pielgrzyma na swoich kolanach. Był to starzec tak wychudły, że pergaminowa skóra sprawiała wrażenie przyklejonej do szkieletu. Krzaczasta długa broda i siwe włosy odsłaniały duży, zakrzywiony nos i wypukłe oczy, ukryte pod pomarszczonymi powiekami. W istocie jego strój nie powinien wywołać pożądlności. Długi płaszcz, który narzucony miał na kaftan, i łatane pludry były poszarpane, zrudziałe od słońca i pozieleniałe od deszczu. Szmaty poplamione krwią służyły mu za obuwie. Stary pilśniowy kapelusz

o podwiniętym rondzie potoczył się dalej i leżał w gęstym błocie na skrzyżowaniu dróg.

Gdy Sara ocierała krew ciekącą z czoła starca, Katarzyna ze wzruszeniem dotykała drżącym palcem muszli przyszytych do starej opończy. Ten człowiek podobny był do jej przyjaciela Barnaby. Jego płaszcz przypominał płaszcz Muszelnika - był równie poszarpany, równie nędzny, ale nosił ślady pokuty i wyrzeczeń, na które Barnaba nigdy się nie zdobył.

- Przybywa z Compostelli - rzekła ochryple, gdy jej palce natknęły się na cynową figurkę świętego Jakuba przszytą do podszewki płaszcza.

- On był jeszcze dalej, najdroższa. Popatrz... - rzekł poważnym głosem Arnold. I wskazał zawieszony na szyi sznureczek z małą ołowianą palmą i krzyżykiem. Katarzyna ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że Arnold klęka w błocie i całuje z czcią szmaty, które okrywały stopy pielgrzyma.

- Co robisz?

- Oddaję cześć należną jemu podobnym. On przybywa z Jerozolimy, Katarzyno. To pielgrzym z Ziemi Świętej, Wielki Pielgrzym, a stopy, które ucałowałem, dotykały ziemi niegdyś noszącej Pana.

Katarzyna i Sara, wzruszone, stały nieruchomo. Nagle wydało się, że starzec urósł i przybrał wymiary nadludzkie. Ogarnęło je głębokie uczucie czci. Pielgrzymi z Ziemi Świętej należeli do rzadkości, podczas gdy sanktuaria chrześcijańskie zawsze wypełniały rozmodlone tłumy. Trzeba było być bardzo pobożnym albo popełnić bardzo wielką zbrodnię, by wyruszyć tak daleko, narażając się na takie niebezpieczeństwa, i prosić o łaskę i przebaczenie!

Pielgrzym wracał do przytomności. Jego powieki uniosły się, ukazując w zapadającym mroku tęczę błękitne jak letnie niebo.

Próbował wstać, ale udało mu się to dopiero przy pomocy Sary. Spojrzał z wielką łagodnością na parę klęczącą u jego stóp.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - powiedział. -

Serdeczne dzięki za udzieloną pomoc. Gdyby nie wy, to... - przerwał, zobaczywszy trzech leżących. W jego oczach pojawiły się łzy. - Czy oni musieli umrzeć za moją sprawą? I to w stanie grzechu?

- Albo ty, panie, albo oni - rzekł łagodnie Arnold. - Ci, którzy napadają na wędrowców bożych, nie zasługują na litość ani łaskę.

- Zapewne byli głodni - powiedział pielgrzym. - Będę się za nich modlił, kiedy znajdę się już u kresu podróży.

- Czy jeszcze nie nadszedł dla pana czas odpoczynku? Zdaje się, że przybywa pan z bardzo daleka.

Jasne oczy pielgrzymy stały się tak promienne, że Katarzyna miała wrażenie, jakby zima ustąpiła i oświetliło ją słońce.

- Tak... z bardzo daleka - rzekł. - Widziałem grób Pana i całą noc modliłem się pod drzewami na Górze Oliwnej. Pragnąłem tego, gdyż jako niegodny i nędzny dostąpiłem łaski. Jestem zwykłym murarzem, który z potrzeby serca pracował przy katedrach dopóty, dopóki Bóg nie zabrał mu wzroku. Rozpacz zaprowadziła mnie daleko, dalej, niż sobie wyobrażacie, bo bluźniłem i zwątpiłem w Boga. Ze wstydu chciałem iść, błagać o wybaczenie na grób świętego Jakuba, który miał moc leczenia zgorzkniałych dusz. W Puy dołączyłem do karawany i udałem się w długą drogę do hiszpańskiej Galicji. Możecie wyobrazić sobie moją radość, gdy nagle odzyskałem wzrok. Zobaczyłem niebieskie niebo i ogromną katedrę, białe miasto i nagrobek rozjarzony płomieniami świec. Musiałem złożyć dzięki za tyle łask. Zapragnąłem udać się do Ziemi Świętej.

- Niewidomy! - wybełkotała olśniona Katarzyna. - Był pan niewidomy i odzyskał pan wzrok?

- Ależ tak. Wiara, moja córko, to miłość i ukojenie. Nie ma niczego takiego, czego największy nędznik nie może uzyskać od niebios, jeśli ma wiarę i umie prosić... Niech pani pamięta w godzinach bólu, jakie jeszcze dla pani nadejdą, o starym pielgrzymie od świętego Jakuba... któremu udzieliłaś, pani, pomocy i który będzie się za panią modlił. Proszę wspomnieć Barnabę...

Barnaba!

Krew odpłynęła Katarzynie z policzków, a ręce zaczęły drżeć. Jakimż dziwnym zrządzeniem losu ten człowiek, który nosił muszle, również miał na imię Barnaba? Czy był w tym jakiś znak, a jeśli był, to jak go sobie tłumaczyć?

Nieruchomo, wciąż na kolanach, z rozpalonymi uszami, patrzyła na Sarę, która kończyła opatrywać starca, Arnold zaś z czcią odkrywał zranione stopy, by obmyć je w wodzie już grzanej na pospiesznie rozpalonym przez Gaskończyków ogniu. Zaledwie słyszała pytania, jakie jej mąż zadawał starcowi.

- Dokąd teraz podążasz, panie?

- Modliłem się na grobie świętego Leonarda, a teraz pójdę do domu należącego do świętego Michała. Stoi wśród fal morskich w Normandii. Gdy wróciłem w swoje strony, dowiedziałem się, jakie cuda zrobił dla królestwa Francji i jak przemówił do Dziewicy Joanny, gdy była młodzieńcem...

- Joanna nie żyje - rzekł posepnie Arnold - I niektórzy uważają, że była czarownicą. A my, którzyśmy jej służyli, jesteśmy prześladowani i ścigani jak przestępcy.

- To nie będzie długo trwało - oznajmił Barnaba żywo. - Bóg nie robi niczego połowicznie. Ale niech będzie błogosławiony, że skierował was na moją drogę. Mówicie, że znaleźcie tę świętą pasterkę? Opowiedzcie mi więc o niej dziś wieczorem, zanim nasze drogi się rozejdą.

Katarzyna zachowała na zawsze w pamięci ten wieczór. Ulokowali się na noc w jednym z opuszczonych domków miasteczka. Do końca życia przypominała sobie krąg twarzy skupionych wokół ognia, a nad nimi górującą postać pielgrzyma. Barnaba opowiedział o swej długiej podróży i o urodzie krajów, które przemierzył. Natomiast Arnold przedstawił historię Joanny, wkładając w to tyle ciepła i pasji, że wszyscy słuchali z zapartym tchem, z nieruchomo utkwionymi weń oczami. Nawet Gaskończycy, szydery i bezbożnicy, siedzieli nieporuszeni jak kamienie, z rozgorzałymi oczami. Kiedy wreszcie wszyscy udali się na spoczynek, starzec przyjrzał się w zamyśleniu Katarzynie i Arnoldowi, którzy siedzieli obok niego, trzymając się za ręce.

- Jeszcze napotkacie wiele przeciwności, ale dana wam została łaska miłości. Jeśli ją utrzymacie, zwyciężycie świat cały. Ale czy będziecie ją umieli zachować?

Uśmiechnął się raptem i przesunął dłonią po oczach, jak po przebudzeniu. Następnie szybkim ruchem pobłogosławił obie głowy.

- Pokój z wami! Śpijcie spokojnie!

Mimo tego życzenia Katarzyna leżąc obok śpiącego Arnolda, z policzkiem na jego ramieniu, długo czekała na nadejście snu. W tym spotkaniu ze starym pielgrzymem było coś, czego nie mogła pojąć, ale czego nie zawahała się określić jako przeznaczenie. Jako znak tajemny zapewne, którego sens będzie mogła zrozumieć dopiero po wielu latach.

Jedna tylko rzecz była pewna: to spotkanie musiało się odbyć, za wszelką cenę.

Z nadejściem dnia wszyscy wyruszyli w drogę, ale gdy wysoka sylwetka pielgrzyma zniknęła stopniowo we mgle, Katarzyna ujrzała, że Walter, który pozostał z tyłu, odprowadza starca wzrokiem. Kiedy zajął znów miejsce obok niej, zmarszczka zatroskania pojawiła się na jego czole. Katarzyna uszanowała jego milczenie, które trwało dłuższą chwilę. Potem rzekł porywczo:

- Bóg, któremu służycie, musi być potężny, skoro ma takie sługi.

- Zrobił na tobie wrażenie? - spytała Katarzyna z uśmiechem.

- Tak... nie... Nie wiem! Wiem tylko jedno, że miałem ochotę za nim podążyć.

- Dlatego że poszedł do Normandii?

- Nie... by iść z nim! Wydawało mi się, że z nim nie spotkałoby mnie żadne nieszczęście, żadne cierpienie.

- A ty się lękasz cierpienia i nieszczęścia?

Przez krótką chwilę spoglądał na nią z tym wygłodniałym wyrazem twarzy, jaki zauważyła u niego dwa czy trzy razy.

- Pani wie dobrze, że nie - wyszeptał - jeśli pochodzą od pani!

I nagle puścił konia klusem, by dołączyć do Arnolda, który na przedzie dyskutował z Escorneboeufem.

Jeśli Arnold wybrał dłuższą i niebezpieczną drogę do Montsalvy przez Limousin, okrążając Owernię, to nie z upodobania do trudności. Jak wyjaśnił Katarzynie, Owernią, która była obiektem tylu sporów, rządzą w istocie dwaj biskupi: biskup Clermont, wierny królowi Francji, sojusznik

La Tremoille'a, i biskup Saint-Flour, który - Bóg jeden wie dlaczego - był zaprzędany księciu Burgundii.

- Myślę - rzekł Arnold z krzywym uśmiechem - że nie chcesz znów wpaść w ręce szlachetnie urodzonego księcia?

Katarzyna poczerwieniała i wzruszyła ramionami. Nie spodobała się jej ta aluzja, lecz już dawno temu nauczyła się liczyć z zazdrością Arnolda, która w tym przypadku była uzasadniona ze wszech miar. Powiedziała spokojnie:

- Po cóż więc zadajesz to pytanie, jeśli tak dobrze znasz odpowiedź?

Nie naciskał dłużej. Z jednej strony, chciał zatrzymać się u swego kuzyna w zamku Ventadour, gdzie jego matka, należąca do tej potężnej rodziny limuzyjskiej\*, przyszła na świat.

*\* Od: Limousin - regionu administracyjnego Francji.*

Odmalowywał Ventadour jako straszliwą fortecę, potężne schronienie, w którym zna się zawsze wszystkie nowiny, a skąd można byłoby wyruszyć do Montsalvy z lepszym wyposażeniem. Wicehrabia Jan był bogaty, potężny i praktyczny. Ze swej strony Katarzyna zaczęła pragnąć tego postoju całą mocą podupadłej kondycji. Trudna podróż bardzo jej ciążyła. Chudła w oczach, a długie godziny konnej jazdy stały się torturą dla wyczerpanego ciała. Od czasu do czasu przeszywały ją bóle, ostre jak cios włócznią, jej kończyny zaciskały się w mocnych skurczach i bolały ją plecy, gdy tylko zsiadła z konia. Co więcej, nie była już w stanie tolerować pożywienia - skąpego i składającego się wyłącznie z dziczyzny.

W miarę jak Katarzyna mizerniała, Arnold pochmurniał. Czynił sobie wyrzuty z powodu tej niekończącej się drogi krzyżowej. Puszczął

teraz Waltera przodem, by prowadził orszak zamiast niego, żywiąc zaufanie do jego instynktu dzikiego zwierzęcia, wietrzącego łatwo niebezpieczeństwo, a sam jechał obok Katarzyny. Często, gdy widział, jak drżała z zimna, zdejmował ją z grzbietu Morgany i sadzał przed sobą, aby własną piersią i połą szerokiego, czarnego płaszcza osłonić żonę od wiatru. Mimo osłabienia i zmęczenia podróży Katarzyna lubiła tak jechać, przytulona do Arnolda. Lubiła to rozkoszne poczucie bezpieczeństwa, które od niego było, dzięki czemu trud podróży stawał się bardziej znośny. Wkrótce przestała w ogóle podróżować inaczej i Morgana przywykła kłusować sama, trzymana tylko na lejcach za wielkim czarnym rumakiem.

Kiedy pod koniec dżdżystego dnia Katarzyna zobaczyła wreszcie Ventadour, westchnęła z ulgą, na co Arnold odpowiedział radośnie:

- Popatrz, najdroższa, oto zamek wicehrabiego Jana! Tutaj znajdziesz odpoczynek, pociechę i bezpieczeństwo. Jeśli tu nie będziesz bezpieczna, to nigdzie indziej też nie.

Był to rzeczywiście imponujący widok: na szczycie skały opadającej ostro ku wąwozowi, na którego dnie szumiał potok, pięły się ku górze mury, wieże z granitu z drewnianą palisadą wymalowaną na ostre kolory i górujący nad wszystkim gigantyczny fort, tak stary, że musiał pamiętać wyruszających na wyprawy krzyżowe.

- Mawia się - ciągnął dalej ze śmiechem Arnold - że słoma całej Francji nie wystarczyłaby na wypełnienie fos Ventadour!

Rzeczywiście, to dziwne fosy - pomyślała Katarzyna o szczelinie między dwiema górami, spomiędzy których forteca wytryskiwała niczym wnętrzości ziemi. Droga, która prowadziła z małej wioski rozrzuconej na skalistym zboczu, pięła się po cudownym wzgórzu, wila się



po skale, by dotrzeć do masywnej bramy, wysokiej jak wejście do miasta, otwierającej wewnątrz zamku.

Mała grupka zmęczonych ludzi weszła w tę bramę.

Arnold, ogarnięty nagłą radością, kołysał Katarzynę przytuloną do niego, i zaśpiewał pełnym głosem:

*Moje serce jest tak przepelnione miłością, radością i spokojem,  
że lód wydaje mi się kwiatem, a śnieg zielenią...*

Uśmiechnęła się doń czule, przyciskając skroń do jego ciepłego policzka.

- Ta pieśń jest piękna... A ja nie wiedziałam, że lubisz śpiewać.

- Jestem tak cywilizowany, jak Xaintrailles, bo chyba to chciałaś powiedzieć - odpowiedział ze śmiechem. - To moja matka nauczyła mnie tej pieśni! To tutaj ją skomponował, dawno temu, trubadur, który miał na imię Bernard. Był synem młynarza i zakochał się w pani tego zamku. O mało nie umarł z tego powodu, ale udało mu się uciec na czas. Mówi się, że później pokochała go królowa.

- Śpiewaj jeszcze! - poprosiła Katarzyna. - Lubię cię słuchać.

Arnold ulegle śpiewał dalej, a jego radosny głos rozchodził się na cztery strony świata.

*Kiedy widzę radosnego skowronka,  
jak trzepocze skrzydłami o promień słońca...*

Pieśń ucichła nagle i Arnold zatrzymał konia. Na górze wrota się otwały, wypuszczając duży oddział rycerzy, który szybko ruszył w stronę

podróżnych. Arnold przyglądał się im ze zmarszczonymi brwiami. Jego napięcie zaniepokoiło Katarzynę.

- Co się dzieje? Myślę, że to ludzie wicehrabiego i...

Nie odpowiedział jej, tylko zawołał:

- Walterze!

Normandczyk podjechał. Arnold bez słowa uniósł w ramionach Katarzynę i przekazał ją, zdziwioną, prosto w ramiona olbrzyma.

- Szybko! Wracaj i zabierz także Sarę. Zaprowadź je w bezpieczne miejsce!

- Ale, pani...

- Słuchaj się mnie... Szybciej, ratuj ją, a jeśli zginę, zawieź ją do mojej matki...

- Arnoldzie! - krzyknęła Katarzyna. - Nie!

- Zabieraj ją, powiadam! Taka jest moja wola. Ci, którzy tu jadą, to nie są ludzie z Ventadour. To są rozbójnicy Villi-Andrada!

Głuchy na okrzyki Katarzyny, nieczuły na jej daremny opór, Walter zawrócił konia, porwał w przelocie wędzidło konia Sary i pognął zwierzęta do wioski. Katarzyna wykręcała szyję, by wyrzeć przez ramię olbrzyma. Gaskończycy zgromadzili się wokół Arnolda, który z mieczem w dłoni stał w strzemionach i patrzył w stronę wroga zmierzającego w dół, a zbroje, włócznie i miecze połyskiwały ponuro w słońcu.

- Puść mnie - krzychała Katarzyna. - Idź, pomóż im. Nie dadzą rady... To za potężny oddział! Wypada co najmniej pięciu na jednego.

- Pani małżonek jest dzielny i umie walczyć! Choć raz, pani Katarzyno, musi pani ścierpieć to, że jestem mu posłuszny... Nie ma pani czego tu szukać.

Aby nie mogła oglądać walki, która za chwilę miała nastąpić, i żeby ukryć ją przed wzrokiem rozbójników, Walter zagłębił się nagle w drzewa i krzaki, pędząc prosto do łożyska Luzege, małego strumyka, który otaczał Ventadour. Nie mógł jednak przeszkodzić jej w słuchaniu szczęku broni i dzikich okrzyków mężczyzn, którzy zagrzewali się do walki.

- Mój Boże! - łkała Katarzyna. - Zabiją go. Błagam cię, przyjacielu, zostaw mnie tutaj... Daj mi przynajmniej popatrzeć...

Ale Walter z zaciśniętymi zębami cwałował przed siebie, na samo dno wąwozu, ciągnąc za uzdę Parobka unoszącego na grzbiecie Sarę - bardziej martwą niż żywą.

- Popatrzeć na co? - sarkał. - Na lejącą się krew i ginących ludzi? Jak tylko będę mógł zostawić panią w bezpiecznym miejscu, natychmiast wjadę znów na górę i zobaczę, co się da zrobić. Proszę być rozsądną...

Znalazł odpowiednie miejsce szybciej, niż myślał. Jadąc wzdłuż łożyska rzeki, wypatrzył wąską grootę. Sprawiała wrażenie głębokiej i, po szybkim rekonesansie, Normandczyk zaniósł do niej Katarzynę. Było tam nieco cieplej niż na zewnątrz. Grota musiała czasem służyć za schronienie pasterzom czy leśnikom, przy samym murze bowiem leżała porzucona wiązka słomy. Co więcej, mimo sąsiedztwa wody grota nie była wilgotna.

Walter ułożył Katarzynę na słomie i odwrócił się do Sary, która także zsiadła już z konia.

- Rozpal ogień i pozostań przy niej, ja wracam.

Odwrócił się na pięcie, zostawiając kobiety same. Sara, krzywiąc się, rozcierała sobie krzyż.

- Jeszcze trochę, a będzie wydawał rozkazy, dzikus jeden! - mruzczała.

Dalsze słowa uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła bladość Katarzyny.

Młoda kobieta przycupnęła na słomie obok skały. Odrobina światła, jaka docierała do jaskini, ukazywała jej twarz mokrą od potu oraz wylęknione, pełne cierpienia oczy, które postawiły Sarę w stan gotowości.

Szybkim ruchem odgarnęła jasne kosmyki przylepione do czoła Katarzyny i przyjrzała się jej ściągniętym rysom. Ostry ból targnął ciałem młodej kobiety, wygięła się w łuk, by za chwilę opaść. Dyszała ciężko.

- Boli mnie, Saro!... Potworny ból! Tak jakby mi ktoś przeszył łono... To już drugi raz... Przedtem, kiedy Arnold oddał mnie w ręce Waltera... Ja... Ja nie wiem, co to jest!

- Ale ja wiem - rzekła Sara. - Od dawna już podróżujemy i straciliśmy poczucie czasu.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że... że to już dziecko?

- Czemu nie? Przez to galopowanie może być trochę wcześniej. Boże! Jeszcze tylko tego brakowało.

Nie traciła jednak czasu na czcze gadanie. Szybko zdejmowała z Parobka bagaże, które miał na grzbiecie - skrzynię z lekarstwami i paczkę ubrań. Walter, spiesząc się, zostawił wszystko, co obciążało konia - również ubrania, worek z paszą dla zwierząt i kociołek. W mgnieniu oka Sara okryła Katarzynę, czym mogła. Następnie zebrała na zewnątrz suche gałęzie i rozpałała ogień za pomocą słomy. Potem napełniła wodą kociołek i zaczęła ją grzać, oparłszy naczynie na trzech skrzyżowanych gałęziach. Z otwartymi szeroko oczami Katarzyna przyglądała się przygotowaniom. Ból uspokoił się chwilowo, więc zaczęła nasłuchiwać, chcąc uchwycić jakies odgłosy walki. Szmer wody zagłuszał jednak wszystko.

Katarzyna usiłowała przypomnieć sobie słowa modlitwy, ale czuła dziwną pustkę w głowie. Nie mogła oderwać myśli od Arnolda. Całe jej jestestwo wyrywało się do niego, starała się odgadnąć, jakim to bólem przeszyje ją przecucie jego śmierci. Katarzyna wiedziała, że jeśli nagle przerwie się owa tajemna nić, która wiązała ich od dawna, będzie to czuła dokładnie w tej samej chwili, odczuje wewnętrzne cierpienie...

Ogień palił się teraz jasno i oddzielał ją ścianą ciepła od zimna panującego na zewnątrz. Noc nadciągała szybko i Sara, by zmniejszyć ryzyko, że je ktoś zauważy, zasłaniała gałęziami i kamieniami wejście do jaskini. Do zamkniętych w niewielkiej kryjówce kobiet docierały czasem zmieszane hałasy. Okrzyk wściekłości albo długi jęk bólu. Gdzieś zatrąbiła trąbka, zapewne na murach zamku.

- Co robi Walter? - jęknęła Katarzyna. - Czemu nie wraca, żeby mi powiedzieć...

- Zapewne ma co innego do roboty - odparła Sara. - Walka może potrwać, bo to wszystko są żołnierze zaprawieni w walkach od dawna.

- A Arnold? Myślisz, że po tej chorobie może już walczyć?

- Z nim jest inaczej - rzekła Sara z uśmiechem. - U niego to raczej przyzwyczajenie niż wprawa - wojna leży w jego charakterze. A poza tym Walter nad nim czuwa.

- A jeśli zostaną pojmani?

- Dowiemy się tego... Na razie musisz myśleć o sobie, o dziecku, jeśli rzeczywiście zaczyna się rodzić.

Jakby w odpowiedzi nowy, jeszcze ostrzejszy ból wykręcił jej ciało, a jednocześnie poczuła jakąś nieprzyjemną wilgoć...

Katarzynę zalał huragan bólu. Nie wiedziała, czy trwało to godzinę, czy dziesięć. Zatarło się poczucie czasu, a wraz z nim świadomość tego, co

działo się na zewnątrz. Zniknął nawet niepokój wywołany niedaleko toczącą się walką. Pozostało tylko bezbrzeżne cierpienie. Bez przerwy i bez wytchnienia Katarzyna była torturowana, rozdierana, miała wrażenie, że dziecko, niczym olbrzym potrząsający murami swego więzienia, rozsądzi ją całą, aby wyjść jak najszybciej na światło dzienne. Poza torturą, jedynymi rzeczami realnymi była zaniepokojona twarz Sary, oświetlona czerwonymi płomieniami padającymi z ogniska, która pochylała się nad nią, a także ciepła ręka Sary, w którą młoda kobieta konwulsyjnie się wczepiała. Nie krzyczała, z jej ust wydobywał się tylko bezustanny jęk. Dyszała w swym nieustannym cierpieniu, torturze, której nie mogła usunąć siłą woli i która miała trwać nieubłaganie do samego końca. Od czasu do czasu Sara ocierała jej pot z czoła kawałkiem białej bielizny zwilżonym „wodą królowej węgierskiej”. Ten świeży zapach ożywiaił Katarzynę na chwilę, ale dziecko znów dawało o sobie znać i kobieta pogrążała się w swoim bólu. Pragnęła z całego serca, by nastąpiła chwila przerwy, chociaż jedna, która by jej pozwoliła poddać się potwornemu zmęczeniu. Tak bardzo chciało jej się spać!...

Spać, zapomnieć, przestać cierpieć!... Czyż ten ból nigdy nie ustanie? Czy nigdy już nie będzie mogła spać? Jej świadomość stopniowo się osłabiła, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, ale nagle nastąpił ból gorszy niż inne, niebywałe cierpienie, które wyrwało jej z piersi prawdziwe wycie, tak ostre, tak potężne, że przedarło się przez dolinę, rozpostarło się nad całą spowitą w noc i napełniło przerażeniem ludzi, którzy je usłyszeli. Rozległ się tylko jeden krzyk, następnie Katarzyna pogrążyła się wreszcie w błogiej nieświadomości, której tak pragnęła. Nie usłyszała nawet rozsierzonego płaczu, który rozbrzmiewały echem po jej okrzyku wyzwolenia, ani szczęśliwego śmiechu Sary. Zemdląca. Kiedy

oprzytomniała, była jednak nieco ogłuszona. Katarzyna miała wrażenie, że unosi się w jakiejś lekkiej mgłę, przez którą przezierały czyjeś oczy. Jej ciało nie istniało. W cudowny sposób zerwała kotwice, które przygwoździły ją do ziemi pełnej zasadzek i bólu. Czuła się tak lekka, jakby rozstała się już z ziemskim padołem i bujała w obłokach. Z tego błogostanu wytrącił ją jednak odgłos najzupełniej ziemski: kwilenie dziecka... Otworzyła szeroko oczy, uniosła głowę znad płaszcza, który służył jej za poduszkę. Między nią a ogniskiem był jakiś duży czarny cień, który mówił:

- Popatrz, moje kochanie, spójrz na swego syna!

Cudowna fala radości zalała Katarzynę. Chciała wyciągnąć ramiona, ale okazały się ciężkie jak ołów.

- Poczekaj - szepnęła Sara. - Uniosę cię. Jesteś wyczerpana.

Było jej wszystko jedno. Chciała tylko przycisnąć do siebie to zawiniątko, które teraz widziała wyraźnie w dużych rękach Arnolda.

- Syn?... To syn? Och, dajcie mi go!

Ułożył przy jej boku małe, ciepłe stworzonko, które wierciło się na wszystkie strony. Pojawił się Walter, wnosząc zaimprovizowaną pochodnię z gałęzi. Wydawał się jeszcze większy, gdy tak patrzyła na niego, leżąc. Na jego twarzy widniał szeroki uśmiech. Dzięki temu oświetleniu

Katarzyna nareszcie zobaczyła swego syna: maleńka, czerwona i pomarszczona twarzyczka otulona w płótna, w które spowiała go Sara, dwie zaciśnięte mocno piąstki i lekki, jasny puszek pokrywający okrągłą główkę.

- Jest wspaniały! - zakrzyknął radosny głos Arnolda. - Wielki, silny, cudowny... prawdziwy Montsalvy!

Katarzyna, mimo że była słaba, zaczęła się śmiać.

- Czyż więc wszyscy z rodziny Montsalvych są tacy brzydcy po przyjściu na świat? On jest cały pomarszczony.

- Rozprostuje się - wtrąciła Sara. - Przypomnij sobie...

Ugryzła się w język w ostatniej chwili. O mało nie wspomniała małego Filipa, którego Katarzyna miała z Filipem Burgundzkim, a który zmarł w wieku czterech lat w zamku Chateauvillain. Byłoby to głupotą i Sara w duchu skarciła się za tę nieostrożność. Katarzyna jednak zrozumiała. Jej twarz lekko się wykrzywiła i instynktownym ruchem przycisnęła do siebie noworodka. Ten chłopczyk był synem mężczyzny, którego ubóstwiała, więc będzie umiała uchronić go przed złem. Nie zabierze jej go śmierć. Uścisk obudził drzemiące dziecko, które od razu zaczęło protestować. Jego małe usteczka otwarły się szeroko. Widać było tylko okrągły otwór pod maleńkim noskiem, był to jednak otwór prowadzący do szczególnie mocnego gardziółka.

- Na rany Chrystusa! - zakrzyknął Arnold. - Ten łobuz ma płuca!

- Pewnie jest głodny - rzekła Sara. - Dam mu trochę letniej wody z cukrem, póki mleko się nie pojawi. Dam też wody Katarzynie. Potem pośpi trochę. Tego przede wszystkim jej potrzeba: snu.

Tylko o to jej chodziło - spać. A jednak gdy minęły pierwsze chwile radości, przypomniała sobie o ich położeniu i swobodną ręką wczepiła się w Arnolda, który ułożył się obok niej, by mogła oprzeć głowę na jego piersiach.

- Powiedz coś o tej walce...

- Zwyciężyliśmy... w pewien sposób... Myślę, że chwilowo jesteśmy bezpieczni, a w każdym razie dopóty, dopóki mamy jeńca, którego tu widzisz. Rzeczywiście, z drugiej strony ogniska, obok wejścia do grotty,



stał osobnik, strzeżony przez Escorneboeufa i dwóch Gaskończyków, którego nigdy nie widziała. Wysoki, szczupły, prosty jak rapier, odziany na czerwono. Jego szczupłą twarz zdobił duży, orli nos. Miał wystający arogancko podbródek i czerwone zmysłowe usta. Nieznajomy mógł mieć około czterdziestki. Między czarnymi, dość długimi, prostymi włosami widniały pojedyncze srebrne nitki. Siedział na kamieniu z podkulonymi długimi nogami i patrzył w ogień z głęboko znudzoną miną. Sytuacja więźnia nie niepokoiła go chyba nadmiernie.

- Kto to? - spytała młoda kobieta.

- Rodrygo de Villa-Andrado we własnej osobie... Rzuciłem się na niego w czasie walki i przystawiwszy mu sztylet do gardła, zakończyłem walkę. To dzika bestia, ale jego kompanii zależy na nim. Udało mi się przyprowadzić go tutaj, a ludzie z zamku nie będą nas niepokoić z obawy, żebyśmy go nie zgładzili.

W tejże chwili Hiszpan ziewnął szeroko i spojrzał w głąb groty.

- Przykro mi, że odzieram cię ze złudzeń, Montsalvy, ale ludzie z mojej bandy znają mnie dobrze i wiedzą, że nie lękam się śmierci. Bądź pewien, że zrobią wszystko, by mnie odbić, i jeśli nie poderzniesz mi gardła z zimną krwią - nie będziesz mógł zabrać mnie ze sobą do tej krainy śmierci, która na ciebie czeka. Pamiętaj o tym, że masz już tylko czterech ludzi, nawet jeśli dwaj z nich warci są trzy razy więcej.

- To prawda - szepnęła Sara do Katarzyny. - Prawie wszyscy Gaskończycy zostali zabici. Nie ma już sierżanta i żołnierzy... a co gorsza, nie mamy nic do jedzenia.

- Inaczej mówiąc - odparła młoda kobieta z niepokojem - ta jaskinia dała nam schronienie, ale jest także pułapką, która się zatrzasnęła.

Nagle Katarzyna doznała wrażenia, że dusi się w zamkniętej jaskini, niepostrzeżenie, lecz nieubłaganie. Czemu tak się stało, że dziecko przyszło na świat w tym grobowcu?

Stłumiony głos kobiet dotarł zapewne do uszu Villi-Andrada, gdyż wstał raptem i ruszył w ich kierunku, a za nim nieodłączny Escorneboeuf.

- Stój tam, gdzie jesteś! - rzucił szorstko Arnold.

- A dlaczegoż to? Czy chcesz mnie zmusić, bym krzyczał, choć możemy rozmawiać spokojnie? Musisz zrozumieć, zanim będzie za późno, że twoja sytuacja nie jest taka dobra, jak ci się wydaje, i że...

Nagle przerwał. W mdłym świetle płonącej gałęzi trzymanej przez Waltera, który stał obok stosu słomy nieruchomo niczym kariatyda, Hiszpan zauważył Katarzynę leżącą na płaszcach, bladą i nieuczesaną, otulona wszakże była swymi olśniewającymi włosami, które tworzyły królewski płaszcz i zarazem aureolę. Z ust Villi-Andrada zniknął sarkastyczny uśmiech, tak był zaskoczony. Przez chwilę młoda kobieta i wódz najemników spoglądali na siebie... Wyczytała w ciemnych oczach niekłamany podziw i sama, w duchu, przyznała, że Villa-Andrado jest interesujący. Ta koścista, sucha twarz, wyraźnie nacechowana dumą, tworzyła dziwny kontrast z jego ciepłym spojrzeniem. Z pewnością był to drapieżny zwierz, ale i rasowy, co więcej, kobieca intuicja podpowiadała Katarzynie, że należy on do tej kategorii mężczyzn, na których kobiety spoglądają co najmniej dwa razy, jeśli nie więcej! Ale na razie Villa-Andrado był w ekstazie.

- Różo majowa! - wyszeptał - słodczy pełna, szlachetna i piękna, jesteś kwiatem nad kwiatami...

- Co to takiego? - warknął Arnold nienawistnie, stając pomiędzy Hiszpanem a Katarzyną. - Uważasz się za minstrela, czy też myślisz, że moja żona lubi wysłuchiwać bzdur?

Rodrygo spojrział na Arnolda wzrokiem lunatyka.

- Twoja żona? - szepnął. - Nie wiedziałem, że jesteś żonaty, Montsalvy. Widzę tu jeszcze dziecko. Nie rozumiem.

- Miałem cię za mądrzejszego - zarechotał Arnold. - A przecież to tak łatwo zrozumieć. Spieszymy do moich włości, lecz ciężka droga utrudziła moją małżonkę. Mieliśmy nadzieję zastać w Ventadour naszych drogich kuzynów i wypoczynek, tak konieczny dla pani de Montsalvy... a znaleźliśmy tylko bandę złoczyńców i wycelowaną w nas broń. Ty i twoi kompani, szlachetny rycerzu, zmusiliście moją żonę, by wydała na świat naszego syna w kreciej norze! Dobrze jeszcze, że ją znaleźliśmy! Teraz zrozumiałeś?

Zgorzkniały ton Arnolda uderzył Katarzynę. Mimo że była tak osłabiona i tak się lękała o najbliższą przyszłość, nie obawiała się Hiszpana. Mężczyzna, który tak olśnionym wzrokiem w nią się wpatrywał, nie mógł stanowić niebezpieczeństwa. Czemu więc Arnold starał się podsycić jego gniew? Tylko zazdrość mogła skłonić go do tego, a Katarzyna wiedziała już, że ta zazdrość bywała okrutna.

Villa-Andrado nie wyglądał jednak na poruszonego. Ze swobodą wielkiego pana ukląkł na jedno kolano przed Katarzyną z lewą ręką na sercu i wzrokiem utkwionym w jej bladą, okoloną złotymi puklami twarz.

- Niegdyś - rzekł wzruszony - najszlachetniejsza i najświętsza z wszystkich kobiet także wydała na świat dziecko na odrobinie słomy. To fakt, który powinien być dla ciebie pociechą, pani. Jednak odbłask twej

urody, pani, zaciera nawet i myśl o tamtej. Tylko gwiazda, która świeciła w ową świętą noc, mogłaby równać się z tobą, piękna pani!

To było więcej, niż mógł znieść przedstawiciel rodu Montsalvyh. Jego ręka wymierzyła Hiszpanowi cios, schwytała go za kołnierz kaftana i siłą postawiła na nogi.

- Dość tego! Znasz mnie na tyle, by wiedzieć, że ta mowa skierowana do mojej żony nie spodoba mi się.

Na ustach Kastylijczyka zagościł słaby uśmiech, a w oczach zapalił się płomycek. Katarzyna miała wrażenie, że kpi on z Arnolda.

- W takim razie powinieneś ją zmusić do założenia kwefu, jaki noszą kobiety mauretańskie, wszędzie bowiem, gdzie pójdzie, rozjaśni swym pięknem noc i pochylać się przed nią będą głowy mężczyzn pragnących ją zdobyć. Ale - dodał perfidnie - gratuluję ci, Montsalvy, i zazdroszczę. Wydaje mi się, że znasz zaklęcia, które przyciągają najwspanialsze kobiety. Zazdrościłem ci kiedyś przepięknej narzeczonej, Izabeli de Severac. Jednak w porównaniu z twoją małżonką była tylko bladym promykiem księżycy obok letniej zorzy.

Aluzja do dawnej narzeczonej Montsalvy'ego była rozmyślnie popełnionym nietaktem, Katarzyna nie miała co do tego wątpliwości. Chociaż imię Izabeli było jej niemiłe, czuła się na tyle silna, by nie obawiać się zmarłej. Zresztą, czy Arnold naprawdę kochał kiedyś tę Izabelę? Umyślna zuchwałość Villi-Andrada kazała się jej obawiać starcia obu mężczyzn. Domyślała się mgliście, że istniało między nimi jakieś zadawnione współzawodnictwo. A czyż ton Hiszpana nie pozwalał zakładać, że ta rywalizacja znalazła nowe ujście?

Arnold poczerwieniał, pięści już się zaciskały, gotowe uderzyć w tę kpiącą twarz, w której szyderczo połyskiwały oczy, ale nie zdążył zrobić

ruchu, ani Katarzynie nie udało się wtrącić. Jeden z Gaskończyków stojących na warcie przy wejściu podbiegł do nich.

- Panie... jacyś ludzie zbliżają się pod osłoną nocy. Słyszę kroki gdzieś niedaleko, kroki, które ktoś stara się stłumić!

- Dużo ludzi?

- Nie umiem tego powiedzieć, panie... ale na pewno więcej niż dwudziestu...

Katarzyna instynktownie wczepiła się w męża. Drugą ręką przycisnęła do siebie dziecko, ogarnięta znów strachem. Wyczuł jej niepokój i ścisnął delikatnie drżące palce kobiety, a jego ostry ton nie zdradzał pomieszania.

- No cóż, trudno... niech się zbliżają. Escorneboeuf! Staniesz przy wejściu ze swymi ludźmi! Ty także, Walterze! Myślę, że nikt nie przejdzie. Co do mnie, to dam sobie radę z pewnym panem, którego życie nie jest już warte nawet maravedisa\*. Zdaje się, że tak się mawia w Kastylii - dodał, uśmiechając się złowroźbnie do swego więźnia - jeśli ludzie stają się za groźni.

*\* Maravedis - miedziana moneta.*

Villa-Andrado wzruszył ramionami z irytacją.

- Nie podejda! Mój porucznik, Chappelle, nie jest bynajmniej głupi. Wie dobrze, jak wypędzić dzika z jamy... Natomiast nie wierzę, abyś mógł mnie zamordować z zimną krwią, jak grozisz. Nigdy nie zabiłeś bezbronnego, Montsalvy, znam cię dobrze... i Chappelle też! Masz najgorszy charakter w całym wojsku francuskim, ale jesteś najdoskonalszym ucieleśnieniem rycerskości.

Szyderczy ton Hiszpana zmniejszył znacznie wagę tego komplementu, który Arnold zresztą całkowicie zlekceważył.

- Być może zmieniłem się... tym bardziej że mam żonę i dziecko!

- Nie! Ludzie tacy jak ty nie zmieniają się! Pani - dodał pod adresem Katarzyny, której oczy niespokojnie wędrowały od jednego mężczyzny do drugiego - proszę powiedzieć swemu małżonkowi, że popełnia błąd.

Odkąd zauważyłem tutaj pani obecność, nie jestem już waszym wrogiem!

Ja również znam zasady rycerskie, wiem, co szlachetnie urodzony

Kastylijczyk winien jest kobiecie pani pozycji... i pani urody!

- Panie - odpowiedziała Katarzyna drżącym głosem - to, co czyni mój małżonek, jest dla mnie dobre i słuszne. To do niego należy decyzja i jeśli wybierze śmierć w tym miejscu, umrę wraz z nim bez żalu.

- Czy po to wydała pani na świat syna, by go tak prędko zeń zabrać?

Młodej kobiecie nie było dane odpowiedzieć. Sara zerwała się z okrzykiem przerażenia, który rozbrzmiał niby echo jęku jednego z Gaskończyków. Na wejście do jaskini spadł deszcz strzał. Jedna z nich przeszła pierś żołnierza.

Strzały te wyposażone były w główce w postaci zapalonych paków. Chociaż Walter i Escorneboeuf pospieszyli, by je gasić, było ich tak wiele, że w jednej chwili cała jaskinia rozgorzała po sklepienie i wypełniła się gryzącym dymem. Katarzyna przycisnęła konwulsyjnie syna do piersi.

- Chcą nas podpalić albo spalić żywcem! - warknął Walter.

Arnold skoczył tak szybko, że Villa-Andrado nie miał czasu odeprzeć ataku. W jednej chwili obie jego ręce sparaliżowane zostały przez stalowy uścisk rycerza, podczas gdy na szyi poczuł nieprzyjemne dotknięcie ostrza sztyletu.

- Krzyknij, żeby przestali! - warknął Montsalvy - albo, jakem Owerniak, wykrwawię cię jak kurczaka, czy jestem rycerski, czy też nie! Nikt nie będzie się cackał z taką bestią jak ty!

Mimo iż groziło mu niebezpieczeństwo, Villa-Andrado zdobył się na uśmiech.

- Chętnie, ale obawiam się, że to się na nic nie zda. Dopóki do nich nie dołączę, Chapelle będzie atakował dalej. W końcu... on uważa od dawna, że mógłby równie dobrze dowodzić, jak ja. Moja śmierć będzie dla niego awansem.

Sztylet przybliżył się jeszcze bardziej do jego krtani, dźgnął skórę, na której ukazał się strumyczek krwi. Katarzyna, z oczami załzawionymi od dymu, zaczęła kasłać, wzmagając jeszcze irytację Arnolda.

- Zrób coś albo będziesz martwy!

- Nie obawiam się śmierci, jeśli jest użyteczna, ale żywię odrazę dla rzeczy jałowych! Wyjdźmy zatem na zewnątrz, ty i ja. Gdy Chapelle nas zobaczy, przerwie strzelaninę z obawy, że mnie ugodzi. Zgodzi się zapewne, abyś mnie zabił, ale nie będzie chciał zrobić tego sam.

Nie odpowiadając i nie odsuwając sztyletu, Montsalvy wypchnął Hiszpana na zewnątrz. Katarzyna wyciągnęła rękę, by go zatrzymać, ale byli już przy wyjściu. Oświetlał ich jeszcze odblask płomieni z ciskanych strzał. Po chwili strzały przestały padać.

- Wynieś mnie na zewnątrz - krzyknęła Katarzyna do Waltera. - Chcę być razem z mężem!

Moda kobieta dusiła się. Była o krok od omdlenia, jednak Normandczyk wahał się. Mężczyźni znaleźli się poza zasięgiem wzroku. Usłyszała wszelako głos Hiszpana:

- Przestań, Chapelle! To rozkaz! Przestań strzelać!

W odpowiedzi rozległ się inny głos, prostacki i zdarty od rozkazów, które wykrzykiwał przez całe życie.

- Nie więcej niż kwadrans, panie! Później zaatakuję znowu, choćby pan miał oddać życie. Wiem, że tam są kobiety. Niech pan powie tym ludziom, że jeśli pana nie wypuszczą, nie będę miał nad nimi zmiłowania. Mężczyźni zostaną odarci ze skóry, a kobietom rozprujemy brzuchy, ale najpierw dostarczą rozrywki żołnierzom. A potem... a potem odmówię De profundis za pana duszę.

Ciałem Katarzyny wstrząsnął tak gwałtowny atak kaszlu, że Walter nie wahał się dłużej. Powierzył dziecko Sarze, następnie wziął w ramiona jego matkę, wraz z płaszczami, okryciami, a nawet sporą częścią słomy, i wyniósł ją poza jaskinię. Katarzyna odetchnęła chciwie chłodnym nocnym powietrzem. Normandczyk ułożył ją na płaskiej skale, a obok Sara położyła dziecko. Ze swego miejsca mogła widzieć pieniaący się strumień, między drzewami zaś niewyraźne sylwetki, od których czasem odbijał się blask stali. Zza gór wychodził księżyc, coraz wyraźniej ukazując pejzaż. Zobaczyła też Arnolda, który cały czas trzymał Hiszpana - obaj stali kilka kroków od niej. Usłyszała, jak Villa-Andrado przemawia z naciskiem:

- Zabicie mnie będzie dla ciebie marną satysfakcją, Montsalvy, i wątpliwą pociechą, skoro moi ludzie zgwałcą na twoich oczach żonę. To są Nawarryjczycy i Baskowie, na wpół dzicy górale, nieznający litości, nic nie jest im bardziej miłe niż krew. Znalazłeś się w impasie, z którego tylko ja mogę cię wydostać.

- Co takiego?

Głos Arnolda był wciąż niewzruszony. Katarzyna widziała teraz wyraźnie jego profil, odcinający się w świetle księżyca. Dziwna para, Villa-Andrado i on, rysowała się na ciemniejszym tle lasu. Nagle kobieta



złękła się o siebie i o dziecko. Arnold był taki dumny, że nie ustąpi, nawet za cenę ich życia!

- Zwróć mi wolność! Wkrótce będzie za późno. Zwietrzą krew i nic ich nie powstrzyma, nawet ja, jeśli Chappelle rzuci ich do walki.

Jakby na potwierdzenie jego słów, odezwał się szorstki głos porucznika. Katarzyna tak się przelękła, że o mało nie krzyknęła.

- Czas upływa, panie! Nie zostało go już wiele! - rzekł Chappelle.

Hiszpan znów przemówił, z jeszcze większym naciskiem.

- Powiedziałem ci, że z powodu twojej żony i dziecka wyrzekam się wrogości wobec ciebie. Daję na to słowo Kastylijczyka i rycerza. Będę pamiętał tylko o tym, że kiedyś walczyliśmy ramię w ramię...

Sztylet odsunął się wreszcie od szyi Villi-Andrada, ale tylko trochę.

- Przysięgasz na krzyż?

- Przysięgam ci na krzyż i na święte imię Pana naszego, który umarł za wszystkich ludzi!

Dopiero wtedy ramię Montsalvy'ego opadło. Jego lewa ręka puściła przeguby Hiszpana, które cały czas więził w uścisku. Potężne westchnienie ulgi wydobyło się z piersi Katarzyny.

- Dobrze. Jesteś wolny, ale będziesz się przez całą wieczność smażył w piekle, jeśli mnie oszukałeś, Villa-Andrado - rzekł Arnold.

- Nie oszukałem cię!

Hiszpan podszedł kilka kroków w stronę żołnierzy, którzy nieznacznie się przybliżyli. Otaczali żelaznym kołem, tworzącym coś w rodzaju wąskiej platformy, wejście do jaskini, a Katarzyna - na wpół żywa z wyczerpania i strachu - mogła dostrzec, jak lśniły ich dwusieczne halabardy, topory i siekiery. Cały ten sprzęt wojenny dzikusów zagrażał kruchemu życiu dziecka, jej dziecka!

Donośny głos Villi-Andrada odbił się echem niczym trąba w dniu Sądu Ostatecznego.

- Jestem wolny, pokój został zawarty! Dziękuję ci, Chappelle!

- Nie będziemy atakować? - zapytał wąły, szczupły człowieczek, który wystąpił z szeregu. Villa-Andrado przewyższał go o głowę.

Był to pewnie ów Chappelle. Katarzyna, słysząc cień żalu w jego głosie, poczuła, jak wraca niepokój.

- Nie. Nie będziemy atakować.

- A jeśli... mimo to zechcemy zaatakować, ja i moi ludzie? Czy zapomniał pan, że pan de Montsalvy jest poszukiwany jako zdrajca i przestępca?

Cios został zadany błyskawicznie. Pięść Hiszpana uniosła się i odepchnęła Chappelle'a tak, że potoczył się aż do strumienia.

- Własnoręcznie powieszę każdego, kto sprzeciwi się moim rozkazom! Moje rozkazy są następujące. Iść do zamku po podściółkę i kazać przygotować pokój. Ty, Pedrito...

Dalszy ciąg mowy, wygłoszony po hiszpańsku, był niezrozumiały dla Katarzyny, ale Arnold się wtrącił.

- Chwileczkę! Nie będziemy się bić, ale odmawiam korzystania z twojej gościnności. Nie przekroczę murów Ventadour, dopóki jego legalny właściciel nie będzie mnie tam oczekiwał.

- Twojej żonie potrzebny jest wypoczynek i jadło!

- Przestań się zajmować moją żoną! Wyruszamy z nastaniem dnia.

Wracaj do swej kryjówki, rozstańmy się tutaj... Pozwól jednakowoż, że ci podziękuję.

Ciemna twarz Villi-Andrada odwróciła się. Jego wzrok napotkał spojrzenie Katarzyny, potem odwrócił się, ogarnięty czymś na kształt wstydu.

- Nie. Nie jesteś mi winien żadnych podziękowań... Zrozumiesz później, dlaczego nie chcę, byś mi dziękował. Zatem żegnaj, skoro tego chcesz... Nikt nie będzie cię nękał na ziemiach Ventadour...

Postąpił kilka kroków i zgiął kolano przed Katarzyną, obejmując ją palącym spojrzeniem, pod którym poczerwieniała.

- Chciałem panią przyjąć po królewsku. Proszę mi wybaczyć, że ją tu pozostawiam. Pewnego dnia może będę miał zaszczyt...

- Dostyc tego! - uciał Arnold twardo. - Idź już!

Villa-Andrado wzruszył ramionami, wstał i położył rękę na sercu, by pożegnać Katarzynę. Odwrócił się. Młoda kobieta patrzyła, jak jego wysoka, czerwona sylwetka oddala się między drzewami, oświetlona srebrzystymi promieniami księżyca. Ten dziwny człowiek intrygował ją, ale nie wzbudzał w niej niechęci. Postąpił jak szlachcic i miała trochę za złe Arnoldowi, że odrzucił jego gościnność. Tak bardzo chciałaby ułożyć się w wygodnym łóżku, nieopodal płonącego kominka, napić się czegoś ciepłego. Chiałaby też jakiegoś bezpieczniejszego schronienia dla dziecka śpiącego w ramionach Sary. Poczowała chłód nocy i zadrżała. Lekkie westchnienie, jakie wydobyło się z jej piersi, nie uszło wszakże uwagi Sary.

- Prawdę mówiąc, to wszystko brzmi szlachetnie - rzekła niezadowolona do Montsalvy'ego - ale czym zamierza pan pożywić żonę, tak słabą jeszcze? Bardzo to pięknie odgrywać honorowego i pogardliwie odrzucać wszystko, lecz Katarzyna musi coś zjeść, w przeciwnym razie dziecko nie dostanie mleka i...

- Uspokój się, kobieto! - rzekł młody człowiek ze znużeniem w głosie. - Zrobiłem to, co nakazywał mi honor. Cóż możesz o tym wiedzieć?

- Po prostu tyle: czy Katarzyna i dziecko mają szczeńąć z powodu pańskiego honoru? Doprawdy, ma pan dziwny sposób kochania.

Ten zarzut zabolął go. Odwrócił się od Sary, nachylił się nad Katarzyną i uniósł ją w ramionach.

- Czy myślisz, że nie kocham cię, najmilsza? Może Sara ma rację, może jestem za twardy, za dumny! Ale było mi tak trudno przyjąć gościnyę ofiarowaną przez tego człowieka. Nie podoba mi się sposób, w jaki na ciebie patrzy...

- Nie mam do ciebie żalu o nic - odparła, obejmując ramionami szyję męża i kładąc mu głowę na ramieniu. - Jestem silna, wiesz o tym... Ale jest mi zimno. Wnieś mnie do jaskini, może już nie jest zadymiona. Tak się lękam, żeby mały nie zachorował!

Dym już wywietrzał. Pozostał tylko lekki zapach. Gdy Arnold układał Katarzynę, Sara znów zabrała się do rozpalania ogniska przy wejściu. Walter oddalił się, aby zobaczyć, czy konie, które padły w czasie walki, pozostały na miejscu. Chciał jednego z nich poćwiartować, by upiec parę kawałków. Gdy tylko wyszedł, pojawili się trzej mężczyźni. Dwaj nieśli duży kosz pokryty białą materia, trzeci - małe, srebrne naczynko. Wszyscy trzej byli odziani w krótkie płaszcze zdobione herbem Hiszpana. Skłonili się jednocześnie i ustawili swe dary przy wejściu do grotty. Najwyższy z nich podszedł do Katarzyny, wyjął zwój pergaminu spod tuniki i uklękawszy, podał go młodej kobiecie. Następnie, nie czekając na odpowiedź, uklonił się, wykonał półobrót i zniknął ze swymi towarzyszami, zanim Arnold, Sara czy Katarzyna zrobili jakiś ruch. Ale

ich osłupienie nie trwało długo. Sara podbiegła do koszyka i uniosła materiał.

- Jedzenie! - wykrzyknęła radośnie. - Makaron, pieczony drób, biały chleb! Słodki Jezu! Jak dawno już nie jedliśmy takich przysmaków! A tu, w srebrnym dzbanuszk, mleko dla małego! Boże, dzięki ci!

- Chwileczkę! - rzekł sucho Arnold.

Wziął pergamin, którego Katarzyna jeszcze nie zdążyła rozwinąć, i przeczytał. Jego przystojna twarz spurpurowiała.

- Do diabła! - krzyknął. - Ten przekłety Kastyljczyk kpi sobie ze mnie... Jak on śmie...

- Daj mi przeczytać - poprosiła Katarzyna.

Podał jej pergamin z widoczną niechęcią. Było tam niewiele słów.

*Piękna Pani! - pisał Villa-Andrado. - Nawet tak nieustępliwy mężczyzna jak Pani mąż nie może pragnąć, abyś umarła z głodu... Zechciej przyjąć te skromne dary nie jako pomoc, lecz jako hołd dla Pani urody, której głód nie powinien naruszyć. Mam nadzieję, że dostąpię jeszcze łaski ujżenia Pani kiedyś, w przyszłości...*

Nie mogła powstrzymać rumieńca, który ogarnął jej twarz.

Pozwoliła, by pergamin sam się zwinął. Arnold złapał go i cisnął w ogień.

- Czy ten cuchnący pies myśli, że wolno mu uwodzić żonę na oczach męża? A te jego prezenty...

Podszedł zdecydowanym krokiem do koszyka, ale na drodze stanęła Sara, która z rozpostartymi ramionami i wyzwaniem na twarzy zagroziła mu przejście.

- O nie! Nie tknie pan tych wiktuałów, które spadają nam z nieba! Wielmożny panie, będzie pan musiał przejść po mnie, zanim je pan tknie!

Czy ktoś kiedyś widział podobne szaleństwo! Przysięgam, że Katarzyna będzie to jadła, czy panu się to podoba, czy nie.

Rzucała wyzwanie młodemu człowiekowi z wściekłością w oczach, gotowa rzucić się mu do twarzy. Rozgniewany, podniósł rękę. Zaraz uderzy. Powstrzymał go jednak krzyk Katarzyny.

- Arnoldzie! Nie!... Jesteś szalony!

Ręka opadła bezsilnie wzdłuż uda mężczyzny. Stopniowo z jego twarzy zniknęła purpura. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Jednak to ty masz rację, Saro... Katarzyna i dziecko muszą nabrać siły. Poczęstuj też żołnierzy, potrzebują tego.

- A ty? - spytała rozczarowana Katarzyna.

- Ja? Zjem ćwiartkę konia, którą przyniósł Walter.

Normandczyk, podobnie jak Montsalvy, odmówił spożywania pokarmu z koszyka, ale Escorneboeuf i jedyny Gaskończyk, jaki pozostał przy życiu, mały człowieczek, zwany Fortunatem, o małym obliczu drgającym wciąż od nerwowego tikku, najadali się, jak to czynią mężczyźni, którzy od dawna nie nasycili głodu. W grocie koło Ventadour odbyła się więc uczta. Następnie Arnold rozdzielił warty i sam stanął jako pierwszy. Usiadł przy ogniu z ugiętymi nogami, ramionami oplótł kolana. Dziecko spało mocno, wtulone w obfitą pierś Sary, która drzemała na siedząco, oparta o skalną ścianę. Katarzyna, przełknawszy ostatni kęs, także zapadła w sen. Mężczyźni spali również, ułożeni na gołej ziemi, jak znużone zwierzęta. Wokół panowała cisza. Alarm minął. Teraz podróż nie będzie już długo trwała. Kiedy nastanie dzień, Arnold umieści znów Katarzynę na swym koniu, aby oszczędzić jej chłodu i wstrząsów. Wkrótce, u kresu wielkiego płaskowyżu, po którym hulają wichry, pojawią się dachy i blanki Montsalvy. Stara siedziba seniorów, szczycąca się chlubną

przeszłością i ciepłymi wspomnieniami, zamknie w swych murach tę nową rodzinę.

Zapominając na razie o swej nienawiści i pragnieniu zemsty, Arnold de Montsalvy uśmiechnął się czule do ogniska, które chroniło te dwie istoty, będące obecnie całym jego życiem. Później jego spojrzenie odszukało między skałami czarne niebo.

- *Pochwalony bądź, Panie mój, za ogień bratni, którym rozświecisz noc! Jest piękny i radosny, nieokietznany i silny\**. Chwała ci, Panie, za małżonkę i syna, których mi dałeś...

*\* Pieśń do brata Słońca świętego Franciszka z Asyżu.*

## Rozdział jedenasty

# *Powrót do Montsalvy*

---

Sześć dni po opuszczeniu Ventadour mały oddziałek rycerzy przemierzał w nieustających podmuchach wiatru wysoki płaskowyż Chataigneraie, na południe od Aurillac. Tym razem dotarli do samego serca Owernii. Katarzyna przyglądała się z ciekawością tym starym górcom, czarnym i srogim, surowym zimą, złagodzoną jednak wieczną zielenią ciemnych jodeł. Widziała potoki spływające ze zboczy gór, błękitne

jeziora, nocą niepokojące ciszą i ciemnymi wodami oraz niekończące się lasy.

Dzięki czystemu powietrzu, a także żywności dostarczonej przez Hiszpana, której można było sporo ze sobą zabrać, wreszcie dzięki mocnej konstytucji, Katarzyna powracała do sił zdumiewająco szybko. Dwa dni po wydaniu na świat syna dosiadła ponownie Morgany mimo obaw Arnolda.

- Czuję się silna! - mówiła mu ze śmiechem. - A poza tym, już dosyć się wlekliśmy z mojego powodu. Spieszno mi dotrzeć na miejsce.

Zatrzymano się na jeden dzień w opactwie benedyktynów Saint-Geraud, górującym nad Aurillac, którego przeorem był krewny Arnolda. Tutaj młody Montsalvy został ochrzczony przez ojca d'Estainga. Rodzice jednomyślnie wybrali dla syna imię Michał, na pamiątkę brata Arnolda zamordowanego przez paryską tłuszcę, którego Katarzyna ze wszystkich sił starała się ocalić.

- Będzie do niego podobny - twierdził Arnold, przyglądając się nieraz synowi. - Zresztą ma jasne włosy, tak jak on... i tak jak ty - dodawał, zerkając na żonę.

Urodzenie tego, który - jak przysięgał Arnold - miał być dokładną kopią Michała de Montsalvy'ego, przepajało młodą matkę bezbrzezną radością. Uwielbiała go od pierwszego wejrzenia. A teraz stał się jej jeszcze droższy.

Jak na dziecko zaledwie tygodniowe, Michał był zdumiewająco silny. Wydawało się, że chłód, śnieg i trudy podróży nie przeszkadzały mu zupełnie. Stale wtulony w obfite łono promieniejącej Sary, dla której już zima nie istniała, tak była zajęta funkcją niańki, spał z lekko osłoniętą buźką prawie przez cały czas, zaciskając pięści. Budził się jedynie po to, by przenikliwym głosem domagać się posiłku. Wówczas podróżni



zatrzymywali się w jakimś zacisznym zakątku i dziecko przechodziło z ramion Sary w objęcia Katarzyny. Te chwile były najwspanialsze dla młodej matki. Czuła wtedy, że dziecko należy do niej, że jest kością z jej kości i krwią z jej krwi. Maleńkie paluszki wczepiały się w jej nabrzmiałą pierś, a małe usteczka ssały z zapałem, który niepokoił Arnolda.

- Ty młody hultaju! - zrzędził. - Jak tylko znajdziemy się w zamku, wyszukamy ci jakąś zdrową mamkę. Gdyby ci pozwolić, pożarłbyś swoją matkę.

- Nic nie jest lepsze dla dziecka od mleka matki! - protestowała uczenie Sara.

- Taaa! U nas chłopcy mieli zawsze mamki. Cała nasza rodzina to straszne żarłoki i rzadko im matka wystarcza. Ja miałem dwie mamki! - zakończył z triumfem.

Te drobne utarczki bawiły Katarzynę, która dobrze знаła prawdziwy powód chwalenia mamki przez męża. Arnold z trudem respektował tradycyjny okres połogu, który zmusza małżonka do zachowania abstynencji cielesnej.

Gdy nadchodziła noc, wbrew sobie pozwalał Katarzynie spać obok Sary i dziecka, sam natomiast mimo zmęczenia krążył po okolicy, wracając po godzinie lub dwóch. Zresztą Katarzyna dobrze знаła ten wygłodniały wyraz jego oczu, kiedy przyglądał się karmieniu Michała. Stał tak przed nią z oczami utkwionymi w odsłoniętą pierś, kryjąc ręce za plecami, by nie zauważyła ich drżenia.

Rano tego dnia, w którym mieli wreszcie dotrzeć do celu, Arnold przyłapał Escorneboeufa na podglądaniu Katarzyny karmiącej synka. Olbrzym nie usłyszał kroków Montsalvy'ego. Z rozpłomienioną twarzą przykucnął i przez dziurkę od klucza obserwował kobietę, która mnie-

mając, że jest sama z Sarą w swojej celi opactwa, rozpięła szeroko gorset, uśmiechając się do Cyganki kołyszącej dziecko. Zapewne krew tak mocno tętniła w uszach Escorneboeufa, że nie zwrócił uwagi na szybkie kroki Arnolda. W następnej chwili potężny sierżant leżał w pyle, głośno jęcząc. Potężnym uderzeniem pięści Montsalvy zmiażdżył mu nos, następnie podniósł go kopniakiem, warcząc:

- Wynoś się stąd! I pamiętaj, że następnym razem cię zabiję!

Escorneboeuf uciekł ze zgiętym grzbietem jak zbity pies, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Arnold nie zwrócił na to uwagi, ale Katarzyna zaniepokoiła się.

- To zły człowiek! Trzeba się mieć przed nim na baczności!

- Nic nam nie zrobi! Znam ten typ ludzi. Zresztą, gdy już będziemy w Montsalvy, zamkniemy go w lochu, żeby go uspokoić.

Jednakowoż w chwili odjazdu nie można było odnaleźć Escorneboeufa. Choć był tak olbrzymi, nagle wyparował. Nikt w klasztorze go nie widział. Ale i tym razem Arnold się nie zmartwił.

- Baba z wozu, koniom lżej! W końcu teraz go już nie potrzebujemy!

- rzekł.

Mimo wszystko polecił ojcu d'Estaing założyć mu kajdanki, jeśli kiedykolwiek burmistrz dostanie go w swe ręce. Z ludzi pozostawionych mu przez Xaintrilles'a został już tylko Fortunat, ale - tak jak inni - żałował swego wodza. Od czasu zajścia w lesie Chabrières żywił gorący podziw, dla Waltera jak i dla Katarzyny, którą uważał za istotę nadprzyrodzoną. Była to natura prosta, dzika i okrutna z nawyku raczej niż z przyrodzenia, ale teraz Fortunat chodził za Normandczykiem jak cień.

W zapadającym zmierzchu podróżnicy zbliżali się do Montsalvy. Arnold nie mógł powściągnąć już niecierpliwości i na widok romańskiej

wieży kościelnej wznoszącej się nad ciemnymi murami na skraju zamglonego horyzontu czarny rumak zaczął galopować. Za nim Morgana dosłownie fruwała, a pióropusz jej ogona radośnie unosił się w powietrzu, kamienie zaś podskakiwały pod kopytami. Walter i Fortunat zostali z tyłu, za Sarą. Obarczona Michałem, ta wspaniała kobieta mogła sobie pozwolić tylko na spokojny truchcik.

Katarzyna upojona szaloną jazdą spięła Morganę. Klacz wyciągnęła szyję i dogoniła czarnego konia, przy którym już pozostała. Arnold uśmiechnął się promiennie do zarumienionej z radości i podniecenia żony.

- Nie prześcigniesz mnie, piękna amazonko! Zresztą nie znasz drogi - krzyknął pod wiatr.

- To zamek, tam, daleko?

- Nie! To opactwo! Domy wioski skupione są między nim a Wzgórzem Drzewa, gdzie znajduje się nasz dom. Musimy jechać na lewo, wzdłuż murów klasztornych i zagłębić się w las. Zamek znajduje się na zboczu wzgórza, z wież rozciąga się rozległy widok. Zobaczysz... będziesz miała wrażenie, że cały świat spoczywa u twych stóp.

Przerwał, szybka jazda bowiem utrudniała mu oddychanie. Nie odpowiadając, Katarzyna uśmiechnęła się i jeszcze mocniej spięła Morganę, która dała z siebie wszystko, wyprzedzając nawet konia Arnolda. Katarzyna wybuchnęła śmiechem. Arnold, który pozostał w tyle, zaklął szpetnie. Dźgnięty z całej siły rumak podskoczył i wystartował jak kula...

Mury opactwa były coraz bliżej. Katarzyna mogła już rozróżnić dachy domków z lawy w pobliskim miasteczku. Nagle Arnold skręcił w lewo, porzucając szeroką drogę na rzecz wąskiej ścieżki, która ginęła między drzewami. Odwróciła się i zobaczyła, że inni są jeszcze daleko.

- Poczekaj na nas! - krzyknęła.

Ale on już nie słyszał. Powietrze rodzinnych stron, którego nie wdychał ponad dwa lata, upoiło go niczym zbyt mocne wino... Katarzyna wahała się chwilę - czy jechać za nim, czy czekać na pozostałych? Pragnienie bycia z nim wzięło górę. Zresztą Walter i Sara widzieli na pewno, w którą stronę skręca. Pochyliła się i poklepała grzywę Morgany.

- No, moja śliczna! Dogońmy tego uciekiniera, który nas porzuca!

Klaczka zarżała na znak, że rozumie, i rzuciła się w ślad za Arnoldem.

Czarny cień jodeł okrył je obie. Było tak, jakby nagle pograżyły się w nocy. Jednak na końcu drogi ukazała się jaśniejsza plama. Ciemna postać jeźdźca zarysowała się na chwilę, następnie Arnold zniknął.

Katarzyna i Morgana przemknęły małą, leśną dróżką, nie uświadamiając sobie, że wdychają już zapach zaoranej wiosennej ziemi. Dotarły do miejsca, w którym gasnące światło przybrało kolor fioletoworóżowy, i Katarzyna doznała uczucia, że rzeczywiście otwiera się przed nią świat. Ze zbocza nieczynnego wulkanu widać było doliny i góry, skały i wody, drzewa i pola - fantastyczną scenerię, której imponująca dzikość przyprawiała o zawrót głowy... Z całych sił zatrzymała Morgane na brzegu spiczastej skały i odwróciła głowę ku szczytowi pagórka, szukając wzrokiem Arnolda.

Dostrzegła go wreszcie i powstrzymała okrzyk. Był tutaj, zwrócony do niej tyłem; prosty i sztywny jak włócznia siedział w siodle. Przed nim wznosiły się potężne ruiny, rumowisko poczerniałych, spękanych głazów, na wpół zwęglonych belek, pole ogromnych kamieni, wśród których dawało się jeszcze rozpoznać zarysy wieży, fragmenty muru obronnego, przełamany łuk, niesamowity stos, jakby rozbitych pięścią olbrzyma, ścian. Długie, czarne smugi, jak również tłące się jeszcze belki świadczyły o

niedawnym pożarze. W miejscu fosy również leżały zwalone kamienie, a także ogniwa łańcucha i pocięte żelastwo tego, co kiedyś było mostem zwodzonym. To wszystko, co pozostało z zamku de Montsalvy...

Żałobne krakanie kruka unoszącego się na bladym niebie wytrąciło Katarzynę z osłupienia. Spojrzała na swego męża, który wciąż siedział w siodle. Sprawiał wrażenie rażonego gromem. Jego twarz była zupełnie nieruchoma, oczy szeroko rozwarte. Tylko czarne kosmyki, które rozwiewał wiatr, nadawały mu ludzki wygląd. Poza tym był to kamienny posąg, pozbawiony wzroku i głosu.

Przerażona zbliżyła się do niego i lekko dotknęła jego ramienia.

- Arnoldzie - wyszeptała. - Mój słodki panie!

Ale on jej nie widział, ani nie słyszał. Spoglądając martwym spojrzeniem, zsiadł z konia. Jak w złym śnie, Katarzyna ujrzała go idącego sztywnym krokiem w kierunku ruin. Zmierzał ku czemuś, czego w osłupieniu nie zauważył od razu. Był to duży pergamin, z którego zwisała czerwona pieczęć, niczym strużka krwi. Leżał między ruinami, przeбитý z czterech stron strzałami. Serce młodej kobiety stanęło na moment, powstrzymała oddech... Arnold przeskoczył przez kamienie, wydobyl pergamin i przebiegł go wzrokiem. Potem, niczym dąb wyrwany z korzeniami przez wiatr, padł twarzą do ziemi, z ochryplým okrzykiem, który ugodził Katarzynę w samo serce.

Kobieta jęknęła do wtóru. Zeskoczyła z wierzchowca, podbiegła do męża i padła na kolana obok niego, próbując oderwać jego zaciśnięte ręce czepiające się kępki suchej trawy. Na próżno! Całe ciało Arnolda wygiął nerwowy skurcz, a siły młodej kobiety nie były w stanie go przewyciężyć. Niczym ślepiec szukała ręką pergaminu, który wiatr uniósł już nieco dalej. Złapała go wreszcie, spróbowała przeczytać, ale noc już

zapadła i była w stanie odcyfrować tylko pierwszą linijkę, napisaną dużymi literami: W imieniu króla...

Teraz Arnold szlochał, z twarzą ukrytą w trawie, a Katarzyna, przejęta, próbowała jeszcze raz unieść go, utulić, w ramionach.

- Mój ukochany! - błagała bliska płaczu. - Mój ukochany! Proszę cię!

- Proszę, niech go jaśnie pani zostawi - odezwał się tuż obok szorstki głos Waltera. - On nic nie słyszy! Ten ból, który go ogarnia, czyni go głuchym i ślepym na wszystko. Ale dobrze, że płacze...

Silna dłoń Normandczyka pomogła jej wstać. Ściskając wciąż w dłoni pergamin, wtuliła się w ramiona Sary, która podała dziecko Fortunatowi. Cyganka drżała jak liść, ale jej objęcia dawały spokój i ciepło.

- Bądź twarda, malutka - szepnęła. - Musisz być silna, żeby mu pomóc. Będzie mu to potrzebne.

Kiwnęła głową, chciała wrócić do Arnolda, lecz Walter ją powstrzymał.

- Nie, proszę pozwolić mi działać!

Stopniowo konwulsyjne łkanie Arnolda ucichło. Tę chwilę obrał Normandczyk. Wziął ostrożnie Michała z rąk Fortunata i przykląkł obok młodego mężczyzny.

- Panie - rzekł głosem zdławionym ze wzruszenia. - Starożytna saga mojego ludu powiada: Jeśli jakiś ciężar jest dla ciebie zbyt ciężki, odrzuć go i staraj się pomóc sobie sam. Pozostaje panu zemsta... i to!

Rozbudzony Michał zaczął krzyczeć. Katarzyna uwolniła się z ramion Sary. Serce biło jej jak szalone, a dłonie instynktownie wyciągały się ku leżącemu mężczyźnie. Nagle Arnold wstał i spojrzał kolejno na Waltera i na dziecko. Jego zmieniona od bólu twarz wykrzywiła się. Wziął

na ręce małe zawiniątko, które, jak za dotknięciem różdżki, uspokoiło się natychmiast. Przycisnął do siebie syna z uniesieniem, potem znów spojrzał na Normandczyka.

- Masz rację - rzekł ochryple. - Został mi syn, żona... i nienawiść! Niech będzie przeklęty król, który tak mi odpłaca za wierną służbę i przelaną krew! Przeklęty niech będzie Karol de Valois, który wydał moją rodzinę swemu słudze, zburzył mój dom, zabił moją matkę! Od tej chwili wypowiadam mu posłuszeństwo i nie spocznę, dopóki nie...

- Nie! - krzyknęła Katarzyna przerażona tym głosem, który uniósł się jak huragan.

Czuła, że w żyłach Arnolda wzbiera gniew niczym lawa, która toruje sobie drogę przez krater wulkanu. Przypadła doń, wyrwała mu dziecko z rąk i otoczyła je ramionami.

- Nie - powtórzyła ciszej. - Nie chcę złorzeczeń nad głową mego dziecka! Nie powinienes mówić takich rzeczy, Arnoldzie!

Po raz pierwszy zwrócił ku niej spojrzenie czarne z wściekłości.

- Moja matka leży zapewne pod szczątkami naszego domu, jestem banitą... - Wyrwał jej pergamin, który do tej chwili trzymała, i potrząsnął nim. - Umiesz czytać? Zdrajca i wiarołomca! Ja? Zdrajca i wiarołomca jak Joanna była heretyczką i czarownicą! Wstyd, rozpacz i kat! Oto jak król Karol płaci swym sługom!

- To nie on - rzekła znużona Katarzyna - I dobrze o tym wiesz...

- On jest królem! Jeśli tak zamierza rządzić królestwem, to lepsze byłyby dla niego klasztor i tonsura, a dla królestwa - książę Burgundii na tronie!

Katarzynę ogarnęła fala rozpacz. Gniew i ból Arnolda osiągnęły granice wytrzymałości, skoro zapragnął ujrzeć na tronie mężczyznę,

którego nienawidził i zwalczał całe życie! Czy teraz zwróci się ku swemu wrogowi, ku człowiekowi, któremu Katarzyna wyrwała się z największym trudem, by połączyć się z nim? Potrząsnęła głową. Duże łzy potoczyły się po policzkach Michała. Przycisnęła mocno wargi do małej twarzyczki, naciągnęła na ramiona płaszcz, by go lepiej otulić. Wiatr na wyżynach hulał mocniej, unosząc się znad czarnej dziury, w którą zamieniły się otulone nocą doliny. Pochodnia, którą przed chwilą zapalił Fortunat, wydawała się gasnąć w wilgotnych podmuchach. Katarzyna zadrżała, przyjrzała się po kolei wszystkim świadkom tej strasznej sceny. Oczy jej zatrzymały się na mężu. Stał wciąż zwrócony ku ruinom, prosty jak struna. Jego oświetlone ogniem oczy wyglądały jeszcze groźniej...

Młodą kobietę ogarnęło zniechęcenie. Jeszcze raz Arnold się jej wymykał i nie wiedziała, jak do niego dotrzeć przez ten mur wściekłości, za którym tkwił zamknięty. Nie mógł zrozumieć jej uspokajających słów, bo teraz był zbuntowany.

Pomyślała, że jej kobieca słabość będzie najlepszym orężem, zbliżyła się doń i przytuliła.

- Arnoldzie - wyszeptała - czy nie możemy spróbować znaleźć jakiegoś schronienia? Zerwał się wiatr, a ja jestem przemoczona. Poza tym boję się o Michała.

Kiedy spojrział na nią, Katarzyna zobaczyła, że opuścił go gniew, ale ogarnął rozdzierający smutek. Młody mężczyzna objął ją ramieniem i przycisnął.

- Moje biedactwo! Jesteś zmęczona i zziębnięta! Trzeba też zająć się dzieckiem. Chodź. Chwilowo nie mamy tu nic do zrobienia.

Dotyk twardych mięśni przywrócił Katarzynie utraconą odwagę. Podniosła na męża ufne oczy.



- Ruiny się odbudowuje, Arnoldzie, a czas osusza łązy!

- Ale nie wskrzesza umarłych! A moja biedna matka... - Głos mu się załamał i Katarzyna poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej ramieniu, lecz opanował się i posepnie ciągnął dalej: - Domyślam się, że broniła domu aż do końca! Jutro ludzie z miasteczka pomogą mi przeszukać ruiny i odnaleźć jej ciało, by pochować ją należycie. Na razie chodźmy do klasztoru! Nie zawsze się ze sobą zgadzaliśmy, przeor i ja, ale nie może odmówić nam schronienia.

Wszyscy dosiedli koni, wykonali półobrót i w ślad za Montsalvym wjechali w tunel drzew, który godzinę temu mijali z taką radością. Ruiny Montsalvy zostały same, wydane na jęki wichru, który przybywał znad płaskowyżu, jakby chciał je oplakiwać.

Na drodze pojawił się żółtawoczerwony punkcik światła, który szybko się powiększał. Katarzyna domyśliła się, że była to latarnia kołysząca się na ramieniu jakiegoś człowieka idącego im naprzeciw. Wkrótce pochodnia, którą trzymał Fortunat, i latarnia spotkały się i zatrzymały. Młoda kobieta dostrzegła za plecami Arnolda wieśniaka o skórze tak smagłej, brązowej i mocnej zarazem, że koszula i pludry z wełny, w które był ubrany, zdawały się przyoblekać stare, sękatte drzewo. Proste, siwe włosy wychodziły spod brązowej czapki naciśniętej na uszy, ale oczy osadzone pod krzaczastymi, siwymi brwiami rzucały wesołe błyski. Twarz była surowa: zaciśnięte wargi, które pewnie niełatwo się rozchylały, zakrzywiony podbródek, nos cienki niczym ostrze noża, a zmarszczki wokół ust biegingy raczej na prawo, nadając fizjonomii wyraz przebiegły i sprytny.

Przez chwilę wieśniak, zlekceważywszy Fortunata z jego pochodnią, szedł prosto na Arnolda i zatrzymał się tuż przed głową konia. Uniósł latarnię, aby oświetlić twarz, następnie ściągnął z głowy czapkę.

- Jaśnie pan! - rzekł. - Właśnie przed chwilą wydało mi się, że poznałem pana na wrzosowisku, kiedy pan cwałował tak, jakby diabeł pana ścigał! Chwała Bogu, że przyprowadził tu jaśnie pana!

Wąskie wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ukazując miejscami pozbawione zębów dziąsła. Całe jego stare oblicze promieniało tak ogromną radością, że wydawało się rozpraszać noc. Katarzyna dostrzegła dwie łzy lśniące w kącikach oczu. Pocziwiec ukląkł w błocie, nie przestając patrzeć na Arnolda jak na archaniola. Arnold zeskoczył z konia, chwycił wieśniaka za ramiona i ucałował w oba policzki.

- Saturnin! Mój stary Saturnin! Na Boga! Jak to dobrze cię zobaczyć! Ty przynajmniej będziesz mógł mi opowiedzieć...

Starzec w objęciach Arnolda płakał i śmiał się na przemian.

- O, teraz, kiedy jaśnie pan jest tutaj, wszystko pójdzie lepiej! Pan ich zwycięży, pan pokona te psy, które rzuciły się na nas jak kruki.

Bystre oczy Saturnina odkryły Katarzynę siedzącą na Morganie i Sarę na Parobku, z dzieckiem w ramionach.

- Ach! - rzekł z naiwnym podziwem. - Jaka piękna pani! Naprawdę w życiu nie widziałem takiej pięknej... To jest... czy to...

- To moja żona - odparł Arnold z odcieniem dumy w głosie, która przyprawiła Katarzynę o uśmiech. - A oto mój syn! Możesz ucałować jej rękę... Moja droga! Saturnin jest seneszalem Montsalvy i naszym najwierniejszym sługą. Wygląda jak zwykły chłop, ale jest właścicielem domu. Wychowywał nas, Michała i mnie... prawie tak samo jak nasza matka.

Głos Arnolda znów się załamał na wspomnienie matki, ale Saturnin, który ucałował rękę Katarzyny, zwrócił się do niego z okrzykiem:

- Co za stary dureń ze mnie! Trzymam tak pana, zamiast poprowadzić do niej! Nasza biedna pani będzie taka szczęśliwa!

- Moja matka? Wiesz, gdzie ona jest? Ona nie... Stary zaśmiał się z całego serca.

- Umarła? Co znowu! Gdyby mi się nie udało jej wyprowadzić z zamku, kiedy te dzikusy podłożyły ogień, nigdy byś już, panie, nie zobaczył starego Saturnina. Nie mógłbym panu spojrzeć w twarz.

Arnold znów złapał go za ramiona i krzyczał:

- Żyje! Ona żyje! A gdzie jest? W klasztorze? Saturnin splunął i wzruszył ramionami.

- W klasztorze jest Valette ze swymi ludźmi... tymi, którzy spalili dom. A gdzież by miała być pani hrabina, jak nie u mnie? Ale na folwarku, bo w mieście ludzie Valette'a zabrali najlepsze domy. Chodźmy już teraz, jest późno. Nawet w nocy drogi są niebezpieczne...

Mówiąc cały czas, Saturnin wziął za uzdę Morganę i zawrócił ją. Zanim nałożył ponownie czapkę, skłonił się przed Katarzyną z bezwiedną godnością.

- Jaśnie pani! - rzekł z niezmiernym szacunkiem. - Będzie to wielki honor dla starego Saturnina, poprowadzić panią do swego domu, choć nie jest on bynajmniej godny, by panią przyjąć. Ale będzie pani u siebie, tak jak gdyby mury Montsalvy stały nietknięte!

Podziękowała mu uśmiechem. Młodą kobietą targały sprzeczne uczucia. Ten wieśniak, tak godny i prosty, którego Arnold traktował jak przyjaciela, odkrywał przed nią nowe cechy charakteru jej męża.

Zaczynała odgadywać, jakim był dzieckiem, dostrzegła zwykłą, ludzką

naturę ukrytą pod płaszczem dumy. Była szczęśliwa, że i ona, i jej ludzie znajdą wreszcie dach nad głową, ale pod tym dachem była kobieta, której Katarzyna tak się obawiała - matka Arnolda! W miarę jak ich spotkanie się zbliżało, czuła ogarniający ją niepokój. Czy ta wielka pani, jaką zapewne była Izabela de Montsalvy, będzie mogła przyjąć synową wywodzącą się z ludu, czy też młodzi małżonkowie spotkają się z wyrzutami i gorzkimi wymówkami? Młoda kobieta wstydziła się przyznać w duchu, że niedawno, gdy stała przed ruinami zamku, przeleciała jej przez głowę grzeszna myśl, iż ta tragedia zaoszczędzi jej przykrej próby. Wyrzucała sobie teraz tę myśl jak zbrodnię. Była jednak zbyt mężna i zbyt przyzwyczajona do wszelkich przeciwności losu, by nie umieć widzieć rzeczy takimi, jakie są.

Moja kochana - rzekła do siebie, podczas gdy Morgana zawracała w stronę Wzgórza Drzewa - próba się odbędzie i tak jest sprawiedliwie. To zasłużona kara za to, co odważyłaś się pomyśleć!

Ale mimo tych upomnień wygłoszonych pod własnym adresem przerażenie Katarzyny rosło wraz z każdym stąpieniem kłaczy.

Folwark Saturnina skrywał się za kępą jodeł, na zboczu wzgórza. Wąska, ledwie zarysowana droga, która tam prowadziła, kończyła się nieco poniżej ruin, a osłaniało go skaliste urwisko.

Katarzyna raczej go odgadła, niż zobaczyła - wyglądał niby jakaś ciemniejszy narośl na czarnej skale. Z fasady domu wyzierały - jakby czerwone zamglone oczy - dwa wąskie okna, w które młoda kobieta spojrzała nieufnie. Ukryty w cieniu dom sprawiał takie wrażenie, jakby na nią czyhał...

Dźwięczny odgłos końskich kopyt sprowadził przed dom niewielką, czarną postać. Była to wieśniaczka w białym czepekku trzymająca ponad głową pochodnię.

- Kto tam? - spytała szorstko.

- To ja, Donato - rzekł Saturnin.

- Ale ty nie jesteś sam...

Wieśniaczka podeszła bliżej i nagle się zatrzymała. Latarnia zadrżała w jej dłoni. Powoli opadła na kolana, rozświetlona radością.

- O słodki Jezu! Pan Arnold!

Stał już na ziemi; podczas gdy Saturnin pomagał zejść Katarzynie, on podnosił z ziemi starą Donatę i całował ją w policzki.

- To naprawdę ja... A gdzie moja matka?

- Tam! Och, jasnie panie, ona się tak ucieszy!

Ale Arnold już nie słuchał. Złapał Katarzynę za rękę i ciągnął ją w stronę domu tak szybko, że z trudem nadążała. Znalazła się w niskiej izbie z klepiskiem i wzrok jej nie rozróżniał niczego poza kobietą w czerni siedzącą na kamieniu obok paleniska. Kobieta uniosła się z okrzykiem:

- To ty!

Mój Boże! - pomyślała Katarzyna. - Jacy oni są do siebie podobni!

Rzeczywiście, szczupła, wysoka kobieta o ciemnych włosach, która niepewnie opierała się o poręcz krzesła, była kopią, aczkolwiek nieco złagodzoną, rysów Arnolda - to samo wysokie czoło, ta sama czystość rysów twarzy, ta sama matowa skóra i czarne oczy, ale spod płóciennego kornetu okalającego twarz na modłę zakonną wymykały się włosy czarne, choć przyprószone już siwizną. Błękitnawe powieki były pomarszczone, a w kąciку ust widniała zmarszczka znużenia, której nie było przy ustach mężczyzny.

Arnold, puszczając Katarzynę, rzucił się do stóp matki i pokrywał pocałunkami jej drżące ręce.

- Matko kochana!

Oparta o framugę Katarzyna przyglądała się im. Nie śmiała odetchnąć. Po policzkach Izabeli de Montsalvy spływały ciężkie łzy, obiema rękami obejmowała twarz syna, usiłując go ucałować. Przez chwilę, która zdawała się nie mieć końca, trwali przytuleni. Wydawało się, że łzy matki nie obeschną nigdy.

Za sobą Katarzyna słyszała oddechy tych, którzy nie śmieli wejść do środka. Gdy nagle zapłakał Michał, odwróciła się, niemal wyrwała go z ramion Sary i przycisnęła do piersi, jak gdyby chciała go prosić, by jej bronił przed tą nieznajomą, której pierwszych słów tak się obawiała. Ciepło małego ciała wtulonego w jej pierś przywróciło jej odwagę. Przełknęła ślinę i wyprostowała się. Nadeszła ta straszna chwila.

Katarzyna dostrzegła, jak ponad ramieniem Arnolda oczy pani de Montsalvy otworzyły się szeroko i spoczęły na niej ze zdumieniem. Zadała pytanie, odpychając łagodnie syna.

- Kto jest z tobą?

Katarzyna zrobiła dwa kroki, ale Arnold już do niej wrócił i objął ją ramieniem.

- Matko - rzekł z powagą - oto moja żona Katarzyna.

Katarzyna padła na kolana wiedziona impulsem. Klęczała tak przed matką swego męża, unosząc ku niej - niczym ofiarę - małego Michała.

- A oto nasz syn - szepnęła głosem zduszonym ze wzruszenia. - Nazwaliśmy go Michał!

Jej fiołkowe oczy wpatrzyły się w teściową błagalnie, by zechciała ją zaakceptować. Serce waliło mocno w jej piersi i starała się z całej siły

powstrzymać płacz. Izabela de Montsalvy popatrzyła z niedowierzaniem na młodą kobietę klęczącą u jej stóp. Otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Pochyliła się jednak, przyglądając się małej twarzyczce dziecka.

- Michał - wyszeptała. - Zwracacie mi Michała?

Wzięła dziecko z rąk Katarzyny i zbliżyła się do ognia, by je lepiej zobaczyć. Katarzyna widziała, jak drżą jej dłonie, a oczy znów wypełniają się łzami. Myślała, że teściowa wybuchnie płaczem, lecz ona się uśmiechnęła. Był to uśmiech tak jasny i tak młody jak uśmiech Arnolda. Babka pogładziła ostrożnie złote włosy na główce Michała.

- Ma jasne włosy! - rzekła zachwycona. - Jest jasny jak mój biedny syn.

Katarzyna poczuła, że ręce Arnolda pomagają jej wstać. Nie puszczając jej, rzekł:

- Jesteśmy szczęśliwi, matko, że tak się cieszysz, ale czy tej oto kobiecie, mojej żonie i matce twego wnuka, nie powiesz nic?

Pani de Montsalvy odwróciła się do nich i przyjrzała się im. Potem powiedziała z uśmiechem:

- Wybacz mi, córko. To zbyt wielkie szczęście po tej klęsce, która nas spotkała. Straciłam głowę. Podejdź bliżej, niech ci się przyjrzę...

Katarzyna pomału podeszła do ognia, odrzucając do tyłu kaptur. Płomienie zamigotały w jej włosach i zaświeciły złote ogniki w oczach. Stała tak wyprostowana, jej delikatna głowa uniesiona była do góry z bezwiedną dumą - czekała na werdykt z ust teściowej. Nie trwało to długo.

- Jaka jesteś piękna! - westchnęła Izabela de Montsalvy. - Prawie zanadto piękna!

- Najpiękniejsza dama królestwa - rzekł Arnold czule. - I najbardziej uwielbiana.

Matka uśmiechnęła się, słysząc, ile żaru włożył w te słowa.

- Mogłeś wybrać tylko kobietę bardzo piękną - rzekła. - Zawsze było ci trudno dogodzić! Podejdź, ucałuj mnie, moje dziecko.

Ściśnięte serce Katarzyny odprężyło się. Schyliła się nieco, aby nadstawić czoło do ucałowania, a następnie sama dotknęła ustami policzka teściowej. Po chwili obie kobiety pochyliły się nad Michałem, który podrygiwał żywo.

- On też jest piękny! - zachwycała się babka. - Będziemy go bardzo kochać!

Dobiegający od drzwi krzyk przerwał jej słowa. Na progu pojawiła się ciemna młoda dziewczyna, z całej siły odpychając Saturnina, Donatę, Waltera, Sarę i Fortunata.

- Arnold! Arnold! Wróciłeś! Nareszcie!

Katarzyna jak we śnie zobaczyła dziewczynę podbiegającą do jej męża. Dziewczyna objęła go ramionami i wspinając się na palce, przycisnęła swoje usta do jego ust z namiętnością, która nie zostawiała żadnych wątpliwości co do rodzaju uczuć, jakie żywiła dla Arnolda. On sam był tak zaskoczony, że nie od razu zareagował, ale Katarzyna poczuła, jak ogarnia ją gniew. Co to za jedna, myślała, jakim prawem całuje jej męża tak gorąco? Żywo podbiegła do Arnolda, który zresztą oprzytomniał i gwałtownie odpychał napastniczkę.

- Mario! - rzekł. - Powinnaś się nauczyć powściągać swoje uczucia. Nie wiedziałem, że tu jesteś.

- Jej brat mi ją powierzył - rzekła matka. - Ona się tak nudziła w Comborn!



- A tutaj jest dużo weselej - powiedział Arnold. - Uspokój się - uciał niecierpliwie, odsuwając ramiona, które znów chciały opasać jego szyję. - Jesteś za duża, by zachowywać się jak dziewczynka! Moja najdroższa! - dodał zwracając się do żony. - Ta młoda kózka to moja kuzynka, Maria de Comborn.

Katarzyna, która nie mogła jeszcze dojść do siebie po tej niemiłej niespodziance, zmusiła się do uśmiechu. Poczula na swej twarzy ostre spojrzenie rozjuszonych zielonych oczu. Maria de Comborn rzeczywiście przypominała kózkę. Była drobna, nerwowa, a pod nieporządną czarną suknią wyczuwało się muskularne ciało, napięte jak łuk. Trójkątna twarzyczka była dziwnie spiczasta. Czarne włosy wiły się jak u Cyganki, a z warkoczy wymykały się niesforne kosmyki. Jej usta, bardzo czerwone, wyraźnie zarysowane, nawet zmysłowe, ukazywały ostre, niezwykle białe zęby.

Koza... - pomyślała Katarzyna. - Raczej żmija! Ta trójkątna twarz, te dziwne oczy!...

Zatrzymała dla siebie te refleksje i znowu się uśmiechnęła.

- Dobry wieczór, Mario - rzekła uprzejmie. - Miło mi panią poznać.

- Kim pani jest? - spytała dziewczyna sucho.

Pani de Montsalvy wzięła na siebie trud poinformowania jej.

Poważny, choć dźwięczny głos brzmiał surowo.

- Ona nazywa się Katarzyna de Montsalvy i jest żoną Arnolda.

Ucałuj ją!

Katarzyna miała wrażenie, że Maria padnie za chwilę zemdlna. Jej ciemna twarz poszarzała, a nozdrza rozchyliły się. Zielone oczy biegały jak oszalałe od Arnolda do Katarzyny i z powrotem. Wykrzywiła usta w grymas, ukazując zęby, jakby chciała ugryźć.

- Jego żona! - warknęła. - Pani jest jego żoną i śmie pani się do mnie odzywać? Od chwili, gdy się urodziłam, byłam mu przeznaczona... Kochałam go, od kiedy w ogóle mogłam żywić jakiegokolwiek uczucia, a on ożenił się z panią...

- Mario! - krzyknęła pani de Montsalvy. - Dość tego!

Katarzyna nie wiedziała, czy się rozplakać, czy wybuchnąć gniewem, ale Arnold odwrócił się, wzruszając ramionami.

- Myślę, że zupełnie już oszalała!

Maria zwróciła ku niemu swą chudą, rozplómiętioną twarz.

- Oszalała? Tak, jestem szalona, szalona z miłości do ciebie! Zawsze taka byłam! I nie zrezygnuję z ciebie, nawet dla tej kobiety! Nie zaznam spokoju ani spoczynku, dopóki nie wyrwę cię z jej rąk!

Ramię Marii - wyciągnięte groźnie w stronę Katarzyny - opadło. Dziewczyna rozejrzała się dokoła, wybuchnęła szlochem i wybiegła, roztapiając się w mroku nocy. Arnold zrobił ruch, jakby chciał podążyć za nią, ale Katarzyna zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Jeśli pójdiesz za nią, wyjeżdżam natychmiast! - rzekła chłodno. - Doprawdy, czekają nas tu przyjemne chwile.

Spojrzał na nią i zobaczył, że w jej dużych oczach rozbłysnęły gniew i łzy. Uśmiechnął się przelotnie. Przyciągnął do siebie żonę i ścisnął ją aż do bólu.

- Nie będziesz chyba zazdrosna o tę egzaltowaną dziewczynkę, moja ty niezrównana? Nie jestem odpowiedzialny za jej marzenia i, przysięgam na mój honor, nigdy w nich nie uczestniczyłem ani ich nie podsycalem.

Zamknął pocałunkiem wilgotne oczy, następnie odwrócił się lekko i jego oczy napotkały dziwnie pozbawiony wyrazu wzrok Waltera.

- Pójdź po nią! - rozkazał. - Ta mała może wpaść do potoku w tej ciemności.

- Zdziwiłoby mnie to - wymamrotała Donata, która z zachwytem wpatrywała się w dziecko. - Ona ma oczy kota... widzi w nocy!

Walter zniknął bez słowa, a za nim Fortunat; Saturnin, który odprowadził konie do stajni, wrócił do izby. Katarzyna usiadła na kamieniu w pobliżu paleniska. Czowała się potwornie zmęczona i zagubiona. Przy niej babka wciąż kołysała Michała, szepcząc mu czułe słówka, trochę niemądre, ale wzruszające, które składają się na ten język, jakim dorośli porozumiewają się z małymi. Smutek Katarzyny, jej zgarbione nagle plecy zaalarmowały Arnolda. Ukląkł obok niej, ujął jej dłonie i pokrył je pocałunkami.

- Czemu jesteś taka smutna, Katarzyno? Nasz dom jest zburzony, ale rodzina nienaruszona, jesteśmy bezpieczni... a ja cię kocham! Uśmiechnij się do mnie, moje serce! Kiedy jesteś smutna, światła gasną.

Jego piękna, ściągnięta twarz zwróciła się ku niej błagalnie i nakazująco zarazem. Uprzytomniła sobie niemal boleśnie własną miłość do niego. Zniknęło ponure otoczenie, kamienne ściany, czarne belki, proste meble i mdlący zapach dymu. Czy będzie umiała kiedykolwiek mu się oprzeć lub czegoś mu odmówić? A kiedy mówił „kocham cię”, zacierało się wszystko, co nie było ich wielką miłością. Uśmiechnęła się doń z niezmierną czułością, ale jeszcze niepewnie.

- Nigdy się chyba nie dowiesz, jak bardzo cię kocham! - wyszeptała.

Tuż obok nich, niewzruszona i pozornie głucha, Izabela de Montsalvy wciąż kołysała Michała.

Z tego pierwszego wieczoru w Montsalvy Katarzyna zapamiętała jego dziwność i absurdalność. Wszystko było takie inne od tego, czego oczekiwała, czego się spodziewała... Nie żałowała tego zamku feudalnego, w którym miałyby panować, ani nie czuła oporu wobec gościnności Saturnina i Donaty, ale miała poczucie, że znalazła się w jakimś dziwnym świecie ludzi, którego nie rozumiała, nawet... świata swego męża. Mówiła sobie, że Izabela de Montsalvy była niemal taka jak w jej wyobrażeniach, dumna i wielka pani w każdym calu, zbyt podobna do Arnolda, którego charakter gorący, lecz i trudny dobrze był Katarzynie znany. Czuła jednak, że teściowa jej nie zaakceptowała, jeszcze nie... Czy kiedykolwiek to nastąpi?

Kiedy Walter wrócił, przyprowadzając Marię de Comborn, pani de Montsalvy, Katarzyna i Arnold jedli obiad podany przez Donatę. Ani ta dzielna kobieta, ani jej mąż nie mogli usiąść do stołu razem z panią i panem, których u siebie gościli. Katarzyna czuła, jak powracają wszystkie uprzedzenia.

Dziewczyna, rzuciwszy spojrzenie Arnoldowi, usiadła naprzeciw niej. Wściekłość najwyraźniej minęła i, ku wielkiemu zdziwieniu Katarzyny, Maria do niej skierowała pierwsze słowa.

- Znam wszystkie rodziny z Owernii i z okolic, a jednak nigdy pani nie widziałam... kuzynko. Pani nie jest z naszych stron, bo gdybym panią tu spotkała, pamiętałabym o tym,

- Jestem paryżanką - odparła Katarzyna - ale młodość spędziłam w Burgundii...

Od razu pożałowała tych nierozważnych słów. Pani de Montsalvy zbladła.

- W Burgundii... w jaki sposób?

Arnold z pośpiechem zdradzającym zmieszanie rzucił:

- Pierwszy mąż Katarzyny, Garin de Brazey, został powieszony na rozkaz księcia Filipa za zdradę stanu... To powinno ci wystarczyć, Mario, Katarzyna bowiem nie lubi, gdy się o tym mówi.

- Maria nie mogła tego wiedzieć - rzekła jego matka, nie unosząc oczu znad miseczki z zupą. - Co więcej, nie miała nic złego na myśli, dowiadując się o pochodzenie swej nowej kuzynki. Jej pytanie było zupełnie naturalne. Ja sama...

- Matko, jeśli zechcesz, porozmawiamy później na ten temat - uciał Arnold sucho. - Dziś jesteśmy zmęczeni i przybici niespodzianką, jaka tu nas oczekiwała. Moja żona jest wyczerpana i ja także nie mam innych pragnień poza wypoczynkiem.

Katarzyna zauważyła, że teściowa zmarszczyła brwi i że oczy Maria rozbłysły szyderczo. Jednakże nikt już nic więcej nie powiedział i skromny posiłek zakończył się w milczeniu. Czuła wyraźnie, jak atmosfera staje się niemą, i nie potrafiła temu zaradzić. Jak zareagowałyby matka Arnolda, gdyby wiedziała, że jej synowa urodziła się w pobliżu Pont-au-Change, w skromnym domu złotnika? Zapewne źle, jako że Arnold nie śmiał w pierwszej chwili wyznać prawdy. Obecność tej Marii, której istnienia nie podejrzewała dotąd i której nienawiść czuła, nie pomagała. Katarzyna była przygotowana na to, że będzie musiała zwalczyć jedną nieprzyjaciółkę, a tymczasem miała dwie.

Jednak udało się jej nie stracić kontenansu i zajęła się synem przy pomocy Sary, której niespokojne oczy wędrowały od jej pani do starej

kasztelanki. Następnie Katarzyna podała grzecznie Izabeli czoło do ucałowania i krótko pożegnała się z Marią. Jednak gdy tylko znaleźli się w spichlerzu, gdzie Donata przygotowała łóżko dla młodej pary, wybuchnęła.

- Wstydzisz się mnie, prawda? - powiedziała do męża siedzącego w zamyśleniu na brzegu siennika z rękami oplatającymi kolana. - Jak powiesz matce, kim jestem, jeśli przed chwilą tak się tego przestraszyłeś?

Uniósł głowę, popatrzył na Katarzynę bez słowa przez zmrużone oczy, a następnie oznajmił spokojnie:

- Nie przestraszyłem się. Po prostu wolę to powiedzieć matce, gdy będę z nią sam na sam, a nie w izbie pełnej nieznanomych.

- Jeśli masz na myśli Sarę i Waltera - to oni mnie znają, nie będzie to dla nich nic nowego. A jeśli chodzi ci o tę wspaniałą kuzynkę, to wyobrażam sobie...

Wyciągnął rękę, objął nogi Katarzyny i rzucił ją obok siebie bez żadnych ceregieli. Całował ją długo, unieruchomioną między jego ramionami, a potem rzekł:

- Niczego sobie nie wyobrażaj! Maria to pretensjonalna geś, która kierowała się zawsze swoimi kapryсами, a ty jesteś prawie tak samo niemądra, jeśli jesteś o nią zazdrosna.

- Czemu nie? Jest młoda, piękna... Kocha cię - rzekła Katarzyna z uśmiechem.

- Ale ja kocham cię. Mówisz, że Maria jest piękna?

Jedną ręką przycisnął oba nadgarstki Katarzyny za plecami, a drugą rozebrał ją z szatańską prędkością, następnie rozpuścił jej wspaniałe włosy, którymi oplatał sobie szyję, i wreszcie przyciągnął żonę do siebie.

- Nadszedł czas, byśmy wreszcie znaleźli lustro, moja ukochana. Czy zapomniałaś, jak bardzo jesteś piękna i jakim jestem niewolnikiem twojej urody?

- Nie, ale...

Nie było jej dane powiedzieć nic więcej, gdyż usta Arnolda opadły na jej usta, nie dając jej odetchnąć. Przez następne chwile nie miała wcale ochoty mówić. Magia pieścizot zacierała wszystko, co nie było cudownym porozumieniem ich dwojga w miłości.

Kiedy po dłuższym czasie wynurzyła się z błogiego odrętwienia, z głową na piersi Arnolda, i wróciła jej nieco świadomość, już sennym głosem wyszeptała:

- Co zrobimy jutro, Arnoldzie?

- Jutro? - Zastanowił się chwilę, potem dorzucił najnaturalniej w świecie. - Jutro pójdę do klasztoru, żeby uciąć głowę temu Valette'owi. Nie będzie żył aż tak długo, by zdążył się pochwalić zniszczeniem Montsalvy.

Wyrwana brutalnie z chwilowego błogostanu i znów ogarnięta potwornym lękiem, Katarzyna chciała zaprotestować, ale równy, miarowy oddech męża uświadomił jej, że już zasnął.

Katarzyna nie śmiała się poruszyć, by nie obudzić Arnolda, który obejmował ją we śnie ramionami. Leżała jednak długo z szeroko otwartymi oczami, nasłuchując w tej pachnącej sianem ciemności tysiąca szmerów zapełniających nocną ciszę tych nieznanomych stron. Chciałaby, po dziecinnemu, aby ta noc, kiedy ich ciała leżały splecione, nigdy się nie skończyła. Po raz pierwszy od bardzo dawna należeli do siebie całkowicie, bez zahamowań, bez zażenowania i bez przeszkód. Świadomość jego miłości niemal ją dusiła, a jutro, to jutro, gdy walka nieuchronnie się rozpocznie, przerażało ją. Pod swoim policzkiem czuła gładką i ciepłą

skórę młodego mężczyzny. Słyszała uderzenia jego serca - spokojne i mocne.

Należał do niej bardziej niż kiedykolwiek. I raptem Katarzyna wyzbyła się wszystkich lęków, odpędziła pytania bez odpowiedzi. Tylko jedna jedyna rzecz się liczyła, z której właśnie zdała sobie sprawę z nieubłaganą ostrością - nigdy nie pozwoli nikomu ani niczemu odebrać sobie Arnolda! Jej ciało, jej krew - to było jedynie przedłużenie ciała i krwi Arnolda. Nie pozwoli, aby ani Maria de Comborn, ani Valette, ani życie, ani ludzie, ani śmierć odcięły od niej to, co stanowiło jedyną rację istnienia...

RS



# Kadet Bernard

---

Gdy Katarzyna wstała następnego dnia rano, Saturnin wyprowadzał barany z owczarni wykutej w skale. Nieco dalej czekał chudy pastuch w płaszczu z czarnej wełny i dwa psy o jasnej sierści. Starzec pozdrowił cicho Katarzynę, a na jego smagłej twarzy rozbłysnął szeroki uśmiech.

- Miejsce odpoczynku było niegodne jaśnie pani, ale czy mimo to dobrze się spało?

- Cudownie. Nawet nie słyszałam, jak mąż wychodził. Czy widział go pan?

- Tak. Jest w pokoju z naszą panią. Pomaga mu nałożyć zbroję.

Katarzynie ścisnęło się serce. Najwyraźniej Arnold nie zrezygnował z szaleńczego pomysłu, by zaatakować prawie w pojedynkę rozbójnika ukrytego za murami klasztoru. Jej wzrok prześlizgnął się po żółtych wełnistych grzbietach owiec, które mijając ją, sprawiały wrażenie szerokiej fali. Powiedziała machinalnie:

- Masz ładne stado, Saturninie. Nie obawiasz się, że rozbójnicy Valette'a zechcą po nie sięgnąć?

- Nie wszystkie owce są moje. Większa część należy do wielbnego ojca przeora. A bandyta, który spalił Montsalvy, nie będzie śmiał tknąć dóbr osobistych przeora. To mogłoby go drogo kosztować. Korzystam

więc z tego i dołączam swoje owce, są razem bezpieczne. Ale, proszę mi wybaczyć, zwierzęta muszą iść na pastwisko, a ja mam coś do załatwienia w miasteczku.

Katarzyna powoli, wdychając świeże poranne powietrze, skierowała się ku domowi. Pogoda znacznie się poprawiła w nocy i cała wieś rozbłyskiwała tysiącem strumyczków. Jasnoblękitne niebo pokryte było białymi obłokami przypominającymi pióropusze. Wydawało się, że uwolniona od śniegu ziemia wydała westchnienie ulgi. Katarzyna pomyślała, że ta kraina jest piękna i że mogłaby ją kochać, gdyby...

Nie dokończyła zdania. Zbliżając się do otwartej bramy folwarku, młoda kobieta usłyszała swoje imię rzucone z wściekłością. Instynktownie podbiegła do starej jodły rosnącej koło domu i wcisnęła się pomiędzy pień a ścianę. Znalazła się prawie przy samym oknie, tak że mogła dostrzec Arnolda stojącego przed kominkiem, na którym ogień palił się pod czarnym kociołkiem. Jego nogi, uda i biodra uwięzione już zostały w stalowej zbroi, nie było natomiast widać górnej części tułowia. Po mozolnym wciśnięciu na siebie koszulki, do której przyczepione miały zostać pozostałe części uzbrojenia, wystawił głowę z żelaznej skorupy i rozgniewanym głosem ciągnął dalej:

- Nie spodziewałem się, matko, że będziesz szaleć z radości, gdy dowiesz się o skromnym pochodzeniu mojej żony, ale przyznaję, że nie oczekiwałem takiej pogardy!

Izabela de Montsalvy, którą Katarzyna widziała w tej chwili jako czarny cień, odparła sucho:

- A czego się spodziewałeś? Córka rzemieślnika, bez najmniejszej kropli krwi szlacheckiej, dla ciebie, który zasługiwałbyś na księżniczkę?

- Gdyby Katarzynie zależało na księciu Filipie, byłaby księżniczką, a nawet czymś więcej!

- Opętanie, jakie ogarnia księcia Burgundii na widok kobiet, jest powszechnie znane, ale nie przeczę, że ta dziewczyna jest piękna...

Słowa te były jak policzek dla Katarzyny. W pierwszym odruchu chciała wbiec do pokoju, lecz się powstrzymała. Pragnęła wiedzieć więcej, zwłaszcza jak zareagował Arnold. Ale zaledwie zdążyła sobie zadać to pytanie, rozbrzmiał jego głos:

- Byłbym ci zobowiązany, gdybyś zechciała używać innych słów w odniesieniu do mej żony - rzucił brutalnie. - I chcę, byś nie zapomniała o jednym: ty jesteś moją matką, szanuję cię i kocham, ale ona jest moją żoną, jesteśmy jednym ciałem i nikt ani nic nie zmusi mnie do tego, bym z niej zrezygnował!

Na uginających się nogach Katarzyna przysunęła się do drzewa i oparła o nie, przepelniona gorącą wdzięcznością! „O, mój najdroższy!” - westchnęła żarliwie.

Zapanowała cisza. Izabela zapinała wokół torsu syna pancerz, a Arnold nad czymś się zastanawiał. Próbował opanować gniew. Potem, już spokojnie, powiedział:

- Spróbuj mnie wysłuchać, matko, a może mnie zrozumiesz.

Wszystko zaczęło się tego dnia, gdy Michał zginął w Paryżu w najgorszych dniach rewolty...

Ukryta za drzewem Katarzyna, niewidoczna od zewnątrz i od wewnątrz, słuchała z zapartym tchem, jak jej mąż opowiada dzieje ich miłości. Mówił, nie troszcząc się o wywołanie łzawych uczuć, dobierał słowa proste, bezpośrednie, które tym bardziej wywierały wrażenie. Opowiedział, jak trzynastoletnia Katarzyna ze ślepym oddaniem, z naraże-

niem własnego życia i życia swego ojca, ratowała nieznanego.

Następnie mówił o ich spotkaniu na drodze do Flandrii i o wszystkim, co ich tak długo dzieliło: pożałowania godne małżeństwo Katarzyny, miłość księcia Filipa. A także o tym, jak najpiękniejsza kobieta Zachodu poświęciła wszystko: majątek, tytuły, chwałę, miłość księcia - by umrzeć wraz z nim w obleżonym Orleanie i poszła samotna i uboga, narażając się na napad ze strony bandy zbójców. Opowiedział wreszcie, jak Katarzyna i on sam czynili wszystko, by wyrwać Joannę d'Arc z rąk oprawców, dokonywali cudów i wreszcie zostali banitami, co przyczyniło się do zrujnowania Montsalvy.

- Również i utratę domostwa możesz, matko, zarzucić Katarzynie, ale także mnie, jeśli bowiem jeszcze raz trzeba by zapłacić tę samą cenę, by przywrócić Joannie życie, rozpoczęlibyśmy wszystko od nowa bez cienia wahania!

- Jedna sprawa to fakt, że ma serce mężne i dumne - twierdziła uparcie matka. - A że jest gminnego pochodzenia - Inna. Jak mogę zapomnieć o tym, że pochodzi z rodziny sklepikarzy?

Cierpliwość Arnolda była już chyba na wyczerpaniu, bowiem podniósł głos tak, że Katarzyna aż podskoczyła.

- Do diabła! Zawsze uważałem, że masz najlepsze i najbardziej wspaniałomyślne serce z wszystkich kobiet na świecie i nie chciałbym zmieniać zdania. Czyż muszę ci przypominać, kto był założycielem naszego szlacheckiego rodu? Awanturniczy braciszek zakonny, który w czasie pierwszej wyprawy krzyżowej rzucił w pokrzywy swoją mniszą sukienkę, którą miano mu zedrzyć przemocą, związał się z hrabią Tuluzy, Raymondem de Saint-Gilles'em, i wrócił z Ziemi Świętej okryty chwałą, bogaty jak sułtan i uszlachcony przez króla Jerozolimy? Gdyby przodek

Archambaud Rzeźnik nie wygrał w kości siostry księcia Normandii, to czyż Combornowie nie byłiby teraz tylko drobną szlachtą zniszczoną pijaństwem, tylko odrobinę wyżej stojącą od chłopów, z którymi niegdyś dzielili się upolowanymi dzikami. Co zaś do Ventadourów, z których ty, matko, pochodzisz...

- Zapewne chcesz powiedzieć, że wywodzą się prosto z chlewa? - wykrzyknęła pogardliwie Izabela.

- Nic bardziej nie przypomina chlewa niż barłóg dzika. A czymże innym byli ci wodzowie frankońscy, raczej barbarzyńscy niż wpółdzicy, przybyli z lasów germańskich, ci drobni wodzowie hord wyniesieni do rangi królów przy okazji udanego polowania czy należycie zarżniętego wroga... a którzy są szlachetnymi przodkami naszych domów!

- To dzięki mieczowi uzyskali ziemie i tytuły, a nie dzięki kupieckiej wadze. Nigdy żaden szlachcic nie zniżył się do handlu!

Katarzyna dostrzegła błysk zębów Arnolda.

- Czy jesteś tego pewna? Ilu krzyżowców dostarczyły rodziny Ventadour czy Montsalvy? A czym był ten potężny bank, który stanowił o ich sile, kiedy król Filip ich zniszczył... jeśli nie nader lukratywnym handlem? Daj spokój, matko, zapomnij o swym szlachectwie i zwróć serce ku tej, którą kocham, albowiem jest tego godna. Katarzyna należy do kobiet plennych, z których łona biorą początek najpotężniejsze dynastie, jak cesarzowe rzymskie, koronowane przypadkowo, w czasie podbojów, które rodziły potem Cezarów. Królowa Jolanta, która się na tym zna, umieściła ją przy sobie i obdarzyła przyjaźnią. Dziewica Joanna ją kochała. Czyżbyś była, matko, większą rojalistką niż królowa Czterech Królestw, dumniej sza niż córka Boga?

- Jakże ty ją kochasz! - szepnęła z goryczą Izabela. - Jak ty jej bronisz!

Dał się słyszeć metaliczny zgrzyt. To Arnold ukląkł obok swej matki.

- Tak, kocham ją i jestem z niej dumny. A i ty pokochałabyś ją, gdybyś ją lepiej знаła. Tym bardziej że dzielny Gaucher Legoix, który zginął za Michała, nie zasługuje na pogardę, zapomnij o tym, zapomnij, że Katarzyna jest jego córką... Zapomnij także o księciu Burgundii i de Brazeju. Nie myśl o tym, że Katarzyna była damą dworu królowej Jolanty, tą, która pragnęła uratować Dziewicę, że była dla mnie towarzyszem broni, zanim stała się moją żoną, pomyśl tylko o tym, że Katarzyna de Montsalvy, moja żona, jest twoją córką!

Katarzyna przymknęła oczy. Zresztą i tak nic nie widziała, bowiem oślepiały ją łzy. Choćby żyć miała całą wieczność, nigdy nie zapomni słów Arnolda, tej mowy obrończej, która była w istocie krzykiem kochającego serca. Ogarnięta miłością i wdzięcznością walczyła z omdleniem. Są zapewne takie chwile, w których szczęście jest mocniejsze, niż człowiek może wytrzymać, pod którego ciężarem można się załamać, tak jak pod brzemieniem bólu. Katarzyna była o krok od omdlenia. Chwyciła kostropaty pień drzewa, wczepiła się w niego, jakby chciała zaczerpnąć sił, których jej zabrakło. Z domu nie dochodził już żaden dźwięk. Izabela de Montsalvy usiadła na ławie i z zamkniętymi oczami zamyśliła się, podczas gdy Arnold naciągał spokojnie rękawice, nie zajmując się już matką i szanując jej milczenie.

Nagle z małego pokoiku w głębi domu rozległ się krzyk Michała i Katarzyna na dźwięk głosu syna otworzyła oczy i stłumiła okrzyk gniewu: naprzeciw niej, z drugiej strony drzewa, stała Maria de Comborn, oparta

ramieniem o ścianę domu, spoglądając na Katarzynę ze złośliwym uśmiechem.

- Mógłby dostać dobrą notę z retoryki, nieprawdaż? Ale to nie powód do próżności dla pani, droga Katarzyno... Nadejdzie dzień, kiedy Arnold nie będzie pamiętał o tym wszystkim, wręcz przeciwnie - przypomni sobie dokładnie, jakie jest pani pochodzenie. A tego dnia ja będę przy nim...

Szczyście Katarzyny było tak wielkie, że nie zostawiało miejsca na gniew. Odeła lekceważąco swe piękne usta w uśmiešku.

- Musi pani zatem uzbroić się w znaczną cierpliwość... droga Mario! Zastanawiam się tylko, jak pani będzie wtedy wyglądać. Już teraz nie jest pani zbyt piękna! Kiedy Arnold przestanie mnie kochać, będę bardzo zdziwiona, jeśli zwróci się ku starej pannie, wyschłej z zawiści i złośliwości!

- Ty dziwko! - syknęła Maria, zaciskając pięści. - Wydrapię ci oczy!

Zza paska wyciągnęła sztylecik, którego cienkie ostrze rzucało posępne błyski. Z przymrużonymi oczami jeszcze bardziej niż zwykle przypominała kota szykującego się do skoku. Nienawiść wykrzywiała jej twarz i niebezpieczny ognik w oczach sprawiły, że Katarzyna się cofnęła. Stała tak, by jodła znalazła się między nią a przeciwniczką, nie mogła jednak powstrzymać się od szyderstw.

- Oto prawdziwie damskie narzędzie! Czy dobrze usłyszałam, że ten wasz szlachetny przodek nazywał się Archambaud Rzeźnik?

- Dobrze usłyszałaś i zaraz ci udowodnię, że zabijam nie gorzej niż on. Zobaczysz!

Oszalała z wściekłości Maria uniosła swą broń i już miała rzucić się na Katarzynę, gdy na zakręcie domu ukazał się Walter, który skoczył od

tyłu na dziewczynę. W jednej chwili sztylet wypadł jej z dłoni i trafił w trawę, a szeroka dłoń Normandczyka zacisnęła się na ustach Marii, tłumiąc jej okrzyki furii. Katarzyna odetchnęła. W głębi duszy musiała przyznać, że się bała. Ta na wpół oszalała dziewczyna była zdolna do wszystkiego. Bezsilnie dyszała teraz ze złości pod mocną dłonią Waltera.

- No, panienko! - rzekł rozwlekcie. - Spokojnie! Kiedy się chce kogoś zabić, trzeba się urządzać tak, żeby nie patrzyło na to ze dwadzieścia osób.

Rzeczywiście, z łąki nadciągali wieśniacy w koszulach, z długimi włosami wymykającymi się spod czapek, pokryci sierścią kóz czy owiec. Jedni z nich trzymali widły, inni sierpy... Na wszystkich tych pomarszczonych, ogorzałych od słońca i wiatru twarzach malowało się zdecydowanie. Zbliżali się ku fermie cichymi, powolnymi krokami, nieubłagani jak przeznaczenie. Na czele szedł stary Saturnin, z długą kosą w garści. Jego stopy obute w saboty rozgniatały grudki gąbczastej ziemi. Walter zerknął pospiesznie na wieśniaków, puścił Marię i przykucnął, by podnieść sztylecik i wetknąć go za pas.

- Już pora - rzekł tylko. - Idę po konie.

Fortunat, także uzbrojony, wyszedł z obory, dźwigając łuk z cisowego drewna - tej samej wielkości co on sam. Maria zawahała się. Rzuciła na Katarzynę niepewne spojrzenie, następnie zdecydowała się wejść do domu. Na progu zderzyła się z Arnoldem, który właśnie wychodził uzbrojony po zęby. Odepchnął dziewczynę, nawet nie spojrzawszy na nią, widział bowiem tylko opartą o jodłę Katarzynę. Obserwowała męża ze zdziwieniem. Nie miał na sobie lekkiej zbroi, którą dostał od Jakuba Coeura przy wyjeździe z Bourges, lecz czarną, do której był przyzwyczajony i która dobrze mu służyła zarówno w czasie turniejów, jak i na polach bitwy. Hełm ozdobiony krogulcem niósł pod lewą pachą.



Katarzyna pomyślała, że czas się go nie imał, że wyglądał dokładnie jak wtedy, gdy pojawił się na zaręczynach księżniczek Burgundii, by rzucić rękawicę księciu Filipowi. Gdy się nachylił, by ucałować żonę, zapytała:

- Gdzie odnalazłeś tę zbroję?

- W zbrojowni zamku. Można tam wejść przez specjalne przejście.

To pomieszczenie w podziemiach, które - na szczęście - jest dostępne. Nie wszystko straciłem.

Obejmując szyję Arnolda, uwiesiła się na niej z całych sił, z czułością, by go zatrzymać. Wiedziała z góry, że czyni to na próżno.

- Dokąd idziesz? Co masz zamiar zrobić?

Wykonał nieokreślony gest w kierunku niewidzialnych pagórków miasteczka, w stronę klasztoru, którego dzwony właśnie rozbrzmiewały w przejrzystym powietrzu poranka. Następnie wskazał wieśniaków zgromadzonych przed domem i, bliżej, masywną postać Waltera oraz drobniejszą - Fortunata.

- Idę tam, a oto moje oddziały. Ten Valette zapłaci mi za ruinę naszego domu.

- Będziesz walczył?

- To mój zawód - rzekł z nikłym uśmiechem - I nigdy nie znajdę lepszej okazji, by go sprawować.

- Czy wiesz, że atakując Valette'a, atakujesz w pewnym sensie króla?

- Tym razem twarz Arnolda rozplómiła się gniewem. Jego ręka w żelaznej rękawicy uderzyła o pierś.

- Co mnie obchodzi król? Czy jest jeszcze moim królem ten, który skazał mnie na wygnanie, który mnie zrujnował, by przypodobać się swemu faworytowi? Nie, Katarzyno, nie mam już króla i, wierz mi, atakując tego psa, nie będę miał poczucia, że działam w niezgodzie z

honorem czy prawem... wręcz przeciwnie! Jeśli go zabiję, to znam niejednego, który będzie mi zobowiązany.

Po raz ostatni ucałował żonę, następnie rozłączywszy się z nią, skierował się ku swemu koniowi trzymanemu przez Fortunata. Impuls pchnął Katarzynę za nim: chciała podążyć tam, gdzie i on. Ale się powstrzymała - Arnold się nie zgodzi. Trzeba pozwolić im wyruszyć, a potem pojechać w pewnej odległości za nimi.

Z domu wyszła Sara z gaworzącym Michałem na ręku, Izabela de Montsalvy i Donata, która wycierała oczy brzeżkiem fartucha. Maria zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Katarzyna instynktownie wzięła synka w ramiona. Dziś rano był w doskonałym nastroju, uśmiechał się do matki, której serce topniało z czułości. Kontrast między radosnym dzieckiem a tymi źle uzbrojonymi nielicznymi ludźmi idącymi zmierzyć się z o wiele sprytniejszym i okrutnym przeciwnikiem był zbyt duży... Oczy jej zalśniły łzami i nie dostrzegła, że Izabela ją obserwuje.

Kiedy jednak Arnold zniknął wraz ze swymi ludźmi za jodłami, Katarzyna odwróciła się raptownie w stronę teściowej i podała jej dziecko.

- Proszę wziąć Michała - rzekła spokojnie. - Ja pojedę za nimi.

- Czyś oszalała? Miejsce kobiety nie jest przy mężczyznach. Czy wiesz, czym ryzykujesz?

Młoda kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Przede wszystkim wiem, co ryzykuje Arnold, i tylko to się dla mnie liczy.

- Twój syn cię nie powstrzymuje? - spytała Izabela z lekkim grymasem lekceważenia w kącikach ust. - Dobra matka nie powinna nigdy opuszczać dziecka.

- Być może jestem lepszą żoną niż matką. Ponadto on ma panią. Jako babka może pani czuwać nad nim w czasie mojej nieobecności. A jeśli przydarzy mi się jakieś nieszczęście, myślę, że to ułatwiłoby wiele spraw, czyż nie tak?

I nie czekając na odpowiedź Izabeli, która spoglądała na nią w osłupieniu, Katarzyna odwróciła się na pięcie i poszła do stajni. Nie korzystając z niczyjej pomocy osiodłała Morgane, dosiadła jej i pojechała za oddziałkiem drogą do Montsalvy.

W miarę jak Katarzyna zbliżała się do miasteczka, coraz wyraźniej słyszała bicie dzwonów i jechała za ich dźwiękiem, trzymając się śladów koni Arnolda. Podobnie jak Dziewica Orleańska, Katarzyna zawsze lubiła dźwięk dzwonów, które przebijając się przez niebo, przemawiały w jakimś tajemniczym języku, ponad czasem i ponad ziemią. Dziś rano zwrócił jej uwagę ich ponury ton. Wydawało się, że dźwięki dzwonu klasztornego zapowiadają jakieś nieszczęście. Katarzynie dreszcz przebiegł po plecach.

Właśnie zaczynał się Wielki Post i melodyjne dźwięki przypominały wieśniakom o popiele pokuty, ale niespokojne serce młodej kobiety widziało w tym złą wróżbę. Wplotła na chwilę swe zimne palce w grzywę Morgany w poszukiwaniu ciepła i czegoś żywego. Rozmyślnie odwróciła głowę od Wzgórza Drzewa i jego czarnych ruin, spięła klacz i z pochyloną głową zagłębiła się w leśne poszycie.

W chwili gdy miała opuścić zasłonę z drzew i wyjechać na płaskowyż, instynktownie zatrzymała Morgane. Widziała stąd doskonale umocnienia Montsalvy i jego szeroko otwartą północną bramę. Widziała także wieśniaków nadciągających drózkami, ze schylnymi głowami i przygarbionymi plecami, jakby ścigani byli przez jakąś plagę. Nigdzie

jednak nie było śladu Arnolda ani jego ludzi. Katarzyna w zakłopotaniu zaczęła się uważnie wpatrywać prosto przed siebie. Dwaj łucznicy trzymający straż przed bramą mieli marne ubrania, ale lśniąca broń. Każdy z nich trzymał łuk oburącz, gotów się nim posłużyć. Patrzyli ze złością na wieśniaków. Wysoko na tle nieba łopotał na wieżach klasztornych czerwony sztandar z wytłoczonymi pałkami i półksiężycami, które już widziała na murach Ventadour. Nagle ogarnęła ją złość - to przecież na rozkaz Hiszpana Valette spalił Montsalvy i teraz rozumiała, dlaczego Roderigo odmówił przyjęcia podziękowań Arnolda. Po prostu wiedział już, co się zdarzyło w dobrach lennych jego wroga.

Katarzyna roztropnie postanowiła wejść pieszo do Montsalvy. Ponieważ nie widziała nigdzie małżonka, najlepiej byłoby przejść w miarę możliwości niepostrzeżenie. Morgana była zbyt widoczna, a ponadto mogła łatwo wzbudzić chciwość jakiegoś opryszka. Zsunęła się na ziemię, podprowadziła klacz za uzdę dość głęboko w las, tam, gdzie nikt jej nie zobaczy. Następnie przywiązała ją do drzewa i poleciwszy jej, by czekała spokojnie, oddaliła się w stronę miasteczka.

Jej suknia z brązowej wełny i obszerny szary płaszcz nie mogły zwrócić niczyjej uwagi. Było to ubranie skromne, dość zresztą zniszczone długą podróżą. Jednak przy przekraczaniu bramy Katarzyna naciągnęła na oczy kaptur. Szła, starając się, by jej ruchy były naturalne, ale serce biło jej jak szalone. Nie miała zresztą ku temu powodu - żołnierze nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Tylko jeden z nich zarechotał:

- Hej, nicponie, pospieszcie się, bo przegapicie ten widok...

Widok? Młoda kobieta nie myślała długo nad tym pytaniem.

Przyspieszyła kroku, przeszła pod okrągłym sklepieniem i znalazła się na wąskiej, jedynej zresztą uliczce, na której w cieniu klasztoru

benedyktynów zgrupowały się domki Montsalvy. Kościelny dzwon wciąż dzwonił. Inni ludzie, w większości obdarci i przybici, szli tą samą drogą.

Gdy wyszła na plac, na którym wznosił się kościół romański, zobaczyła, jak milczący tłum gęstniał coraz bardziej, jedni bowiem nadchodzili z zewnątrz, inni natomiast wychodzili z kościoła. Ci ostatni szli z głowami nisko schyłonymi, starając się nie patrzeć na żołnierzy tłoczących się przy portalu i na człowieka skutego łańcuchami, którego przytrzymywali. Był to człowieczek garbaty i szpetny, którego twarz była tak szara jak popiół, którym posypali się inni. Jego przygnębiona mina i nieprzytomne oczy ostro kontrastowały z jaskrawymi łachmanami, w które był przyodziany. Czerwono-zielone pludry fruwały wokół jego powykęcanych nóg. Żółta tunika przyozdobiona dzwoneczkami, szeroki czerwony płaszcz i korona ze złotego kartonu składały się na groteskowy kostium, który byłby śmieszny, gdyby mężczyzna nie był tak godny politowania. Ale nikomu nie chciało się śmiać, Katarzynie też. Widziała jedynie spojrzenia utkwione w ziemię i zaciśnięte pięści. Od czasu do czasu jakieś łkanie przerywało ciszę, która następowała pomiędzy uderzeniami zegara. Okrutne, roześmiane i zapijaczone gęby opryszków tworzyły przerażający kontrast ze wszystkimi tymi poznaczonymi strachem i boleścią twarzami.

Teraz z kościoła dolatywały żałobne pienia i przez otwarty portal widać było migocące świece. Katarzyna rozejrzała się dokoła, nie mogąc pojąć tego, co się działo. A więc gdzie byli Arnold, Walter, Saturnin... i inni? Miała absurdalne wrażenie, że śni, i uszczypnęła się, by się upewnić, że nie śni.

Nagle tłum zaczął szeptać. Pod tympanonem z kamienia, wyrzeźbionym w naiwne postaci o sztywnych ruchach, bardzo sędziwy

mężczyzna w mitrze, z pastorałem w dłoni, pojawił się w towarzystwie dzikiego wojownika o kościstej, przebiegłej twarzy. Jego powyginana zbroja i okrywająca ją wyszukana tunika z jedwabiu nie były w stanie ukryć przerażającej chudości ciała. Smągła skóra obciągała szczelnie kości twarzy, która przerażająco przypominała trupa czaszkę. Ów mężczyzna był tak potworny, że Katarzyna zamknęła na chwilę oczy. Podskakujący na głowie nowo przybyłego zielony pióropusz jeszcze bardziej podkreślał jego niesamowity wygląd.

Przeor, który stał obok - blady pod mitrą haftowaną złotem - zaledwie śmiał zerknąć w jego stronę.

Zanim zabrał głos, Katarzyna zrozumiała, że był to podpalacz zamku Montsalvy, lejtnant Kastylijczyka, rozbójnik Valette. Wpatrywał się ciężkim, złym spojrzeniem w nieszczęsnych ludzi, którzy instynktownie zbili się w stadko. Następnie zaśmiał się zgrzytliwie.

- Jesteście bandą tchórzliwych zajęcy! - wykrzyknął. - W taki sposób chcecie pochować pana Karnawała? Dalej, jazda, trzeba się śmiać, trzeba śpiewać... Jest pierwszy dzień postu, niedługo będziecie mogli należycie odprawić pokutę, ale dziś wszyscy mają być weseli! Śpiewać! To rozkaz!

Dzwony umilkły, zapadła przytłaczająca cisza. Zerwał się wiatr, który rozwał włosy zgromadzonych ludzi, stojących w upartym milczeniu. Gdzieś trzasnęły okiennice... Matowy głos przeora docierał do Katarzyny jakby z otchłani wieków.

- Moje dzieci... - zaczął łagodnie. Ale Valette brutalnie przerwał:

- Spokój, przeorze! Nie udzieliłem panu głosu! No, dalej, jazda, słyszeliście? Powiedziałem: śpiewać!... Na koniec karnawału śpiewa się piękną pieśń, no nie? *Żegnaj, biedny Karnawale...* - no, z uczuciem, chcę słyszeć wszystkich!

Skuty mężczyzna padł na ziemię, szlochając konwulsyjnie. Wokół niego i na murach klasztoru ludzie Valette'a napięli łuki, mierząc w przerażony tłum... Serce Katarzyny zamarło na chwilę. Wzbierała w niej bezsilna złość - na tę bestię i na Arnolda, który nie nadciągał. Gdzie on się podziewał? Co mu się stało? Dwudziestu pięciu mężczyzn nie rozplynęło się we mgle...

Jęk przestraszenia wtórujący wiatrowi przechodził stopniowo w niepewny śpiew, rozdygotany i ledwie słyszalny.

- Głośnij! - ryknął Valette. - Bo przysięgam, że zamilkniecie na zawsze!

Jedna strzała ze świstem przecięła powietrze. Ostrzeżenie poskutkowało. Głosy zabrzmiały silniej. Katarzynę ogarnęła wściekłość. Chciała rzucić się z pazurami

na okrutnego szefa bandy, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, ponieważ nie umiała oprzeć się porywom swej szlachetnej natury. Nagle jakaś szorstka dłoń ujęła jej rękę pod fałdami płaszcza.

- Pani Katarzyno, na litość boską, niech się pani nie rusza! Wywoła pani katastrofę...

Stary Saturnin stał obok niej, jego siwe włosy opadały na twarz, głowę trzymał prosto. Gdy mówił, otwierał szeroko usta, by myślano, że śpiewa.

- Co pan tu robi? - szepnęła. - Gdzie jest mój mąż?

- Gdzie indziej! Czeka, aż wybije godzina! To raczej jaśnie panią trzeba by zapytać, co pani tu robi... Kiedy pan Arnold się dowie...

Głosy zebranych śpiewały żałobnie radosną pieśń karnawałową, zagłuszając słowa Katarzyny i Saturnina.

- Kim jest ten człowiek? - szepnęła Katarzyna. - Co takiego zrobił?

- Nic! Albo raczej niewiele! To Stefan-la-Cabrette, nasz znachor... pocziwiec, trochę prostaczek. Mówiono o nim, że pewnie jest czarownikiem, bo się zna na ziołach. Największą przyjemnością było dlań dmuchanie w cabrette\* w czasie pełni księżyca. Valette go wziął, żeby wyleczył jednego z rozbójników z paskudnej rany. Ale ten mężczyzna umarł i wtedy zaczęło się męczeństwo biednego Stefana. To było w tym dniu, w którym zamek...

*\* Cabrette - Instrument muzyczny pochodzący z Owernii, przypominający kobzę.*

Saturnin zerknął na Katarzynę, ale ona nawet nie drgnęła...

- Proszę mówić dalej! - rzekła po prostu.

- Ludzie Valette'a męczyli go na sto sposobów i zabawiali się jego kosztem. Koronowali go na króla karnawału zamiast manekina, którego zawsze się ustawiało... w dawnych, dobrych czasach! A teraz spalą go, tak jak robiło się zawsze z manekinami. Biedaczek!

Uderzeniami włóczy żołnierze popychali tłum w stronę południowej bramy Montsalvy, tej, która wychodziła na głęboką dolinę Lot. Stefan i strażnicy byli już pod sklepieniem. Za nimi podążali łucznicy z łukami gotowymi do strzału. Po nich szedł Valette, ciągnąc za sobą nieszczęsnego starego opata i sznur mnichów śpiewających Miserere. Tworzyło to potworną kakofonię, która raniła uszy Katarzyny. Wrażenie koszmaru jeszcze się spotęgowało. W tej żalostnej i tragicznej scenerii jedynie Saturnin sprawiał wrażenie żywego. Dyskretnie i z szacunkiem wśliznął ramię pod rękę Katarzyny, by przeprowadzić ją bez potknięcia po kamie-



niach błotnistej uliczki. Dokoła nich sponiewierani ludzie tłoczyli się tak, że Katarzyna doznała groteskowego wrażenia, iż jest baranem w stadzie.

W bramie tłok był jeszcze większy, a zaraz potem Katarzyna i Saturnin zostali wypchnięci poza obręb miasta, na pole łagodnie schodzące w dół, okolone kasztanowcami. Na środku pola przygotowany był stos, na którym miał spłonąć nieszczęsny Karnawał. Jego chore nogi nie były już w stanie unieść ciała. Głowę opuścił na pierś, a spod korony zwisały mu długie, skołtunione włosy. Przez cały czas łkał rozpaczliwie. Katarzynę ogarnęła bezbrzeżna litość. Mimo opętańczych wrzasków Valette'a wieśniacy przestali śpiewać obelżywą pieśń. Głos uwiązał im w gardle na widok tego narzędzia męki. Katarzyna poczuła, że robi jej się słabo... Od czasu tragedii w Rouen te koszmarnie wzniesienia z drewna, do których jedni ludzie mieli czelność przykuwać innych, prześladowały ją stale. Znow ujrzała we wspomnieniach białą postać Joanny przybitą do bala, a także posepny stos na dziedzińcu Champtoce, który czekał na Sarę...

- Na bebecy papieża, śpiewać mi tu zaraz! - zawył Valette, wymachując rapierem. - A ty, kacie, czyń swoją powinność!

Ukazał się mężczyzna w łachmanach. Spod dziurawej skórzanej bluzy wystawały jego muskularne ramiona, tułów zaś zwieńczony był olbrzymią, ogoloną na zero czaszką. W dłoni trzymał pochodnię. Poruszył nią, by wiatr stłumił nieco ogień, po czym zbliżył się do stosu.

Coś świsnęło w powietrzu i kat upadł do tyłu z ochrypłym wyciem. Strzała wystrzelona z łuku umieszczonego gdzieś w kasztanowcu przebiła mu krtań.

Śpiew się urwał. Katarzyna zobaczyła, jak oczy Valette'a zrobiły się okrągłe z osłupienia. Chciała się odwrócić do Saturnina, ale on gdzieś zniknął... Tłum natychmiast wydał pomruk radości. Tuż obok Katarzyny

wysoki chłopak o jasnej twarzy okolonej brodą szepnął niemal jak w ekstazie:

- Boże Święty! Jaśnie pan Arnold! Bogu niech będą dzięki!

Rzeczywiście, zza zasłony kasztanowców wysunął się Arnold z tarczą przy łokciu i z bronią w drugiej ręce. Na jego widok serce Katarzyny zabiło z dumy i radości. Czy ktoś widział kiedyś rycerza o szlachetniejszej postaci? O trzy kroki za nim Walter i Fortunat szli wyprostowani i dumni, jak przystało na giermków znamienitego domu. Montsalvy zbliżył się powoli do stosu, odsłonił twarz i powiedział, wskazując nieszczęsnego:

- Marcinie! Uwolnij go!

Chłopiec stojący obok Katarzyny skoczył, nie zważając na Valette'a, który wrzasnął:

- Zabić go!

Łucznik uniósł broń, ale nie zdążył wystrzelić. Strzała wypuszczona przez kogoś innego przygwoździła go do miejsca. Tymczasem Marcin wspiął się po ułożonym stosie, uwolnił biednego zemdlonego już znachora i zniósł go na ramieniu przy akompaniamencie okrzyków tłumu.

- Stój spokojnie, Valette! - powiedział ostrzegawczo Arnold. - W tych drzewach ukryci są żołnierze, jeśli się ruszysz, czeka cię strzała.

Jego słowa zagłuszyły okrzyki wieśniaków. Czapki pofrunęły do góry i wszyscy podbiegli do swego pana, by otoczyć go kołem, ale on zatrzymał ich na miejscu.

- Stójcie tutaj! Mam porachunki z tym człowiekiem, a na to potrzeba mi miejsca.

Katarzyna, która zamierzała podbiec do męża, zastygła, a potem posłusznie cofnęła się wraz z innymi, pozostawiając szeroki pas między

nimi a stosem. Patrzyła jak zahipnotyzowana. Arnold był taki wyniosły, taki pewny siebie! Jego koń tańczył w miejscu, jakby brał udział w turnieju rycerskim. Jednakże w dłoni okrytej stalową rękawicą poruszała się groźnie maczuga. Ohydne oblicze Valette'a wykrzywiło się nienawistnie. Wyciągnął ramię w stronę swego przeciwnika i krzyknął:

- Brać go! On jest ścigany rozkazem królewskim!

- Rozkazem króla La Tremoille'a - rzucił pogardliwie Arnold. - Daj spokój, Valette, uczynź przynajmniej ten honor swemu panu i bij się ze mną... czy też wolisz, aby zabiła cię strzała?

Jakby na potwierdzenie jego słów trzecia strzała przebiła jednego z ludzi, który stał najbliżej wodza bandy. Valette pozieleniał, a Arnold wybuchnął śmiechem.

- Już się nie śmiejesz, Valette? Nie masz już ochoty śpiewać? Tak ładnie śpiewałeś przed chwilą! No, dalej, wyciągnij ten długi miecz, którym się tak dobrze posługujesz!

Nagle Arnold puścił konia galopem i otarł się o Valette'a. Maczuga zatoczyła koło nad jego pióropuszem, następnie Arnold pociągnął mocno Valette'a, który straciwszy równowagę, potoczył się na ziemię.

- Powiedziałem, walcz! - rzucił twardo.

Valette wstał niemal natychmiast. Jego upiorna twarz była wykrzywiona z nienawiści, a w kącikach ust zebrała się piana. Z szybkością błyskawicy wyciągnął miecz, stanął w rozkroku pochylony do przodu i czekał na natarcie jeźdźca. Nie dbając jednakowoż o tę przewagę, Arnold zeskoczył z wierzchowca.

- Nie! - wykrzyknęła przerażona Katarzyna.

- Oszalał! - warknął Saturnin, który wrócił na swoje miejsce obok niej tak, że tego nie zauważyła. - Z takim bydlakiem nie obowiązuje kodeks rycerski!

Zalękniona Katarzyna wczepiła się w ramię staruszka. Widok Valette'a przerażał ją do głębi. Wydawało się jej, że Arnold walczy ze śmiercią w ludzkiej postaci. Opryszkowi brakowało już tylko kosy... Montsalvy nie dawał się jednak zastraszyć byle czym. Jednym ruchem palca opuścił hełm na twarz i z tarczą podaną do przodu, by chronić się przed ciosami, przysuwał się krok za krokiem ku wrogowi. Wywijał uniesioną nad głową maczugą - ciężką, nabijaną stalowymi gwoździami. Pierwsze uderzenia zabrzęczały o zbroję niczym bicie dzwonu. Valette wycofywał się krok za krokiem, ale nieprzerwanie, starając się zapewne dostać do wnętrza miasta. Jego ludzie stali w miejscu, nie ruszając się z obawy, że ugodzi ich strzała. Katarzyna ze splecionymi dłońmi błagała niebiosa, by oszczędziły jej męża.

Nagle ktoś krzyknął za Arnoldem:

- Uwaga, kapitanie! Wprowadził nas w błąd. W drzewach kryje się tylko garstka chłopów, uzbrojonych w...

Nie dokończył. Walter spał swego konia, którego tylne kopyta opadły na czaszkę żołnierza, tego samego, który - powodowany ciekawością - zapewne zakradł się wcześniej niepostrzeżenie pod drzewa. Niestety, jego słowa zrobiły swoje. Gdy zdemaskowani chłopci ześlizgiwali się z kasztanowców, Walter wyciągnął miecz i ruszył na pierwszą falę żołnierzy. Fortunat też robił, co mógł, natomiast Valette ukrył się raptem za szpaler żołnierzy, pozostawiając Arnolda twarzą w twarz z dziesięcioma uzbrojonymi mężczyznami. Osłabła Katarzyna wsparła się na ramieniu Saturnina, ale starzec wyciągnął sztylet z za pasa i pofrunął jak mło-

dzieniaszek na ratunek swemu panu. Młoda kobieta, otoczona innymi kobietami, dziećmi i starcami, cofnęła się aż do muru, odpychana przez walczących. Wieśniacy, którzy przed chwilą zamarli ze strachu, teraz widząc rozpaczliwie walczącego Arnolda, ruszyli wszyscy - jedni z gołymi rękami, inni z kamieniami, a jeszcze inni z kawałkami drewna - przeciwko opryskom uzbrojonym w miecze i włócznie.

W samym środku bitewnego zgiełku Arnold, Walter, Fortunat i Saturnin dokonywali cudów, połączywszy swe siły. Olbrzymi Normandczyk łapał po dwóch mężczyzn za kołnierze i zderzywszy ich głowami ze sobą, zwał nieprzytomnych na ziemię. Maczuga obracała się bez przerwy, rozbijając hełmy, a wraz z nimi czaszki, jakby to były skorupy orzechów, ale rozbójników było wielu i wydawało się, że stale się odradzają.

Wkrótce Arnold i jego ludzie zaczęli przegrywać. Katarzyna widziała, że to już koniec i zapewne czeka ich rychła śmierć...

Dziesięciu mężczyzn odcięło Arnolda od jego towarzyszy. Dla Waltera potrzeba ich było dwudziestu. Ale w parę chwil później obaj mężczyźni, Saturnin i Fortunat, zostali rozbrojeni i zawleczeni przed oblicze Valette'a, który nagle znów się pojawił.

- Słodki Jezu! - jęknęła jakaś kobieta obok Katarzyny. - To już po nas!

- Niech pani lepiej zamilknie - ucięła twardo młoda kobieta. - Nieważne, co się z nami stanie, skoro oni zginą!

Zgrzytliwy śmiech Valette'a zagłuszył jej słowa. Bandyta zbliżył się do Arnolda, którego przytrzymało dwóch mężczyzn, mimo że był związany. Zerwano mu hełm. Po jego policzku spływała strużka krwi z rozciętego łuku brwiowego, ale czarne oczy nie straciły nic ze swej

arogancji. Pogardliwie zmierzył wzrokiem opryszka, który kołysał się przed nim jak kulawa czapla, i wzruszył ramionami... Tego nie mogła wytrzymać próżność Valette'a. Z rozmachem wymierzył dwa policzki więźniowi.

- To cię nauczy szanować pana, ty psie!

To rozjuszyło Katarzynę. Rzuciła się na oślep do przodu z wystawionymi pazurami i zanim Valette ją zobaczył, skoczyła mu do twarzy jak dzika kotka. Rozbójnik zawył i uniósł rękę do policzka, na którym paznokcie młodej kobiety wyryły pięć krwawiących rowków. Chciał się cofnąć, ale Katarzyna wczepiła się w niego z całej siły, starając się dosięgnąć jego oczu, wiedzona instynktem samicy, która broni atakowanego samca.

Kiedy udało się wreszcie oderwać ją od jej ofiary, twarz Valette'a była jaskrawoczerwona, a on sam kwiczał jak zarzynany wieprz. Katarzyna nadal jeszcze dyszała z wściekłości w rękach żołnierzy, plując ogniem jak małe, rozzłoszczone zwierzątko, które stara się drapać i gryźć. Ocierając krew, która poplamiała mu bluzę, rozbójnik szedł prosto na nią.

- Co za ścierwo! - warknął. - Kim jesteś?

- To moja żona - rzekł Arnold uprzejmie. Następnie dodał z półuśmiechem na zranionej twarzy: - Kiedy wreszcie nauczysz się mnie słuchać, Katarzyno, i zostawać w domu, gdy sobie tego życzę...

- Wtedy, kiedy ty przestaniesz się narażać!

- Niedługo już przestanie, jeszcze tylko trochę cierpliwości! - wykrzywił się Valette. - Jeszcze tylko parę chwil i będziecie na zawsze uwolnieni od trosk. Hej, wy tam, przykujcie mi tych dwoje do stosu! Nienawidzę rzeczy, które do niczego nie służą.

Tłum wydał pomruk wściekłości. Dwaj żołnierze unieśli włącznie i dwoje ludzi padło na ziemię przebitych... Oczy młodej kobiety zrobiły się z przerażenia ogromne jak spodki na widok tego, co ich oczekiwało.

Wykrzyknęła:

- Nie będziecie... Nie... Nie w ten sposób!

- Błagam cię, bądź dzielna, kochana moja - poprosił Arnold. - Nie dostarczaj im tej satysfakcji i nie proś ich...

Zaczęto wciągać ich na spiętrzone bierwiona. Katarzyna zachwiała się i upadła z jękiem. Wówczas spętany Walter zdobył się na nieludzki wysiłek. Napiął mięśnie swej potężnej klatki piersiowej i zerwał pęta. Rycząc jak rozwścieczony lew, padł całym swoim ciężarem na żołnierzy, jednego ogłuszając, drugiemu wybijając zęby, żeby utorować sobie drogę ku więźniom. Wydawało się, że ogarnęło go jakieś natchnione szaleństwo. Jego oczy ciskały błyskawice, usta wykrzywiały się w konwulsyjnym grymasie i ciekła z nich piana. Zwielokrotniona gniewem moc olbrzyma była niepokonana, kosił wrogów niczym sierp. Wieśniacy, ogarnięci zabobonnym podziwem, patrzyli na jego wyczyny w osłupieniu...

Walter dotarł właśnie do stosu, gdy strzała ugodziła go w ramię. Padł na chrust z jękiem, któremu zawtórował rozpaczliwy krzyk Katarzyny, a potem dziki wrzask Valette'a:

- Związać go razem z innymi! I niech się to wreszcie zapali!

Katarzyna przymknęła oczy. Ręka Arnolda odszukała jej dłoń i zacisnęła się na niej.

- To już koniec - wyszeptała zduszonym głosem. - Umrzemy. Mój biedny malutki! Mój biedny, malutki Michał!

Jej wypełnione łzami oczy widziały jak w złym śnie wykrzywioną twarz żołnierza, który nieopodal zapalał pochodnię... Ale mimo że śmierć

była tak blisko, wszystko wydawało się jej wciąż absurdalne, jakby nierealne. To nie mogła przecież być prawda. Zdarzy się jakiś cud...

I cud się zdarzył. Dał się słyszeć głęboki, władczy dźwięk trąby i nagle na drodze, która prowadziła od doliny ku górze, ukazały się konie, sztandary i zbroje. Był to spory oddział, solidnie uzbrojony i majestatyczny. Ziemia drżała pod końskimi kopytami, a zgromadzeni na łące patrzyli oniemiałi; nawet mężczyzna z pochodnią, nawet Valette, który ze zmarszczoną brwią wpatrywał się w nadjeżdżających. Szwadron żołnierzy nadciągał, niczym żywa żelazna ściana, czwórkami. Przy udach dzierżyli włócznie, kolorowe proporczyki łopotały na wietrze. Zatrzymali się na skraju płaskowyżu, stanęli dwójkami, ustawiając się po obu stronach drogi tak, by zrobić miejsce dla herolda w czerwono-białym stroju z pióropuszem, który w dumnie wzniesionej ręce dzierżył wielki sztandar ze srebrzystej materii, gdzie widniał szkarłatny lew...

Gdy tylko Arnold zauważył ten emblemat, zakrzyknął wielkim głosem:

- Do mnie, Armagnac!

Skutek był natychmiastowy. Piękny herold zaledwie zdążył uskoczyć. Poprzez łąkę runęła grupa jeźdźców w lśniących zbrojach, w haftowanych kaftanach - czerwonych, białych, błękitnych, złotych lub srebrnych. Hełmy zwieńczone były wymyślnymi emblematami, a wokół końskich kopyt powiewały czapraki. W mgnieniu oka żołnierze otoczyli czerwono-srebrnego rycerza, którego hełm naznaczony był koroną hrabiowską. Za nimi podążali jeszcze inni jeźdźcy, następni byli łucznicy, włócznie w żelaznych hełmach, giermkowie, a nawet paziowie prowadzący na złotych smyczach wspaniałe, rodowodowe charty. Przy tej małej armii ludzie Valette'a wyglądali żałośnie i zaczęli od razu



wycofywać się w stronę miasta. Wieśniacy jednak odcięli im odwrót. Płaskowyż wypełniał się wciąż nadciągającymi żołnierzami, a Katarzyna, wytrzeszczając oczy, starała się domyślić, czy nadjeżdżający byli przyjaciółmi, czy wrogami.

Nie musiała się zastanawiać długo.

Czerwono-srebrny hrabia przygalopował do stosu, na który wskoczył prosto z konia mimo ciężaru uzbrojenia. Jego żelazne ciżmy miażdżyły chrust i słomę, a rękami w rękawicach z żelaza zerwał łańcuchy, którymi przykuci byli więźniowie, z taką łatwością, jakby to była sucha trawa. Katarzyna dostrzegła przez otwór w hełmie szczupłą twarz, purpurową ze złości, i zielone, groźne wejrzenie. Ale Arnold krzyknął z westchnieniem ulgi i czułością w głosie:

- Kadet Bernard! Matko Przenajświętsza! Chyba sam święty Michał cię zsyła!

- Wybuduję mu kaplicę - rzekł drugi, ze straszliwym gaskońskim akcentem. - Bracie Arnoldzie! Co robisz na tej kupie chrustu, związany jak wieprzek?

- Spytaj Valette'a.

Mężczyźni ucałowali się serdecznie. Żelazna rękawica Bernarda klepnęła z rozmachem plecy przyjaciela, ale Arnold uwolnił się z jego objęć w samą porę, by podtrzymać mdlejącą Katarzynę. Uniósł ją w ramionach, nowo przybyły zaś przypatrywał się osłabłej kobiecie z zainteresowaniem.

- To prawdziwa piękność! Kim ona jest?

- To moja żona! Ale pomóż mi... Musimy zabrać tego człowieka - rzekł, wskazując Waltera, który jeszcze nie odzyskał przytomności. - Jest ranny.

Właśnie podeszli do nich żołnierze i wyręczyli ich w tym zadaniu. Rycerz, którego helm zwieńczony był delfinem z pozłacanego srebra o jaspisowych oczach, nadstawił ramiona, by unieść zemdloną Katarzynę.

Arnold już chciał zeskoczyć ze stosu, ale hrabia go powstrzymał:

- Zostań tu! Mam jeszcze coś do zrobienia, a ten stos jest doskonałym miejscem do kierowania ludźmi. - I krzyknął na całe gardło: - Ludzie z Armagnac! Naprzód! Nie tykajcie biednych mieszczan, ale zarznijcie mi całą tę hałastrę wszęteczników! A wodza chcę mieć żywego!

Żołnierze i rycerze tylko czekali na ten rozkaz i rzucili się na rozbójników. Dwusieczne halabardy, kordelasy, miecze, sztylety i topory rozpoczęły istny taniec. W kilka chwil łąka przemieniła się w jatkę. W ziemię wsiąkała krew, która strumyczkami spływała pod drzewa. Wokoło słyhać było jęki bólu, krzyki, agonalne charczenie. Obok wrót miasta stała zbita, szara masa wieśniaków, którzy przyglądali się tej masakrze, a ich uczucia wahały się między przerażeniem a ulgą. Kadet Bernard natomiast stał na stosie na szeroko rozstawionych nogach i z kamienną twarzą czuwał nad wszystkim.

Katarzyna otworzyła oczy i zobaczyła, że leży na materacu przed olbrzymim kamiennym kominkiem, w którym płonął cały pień drzewa. Klęczący obok Arnold rozcierał jej ręce i przyglądał się z niepokojem. Gdy zobaczył, że otwiera oczy, uśmiechnął się.

- Lepiej się czujesz? Nastraszyłaś mnie! Nie mogliśmy cię docucić!

- Któraż to dama przykuta do stosu nie straciłaby zmysłów? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym się spóźnił choć chwilę, droga pani...

Czerwono-srebrny hrabia ukazał się zza pleców Arnolda w pełgającym świetle płomieni. Był jeszcze w swym wspaniałym stroju, ale bez hełmu, więc widać było jego delikatną, wesołą twarz o miłych

nieregularnych rysach, oczach koloru morza i krótkich czarnych włosach tworzących czapeczkę ponad dwojgiem spiczastych uszu, co nadawało jego fizjonomii zwierzęcy aspekt. Przyglądał się Katarzynie z uprzejmością niepozbawioną podziwu, a ona spontanicznie wyciągnęła doń rękę.

- Panie hrabio - rzekła - zawdzięczam panu więcej niż życie, uratował pan bowiem również mego ukochanego męża. Nie zapomnę tego nigdy i jestem panu niezmiernie wdzięczna. Czy mogłabym się dowiedzieć - spytała z uśmiechem - kim pan jest?

Arnold wziął na siebie obowiązek przedstawienia żonie Bernarda d'Armagnaca, hrabiego de Pardiac, zwanego Kadetem Bernardem, który jako rówieśnik był towarzyszem jego dziecięcych zabaw. Katarzyna uniosła się na materacu i oparła o filar kominka. Przypatrywała się nieznanemu mężczyźnie, którego nazwisko jednakowoż słyszała przez całe dzieciństwo. Był to więc jeden z tych sławnych przedstawicieli rodu Armagnac, który od dwudziestu pięciu lat, od kiedy Jan bez Trwogi zabił księcia Orleanu, zrobił z Francji jedno wielkie pole bitewne, na miarę ich nienawiści do Burgundczyków? Katarzyna stwierdziła, że Kadet Bernard reprezentował rodzinę bardzo przekonująco.

Był drugim synem konetabla Armagnaca, który przejął władzę nad Paryżem po Caboche'u, potem zaś został zamordowany przez Burgundczyków w 1418 roku. W jego żyłach płynęła najlepsza krew Francji. Przez swą matkę, Bonne de Berry, Kadet Bernard był - jak i jego starszy brat, hrabia Jan IV - wnukiem króla Karola V. Owa królewska krew widoczna była w jego rasowej i eleganckiej twarzy, w szczupłych przegubach i wyniosłym spojrzeniu. Ale ciemną cerę, czarne włosy i żywość rysów, a także ową skłonność do kpiarstwa, zabarwionego z lekka

okrucieństwem, zawdzięczał przodkowi Sanchezowi Mittarze, założycielowi księstwa gaskońskiego. Armaniakowie byli rodem wielkich wojowników i myśliwych. Słynęli zarówno z okrucieństwa, jak i poetyckich talentów. Gardzili śmiercią i cechowali się nieubłaganą mściwością, Katarzyna przypominała sobie, że słyszała pogłoskę, iż hrabia Jan IV przyczepił do swego sztandaru pas skóry wyciętej z pleców jego ojca przez Burgundczyków. A jednak ci sami straszliwi feudałowie umizgiwali się do dam i kierowali zarówno do nich, jak i do Najświętszej Pani, ułożone przez siebie subtelne poezje...

Właśnie do tego ostatniego talentu familijnego Kadet Bernard zapragnął teraz się odwołać. Podał ramię młodej kobiecie, pomógł jej się podnieść, a następnie podprowadził ją do wysokiego rzeźbionego krzesła wyłożonego poduszkami i dwornie szepnął:

- Piękna hrabino, dziś wieczorem skomponuję sirwent\* na lutnię, by uczcić pani wdzięk, ale teraz muszę panią opuścić i zarazem pozbawić męża.

*\* Sirwent - pieśń trubadura o treści bohaterskiej lub patriotycznej. Wywodzi się z poezji prowansalskiej.*

- Dokądże, panowie, idziecie?

Bernard d'Armagnac wyprostował się, musnąwszy uprzednio wargami palce młodej kobiety.

- Wymierzyć sprawiedliwość! Za chwilę Valette zostanie powieszony na szubienicy przy opactwie. Zasłużył na to w pełni. To zwykły bandyta. Chełpi się, że służy królowi Karolowi VII, ale - podobnie jak Villa-Andrado - służy tylko La Tremoille'owi. A ja nienawidzę La

Tremoille'a! Niech pani tymczasem odpoczywa. Znajduje się pani w pokojach gościnnych opactwa, gdzie rodzina wkrótce do pani dołączy.

Oddalił się w stronę drzwi, zgarniając po drodze swój hełm, który leżał na skrzyni. Arnold nachylił się nad żoną, by ją ucałować, ale ona wczepiła się w niego.

- A Walter?... A reszta rodziny?

- Normandczykiem zajmuje się braciszek medyk, lecz jego rana nie jest ciężka. Posiałem po moją matkę, po dziecko... i całą resztę rodziny. Czcigodny przeor zaofiarował nam gościnę. A teraz poczekaj tu spokojnie. Miałaś dziś dużo wrażeń.

Już się oddalał, gdy znów go zatrzymała. Przypomniała sobie, że zostawiła Morganę przywiązaną do drzewa w lesie, za miasteczkiem.

- Trzeba po nią posłać - rzekła - chyba że uciekła.

- Pójdę sam - obiecał Arnold - jak tylko...

W pobliskiej dzwonnicy rozdzwonił się dzwon, kończąc jego zdanie wymowniej, niż sam by to uczynił. Katarzyna nastawiła ucha. Znów bił dzwon, tak jak niedawno. Tyle się wydarzyło od tamtego czasu! Minęło zaledwie kilka godzin, a zdawało się, że upłynęły całe miesiące od chwili, gdy opuściła folwark Saturnina. Przymknęła oczy, oparła się o krzesło i słuchała żałobnego dźwięku dzwonów wzywających bandytę do ostatniej wędrówki, tym razem jednak nerwy jej były ukojone, a poczucie bezpieczeństwa powróciło. Wyciągnęła chłodne ręce do ognia, od którego miała zginąć.

Kadet Bernard przysunął do płomieni swe długie nogi odziane w szary zamsz i popijał wino z korzeniami. Był najwyraźniej zadowolony. Jednak jego zielone oczy, choć lśniące z ukontentowania, zdradzały pewną

czujność. Pochylony do przodu Arnold, z łokciami na kolanach i splecionymi dłońmi, patrzył nań, nic nie mówiąc. Katarzyna natomiast, wtulona w fotel, czekała, aż ktoś przerwie to milczenie, które zaczęło się przeciągać. Tylko trzask polan na kominku od czasu do czasu zakłócał spokój panujący w gościnnej części opactwa. Mnisi z Montsalvy spali w swych celach twardym snem zmęczonych, jednakże podświadomie oczekiwali, że w samym środku nocy zerwie ich dzwon na jutrznię i nieprzytomni jeszcze od snu, z opadającymi powiekami, podążą do lodowatej kaplicy.

Kolacja wesola i obfita, jako że zapasy opactwa były jeszcze całkiem okazałe, przeciągnęła się do późna w nocy, Izabela de Montsalvy udała się ponad godzinę temu do swej celi wraz z Michałem, nad którymi czuwała z zazdrosną troskliwością, prawie maniacką, co wyprowadzało Sarę z równowagi. Maria de Comborn również poszła do siebie na krótki rozkaz Arnolda, a niewiele później Sara, której Katarzyna zaleciła, by miała baczenie na dziewczynę. Katarzyna, Arnold i ich zbawca pozostali sami. Panował intymny nastrój, jaki stwarza zazwyczaj spokojna chwila następująca po kolacji spożytej w spokojnej atmosferze. Nic już teraz nie mogło jej zagrażać. Wokół wioski ludzie z Armagnac rozstawili namioty, rozbili biwaki. Czasem wiatr przynosił dźwięki fletu aż do starego opactwa benedyktynów.

Katarzyna rozsmakowywała się w tym spokoju, tak nowym dla niej i tak nieoczekiwanym. Nie była senna, jej omdlenie i wypoczynek po nim usunęły zmęczenie. Po raz pierwszy rzeczy miały taką barwę, jaką nadała im w swoich snach. Niedawno temu umilkły śpiewy i tańce, którymi ludzie z Montsalvy uczcili koniec swoich udręk. Biedny Stefan, nieszczęsny Karnawał, także przyszedł podziękować na swój sposób - grając na

dudach. Cudowny spokój nocy usianej gwiazdami, prawdziwa wiosenna noc nadziei, pachnąca obsianą ziemią, rozciągnęła się nad miasteczkiem uwolnionym od koszmaru.

Raptem Bernard d'Armagnac przeciągnął się i ziewnął szeroko, następnie odwrócił się ku Arnoldowi i popatrzył na niego dłużej.

- Co będziesz teraz robił?

- A co mogę robić? - odparł Arnold niechętnie. - Odbudowywać?

Kraj jest wykrwawiony, ziemia potrzebuje każdej pary rąk do pracy, ponieważ wojna niszczy wszystko. Ponadto nie zapominaj o tym, że jestem buntownikiem i moje ziemie już do mnie nie należą! Owernia musi się odrodzić i dopiero wtedy zniszczone zamki mogą pojawić się na nowo... ale tylko wówczas, gdy wieże będą mogły górować nad czymś innym niż pustynie, a u stóp murów obronnych wyrosną pola.

- A więc?

- Powiedziałeś mi, że nadal będziesz prowadził wojnę z La Tremoille'em. Dołączysz do konetabla de Richemonta. Richemont, jak książę de Bourbon, mój suzeren, chce zniszczyć bestię. Chyba najlepiej będzie, gdy zostawię moich pod opieką przeora i wyruszę z tobą.

- Myślałem o tym - przerwał Bernard - ale mam lepszą propozycję. Twoja rodzina nie będzie tutaj bezpieczna. Przeor jest niedołączny, opactwo stare i źle ufortyfikowane, a wieśniacy wyczerpani. Powiesiłem Valette'a, Villa-Andrado jest niedaleko, a wieść o śmierci jego lejtnanta sprowadzi go tu rychło. Mam za mało ludzi, aby część ich zostawić. Z drugiej strony twoja obecność mogłaby postawić Richemonta w kłopotliwej sytuacji. Dopóki La Tremoille rządzi, dla króla jesteś buntownikiem i tak samo będzie traktowany Richemont, jeśli cię przyjmie. Królowa Jolanta wróci z

Prowansji zapewne wtedy, gdy zrobi się cieplej. Tylko ona może ci pomóc. Wezwę cię, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila...

- Czekać! Ciągłe czekać! - warknął Arnold, wstał i zaczął nerwowo krążyć po pokoju pod niespokojnym okiem Katarzyny. - Jestem wojownikiem, a nie myślicielem! Na co mam czekać?

- Aż cię wezwę!

- Nie jestem stworzony do tego, by prząść kądziel, patrząc w niebo.

- Ach, ty przekłety wilku górski! Wiem o tym dobrze. Ofiaruję ci zatem kądziel w kształcie lancy. Przejeżdżałem tędy, bo byłem w drodze do Carlat. Wiesz przecież, że moja matka wniosła to wicehrabstwo do rodziny, gdy poślubiła mego ojca. Carlat to brama Górnej Owernii i klucz do dolin południa. Zarządza nim stary żołnierz, Jan de Cabanes... niestety, stary! Dla jego osłabłej ręki miecz jest już za ciężki. A biskup Saint-Flour, który jest sercem i duszą oddany księciu Burgundii, zerka często w stronę Carlat, oblizując się łakomie. Nie możemy wystawić na niebezpieczeństwo najpiękniejszego kwiatka z wieńca mojej matki. Chciałem, będąc tam przejazdem, mianować jednego z mych rycerzy gubernatorem Carlat, ale mam teraz lepszy pomysł - tobie powierzę fortecę.

Odkąd Arnold zaczął upominać się o miejsce wśród walczących, krew Katarzyny zaczęła żywiej krążyć w żyłach, serce jej biło na alarm. Ale na słowo „fortecca” wybuchła.

- Znowu te walki! Znowu wojna! Nie możemy zostać tu spokojnie, na tej ziemi, której imię nosimy, przy ludziach, którzy dopiero co chcieli oddać za nas życie? Opactwo jest dostatecznie wielkie dla nas wszystkich. A ja tak bardzo chciałabym... tak bardzo chciałabym mieć trochę spokoju!

Jej głos załamał się na ostatnich słowach, a szyderczy błysk, który palił się w oczach Kadeta Bernarda, zgasł.



Podszedł do niej i klękawszy na poduszce, na której młoda kobieta opierała stopy, rzekł:

- Pokój, piękna Katarzyno, jest nieosiągalnym pragnieniem wszystkich tych, którzy żyją w naszych okrutnych czasach. Jak możemy życzyć sobie spokoju, gdy Anglicy są tak blisko, kiedy zajmują jeszcze Rochefort-en-Montagne i Besse, i Tournel, kiedy lamparty angielskie łopocą jeszcze nad niektórymi ziemiami Owernii? Nie byłaby tu pani bezpieczna, co więcej, pani obecność tutaj wystawiłaby miasteczko i opactwo na niebezpieczeństwo, na wielkie niebezpieczeństwo. Carlat jest zrujnowane, ale jego skały są nie do zdobycia. Obejmie was w swoich ścianach jak palce silnej ręki i będzie was strzec... - Ujął rękę Katarzyny i łagodnie musnął ją wargami. - Zdaje się, że to poeta Bernard de Ventadour napisał - już nie pamiętam gdzie: Ten jest naprawdę martwy, który nie czuje w sercu miłości. Pani będzie tą miłością w sercu starych gór, które już były martwe, pani będzie skarbem, który Carlat będzie chronić i nigdy nie zgadnie pani, jak bardzo mu zazdroścę.

Ponad pochylonymi plecami Bernarda Katarzyna napotkała wzrok Arnolda i wydało się jej, że spojrzenie to spochmurniało. Ale było to tylko wrażenie. Montsalvy już obrócił się na pięcie i z założonymi do tyłu rękami kontemlował płomienie na kominku. Oczy Katarzyny w rozmarzeniu spoczęły na szerokich ramionach męża. W wyobraźni ujrzała zamek swoich marzeń - odległy, wysoki, ale lśniący od wewnętrznego światła, domostwo zalane słońcem, które wreszcie będzie ogniskiem, które ogrzeje ich miłość.

- Może ma pan rację - rzekła w zamyśleniu. - Może będę szczęśliwa w Carlat.

Nie puszcżając ręki młodej kobiety, Bernard wstał i zwrócił się do przyjaciela.

- Nie odpowiedziałeś mi. Czy chcesz bronić Carlat w imieniu rodziny d'Armagnac?

- Przed kim? - zapytał Montsalvy, nie odwracając się.

Kadet Bernard się uśmiechnął, Katarzyna dostrzegła w jego przymrużonych oczach kpiący błysk.

- Przed każdym napastnikiem, kimkolwiek by był i skądkolwiek by przyszedł - z Saint-Flour, z Ventadour... czy z Bourges!

Arnold nie poruszył się. Zapanowała cisza, po czym zapytał:

- Z Bourges? Przed... królem Karolem VII?

Smagła dłoń Bernarda ścisnęła mocniej palce Katarzyny. Z jego twarzy zniknął uśmiech, a na to miejsce pojawił się wyraz zdecydowania.

- Choćby przeciwko królowi! - rzekł twardo. - Dopóty, dopóki La Tremoille będzie panował, my, Armaniakowie, nie uznamy innych panów oprócz nas samych i innej woli niż nasza! Jeśli król osobiście przyjdzie poprosić o Carlat, ty, bracie Arnoldzie, odmówisz mu!

Arnold odwrócił się pomału. Jego wysoka postać odcinała się od ognistego tła rzucanego przez płomienie, nadając mu groźny wygląd. Katarzyna zobaczyła połyskującą w cieniu biel zębów męża. Ostra świadomość miłości, jaką do niego czuje, ogarnęła ją niemal boleśnie. Jakiż inny mężczyzna mógłby zająć jego miejsce w jej sercu? Jaki mężczyzna mógłby wzbudzić w niej silniejszą, większą miłość? Kochała w nim wszystko. Jego męską urodę, ma się rozumieć, ale także tę niespożytą witalność, jego charakter porywczy, a zarazem dumny... Był jedynym jej panem, jedynym, jakiego mogłaby zaakceptować... i łagodnie wyjęła swoją dłoń z ręki Bernarda.

Arnold podbiegł szybko do przyjaciela.

- Jestem u ciebie na służbie, Bernardzie! Daj mi Carlat i odjedź w spokoju! Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Chcę być przy tym, gdy konetabl de Richemont pobije La Tremoille'a!

- Masz moje słowo! Weźmiesz udział w podziale łupów! Bernard otworzył ramiona. Oparł obie ręce na ramionach Montsalvy'ego i uściskał go.

- Bądź cierpliwy i czuwaj, bracie Arnoldzie! Odzyskasz ziemię, dobra, a pewnego dnia zamek w Montsalvy powstanie ze zgliszcz.

Obaj mężczyźni ucałowali się serdecznie. Serce Katarzyny ogarnęła zazdrość. Rozumiała, że w tej chwili zapomnieli o niej, wyrzucając ją, kobietę, ze swego męskiego świata, tego niepojętego świata, w którym przemoc i wojna zajmowały tak wiele miejsca.

Powoli wstała i wyszła z pokoju. Gdy Arnold i Bernard myśleli tylko o swoich sprawach, Katarzyna odczuła przemożną potrzebę ucałowania synka.

# Schronienie

---

Carlat! Stromy brzeg morski z czarnego bazaltu, odgradzający dolinę Embene od wydłużonego płaskowyzu, jakby mieczem rozplatanego na dwie części. W dole, otoczone murami, kryło się zziębnięte miasteczko o domkach jak granitowe bąble wokół surowego kościoła ze spiczastą dzwonnica. Wysoko w górze, na dumnej ostrodze otoczonej murami o zawrotnej wprost wysokości i olbrzymimi wieżami, sterczały dzwonnice, dachy, stożkowate wieże i blanki. Twierdza, która przez długie wieki była schronieniem buntowników, wyglądała jak miasto zamknięte i nieme. Straszliwe w swym głębokim milczeniu, tak absolutnym, iż Katarzynie wydawało się, że słyszy łopot proporca na szczycie fortu. W miarę jak wznosiła się coraz wyżej na grzbiecie roztropnej Morgany, mogła obserwować roztaczający się u jej stóp pejzaż pól, lasów, zrudziałych wrzosowisk, wysokich paproci i skal opadających aż do spienionych potoków. Droga była tak prosta, a niebo tak niebieskie i czyste, że zębata brama, ozłocona ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, sprawiała wrażenie, jakby prowadziła prosto do raj. Dwaj jadący obok niej mężczyźni, czarny hrabia ze srebrnym krogulcem i szary hrabia ze szkarłatnym lwem, wyglądali jak archanioły o ognistych mieczach, które w jednej chwili mogą sprawić, by świetliste skrzydła drzwi obróciły się na swych

lazurowych zawiasach. To ogromne orle gniazdo, które wznosiło się czarnymi kamieniami do nieba, miało jednakowoż stać się jej ogniskiem domowym, to tutaj będzie wreszcie mogła żyć miłością, życiem kobiety, która spogląda, jak rośnie jej syn. Te groźne mury nabierały dla niej łagodnego wyrazu. Jakie zło mogłoby ją osiągnąć tak daleko i tak wysoko?

Przejmujący dźwięk trąby, który rozległ się tuż obok Katarzyny, poderwał ją z miejsca. Mury były już blisko. W czarnym cieniu drewnianej palisady jeden za drugim znikali jeźdźcy. Na tle nieba zarysowała się sylwetka żołnierza, który dał w róg. Potem, gdy pierwsze konie dotarły do płaskowyzu, brama otworzyła się pomału, wpuszczając zrudziały promień słoneczny.

Ukazała się szeroka esplanada, okolona różnymi budowlami: kaplicą, czymś w rodzaju domostwa o oknach w lancetowatym kształcie, starożytna komandoria, magazyny broni, kuźnia, stajnie, stara studnia pokryta zielonym mchem, olbrzymi fort górujący nad czterema wielkimi wieżami w rogach, wreszcie - ogromny buk z rozpostartymi gałęziami - skręconymi i gołymi niczym czarne węże - ukazywał swe straszliwe owoce: zeszywniałe ciała pięciu powieszonych.

Przejeżdżając obok drzewa, Katarzyna odwróciła oczy. Zewsząd nadbiegali żołnierze, ciągnąc kusze i poprawiając żelazne kaski, niespokojnie wypatrując barw swego pana. Zadzwończy dzwony kaplicy, a równocześnie trzech heroldowie na progu domu zadęli w srebrne trąbki. Za nimi ukazał się stary mężczyzna w zbroi. Opierał się na lasce, poruszał się bowiem z widocznym trudem.

- To pan Jan de Cabanes - szepnął Bernard w stronę Arnolda. -  
Postarzał się jeszcze bardziej. Widzisz więc, że nadszedł czas, aby przyjść  
mu z pomocą.

Na olbrzymim dziedzińcu rzeczywiście panował bałagan i  
zaniedbanie. Budynki były zniszczone. Niektóre groziły zawaleniem, a w  
wielu oknach feudalnej siedziby brakowało szyb. Kadet Bernard  
uśmiechnął się do Katarzyny, a potem się skrzywił.

- Obawiam się, że nie będzie pani zbyt zadowolona ze swego  
pałacu, piękna Katarzyno! Ale jestem pewien, że pani urok uczyni to  
miejsce rozkosznym!

Był to komplement, ale Katarzyna pomyślała, że nawet  
najpiękniejszy uśmiech świata nie mógłby zastąpić brakujących szyb,  
zalepić rozpadlin w murach ani usunąć przeciągów. Na szczęście  
nadchodziła wiosna, ale nie było jeszcze ciepło, a bystre oko kobiety  
zauważyło wszystko, co należałoby zrobić przed zimą, tak żeby ten stary  
budynek stał się możliwy do zamieszkania dla kobiet i dziecka. Podczas  
gdy Arnold i Bernard nawiązali rozmowę ze starym szefem garnizonu,  
Izabela de Montsalvy ustawiła swoją mulicę przy boku Morgany.

- Obawiam się, że zastaniemy tu więcej szczurów niż obić - rzekła. -  
Jeśli wewnątrz wygląda tak jak to...

Odwróciła się do Sary, która niosła Michała. Dziecko było jedynym  
obiektom jej rozmów z synową, a wspólna troska o jego wygodę zbliżała je  
nieco. Poza tym nie starały się bynajmniej o zadzierzgnięcie innej więzi.  
Izabela nie była w stanie zapomnieć o pochodzeniu Katarzyny, ta zaś nie  
mogła wybaczyć teściowej jej dumy stanowej. Co więcej, miała jej za złe,  
że zatrzymała Marię de Combom, podczas gdy Arnold pragnął, by  
odesłano ją do brata.

- Maria zastępowała mi córkę w najtrudniejszych chwilach - powiedziała. - Jej towarzystwo jest mi potrzebne...

Ze spojrzenia Izabeli można było wywnioskować, że żadne inne towarzystwo nie mogło jej zastąpić, a Arnold, który już otwierał usta, by przypomnieć matce, że Katarzyna jest jej nową córką, zamknął je bez słowa. Być może, gdy obie kobiety będą żyły pod jednym dachem, zaakceptują się wreszcie nawzajem. Arnold wierzył, że czas i przyzwyczajenie łagodzą niechęć...

Mimo wszystko Katarzyna chętnie przystała na zamieszkanie z teściową, z szacunku dla jej wieku i uczucia dla męża, ale fakt, że dzieliła mieszkanie z Marią de Comborn, zawsze agresywną, której baczne spojrzenie czuła na sobie ciągle, sprawiał jej niemal fizyczny ból. Coraz gorzej znosiła widok dziewczyny, ta zaś - wiedziona przenikliwością osoby złośliwej - doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Wykorzystywała to bezwstydnie, czerpiąc niezdrową przyjemność z narzucania im swego towarzystwa i bezustannego snucia się za Arnoldem.

Kiedy panie przeszły przez niskie, rzeźbione drzwi prowadzące do domostwa, Maria znalazła się obok Katarzyny, której rozczarowany wzrok wędrował od poczerniałych sklepień do złamanych czy nieszczelnie przylegających płytek podłogi, poplamionych tłuszczem i błotem, co świadczyło o tym, że były myte dość dawno.

- Jak szlachetna pani znajduje swój pałac? - mruknęła dziewczyna. - Zapewne wspaniałym! Po śmierdzącym sklepiku handlarza najgorsza nora musi wydawać się olśniewająca.

- Podoba się to pani? - odparła młoda kobieta, uśmiechając się anielsko i udając, że rozumie dosłownie swoją rywalkę. - Nie jest pani wybredna. To prawda, że w zrujnowanej wieży brata nie mogła pani

zobaczyć nic ładnego. Ten dom jest w sam raz dobry dla rzeźnika! To nora godna rodu Combornów.

- Myli się pani - syknęła Maria, ze złością patrząc na Katarzynę. - To nie jest nora... lecz grobowiec!

- Grobowiec? Cóż to za ponurą wyobraźnię ma pani!

- To nie wyobraźnia, a pewność, którą mam nadzieję pani przekonująco wykazać! Grobowiec, powtarzam... pani grobowiec! Albowiem, moja droga, nie wyjdzie pani stąd żywa!

Katarzyna poczuła, że ogarnia ją gniew, ale pohamowała się z największym wysiłkiem. Mimo wszystko nie dopuści, aby ta jędza miała satysfakcję z tego, że jej strzał był celny. Sarkastyczny uśmiech odsłonił jej nieskazitelne zęby.

- I ma się rozumieć, to pani spowoduje moje przejście do krainy umarłych? Czy nie męczą pani te pogrózki, te pompatyczne, tragiczne zdania? Co za szkoda, że kaprys przeznaczenia spowodował, iż urodziła się pani w zamku! Odniosłaby pani niewątpliwy sukces w objazdowym teatrzyku na jarmarku Świętego Wawrzyńca w Paryżu.

Maria rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy nikt nie słyszy ich rozmowy. Izabela de Montsalvy i Sara kierowały się już w stronę schodów, mężczyźni wyszli na podwórko, były więc najwyraźniej same.

- Śmieć się - zazgrzytała zębami dziewczyna. - Śmieć się, kochana! Niedługo przestaniesz się śmiać! Niedługo będziesz już tylko ścierwem gnijącym w jakiejś dziurze, a ja spocznę w łóżku twojego męża.

- W dniu, w którym pani Katarzyna znajdzie się w jakiejś dziurze - rzekł niski głos, jakby wychodzący z głębi kominka - łóżko pana Arnolda pozostanie puste, bowiem nie będzie pani żyła tak długo, by zdążyć do niego wejść!



Zza filaru wspierającego kominek wyszedł Walter z wyciągniętymi do przodu rękami. Był tak imponujący i groźny, że Maria zrobiła taki ruch, jakby chciała się cofnąć. Powstrzymała się jednak. Uniosła głowę i układając usta w pyszczek żmii, rzuciła:

- A to pies łańcuchowy! Zawsze ukrywa się gdzieś pod pani spódnicą, gotów pospieszyć z pomocą. Zastanawiam się, jak znosi to Arnold, jeśli - jak pani mówi - kocha panią.

- Uczucia pana Arnolda nie mają tu nic do rzeczy, panienko - uciał szorstko Normandczyk. - Od dawna czuwam nad panią Katarzyną i on wie o tym. Pozwoli pani, że jako pies łańcuchowy coś powiem: jeśli panienka dotknie pani de Montsalvy, to uduszę panienkę tymi oto rękami!

Olbrzymie dłonie Normandczyka rozczapierzyły się przed oczami Marii w taki sposób, że dziewczyna zbladła. Ale z pomocą przyszły jej duma i nienawiść.

- A... a jeśli powiem kuzynowi, że mi grozisz? Myślisz, że będzie cię trzymał?

- Tak, i to tak długo, jak zechcę! - ucięła Katarzyna, stając pomiędzy przeciwnikami. - Niech pani zapamięta i nie zapomina! Arnold jest pani kuzynem... moja kochana, ale moim mężem. I kocha mnie, rozumie pani? Kocha mnie, choćby pani miała zdechnąć z wściekłości i zazdrości! Nie zawaha się nigdy, jeśli będzie miał wybierać między mną a panią! Niech pani mówi, co chce, i robi, co chce, ale proszę się strzec, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia. Zobaczmy, kto wygra. Chodźmy, Walterze, dołączmy do pozostałych!

Wzruszywszy pogardliwie ramionami, Katarzyna odwróciła się od Marii i skierowała ku schodom, oparłszy się na ramieniu Normandczyka, jak gdyby chciała podkreślić swoją z nim solidarność.

- Niech pani będzie ostrożna - szepnął Walter z zatroskanym obliczem. - Ta dziewczyna pani nienawidzi. Ona jest zdolna do wszystkiego. Nawet do najgorszych czynów.

- A więc czuwaj, mój przyjacielu, czuwaj nade mną! Pod twoją opieką nigdy nie musiałam się niczego bać. Czemuż miałabym się bać dzisiaj?

- Mimo wszystko proszę uważać! Będę czuwał, ale są takie chwile, gdy nie ma mnie w pobliżu. Na razie uprzedzę Sarę. Nie będzie to zbytnia ostrożność, nas dwoje przeciwko tej zmi...

Katarzyna nie odpowiedziała. Mimo ufności, jaką manifestowała, nie mogła wyzbyć się tajonego niepokoju. Jak powiedział Walter, Maria należała do tego rodzaju gadów, co do których nigdy nie można przewidzieć, kiedy podniosą łeb, by zadać cios. Katarzyna miała jednak wrażenie, że jeśli okaże strach, utraci połowę swych obronnych możliwości.

Do późna w nocy żołnierze Kadeta Bernarda pracowali, by stary, dwustuletni pałac doprowadzić do stanu używalności. Wózki, które jechały w orszaku Bernarda, były na szczęście dobrze zaopatrzone w tkaniny, przykrycia, prześcieradła i inne przedmioty do wyposażenia domu. Wielka komnata na pierwszym piętrze i trzy pokoje na drugim zostały niemal należycie przygotowane. Ogromne drewniane łóżka wymoszczono piernatami, materacami i poduszkami, pokoje obito tkaninami. Arnold zajął jeden z nich wraz z Katarzyną; Izabela de Montsalvy, Sara i dziecko drugi, a Maria ze starą Donatą, która nie chciała opuścić swoich państwa - trzeci. Kadet Bernard i jego rycerze rozbili obozowisko na olbrzymim dziedzińcu. Stary pan de Cabanes nigdy nie mieszkał w tym domostwie,

gdyż wolał fort, w którym zaprowadził swoje obyczaje. Stąd nieprawdopodobny brud panujący w tym miejscu, gdzie tylko komnata na parterze służyła żołnierzom. Cała reszta była opuszczona i zaniedbana. Kilka energicznych krzyków Bernarda dokonało jednak cudu. Niczym echo wtórowały im wściekłe okrzyki Arnolda, który udał się na przegląd systemu obronnego i galerii. Na szczęście drewna nie brakowało i we wszystkich kominkach można było porządnie napalić.

Kiedy Katarzyna wreszcie dotarła z mężem do sypialni, była śmiertelnie znużona i raczej przygnębiona. Usiadła na wąskiej, kamiennej ławeczce umieszczonej pod oknem i błędziła wzrokiem po dziedzińcu, gdzie płonęły jeszcze ogniska, przy których żołnierze przyrządzali sobie posiłek. Ostatnie ich błyski oświetlały posępne zwłoki zwisające z gałęzi buku, kontrastując ostro z elegancją wielkich namiotów z jedwabiu czy haftowanego płótna, w których schronili się panowie. Młoda kobieta zadrżała i szczelnie otuliła się obszernym wełnianym płaszczem.

- Co robisz, Katarzyno? - spytał Arnold z łóżka. - Czemu tu nie przyjdiesz?

Nie od razu odpowiedziała. Jej umysł, podobnie jak wzrok, był zahipnotyzowany widokiem drzewa z powieszonymi. Była tak zmęczona tymi okropnościami, które stale napotykała na swej drodze! Krew! Ciągłe krew! Dzikie obyczaje mężczyzn niszczyły wszystko, nawet czyste piękno natury. Czemuż nawet w tym miejscu, w którym spodziewała się znaleźć spokój i szczęście, musiała od razu trafić na to przypomnienie okrucieństwa czasów, w których żyła? Jak można marzyć o miłości i spokojnym życiu, jeśli się przebywa w cieniu szubienicy?

- Ci wisielcy... - odezwała się w końcu. - Czy nie można by...

Między zasłonami łoża ukazała się głowa Arnolda, a następnie całe jego ciało, zupełnie nagie, jako że nie miał zwyczaju zakładać na siebie czegokolwiek do spania. Stanowczym krokiem podszedł do żony, podniósł ją i razem z nią padł na łożo.

- Powiedziałem: chodź, a ty jesteś mi winna posłuszeństwo! Przestań się dręczyć z powodu tych ludzi. Każę ich jutro pochować, żeby zrobić ci przyjemność, chociaż nie bardzo na to zasługują: drobny prezencik od biskupa Saint-Flour, kilku tych tuszynów\*, których hodowlę prowadzi nadal w jednej z niższych dzielnic jego miasta. Od czasu do czasu wypuszcza jakąś bandę na zamek albo do miasta, które pragnie zdobyć. Rzadko się to zdarza. Łapie się kilku z nich, wieszka i tak aż do następnego razu. Na szczęście ci ludzie nie są tacy jak w czasach wielkiego buntu, choć dobrze umieją czynić zło...

*\* Pięćdziesiąt lat wcześniej miał miejsce straszliwy bunt chłopski, spowodowany nędzą panującą w całym kraju. Nazwa „tuszyn” pochodzi od wyrażenia tuechiens (zabija psy), jako że buntownicy posuwali się do zabijania i jedzenia psów. Biskup Saint-Flour udzielił schronienia tuszynom, którzy objęli w posiadanie całą dzielnicę. Tuszynat przetrwał w Owernii długie lata.*

Umilkł nagle. Mówiąc, cały czas rozbierał Katarzynę i rozplatał jej włosy, którymi dla zabawy okręcał sobie szyję. Gdy tak spoczywali ukryci za kotarami i było prawie zupełnie ciemno, Arnold niecierpliwym ruchem odsunął nieco materiał, by zanurzyć dłoń w gęstych włosach, które łagodnie lśniły ciepłymi odblaskami. Uwięził twarz Katarzyny w dłoniach i przybliżył do swojej twarzy.

- Chcę widzieć twoje oczy - powiedział czule. - Jaśnieją, gdy się kochamy... stają się prawie zupełnie jasne.

- Słuchaj - szepnęła Katarzyna - chciałam ci powiedzieć...

- Pst! Zapomnij o wszystkim! Nie myśl już o tym... Kocham cię! Nie ma nic, tylko my dwoje, ty i ja... jesteśmy sami na świecie. Bernard ma rację, kiedy mówi, że jesteś najcenniejszym skarbem, a przecież z twojej urody zna tylko twarz, nie wie, jak rozkoszne jest twoje ciało. Kocham cię, Katarzyno, kocham cię tak, że wydaje mi się, iż umieram.

Łzy, których nie mogła powstrzymać, zawisły jej na rzęsach.

- Umierasz? To ja jestem skazana na śmierć. Maria mi powiedziała, że nie wyjdę stąd żywa, że mnie zabije...

Poczuła, że ręce Arnolda zaciskają się na jej głowie, zobaczyła, że zmarszczył brwi, ale nagle wybuchnął śmiechem.

- Zastanawiam się, która z was jest bardziej szalona. Czy ta nieszczęsna dziewczyna, która może powiedzieć wszystko, żeby tylko zatruć ci życie, czy ty, która wierzysz we wszystko, co ona mówi, jak w Ewangelię. Maria zna mnie zbyt dobrze, żeby mogła coś knuć przeciwko tobie...

- A jednak, gdybyś ją słyszał...

- Daj spokój, Katarzyno, bądź rozsądna! - Głos Arnolda zabrzmiał twardo. - Powiedziałem ci już, zapomnij o wszystkim! Tylko jedna rzecz jest realna na świecie, ty i ja, my dwoje, rozumiesz, tylko my dwoje...

Katarzyna nie odpowiedziała. Tylko my dwoje? W sąsiednim pokoju Izabela spała obok kołyski Michała. Sara również spała w tym pokoju, odmawiała bowiem pozostawienia dziecka samego z babką i broniła swych praw niańki jak kwoka. Rozumiała, że Izabela zrobi wszystko, by odciąć dziecko od matki, i miała zamiar to uniemożliwić. W następnym pokoju

była Maria. Katarzyna pomyślała gorzko, że w każdym z tych pokojów ktoś chciał ją czegoś pozbawić: Izabela syna, Maria męża... Skądże więc Arnoldowi przyszło do głowy, że są tylko we dwoje?

- Nie umykaj mi - mruknął Arnold do jej ucha. - Powinnaś myśleć tylko o naszej miłości, gdy jesteśmy razem...

Ucałował ją, ale pod ustami Arnolda jej usta były nadal zimne i drżące. Zamknęła oczy, by powstrzymać łzy, które toczyły się jej po policzkach. Arnold zaklął pod nosem i z nagłą furią rzekł:

- Dobrze, płacz sobie! Ale na pewno wybiję ci z głowy te niemądre myśli!

I od razu zasypał Katarzynę takim huraganem pieścizot i pocałunków, że zmiażdżona, rozgnieciona, ale uniesiona falą rozkoszy, która zdawała się nie osiągać nigdy punktu kulminacyjnego, rozdierana namiętnością, która wyrywała z jej piersi okrzyki, myślała już tylko o tym, by poddać się Arnoldowi. Kiedy podporządkował ją sobie już całkowicie, usłyszała jego kpiący i czuły szept triumfu:

- A nie mówiłem, że zapomnisz o tych głupstwach?

Opuścił ją raptem, by podbiec do szafki stojącej blisko kominka, w której stały szklaneczki i karafka z winem. Omdlała, nieprzytomna z błógiego zmęczenia, Katarzyna odemknęła powieki, które nigdy nie wydawały się jej takie ciężkie. Jej całkowite wyczerpanie rozbawiło młodego mężczyznę. Uniósł srebrną karafkę.

- Chcesz trochę wina? Mam straszliwe pragnienie! Dała ręką znak, że nie, nie mając siły przemówić.

Przez zmrużone rzęsy widziała, jak napełnia sobie kieliszek, wypija jego zawartość jednym haustem i ociera usta gołym ramieniem. Miała już zamiar przymknąć na powrót oczy, gdy usłyszała metaliczny brzęk.

Kielich upadł na ziemię, ale Arnold nie zwrócił na to uwagi. Podszedł do ognia i przyglądał się czemuś na wewnętrznej stronie ramienia. Jego całkowite znieruchomienie zastanowiło Katarzynę, która z niejasnym niepokojem uniosła się na poduszkach.

- Co to takiego? Na co tak patrzysz?

Nie odpowiedział i nie poruszył się. W jego bezwładzie było coś tak przerażającego, że Katarzyna krzyknęła.

- Arnold? Co ci jest?

Odwrócił się, opuścił ramię i uśmiechnął się. Był to wszakże uśmiech dziwny, machinalne rozciągnięcie warg, prawie grymas.

- Nic, moja ukochana! Polano pękło i odprysk oparzył mi ramię. Śpij już, potrzeba ci tego...

Jego głos dochodził jakby z daleka. Mechanicznie zdjął z drabinki długą szatę z zielonej materii, obramowaną futrem, nałożył ją i ścisnął paskiem wokół bioder. Katarzyna przyglądała mu się w osłupieniu.

- Dokąd się wybierasz?

- Chcę się upewnić, że wszystko jest w porządku, że warty stoją. Żołnierze wypili dziś sporo, więc zawsze możliwa jest jakaś niespodzianka.

Zbliżył się do łóżka, nachylił, uniosł zwisające z łóżka pasmo włosów Katarzyny i namiętnie przycisnął do niego wargi.

- Śpij, mój aniele, śpij... za chwilę wrócę.

Ten nocny spacer był w końcu rzeczą normalną u gubernatora fortecy. A poza tym Katarzyna była zbyt znużona, żeby stawiać sobie za dużo pytań. Arnold często zaskakiwał ją swoim zachowaniem. Teraz oddalił się na palcach, naciągnawszy uprzednio starannie przykrycie na ramiona żony. Ona zaś zamknęła oczy, ogarnięta już rozkosznym

odrętwieniem. Mimo to, zanim zapadła całkowicie w stan nieświadomości, doznała jakiegoś dziwnego wrażenia. Czy było to już we śnie, czy też naprawdę zauważyła przed chwilą w spojrzeniu Arnolda niepokój, a nawet strach? W owej chwili jego twarz wyglądała tak, jakby była wykuta z granitu, wszystko było w niej nieruchome, tylko to spojrzenie... Ależ skąd! To jakieś przywidzenie jej wyczerpanego umysłu! Katarzyna z uśmiechem na ustach usnęła głębokim snem.

Katarzynę obudził głos Sary nucącej starą pieśń.

Mogłaby przysiąc, że spała nie więcej niż pięć minut, a jednak było już zupełnie widno. Uśmiechnęła się na widok Cyganki siedzącej w nogach łóżka, w pozycji, w której widziała ją setki razy, gdy była mała. Sara trzymała w ramionach Michała. To jemu właśnie śpiewała uśmiechając się, a zachwycone dziecko wymachiwało rączkami.

- Czy jest tak późno? - spytała Katarzyna, uniósłszy się na łóżku.

- Nadeszła pora karmienia! Twój syn jest bardzo głodny.

Katarzyna wyciągnęła ramiona po dziecko z owym uczuciem głębokiej miłości i pełni szczęścia, jakiego zawsze doznawała, karmiąc dziecko. Mała jasna główka wtuliła się w nią, a rozstawione szeroko paluszki objęły jej pierś. Michał zaczął ssać z zapalem. Katarzyna wybuchnęła śmiechem.

- Ależ łapczywie je, słowo daję! Popatrz, Saro... Jaki z niego żarłok!

Myśl jej oderwała się od dziecka i powędrowała ku jego ojcu.

Spytała Sarę, gdzie jest Arnold.

- Na zewnątrz. Hrabia Bernard szykuje się do drogi. Kiedy mały skończy, będziesz musiała się pospieszyć.



Siedząc w łóżku, Katarzyna wodziła za Sarą oczami, dziwiąc się, że nie zauważyła do tej pory jej opuszczonych ramion. Czy Sara się przygarbiła? Przecież ma dopiero pięćdziesiąt lat. I te sine obwódki wokół oczu? Może to zmęczenie? Sara stale się poświęcała - dla Michała, dla Katarzyny. Otworzyła właśnie skórzany kuferek i wyciągnęła zeń rozmaite ubrania, a w pierwszej kolejności tunikę z fioletowego aksamitu, podbitą szarą satyną.

- Hrabia Bernard zostawił kilka kufrów. Z tych sukien i płaszczy męskich mogłabym ci przygotować parę ubrań. Nie masz się w co ubrać.

- Suknie z Brugii i Dijon są daleko, nieprawdaż? - rzekła Katarzyna z wątlm uśmiechem. - Perfumy i klejnoty także...

- Nie żałujesz niczego, naprawdę niczego? Katarzyna, olśniona, ogarnęła spojrzeniem aksamitną

główkę dziecka i przeniosła wzrok do okna, zza którego słycać było Arnolda wykrzykującego rozkazy.

- Czego mam żałować? Mam wszystko, bo mam ich obydwóch. To wiele ważniejsze niż suknie z brokatu i diamenty. Wiesz...

Zdanie pozostało w zawieszeniu. Sara ze złością ocierała sobie oczy rękawem. Źrenice Katarzyny rozszerzyły się ze zdumienia.

- Płaczesz?

- Ależ nie... nie płaczę - rzekła niecierpliwie Sara. - Tyle kurzu na tych ubraniach...

- I w twoim głosie też... Popatrz, skończył! Weź go, to wstanę! - rzekła, oddając Michała Cygance.

Myjąc twarz i ręce, a także ubierając się i splatając włosy, obserwowała Sarę. Kurz? Na pewno nie... Płakała albo raczej płakała przedtem i coś jeszcze z tego zostało. Ale było rzeczą równie pewną, że nie

chciała powiedzieć dlaczego. Na zewnątrz słyhać było zgiełk licznego oddziału gotowego do drogi - szczęk broni, uderzanie końskich kopyt o ziemię, przetaczanie wózków z bagażami, krótkie rozkazy, krzyki i śmiechy. Zbliżywszy się do okna, Katarzyna zobaczyła, że jedwabne namioty zostały zdemontowane i ułożone na wozach. Zobaczyła także, że Arnold dotrzymał słowa: gałęzie starego buku były już pozbawione swych owoców. Na dziedzińcu tłoczyli się żołnierze, którzy spokojnie czekali, z bronią przy nodze, na rozkaz wymarszu. Jeźdźcy siedzieli już na koniach... Kiedy Katarzyna wychyliła się przez okno, by głębiej odetchnąć świeżym powietrzem poranka i poczuć nieśmiałą jeszcze pieśczoć słońca, Arnold i Bernard wyszli z kaplicy. Obaj mężczyźni byli w pełnym rynsztunku, z wyjątkiem hełmów trzymanyh pod pachą. Skierowali się do swych wierzchowców, które masztalercze trzymali za uzdy i stanęli w siodłach. Arnold chciał zapewne odprowadzić przyjaciela. Kadet Bernard miał już włożyć hełm, gdy zauważył Katarzynę stojącą w oknie i skierował ku niej konia.

- Nie chciałem zakłócać pani snu - krzyknął - ale jestem szczęśliwy, że zobaczyłem panią przed odjazdem. Proszę nie zapominać o mnie! Zrobię wszystko, żeby pani piękno rozświetliło wkrótce dwór Karola VII.

- Nie zapomnę pana! I będę się modlić o powodzenie pańskiego oręza.

Pod swym czerwono-srebrnym czaprakiem rumak tańczył wdzięcznie jak panienka. Kadet Bernard uklonił się głęboko, nie spuszczać oczu z Katarzyny, która odkłoniła mu się z okna. Następnie koń się okręcił dokoła i Bernard d'Armagnac ruszył drobnym truchtem, by objąć prowadzenie swej kawalerii. Arnold podążył za nim, a dalej Fortunat, który teraz służył mu jako chłopiec stajenny. Katarzynę ogarnał

znów ten dziwny niepokój z ostatniej nocy. Uśmiech Arnolda był przeraźliwie smutny, a jego rysy ściągnięte, jakby w ciągu nocy nie zmrużył oka.

Mimo to Katarzyna oderwała nagle wzrok od męża. Naprzeciwko niej, prawie na tej samej wysokości, stał żołnierz oparty o lśniącą halabardę. Stalowa pelerynka okalała jego oliwkową twarz o małych świńskich oczkach, które były wypukłe jak łebki od szpilek. Mężczyzna śmiał się złośliwie, spoglądając na nią, i wtedy Katarzyna z osłupieniem rozpoznała w nim sierżanta Escorneboeufa, szefa eskorty, którą Xaintrilles dał im w Bourges, a który tajemniczo zniknął z opactwa w Aurillac po tym, jak Arnold go ukarał.

Instynktownie cofnęła się i osłonięta półmrokiem panującym w pokoju, skinęła na Sarę. Wskazała jej nieruchomo stojącego człowieka.

- Patrz. Poznajesz go?

Sara zmarszczyła brew, ale wzruszyła ramionami.

- Wiem od wczorajszego wieczoru, że tutaj jest. Poznałam go. Zdaje się, że przybył do Carlat prosto z Aurillac. Podobno nie ma się czemu dziwić, ponieważ stąd jest blisko do miasta.

- Arnold wie o tym?

- Tak. On niczego nie przeoczy. Ale Escorneboeuf go przeprosił i zwrócił się do hrabiego Bernarda, aby wstawił się za nim. Och, widziałam, że to się nie spodobało wielmożnemu panu Arnoldowi, nie mógł jednak odmówić.

- Przeprosił go... - wymamrotała Katarzyna pod nosem, nie odrywając oczu od olbrzymiego sierżanta. - Nie wierzę w to wcale.

Wystarczyło popatrzeć na złowróźbny uśmieszek tego człowieka, by zrozumieć, że te przeprosiny były tylko zręcznym gestem, skrywającym zapewne głębokie pragnienie zemsty.

- Ja też nie - rzekła Sara. - A jeszcze bardziej niepokojące jest to, że widziałam wczoraj wieczorem Escorneboeufa, jak rozmawiał koło kaplicy z twoją nieprzyjaciółką Marią, i zapewniam cię, że była to ożywiona rozmowa. Gdy tylko mnie zobaczyli, rozstali się...

- Dziwne! - rzekła Katarzyna, kręcąc w palcach koniec swego warkocza. - Skąd mogliby się znać?

Sara splunęła na ziemię z nieukrywanym niesmakiem.

- Ta dziewczyna zdolna jest do wszystkiego - rzekła. - Wiesz, gdyby się okazało, że jest czarownicą, nie zdziwiłoby mnie to. Odgadła w Escorneboeufie kogoś tak złego, jak ona sama.

Drzwi się otworzyły, choć nikt nie zapukał. Pojawiła się w nich Izabela de Montsalvy odziana na czarno od stóp do głów. Otulona była w długi płaszcz i czarny woal. Strój ten nadawał jej szczupłej twarzy imponującą wyniosłość. Za nią widać było twarz Marii przypominającą pyszczek kuny. Matka Arnolda zatrzymała się na progu i rzekła, nie witając się nawet:

- Idzie pani? Zaraz zacznie się msza...

- Idę - rzekła Katarzyna.

Włożyła płaszcz z kapturem, który nasunęła na głowę, i udała się za teściową, lekko ucałowawszy przedtem czółko Michała, którego Sara położyła między poduszkami na łożu.

Słońce już zachodziło, gdy Arnold wrócił do zamku. Wraz z Fortunatem i dziesięcioma ludźmi objechał okolicę, by się upewnić, że nie

dzieje się nic podejrzanego. Następnie zatrzymał się dość długo w miasteczku Carlat, aby rozpytać notabli, zbadać, jakie są zapasy żywności, i spróbować wlać nadzieję w serca tych zniechęconych wieśniaków, którzy od lat żyli w ciągłym pogotowiu, w każdej chwili przygotowani do ucieczki czy walki.

Gdy Arnold wszedł do wielkiej komnaty, dokładnie sprzątniętej i usłanej świeżą słomą, w której zgromadziła się rodzina czekająca na wieczerzę, Katarzynę uderzyły dwie rzeczy. Zatraskany wyraz jego twarzy i fakt, że nie zdjął zbroi. Wydawało się jej, że jest jeszcze bledszy niż rano. Zaalarmowana wybiegła mu na spotkanie, wyciągając ramiona, by go objąć, ale on odsunął ją łagodnie.

- Nie, nie całuj mnie, kochana! Jestem brudny i czuję, że mam gorączkę. Dokuczają mi zadawnione rany. Musiałem się zaziębić, a ty powinnaś unikać choroby.

- Cóż mi po tym? - krzyknęła wściekła Katarzyna, czuła bowiem za plecami zadowolony uśmiezek Marii.

Arnold uśmiechnął się, uniósł rękę, by położyć ją na głowie żony, ale pohamował ten gest.

- Pomyśl o synku. Karmisz go jeszcze, a on potrzebuje matki zupełnie zdrowej.

Było to logiczne i mądre, lecz Katarzynie ścisnęło się serce. W podobny sposób przeprosił jednak matkę, skłoniwszy się tylko przed nią oraz przed Marią. Izabela przypatrywała się synowi ze zdziwieniem pomieszonym z niepokojem.

- Dlaczego jesteś w zbroi? Chcesz jeść, mając na plecach pięćdziesiąt funtów żelaza?

- Nie, matko. Nie będę jadł... w każdym razie nie teraz. Jestem niespokojny. Chłopi zameldowali o jakichś dziwnych ruchach, jakie miały miejsce w nocy. Widziano ludzi, którzy podchodzili do zewnętrznych murów, inni nawet próbowali się wspinać. Muszę też dokładnie się zorientować, jakie zapasy są w zamku, i zapoznać się z ludźmi. Rozkazałem już, aby ustawiono mi łóżko polowe w wieży Świętego Jana, najbardziej wysuniętej do przodu.

Odwrócił się w stronę Katarzyny. Błada, ze ściśniętym sercem, powstrzymywała się dumnie od skargi cisnącej się jej na usta. Czemu chciał się od niej odizolować, pozbawić ją tego, co było największym jej szczęściem: tych cudownych godzin spędzanych sam na sam?

- Musimy być rozsądni, skarbie. Żyjemy w czasach wojny i spoczywa na mnie poważna odpowiedzialność.

- Jeśli chcesz mieszkać w wieży Świętego Jana, czemu nie miałabym udać się tam razem z tobą?

- Dlatego, że kobieta nie ma nic do roboty w strażnicy! - ucięła sucho matka Arnolda. - Już czas, byś się nauczyła, że żona żołnierza musi przede wszystkim być mu posłuszna!

- Czy żona żołnierza koniecznie powinna mieć kamienne serce albo założyć pancierz na swoją duszę? - rzuciła wzburzona Katarzyna.

- Czemu nie? Kobiety z naszej rodziny nigdy nie były słabe, nawet jeśli było to trudne; zwłaszcza wtedy, kiedy to było trudne! Jest oczywiste, że nie zostałam wychowana w taki sposób.

W tonie starszej pani zabrzmiała niewątpliwa pogarda, a Katarzyna, już przewrażliwiona rozczarowaniem, jakie przeżyła, odczuła to boleśnie. Właśnie miała odpowiedzieć, lecz Arnold ją wyręczył:

- Zostaw ją, matko! Jeśli nie możesz jej zrozumieć, to przynajmniej nie daj jej tego odczuć! A ty, moja ukochana, będziesz dzielna, bo tak trzeba. Sara będzie z tobą spała. Nie chcę, żebyś została sama.

Odchodząc, zrobił pożegnalny ruch ręką, a Katarzyna z trudem się powstrzymała, by nie wybuchnąć płaczem. Tego wieczoru znowu wszystko zaczynało być absurdalnie beznadziejne. Czy Kadet Bernard zabrał stąd całe poczucie bezpieczeństwa, radość życia i beztroskę? Czy powróci strach i zwątpienie, odrzucone na jakiś czas przez zdrowy rozsądek? Katarzyna doznała bolesnego uczucia, że się dusi. Ściany jak gdyby pochylały się, by ją pogrzebać pod gruzami. Co robiła w tej obcej komnacie między dwiema wrogo nastawionymi do niej kobietami? Dlaczego Arnold zostawił ją samą? Czy nie wiedział, że bez niego wszystko traci swój smak i barwę? Każda jego nieobecność ciągnęła się długo jak zima... Suchy głos teściowej dotarł do głębi jej samotności.

- Zatem siadajmy do stołu! Na nic się zda dłuższe zwlekanie.

- Proszę mi wybaczyć - rzekła Katarzyna - nie jestem głodna. Wolę wrócić do siebie. Z pewnością moja nieobecność nie będzie przykra dla nikogo. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Pospieszny ukłon i opuściła salę. Na schodach przestała się dusić. Stanowczo lżej się jej oddychało, gdy była daleko od Izabeli i Marii. Zebrała fałdy sukni, by biec szybciej, wdrapała się na ostatnie stopnie i wpadła prosto w objęcia Sary, która właśnie ułożyła Michała do snu. Drżąc ze zmartwienia i zimna, zawisła na szyi starej przyjaciółki, szukając instynktownie ciepła i pociechy.

- Jeśli będzie mnie stale zostawiał z tymi dwiema kobietami, to nie wytrzymam, Saro, nie będę mogła! Czuję ich nienawiść i pogardę tak,

jakby to były rzeczy namacalne. Jutro zobaczę się z Arnoldem, powiem mu, że musi dokonać wyboru, że musi...

- Będziesz siedziała cicho! - ucięła stanowczo Sara. - Powinnaś się wstydzić, że się zachowujesz jak mała dziewczynka. I dlaczego? Dlatego, że twój mąż ma inne obowiązki i nie może spędzać czasu na gruchaniu z tobą? Co za dziecinada! On jest mężczyzną, wiesz o tym, i musi prowadzić życie mężczyzny. A twoją rzeczą jest mu pomagać. Czasami jest to trudne, bardzo trudne. Trzeba mieć odwagę.

- Odwagę, odwagę! - narzekała Katarzyna. - Czy nadejdzie dzień, w którym przestanie się wymagać jej ode mnie? Ja już nie mam odwagi.

- Właśnie że masz!

Sara objęła macierzyńskim ruchem młodą przyjaciółkę. Jasna główka wtuliła się natychmiast w jej ramię.

- Odwagi, maleńka, musisz mieć jeszcze dużo odwagi, więcej niż myślisz, ale ty się nie załamiesz, bo go kochasz... bo jesteś jego żoną.

Sara gładziła czule pochyloną głowę Katarzyny, która jednak zauważyła, że ciemne oczy Cyganki znów wypełniły się łzami. Nie dosłyszała jednak modlitwy, gorącej modlitwy płynącej prosto z serca starej przyjaciółki, by oddalił od niej ten kielich goryczy, zanim go zakosztuje.

- Jaśnie pani - wyjąkał zadyszany od biegu żołnierz - wielmożny pan Arnold prosi panią! Szybko... to pilna sprawa! On pani potrzebuje... Jest chory!

- Chory?

Katarzyna wypuściła z ręki kądziel, którą przedła przy kołysce Michała, aby zająć czymś ręce, i zerwała się na równe nogi.

- Co mu się stało? Gdzie jest?



- W forcie. Oglądał system obronny na zwieńczeniu muru i nagle upadł... Proszę się pospieszyć!

Katarzyna nie zadawała więcej pytań. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na synka i nie tracąc czasu na przywołanie Sary, która zeszła po coś do kuchni, pobiegła za żołnierzem. Gdy przekroczyła próg domu, uderzył ją - niczym bicz - powiew wiatru, przyklejając jej suknię do nóg. W oddali wznosił się fort otoczony pasmami mgły, które wirowały pod wpływem burzliwego wichru. Katarzyna schyliła się instynktownie. Walcząc z wilgotnym powiewem, mając głowę podaną do przodu jak mały byczek, pobiegła przez olbrzymi plac. Pchana do przodu przez niepokój, jednocześnie odczuwała dziwną radość. Wreszcie ją zawołał, wreszcie jej potrzebował!

Wkrótce minąć miał tydzień, od kiedy postanowił sypiać w wieży Świętego Jana. Przez ten czas prawie go nie widywała. Co rano i co wieczór przychodził, by przywitać się z żoną i matką, ale ich nie całował. Mówił, że boli go gardło i że kaszle. Z tego samego powodu nie chciał dotykać synka. Zaniepokojona Katarzyna zagadnęła Fortunata, a to, czego się dowiedziała, bynajmniej jej nie uspokoiło. Arnold prawie nic nie jadł i nie spał po nocach, krążąc po pokoju całymi godzinami.

- To nienormalne, żeby tak się zachowywać! Można od tego zwariować! - zwierzał się jej Fortunat. - Jaśnie pana gryzie jakiś kłopot, ale nie chce się przyznać.

Kilkakrotnie Katarzyna próbowała znaleźć się sam na sam z mężem, ale z bólem stwierdziła, że uciekał jakby jeszcze bardziej od niej niż od innych. Pilnowanie bezpieczeństwa Carlat i jego mieszkańców było chyba jedyną rzeczą, jaka go obecnie interesowała. Poświęcał się temu zadaniu bez reszty, unikając - jak sądziła Katarzyna - domu, w którym zamieszkałe

tam kobiety, skupione wokół kołyski Michała, prowadziły odrębne życie. Obserwowały się nawzajem, śledziły, czyhały na każdy fałszywy krok czy na chwilę depresji, by uczynić z tego swoją broń. W tej walce zwyciężała Maria, podczas gdy Katarzyna wychodziła z niej okaleczona. Z całego serca pragnęła zrozumieć tę rzecz, może drobną, która wymykała się jej i która oddalała od niej męża. Biegąc teraz przez dziedziniec zamiatany porywami południowego wiatru, miała nadzieję, że za sprawą tej nagłej niedyspozycji odzyska Arnolda. Teraz ona wczepi się w niego tak mocno, że będzie musiał jej powiedzieć prawdę!

Weszła przez drzwiczki do fortu, następnie popędziła na oślep schodami. Wewnątrz nie paliła się pochodnia, co było wbrew zwyczajom. Wyczuwało się ostry przeciąg. Wiatr musiał stłumić płomienie, gdy tak dmuchał przez otwory strzelnicze. Stopniowo jej oczy przywykły do prawie całkowitej ciemności panującej na kamiennych schodach, skąpo oświetlonych światłem z wąskich szczelin wykutych w grubym murze.

Katarzynę ogarnęło dojmujące poczucie samotności. Na schodach nie było żywego ducha, natomiast z góry dochodził potworny hałas, jak gdyby pioruny waliły w zwieńczenie olbrzymiej wieży. Wysoko coś rytmicznie uderzało jak olbrzymi bęben. Zauważyła, że żołnierz, który przybiegł ją zawiadomić, zniknął bez śladu. Pochłonięta swymi niepokojami, nie zwracała na niego uwagi, ale wydawało się jej dziwne, że choroba Arnolda nie wywołała poruszenia. I te niekończące się schody.

Ciągle biegnąc, minęła drzwi prowadzące do pierwszej sali, gdy nagle zabrakło jej tchu. Serce waliło jej jak młot, więc stanęła na chwilę i oparła się o oślizgły mur, by zaczerpnąć powietrza. Czekaając, aż oddech jej wróci, spojrzała bezwiednie przez otwór strzelniczy... i podskoczyła z wrażenia. Przykleiła spoconą twarz do szczeliny i krzyknęła w osłupieniu.

Daleko w dole zobaczyła wychodzącego na dziedziniec Arnolda, ubranego i uzbrojonego tak jak zwykle. Sprawiał wrażenie człowieka zupełnie zdrowego. Podtrzymywał stąpającego niepewnie pana de Cabanes'a. Katarzyna zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. Ależ nie, pomyłka była wykluczona: to naprawdę był Arnold.

Uniosła oczy ku szczytowi fortu, w którym ucichł rozlegający się przed chwilą hałas. Ta nagła cisza sprawiła, że dosłyszała ciężki, gorący oddech kogoś, kto wchodził po schodach. Zrazu nie zaniepokoiła się tym, wystawiła rękę przez szczelinę i zawołała:

- Arnold! Arnold!

Była za daleko, za wysoko! Montsalvy jej nie usłyszał. Nie odwracając głowy, oddalił się z Cabanes'em w stronę kuźni.

Katarzyna wzruszyła ramionami i zaczęła schodzić, pogrążając się w strefę cienia. W pośpiechu potknęła się o schodek, wykręciła stopę. Katarzyna jęknęła. Musiała zatrzymać się na chwilę, żeby przestać odczuwać ból. I wtedy z ciemnych schodów wynurzyła się twarz Escorneboeufa. Wspinał się ciężko, wyciągnąwszy ręce przed siebie, z nieruchomymi oczami, wstrząsany cichym śmiechem. Katarzyna poczuła, że krew zastyga jej w żyłach. Znalazła się w niebezpieczeństwie. Ogromny tułów Gaskończyka uniemożliwiał całkowicie przejście, przy czym on najwyraźniej nie miał zamiaru ustępować z drogi.

- No - rzekła twardo - proszę mnie przepuścić.

Nie odpowiedział, wspinając się wyżej. Jego świszczący oddech nieprzyjemnie ranił uszy Katarzyny. Te szklane oczy, ten idiotyczny, zły uśmiech! Cofnęła się o jeden schodek. Mężczyzna pochylił się i wyciągnął olbrzymie łapy, żeby ją pochwycić... Ogarnął ją przeraźliwy strach. Zrozumiała raptem, że jest sama w wieży, skazana na tę bestię, której intencje

były aż nadto wyraźne. Ze zduszonym krzykiem pobiegła w górę... Chciała dotrzeć do dużego, okrągłego pokoju, w którym mieszkał Jan de Cabanes, i zamknąć się. Pamiętała, że są tam masywne drzwi i solidne zamki. Nie odzyskała jednak jeszcze tchu. Serce boleśnie tłukło się jej w piersi. Mężczyzna za nią też zaczął biec. A na schodach było ciemno, tak strasznie ciemno! Czy nigdy nie dotrze do tych zbawiennych drzwi? Z oczu trysnęły jej łzy przerażenia.

Nad głową dał się słyszeć potworny trzask, a po nim nastąpiło wycie. Katarzyna miała wrażenie, że wieża rozpada się na kawałki. Kilka stopni wyżej drzwi oberwały się z apokaliptycznym hałasem. Na schody wpadło nieco światła. Katarzyna, która miała wbiec do tego cudem otwartego pokoju, odrzucona została w tył tak mocno, że uderzyła ramieniem w mur. Między nią a wyrwanymi drzwiami, na których progu stał dyszący z wściekłości i pokryty kurzem Walter, była pustka... pustka czarna, przerażająca... Jakaś zbrodnicza ręka wyjęła ruchome drewniane schody, umieszczone na każdym piętrze fortu. Te schodki stanowiły zarazem pułapkę dla napastnika, opóźniając jego wejście na samą górę. Walter nie mógł znaleźć pod stopami nic oprócz ciemności. W każdej chwili groził mu upadek na dno lochu.

Katarzyna zrozumiała, że wyrywając drzwi i wpuszczając strumień światła, Walter ją uratował. Jeszcze tylko krok i wpadłaby w przepaść. Nikt by jej nigdy nie odnalazł. Wystarczyłoby z powrotem ustawić schody...

Przybita strachem, z zawrotem głowy, niezdolna wymówić słowa, wyciągnęła rękę tonącej do Normandczyka, zaledwie zdając sobie sprawę z jego wyglądu. Szeroka twarz wykrzywiona była w morderczym szale, który dobrze знаła. Ręce spływały krwią...

- Niech się pani nie rusza! - szepnął zdyszany. - Zaczynam rozumieć, dlaczego mnie tu zamknięto!

W tej właśnie chwili zjawił się Escorneboeuf. Tak był zajęty pogonią za Katarzyną, że nie od razu zauważył Normandczyka. Z pomrukiem złości miał się już na nią rzucić, gdy Walter zagrzmiał:

- Tym razem nie wymkniesz mi się, łotrze!

Katarzyna nie zdążyła przywrzeć do muru. Jednym skokiem Walter przeskoczył przepaść, potraćiwszy ją w przejściu. Otrzymała mocny cios, który na chwilę ją ogłuszył, a tymczasem olbrzym padł całym ciężarem na Gaskończyka, a ten upadł w tył. Obaj mężczyźni, objęci, stoczyli się ze schodów aż do najbliższego podestu.

Dotyk zimnych kamieni, w które Katarzyna się wczepiła, ocucił ją, znajdowała się bowiem o krok od zemdlenia. Zaciśnęła zęby i mimo bólu wstała. Trzymając się ściany, na chwiejnych nogach, zeszła do miejsca, na które potoczyli się mężczyźni. Walka trwała nadal - dzika, zaciekła. Escorneboeuf i Walter tworzyli plataninę nóg i rąk, pomiędzy których wyrywały się zwierzęce pomruki. Turlali się to w jedną stronę, to w drugą, raz Normandczyk był górą, raz Gaskończyk.

Katarzyna modliła się żarliwie. Pragnęła ze wszystkich sił, by wygrał Walter, bowiem jego porażka oznaczała śmierć zarówno dla niego, jak i dla niej. Gaskończyk, niestety, był tak samo silny jak rywal, a niedawna rana ramienia Normandczyka utrudniała mu zadanie tym bardziej, że musiała się na nowo otworzyć, gdy wyrywał dębowe drzwi... Walczący zagradzali przejście i Katarzyna nie miała żadnego sposobu, by pobiec po posiłki. Nagle przyszło jej do głowy, że może zawołać i krzyknęła:

- Na pomoc! Do mnie!

- Cicho! - wystękał Walter. - Diabli wiedzą, kogo pani może tu sprowadzić! Sam sobie poradzę!

I rzeczywiście udało mu się zdobyć przewagę. Złapał nieprzyjaciela za gardło i zaciskał je mimo ciosów pięścią, jakimi bezustannie okładał go Gaskończyk. Escorneboeufowi brakowało powietrza. Jego usta rozwarły się, ciosy straciły na sile i celności. Walter ścisnął go mocniej i podniósłszy głowę Gaskończyka, uderzył nią o ziemię. Wreszcie rozległ się jego charkot.

- Łaski... Nie zabijaj mnie!

- Odpowiedz najpierw na moje pytania, a potem się zobaczy. Kto mnie zamknął w sali na górze?

- Ja! Poproszono mnie o to!

- Kto?

- Panienska... Maria de Comborn!

- A więc ją znasz? - spytała Katarzyna, której powróciła przytomność umysłu.

Ścisnięta między dłońmi Waltera twarz Escorneboeufa miała kolor wina. Łapał powietrze jak ryba wyrzucona na piasek. Normandczyk rozsunał kciuki. Escorneboeuf sapnął dwa czy trzy razy.

- Tak - powiedział wreszcie. - Służyłem niegdyś u jej brata, w Comborn, jako najemnik. Obiecała mi... klejnoty matki... i że mi się odda... jeśli was zabiję obydwój!

- A więc - warknął Walter - kto zdjął schody?

- To też ja! Skorzystałem z tego, że pan Arnold i pan Jan robili obchód. Wtedy je zdjąłem. Potem... posłałem żołnierza do pani Katarzyny. Kiedy zobaczyłem go biegnącego w stronę fortu, poszedłem za nią! Chciałem... Nie! Litości!

Ostatnie słowa wyrwały mu się z przerażenia. Wykrzywiona wściekłością twarz Waltera okryła się purpurą. Gaskończyk poczuł, że wokół jego szyi palce zaciskają się coraz mocniej.

- Chciałeś ją popchnąć, czy nie tak? W razie gdyby jakimś cudem zobaczyła pod stopami dziurę...

Escorneboeuf usłyszał śmiertelną groźbę we wzburzonym głosie przeciwnika i niemal dziecinnym gestem złożył ręce. Nie mógł już mówić.

- Poprosił o łaskę... - zaczęła Katarzyna. Walter spojrzał na nią ogromnie zaskoczony.

- Na Odyna! Pani się nad nim lituje! Co więc mam z nim zrobić?

Katarzyna już chciała odpowiedzieć, ale zdziwienie rozluźniło uścisk palców Waltera, z czego Escorneboeuf zdał sobie sprawę, mimo że był bliski utraty przytomności. W odruchu człowieka niemającego nic do stracenia szarpnął się z całej siły, popchnął Waltera, który stracił równowagę i upadł na bok. W okamgnieniu na wpół uduszony mężczyzna poderwał się i zbiegł ze schodów. Słysząc było odgłos jego kroków, a potem trzaśnięcie drzwiami. Walter tymczasem wstał mamrocząc:

- Wymknął mi się! Ale go złapię... Katarzyna przytrzymała olbrzyma z całej siły.

- Nie... proszę cię! Zostaw go... Nie... nie zostawiaj mnie samej! Ja się tak bałam!

W skąym świetle dnia jej twarz wyglądała jak jasny kwiatek. Drżała na całym ciele. Normandczyk dosłyszał, jak dzwonią jej zęby. Oparła się o niego, instynktownie szukając schronienia. Strach, jaki przeżyła, wywołał u niej tę reakcję. Palce Katarzyny natrafiły na zranione ramię. Cofnęła się pospiesznie i spojrzała ze zgrozą - jej dłoń była poplamiona krwią.

- Twoja rana... - powiedziała.

- To nic takiego! Zasklepi się! Zniosę panią na dół! Nigdy nie zejdzie pani z tych przeklętych schodów sama.

Uniósł ją z ziemi. Przytuliła się do piersi olbrzyma niczym bojaźliwe dziecko.

- Uratowałeś mnie - westchnęła. - I tym razem zawdzięczam ci życie. Zaczął się śmiać, zadowolony.

- Po to tu jestem - rzekł. - Przecież pani wie, co mówi Maria. Jestem pani psem łańcuchowym.

Katarzyna nie odpowiedziała, ale niejasny impuls, który od dawna domagał się wyjaśnienia, pchnął ją do nieprzemyślanego gestu. Gdy Walter zaczął schodzić, otoczyła ramionami jego mocną szyję i przycisnęła wargi do ust olbrzyma. Zatrzymał się nagle. Początkowo jego usta pod ustami Katarzyny pozostały nieruchome. Ten nieoczekiwany pocałunek przeszył go jak błyskawica. Ale to była tylko chwila. Gdy młoda kobieta chciała się odsunąć, przycisnął ją do siebie i oddał jej pocałunek z namiętnością, która ją poruszyła. Jego zmysłowe wargi były gorące i miękkie jak u dziecka. Katarzynę ogarnęło dziwne uczucie. Ten pocałunek miał dla niej nieoczekiwany smak. Był taki czuły, jak gdyby namiętność mężczyzny powściągana była czcią. Odnalazła w nim świeżość pierwszej miłości.

Katarzyna przypomniała sobie nagle Landry'ego, swego przyjaciela z lat dziecińczych, który z rozpaczy wstąpił do zakonu. Landry kochał ją właśnie w taki sposób. W Walterze rozpoznawała ten sam rodzaj człowieka, tę samą rasę, do której i ona należała. Kochał ją w sposób pozbawiony pychy, ale bez reszty. Jego miłość była pewnie tak naturalna jak zapach pól czy lot ptaka...



Nagle postawił ją na ziemi i odszedł na bok. Dzięki otwartym drzwiom fortu ujrzała jego twarz skurczoną z bólu, którego nie zrozumiała. W szarych oczach Normandczyka i przytłumionym brzmieniu jego głosu było cierpienie.

- Niech pani nigdy tego nie robi... przez litość! Niech pani nigdy więcej tego nie robi!

- Ja tylko chciałam ci podziękować, żebyś wiedział, jak...

Potrząsnął prostą czupryną, zgarbił się i odwrócił.

- Pani może mnie w ten sposób doprowadzić do szaleństwa i pani dobrze o tym wie.

Oddalił się w podmuchach wichru, który rozszalał się teraz ze zwielokrotnioną siłą. Zaczął też padać deszcz, smagając twarz Katarzyny. Popatrzyła za Walterem oddalającym się w stronę stajni, na jego zgarbione plecy i zdała sobie sprawę z tego, że go zraniła. Nie rozumiał instynktownego gestu Katarzyny, zresztą jak miałby go zrozumieć, skoro ona sama go nie rozumiała? Pomyślał chyba, że to jałmużna dla jego cichej miłości. Przypomniała jej się strofa dziwnej piosenki, którą lubił jej śpiewać, tę balladę Haralda Walecznego, która przyplęnęła z pomroki dziejów:

*Moje okręty są postrachem ludów, wyryłem w morzach głębokie rowy, a jednak dziewczyna z Rosji mną wzgardziła.*

Walter był jej bliski, należał bowiem, podobnie jak ona, do dumnych i cierpliwych ludzi zaludniających Francję. Ale czy któregoś dnia zdoła naprawdę zrozumieć tego syna normandzkich lasów?

Tak rozmyślając, wracała do domu. W głowie miała pustkę, szła więc z twarzą wystawioną na deszcz, tak jakby chciała zmyć z siebie wątplenia i obawy. Co teraz robić? Trzeba bezzwłocznie znaleźć Arnolda

i zmusić go, żeby jej wysłuchał. Jeśli naprawdę chce ją przy sobie zatrzymać, Maria de Comborn musi opuścić Carlat jeszcze przed zachodem słońca.

- Nie będę z nią mieszkała ani jednego dnia dłużej - powtarzała z zaciśniętymi zębami. - Będzie musiał wybierać!

Przeszył ją dreszcz na myśl o tym, co mogło się z nią stać. Gdyby nie Walter, leżałaby teraz na dnie śmierdzącego lochu, z połamanymi kośćmi, zakrwawiona...

Zacisnęła pięści i przygryzła wargi. To, co nie udało się dziś, może udać się jutro. Cudem uniknęła śmierci, ale co będzie jutro? Pod jaką postacią śmierć przybliży się do niej podstępnie, w cieniu?

Z jej ust wyrwał się okrzyk gniewu. O kilka sążni przed nią Maria wybiegła z domu i obróciwszy się, by sprawdzić, czy ktoś za nią nie podąża, pospieszyła w ten kąt dziedzińca, gdzie znajdowała się łaźnia. Katarzyna chciała iść za nią, ale przypomniała sobie, że zostawiła Michała samego, gdy ją wezwano na ratunek Arnoldowi. Zapewne weszła do niego Sara albo teściowa, jeśli wróciła z miasteczka, dokąd się udała, by rozdać jałmużnę. Lepiej rzucić na niego okiem, zanim podąży za Marią. Dziewczyna była właściwie uwięziona - podobnie jak Katarzyna - w fortecy, więc się jej nie wymknie. Z uśmiechem podszytym urazą powiedziała sobie, że zawsze zdąży ją znaleźć... Wbiegła szybko na górę do swego pokoju, gdyż było jej spieszno zobaczyć dziecko. Chciała też zdjąć tę przemoczoną deszczem suknię, która nieprzyjemnie kleiła się do ciała i kępowała ruchy. Weszła do pokoju, skierowała się do dębowej kołyski i nagle zastygła, a serce jej zamarło. Dziecka nie było widać. Jakaś zbrodnicza ręka naciągnęła kołderkę na jego główkę. Z łóżeczka nie dobiegał żaden odgłos...

Wycie, które wydobyło się z ust Katarzyny, przypominało ryk zwierzęcia, wilczycy, która zastała swoją jamę pustą. Krzyk ten odbił się echem w wielkich pustych komnatach i wstrząsnął w posadach domostwem. Sara aż zadygotała w kuchni, drgnęli wartownicy, a wieśniak, który przywiózł wózkiem słomę, przeżegnał się. Tam, na górze, Katarzyna rzuciła się na kołyskę, zerwała kołderkę, wyjęła Michała. Twarz dziecka była sina. Mała główka opadła bezwładnie do tyłu... Katarzyna padła na kolana.

- Boże mój! Nie! Nie to! Nie to!

Łkała, okrywając pocałunkami twarzyczkę dziecka... Tym razem zdarzyło się to najgorsze!

Potworność tej zbrodni zalewała ją falą takiej zgrozy i cierpienia, że nie mogła tego znieść... Krzyknęła jeszcze raz, a potem znowu... Sara wbiegła, zobaczyła ją złamaną, z dzieckiem w ramionach. Wyrwała jej małego.

- Co się stało?

- Zabili go... Zabili mi go... mojego malutkiego! Ktoś go udusił w łóżeczku! Mój Boże! O mój Boże!

Ale Sara już nie słuchała. Rozwijiała dziecko, obcinała tasiemki, którymi były przymocowane pieluszki, obnażała małe, bezwładne ciało, podobne do wypchanej trocinami laleczki. Kilkakrotnie klepnęła dziecko w pośladki, potem ułożyła je na łóżku matki, otworzyła dziecku usteczka i zaczęła w nie dmuchać powolutku... Katarzyna patrzyła na nią z wytrzeszczonymi oczami, zamieniona w posąg.

- Co... co robisz? - wybełkotała.

- Próbuję go przywrócić do życia. Kiedyś widywałam często, jak się ożywia dzieci, które przychodzą na świat z pępowiną okręconą wokół szyi. Wyglądają wtedy tak, jak twój synek. Akuszerki zawsze tak robiły...

Pochyliła się na nowo nad małym Michałem. Katarzyna stała, jakby jej nogi wrosły w ziemię. Była niezdolna do żadnego ruchu. Tylko jedna rzecz była w niej żywa, oprócz zbolełego serca - spojrzenie, które wpijało się w każdy ruch Sary. Jakaś czarna góra stanęła nagle przed jej oczami, a rozgniewany głos Izabeli de Montsalvy krzyknął:

- Co robisz, wariatko! Co robisz z moim wnukiem? Potrząsnęła ramieniem Sary.

I wtedy Katarzyna nagle ożyła. Poniosła ją wściekłość, skoczyła do teściowej, złapała ją za ramiona i brutalnie odsunęła od Sary. Nie zważając na osłupienie starszej pani, krzyczała w furii:

- Ona próbuje go ratować! I rozkazuję pani zostawić ją w spokoju! Zabito mojego syna, słyszy pani, zabito mi go... Znalazłam go uduszonego, z kołderką na główce! Jest martwy... zabity przez panią!

Babka zsiniała. Zachwiała się, ale przytrzymała się kominka. W jednej chwili zgarbiła się, jakby miała sto lat. Jej głos, który wydobył się spomiędzy odrętwiałych ust, był nie bardziej słyszalny niż tchnienie:

- Nie żyje? Zabity?

Powtarzała straszliwe słowa tak, jak gdyby ich nie rozumiała. Kiedy zwróciła się do Katarzyny, jej twarz była zupełnie zmieniona, a oczy spoglądały niewidzącym wzrokiem.

- Kto go zabił? - wybełkotała. - Czemu mówisz, że to ja... ja? Zabić mojego małego Michała? Jesteś szalona!

Powiedziała to bez gniewu, niemal spokojnie, jakby to było zwykłe stwierdzenie faktu. I w tych paru słowach było tyle bólu, iż Katarzyna

poczuła, że i w niej smutek wziął górę nad gniewem. Nagle poczuła się znużona, śmiertelnie znużona.

- Proszę mi wybaczyć - szepnęła. - Gdyby pani nie zatrzymała tutaj tej przeklętej Marii, wbrew woli Arnolda i mojej, toby się to nigdy nie stało. To ona jest zbrodniarką...

To oskarżenie wyszło z jej ust zupełnie bez jej udziału i wypowiadając je, Katarzyna sama uderzona była jego prawdziwością. Widziała jeszcze Marię wychodzącą energicznie, niemal pospiesznie, z domu... Któż inny nienawidził jej tak bardzo, żeby ośmielić się zaatakować jej dzieciątko, jak nie ta żmija Comborn? Ale na twarzy Izabeli de Montsalvy malowało się osłupienie zmieszane z niedowierzaniem:

- To niemożliwe! Ona nie mogłaby zrobić czegoś takiego! Nienawidzisz jej, bo kocha mego syna. Ale ona go zawsze kochała... i to nie jest jej wina. Nikt nie jest panem swego serca!

Katarzyna wzruszyła ramionami. Pochylona nad łóżkiem Sara nacierała dziecko i dmuchała w jego usta.

- Ona nienawidzi mnie tak, że gotowa jest na wszystko. Nie ma jeszcze godziny, jak próbowała zabić mnie! Gdyby nie Walter, leżałabym w głębi jakiegoś lochu w fortecy, z przetrąconym grzbietem. Mówi pani, że nie mogłaby nic takiego zrobić? Zrobiłaby jeszcze coś gorszego, żeby tylko wymazać wspomnienie o mnie z powierzchni ziemi i serca mego pana.

- Zamilcz! Zabraniam ci oskarżać Marię. W jej żyłach płynie ta sama krew, co w moich.

- Moje gratulacje! - rzekła gorzko Katarzyna. - Nigdy nie przypuszczałam, że mogłaby mi pani uwierzyć! Ale przysięgam, że dziś wieczorem opuści to miejsce. Jeśli nie ona, to ja! W gruncie rzeczy -

dodała z boleścią w głosie młoda kobieta - wolałaby pani, żeby teraz moje dziecko...

Krzyk Sary zabrzmiał jak odpowiedź:

- Żyje! Oddycha!

W jednej chwili matka i babka rzuciły się zgodnie w stronę łóżka. Mocne dłonie Sary sprawiły, że twarz dziecka straciła swe sine zabarwienie. Jego usteczka otwierały się, jak u ryby wyrzuconej na piasek. Kończyny poruszały się słabiutko. Sara rzuciła przez ramię pod adresem Izabeli:

- Niech pani nagrzej pieluszki przy ogniu!

I babka posłuchała pospiesznie. Jej oczy były pełne łez, ale i światła:

- Żyje! - bełkotała. - Boże mój! Bądź błogosławiony!

Katarzyna klęczała przy łóżku płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

Michał szybko wracał do siebie, ale Sara klepała go nadal. Wreszcie przestało mu się to podobać, zrobił się jaskrawoczerwony, otworzył buzię i zaczął wrzeszczeć z wielkim przekonaniem. Katarzynie wydało się to najpiękniejszą muzyką, więc usiadłszy na piętach, słuchała jej w ekstazie. Sara natomiast wzięła z rąk Izabeli gorące pieluszki, aby otulić nimi wierzgające ciało. Katarzyna złapała w przelocie rękę przyjaciółki i przytulając do niej zalaną łzami twarz pokryła ją pocałunkami.

- Uratowałaś go! - chlapała. - Zwróciłaś mi go! Dziękuję! Och, dziękuję!

Sara spojrzała czule na młodą kobietę. Pochyliła się żywo, ucałowała jej czoło i zabrała rękę.

- No dobrze, dobrze - mamrotała. - Nie płacz. Już po wszystkim.

Pospiesznie skończyła opatulać Michała i podała go matce.

Katarzyna wzięła go w ramiona z głębokim uczuciem szczęścia. W samym

środku jej jestestwa płonął gorący ogień. Było tak, jak gdyby życie z niej uleciało, a teraz wracało potężnymi, gorącymi falami. Pokrywała pocałunkami jasne, jedwabiste włoski, gdy ponad główką dziecka napotkała spojrzenie Izabeli. Stała wyprostowana z drugiej strony łóżka ze zwieszonymi ramionami i patrzyła na matkę i dziecko głodnym spojrzeniem, które sprawiło Katarzynie ból. Była zbyt szczęśliwa, by nie być szlachetna. Podała jej dziecko, pięknie się uśmiechając.

- Proszę! - powiedziała grzecznie.

Coś poruszyło się w zastygłej twarzy starszej pani. Wyciągnęła kochające ręce i spojrzała Katarzynie prosto w twarz. Jej usta otworzyły się, ale nie wyszedł z nich żaden dźwięk. Uśmiechnęła się niepewnie i przycisnąwszy dziecko do serca jak skarb, poszła powolutku, by usiąść przy kominku. Katarzyna przyglądała się przez chwilę tej ciemnej madonnie w czarnym woalu, schylonej nad jasnym, gaworzącym dzieciątkiem, potem odwróciła się na pięcie i nie zajmując się już dłużej Izabelą, zerwała z siebie przemoczoną suknię, po czym nałożyła inną. Była to suknia z zielonej wełny, przyozdobiona kokardami z czarnego aksamitu, którą miała na sobie w dniu ślubu. Poprawiła suknię, przeczesła się, przyglądziła warkocze i zwinęła je w koronę wokół głowy. Następnie włożyła płaszcz i otuliła się nim. Sara, nie mówiąc ani słowa, przyglądała się jej. Kiedy Katarzyna była gotowa, Cyganka zapytała:

- Dokąd idziesz?

- Raz na zawsze uregulować rachunki. To, co zdarzyło się dziś, nie może się więcej powtórzyć.

Sara przesunęła wzrok na Izabelę, znów wróciła do Katarzyny i zniżyła głos.

- Z kim chcesz regulować rachunki? Z tą dziewczyną?

- Nie. Wystarczy ją przegonić. Muszę porozmawiać z Arnoldem. Musi się dowiedzieć, co zdarzyło się Michałowi i mnie. Myślę, że tym razem zgodzi się mnie posłuchać. Chyba że znów ucieknie przede mną, tak jak to czynił przez ostatnie dni.

Niepokój przebijający z głosu Katarzyny poruszył Sarę. Ujęła młodą kobietę za ramiona, przycisnęła ją do siebie na chwilę, tak że Katarzyna czuła mocne, równe uderzenia serca swej wiernej przyjaciółki. Na krótką chwilę oparła czoło w zagłębieniu jej ramienia.

- Już nic nie wiem, Saro! Co mam o tym myśleć? W co mam wierzyć? Stał się taki dziwny w ostatnich czasach. Co mu zrobiłam takiego? Czemu ode mnie ucieka?

- Wydaje mi się, że nie tylko od ciebie.

- Nie. Ale ucieka przede wszystkim ode mnie. Zbyt mocno go kocham, by nie odczuwać tego całym ciałem. I dlaczego, dlaczego?

Sara milczała jakiś czas. Ponad głową Katarzyny uniosła twarz pełną współczucia. Przycisnęła mocno usta do delikatnej skóry jej skroni. Westchnęła.

- Może nie od ciebie ucieka. Widzisz, zdarza się, że mężczyzna ucieka od siebie samego. I to jest o wiele gorsze!



# Przeciwniczka

---

Łaźnia w Carlat była archaiczna i prymitywna. Nie wytrzymała porównania z obszernymi, malowanymi salami, obwieszonymi haftowanymi tkaninami, w których mieszkańcy pałacu Burbonów kąpali się w kadziach z polerowanej cyny czy cyzelowanego srebra. Tutaj było tylko jedno pomieszczenie z kamienną kadzią w środku. Obok kadzi znajdował się duży kocioł z wodą, którą podgrzewano na żelaznym trójnogu, umieszczonym pod otworem wentylacyjnym. W drugim kącie zwykła drewniana deska służyła jako stolik do masażu. Rowek wyżłobiony w ziemi aż do otworu w murze zapewniał odpływ wody. W pomieszczeniu panował półmrok. Schodziło się do niego po trzech schodkach wykutych bezpośrednio w skale i tylko jedna lampka ukryta za żelaznym okratowaniem oświetlała izbę.

Katarzyna zastała drzwi do łaźni otwarte, a tęga dziewczyna, czerwona i żwawa, która pełniła funkcję łaziebnej, właśnie przeciskała się na zewnątrz. Znalazłszy się nos w nos z Katarzyną, poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Dokąd idziesz? - spytała Katarzyna. - Powiedziano mi, że mój mąż się tu kąpie. Czy już skończył?

Dziewczyna jeszcze bardziej poczerwieniała, rzuciwszy trwożne spojrzenie na drzwi. Zanim odpowiedziała, odsunęła się dalej od nich.

- Nie, proszę jaśnie pani. Przeciwnie, on tutaj jest.

- No więc?

Łaziebna opuściła głowę. Jej grube palce nerwowo mięły niebieski, wilgotny fartuch. Spojrzała na Katarzynę spode łba i powiedziała szybko:

- Panienska dała mi srebrny pieniążek, żebym ustąpiła jej miejsca, kiedy jaśnie pan będzie się kazał namaścić oliwą. Ona... ona się ukryła za grubym filarem, tam w środku.

Piękna twarz Katarzyny również poczerwieniała, ale z wściekłości, a przełęknięta dziewczyna uniosła instynktownie ramię, by się uchronić przed spodziewanym ciosem. Pani Montsalvy wskazała jej tylko wyjście ruchem ręki:

- Idź stąd... i trzymaj język za zębami!

Dziewczyna oddaliła się, o nic nie pytając. Gdy Katarzyna została sama, zbliżyła się do uchylonych drzwi. Z wnętrza nie dochodził żaden hałas oprócz plusku wody wypływającej z kadzi. Katarzyna zerknęła. Widok, który ujrzała, kazał jej zacisnąć pięści, ale olbrzymim wysiłkiem woli pohamowała się i zachowała ciszę. Chciała zobaczyć, co się będzie działo.

Arnold leżał na brzuchu, z głową ukrytą w skrzyżowanych ramionach. Maria, która stała obok niego, polewała oliwą z niebieskiej, szklanej fiołki jego plecy, a następnie powoli rozprawiała ją po całym ciele. Nie poruszał się. Wąskie, brunatne dłonie dziewczyny z nabożeństwem wodziły po mięśniach, które w czerwonym świetle przybierały dziwne kształty. Skóra lśniła jak brązowy jedwab. Katarzyna, zahipnotyzowana, nie mogła odeń oderwać oczu. Miała ostrą, niemal

bolesną świadomość, że ten masaż był pieszczotą dla przesuwających się, błądzących po ciele Arnolda rąk. Twarz i szyja Marii pokryły się kropelkami potu, lśnącymi w blasku płomienia. Oddech dziewczyny stał się krótki, zadyszany. Było jasne, że leżący mężczyzna wzbudza w niej namiętność. Katarzyna, ogarnięta szalem zazdrości, zazgrzytała zębami. Ujrzała, jak Maria zwilża czubkiem języka wyschnięte wargi...

Nagle dziewczyna straciła głowę. Nachyliła się jeszcze bardziej i przycisnęła usta do ramienia Arnolda... W głowie Katarzyny rozszalał się płomień wściekłości - rzuciła się do przodu z rozczapierzonymi pazurami. Zaskoczony Arnold poderwał się, ale Katarzyna była już na Marii, odebrała ją od męża i cisnęła na ziemię. Maria zawyła, chciała wstać, lecz Katarzyna przygniotła ją swoim ciężarem. Ogarnięta furia, straciła całkowicie panowanie nad sobą. Zaczęła walić pięściami w twarz rywalki, mierząc w oczy, krtani, pragnąc ją zabić. Jej rozgorączkowany umysł ogarnięty był jedną tylko myślą - zniszczyć to zuchwałe oblicze, przygasić ten blask zielonych oczu, zgnieść żmiję raz na zawsze. Jednak Maria po chwilowym zaskoczeniu przeszła do obrony. W chudym ciele dziewczyny kryła się potężna siła. Uniósłszy nogi, zadała tak mocny cios kolaniem w pierś Katarzyny, że ta, tracąc oddech, musiała rozluźnić uścisk. Jednym ruchem Maria podniosła się i ona z kolei skoczyła na rywalkę.

Arnold, który już wstał, najpierw w osłupieniu obserwował obie kobiety zwarte w dzikiej walce, szybko jednak wziął się w garść, złapał lniany ręcznik pozostawiony na stole i owinał się nim wokół bioder. Następnie schwycił Marię, która była teraz górą, pchnął ją za siebie, nie wypuszczając jej z ręki, a potem dość ostro podniósł Katarzynę, którą postawił tak, żeby utrzymała się na nogach. Nienawiść oślepiła obie kobiety

tak dalece, że musiał użyć całej siły, by trzymać je od siebie w pewnej odległości.

- Dostyc już tego! - ryknął. - Co się z wami dzieje? Przede wszystkim, Mario, co ty tutaj robisz?

- Niech sama powie! - krzyknęła Katarzyna. - Ta wywłoka kupiła od łaźiebnej prawo nacierania cię oliwą. Ukryła się tutaj, gdy się kąpałeś...

Pomysł ten wydał się Montsalvy'emu tak groteskowy, że zaczął się śmiać. Katarzyna usłyszała jego śmiech po raz pierwszy od dwóch tygodni. Zobaczyła teraz, jak bardzo zeszcupłał. Zresztą ten śmiech nie obejmował jego oczu, które nadal pozostały smutne i bezbarwne. Mimo wszystko zabrzmiał on w uszach Katarzyny jak obelga.

- Uważasz, że to zabawne? Będziesz się jeszcze bardziej śmiał, jak się dowiesz, że ona próbowała nas zabić, najpierw mnie, a potem Michała... Gdyby nie Walter, byłabym już martwa. Gdyby nie Sara, nie miałbyś już syna.

Arnold zbladł, ale Maria nie zostawiła mu czasu na odpowiedź.

- Jeśli jeszcze wątpisz w to, że twoja żona oszalała, to cię to powinno oświecić! Ja miałabym próbować ją zabić? Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób...

- Niech pani będzie spokojna, już ja mu powiem, w jaki sposób...

Starając się uspokoić choćby trochę, Katarzyna opowiedziała wszystko, co się zdarzyło od chwili, gdy żołnierz wybiegł z jej pokoju. Nie pominęła żadnego szczegółu. Kiedy doszła do zeznań Escorneboeufa, Maria wzruszyła ramionami i zaczęła się śmiać.

- Ten człowiek kłamie. Powiedziałby wszystko, żeby uratować własne życie. Co zaś się tyczy zdarzenia w forcie, lepiej pani zrobi, jeśli pani powie prawdę.

- Jaka prawdę? - krzyknęła Katarzyna.

- Tylko jedną - odparła Maria z uśmiechem pełnym żółci. - Że miała pani schadzki w forcie z tym niezgrabiaszem. Wszyscy wiedzą, że to pani kochanek!

- Nie mów tego, Mario - warknął Arnold - jeśli nie chcesz, żebym cię udusił!

- Uduś mnie, to i tak niczego nie zmieni! Wiem, że prawda w oczy kole.

- Zostaw ją mnie! - zawyła Katarzyna nieprzytomnie. - Przysięgam, że wepchnę jej te kłamstwa w gardło tak, żeby się nimi zadławiła! Ja zaraz...

- Dostyc! - uciał Arnold. - Macie mnie słuchać! Dowiem się, jak to wyglądało naprawdę. Ten nędznik Escorneboeuf będzie musiał wyznać prawdę, choćby na mękach.

- Jeśli chcesz - rzuciła Katarzyna - weź na śledztwo Escorneboeufa, ale nie zapominaj o jego współniczce. Na łożu tortur wyzna wszystko!

- A ty - pisnęła Maria - gdyby cię tam położyć... i dowiedzieć się, co się wyprawia w twoim pokoju, odkąd Arnold opuścił małżeńskie łóżko?

Histeryczny głos dziewczyny wzniósł się jeszcze wyżej, aż rozbrzmiał takim ostrym śmiechem, że nie dało się tego wytrzymać. Arnold zamachnął się z całej siły i wymierzył jej dwa policzki, aż padła w kałużę wody obok kamiennej kadzi.

- Wyjdź stąd! - ryknął z zaciśniętymi pięściami. - Wyjdź stąd, jeśli nie chcesz, bym cię zabił! Ale ta sprawa nie jest jeszcze zakończona, nie zapominaj o tym!

Wstała z trudem, pokryta tłustym błotem, i wyciągnęła dłoń, którą starała się weń wczepić. Wziął ją za ramię, przeprowadził przez trzy

stopnie i wyrzucił na dwór bez dalszych ceregieli. Ciężkie drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem... Arnold zszedł powoli do Katarzyny, która usiadła na skraju kadzi, by poprawić suknię roztarganą w czasie walki.

Uspokojona nieco sposobem, w jaki Arnold obszedł się z Marią, spojrzała na męża z promiennym uśmiechem. Wzięła kawałek materiału i umoczyła w kubie zimną wodą, by przyłożyć go do ranki, jaką paznokcie rywalki zostawiły na jej policzku. Arnold, który stał ponuro parę kroków przed nią, obserwował ją ze skrzyżowanymi ramionami.

- Co się przydarzyło Michałowi?

- Och, kochany! Myślałam, że oszaleję!

Powstrzymując z trudem łzy, które cisnęły się jej do oczu, opowiedziała, jak znalazła umierające dziecko i jak Sara je uratowała. Wspomnienie to było tak bolesne, że zapragnęła poszukać schronienia u męża, podbiegła więc do niego, chcąc otoczyć go ramieniem. On jednak odsunął ją łagodnie ręką.

- Nie! Nie dotykaj mnie!

Katarzyna, zatrzymana w swym porywie, stanęła jak rażona gromem. Jej skamieniała twarz i rozszerzone źrenice przybrały zdumiony wyraz żołnierza, który wpada w ramiona śmierci w tej samej chwili, gdy myśli, że czeka go chwała. Odruch Arnolda ugodził ją w samo serce i w potwornej ciszy, która zapadła, słyszała jeszcze echo tych niewiarygodnych słów. Aby się od nich uwolnić, powtórzyła z niedowierzaniem:

- Powiedziałeś „nie dotykaj mnie”?

I znów cisza! Przygniatająca, nieznośna! Arnold odwrócił się, zebrał ubranie zawieszane na drabince i zaczął się ubierać. Katarzyna śledziła każdy jego ruch, czekając, aż przemówi i wytłumaczy jakoś swoją

postawę... Ale on nie mówił nic, ani słowa! Nie patrzył nawet na nią! I wtedy zapytała cichym głosem:

- Dlaczego?

Nie od razu odpowiedział. Z pochyloną głową, nogą opartą na schodku i z rękami przy pasku zdawał się namyślać. Wreszcie podniósł głowę.

- Nie mogę ci tego powiedzieć... nie teraz! Wszystko, co dziś się zdarzyło, jest tak niewiarygodne.

- Nie wierzysz mi?

- Tego nie powiedziałem! Po prostu muszę pomyśleć! Muszę zostać sam!

Katarzyna zeszywniała, uniosła głowę w przypływie dumy. Gdzie się podziała ich cudowna bliskość, to absolutne zaufanie, które żywili do siebie? Teraz zarysowała się między nimi przepaść, której głębi Katarzyna nie była w stanie zmierzyć, ale przeczuwała, że jest przerażająca. Mówił do niej, jakby była obca, chciał pomyśleć o tym wszystkim... o tej podwójnej próbie zabójstwa, którą powinien był ukarać natychmiast z największą surowością! Ogarnęła ją fala goryczy i rozczarowania, ale nie chciała tego po sobie pokazać.

- A ta dziewczyna, Maria, co z nią zrobisz?

- O tym także muszę pomyśleć!

- Musisz pomyśleć? - wycodziła pogardliwie Katarzyna. -

Doskonale, ale przedtem posłuchaj: ta dziewczyna ma wyjechać dziś wieczór, jeśli nie ona - to ja wyjadę, wraz z moim synem.

- Dokąd pójdziesz?

- To moja sprawa! Albo ją przepędzisz, albo ja wyjeżdżam! Nie zostanę ani dnia dłużej pod jednym dachem z tą morderczynią!

Arnold zbliżył się o krok do Katarzyny i stanął w pełnym świetle. Uderzył ją widok jego zniszczonej twarzy i oczu somnambulika.

- Zaczekaj do jutra! Błagam cię! Tylko do jutra! Jutro powiem, jutro podejmę decyzję. Jeszcze tylko jedna noc!

Przesunął rozgorączkowaną dłonią po czole, na którym perlił się pot.

Wydawał się taki zagubiony, że Katarzyna zapomniała o swej dumie. Błagalnie wyciągnęła ku niemu rękę.

- Proszę cię, mój słodki panie, weź się w garść! Od wielu dni nie jesteś sobą, a ja mam wrażenie, jakbym żyła w jakimś koszmarnym śnie. Czy zapomniałeś o wszystkim? Ja jestem Katarzyną, jestem twoją żoną i kocham cię bardziej niż wszystko na świecie! Czy zapomniałeś o naszej miłości, o naszych pocałunkach... o namiętnych nocach? Tę ostatnią noc, kiedy obawiałam się o swoje życie i kiedy w twoich ramionach krzyczałam z rozkoszy...

Raptownie odwrócił się do niej plecami, jakby nie mógł już dłużej znieść jej widoku, zatkał sobie uszy dygocącymi rękami.

- Milcz, Katarzyno, milcz!... i, na litość Boga, zostaw mnie samego! Jutro, przysięgam na mój honor, wszystkie niepewności usunę, podejmę decyzję! Obiecuję ci! Ale do jutra zostaw mnie samego!

Ręce Katarzyny opadły bezwładnie wzdłuż sukni. Odwróciła się, podeszła do drzwi, otworzyła je i z ręką na klamce odezwała się martwym głosem:

- Jutro? Dobrze, zaczekam do jutra. Poślesz po mnie, kiedy będziesz chciał mnie widzieć! Ale nie później, Arnoldzie! Nie będę czekała ani jednego dnia dłużej!



Katarzyna całą noc nie zmrużyła oka. Wsłuchiwała się w wicher szalejącą wokół murów fortecy, siedząc całymi godzinami na kamieniach przy palenisku z plecami okrytymi kołdrą, z podwiniętymi nogami i rękami wokół kolan oraz wzrokiem utkwionym w płomienie, które pełgały po ziemi targane wiatrem. Huragan szalał nad okolicą, ale pastwił się zwłaszcza nad domostwem, tak jak fale oceanu biją w wysoką burtę statku. Czasami, między porywami wichru, dało się słyszeć trzaskanie okiennic, pęknięcie gałęzi drzew czy spadanie kawałków dachówek. Wszystkie demony nieba i ziemi szalały tej nocy, a Katarzyna siedziała w środku owego zamętu, dobrze odpowiadającego temu, który miała w sobie. Jej serce wyło wprost z niepokoju i smutku. Torturowała samą siebie, szukając niemożliwej odpowiedzi na wszystkie pytania, jakie sobie zadawała. Od czasu do czasu Sara, która siedziała naprzeciwko niej, słyszała jej szept:

- Dlaczego... ale dlaczego?

Grube łzy spływały po policzkach młodej kobiety i opadały na zieloną tkaninę jej sukni. Ta niema rozpacz miała w sobie coś tak dojmującego, że Sara chciała jej ulżyć.

- Niepotrzebnie tak się dręczysz, Katarzyno, na próżno starasz się zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da. Czemu nie czekasz spokojnie do jutra?

- Do jutra? A co przyniesie mi jutro, jeśli nie większy ból? Tak, tak, wiem o tym! Czuję to tutaj! - rzekła, wskazując palcem na serce. - Chcę tylko wiedzieć, co się stało, czemu Arnold tak raptownie się zmienił. Kochał mnie, jestem tego pewna. Och, jak on mnie kochał! I nagle odwrócił się ode mnie, jakbym stała mu się obca. Byliśmy jednym ciałem, jedną duszą... a teraz?

- Teraz - rzekła Sara łagodnie - puszczasz niepotrzebnie wodze wyobraźni. Czy twój mąż powiedział ci, że cię już nie kocha?

- Pokazuje mi to, co jest jeszcze gorsze!

- I o mało nie udusił Marii, ponieważ mówiła potworności na twój i Waltera temat? I kazał szukać wszędzie tej przeklętej kanalii Escorneboeufa, żeby go powiesić... który zresztą przepadł jak kamień w wodę? Jeśli to nie jest zazdrość, to...

- Ma poczucie własności, a to coś zupełnie innego!

Sara westchnęła i podeszła do okna. Na chwilę przed zgaszeniem świateł widziała, jak pani de Montsalvy udała się do kaplicy zapewne po to, by odmówić ostatnią modlitwę. Było to co najmniej trzy godziny temu, a teraz widziała wysoką postać starszej pani stamtąd powracającej.

- Twoja teściowa wyszła dopiero teraz z kaplicy - powiedziała. - Zastanawiam się, co ona mogła tam robić tyle czasu. Och! Chodź tu i zobacz!

Katarzyna niechętnie, jako że nie obchodziło jej teraz nic, podeszła do Sary i wyjrzała na dziedziniec. Zachowanie Izabeli było dziwne. Zataczała się, jakby była pijana. Wiatr łopotał jej szerokim płaszczem. Jej woal uleciał gdzieś, ale ona nie troszczyła się o to. Uniosła rękę do czoła, jakby poczuła zawrót głowy. Gdy dotarła do domu, światło palące się w wartowni ukazało jej odbitą w szybach, pomarszczoną twarz. Była blada, a jej oczy - błędne. Izabela wczepiła się w mur i oparła się o niego.

- Powinnaś pójść i pomóc jej - rzekła Katarzyna. - Chyba jest chora.

Starsza pani zniknęła już jednak w drzwiach. Chwilę później w sąsiednim pokoju zaskrzypiało łóżko. Potem dał się słyszeć rozpaczliwy szloch. Katarzyna i Sara słuchały w osłupieniu, stojąc naprzeciw siebie.

- Idź do niej! - rozkazała Katarzyna. - Coś się tam dzieje...

Sara wyszła bez słowa i wróciła chwilę potem. Była ponura, a między jej brwiami zarysowały się głębokie zmarszczki. W odpowiedzi na pytające spojrzenie Katarzyny odparła ze wzruszeniem ramion:

- Ona nie chce nic powiedzieć! Przypuszczam, że to reakcja na strach, jaki dopiero co przeżyła. Myślała, że w kościele znajdzie ukojenie, ale, według mnie, to nie zdało się na nic...

Mówiła cicho, co pozwalało nadal słyszeć wszystkie odgłosy zza ściany. Izabela de Montsalvy wciąż płakała w swoim pokoju... Katarzyna raptem przestała się tym interesować. W końcu powód tych łez był jej obcy. Każdy za siebie, a Bóg za wszystkich! Sama miała wystarczająco dużo zmartwień. Powoli wróciła na swoje miejsce przy kominku. Przechodząc, nachyliła się przelotnie nad kołyską Michała. Mały spał jak aniołek... Serce matki napełniło się słodyczą, a zarazem w jej duszy wykrył się pewien plan. Jeśli Arnold nie zechce oddać Marii, to ona wyjedzie, jak zapowiadała. Wróci do siebie, do Burgundii!

Gdy słowo to pojawiło się w jej umyśle, zdumiała się. Burgundia! Była tak mocno związana z mężem, tak dalece przyswoiła sobie jego myśli i nienawiści, że Burgundia stała się dla niej wrogą krainą... A przecież to tam mieszkali jej matka, siostra i wuj Mateusz. Nie widziała ich trzy lata i nagle poczuła, jak jej ich brakuje. W tym zamku smaganym wichrami, przypomniawszy sobie na chwilę sklep przy ulicy Griffon, w cieniu wież Notre Dame z Dijon, domek przytulony do wzgórków Marsannay, wśród szeroko rozciągających się winnic. Przypomniawszy sobie też szarobłękitne niebo Dijon, po którym tak szybko przepływały chmury w kierunku równiny Saony, zmienne niebo Burgundii, ku któremu Dijon wznosiło wspaniale najeżone czarne, niebieskie i złote dachy, wieże i spiczaste zwieńczenia kościołów.

Katarzyna przymknęła oczy, ujrzała znów łagodną, jasną twarz matki, szeroką, czerwonawą twarz wujka Mateusza ukrytą pod założonym na bakier kapeluszem, jasny profil siostry Ludwiki, zakonniczy z klasztoru w Tart. I spod jej przymkniętych powiek zaczęły płynąć łzy. Ogarnęło ją gorące pragnienie, by zobaczyć ich wszystkich, by wrócić do bezpiecznego schronienia w objęciach matki. Co teraz myślała Jakubina Legoix, która od tak dawna nie miała wiadomości od córki? Pewnie często modliła się i płakała... Za tym czule wspomnianym cieniem ukazał się drugi - szczupły, wysoki i twardy, nieugięta postać księcia Filipa. Był to człowiek sprawiedliwy, ale miał w sobie tyle dumy! Czy umiał stłumić urazę porzuconego mężczyzny do tego stopnia, by nie obrócić jej przeciwko niewinnym? Młoda kobieta miała taką nadzieję, ale raptem zapragnęła wszystkiego się dowiedzieć... Pojawiły się też inne postaci, zaludniając noc owernijską, postacie drogich przyjaciół - grubej Ermengardy de Chateauvillain, przerażającej i wspaniałej w purpurowych sukniach, które sama sobie szyła, elegancka sylwetka Jakuba de Roussaya, młodego kapitana straży zakochanego w Katarzynie, Jana van Eycka, malarza, który nigdy nie przestawał malować, a także Jana de Saint-Remy'ego z olśniewającym pióropuszem, mistrza Złotego Runa, burgundzkiego króla zbroi. Z cienia wyszła teraz szczupła figura w szacie z błękitnego jedwabiu, mająca olbrzymi turban wielkości i koloru dyni oraz dwoje żywych oczu nad śnieżnobiałą bródką - najmilszy chyba przyjaciel wszystkich, lekarz arabski Abu-al-Khayr... Miał zawsze w zanadrzu jakąś prawdę filozoficzną, jakąś poetycką myśl, podkreślającą każdą chwilę istnienia. Co powiedział jej w oberży przy drodze do Flandrii, gdy wychodziła zmaltretowana i rozczarowana z tego pierwszego spotkania z Arnoldem? Coś, co ją uderzyło i co pewnie zachowało ważność aż do

dzisiaj... Ach tak! Powiedział jej: „Droga miłości jest ciernista. Idziesz nią, więc unieś suknię"...! O, Boże! Jakaż może być trudniejsza droga niż droga jej miłości! Ile ran, ile krwi! A jaka jeszcze rana czeka ją dzisiaj z rąk człowieka, dla którego opuściła wszystkich i wszystko i którego nie mogła przestać wielbić?

Katarzyna znużonym ruchem odsunęła z twarzy opadającą gęstwą włosów i uniosła ku obserwującej ją Sarze błyszczące od łez oczy.

- Saro! - szepnęła. - Chciałabym wrócić do domu! Chciałabym zobaczyć mamę, wujka Mateusza i innych...

- Nawet... księcia Filipa?

W jednej chwili młoda kobieta znalazła się na podłodze obok stóp Sary i ukryła głowę na jej kolanach z rozpaczliwym łkaniem.

- Nie wiem! Nie wiem już nic!... Ale tak mnie to boli, rozumiesz? Chciałabym już nie cierpieć, stać się taka jak przedtem... jak przedtem!

Sara nie odpowiedziała. Słuchała i tych łkań u jej stóp, i tamtych, za dębowymi drzwiami; były podobne: ten płacz matki i płacz żony. Obie płakały z powodu tego samego mężczyzny i Sara wiedziała dlaczego. Wiedziała, że łzy Izabeli były powodem łez Katarzyny, znała tajemnicę Arnolda. Pewnej nocy powierzył jej swój ból, ale kazał przysiąc na wieczne zbawienie, że nie powie tego nikomu. Gdyby wolno jej było rozmową ulżyć Katarzynie, znalazłaby w sobie tyle spokoju, by to uczynić, ale wiedziała dobrze, że ten ból zmieni się w jeszcze większą rozpacz. Lepiej było zostawić rzeczy własnemu biegowi, żywiąc nadzieję, że nie zranią zbyt okrutnie jej ukochanej wychowawicy.

- Boże - modliła się w duchu. - Boże, który jesteś sprawiedliwością i dobrocią, ona nigdy nie uczyniła nic złego, tylko kochała tego mężczyznę,

kochała go ponad wszystkich i ponad wszystko, bardziej niż siebie samą...  
bardziej niż Ciebie, Panie! Oszczędź ją!

Wiatr zawył w tej samej chwili i wleciał do kominka tak gwałtownie, że rozproszył płomień, aż Sara musiała się odsunąć. Jej przesądny umysł widział w tym odpowiedź na jej modlitwę. To zły znak! Przeżegnała się pospiesznie, ale jednocześnie nie przestawała pieścić drugą ręką głowy Katarzyny, leżącej przed nią w całkowitej prostracji.

Kiedy nadszedł dzień, blady i chłodny, oświetlił zrujnowany burzą pejzaż. Fortunat zapukał cichutko do drzwi Katarzyny. Sara otworzyła. Drobnego Gaskończyka wsunął się do pokoju z czapką w rękę i podszedł na palcach do Katarzyny, jakby zbliżał się do ołtarza. On także chyba nie spał za wiele. Na jego opalonej twarzy widać było szarawe refleksy, w kącikach ust zarysowały się zmarszczki znużenia, a powieki opadały stale, jakby nie miał siły trzymać ich otwartych. Z trudem ugiął kolano przed Katarzyną.

- Pani - rzekł - jaśnie pan przysłała mnie z wiadomością, że może spotkać się z panią w porze tercji, po mszy, i prosi o odpowiedź, czy ta pora pani odpowiada.

Ta uroczysta forma wywołała gorzki uśmiech na wargach Katarzyny. Więc do tego doszli - wysyłali do siebie umyślnych. Słaba nadzieja, którą obudziły w niej słowa Sary, znowu znikła.

- Dlaczego nie miałyby mi odpowiadać? Ta czy inna... Gdzie mam się spotkać z moim małżonkiem? Czy przyjdzie tutaj?

Skrepowana mina stajennego nie uszła uwagi młodej kobiety. Opuścił twarz i miał czapkę w dłoniach.

- Nie. Przyśle mnie po panią. Już od świtu coś dziwnego dzieje się we wsi. Jaśnie pan nie chce opuszczać fortyfikacji.

Ten uprzejmy i oficjalny dialog wywołał wściekłość Sary. Złapała Fortunata za ramiona i potrząsnęła nim energicznie.

- Dość tych ceremonii, mój chłopcze! Teraz mam do ciebie parę pytań. Przypuszczam, że nie opuściłeś swego pana od wczoraj?

- Tak jest.

- Co robił od chwili, gdy wyszedł z łaźni?

- Udał się do straży i wydał instrukcje na noc. Potem wrócił do siebie i podałem mu nieco zimnej dziczyzny. Potem udał się do kaplicy. Jego matka przyszła do niego. Nie wiem, o czym mówili, ale to długo trwało. Sara kiwnęła głową i pytała dalej:

- No i co było potem? Czy starał się widzieć z panną de Comborn?

- Tak - odpowiedział Fortunat, który instynktownie przyciszył głos, rzucając wokół siebie niespokojne spojrzenia. - Posłał mnie po nią po powrocie z kaplicy. Spała już, musiałem ją obudzić. Zamknął się z nią i tutaj też nie wiem, o czym mówili... ale słyszałem krzyki!

- Krzyki? Kto krzyczał?

- Panienska! Oczywiście nie mogłem zrozumieć, o co chodzi, ale dowiedziałem się trochę później, kiedy drzwi się otworzyły i jaśnie pan mnie wezwał. On... on trzymał jeszcze w ręku bat na psy, którym się chyba posłużył, bo panienska była wbita w kąt. Miała podarte ubranie i drżała jak liść. Jaśnie pan pokazał na nią palcem: „Zamknij ją w wieży Guillot - powiedział - I daj jej, czego jej trzeba, ale nie może wychodzić pod żadnym pozorem. Postawisz przy jej drzwiach dwóch ludzi. Nikomu nie wolno się tam zbliżyć”.

Katarzyna i Sara spojrzały na siebie zakłopotane. To, że Arnold zbił Marię po tym, co się stało, można było łatwo wytłumaczyć, ale po cóż to uwięzienie, jeśli najprościej byłoby wsadzić ją na konia o świcie i odesłać pod eskortą do Comborn?

- Stanowczo zależy mu na tym, żeby ją tu zatrzymać! -  
zawyrokowała kwaśno Katarzyna.

- Fortunat powiedział, że coś podejrzanego dzieje się we wsi -  
pospiesznie wtrąciła Sara. - Pan Arnold nie może jej zapewne odesłać  
dzisiaj, a zwłaszcza wyzbyć się paru ludzi dla niej.

- Może odesłać ją samą! - krzyknęła z wściekłością Katarzyna. - Ileż  
to ceregieli dla mordercy! Niech sobie idzie... do diabła, a jeśli się jej  
coś stanie, będzie to tylko akt sprawiedliwości!

Stajenny rozłożył ramiona w geście bezradności. Gniew Katarzyny  
wydawał mu się zasadny, ale dla swego pana żywił taki bezgraniczny  
podziw i niemal religijną cześć, że nie mógł sobie pozwolić na  
najdrobniejsze choćby słowa krytyki. Poprzestał na jeszcze jednym  
ukłonie, powtórzył: „Po mszy, w porze tercji...” i zniknął.

Katarzyna zaczęła krążyć dokoła pokoju jak zwierzę w klatce, z  
trudem opanowując rosnącą irytację. Miała chęć się wyładować, tak jak  
mężczyzna krzyczeć, wyć, wyzywać niebo i ziemię, zagłuszyć jękami  
innych ból własnego serca. Zrozumiała raptem rozkosz płynącą z czynienia  
zła, kiedy cierpienie staje się nie do wytrzymania.

- Wiem! - rzekła Sara, która od dawna umiała czytać w myślach  
Katarzyny. - Ale kobiety mogą sobie pozwolić tylko na łzy i milczenie.  
Pora już zająć się małym. Potem pomogę ci się przygotować do mszy.

Wokół zamek budził się ze snu. Na murach rozległy się okrzyki wart,  
ze skrzypieniem otwierały się drzwi stajni i stodół, służący nawoływali się



na całe gardło. Wyprowadzano konie na poranne czyszczenie, na dziedzińcu folwarcznym rozlegało się gdakanie drobiu i gruboskórne żarty służących. W kuźni kowal już walił w kowadło, a dzwon kaplicy nawoływał na poranne nabożeństwo. Katarzyna lubiła zazwyczaj ten poranny zgiełk, ale dziś rano irytował ją. Wolałaby ciszę, by móc usłyszeć bicie własnego serca. Przebrała i nakarmiła Michała, a następnie kazała sobie przygotować gorącej wody i zanurzyła się w niej cała, by pozbyć się zmęczenia i złego samopoczucia wywołanego bezsenną nocą. Sara wyszorowała ją mocno szczotką, aż skóra jej się zaróżowiła.

Już wkrótce Katarzyna poczuła się lepiej, jej ciało było bardziej rozprężone, a umysł jaśniejszy. Wróciła jej też odwaga i instynkt walki, chęć wyjścia z nieprawdopodobnego marazmu, w którym była pogrążona. Zanim dojdzie do ostatecznych rozwiązań, zanim porzuci wszystko, by wrócić do Burgundii, postanowiła walczyć aż do końca!

Sara zauważyła tę zmianę, gdy Katarzyna się wyprostowała, by umocować na głowie biały, haftowany woal, naciągnięty na spiczasty i krótki czepiec sporządzony z grubej, sztywnej materii. Była jakaś determinacja w ruchach jej smukłej, giętkiej szyi, w wojowniczym błysku oczu.

- Tak jest dobrze! - rzekła z półuśmiechem, nie precyzując, czy chodzi o uczucia Katarzyny, czy o strój. - Teraz możesz iść! Ja zostanę tu z małym.

Katarzyna narzuciła szeroką czarną pelerynę i owinęła się nią szczelnie, gdy dzwon kaplicy zadzwonił pierwszy raz na mszę. Zeszła ze schodów, minęła posterunek straży, gdzie Fortunat właśnie czyścił szablę, a dwaj łucznicy starali się rozdmuchać gasnący ogień. Na progu domu zatrzymała się na chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Wicher się

uspokoił, niebo było teraz czyste, miało cudowny, błękitny, łagodny kolor. Przejrzyste jak kryształ powietrze pachniało wilgotnym drewnem i świeżą trawą. Dziedziniec, stary buk o pogiętych gałęziach i cały szeroki krajobraz były obmyte i świeże. Katarzyna syciła się tym wszystkim parę chwil, a następnie pomału skierowała się do kaplicy. Rzuciła spojrzenie na wieżę Świętego Jana, niemą i cichą, a potem na wieżę Guillot. Ale i stamtąd nie dochodził żaden znak życia. Służące, które także udawały się na mszę, rozstąpiły się, by zrobić jej przejście i uklonić się. Rozpoznała między nimi grubą dziewczynę z łaźni, ale oddaliła się, nie spoglądając na nią.

W kaplicy panowały wilgoć i piwniczny zapach. Olbrzymie kamienie, z których były zrobione ściany, ociekały wodą, od której rdzewiały zamki i czerniało drewno starego krucyfiksu. Katarzyna zadrżała, podchodząc do pustej ławy senioralnej. Proboszcz Carlat, który zazwyczaj odprawiał nabożeństwa w zamku, rozpoczął mszę, gdy tylko Katarzyna nadeszła. Był to drobny i nieśmiały staruszek, który prawie zawsze się garbił i sprawiał wrażenie żyjącego w ciągłym strachu. Miał jednak łagodne, współczujące oczy i Katarzyna, która już się spowiadała u niego, wiedziała, że jego dusza była niemal anielska i przepełniona litością dla nieszczęsnych, grzesznych przedstawicieli rodzaju ludzkiego.

Uklękła, otworzyła ciężki mszalik ze srebrnymi okuciami i bezskutecznie starała się skupić na nabożeństwie. Jej umysł błądził gdzieś daleko. Krążył wokół nieobecnego Arnolda i uwięzionej Marii, a także teściowej. Co powstrzymywało tę kobietę, której pobożność graniczyła z fanatyzmem, od uczestnictwa w mszy? Katarzyna miała wrażenie, że wciąż słyszy w uszach łkania starszej pani. Nie były to, jak przypuszczała bezzasadnie Sara, łzy ulgi czy wdzięczności, ale szloch rozpacz i

cierpienia... Dlaczego? Gnana niecierpliwością, przyjęła *ite, missa est* z westchnieniem ulgi. Ostatni znak krzyża, ostatnie przyklęknięcie i Katarzyna odwróciła się ku wyjściu. Szybkimi krokami wyszła z kaplicy. Fortunat krążył w bramie. Zauważył ją i podszedł.

- Jaśnie pan czeka na panią - zaczął, ale ona przerwała mu ruchem ręki.

- Idź przodem...

Postępowała za nim w milczeniu. Wydawało jej się, że w rozmowie strwoiłaby siły nagromadzone od świtu, odkąd zaczęła się przygotowywać do tego spotkania. Maszerując, mruczała pod nosem modlitwę, może nieco nieskładną, ale jeśli Bóg nie będzie umiał czytać w nieszczęsnym ludzkim sercu, to kto inny?

Katarzyna przeszła w ślad za Fortunatem przez dziedziniec i zaczęła wchodzić na wąskie, kamienne schodki bez poręczy, które prowadziły do nieskończonej długiej galeryjki okalającej mur obronny, wieże i fortecę. Właśnie tutaj spotkała się z Arnoldem. Uzbrojony po zęby, oparty o mur strzelniczy, obserwował dolinę z ponurym wyrazem twarzy. Spoglądał na spowijające ją poranne mgły, które rozsnuwając się ukazywały splechłe delikatnej zieleni, strumyki, zrudziałe dachy z dymiącymi kominami i woły wyruszające na pole, skute po dwa w tym samym jarzmie.

Stał zwrócony w stronę horyzontu, ale nie poruszył się, słysząc zbliżające się kroki stajennego i swej żony. Może chciał zyskać czas do namysłu? Może nie czuł się jeszcze w tej chwili gotowy do walki z własną miłością?

Fortunat podszedł doń sam i szepnął coś cichutko. Wówczas żelazny posąg odwrócił się do Katarzyny, a Fortunat się wycofał. Spozstrzegła połyskujące pod hełmem ciemne oczy męża. Patrzył na nią bez słowa.

Przywołała całą swoją odwagę i aby przerwać tę przedłużającą się okropną ciszę, powiedziała łagodnie:

- Chciałeś mnie widzieć? Oto jestem!

Nie uczynił żadnego gestu, który byłby do niej skierowany. Ze stopą opartą o blankę, bawił się długim sztylecikiem z wyciśniętym herbem postaci krogulca. Nagle podjął decyzję, uniósł głowę i stanął twarzą w twarz z żoną.

- Prosiłem, żebyś przyszła, bo chcę ci powiedzieć „Żegnaj”!

Tego nie przewidziała, cofnęła się o krok. W łagodnym odblasku białego woalu jej oczy zapadły się, a usta zadrżały z niepokoju.

- Żegnaj? Chcesz, żebym odjechała? Uśmiechnął się blado, ale zaraz spoważniał.

- Nie, Katarzyno. Musisz tu zostać. To ja wyjadę. Wyjadę, by już nigdy nie powrócić. Chciałem, żebyś to wiedziała...

- Chcesz wyjechać? Chcesz wyjechać?

Powtarzała te słowa, nie umiejąc obdarzyć ich żadnym zrozumiałym znaczeniem. Jej ciało ogarnęło nieprzeparte znużenie. Szukając instynktownie oparcia, usiadła między olbrzymimi filarami muru. Wreszcie dotarło do niej znaczenie tego dziwnego oświadczenia.

- Wyjechać? - powtórzyła. - Ale dlaczego? I dokąd? Odwrócił się od niej i znów zaczął się przyglądać pejzażowi. Wzruszył ramionami.

- Dokąd? Nie wiem jeszcze... może w stronę Prowansji! Tam morze jest bardziej niebieskie niż letnie niebo i są białe zamki otoczone dziwnymi kwiatami. Chyba dobrze jest tam mieszkać.

- Ale jeśli chcesz tam mieszkać, to ja też! Jeśli chcesz wyjechać, to wyjedźmy razem. Jestem gotowa.

I znów ten bolesny uśmiech. Opuścił głowę i powiedział głucho:

- Wiem, że zadam ci ból, ale musisz być dzielna, Katarzyno. Wiem, że nigdy nie brakowało ci odwagi, i myślę, że gdy dwie osoby się pomyliły, lepiej mieć odwagę skończyć z tym, zanim będzie za późno. Nie chcę cię tam zabrać. Zabiorę Marię!

Ogłuszona tym wyznaniem, Katarzyna oparła się o kamień. Twarz Arnolda miała taki wyraz, jaki widywało się u męczenników na arenach, ale nie odwrócił oczu i nie zadrżał mu głos. Powiedział: „Zabiorę Marię” spokojnie i chłodno. Była to decyzja nieodwołalna, przemyślana.

- Marię! - powtórzyła Katarzyna. - Chcesz zabrać Marię? Ale dlaczego?

Odpowiedź była natychmiastowa, porażająca.

- Bo ją kocham!

A ponieważ Katarzyna, przygnieciona ciężarem tych słów, nie reagowała, ciągnął dalej głucho:

- Widzisz, zdarzają się w życiu pomyłki. Maria i ja znamy się od zawsze i... nigdy nie myślałem o niej inaczej niż o bardzo młodej dziewczynce. Ty mnie olśniłaś i pragnąłem cię, ale... kiedy wróciliśmy i znów ją zobaczyłem, była odmieniona. Jesteśmy tej samej krwi, Katarzyno, musisz to zrozumieć.

Poryw gniewu sprawił, że Katarzyna się ocknęła. Straszliwe słowa uderzyły w jej głowę jak ciosy zadane młotkiem. Nie były prawdziwe, nie mogły być prawdziwe! Zresztą brzmiały fałszywie! Wyprostowała się, zaciskając pięści.

- Powiadasz, że ją kochasz? Śmiesz mi to powiedzieć? Zapomniałeś o wszystkim, co nas łączy od dziesięciu lat? Czy byłeś szalony, czy też nie wiedziałeś, co mówisz? Jeśli ją kochasz naprawdę, dziwny to sposób kochania. Za pomocą bata?

Zbladł, cienie na jego twarzy jeszcze się powiększyły, a usta zacisnęły tak mocno, że stały się tylko wąską czerwoną kreseczką.

- Jeśli pies coś zawini, bije się go, ale przecież się go kocha. Mówiłem ci przecież, że jesteśmy tej samej krwi. Ona była w stanie zrozumieć tę karę. Zasłużyła na nią, gdyż nie była mi posłuszna. Rozkazałem jej przecież, by zostawiła cię w spokoju.

Katarzyna zaczęła się śmiać. Śmiała się bez końca, ale twardo i sucho. Jej śmiech brzmiał dziwnie, odbijając się echem od tej długiej, drewnianej galerii. Był to śmiech nerwowy, który bardziej był bolesny od łkania.

- Tak więc - wyjąkała po chwili - jeśli próbowała mnie zabić i udusić Michała, to po prostu nie była ci posłuszna? Jeśli to tak nazywasz, to myślę, że rzeczywiście należycie do tej samej rasy: nie macie serca! Kamienie z tego muru i wilki wyjące w nocy w tym lesie są bardziej ludzkie niż wy. Chcesz wyjechać? Wspaniale, mój panie! Jedź! Wyruszaj na spotkanie nowej miłości... A ja wracam do mojej!

Nawet za cenę swego życia Katarzyna nie umiała powiedzieć, co pchnęło ją do takiego stwierdzenia, chyba tylko chęć odparowania ciosu, zadania takiego samego bólu, jaki jej zadano, cierpienia za cierpienie. Z pełną goryczy radością stwierdziła, że cios był celny. Arnold zachwiał się i oparł o mur.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - rzucił z wściekłością. - Jakiej miłości?

- Tej, której nigdy nie powinnam była opuścić: księcia Filipa. Ja też wyjadę, Arnoldzie de Montsalvy, wracam do siebie, do Burgundii, do moich ziem, moich zamków, moich klejnotów...

- A reputacja kobiety zgubionej?

- Zgubionej? - zaśmiała się krótko i boleśnie. - Czy nie jestem zgubiona już teraz? Myślisz, że pozostanę tutaj, zamknięta w tym walącym się zamku, i będę czekać, aż przeminą moje młode lata, moja uroda na gapieniu się w niebo, modlitwach u boku twojej matki, zajęciach dobroczynnych i błaganiu nieba, aby mi ciebie zwróciło, gdy będziesz miał dosyć tego worka kości? Nie! Jeśli tak ci się wydawało, to byłeś w błędzie, mój panie! Wracam do siebie... i zabieram ze sobą syna.

- Nie!

Głos Arnolda rozległ się tak donośnym echem, że wartownicy okrążający sąsiednią wieżę zatrzymali się z włóczyniami w pogotowiu, rozglądając się, skąd dochodzi ten krzyk.

Potem mówił dalej, już nieco ciszej, ale za to z dziką determinacją:

- Nie, Katarzyno. Nie wyjedziesz... Zostaniesz tutaj, jak nie z dobrej woli, to z przymusu!

- A ty w tym czasie będziesz z inną? Chyba oszalałeś! Nie zostanę tu ani godziny dłużej. Zanim zapadnie wieczór, opuszczę ten przeklęty zamek razem z moimi ludźmi - Sarą i Walterem - I z moim dzieckiem.

Jej głos załamał się na ostatnim słowie. Wyobrażała sobie już ten wyjazd, stukot kopyt o twardą ziemię i znikający we mgle zamek, niczym jakiś sen... sen, który trwał dziesięć lat!

- Tak więc - dodała - nie będziesz musiał opuszczać swego stanowiska, będziesz mógł zostać tutaj, pomiędzy swoją matką a tą... i nie będziesz musiał sprzeniewierzać się swojemu honorowi!

- Czym? - zapytał sucho Arnold.

- Opuszczeniem zamku, nad którym opiekę powierzył ci przyjaciel. Miałeś strzec Carlat... i chyba bardzo musisz kochać tę dziewczynę, skoro

mnie tak traktujesz i zarazem porzucasz wszystko, co należało to twojego żołnierskiego życia.

Podczas gdy Katarzyna, mówiąc to, drżała coraz bardziej, Arnold jeszcze bardziej niż przedtem przypominał stalowy posąg. Cień rzucony przez hełm na tyle zasłaniał twarz, że Katarzyna nie mogła zauważyć rozpaczliwej malującej się w jego oczach. Cofnął się kilka kroków, by to ukryć.

- Posłuchaj mnie, Katarzyno - rzekł, a jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z oddali. - Czy chcesz tego, czy nie, jesteś panią de Montsalvy, jesteś matką mojego syna i nigdy żaden Montsalvy nie przejdzie na stronę Burgundii. Wierność jest świętym obowiązkiem, któremu nie wolno uchybić.

- Z wyjątkiem wierności wobec własnej żony! - zaśmiała się boleśnie Katarzyna. - Gdyby chodziło tylko o mnie, pozwoliłbyś mi zapewne odjechać. Ale jesteś wystarczająco tchórzliwy, by posłużyć się moim dzieckiem, by mnie zmusić do tego, abym była twoim więźniem, więźniem wbrew mojej woli, wbrew wszystkiemu i mimo twojej zdrady... I chcesz, żebym została tu sama, opuszczona przez wszystkich, w nieznanym kraju, wśród tylu niebezpieczeństw. Tymczasem ty jedziesz daleko, żeby przeżywać jakąś idiotyczną miłośćkę...

Nagle ból wziął górę nad gniewem. Podbiegła do męża, otoczyła ramionami jego pierś obleczoną w żelazo. Przytuliła twarz lśniąca od łez do gładkiej i zimnej powierzchni zbroi.

- To zły sen, powiedz, to koszmar, z którego się zaraz obudzę. A może chcesz mnie wystawić na próbę, żeby zobaczyć, czy naprawdę jestem ci wierna? Tak, to na pewno to. Ta dziewczyna rozjątrzyła cię swoimi oszczerstwami i chciałeś się wszystkiego dowiedzieć... Ale



przecież wiesz, że cię kocham, wiesz o tym, prawda? Więc, przez litość, przestań mnie torturować, przestań zadawać mi ból... Widzisz, że umieram z tego powodu. Bez ciebie moje życie nie ma sensu, jestem bardziej zagubiona niż dziecko w czasie burzy. Zmiłuj się, zostań ze mną! Za bardzo się kochaliśmy, żeby nic nie miało z tego zostać!

Czuła, jak pod jej policzkiem bije jego serce uwięzione w stalowej skorupie. Biło prędko, głucho i potężnie, uderzając w przyspieszonym rytmie. Czy jest możliwe, żeby to serce, na którym tyle razy układała się do snu, już dla niej nie biło? Rozdzierający ból jej własnego serca wprowadził ją w przerażenie. Katarzyna chciała mocniej jeszcze objąć Arnolda, ale on łagodnie rozsunął jej ramiona i odsunął się na pewną odległość.

- Po co próbować wskrzesić to, co już nie istnieje? Nie mogę nic na to poradzić i ty także nie... Nie jesteśmy dla siebie stworzeni. A teraz posłuchaj, co mówię. To są moje ostatnie słowa. Nie porzucam tej fortecy. Kazałem uprzedzić Bernarda, prosząc go, by mnie zwolnił ze stanowiska i przysłał natychmiast jakiegoś kapitana... Gdy tylko on tu nadjedzie... a na pewno nastąpi to wkrótce, wyjeżdżam. Tobie zostawiam syna, nazwisko i matkę.

- Wszystko to, co cię krępuje! - krzyknęła Katarzyna, którą na powrót ogarnął gniew, zmieszany z okrutnym rozczarowaniem. - Ale nie będziesz w stanie mnie zatrzymać ani ty, ani twoi ludzie. Gdy tylko się odwrócisz na pięcie, wyjadę... a nazwisko de Montsalvy będzie błyszczeć w herbarzu Burgundii, słyszysz? Burgundii! Nauczę Michała nienawiści do Armaniaków, zrobię z niego pazia księcia Filipa, żołnierza Burgundii, który nie będzie znał innego pana niż wielki księżę Zachodu!

- Nawet gdy mnie nie stanie, będę umiał ci to uniemożliwić! - warknął Montsalvy.

- Nikt nigdy nie uniemożliwił mi niczego, co miałam ochotę zrobić!  
Nawet Filip Burgundzki... a on był potężniejszy niż ty!

- Straże!

I nagle małżonkowie stojący naprzeciwko siebie byli już tylko dwójką wrogów. Przybiegli dwaj strażnicy. Arnold wskazał im kobietę, która pobladła i z zaciśniętymi zębami starała się opanować swój ból i wściekłość, oparłszy się o blanki.

- Zaprowadzić panią de Montsalvy do pokoju. Nie wolno jej wychodzić z niego pod żadnym pretekstem. Pilnujcie jej dobrze, to rozkaz. Odpowiadacie za nią głową. Postawcie dwóch ludzi pod jej drzwiami, a trzeciego w jej pokoju. Gdy będzie się udawać do mojej matki, ktoś musi za nią iść, ale nie ma prawa udać się nigdzie indziej. Jej służąca, Sara, jak również mężczyzna o imieniu Walter mają mieć do niej wolny dostęp. A teraz odejść! I poproście pana de Cabanes'a, żeby przyszedł do mnie na rozmowę. - Następnie zwrócił się do Katarzyny: - Jest mi przykro, że muszę tak surowo postąpić z panią, ale sama pani mnie do tego zmusiła... chyba że da mi pani słowo, iż nie będzie próbować ucieczki.

- Takiego słowa nie dam nigdy. Zamknij mnie, panie, to będzie godne ukoronowanie całego pańskiego postępowania wobec mnie.

Bardzo sztywno, z głową wysoko uniesioną, zrobiła półobrót i bez słowa i bez spojrzenia skierowała się ku schodom, a za nią strażę. Wszystkie jej ruchy były automatyczne. Szła jak we śnie, umysł jej był zamglony, oczy ją piekły, a głowa ciążyła. Miała dziwne wrażenie, że jest skazana na śmierć, że wykonano już egzekucję, a mimo to schodzi po schodach ze swego szafotu... Ogrom katastrofy, która ją dotknęła, był taki, że nie mogła ogarnąć jej umysłem. Oszołomiona, wiedziała jednak, że to błogosławione osłupienie skończy się niebawem, a cierpienie będzie tym

żywsze. Na razie gniew, oburzenie i pewien niesmak dołączyły się do tego i w pewnym sensie łagodziły.

Przekraczając próg swego pokoju, zatrzymała się. Sara, stojąca obok kołyski Michała, odwróciła się i na widok bladej Katarzyny stojącej w drzwiach między dwoma żołnierzami krzyknęła i podbiegła do niej:

- Katarzyno! Na rany Chrystusa...

Młoda kobieta otworzyła usta, by coś powiedzieć, wyciągnęła ramiona w żalonym, błagalnym geście...

Umysł ogarnęła fala gorąca...

Nagle zrobiło jej się duszno... W jej głowie wszystko płonęło.

Wreszcie poczuła przeszywający ból i ze słabym okrzykiem padła u stóp Sary w straszliwym ataku nerwowym. Z oczami wywróconymi do góry, zgrzytając zębami i tocząc pianę z ust, poruszała spazmatycznie rękami i nogami, a na koniec potoczyła się po kamiennych płytach podłogi ku wielkiemu przerażeniu żołnierzy, którzy zapominając o swej misji, uciekli w popłochu. Nie usłyszała krzyku przerażenia Sary, nie widziała Waltera, który wpadł do pokoju, ani innych służących, którzy przybiegli na pomoc... Zmagając się z tak straszliwym cierpieniem fizycznym, że świadomość ją opuściła i przynajmniej na chwilę zapomniała o swojej miłości. Był to może wyraz miłosierdzia bożego, ale próbując ratować Katarzynę, Sara pomyślała, że jej prawdziwa męka dopiero się zaczęła.

## *Rozdział piętnasty*

# *Sztylet Montsalvych*

---

Jak długo Katarzyna pogrążona była w nieświadomej przepaści, w czarnych wodach lęku i strachu, zmagając się z szaleństwem? Nawet Sara - przykuta do wezglowia tej, która była jej droższa niż własne życie - nie umiałaby odpowiedzieć na to pytanie. Cyganka przypomniła sobie ten potworny wieczór, kiedy zbuntowany Paryż szalał i kiedy Barnaba przyszedł po nią, aby zechciała udzielić pomocy nieprzytomnemu dziecku. Miała w pamięci to bezwładne ciało, jeszcze po dziecinnemu chude, małą bladą twarzyczkę, którą okalała gęstwina wspaniałych włosów, i tragicznie szklany wzrok... Walczyła dzień i noc, bez wytchnienia, by wydrzeć to dziecko śmierci i obłędowi. Był to ten wieczór, kiedy Katarzyna próbowała uratować Michała de Montsalvy'ego i kiedy jej ojciec zapłacił życiem za szaleńczą szlachetność córki. Czy teraz znów wszystko się zaczyna od nowa? Czy Katarzyna musi zmagać się ze śmiercią zarówno wtedy, gdy rodzina Montsalvych wchodzi w jej życie, jak i wtedy, kiedy z niego odchodzi? I czy teraz ta młoda kobieta, zraniona i wstrząśnięta do głębi, zdoła stawić opór załamaniu?

Jednakowoż Katarzyna wydobywała się czasem zza mgieł gorączki na powierzchnię świadomości. Rozpoznawała Sarę, a także wysoką, czarną postać, która stała niczym posąg przy kolumnie jej łóżka, czarną postać, która nigdy nie odzywała się ani słowem i patrząc na nią, płakała. I to zdumiewało Katarzynę najbardziej. Czemu pani de Montsalvy płakała przy jej łóżku? Czy naprawdę Katarzyna już umarła i zaraz ją pochowają? Ta myśl wydała się jej kojąca i łagodna, jak łyk chłodnej wody. A potem znów gorączka obejmowała ją w swe władanie i kobieta zapadała w niebyt.

W rzeczywistości tylko pięć dni upłynęło między okrutną sceną na galerii i chwilą, gdy Katarzyna ostatecznie odzyskała świadomość.

Otworzyła oczy, by ujrzeć przez otwarte okno wspaniałe słońce i błękitne niebo. Jakaś ręka dotknęła jej czoła i rzeczy stały się takie, jakimi były zawsze. Izabela de Montsalvy stała w nogach łóżka w swym czarnym stroju.

- Gorączka spadła - odezwał się u wezłowia głos Sary, w którym dźwięczała radość.

- Bogu niech będą dzięki! - odparła czarna postać, która nachyliła się nad łóżkiem.

Wówczas zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna, niezrozumiała: Izabela ujęła bezwładną rękę Katarzyny leżącą na prześcieradle i przycisnęła ją do ust. Następnie odwróciła się i odeszła na bok, jakby się obawiała, że jej widok zrani chorą. Przez chwilę Katarzyna wdychała z rozkoszą powietrze, syciła oczy złotymi promieniami słońca, a uszy gaworzeniem Michała, który w kołysce witał po swojemu piękno dnia i wymachiwał rączkami przypominającymi małe, różowe ptaszki... Jakie to wszystko było piękne i miłe!

Nagle wróciła jej świadomość rzeczy. Zalała ją fala bólu. Uczyniła straszliwy wysiłek, by się unieść, lecz natychmiast odezwała się Sara:

- Leż spokojnie, jesteś zbyt słaba...

- Arnold! - wybełkotała. - Arnold! Gdzie on jest? Och, przypominam sobie wszystko! Nie kocha mnie już... nigdy mnie nie kochał... Kocha tamtą!

Jej głos zabrzmiał ostro, więc Izabela de Montsalvy, obawiając się nawrotu choroby, podeszła do niej. Ujęła przezroczystą dłoń, która trzepotała teraz jak oszalały ptak.

- Uspokój się, moje dziecko... Nie wolno ci myśleć, nie wolno ci mówić. Pomyśl o sobie, o małym.

Ale Katarzyna wczepiła się w jej rękę i zaczerpnęła z niej tyle siły, że zdołała się nieco podnieść. Spomiędzy splątanych włosów chorej wyzierała szczupła twarz z czerwonymi wypiekami na policzkach i nienaturalnie błyszczącymi oczami.

- Wyjechał, prawda? Proszę mi powiedzieć, błagam. Wyjechał? Och... i cóż z tego. - Rozluźniła nieco uścisk i opadła znów na poduszki. - Proszę mi nie odpowiadać - dodała z taką boleścią, że serce się ścisnęło. - Wiem, że wyjechał! Czuję to po pustce, jaka tu panuje... Wyjechał... z nią!

- Tak - wyszeptała Sara. - Wyjechał wczoraj.

Katarzyna nie odpowiedziała. Starła się z całych swoich nadwątlonych sił powstrzymać łkanie, które by ją wyczerpało. Zamknęła oczy.

- Za dużo tu światła, Saro - wyszeptała. - Razi mnie. Czemu to słońce tak świeci? Ono też jest moim wrogiem...

Słońce oślepiało ją nawet przez zamknięte powieki. Widziała, jak oświetla dwoje jeźdźców, nad których głowami tak rozśpiewały się ptaki,

że nawet tętent kopyt nie mógł ich zagłuszyć. Ale ona słyszała i te konie... Jeźdźcy odjeżdżali daleko, uciekali jak złoczyńcy, by ukryć swoje przekłete, kradzione szczęście, a tętent koni o kamienie na drodze odbijał się echem w obolałej jeszcze głowie młodej kobiety. Sara zobaczyła, że Katarzyna skrzyżowała ręce, które w ciągu tych kilku dni stały się przezroczyste, i ścisnęła nimi okolice serca, jak gdyby chciała wyrwać to serce z piersi. Sara nie mogła jednak wiedzieć, że złamane serce tak boli! Gorący oddech Katarzyny wypełniał cały pokój niczym oddech długodystansowca, który zakończył właśnie bieg. Sara usłyszała jej szept:

- Tak bardzo chciałabym go zobaczyć... tylko jeszcze jeden raz!

Usłyszeć jeszcze jego głos... jeszcze raz poczuć jego usta na moim policzku i umrzeć! Tylko jeden jedyny raz...

Ta nieszczęsna dziecina, zmagająca się z bólem większym, niż mogła wytrzymać, była taka słaba, tak nieszczęsna w swej pokornej modlitwie, że Sara padła obok niej, otoczyła ją ramionami i przycisnęła swój policzek do jej policzka.

- Moje maleństwo... Nie dręcz się tak! Staraj się wyzdrowieć, dla dziecka... dla mnie też! Co twoja Sara zrobiłaby bez ciebie? Jest jeszcze tyle rzeczy na świecie, tyle radości. Życie się jeszcze nie kończy.

- Moim życiem był on...

Nigdy wierność danemu słowu tak Sarze nie ciążyła. Umierała z ochoty, by opowiedzieć to, co widziała przez pięć dni i pięć nocy: tego męczyzną przygniecione bólem, który stał godzinami w oknie, trwając bez ruchu poza zasięgiem wzroku chorej, z suchymi oczami, splecionymi rękami, bez jedzenia i bez picia... dopóty, dopóki niebezpieczeństwo nie zostało oddalone. Dopiero gdy lekarz wezwany z Aurillac oświadczył, że będzie żyła, Arnold wstał i nie odwracając się, opuścił pokój. Godzinę

później, w blasku krwawego zmierzchu, opuścił zamek, prowadząc na wozie drugiego konia, na którym jechała szczelnie otulona Maria de Comborn. Powierzywszy Katarzynę opiece teściowej, Sara udała się do Czarnej Wieży, by zobaczyć odjeżdżających. Ani razu Arnold nie odwrócił się, zjeżdżając ze stromej ścieżki, do tej, którą zabierał ze sobą, a która z opuszczoną głową przypominała bardziej więźniarkę niż kobietę szczęśliwą... Ale Sara nie mogła o tym wszystkim powiedzieć Katarzynie, nie wolno było bowiem dopuścić do tego, by takie cierpienie okazało się daremne.

Obie kobiety pozostały razem długo, obejmując się ciasno i płacząc. Katarzyna znajdowała ukojenie w płaczu. Jej rozgoryczenie jak gdyby rozplýwało się we łzach, a rana się zablizniała. Macierzyńska czułość Sary również miała właściwości kojące. Przytulona do jej szerokiej piersi, Katarzyna czuła się bezpiecznie, jak mała łódka rybacka pozbawiona masztu, która cudem znalazła przystań.

- Saro - powiedziała Katarzyna po chwili - kiedy będę się już zupełnie dobrze czuła, wrócimy do domu, do Dijon!

Cyganka nie odpowiedziała. Zresztą na podwórzu rozległy się dziwne dźwięki. Była to muzyka ostra, przenikliwa i natarczywa, która pachniała mgłą i deszczem. Nie przypominała niczego, żadnego z rodzajów muzyki znanych Katarzynie. Były to dźwięki nosowe i wojownicze. Drażniły nerwy, a jednak był w tym pewien rodzaj witalności. Katarzyna mimo woli nastawiła uszu.

- Co to jest? - spytała. - Można by rzec, że to cabrette, takie jak te, na których grał ten nieszczęsny Stefan w Montsalvy.

Ta nazwa z trudem przeszła jej przez usta. Głos uwiązł jej w gardle. Wówczas Sara, zgadując, co czuła Katarzyna, pospieszyła z odpowiedzią:



- To nie są cabrette, ale przypominają je rzeczywiście. Szkoci, którzy na tym grają, nazywają ten instrument kobzą. Jest to coś w rodzaju skórzanej sakwy, z której wychodzi kilka rurek, a muzycy w nie dmą. Ich dźwięk jest dziwny, ale można się do niego przyzwyczaić. Bardziej niż do wyglądu Szkotów. Walczą z gołymi nogami, ubrani w dziwaczne, krótkie, kolorowe spódniczki.

- Szkoci? - rzekła zdumiona Katarzyna. - Tutaj są Szkoci?

- Od dwóch dni - ciągnęła Sara. - Nowy kapitan przysłany przez hrabiego Bernarda przybył z małym szkockim oddziałem.

Na dworze króla Karola Katarzyna widywała często Szkotów przybyłych służyć Francji i konetablowi de Buchanowi, poprzednikowi de Richemonta... Arnold pokazał jej ich, byli oni także w orszaku Dziewicy Joanny. Nagle Katarzyna przestała się interesować tymi ludźmi. Myśleć o nich oznaczało znów myśleć o Arnoldzie, znów przywoływać słodkie wspomnienia, które teraz stały się tym bardziej okrutne. Ponieważ Sara nadal mówiła o nowym panu Carlat, zapytała, by z tym skończyć:

- Jak on się nazywa?

- Kennedy - odpowiedziała Sara. - Pan Hugo Kennedy. Wygląda na dzikusa, ale to prawdziwy rycerz.

W dole dźwięki muzyki oddalały się, aż stały się już tylko lekką skargą. Skargą, która zresztą wkrótce potem umilkła również.

Choroba opuściła Katarzynę równie nagle, jak ją ogarnęła. Pośrednią jej przyczyną było skrajne zmęczenie, które po odpoczynku ustąpiło. Dwa dni po odzyskaniu przytomności Katarzyna była już w stanie opuścić łóżko i usiąść w kąciaku koło ognia w szerokim krześle zasłanym poduszkami. Gdy Sara podała jej rudobrazową suknię, odepchnęła ją.

- Nie! Od dzisiaj będę się ubierała tylko na czarno.

- Na czarno? Dlaczego?

Blady uśmiech wykrzywił raczej, niż odprężył twarz młodej kobiety.

- Jestem nadal panią de Montsalvy, a mimo to nie mam męża. Mogę więc nosić tylko żałobę. Daj mi czarną suknię.

Sara nie odpowiedziała. Poszła po ubranie, myśląc, że uroda Katarzyny najbardziej rozkwita w czarnych szatach. Właśnie w sukni z czarnego aksamitu i w czarnym muślinie spływającym z czepeczka, sporządzonego z tej samej materii co suknia, Katarzyna oczekiwała nowego gubernatora Carlat. Poprosiła go do siebie nie po to, by zaspokoić ciekawość, ale żeby zadać mu kilka pytań dotyczących swojej osobistej sytuacji. Na chwilę zmartwienie zostało wyparte przez codzienne sprawy, do których Katarzyna była aż nadto przyzwyczajona. Zresztą musiała za wszelką cenę coś się zająć, działać w taki czy inny sposób. Gdyby miała pozostać w tym zamku beczynną i patrzeć, jak upływa czas, z pewnością oszalałaby - na tyle samą siebie znała.

Gdy Kennedy wszedł do jej pokoju, przypomniała sobie, że widziała go już na dworze Karola VII. Był niemal tak samo wysoki jak Walter i rudawy, ale podczas gdy włosy Normandczyka były jasne z płomiennymi refleksami, włosy Szkota miały ciemnoczerwony kolor drzewa gruszy. Twarz jego miała prawie tę samą barwę, opaloną jak stara cegła. Rysy miał grube, ale wyraz twarzy był wesoły. Lekko zadarty nos i para jasnoblękitnych oczu przemawiały na korzyść ich właściciela. A jednak gdy się uśmiechał, ukazując piękne białe zęby, jego wargi unosiły się dość groźnie, jakby chciały uprzedzić, że nie należy zbyt ufać temu dobremu humorowi. Rzeczywiście, Hugo Kennedy, przybyły z górskich obszarów Szkocji z Jakubem Stuartem, hrabią de Buchanem i konetabliem Francji,

był dość groźnym awanturnikiem. Lojalnie walczył przeciwko Anglikom, do których żywił nieprzeparty wstręt. Po surowych górach rodzinnego kraju, Francja - choćby była najnędniejsza - wydawała mu się wystarczająco pożądaną ziemią, by chcieć się na niej osiedlić. Stuartowie posiadali na północy od Bourges lenno Aubigny, z nadania królewskiego, a wszyscy inni Szkoci krążyli w pobliżu. Dzięki temu dobrzy ludzie z okolic Loary cierpieli z powodu najazdów Kennedy'ego i jego ludzi, najazdów, bez których chętnie by się obeszl, gdyż ten przyjaciel Francji pastwił się nad nimi tak jak najeźdźcy angielscy.

Wszystko to Katarzyna wiedziała i przypominała sobie, podczas gdy nowy gubernator, z dużym wdziękiem, jak na tak ciężko zbudowanego mężczyznę, skłonił się przed nią, zamiatając pióropuszem posadzkę. Miał na sobie dziwny strój swego kraju: przylegające do ciała pludry, których wesoła zielono-czerwono-czarna krata zdobiła również szeroki wełniany szal, przewiązany przez powyginany pancerz i umocowany do ramienia ciężką broszą z cyzelowanego srebra. Na pancerz narzucony był spencer z bawolej skóry, udrapowany na ramionach. Do paska przytroczony miał sztylet, przypominający rzymski miecz, oraz dziwny wór z koziej skóry. Wchodząc do Katarzyny, Kennedy odstawił do kąta claymore, swoją tradycyjną broń, gigantyczny miecz obosieczny, którego nazwa była w czasie bitew okrzykiem na zbiórkę. Dzięki swemu wzrostowi i wadze, Kennedy posługiwał się claymorem jedną ręką i z nieprawdopodobną lekkością.

- Nie spodziewałem się, pani, że przybywając tu, będę miał szczęście znów zobaczyć najpiękniejszą damę Francji, zjawiłbym się bowiem szybciej.

Mówił po francusku szybko, niesłychanie łatwo i prawie bez akcentu. Zapewne od dawna zajmował się francuskimi wieśniakami! Katarzyna złożyła usta w uśmiechu, ale oczy jej pozostały poważne.

- Dziękuję panu za komplement. Proszę mi wybaczyć, że nie prosiłam wcześniej, by złożył mi pan wizytę. Moje zdrowie...

- Wiem, proszę się nie tłumaczyć. Jestem szczęśliwy, że zechciała mi pani udzielić tej łaski. Jestem podwójnie szczęśliwy, ponieważ stwierdzam, że czuje się pani lepiej. Dziś wieczór moi ludzie odśpiewają w kaplicy *Te Deum* na pani cześć.

Słuchając go, Katarzyna nabierała nadziei. Obawiała się, że zobaczy kogoś bezlitosnego, ale maniery Szkota świadczyły o tym, że nie będzie chyba stosował wobec niej przemocy. Splotła palce, ściskając je mocno charakterystycznym dla siebie gestem, wskazała gościowi krzesło i rzekła:

- Nie wiem, wielmożny panie, co powiedział panu hrabia Bernard, gdy wysyłał pana tutaj, a pan de Montsalvy witając pana, ale chciałabym wiedzieć, jak ma wyglądać moje życie: czy jestem uwięziona?

Oczy Kennedy'ego stały się okrągłe jak dwie niebieskie kuleczki.

- Uwięziona? A czemu? Pani małżonek, którego znam od dawna, przekazał mi tę fortecę i panią, mówiąc, że będzie musiał oddalić się na kilka miesięcy. A zatem będę miał zaszczyt bronienia Carlat i szczęście czuwania nad panią.

- Doskonale! - rzekła Katarzyna. - Ponieważ, jak widzę, ma pan na względzie wyłącznie moje zadowolenie, mam zamiar wyruszyć niebawem w małą podróż. Czy zajmie się pan powozami dla mnie?

To ostatnie pytanie ozdobiła czarującym uśmiechem, ale nie spotkał się on z wzajemnością, ponieważ Kennedy nagle stracił całą radość życia. Rysy jego twarzy się zapadły, a na czole pojawiła się szeroka zmarszczka.

- Łaskawa pani - rzekł z widocznym wysiłkiem. - Jest to jedyna rzecz, na którą nie mogę pani pozwolić. Nie powinna pani opuszczać Carlat pod żadnym pozorem... chyba że uda się pani do Montsalvy, ale wtedy muszę panią przekazać wielebnemu ojcu przeorowi wraz z dwoma zaufanymi ludźmi, by czuwali nad panią.

Ręce Katarzyny zacisnęły się na rzeźbionych oparciach fotela. Jej oczy ciskały błyskawice.

- Czy wie pan, co pan mówi... i do kogo pan mówi?

- Do żony przyjaciela! - westchnął Szkot. - A zatem do kogoś, kto jest mi droższy niż własna rodzina, z chwilą gdy został mi powierzony. Nawet jeśli muszę, z bólem, wywołać pani gniew, to spełnię obowiązek, jakim obarczył mnie Montsalvy, i nie uchybię danemu słowu. Małżonek pani jest bowiem moim towarzyszem broni...

Znowu to samo! Młodą kobietę ogarnęła irytacja. Czy stale będzie się natykać na tę nieprawdopodobną męską solidarność? Trzymali się razem jak palce jednej ręki i najwyraźniej nic nie mogło przerwać tego potężnego czaru. Jeszcze raz była więźniarką i tym razem - we własnym domu - trzeba będzie zapewne użyć sprytu... albo zwykłej przemocy? Szkot był mocnym mężczyzną, ale jakiemu siłaczowi nie dałby rady jej dzielny Normandczyk?

Z niewypowiedzianym wdziękiem Katarzyna obróciła się na fotelu i ruchem ręki wezwała Sarę.

- Pójdź po Waltera - rzekła z niepokojącą łagodnością. - Mam mu coś do powiedzenia.

- Wybacz mi, pani - odparła Cyganka - ale Walter wyruszył o świcie na polowanie.

- Na polowanie? Kto udzielił mu pozwolenia? Odpowiedział jej gubernator.

- Ja, łaskawa pani. Gdy przybyłem tutaj, moi ludzie zabili niedźwiedzia. Rozjuszona samica już zabiła w okolicy jednego człowieka. Pani służący... między nami mówiąc, wyjątkowy człowiek, poprosił mnie, aby sam mógł zapolować. Jeśli wierzyć jego słowom, umie polować na niedźwiedzie, jak nikt inny. I przyznam się, że chętnie w to wierzę.

Katarzyna westchnęła. Znała namiętność Waltera do polowań. Dawny leśnik nie mógł przejść obojętnie obok śladów zwierzęcia na mchu. Poczowała niezadowolenie na myśl, że wyzbywszy się troski o jej zdrowie, nie znalazł innego zajęcia jak bieganie po lesie.

- No cóż, ma pan rację. Mój giermek jest człowiekiem lasu. Lubi tylko przestworza, świeże powietrze, jest też wyśmienitym myśliwym. Życzymy więc sobie, by znalazł niedźwiedzicę...

Podawała mu rękę na znak, że posłuchanie się zakończyło. Kennedy rozumiał to należycie, ujął wyciągniętą dłoń i ucałował ją.

- Czy nie ma pani żadnych innych pytań do mnie? Poza tym, że nie mogę pani pozwolić na błądzenie po drogach bez opieki, nie ma takiej rzeczy, której nie byłbym gotów zrobić dla pani i...

Nie dokończył. Pchnięte gwałtownie od zewnątrz drzwi pokoju głośno trzasnęły. Nieprawdopodobnie brudny Walter, czerwony z wysiłku, pojawił się na progu, dźwigając na ramieniu jakieś dziwne brzemię. Katarzyna zobaczyła, że na piersi olbrzyma zwieszają się długie czarne włosy i zielonkawa twarz o przymkniętych powiekach.

Olbrzym zatrzymał się na chwilę, popatrzył kolejno na jeszcze pochylonego w ukłonie Kennedy'ego i wyprostowaną w fotelu, bladą Katarzynę, następnie uniósł wyżej ów ciężar i skierował się prosto ku

młodej kobiecie. Zanim zdołała wymówić słowo, położył na ziemi, u jej stóp, zwłoki Marii de Comborn.

- Znalazłem ją w pobliżu łożyska rzeki - rzekł szorstko - w zaroślach, w których długo można by szukać. Tyle że teraz jest lato i smród zaprowadził mnie w to miejsce.

Skamieniała Katarzyna spoglądała na wężowe czarne sploty, które wiły się na posadzce, dotykając jej aksamitnych pantofelków. Oczy Marii, śmiertelnie nieruchome, wyrażały przerażenie i wściekłość zarazem. Umarła tak, jak żyła, w gniewie, złorzecząc niebu i ziemi. Na jej gorsecie, w miejscu, gdzie znajdowało się serce, widniała duża brunatna plama zaschniętej krwi. Kennedy, osłupiały, spoglądał to na zwłoki, to na Waltera, który stał obok na szeroko rozstawionych nogach, ze skrzyżowanymi ramionami. Jednakże brytyjska zimna krew gubernatora wzięła górę.

- Brrr! - rzekł, wskazując palcem ciało. - Mam wrażenie, że to nie jest niedźwiedzica?

- To była czarownica! - splunął Normandczyk. - Niech piekielne Norny\* mają w opiece jej potępioną duszę!

*\* Norny - w mitologii nordyckiej trzy boginie przeznaczenia, przędące nić ludzkiego życia.*

Ale Katarzyna pochyliła się nad swą martwą przeciwniczką i przypatrywała się fioletowym plamom rozkładu. Śmierć nadała Marii de Comborn straszliwą twarz, na której widok Katarzynę przeszył dreszcz. Odruchowo przeżegnała się i pozostała na kolanach, nie mogąc ani się podnieść, ani uczynić żadnego mchu. Spojrzała jednak na Waltera.

- Kto ją zabił? Domyślasz się czegoś?

W odpowiedzi wyciągnął spod skórzanej tuniki sztylet o długim ostrzu, poplamiony jeszcze krwią, i rzucił go na kolana młodej kobiety.

- To tkwiło w jej piersi, pani Katarzyno. Ten, kto zadał cios, wiedział, że jest to akt sprawiedliwości!

Katarzyna dostrzegła na czarnym aksamicie sukni lśniący wciąż - mimo trzech dni przebywania w wilgotnym lesie - srebrny krogulec Montsalvych. Jej oczy zrobiły się ogromne. Ostatnim razem, gdy widziała tę broń, znajdowała się ona w dłoni Arnolda, na galerii... bawił się tym sztyletem, mówiąc, że kocha swą kuzynkę i chce z nią wyjechać. A mimo to Maria była martwa i zginęła od sztyletu Montsalvych!

- Arnold! - szepnęła. - Ja chyba śnię! To nie może być on!

- Ależ tak! - zapewniła Sara, która się do niej zbliżyła.

- To on ją zabił, nie możesz w to wątpić.

- Ale dlaczego? On sam mówił, że ją kocha...

Sara pokręciła głową, wzięła z ręki Katarzyny krwawy sztylet i przez chwilę obracała go w palcach.

- Nie! Nigdy jej nie kochał! - rzekła łagodnie. - Chciał, żebyś w to wierzyła! Ale pewnie zanadto napawała go odrazą, żeby mógł dłużej znosić jej widok! Nie miał odwagi dłużej czekać! Zadał jej cios!

Jednym skokiem Katarzyna zerwała się z miejsca. Złapała Sarę za ramiona i miotana tajemną siłą zaczęła trząść nią mocno.

- Co przede mną ukryłaś? Co wiesz? Co przemilczałaś wtedy, gdy ja umierałam z rozpaczy? Po co ta potworna komedia, z której powodu oszalałam? Mów, mówże wreszcie! Wyrwę ci z gardła te słowa, choćbym miała...



Zamilkła mimo gniewu, uprzytomniwszy sobie ze wstydem, co chciała powiedzieć. Tak, groziła Sarze, swojej starej Sarze, najwierniejszej przyjaciółce! Jakież obłęd wywoływało w niej samo imię Arnolda, że doprowadzona była do granic zdziczenia! Sara opuściła głowę w poczuciu winy.

- Rób, co chcesz - szepnęła. - Nie mam prawa mówić... Przysięgam na Matkę Boską i na zbawienie mojej duszy.

- I dotrzymałaś słowa, Saro... Dziękuję!

Usłyszawszy ten nieoczekiwany głos, Katarzyna krzyknęła i odwróciła się, ale musiała złapać się oparcia swego fotela, by nie upaść. Na progu ukazał się Arnold de Montsalvy, blady i wychudły, w swym odzieniu z czarnego zamszu... W krtani młodej kobiety zamarł krzyk. Myślała, że to duch, ale ten duch był żywy... Powoli zbliżał się ku niej, a z jego ciemnych oczu mogła wyczytać całą dawną miłość do niej. Nigdy jednak nie patrzył na nią z taką rozpaczliwą czułością.

- To ty! - szepnęła. - To ty! Bóg mnie wysłuchał! Pozwolił, żebym cię znów zobaczyła!

Wszystko przestało dla niej istnieć: ten pokój, w którym umierała z miłości, Walter, Szkot, Sara i nawet zwłoki jej rywalki. Nie było nikogo, tylko on, mężczyzna, którego kochała ponad wszystko! Cóż jej po innych?

Chciała rzucić się do niego z wyciągniętymi ramionami, oszalała ze szczęścia, tak jak przedtem o mało nie oszalała z rozpacz, ale on i teraz ją zatrzymał.

- Nie, nie, moja ukochana... nie zbliżaj się! Nie możesz mnie dotknąć, nigdy, nigdy więcej. Panowie, czy zechcecie zostawić nas samych? Dziękuję za wszystko, co uczyniliście.

I znów Kennedy zamiótł podłogę piórami czapli, Walter przykląkł i wbił spojrzenie swoich szarych oczu w tego, który był tak smutny, a którego dopiero teraz uznał za swego pana.

- Wielmożny panie Arnoldzie - rzekł - wymierzył pan sprawiedliwość? Niech mi pan wybaczy, że zważyłem w pana. Od tej pory jestem pańskim sługą!

- Dziękuję - rzekł Montsalvy melancholijnie. - Ale twoja służba będzie niedługa. I żałuję, kolego, że nie mogę ci teraz podać ręki.

Kennedy i Walter wyszli. Sara opuściła pokój, by udać się do Michała, który był z babką. Katarzyna i Arnold zostali sami. Młoda kobieta wpatrzyła się w swego męża.

- Dlaczego - zaczęła zduszonym głosem - dlaczego mówisz, że nie powinnam... nigdy cię dotknąć? I co znaczy cała ta potworna komedia? Dlaczego kazałeś mi wierzyć, że kochasz kobietę, której nienawidziłeś, dlaczego kazałeś mi tak cierpieć?

- Musiałem to zrobić. Musiałem za wszelką cenę oderwać cię od siebie. Nie mam prawa kochać cię, Katarzyno... a przecież nigdy jeszcze cię tak mocno nie kochałem.

Przymknęła oczy, by rozsmakować się w boskiej muzyce tych słów, których miała już nigdy nie usłyszeć. Boże Wszechmogący! Boże Miłosiwy! Kochał ją! Ogarnięty był tym samym płomieniem namiętności, którym i ona płonęła! Ale skąd te dziwne słowa, czemu odsuwa ją tak uparcie? Katarzyna przeczuwała, że niebawem przeniknie tę tajemnicę, ale teraz czuła lęk i drżała tak, jakby stała na progu przepaści.

- Nie masz już prawa mnie kochać? - zapytała z wysiłkiem. - Ale kto może ci w tym przeszkodzić?

- Zło, które noszę w sobie, moja ukochana! Zło, które tak bardzo chciałem przed tobą ukryć, bo nade wszystko obawiałem się wzbudzić w tobie przerażenie. Ale zrozumiałem, że jeszcze bardziej boję się twojej nienawiści, twej pogardy. Bałem się, tak bardzo się bałem, że odejdiesz, że wrócisz do tamtego! Wiedzieć, że jesteś w jego rękach, wyobrażać sobie twoje ciało w jego ramionach, twoje usta przy jego ustach... to było piekło! Nie mogłem tego ścierpieć. Lepiej było wrócić... i wszystko ci powiedzieć!

- Ale co? Na miłość boską, przez wzgląd na naszą miłość, Arnoldzie, mów! Mogę wszystko wytrzymać... wolę wszystko, niż stracić ciebie.

- A jednak, Katarzyno, już mnie straciłaś! Noszę śmierć w sobie i jestem już na wpół martwy.

- Ależ co mówisz? Oszalałeś? Straciłeś rozum? Dlaczego martwy?

Nagle odwrócił się do niej plecami, jak gdyby nie mógł znieść niepokoju na kochającej twarzy.

- Lepiej byłoby, gdybym już naprawdę był martwy, a Bóg okazałby mi miłosierdzie, pozwalając mi polec, jak wielu innym, w bitwie pod Azincourt czy pod murami Orleanu...

Katarzyna, napięta jak łuk, krzyknęła:

- Mów, przez litość!

I wtedy przemówił! Trzy słowa, trzy potworne słowa, które przez wiele miesięcy miały powracać w jej snach, budzić ją nagle skapaną w pocie i rozbrzmiewać rozgłośnym echem między ścianami pustego pokoju.

- Jestem trędowaty... TRĘDOWATY!

Potem odwrócił się, spojrzął na nią i stłumił okrzyk bólu. Nigdy nie widział u niej takiego cierpiącego wyrazu twarzy. Przymknęła oczy i grube łzy spływały powoli po jej bladych policzkach. Stała wyprostowana, z rękami przy ustach i wydawało się, że utrzymuje się na nogach dzięki

cudowi. Była taka krucha, taka bezbronna, że odruchowo wyciągnął ramiona... i prawie od razu je opuścił. Odmówiono im nawet tej ostatniej radości, jaką jest płacz w ramionach najdroższej osoby. Dyszała lekko jak goniona łania, która straciła już wszelką nadzieję. Usłyszał szept:

- To niemożliwe! Niemożliwe!

Krzyk ptaka, który przemknął na niebie i przerwał ciszę tego pokoju, przywrócił ich do rzeczywistości. Katarzyna otworzyła oczy i Arnold oczekujący z niepokojem na moment, w którym te ukochane fiołkowe źrenice znów na nim spoczną, poczuł, że jego serce topnieje. W tych oczach nie było ani odrazy, ani przerażenia... tylko bezgraniczna miłość, nieskończona jak szerokie przestworza nieba. Jej piękne usta rozchyliły się w uśmiechu promieniejącym czułością.

- Jakież to ma dla mnie znaczenie? - rzekła łagodnie. - Od lat śmierć na nas czyha, więc wszystko jedno, w jaki sposób nas zabierze! Twoja choroba będzie moją: jeśli jesteś trędowaty, ja będę trędowata, tam, gdzie ty pójdziesz, pójdę i ja, i jakikolwiek los nas czeka, będziemy mu przychylni, jeśli tylko nas nie rozłączy! Arnoldzie, ty i ja, razem, na zawsze... odcięci od świata, przekłęci, objęci anatema, ale zawsze razem!

Jej uroda, odmieniona miłością, zajaśniała w tej chwili takim blaskiem, że olśniony Arnold przymknął oczy. Nie widział, jak podbiega do niego z wyciągniętymi ramionami. Dopiero wtedy, gdy przywarła do niego i objęła ramionami jego szyję, oprzytomniał i chciał ją odepchnąć, ale ona trzymała się go mocno, zmuszając, by cierpiał katusze, mając tak blisko siebie ukochaną twarz.

- Moja słodka - wyszeptał złamanym głosem - to niemożliwe!

Gdybyśmy byli sami na świecie, otworzyłbym szeroko ramiona i usłuchał głosu mej samolubnej miłości, zabrałbym cię w jakieś odludne miejsce, tak

opustoszałe, że nikt nigdy by nas nie znalazł. Ale mamy dziecko. Michał nie może zostać sam na świecie.

- Ma babcię!

- Ona jest stara, słaba i samotna. Nie może dla niego nic zrobić, tylko płakać nad jego nieszczęściem. Teraz ty, Katarzyno, jesteś ostatnią z rodu Montsalvych i jego jedyną nadzieją. Jesteś dzielna, jesteś silna... Będiesz umiała walczyć dla swego syna, odbudujesz Montsalvy.

- Bez ciebie? Nigdy nie będę w stanie! A ty? Co z tobą będzie?

- Ja?

Odwrócił się, podszedł do otwartego okna, spoglądał przez chwilę na dolinę, którą zawładnęła wiosna. Wyciągnął ramiona w stronę południa.

- Tam - rzekł - w połowie drogi do Montsalvy kanonicy z Aurillac wzniesli niegdyś leprozorium, gdzie mieszkają ci, którzy odtąd będą moimi braćmi. Dawniej było ich wielu, teraz jest ich tylko paru, a opiekuje się nimi benedyktyn. Tam pójdę.

Serce Katarzyny przepełnił ból.

- Ty, w leprozorium? Ty, taki...

Nie dodała: „dumny, porywczy, chlubiący się swoim pochodzeniem, ty, który jesteś samym życiem, wielbicielem wojny i ciosów miecza - skazany na powolną śmierć, najgorszą ze wszystkich?”. Ale boleść, którą wyczuł w jej głosie, dopowiedziała wszystko. Arnold zrozumiał to i czule się do niej uśmiechnął.

- Tak! Przynajmniej będę mógł oddychać tym samym powietrzem co ty i do ostatniego tchnienia spoglądać na ojczyste góry, drzewa i niebo, na które i ty będziesz patrzyła. Będę dla ciebie martwy, Katarzyno, ale może nie będziesz już chciała odjechać...

- Mógłbyś uwierzyć w to, że teraz...

- Nie. Wiem, że zostaniesz tutaj. Obiecuj mi, że będziesz dla Michała zarazem matką i ojcem, że będziesz żyła dla niego tak, jak żyłaś dla mnie. Powiedz, obiecujesz?

Oślepiąca łzami, ukryła twarz w dłoniach, żeby już nie widzieć tej szczupłej postaci stojącej w oknie i nie wiedzieć, że już nie należy do ziemskiego życia. Szloch rozrywał jej piersi, ale powstrzymywała go z całej siły.

- Kocham cię - wybełkotała. - Kocham cię, Arnoldzie.

- Kocham cię, Katarzyno. Kiedy będę już potworem, wrakiem ludzkim, zbyt odrażającym, by mógł na mnie paść wzrok innych ludzi, będę cię i wtedy kochał, a wspomnienia i światło naszej miłości pomogą mi. Chciałem odejść, by szukać gdzie indziej śmierci, z bronią w ręku, ale jeśli taka jest wola Boga, lepiej, bym umarł na tej ziemi, która należy do mnie i do której pewnego dnia powrócę...

Wydawało się, że jego głos dochodzi z oddali i słabnie. Katarzyna opuściła ręce, szeroko otworzyła oczy i krzyknęła w przerażeniu:

- Arnoldzie!

Ale jego już nie było. Po cichutku opuścił pokój.

Tego wieczoru Sara musiała zamknąć się z Katarzyną w jej pokoju, a Walter położył się w poprzek drzwi. Młoda kobieta, zapominając o tym, że Arnold błagał ją o zaniechanie wszelkich kroków, chciała biec za swoim mężem. Poszedł szukać schronienia u poczciwego proboszcza Carlat, gdyż wieść o chorobie rozeszła się w miasteczku i zamku lotem błyskawicy, siejąc przerażenie. Wszyscy teraz drżeli ze strachu, począwszy od zahartowanych w boju żołnierzy, a skończywszy na biednych pasterzach. Starali się przypomnieć sobie, jakie mogli mieć kontakty z

nieszczęśliwym. Ludzie krzyczeli, by natychmiast odprowadzić trędowatego do leprozorium. Dopiero stary proboszcz musiał się rozgniewać i zagrozić, że odejdzie wraz z Arnoldem, jeśli cokolwiek mu się stanie. Panował tak ogromny strach, że wieśniacy byliby zdolni do podpalania domów. Tylko prezbiterium, jako święte miejsce, mogło uniknąć tego losu.

Jan de Cabanes złożył Katarzynie wizytę po raz pierwszy. Ukłonił się z szacunkiem przed młodą kobietą w żałobie i oświadczył, że nazajutrz chorego, zgodnie z prawem, odprowadzą do leprozorium w Calves, po ostatniej mszy, która zostanie odprawiona w miasteczku w jego intencji. Chciał wiedzieć, czy pani de Montsalvy pragnie wziąć udział w tej ceremonii.

- Myślę, że pan w to nie wątpi - odparła Katarzyna.

Poszłaby nawet do piekła, żeby jeszcze raz go zobaczyć, choćby na krótką chwilę. A teraz znów zapadła noc. Mieszkańcy Carlat zabarykadowali się w swoich domach, po nakreśleniu żółtego krzyża na drzwiach prezbiterium. Strażnicy stłoczyli się w wartowni. Bali się nawet obserwować blanki powodowani strachem, że zobaczą w ciemności posępną postać czerwonej śmierci. Czujki, które zmuszeni byli wystawić na skutek gróźb Kennedy'ego, dygotały ze strachu na murach strzelniczych. Katarzyna, stojąc w oknie z rękami skrzyżowanymi na piersi, starała się odgadnąć w mroku dom, który stał się ostatnim schronieniem Arnolda. Jej oczy były teraz suche, czoło płonęło. Uporczywie milczała.

Izabela de Montsalvy siedziała nie opodal w fotelu równie milcząca. Blade palce starszej pani przesuwaly paciorki różańca. Katarzyna nie była w stanie się modlić. Bóg był zbyt wysoko, zbyt daleko, by skromna

modlitwa ludzka mogła Go osiągnąć. Udzielił Katarzynie łaski, o którą błagała w malignie: jeszcze raz zobaczyć ukochanego, jeszcze raz go dotknąć. Ale jaką cenę miała za to zapłacić?

Zrozumiała teraz wszystko, co przedtem było niezrozumiałe. Sara opowiedziała jej, jak pewnej nocy Arnold przyszedł ją obudzić, by pokazać, że ma na ramieniu dużą, gruzełkowatą plamę jasnego koloru, której widok przeszył ją lękiem. Była to rzeczywiście, tak jak się obawiał, pierwsza oznaka choroby, przeklęte piętno trądu. Opowiedziała, jak kazał jej przysiąc, że zachowa milczenie. Chciał spowodować, by Katarzyna odsunęła się od niego, żeby potem mogła, bez wyrzutów sumienia, rozpocząć nowe życie. Ale nie wziął pod uwagę rozpaczliwej miłości młodej kobiety, nie wziął pod uwagę swej własnej namiętności. Jego szlachetny plan spalił na panewce i teraz Katarzyna wiedziała... to, czego Izabela dowiedziała się pamiętnej nocy w kaplicy!

Kiedy odwróciła się do starszej pani, zdziwiła się niemal, że na jej twarzy malował się ból tak ogromny jak jej własny. Czy jakaś inna kobieta mogła cierpieć tak samo jak ona?

Ciszę nocną przerwało wycie wilczycy. Był to okres godów i zwierzę wzywało swego samca. Katarzyna zadrzała. Dla niej skończył się czas miłości... Został tylko obowiązek, surowy, zimny - jako jedyne zajęcie dla serca, które nazajutrz będzie już tylko popiołem.

Zestarzeje się, tak jak ta kobieta szlochająca obok bezgłośnie. Będzie całe życie sama, przywiązana do dziecka, które pewnego dnia odejdzie; sama aż do chwili, kiedy dla niej również nadejdzie czas odpoczynku. Nagle ogarnęła ją bezmierna litość dla tej starej kobiety, która krok po kroku przeszła przez straszliwą drogę krzyżową i jeszcze nie dotarła do samego końca. Kiedy była jeszcze młoda, umarł jej mąż, później przeżyła



straszną śmierć Michała, najczulszego i najłagodniejszego z synów, jej ulubieńca. A teraz ta potworna historia! Wszystkie cierpienia pozostawiły na jej twarzy głębokie zmarszczki. Czy serce kobiety mogło to wytrzymać, nie tracąc odwagi i nie pękając z bólu?

Spokojnie podeszła do starszej pani i położyła nieśmiało rękę na jej ramieniu. Uniosły się ku niej wypłowiałe oczy poczerwieniałe od łez, patrzące żałośnie. Katarzyna przełknęła ślinę, nateżyła głos, nagle ochrypły, ale wydobyła z siebie tylko szept:

- Został pani jeszcze mały Michał - rzekła cichutko - I... ja, jeśli pani zechce. Nie umiem ładnie mówić i wiem, że nigdy mnie pani nie lubiła. A mimo to... jestem gotowa okazać pani największy szacunek, największą czułość, której nie będę mogła dać już jemu...

Przeliczyła się ze swymi siłami. Wybuchła rozpaczą. Uklękła przed starszą kobietą, ukryła głowę na jej kolanach, zaciskając palce na jej czarnej sukni. Ale Izabela de Montsalvy już otaczała ją swymi ramionami i przyciskała do siebie.

Wstrząśnięta Katarzyna poczuła na czole gorące łzy starej kobiety.

- Moja córko! - wyjąkała starsza pani. - Będiesz moją córką!

Długo pozostawały tak objęte, zbliżone wspólnym nieszczęściem, jakby nie mogła ich zbliżyć żadna chwała czy duma. Gdzieś się podziała tego wieczoru pogarda, jaką Izabela żywiła dla skromnego sklepiku Gauchera Legoixa! Ból matki i ból kobiety połączyły się w jedno, a przelane łzy zniosły wszelkie bariery i scementowały je głęboką czułością. W odległym lesie znów zawyła wilczyca. Ramiona Izabeli zacisnęły się mocniej na ramionach Katarzyny, która zaczęła drżeć na całym ciele.

- Wilki! - szepnęła boleśnie Katarzyna. - Czy tylko wilki mają prawo kochać?

## *Rozdział szesnasty*

# *Opustoszała droga*

---

Wzdłuż drogi opadającej od zamku do miasteczka Szkoci Kennedy'ego i żołnierze tworzyli szpaler. Lekki wietrzyk poruszał piórami czapek i barwnymi pelerynkami cudzoziemców. Słońce stało już wysoko na niebie, rzucając blaski na zbroję i broń. Wszystko to mogłoby stanowić oprawę jakiejś uroczystości, jednak napięte twarze uczestników były poważne, a w dole, ze spiczastej dzwonnicy z szarego granitu, dochodził dźwięk dzwonów.

Katarzyna zeszywniała. Przekroczyła właśnie progi zamku, podtrzymując jednym ramieniem matkę Arnolda. W tych ostatnich chwilach, kiedy mogła go jeszcze widzieć, chciała być dzielna. Powinien być z niej dumny, ten, który - opuszczając świat - zostawiał na jej słabych barkach tak ciężkie brzemie. Odważnie uniosła podbródek, zacisnęła zęby, żeby nie dzwoniły. Izabela zachwiała się, wyczerpana, bezsilna. Katarzyna podtrzymała ją mocnym ramieniem.

- Odwagi, matko - szepnęła. - Musisz ją mieć... dla niego!

Starsza pani zdobyła się na heroiczny wysiłek, mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Katarzyny i wyprostowała się. Dwie czarne postaci szły

przed siebie w olśniewającym porannym słońcu, a wokoło dym ulatywał z chat, rozlegał się śpiew ptaków, nieświadomych, w jakim dramacie uczestniczą.

Za obydwoma kobietami szli: Kennedy, wsparty na wielkim mieczu, stary Cabanes o lasce, a dalej Walter i Sara. Ich twarze były jak wykute z kamienia. Nie rozlegał się żaden dźwięk. W przerwach między uderzeniami dzwonu można było dosłyszeć uderzenia serc. Brakowało tylko Fortunata. Biedny chłopiec nie mógł znieść widoku tego, co miało nastąpić. Zamknął się w samotności, by płakać.

W miarę jak orszak zbliżał się do kościoła, Katarzyna rozróżniała coraz więcej osób w tłumie wieśniaków. Tłoczyli się bojaźliwie, jednakowoż w stosownej odległości od domu bożego, który stał się nieczysty. Trzeba było palić kadzidło i wszystko skrapiać wodą święconą, żeby zmyć ze świętego miejsca obecność trędowatych. Zebrani, kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy, klęczeli w przydrożnym pyłe z opuszczonymi głowami, śpiewając półgłosem żałobne kantyczki. Stanowiło to posępny akompaniament, kontrpunkt do tego żałobnego dzwonu, który nie przestawał uderzać.

- Mój Boże! - wyszeptała Izabela. - Boże! Daj mi siłę!

Pod szczelną woalką, identyczną, jaką miała ona sama, Katarzyna domyślała się łez. Musiała też walczyć, by powstrzymać swoje. Przyspieszyła kroku, okrążyła kościół i przeszła przez starą bramę. Nawet nie spojrzała na klęczących wieśniaków. Budzili w niej odrazę i gniew swoim strachem. Nie chciała ich widzieć, lecz oni zerkali do góry, starając się zobaczyć, czy istotnie była taka piękna, jak mówiono. A ona szła tak, jakby ciągnęła za sobą, w fałdach czarnej sukni, ból całego świata.

Kościół był nieduży, Katarzynie wydawał się jednak długim tunelem, w którego głębi połyskiwały żółte światła. Na ołtarzu płonęły świece, a stary proboszcz w czarnym, pogrzebowym ornacie oczekiwał ich, stojąc tyłem do tabernakulum. Przed nim, na dole schodków, klęczał ubrany na czarno mężczyzna. Serce Katarzyny stanęło na chwilę, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Ścisnęła złączone ręce Izabeli tak mocno, że starsza pani jęknęła. Powoli poprowadziła ją do ławki, posadziła i wyprostowała się, zmuszając się do tego, by spojrzeć na klęczącego mężczyznę.

Czy Arnold poczuł na sobie to ciężkie spojrzenie? Odwrócił się nieznacznie. Katarzyna zobaczyła jego wyniosły profil. Czy odwróci się całkowicie i spojrzy na nią? Nie... Przeniósł wzrok na ołtarz. Zapewne nie chciał, by opuściła go odwaga.

- Mój ukochany! - wyszeptała cichutko Katarzyna. - Mój biedny, najdroższy!

Złamany głos księdza wzniósł się teraz wyżej, kruchy i żałosny, a zakrystianin - blady wieśniak o niezręcznych ruchach - ustawiał świece po obu stronach Arnolda.

Jak w potwornym śnie, Katarzyna śledziła mszę pogrzebową w intencji tego, który umarł za życia, nie widząc nic i nie słysząc. Arnold de Montsalvy za chwilę przestanie istnieć, i to tak niezawodnie, jakby ręka kata odcięła mu głowę. Będzie już tylko anonimową istotą, zamkniętą w leprozorium, istotą jeszcze żyjącą, ale bezimienną, wyzutą z ludzkich praw - odrobiną cierpiącego ciała zamkniętą za drzwiami, które otwierać się będą tylko dla niego. A ona... ona zostanie wdową! Poczwała wzbierający bunt. Miała ochotę przerwać tę bluźnierczą mszę i wyrwać stąd uwielbianego mężczyznę, jak niegdyś próbowała wyrwać jego brata,

Michała, z rąk paryskiej tłuszczy. Tak, o to chodziło... podbiec do niego, wziąć go za rękę i uciec! Ale brakowało tu wesołego sprytu Landry'ego i zdrowego rozsądku Barnaby. Nikt jej nie pomoże, nikt jej nie zrozumie... A może Walter? Ale olbrzym został przed kościołem, do którego nie wchodził nigdy, w zbitym tłumie wieśniaków. Arnold i ona nigdy nie byliby w stanie przejść przez ten żywy mur... A zresztą, czy zgodziłby się pójść za nią, on, który użył całej swej miłości, by ją uchronić od siebie samego?

Świadomość własnej słabości o mało nie zniszczyła odwagi Katarzyny. Do oczu napłynęły jej palące łzy. Dziecinnym gestem wyciągnęła przed siebie rękę i przyjrzała się jej ze zgrozą, jak gdyby miała do niej pretensje, że jest taka słaba. To były ręce, które nie umiały zatrzymać miłości, które nie umiały odgadnąć z ciała ukochanego oznak straszliwej choroby, która go dopadła zapewne w tym odrażającym więzieniu La Tremoille'a.

La Tremoille! Potężna postać grubego szambelana, która stanęła przed nią jak żywa, obudziła w Katarzynie pragnienie zemsty. Nie wiedziała, jak długo zdoła opierać się bólowi miłości, ale człowiek, który był przyczyną wszystkich nieszczęść, który prześladował ich z niezłomną, głupią nienawiścią, zapłaci za to! Musi zapłacić, i to bardzo drogo, aby Montsalvy mogło wrócić do życia, żeby Michał miał jakąś przyszłość, a ona sama mogła umrzeć spokojnie.

- Przysięgam ci - rzekła, zaciskając zęby. - Przysięgam, że cię pomszczę! Przed Bogiem, który mnie słyszy, ślubuję uroczyście!

Msza była skończona. Teraz ksiądz czytał rozgrzeszenie. Obłoki kadzidlanego dymu spowijały głowę klęczącego mężczyzny, który dla wszystkich przestał żyć. Następnie pokropiono go wodą święconą i

otrzymał ostatnie błogosławieństwo. Nagle serce Katarzyny ścisnęło się z bólu. Pod szerniałym sklepieniem rozległ się głos Arnolda. Śpiewał!

- Panie, w swej nieskończonej dobroci, zmiłuj się nade mną! Twoja bezbrzeżna łaska niech oczyści moje występki. Obmyj mnie, obmyj mnie z nieprawości, oczyść mnie z grzechu, znam bowiem mój błąd i mój grzech jest zawsze przede mną! Odwróć się od moich błędów...

Nigdy jeszcze nie słyszała, jak Arnold śpiewa. Jego głos, poważny i głęboki, był uderzająco piękny i wzruszający. Było to rozpaczliwe pożegnanie z życiem śpiewane przez mężczyznę, który kochał ją namiętnie... W uszach Katarzyny rozszalała się burza. Poczowała, że ogarniają ją mdłości. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje, więc wczepiła się w ławkę z ciosanego, nieheblowanego drewna tak, że drzazga weszła jej w palec. Ból sprawił, że oprzytomniała... Obok niej matka Arnolda szlochała bez opamiętania, klęcząc na gołych kamieniach posadzki.

Katarzyna widziała wszystko jak za mgłą. Łzy i czarna woalka odcięły ją od wszystkiego podwójną zasłoną. Raczej odgadywała, niż widziała sylwetkę Arnolda, który wstał z klęczek i, śpiewając, podążył teraz sam do wyjścia. Wtedy zerwała woalkę, odsłaniając przed odchodzącym mężczyzną swoją lśniąca od łez twarz jak ostatni podarunek. Dzisiaj nie opadał na nią żaden złoty kosmyk, okalał ją tylko czarny czub czepca. Arnold tak był zafascynowany widokiem tej czystej, szczupłej twarzy i rozszerzonymi oczami, że zatrzymał się mimo woli. Śpiew zamarł mu na ustach. Jego oczy po raz ostatni zatopiły się w tych ukochanych, zalanych łzami oczach, ale nie powiedział nic. Stał tak blisko, że Katarzyna słyszała jego przyspieszony oddech... Zrobił krok, chcąc przejść obok niej, i wtedy rozwinęła węzełek, który niosła od zamku. Po ubogiej,

zniszczonej posiadzce kościoła rozlał się złocisty potok, lśniący, jedwabisty i podpłynął aż do stóp Arnolda - włosy Katarzyny, olśniewająca szata, z której była taka dumna... O świcie tego żałobnego dnia bezlitośnie obcięła je tym samym sztyletem, którym Arnold zabił Marię de Comborn.

Arnold zbladł i zachwiał się. Łza potoczyła się po jego policzku i znikła. Zamknął oczy. Katarzyna pomyślała, że Arnold upadnie za chwilę. Ale nie! Powoli przykląkł na jedno kolano, podniósł obydwoma rękami całą tę złocistą masę włosów i przyciskając ją jak skarb, powstał i ruszył, nie oglądając się za siebie, w stronę drzwi. Kiedy pojawił się w światłości dnia, słońce rozzłociło jeszcze bardziej to żniwo miłości, które niósł w ramionach. Przerażeni chłopcy cofnęli się, ale on ich nie widział. Z uśmiechem na ustach i oczami wzniesionymi ku błękitnemu niebu szedł przed siebie, nie widząc nawet mnicha w brązowej szacie, który czekał na niego. Mnich trzymał czerwoną pelerynkę i szarą szatę naznaczoną czerwonym sercem, a także kołatkę. Od tej chwili miał to być ubiór trędowatego dla Arnolda, już bez błyszczącego miecza, bez okazałych szat, nic, tylko ten nędzny ubiór i kołatka, która z daleka ostrzegała, że zbliża się trędowaty.

Dzwony kościelne rozzwoniły się ponownie...

Katarzyna, zapominając o Izabeli, wlokła się raczej, niż szła. Dotarła do wrót i wczepiła się we framugę... Nogi pod nią dygotały, czuła, że słabną, ale jakaś mocna ręka podtrzymała ją w ostatniej chwili.

- Niech pani wytrzyma, pani Katarzyno! - odezwał się ochryply głos Waltera. - Nie przy tych ludziach!

Ale ona także nic nie widziała - tylko tę czarną postać, która oddalała się ze słonecznym skarbem w rękach. Z murów obronnych rozległa się trąbka, która chciała zagłuszyć posępny dźwięk dzwonów. I natychmiast

wzdłuż pasma skał rozpoczęły swój smutny i powolny śpiew kobzy. To było ostatnie pożegnanie, jakie Kennedy odgrywał swemu towarzyszowi broni.

Tam, w oddali, Arnold dołączył już do mnicha. Zew kobzy kazał mu odwrócić się jeszcze raz. Spojrzał na miasteczko, na zamek dumnie rozłożony na skałach, a potem na szarą, żalną twarz benedyktyna.

- Żegnaj, życie - wyszeptał. - Żegnaj, miłości!

- Mój synu - rzekł łagodnie mnich. - Pomyśl o Bogu!

Bóg był jednak za daleko. Arnolda ogarnęła rozpaczliwa wściekłość. Jego głos rozległ się tak donośnie, że ogarnął całą dolinę.

- Żegnaj, Katarzyno! - krzyknął.

Ten głos... głos jej miłości - czyż mogła pozostawić go bez odpowiedzi? Ten sam rozpaczliwy bunt, który z piersi Arnolda wyrwał okrzyk, ogarnął również duszę Katarzyny. Wyrwała się z rąk Waltera, puściła się biegiem przez kamienistą drogę, wyciągając ramiona ku temu, którego uprowadzał mnich.

- Nie! - krzyknęła. - Nie żegnam cię! Nie!

Potknęła się o kamień, padła w pyle na kolana, z wyciągniętymi wciąż przed siebie ramionami. Ale mnich i trędowaty byli już za zakrętem ścieżki... Droga opustoszała.